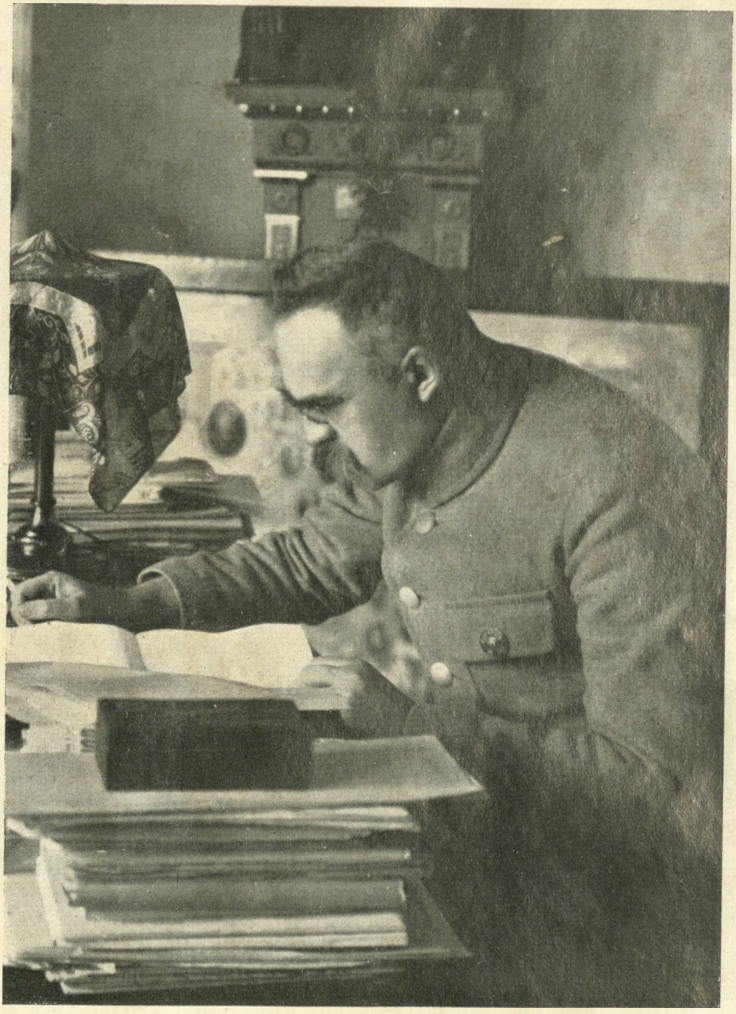

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

PISMA ZBIOROWE



J. Piłsudski

JÓZEF PIŁSUDSKI W SULEJÓWKU

w 1925 r.

Dd. 118.131/8.

JÓZEF PIŁSUDSKI

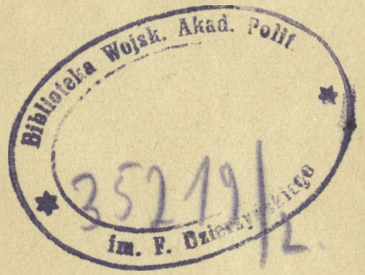
PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM VIII

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI



TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ
KAZIMIERZ ŚWITALSKI



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

1956 g 765 g

WSTĘP

W tomie ósmym są te utwory Piłsudskiego, które powstały od ukończenia przez niego pracy «Rok 1920» do wypadków majowych, a więc w czasie od wiosny 1924 r. do dnia 12 maja 1926 r.

W tym okresie rządzi naprzód gabinet Władysława Grabskiego, stosunkowo dosyć długo, bo do 13 listopada 1925 r. Potem przez pięć miesięcy do dnia 5 maja 1926 r. sprawuje rządy gabinet Aleksandra Skrzyńskiego. Wreszcie od dnia 10 maja 1926 r. istnieje przez kilka dni gabinet Witosa, usunięty wydarzeniami majowymi.

Zarówno rząd Wł. Grabskiego, jak i rząd Al. Skrzyńskiego mają do pokonania duże trudności finansowo-gospodarcze. Walka z nimi ma różne fazy od różowych perspektyw do czarnych godzin. Pozaparlamentarny rząd Wł. Grabskiego uzyskuje od izb ustawodawczych szerokie pełnomocnictwa w dziedzinie finansowo-gospodarczej. Sejm daje je dlatego, że nie ma zdecydowanej większości, a tym samym jednolitego planu działania. Partie drżą przed utratą wpływów u swoich klientów i dlatego nie stać je na odwagę rzetelnego kompromisu. Przerażone trudnościami uciekają od odpowiedzialności. Uchwalają pełnomocnictwa dla rządu, każąc sobie za nie płacić ustępstwami i koncesjami. Widowisko to budującym nie było.

Gdy od połowy 1925 r. złoty począł się załamywać wskutek deficytu budżetowego i ujemnego bilansu handlowego, a rząd Wł. Grabskiego nie miał już wiele do zaofiarowania stronnictwom — los jego był przesądzony.

Gabinet Al. Skrzyńskiego był rządem parlamentarnym. Zasiadali w nim i narodowi demokraci i socjaliści. Naprawa skarbu wymagała, jak zawsze ofiar. Spór o to, które warstwy

i w jakim stopniu mają one ponieść ofiary na rzecz państwa — rozsadził gabinet Skrzyńskiego. Partie egzaminu w tej dziedzinie nie zdały.

A oprócz zagadnień finansowych i gospodarczych istnieje sprawa wojska. Niezałatwianie powrotu Piłsudskiego do armii sprawia zarówno rządowi Wł. Grabskiego, jak i rządowi Al. Skrzyńskiego duże trudności. Nie pomaga im tu ani skrzętne ukrywanie ich przed opinią, ani konspirowanie tych trudności przed samym sobą.

Piłsudski jako warunek swego powrotu do wojska stawia wówczas: wycofanie projektów ustaw, które groziły złym zorganizowaniem naczelnych władz wojskowych i wprowadzenie w życie dekretu, który wydał on w tej materii dnia 7 stycznia 1921 r. Czytelnicy znajdą ten dekret w aneksach do niniejszego tomu. W dekrecie tym najważniejszym było postanowienie, że decyzje Ścisłej Rady Wojennej w zakresie przygotowań wojennych, planów operacyjnych i obrony kraju są obowiązujące dla Ministra Spraw Wojskowych i decydujące są kwalifikacje Ścisłej Rady Wojennej, tyczące się dowódców wyższych jednostek od dowódców pułków wzwyż.

Komuż dziś przyszłoby do głowy kwestionować zasadę, że Ministerstwo Spraw Wojskowych musi prowadzić prace, związane najściślej z przyszłą wojną, według wskazówek tego, który za nią ma wziąć odpowiedzialność, — i że przyszły Wódz Naczelny musi mieć decydujący wpływ na obsadę wyższych jednostek wojskowych, którymi będzie podczas wojny dowodził.

Przed dziesięcioma laty wytaczano przeciw tym, tak naturalnym zasadom, tysiące i jeden nieszczerych argumentów aż do takiej kolubryny włącznie, że podobne zasady nie dadzą się nigdy pogodzić z konstytucją.

Dziś niewielu by się takich jeszcze znalazło, którzy by chcieli kwestionować, że powrót Piłsudskiego do pracy wojskowej był wtedy dla państwa potrzebny. Historia tu już zawyrokowała.

Natomiast dla wielu dzisiejszych czytelników tego tomu, w którym sprawa powrotu Piłsudskiego do armii zajmuje tyle miejsca, trzeba już, jak mi się wydaje, tłumaczyć, jakie były

źródła tej nieszczerej gry ówczesnych czynników politycznych, dążących do pozbawienia wojska jego byłego Naczelnego Wodza.

Byli zdecydowani wrogowie polityczni Piłsudskiego, dla których samo jego istnienie było nienawistnym. Byli tacy, którzy pod wpływem obłędnej, a niestety sugestywnej agitacji uwierzyli, że Piłsudski był źródłem wszystkich nieszczęść. Byli ludzie, którzy widzieli tylko sprawy gospodarcze i nimi się wyłącznie troskali, uważając wszelkie inne zagadnienia, nawet sprawy obrony państwa, za kwestie drugorzędne. Byli ludzie, którzy słusznie obawiali się, że gdy Piłsudski wróci do armii, ich kalkulacje na jednanie sobie wojskowych dla swych celów politycznych — spalą na panewce. Byli wreszcie ci, którzy przenikliwie przeczuwali, że powrót Piłsudskiego do pracy państwowej, to koniec ich metod politykowania, w których czuli się swojsko i wygodnie. Niechęć do siły, do zdolności i do tych wartości moralnych, które niósł w sobie Piłsudski i o których wiedziano, że nie zmieszczą się one w rozpanoszonych wówczas formach politykowania — była genezą tworzenia się wtedy już nie tyle koalicji stronnictw wrogich politycznie Piłsudskiemu, ile konfederacji przeciw wielkiemu człowiekowi ludzi małych ze wszystkich partii. Ten komplot stwarzał największą zaporę powrotowi Piłsudskiego do wojska.

Piłsudski, zgodnie ze swą metodą pracy, postawił sobie w okresie lat 1923—1926 cel jakby ograniczony. Pragnął dopiąć tego, by wojsko było wolne od wpływów czynników partyjnych. W trakcie tej walki temat mu się pogłębia, a cel narzuca się szerszy.

Piłsudski zdaje sobie sprawę, że walka o wojsko idzie mu opornie. Wrogiem jest tu obojętność społeczeństwa dla zagadnień wojskowych i jego w tej dziedzinie analfabetyzm, mający swe źródło w złej tradycji Polski, która przez długie wieki sprawą wojska istotnie się nie interesowała. Więc chce ten nawyk wyplenić. Nie wystarczają mu sentymentalne odruchy społeczeństwa w stosunku do armii, ten «flirt» z wojskiem. Przecież historia znaczy swój pochód wojnami tak częstymi. Przecież dają one tak olbrzymie zmiany losów. Jakże można nie

chcieć i rozumieć i poznać spraw związanych z wojną, nie przenikać jej zagadnień. Przecież w zależności od ustroju problem stosunku wojska do państwa coraz to inaczej się przedstawia. Przecież wojsko nie jest jedną z dykasteryj urzędniczych. Tylko od żołnierza państwo wymaga śmierci. Żołnierz umiera nie dla siebie, «a więc musi mieć swoją piękność wewnętrzną, coś, co jest wyższe ponad codzienne ludzkie rachunki, co jest wyższe nad poziom powszedni». Muszą żyć w sercach jakieś wartości moralne, dla których żołnierz pójdzie po śmierć. Bez nich nie ma armii, nie ma obrony państwa.

W demokracji emblematami dla wojska może być prawo i honor. Gdy ładu, które prawo ma dawać, nie widać, gdy władze państwa mieszają swe uprawnienia, gdy nie wiadomo «kto rządzi, a kto sądzi», gdy «swoboda daje nadużycie tej swobody», gdy zło jest bezkarne — blaknie napis «prawo» na sztandarach. Gdy władze, będące widocznym znakiem państwa, stają się targowiskiem, na którym kupczy się małymi interesami, małymi ambicjami i małymi zawiściami — plami się sztandar «honoru służby». Znikają wartości moralne, a bez nich obrona państwa staje w znaku zapytania.

Piłsudski w okresie trzech lat poprzedzających maj 1926 r. chciał jakby ograniczyć się do obrony «interesów moralnych armii polskiej», uważając to jako pierwszy i najpilniejszy etap naprawy. Życie powiedziało, że celu tego osiągnąć bez zmiany całego ówczesnego systemu politycznego, bez zmiany zarówno zwyczajów, jak i ustroju nie można. I dlatego Piłsudski zamknie ten tom słowami: «Staję do walki z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści».

We wstępie do tomu VI pisałem, że Piłsudski postawił sobie w tym okresie jako drugi obok sprawy wojska cel: wydobycie z dusz polskich szacunku dla prawdy. Chce on, by Polacy na swe dzieje zarówno dawniejsze, jak i na najbliższe nauczyli się patrzyć zimnymi oczyma prawdy, bez upiększeń, bez schlebiań sobie. Mówi otwarcie o minionych naszych słabościach, grzechach i małościach z wiarą, że im bardziej je sobie

uświadomimy, tym łatwiej potrafimy się z nich otrząsnąć. W swoich rozważaniach historycznych szuka metody, któraby dawała jak największą gwarancję dotarcia do prawdy. Uważa, że kto nie potrafi wczuć się w dusze minionych pokoleń, kto nie potrafi uświadomić sobie i odtworzyć ich uczuć i myśli, kto nie potrafi uchwycić «stylu epoki», którą rozważa, ten sfałszuje historię. Na kartach tego tomu czytelnicy znajdą zastosowanie takiej właśnie wnikliwej metody zarówno w odniesieniu do epoki powstania styczniowego, jak i do czasów pierwszych dni naszej niepodległości.

Te właśnie rozważania, że każda epoka w przeszłości ma swój własny styl, zrodziły w tym tomie myśli o stylu epoki, która przyjdzie. One podyktowały Piłsudskiemu tu kilka stronic poświęconych przyszłemu pokoleniu Polski, pokoleniu w wolności już zrodzonemu.

Minęło «życie kajdan». Przyjdzie nowe pokolenie, które patrzyć się będzie zdumione, «że mogły być takie czasy, gdy więzienie, a więc to, co jest upokorzeniem, drgnięcia zapału w nas budzi, oczy zapala uśmiechem, lica krasi». Przyjdzie pokolenie, które inne życie będzie sobie tworzyć, a które «obce wkrótce nam będzie, dlatego, że tej czary goryczy i rozkoszy, którejśmy dotykali, ustami swymi już nie dotknie», naszych «burz dla nerwów» nie zazna. I będziemy «czekać na nowego człowieka, aby piękno chwili wiosny gdzieś wyszło, wiosny nowego polskiego życia» ze swoją pieśnią i «śmiechem odrodzenia».

Różnice między niniejszym tomem «Pism Zbiorowych», a tomem ósmym «Pism — Mów — Rozkazów», który obejmował ten sam okres działalności pisarskiej Piłsudskiego, są następujące: 1) Aforyzm w jednodniówce «Lwów Legionom», streszczenie przemówienia na komisji badającej stan aktów operacyjnych z 1920 r. i oświadczenie o przebiegu konferencji w Belwederze odbytej w dniu 21 kwietnia 1926, które w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów» były umieszczone w przypisach, stanowią w tym wydaniu osobne pozycje. 2) Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» przeoczyli wywiad w «Expresie

Porannym» z dnia 23 lutego 1926 r. Wywiad ten podajemy na str. 294—297.

Nie chcąc ze względów czysto technicznych obciążać tekstów dolnymi przypisami zbyt obszernymi, w aneksach do niniejszego tomu podajemy dokumenty odnoszące się do sprawy organizacji naczelnych władz wojskowych i sprawy aktów operacyjnych z 1920 r.

Kazimierz Świtalski.

AFORYZM W JEDNODNIÓWCE: «LWÓW LEGIONOM»

(20 czerwca 1924 r.)

Z okazji dziesiątej rocznicy Legionów wydano we Lwowie jednodniówkę pt. «Lwów Legionom», do której Piłsudski napisał następujący aforyzm:

«Gdy kura jajko znosi — gdacze wesoło... Gdy legun-jajko się wykluwał — kura gdakać nawet nie chciała. Niech legun nigdy nie żąda, by ktoś nad nim gdakał wesoło, oprócz niego samego.

Józef Piłsudski.

Sulejówek, 20 czerwca 1924».

DEMOKRACJA A WOJSKO

(29 czerwca 1924 r.)

Dnia 29 czerwca 1924 r. wygłosił Piłsudski w «Klubie Społeczno-Politycznym» w Warszawie niżej przytoczony odczyt o problemie pogodzenia demokracji z wojskiem. Piłsudski chciałby w sile symbolów: prawa i honoru znaleźć rozwiązanie głębokich sprzeczności tkwiących w istocie demokracji, opartej na swobodzie, i w istocie wojska, które musi być oparte na nakazie.

Tekst odczytu podajemy według notatek trzech słuchaczy — redaktora miesięcznika «Droga» Adama Skwarczyńskiego, Juliusza Łukasiewicza i Henryka Rajchmana zestawionych przez Adama Skwarczyńskiego i drukowanych w zeszycie wrześniowym 1924 r. «Drogi», str. 1—8. Redakcja «Drogi» poprzedziła druk odczytu następującą notatką: «Podajemy niniejszym w druku na podstawie dokładnych notatek kilku słuchaczy rekonstrukcję odczytu Marszałka Piłsudskiego, wygłoszonego dnia 25 maja w Klubie Społeczno-Politycznym w Warszawie. Marszałek dając ze-

zwolenie na publikację, opracowanie literackie rekonstrukcji zostawił na naszą odpowiedzialność». Redakcja «Drogi» popełniła w tej notatce pomyłkę co do daty odczytu.

Gdy przemawiam w klubie, pamiętam, że kluby mają swoją ojczyznę. Pochodzą one z wielkiego narodu, gdzie zrodził je luksus siły. Anglia, gdy wytworzyła kluby, to wytworzyła je jakby dla luksusu, dla nadmiaru po koniecznej, codziennej pracy.

Klub jest luksusem. Daleko od powszedniej szarzyzny przyjaciele jednakowego mniej więcej wieku, miłośnicy pewnego tematu, zbierają się dla pogawędki, aby spokojnie, z dala od utylitaryzmu ująć pewne zagadnienie, jakby ujmowali diament w ręce. Czynią to, unikając wszelkich zgrzytów, jakie z musu daje codzienna szarzyzna życia, jego walki i sprzeczne interesy.

Dlatego i ja, przemawiając w klubie, pragnę wam dać czyste zagadnienie, jakbym dawał diament w wasze ręce, by rzucał nam swe błyski.

Jedne błyski jego będą dla mnie — dla was może inne będą widoczne. Kamień ten obrobiony sztuką szlifierską, jest to luksus; daje kolory; barwa biała, barwa codzienności, — zanika, a wyodrębnić można oddzielnie kolory rozmaite...

Gdy mówię o ciężkim problemacie dziejowym — demokracja i wojsko, siła i swoboda, działanie nakazu i brak nakazu — gdy mówię o tym problemacie, który się mścił na ludzkości strumieniami przelanej krwi, to wybieram kolory zgodnie z chęcią uniknięcia zgrzytów. Biorę kolor lazuru nieba, kolor wieczności, obojętnej na mękę ludzką — i drugi kolor, zieleni, kolor życia, kolor nadziei, głupoty ludzkiej i tęsknoty.

Rozpatruję problemat bez zgrzytów życiowych. Lazur nieba daje wieczność. Wieczność ludzka jest względna, ale istnieje jako pojęcie. Otóż jeden z rzeczowników w tytule mego referatu — wojsko — ma treść może najbardziej w dziejach wieczną. Czyż archeolog, odczytując hieroglify, odnajdując rysunki dawne, nie znajdzie postaci rycerza, uzbrojonego w dzidę i strzały i niosącego wojnę? Szereg rycerzy, z wodzem na czele, prowadzi dzieje człowieka. Jak historia długa — wszędzie znajdujemy wojsko. W tej względnej wieczności naszej — wojsko jest wszędzie, wojsko jest musem. Oko etnografa, sięgające do głębi puszcz pierwotnych, znajdzie wojsko i wodzów u kolebki ludów. A również i dziecko, gdy oczki ciekawie w książki zapuszcza i z drżącym serduszkiem czyta dzieje «Tygrysich pazurów» i «Orlich piór», to znajdzie tam

wszędzie dzieje wojowników i ich wodzów. Dotąd ludzkość krwią znaczy swój pochód i dotąd widzimy wieczyste istnienie żołnierza i wojska.

To wieczne istnienie wojska daje nawarstwienia w dziejach, które i dziś wywierają swój nacisk.

Dzieje wojska — to dzieje nakazu. Rozkaz jest życiem wojska, rozkaz, idący od człowieka do człowieka, zmuszający do tej, a nie innej czynności i pracy. Jest to odwieczne życie wojska — rozkaz i mus, związany z rozkazem. A rozkaz najgłębiej sięga tam, gdzie idzie nie tylko po przejawy życia, lecz gdzie zaprzecza jestestwu — i idzie po życie samo. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera, w której obraca się wojsko. Rozkaz wychodzi od człowieka, nie ubiera się on w żadne abstrakcje. Uosobienie rozkazu można znaleźć praktycznie w równym sobie człowieku, — nawet w pogardzanym przez innych; a jednak rozkaz działa.

Czy jest coś bardziej sprzecznego, gdy zestawić to wszystko z demokracją? Splątać w jeden rym demokrację i wojsko — czy jest coś trudniejszego?

Wieczysty problem! Dla takich problemów wiek jest mrugnięciem oka.

W przeszłości długiej, w tej wieczności względnej człowieka, oglądamy i inne dziedziny, nie tylko żołnierza, co broń nosi, nie tylko to, co było zawsze funkcją siły. Pochód ludzkości z tych dawnych, zamierzchłych, a łatwo zapominanych czasów wywleka postacie umarłe, które teraz stają przed nami, jak nagie kościotrupy, świadczące o dawnym blasku życia. Ludzkość ogromną część swego bytowania przeżyła pod władzą królów i cesarzy. Królowie, cesarze, imperatorzy byli dla wszystkich — i dla wojska, i dla tych, których to wojsko broniło, — źródłem siły musu i nakazu. Siła musu i nakazu istniała nie tylko dla tych, którzy byli rycerzami, którzy ubiór drużyn królewskich nosili. Był mus i dla tych, którzy w domu pozostawali. Mus królów, cesarzy, imperatorów. I gdy pod jedną połą gronostajowego płaszcza było wojsko, to pod drugą — wszystko to, co wojskiem nie było. Była równość obywatelska wobec nakazu i musu. Ogromną pracę dziejową, nad którą dziś tylko echa grają, szczepy i narody przeszły w takiej, a nie innej formie, dającej nie sprzeczność życia, ale jego jednolitość.

Gdy pochód ludzkości dotąd wojnami jest znaczony, najwyraźniejszą barwą, którą litery historii są pisane, jest barwa krwi czerwonej, przelanej przez żołnierzy. Przy tej barwie znajdziemy barwę korony złotej i barwę purpury płaszcza

królewskiego. A na pomoc szedł lazur nieba, szła cała symbolistyka, na jaką ludzkość stać było, by uświęcić przelaną krew. Niebo dawało siłę, dawało treść moralną nakazom — nieraz bezecnym i potwornym.

I długo ludzkość świętokradzką ręką po korony sięgnąć nie śmiała. Nie tylko więc w zaraniu dziejów, w tajniach puszcz odwiecznych, czy w trudnych do odcyfrowania księgach dawnych znajdujemy jednolitość musu i nakazu, tyczącego się i wojska, i nie wojska.

Przyszły czasy tak zwanej demokracji.

Dla życia ludzkości stanowią one mgnienie oka, chwilkę tak niedługą, tak krótkotrwałą, że tylko pozioma zarozumiałość ludzka jest w stanie mówić o osiągnięciu szczytu. W załomach duszy uwarstwienie dawnych wieków daje się wyczuć tak silnie, że to, co nazywamy demokracją, wydaje się nieraz pozorem życia — jak frak, który w odświetne dni ubieramy.

W walce i krwi rodziła się demokracja, w krwi i burzy.

I gdy my, zmęczeni siedmioletnią wojną, mówimy, żeśmy przeszli tak dużo, to pomyślcie o tym wstrząśnieniu i o tym kryzysie, który nasi ojcowie przeżyli. Gdy w r. 1789 [1]) dziecko się rodziło, to gdy kryzys mijał, dziecko, dorosłym będąc, umierało za cesarza. Pokolenie całe nie znało innego życia, jak ciągła burza, — niezliczone wojny toczyło, by to, co się nazywa demokracją, na świat powstało.

Gdy księgi tych dziejów przeglądam, znajduję nowe dźwięki: więc państwo rozumu, państwo wyborów, państwo równości praw i obowiązków, hasła: «égalité» [2]), «liberté» [3]), swoboda od nakazu, swoboda od musu, równość praw każdego człowieka. I wszystko to siłą wprowadzane w życie, siłą bezwzględną, z rozmachem okrutnym.

Czyż wtedy istotę wojska — nakaz i mus — naruszono? Czy chciano wtedy je łamać, gdy setkami ofiar znaczono zwycięstwo rozumu i demokracji — i trony, jak trzaski, padały, a dumne dwory kłaniały się marszałkom zwycięskiej demokracji? [4]) Czyż wtedy ten mus łamano, czy próbowano siłę nakazu naruszyć, czy szukano państwa rozumu, coby obywatelowi-żołnierzowi równość prawa dawało?

Owszem. Nie zatrzymano się przed tą przegrodą. Dano wojsku prawo wyboru tych, których słuchać miało. Dla wiel-

---

[1]) Rok wybuchu wielkiej rewolucji francuskiej.
[2]) Równość.
[3]) Wolność.
[4]) Mowa o marszałkach, mianowanych przez Napoleona I.

kich republikanów niemożliwym było zatrzymać się przed tą przeszkodą. Z wielkich republikanów największy — Danton, suchy Robespierre, dla nich nie dać praw obywatelom, ludziom równym sobie — rzeczą było nie do pomyślenia.

Spróbowano. Wybory w wojsku ogłoszono. Kompania wybierała dowódcę kompanii, dowódcy kompanii — dowódcę batalionu, ci znów dowódcę pułku i tak szło wyżej. A wybór tych, co najcenniejsi, tych, co mózgiem i duszą wojska są, co orłami będąc, w bój wojsko prowadzą, krwawymi oczyma i siłą skrzydeł burze tną, co symbolowi demokracji cokół pod nogi stawiają, — pozostawiono wybranej najwyższej władzy demokracji. Głowy zaś wielkich wodzów oddano jej w ręce; głowami bowiem wodzowie płacili za porażki. Siła była potrzebna demokracji wobec sprzysiężenia całego świata. W walce, w boju, którym demokracja żyła, szukano tego, co broni potrafi używać, co bronić jej miał, co kohorty obywateli z dźwiękiem «Marsylianki» na ustach do boju miał prowadzić.

Lecz krótko trwały te próby. Już niedługo potem cnotliwy Carnot[1]), organizator sił wojskowych, i wszyscy referenci krwawego Konwentu cofnęli się. Demokracja cofnęła się od problemu, przerażona bezsilnością, odwróciła się, zostawiając wojsku najbardziej starodawne normy z zamierzchłej przeszłości, każąc mu, jak dawniej, nieść ciężar rozkazu indywidualnego i musu, — nakazu i posłuszeństwa.

Problem w walce pierwszej nie został rozwiązany. Sprzeczność zostawiono następcom.

Został problem. Istnieje on dotąd w całej pełni. I tylko ten, kto nie chce widzieć, nie widzi go.

Rzucę oto przed wami zieleń nowoczesnego, demokratycznego życia.

Czy ktokolwiek z panów ma nakaz ubioru? Nie widzę tego. Każdy może sobie wybrać ubiór, jaki mu się żywnie podoba. Od tego jest swobodnym demokratą. A żołnierza, dziecko musu i nakazu, w guziki nakazu zapięto, — jest on niewolnikiem guzika! Czy ktokolwiek z panów, demokratów, może być skrępowany w doborze małżonki? Czy który z panów o ten wybór pytał kogokolwiek, prócz krewnych? Lecz w świecie demokratycznym są ludzie, którzy obowiązani są to czynić,

[1]) Lazare Nicolas Marguerite Carnot, był członkiem Komitetu Ocalenia Publicznego podczas wielkiej rewolucji francuskiej; zorganizował wtedy wojsko i nazywano go «organizatorem zwycięstwa». Chociaż poglądami politycznymi zbliżał się do jakobinów, wpadł w konflikt z nimi i zmuszony był uciekać z Francji. Napoleon powołał go na stanowisko ministra wojny.

i w przepisach życia mają powiedziane, że muszą komuś — jakiemuś może głupcowi — dać prawo kiwnięcia głową na wybór towarzyszki życia, na zawarcie małżeństwa. Panowie swobodnie wybieracie swój pokarm, lecz mamy dwieście kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy jeść muszą to, co im dają. Gdy swobodny obywatel demokrata po alejach się przechadza i ukłony znajomym tak lub inaczej oddaje, to obok niego jest człowiek, praw ludzkich, demokratycznych pozbawiony, który może być skrzyczany, gdy palec inaczej przyłoży do daszka. A zajrzyjcie do koszar, gdy obywatel swobodnej demokracji, świeżo w mundur ubrany, wybiera się na miasto, — spostrzeżecie dziecinną trwogę przed tak powszednią rzeczą, przed każdym ruchem, który ma wykonać; on się boi, czy na ulicy potrafi zachować się tak, jak żołnierzowi przystało. Jeśli zechcecie, panowie, dalej tę sprzeczność oglądać, spojrzyjcie na wieś, jak drągal jakiś, opłakiwany przez matkę sam becząc, jak dziecko, do wojska idzie. Biedny Maciek lub Bartek opuszcza kraśne dziewoje, opuszcza życie i idzie gdzieś na dwa lata na służbę, — pozbywa się złotej swobody obywatelskiej, złotej swobody ruchów. Akrobatyczne sztuki czynić mu każą, a on wie, że tym czasem inny Bartek swobodnie z dziewczynami zostanie, — ba! na posła wybranym być może.

To są codzienne sprzeczności demokracji i wojska. I nie ma przesady żadnej w tym, co opowiedziałem przed chwilą.

W chwili wielkich walk o demokrację od problematu się cofnięto.

Bratnia Francja, próbując go rozstrzygnąć, chciała zrobić z «soldat» [1]) — «citoyen-soldat» [2]). I przestraszyła się zadania. Gdy w morzu krwi we Francji odtąd problem ten się rozstrzygał, gdy więcej, niż pół wieku, trwały walki i wstrząsy, znaczone powstaniami każdego pokolenia, — znajdujemy po cofnięciu się demokracji od problemu zawsze to samo — oto dzieci nakazu i dzieci swobody w wielkich wstrząśnięciach stoją przeciw sobie. Dzieci nakazu bronią swego jestestwa, bronią istoty nakazu, a obok toczą swą walkę dzieci swobody.

W tej samej wielkiej Francji, co tyle dla ludzkości uczyniła i tyle uroku dotąd daje swoją pracą, przy ostatecznym zda się zwycięstwie demokracji i jej wyrazu, parlamentaryzmu, znajdujemy klęskę i porażkę dzieci nakazu. W r. 1870 w dniach klęski Francji, dzieci nakazu zostały rozbite i wstyd długo palił się w ich sercach; a na ich porażce fundowało się

---

[1]) żołnierza.
[2]) obywatela-żołnierza.

nowe życie, nowa epoka demokracji. I gdy demokracja przez tyle lat mówiła: wielka niemowa — armia, dzieci nakazu we wstydzie się paliły.

Ale i dziś, gdy dzieci nakazu w glorii zwycięstw chodzić poczęły, — to nie sądźcie, że problem demokracji i wojska teraz jakoś inaczej, niż jak po klęsce wygląda.

A teraz dam jeszcze przykład niewielkiego kraju, ideału demokracji, małej Szwajcarii.

Przykład, niedościgły przez nikogo, perełka, przez Boga rzucona dla demokratycznego eksperymentu, przykład, gdzie ludowładztwo się iści, gdzie prawo musi być uchwalone nawet na budowę mostu, gdzie ludzie $^2/_3$ życia głosują i wybierają i gdzie nakazu indywidualnego i musu nikt by nie zniósł [1]).

Cóż tam się dzieje z wojskiem? Szwajcaria wojsko posiada. Ubrała je niedemokratycznie. Nie zapomnę nigdy wrażenia, którego doznałem w Genewie. Z jednym ze znajomych będąc na dworcu, ujrzałem pana, ubranego po prusku, w «Königsrock» [2]), w mundur nieledwie galowy z wciętym pasem, idącego elastycznym krokiem żołnierskim. — Któż to jest? — spytałem. — To jest profesor uniwersytetu i pułkownik wojsk szwajcarskich, który idzie obecnie na ćwiczenia. — Pułkownik — to w Szwajcarii najwyższa ranga. Byłem zdumiony. Potem, gdy byłem Naczelnikiem Państwa, Szwajcaria przysłała do Polski swego reprezentanta [3]). Mam w oczach tę chwilę jego przyjęcia: wchodzi p. pułkownik, ubrany w mundur, i staje przede mną na baczność! Przypomniało mi się owo wrażenie z Genewy i moje zdumienie ówczesne.

Czyżby ów problemat tam, w małej Szwajcarii rozwiązano? Czyżby obywatel i żołnierz tak się tam zlewał w życiu demokratycznym, że nie istnieją już sprzeczności? Czy nie jest to po prostu wynikiem tego, że Szwajcaria nie wojuje, że nakaz tam trwa pół dnia, a drugie pół dnia żołnierz jest wolny — i może mówić: «bon jour, monsieur» [4]); swemu wojskowemu przełożonemu?

---

[1]) W Szwajcarii według konstytucji z dnia 29 maja 1874 r. nie tylko zmiany konstytucji i ustawy związkowe ale i wszelkie postanowienia, mające znaczenie ogólniejsze przekazywane są ludowi do przyjęcia lub odrzucenia drogą powszechnego plebiscytu (referendum).

[2]) Krój munduru wojskowego.

[3]) Mowa o Hansie Pfyffer d'Altishofenie, który w roku 1921 był pierwszym posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym Szwajcarii w Polsce i przebywał w Warszawie do października 1923 r.

[4]) dzień dobry panu.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Nie chcę zmniejszać wartości wojska szwajcarskiego. Wydobywa ono z siebie cuda pracy. Gdzieżby jaka inna armia potrafiła, jak szwajcarska, w ciągu jednego dnia cała stanąć na nogi? W czasie ćwiczeń wydobywa ona z siebie cuda siły i wartości. Więc może wieczny problemat owych rażących sprzeczności znalazł tam rozstrzygnięcie? Może w ten sposób znajdziemy uspokojenie — i zgodę dzieci nakazu i dzieci swobody?

Gdy ten problemat rzucam przed wami, to dlatego, że swoją zagadkowością i trudnością zawsze mnie nęcił. Bóg zaszczepił w moje łono elementy siły i mocy nakazu, co posłuch wzbudzać umie. Dał mi w zalążku, w uczuciu, miłość dla mocy i siły. A jednocześnie przez długie życie przeszedłem z bojownikami demokracji. Dlatego to problemu owego szukałem. Szukałem rozwiązania, nie cofałem się przed załamaniami, które ultrafiolet dają, które ultrafioletem oślepiają. Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody; byłem dzieckiem swobody — i dla niej, dla tej swobody mocy szukałem. A mocy bez siły nakazu i przymusu nigdzie nie znalazłem. I w tym wieczystym problemacie, w tej sprzeczności demokracji i wojska, byłem długo chowany. Problemat ten ujmowałem w ręce, nie czując wstydu ani niechęci, bo byłem dzieckiem swobody. Ale sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem.

Problem ujmuję w oprawę i, jak kamień, go podaję. Zostaje próba rozstrzygnięcia.

Gdy tysiące razy dzieje problemu w myśli przerzucałem, gdy rażących sprzeczności nie mogłem rozwiązać, szukałem symbolu, tej potęgi symbolu niezbadanej, która ludziom posłuszeństwo narzuca silniej, niż zwyczajna moc nakazu.

Symbolistyka duszy ludzkiej — jakaż ona jest głęboka! Jak wiele jest prawdy w cynicznym określeniu pana wojny, wielkiego Napoleona: Dajcie mi guzik — a zmuszę ludzi żyć i umierać za ten guzik!

Tajemnica symbolu z wieczystego nieba! Czy nie w niej znajdziemy rozprószenie zgrzytu, usunięcie lub złagodzenie problemu?

Gdy ongiś władzę królewską w purpurę i w złoto strojono, nicość ludzką tymi barwy pokrywając, ściągano aż z nieba symbol wieczności, by nicość nie raziła. Potęga symbolu tego tak była wielką, że pod gronostajowym płaszczem królów ludzkość wieki żyła. Gdy oficer pruski z dumą «Kaiserrock» [1]) nosił, potęga symbolu była na nim wyryta.

---

[1]) Por. str. 13 przypis. 2.

Czy demokracja symbolu nie znajdzie? Czy ma tylko kamizelki i krawaty rozchełstane i nieokiełzaną swobodę szargania wszelkiej powagi? Radzę się namyśleć, dzieci swobody!

Wszędzie symbolem demokracji od jej początków jest to, co jest prawem. Usiłuje ona dać surogat siły, dając, jako symbol, — prawo, wiszące nad ludem. Prawo usuwa kaprys indywidualny, usuwa osoby, wyraźne twarze ludzkie, nie darząc ich nigdy momentem wieczności, czyniąc je zawsze reprezentantem czegoś, każąc im słuchać wyborców, dając abstrakcyjny symbol. Prawo gronostaje królewskie ubiera. Koronę złotą na głowę mu kładą. I dziś błędem jest demokracji, że sędziów tylko w skromne czarne togi ubiera.

Czy jest to symbol wystarczający? Czy zimny blask prawa grzeje i pociesza? Czy nakaz i mus za sobą prowadzi? Czy nie ma w nim zbyt daleko sięgających wyjątków? Czy demokracja sama sobie nie przeczy, gdy mówi: naszym królem jest prawo, — i zarazem grzechy królików w grzechy prawa przeistacza?

Szukajmy jeszcze dalej. Czy są inne jakieś symbole, które w historii, jak cement, używane były, jak spoidło, dla budowy demokracji? Gdy mowa o wojsku, jeden symbol jest widoczny. Gdy władza królewska się chwieje, gdy nadchodzi nowa epoka, zamiast symbolów, które z nieba brały swój początek, zostaje surogat cnoty: honor.

Honor — to bóg wojska, który niesie nakaz; ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje.

Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać! Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka! Honor jest potęgą. I wszystkie złączone z nim zwyczaje, śmieszności nawet są upiększeniem życia helotów demokracji, dzieci nakazu, żołnierzy i ich wodzów.

Prawo i honor, honor i prawo.

Gdy życie biorę i barwę zieloną życia, kolor nadziei ludzkiej, rozpatruję, gdy tych rzeczy szukam, które mają siłę symbolu, — nie mogąc rozwiązać problematu, wahając się pomiędzy miłością dla siły a miłością dla swobody, prócz prawa i honoru nic nie znajduję.

Prawo i honor. honor i prawo — cement to może wystarczający.

Trzeba im dać żyć. Gdy kwiaty te zaczną żyć — to i problem w całej swej bezwzględności odejdzie ku przyszłości. Niebo innym roślinom każe wtedy żyć na ziemi... a my w niej już będziemy.

Biblioteka Wojsk. Akad.

Wahając się pomiędzy miłością dla siły i mocy a między mdlejącą siłą swobody, problemu nie rozstrzygam. Oddaję go, jak brylant, w ręce wasze. Problemat to jeden z najcięższych, który żyje życiem odruchów, problemat, który boją się ludzie w ręce brać i wolą nad brylant prawdy błyskotki szychu i pozoru.

A problem wśród nas żyje i swe istnienie tarciami społecznymi przejawia, głosząc groźbę zagłady — tym czy innym: czy dzieciom swobody, czy dzieciom nakazu, czy demokracji, czy wojsku.

CZEREMOSZNO [1])

(6 lipca 1924 r.)

Z inicjatywy i przy pomocy finansowej Piłsudskiego wyszedł w 1924 r. tom I «Wspomnień legionowych» pod redakcją Janusza Jędrzejewicza nakładem, niedawno wtedy stworzonego «Instytutu Badań Najnowszej Historii Polski». Do tego wydawnictwa napisał Piłsudski wspomnienie o swoich przeżyciach podczas marszu z Kowla do Czeremoszna w dniu 15 września 1915 r.

Dla zrozumienia tych wspomnień konieczne jest przypomnienie wypadków, które zaszły od 11 września 1915 r., w którym to dniu Piłsudski powrócił z Warszawy do Brygady, stojącej wówczas w Kowlu na Wołyniu. Wszystkie siły Legionów były w tym dniu rozrzucone na ogromnej przestrzeni od Kaszówki nad rzeką Stochód, przez Powursk, Czeremoszno, Zaprudie aż po Wyżwę, osłaniając tym olbrzymim przeszło 60 kilometrów frontu obejmującym łukiem Kowel od wschodu i północy.

Praca wojenna w tym okresie, nosząc charakter działań osłonowych, nie była trudna, wycieńczała jednak wojsko i stwarzała mu wiele niespodzianek. To też bezplanowość i nerwowość pracy Austriaków pociągała za sobą wyrywanie oddziałów do najrozmaitszych działań, rozbijanie związków, przerzucanie wojsk z jednego krańca frontu na drugi, zależnie od lokalnych uderzeń rosyjskich. Na tem tle doszło do zajścia, którego treścią jest wspomnienie Piłsudskiego pt. «Czeremoszno».

Dnia 14 września dowódca 4-ej armii austriackiej roz-

---

[1]) Wieś na Wołyniu, 26 km. na północny wschód od Kowla.

kazał Komendzie Legionów wysłać dwa bataliony z Kowla na południe, na Ołykę, zostawiając poza tym reszcie niezmienione zadanie. Komenda Legionów poleciła odkomenderować te bataliony Komendzie I Brygady, naznaczając na ich dowódcę szefa Sztabu I Brygady, podpułkownika Sosnkowskiego.

Piłsudski postanowił nie dopuścić do tego. Na popołudnie tegoż dnia zwołał odprawę wszystkich wyższych oficerów I Brygady, będących w Kowlu. Na zebraniu tym przedstawił całość sytuacji ogólnej i wojskowej i swoje przewidywania co do dalszych możliwości pracy. Podał pod rozwagę zebranych oficerów różne sposoby wyjścia Brygady z niezwykle trudnej sytuacji ideowej. Pierwszy — to ustąpienie swoje z Legionów, porzucenie Brygady i wyjazd do Warszawy dla osobistego poprowadzenia głównej pracy politycznej; drugi — to ustąpienie wszystkich oficerów, a zatem rozwiązanie Brygady. Inne możliwości — to trwanie w sytuacji obecnej, robienie skandali, albo też wreszcie poddanie się Brygady pod względem ideowym, zaustriacczenie jej.

Ogromna większość oficerów wypowiedziała się za ogólnym poddaniem się do dymisji, odrzucała natomiast myśl pozostawienia Brygady bez Piłsudskiego.

Piłsudski zdecydował się wtedy pozostać w Brygadzie. Dla prowadzenia prac na terenie Królestwa postanowił wysłać Sosnkowskiego z kilku oficerami, przeznaczonymi do pracy kierowniczej w P. O. W. Ażeby zaś nie dopuścić do rozbicia Brygady przez wysłanie dwóch batalionów na południe, zarządził fałszywy alarm.

O godzinie 3 rano dnia 15 września na obsadzonym przez oddziały obserwacyjne «przedmościu» kowelskim odezwała się gwałtowna strzelanina i w chwilę później przyniesiono do Komendy Brygady meldunek od porucznika Wojsznara-Opielińskiego, dowódcy kompanii, o zaatakowaniu jej na przedmościu przez kilka sotni kozaków. Natychmiast zarządzono alarm wszystkich oddziałów I Brygady w Kowlu i ich wymarsz.

Dalszy ciąg wypadków opisany jest w niżej przytoczonym wspomnieniu, które podajemy według t. I «Wspomnień Legionowych» («Ignis» Warszawa 1924 str. 207.).

Ledwiem zdrzemnął, gdy mnie obudzono. Zgodnie z rozkazem, wieczorem przeze mnie wydanym, Brygada cała jest zaalarmowana. Na tzw. przedmościu słyszano strzały, a Opieliński [1]) przysłał ułożoną z góry wiadomość, że ma przed sobą kozaków. Wymaszerowujemy. Gorąca herbata już jest na stole, konie rozkazano siodłać, a w całej Komendzie Brygady zwy-

[1]) Porucznik Wojsznar-Opieliński, wówczas dowódca 3-ej kompanii I batalionu 1-go pułku, później komendant naczelny Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie (K. N. 1), a potem w Lublinie (K. N. 4), umarł w październiku 1918 r.

kły ruch ordynansów, pakujących szybko rzeczy i bagaże, by tabor brygadowy nie opóźniał pochodu. Dusi mnie dotąd i złość jakaś bezmierna, i pusty śmiech. Po oczach oficerów sztabu widzę, że doskonale wiedzą, co się święci. Chcieliby nawet zażartować, lecz widząc mnie surowo namarszczonego, wyciągają poważnie twarze, a śmiać się im chce, jak wesołym chłopcom, gdy płatają figla. Herbata przełknięta — odmarsz, panowie!

Na dworze jeszcze ciemno. Kasztanka stoi przed gankiem już pod siodłem i niecierpliwie się kręci. Zobaczyła mnie i zwykłym ruchem wyciąga pysk po chleb, który trzymam w ręku. Na ulicach i uliczkach w okolicy mej kwatery słyszę zwykły przed odmarszem rejwach. Słychać już turkot wozów i armat, tupot nóg kolumn kompanijnych, wymaszerowujących na miejsce zbiórki batalionów. Za chwilę opuścimy Kowel, który śpi jeszcze i nigdzie nie daje znaku życia.

Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historii naszej. Ze śmiechem pustym myślę, jak za parę godzin w szanownej «K. und K. Kommando von Legionen»[1]) dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała Brygada odmaszerowała w pościgu za kozakami i że zatem wychodzi z pod jej łaskawej opieki. Lecz jazda! I za chwilę kasztanka wykręca w jakieś uliczki wąskie i brudne, z których wydostajemy się szybko za miasto. Tu już kolumna się wyciąga, dymią kuchnie, podciągają wozy taborowe, szukając swego miejsca. Śmigły[2]) melduje mi stan rzeczy. Daję rozkaz odmarszu do Czeremoszna, z zatrzymaniem w pół drogi na parę godzin dla przerwy obiadowej. Liczę, że w Czeremosznie piechota będzie gdzieś na godzinę 4—5. Kozaków w drodze nie przewiduję żadnych, więc polecam nie zwracać uwagi na mnie; Śmigły otrzyma dalsze rozkazy w Czeremosznie.

Puszczam cugle kasztance, gdy kolumna już jest w ruchu. Klacz wyciąga nogi w stępie, wyprzedzając zwolna kompanię za kompanią. Czuję wciąż na sobie oczy żołnierzy i oficerów. Jest w nich zapytanie, marsz ten jest dla nich niespodzianką. Oficerowie salutują i, udając powagę, dają poznać, że oni doskonale wiedzą, o co chodzi. Żołnierze nie udają nic i starają

---

[1]) «K. u. K. Kommando von Legionen» — oficjalny, przez władze austriackie nadany Komendzie Legionów tytuł brzmiał: «Kaiserliches und Königliches Kommando der polnischen Legionen». Tytuł ten niedwuznacznie podkreślał austriacki charakter Komendy Legionów, stąd też przez jej członków w stosunkach wewnętrznych używany niechętnie, a podkreślany złośliwie przez I Brygadę.

[2]) Pplk. Edward Rydz-Śmigły był wtedy dowódcą 1 pułku.

się z twarzy Komendanta wyczytać odpowiedź na pytania, które sobie stawiają. Witam się co chwilę, rzucając od czasu do czasu żartobliwe słowo. Kasztanka nie lubi tłumu i towarzystwa. Kiwa wesoło łysym łbem, omija starannie najmniejszą kałużę, nie chcąc zabłocić pończoszek parska, jak gdyby mówiła «a ja wiem, a ja wiem». Nie dba o nic głupia klacz, gdy nie słyszy strzałów. Jestem już przy czołowej kompanii. Z dala na szarej drodze widać plecy szarej drobnej kolumny — to kompania awangardowa, spiesząca, by wziąć należyty od kolumny przedział. Gdy mijam już czoło, oficerowie salutują, a w oczach żołnierzy widzę naganę dla mego postępowania. «Znowu Komendant będzie maszerował z awangardą, także zwyczaje!»

Wreszcie jestem na drodze sam. Za mną kilku oficerów i grupka konnych ordynansów. Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych, żadnych niedyskretnych kwestyj o tym — «co będzie?» Bo co ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie? Ileż razy wściekałem się na to głupie pytanie! Dziwna rzecz, jak to jest śmieszne — im człowiek jest głupszy, tym bardziej szuka pewności tam, gdzie żaden rozumny człowiek pewnym nie jest. Tak i w tej kochanej ojczyźnie, gdy się tylko zacznie rozmawiać, zawsze to samo: trzeba wiedzieć na pewno, co jutro będzie, dopiero wtedy jest się rozumnym. Trzeba wiedzieć, ale to tak na pewno, by to głupie pytanie rozwiązywać, jak najprostsze arytmetyczne zadanie, wtedy dopiero ma się patent na rozum. A im głupszymi argumentami się operuje, tym pewniejszym jest efekt i tym pewniejszy patent. Np., to wiecznie żydowskie pytanie, która strona wygra? Bo by taki pytający wiedział przecie z kim trzymać i, co główna, komu służyć. Nic nie pomoże odpowiedź, że nikt na świecie z tych, co wszystkie nici ma w ręku, na to pytanie odpowiedzieć samemu sobie nie może. Nic nie pomoże! Odpowiadać musi kto? — Polak, który najmniej wie, najmniej rozumie i którego, wysługując się nim, jak bydlęciem, każdy oszukuje! To dopiero nasz rozum polityczny! W takt kroku kasztanki, która o te mądrości nie dba, a z Żyda i filistra polskiego ma tylko to, że się bardzo, ale to bardzo boi strzałów, wzbiera we mnie wściekłość.

Więc znowu awantura! Kowel za mną, nie czuję nawet «zapachu bardzo zdrowe» tego miasteczka. «Śliczne miasto sobie stoi!» [1]) Pamiętam, gdym kilka dni temu, przejechawszy

[1]) Cytat z humorystycznego wiersza, bardzo często deklamowanego przez ppor. I Brygady Protasewicza-Suszkowskiego.

setki kilometrów końmi z Warszawy, w Kowlu Brygadę swoją znalazł. Kowel, jak zresztą cała Polska, miał nowego pana. Zniknął «nasz» — Moskal, jest inny pan, nieznany, obcy. Zalał miasteczko masą nowych żołnierzy, zmęczonych wojną, uważających taki Kowel za jakiś raj utracony. Raj ten należy do nowego pana — obcego, nieznanego żołnierza. I nieszczęsny cywil z zamętem w głowie do nowego pana usiłuje się przystosować, coś od niego zarobić, gdzieś go trochę wyzyskać, odnaleźć jego słabe strony. Ba, myślę ze złością, przypominając obrazki kowelskie, cała Polska to samo robi, co te Żydki kowelskie. Może mniej cynicznie, może mniej otwarcie zabiega i szuka jakiegoś nowego «modus vivendi»[1]). Tu, w Kowlu, przystosowanie idzie otwarcie. W sklepikach na ladach rozłożone niewielkie ilości tych czy innych towarów, większe składy tego towaru gdzieś ukryte. W sklepikach pełno szwendających się bez celu żołnierzy. Z bezczelną twarzą obmacują wszystko — i wdzięki sklepikarki, i smakołyki na ladzie. Wystraszone, lecz chytre twarze autochtonów mrugają do siebie, chcąc oszukać to na cenie, to na pieniądzach i ich wymianie. Byle handel szedł! Jakieś żołnierskie przekleństwo najbardziej cyniczne kręci mi się po głowie i dusi gardło. Tak radzi i Polską gdzieś handlują! Więc awantura!! Z gorzkim uśmiechem przypominam wczorajszy wieczór. Rzuciłem wściekły rozkazy na ziemię[2]), wyrzuciłem za drzwi oficera z «K. und K. Kommando» legionowej, który mi je przyniósł. Sosnkowskiemu, o którego duszę już chytrze się targowano, nęcąc karierą[3]), kazałem zachorować. Odmówił mi zastąpienia mnie w dowodzeniu Brygadą, kazałem mu więc wyjechać na tyły i robić jakieś głupstwa w głupiej Warszawie. Wbrew wszystkim rozkazom kazałem, przygotowawszy alarm, wymaszerować, gdzie oczy poniosą — ku nieprzyjacielowi. Będę, psia wiara, charatał się z kozakami sam, bez tych Kościuszków[4]) w obcych mundurach, bez tych szpiegów, udających najgorętszych patriotów, a robiących na naszych plecach karierę austriacką. Kaki[5]) przeklęte ze swymi szykanami w sosie patriotów polskich!!

---

[1]) sposobu życia.

[2]) Mowa tu o rozkazie wysłania dwóch batalionów pod dowództwem Sosnkowskiego do Ołyki.

[3]) W owym czasie Komenda Legionów zaproponowała Piłsudskiemu podanie do awansu podpułkownika Sosnkowskiego.

[4]) W I Brygadzie nazywano żartobliwie dowódców «Kościuszkami».

[5]) «Kaki» — szydercze przezwisko dla «cesarsko-królewskich» («Kaiserliche-Königliche») oficerów z Komendy Legionów.

Dusi mnie pasja jakaś i wściekłość i z tej wizyty mojej w Warszawie, i z widoków kowelskich, i z tych przeklętych stosunków w Legionach, i z tego, że te malcy, idący posłusznie za mną w zwartych szeregach, nie chcieli zwolnić mnie od tej mordęgi [1]). Awantura! — mają więc awanturę razem ze mną. Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość, połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie. Idziemy sami ku nieprzyjacielowi, nie szukając nigdzie ani oparcia, ani pomocy.

Uspakajam się nieco, gdy o tej samotnej eskapadzie myśleć zaczynam. Wczoraj studiowałem mapę, wytykając drogę dla niej. Dzisiaj nieprzyjaciela nie mam, będę go miał dopiero jutro. Za Stochodem — też zabawka nowa! — stoi 2-ga kozacka skombinowana dywizja. Tę znam — była pod Kowlem. Teraz, zepchnięta za Stochód, coś zapewne przesłania — ale co? Tego na razie nie wiem, tajemnicę odgadnę dopiero po jutrze. Bo jutro zepchnę ku wschodowi oddziały jej z brzegu Stochodu pewno łatwo. Dalej sam Pan Bóg wie, co robić! Chcę się oderwać od dotychczasowych stosunków, by odejść do innych. Raz już mi się w ten sposób udało, gdym przez Ulinę wyrwał się z opieki I korpusu [2]). Trafiłem wtedy nieźle. Zdecydowałem skręcić na południe i wyjść gdzieś za Styr koło Czetwiertni [3]). Tam kończy się Hauer [4]) ze swym korpusem jazdy i przyczepioną do niej «K. und K.» Komendą Legionów. Tam wchodzę w obszar sąsiedniego korpusu jazdy, który jakoby posunął się znacznie ku wschodowi. Może tam będzie lepiej. No, a może skończy się wszystko przez ten skandal, co zrobiłem, i powiedzą mi: dosyć! Tym lepiej! W każdym razie skręcę na prawo ku południowi. Lecz gdzie? Wczoraj zdecydowałem, że zrobię to dopiero po zajęciu Trojanówki [5]), którą na kozakach zdobyć muszę. Lecz czy wtedy Moskale dadzą mi możność swe manewry czynić, czy nie skupią większych, nieznanych mi sił przeciw mnie i mojej Brygadzie? Spojrzałem na prawo. Gdzieś w oddali majaczy długi szereg słupów. Jest to telegraf, idący obok kolei Kowel—Kijów. Jutro na tym tele-

---

[1]) Aluzja do próśb oficerów, ażeby Piłsudski nie opuszczał wojska dla pracy politycznej w kraju, groziłoby to bowiem rozpadnięciem Brygady. Ustąpienie w tym wypadku pod naciskiem opinii oficerów Brygady kilkakrotnie Piłsudski określał jako błąd w swojej działalności.

[2]) Por. t. IV., s. 248—305.

[3]) Czetwiertnia — wieś nad Styrem, 15 kilometrów na zachód od miejscowości Kołki.

[4]) Por. t. IV., s. 66.

[5]) Trojanówka — wieś położona na płn.-wsch. od Hulewicz.

grafie brzęczeć będą depesze, zawiadamiające różne oddziały w tyle za kozacką dywizją. Zwoływać będą być może nowych nieprzyjaciół przeciwko mnie. Machnąłem ręką. Niech! Lepiej to wszystko, niż te wieczne głupie spory samego z sobą, niż te nikczemne szykany tam w Kowlu!

Jutro więc muszę rozerwać zasłonę kozacką, a po jutrze — co Pan Bóg da! Jeżeli za nimi blisko nie stoi nic, dam sobie radę, jeżeli zaś mają gdzieś niedaleko silniejsze rezerwy, może być już po jutrze ciepło i bardzo ciepło! Uspakajam się już teraz zupełnie. W każdym marszu naprzód jest jakiś dziwny urok, który tyle razy odczuwałem, a który zapewne odczuwa każdy oficer, gdy w żyłach krew gorąca mu płynie, a nie cuchnąca ciecz tchórza. Nęci jakaś tajemnica, która wszędzie się czai, wszędzie znaki pytania stawia. Jest ona nieledwie w każdym zdala widzianym krzaku, jak gdyby mówiła — «jestem, jestem, nie zbliżaj się, rycerzu!» Jak w bajce!

Jestem już na miejscu, wyznaczonym na przystanek obiadowy. Spojrzałem na zegarek — mamy jeszcze czasu dosyć, nie chcę męczyć ludzi. Muszą dobrze wypocząć. Jutro będzie ciężkie, a po jutrze jeszcze cięższe! Przyjdą noce niespane, będą nerwy napięte aż do zupełnego wyczerpania. Niech narazie w spokojnym marszu z dłuższym wypoczynkiem nie zmarnują niepotrzebnie sił. Szeroka obszerna polana z ubogimi łanami. Z dala widać wioskę, do której już widzę zdążające patrole. Kolumna nadciąga. Za chwilę zacznie się zabawa obiadowa. Słabsi położą się natychmiast, wyciągając nogi, silniejsi zrzucą ekwipunek i będą baraszkować. Gdy ochota będzie większa, zagrzmią muzyka i śpiewy. Opanowuje mnie jakieś rozleniwienie. Nie chcę myśleć, ani rozmawiać. Decyduję się po krótkim spoczynku jechać naprzód wprost do Czeremoszna, tak, aby jeszcze na wieczór trafić do Smolar, gdzie Berbecki przygotowuje przeprawę przez Stochód. Sprawdzę stan rzeczy, będę bliżej tajemnicy jutrzejszej.

W zupełnym już rozleniwieniu odjeżdżam od kolumny w stronę Czeremoszna, dokąd już posłano moje wozy i pojechał oficer kwaterunkowy. Nie chcę myśleć o niczym, odkładam wszystko na później. Opanowuje mnie dziecinna ciekawość do nowych miejsc, do nowego, nieznanego dotąd kraju. Kasztanka zna już na pamięć zwyczaje marszowe; wie, że teraz gdzieś niedaleko czeka stajnia, obrok i odpoczynek. Przyspiesza kroku, by prędzej stanąć u mety. Ileż to marszów mamy już za sobą, ileż tych nowych krajów, nowych krajobrazów! A jednak za każdym razem jakaś dziecinna wrażliwość nakazuje oczom szukać jak gdyby całkiem innych, całkiem

nieznanych obrazów. Jak gdyby sosna miała za każdym marszem rosnąć inaczej, inaczej bór ma szumieć, inaczej wdzięczyć się brzoza, inaczej kwitnąć kwiaty. Tym razem mogło to być inaczej — wkraczaliśmy i szliśmy w głąb obszaru Polesia i oczy szukały czegoś nowego, nieznanego. Jest dziwny czar wielkiej przyrody, gdy człowiek czaru nie zakłóca. Początek jesieni, ciepły, prawie letni dzień, nie dopuszczający jeszcze myśli, że gdzieś już czai się zima. Pustkowie dokoła — z pól wojna wygnała ludzi. Gdzieniegdzie stoi dojrzały nietknięty owies, dość wysokie, prawie ogrodowe grzędy z kartoflami. Człowieka ani dojrzeć. Przyroda łagodnie pieszczotliwym podmuchem lekkiego wiatru powoli koi wzburzone tak niedawno myśli. Z daleka majaczą krzyże cmentarza. Jakie dziwne krzyże! Wysokie, z wąskimi ramiony strzelają ku niebu, a dwie włócznie łączą podstawę z ramionami. Niewielka figura Chrystusa ledwie widna gdzieś u góry. Pomimo, że ludność prawosławna krzyż nie przekreślony w żadnym miejscu. Ciekawe — myślę — jakieżby to właściwości duszy ludzkiej tę inną konstrukcję krzyża wydały? Krajobraz przypomina mi nieco mój litewski — wszędzie dokoła horyzont ograniczony ścianą boru, piaski, jak u nas. A jednak jest inaczej — brak weselszych załamań i pofalowań gruntu. Płaska, melancholijna, równa przestrzeń, którą tylko las i wysokie krzyże urozmaicają.

Przyroda robi swoje. Zamiera zupełnie wewnętrzny bunt, jest w powietrzu jakaś kojąca cisza, jakaś chęć zapomnienia o burzach, bólach i walkach. «Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las» — myślę, i gdzieś powstają jakieś senne, urywkowe wspomnienia z dawnej, dziwnej przeszłości, z dziecinnych przygód przy konnych wycieczkach, z braterskich swarów o przymioty i wartości koni. Nie chce mi się nic, jeno pośmiać się trochę bez troski o jutro, bez myśli złośliwej o czymkolwiek. A już z daleka widzę szeroko rozrzucone Czeremoszno. Na skraju osiedla widać duży park, świadczący o zabudowaniach dworskich, u wejścia do wsi konna postać oczekującego na moje przybycie podoficera-kwatermistrza. Za chwilę zsiadam z konia u wrót do parku. Oficer melduje mi, że cały dwór jest zupełnie zniszczony, ani jednego mebla wewnątrz. Muszę wybrać — albo stanąć we wsi, albo kazać ściągnąć trochę mebli do dworu na nocleg. Obchodzę park i zabudowania. Dziwny dwór! Niczym nie przypomina naszych polskich dworów. Jest kilka will-szaletów, rozrzuconych w parku. Zręcznie wysunięte ganki barwnie oszklone różnokolorowymi szybkami, pokoje o całkiem eleganckiej we-

wnętrznej strukturze; posadzki i wysokie okna. Dokoła gazony i oranżerie! Lecz jakież głupie, barbarzyńskie zniszczenie! Każda najdrobniejsza szybka rozbita specjalnym uderzeniem, gazony zdeptane, oranżerie połamane, wszędzie mnóstwo kału, w pokojach ani jednego mebla, potłuczone garnki i talerzę rozsypane pomiędzy kwiatami. Jakaś mściwa ręka musiała tu pracować i szukać zemsty na wabiącej barwą szybie, na pięknym krzewie czy kwiatku. Dowiaduję się, kto tego barbarzyństwa dokonał. Majątek należy — tak mi doniesiono — do jakiegoś księcia rosyjskiego, który te zalotne szalety dla swej kochanki pobudował i tu z nią spędzał lato. Zniszczenia dokonano przez włościan, gdy ich ewakuowano, sprawdzono zaś, że meble, a przynajmniej część ich, znajdują się już w posiadaniu Żydów w miasteczku. Decyduję się stanąć we dworze, by być w tym pięknym parku, gdzie stare drzewa mówią o dawnych czasach, a krzewy i kwiaty o gniazdku miłości śpiewają. Chodzę po parku, nim kwatera się oporządzi i nim herbata się zagotuje.

Za chwilę otacza mnie wesoła, gwarna «banda», jak ją nazywam, sztabowa. Jest cała podniecona, a widzi mnie uśmiechniętego. Wypadki kowelskie są żywo omawiane z żartem i śmiechem. Wszyscy są zadowoleni — skandal w Kowlu ich podnieca, idziemy wszyscy razem na awanturę, na jakąś nową bajkę, gdyśmy już tyle bajek przeżyli. Jest zupełnie wesoło. Zaczyna się proces ze mną.

— Dosyć tego, Komendancie, — woła gruby doktor [1]), — my chcemy być żołnierzami! Dosyć Komendant nas trzymał w cuglach!...

— Ba! — dodaje inny — a skutek tych cnót, do których nas Komendant zmusza, jest taki, że te Austriaki nas nie chcą uważać za żołnierzy i wciąż nam kłują w oczy, że jesteśmy cywilną bandą!...

Wszyscy zaczynają się przekomarzać ze mną. Jeden przypomina moje ostre określenia z czasów przedwojennych.

— Komendant zawsze mówił, że mamy — my, Polacy — nerwy słabe i sentymentalni jesteśmy, jak histeryczki, że wojny nie wytrzymamy. Tak, tak, oto słowa Komendanta, które pamiętam: — Cóż chcecie? Wojna to jest gwałt i przemoc, to jest pożoga, to jest gwałcenie kobiet, i kto mówi o wojnie, musi wiedzieć, że to jest nieodłączne od wojny. A jakeśmy na wojnę poszli, to halt! Komendant wszystkim kazał być cnotliwymi. Ani na pamiątkę żadnej rzeczy nie wolno zabrać, gdy obok

[1]) Mowa o Stanisławie Rouppercie, wówczas lekarzu naczelnym I Brygady.

Węgrzy grabią do cna, zabierają wszystko. Ani nawet płotu nie zniszcz u jakiegoś nikczemnego endeka, gdy obok meblami plecy grzeją. A bądź z każdym grzeczny! Dosyć tego rycerstwa, Komendancie!

Jeszcze jeden filozoficznie dodaje: — Tak, a pamiętacie w tym dworze w Radomskim, gdy Litwinowicz [1]) krowy rekwirował i dziedziczka łamała ręce, że polski żołnierz holenderskiej krówki nie szanuje. Boć jeśli jesteś rycerz, to siedź o głodzie. A Komendant kazał tej jędzy najchudszą krowinę wybrać dla żołnierzy!

— Cha, cha, cha! — zabrzmiał chór śmiechu — pamiętamy, pamiętamy, zaraz przyszedł potem feldfebel austriacki i na babę huknął. Zabrał jej z obory z dziesięć krów najspokojniej, to dziedziczka prawie gdzieś go z szacunku pocałowała!

— Dosyć, Komendancie, my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić. Już niech sobie Polska — już ją mamy za plecami — niech sobie pieści się z nowym «naszym», ale tu dosyć tej cnoty!...

Opadli mnie, śmiejąc się, jak duże dzieci. — Dosyć, dosyć! — ryczy chór cały. Wzięła mnie ich pustota. Zmarszczyłem się i zawołałem. — Dyżurny oficer do mnie!

Wszedł oficer dla wysłuchania rozkazu, wyprostował się, rzucając na mnie pytającym wzrokiem.

— Poruczniku! — dobitnie rozkazałem, zmarszczony — dostarczyć ma pan i zarekwirować jedną Żydówkę, może być i stara, dać ją doktorowi, ma ją przy panu zgwałcić. Wykonanie zameldować!

Wybrałem dobrze. Doktor, żonkoś, który więcej się bał żony, niż Komendanta i wszystkich kozaków na świecie, osłupiał.

— Dlaczego ja, Komendancie? — zapytał.

— Wy tu jesteście inicjatorem, a ja na pewno pani waszej to powiem. Mam dosyć tych skarg. Albo — albo, mój panie!

Śmiech był powszechny. Wszyscy obiecywali kontrolę nad doktorem. Doktor się oburzał i rzucał. Oficer ordynansowy wodził po wszystkich zdumionym okiem, stojąc dotąd wyprężony na baczność. Śmiałem się i ja.

Wpadł podoficer, przynosząc meldunek Berbeckiego. Rzeczywistość wołała do porządku. Meldował mi, że wszystko do sforsowania Stochodu ma przygotowane, że boi się tylko, czy artyleria przez bród przejdzie i że może lepiej odesłać ją

[1]) Aleksander Litwinowicz, wówczas intendent I Brygady.

do Hulewicz [1]), gdzie brody są zupełnie pewne, że wreszcie nieprzyjaciela na wschodnim brzegu jest bardzo mało, że więc przejście ranne jest zupełnie pewne.

Namyślałem się chwilę, wreszcie zdecydowałem. Nocuję tu, w Czeremosznie, do Smolar nie pojadę; wystarczają mi te dane. Wylenię się trochę i skończę ten dzień bez troski, zostawiając kłopoty na jutro. Kłopot był jednak bardzo blisko i moja złota swoboda już się skończyła. Jak na złość, gdym już się przygotowywał do snu, szanowna «K. und K. Kommando» dała znać o sobie. Do Czeremoszna zjawił się ofcer z zapieczętowaną kopertą, którą mi wręczył.

Pamiętam, chwilę dobrą kopertę trzymałem w ręku, nie rozpieczętowując. Dziwne, — myślałem — gdybym był się nie lenił i wyjechał, jak zamierzałem, do Smolar, koperta by tu leżała, czekając na mnie, a jabym spokojnie dalej był swobodnym. W kopercie znalazłem depeszę od arcyksięcia [2]), dowódcy armii, z rozkazem, bym jak najprędzej przyjechał do Łucka do jego kwatery. Zaśmiałem się. Depesza musiała być skutkiem mego skandalu, którym w Kowlu zrobił. Chwilę wahałem się. Mogłem swobodnie nie spieszyć i parę dni ściągnąć w wyczekiwaniu, tym czasem zaś zrobić swoje — sforsować Stochód i stanąć w kontakcie z nieprzyjacielem. Dałem jednak spokój. Zdecydowałem jechać zaraz. Rozumiałem, że będę miał bajkę, której chciałem. Szukałem wyjścia, mam je gotowe. Brygada moja zostanie, jak chciałem, na froncie jako szkoła, a ja będę mógł zerwać «bon gré mal gré» [3]) z fałszywą sytuacją. Jeszcze kładąc się spać, gdym wydał rozkazy, by Śmigły komendę objął i Stochód jednak forsował w tym czasie, kiedy ja do Łucka pojadę, myślałem ze śmiechem przekory, że los dał mi wygraną nad moimi chłopcami. Jeszcze parę dni temu w Kowlu nie chcieli ani myśleć, by się ze mną rozstać i gwałtem żądali, by iść na skandal z Austriakami razem ze mną. Teraz, będąc w kontakcie z nieprzyjacielem, skandalu żadnego nie zrobią, a ja będę go miał sam w kwaterze arcyksięcia. «Habent sua fata homines!» [4])

Druskieniki, 6-go lipca 1924 r.

---

[1]) Hulewicze — wieś nad Stochodem, 10 kilometrów na południe od Smolar.

[2]) Mowa o arcyksięciu austriackim Józefie Ferdynandzie, dowódcy 4-ej armii, któremu Legiony wówczas podlegały.

[3]) chcąc nie chcąc.

[4]) Przeznaczenie rządzi ludźmi.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA LEGIONÓW

(10 sierpnia 1924 r.)

Dnia 10 sierpnia 1924 r. odbył się w Lublinie doroczny, trzeci z kolei zjazd Legionistów. Tego dnia popołudniu w sali teatru «Corso» wygłosił Piłsudski niżej przytoczony odczyt, w którym pragnął uwypuklić następujące fakty: Legioniści wbrew woli olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego poszli na próbę stworzenia reprezentacji Polski w wojnie światowej przez własnych żołnierzy, dowodzonych przez ich własnego wodza. Próba stworzenia dobrego żołnierza udała się. Natomiast w walce o zdobycie swego własnego wodza nie osiągnięto pożądanego skutku zarówno wskutek oporu zaborców jak i słabego poparcia w tej walce ze strony społeczeństwa polskiego.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się tekst tego przemówienia, pisany ręką Marszałkowej Piłsudskiej, której autor podyktował swą mowę po jej wygłoszeniu. W tekście tym są liczne własnoręczne poprawki i wstawki Piłsudskiego.

Odczyt ten został wydany jako osobna broszura pod tytułem: «W dziesiątą rocznicę powstania Legionów. (Przemówienie, wygłoszone dnia 10 sierpnia 1924 na Zjeździe Legionistów w Lublinie)». Warszawa, 1924. Towarzystwo Wydawnicze «Ignis». E. Wende i S-ka. Str. 31. Tekst niniejszy jest przedrukiem tej broszury.

Szanowne panie i szanowni panowie!

Dziesięć lat! Dziesięcioletni jubileusz! W Brygadzie, którą dowodziłem, do jubileuszów spieszono. Obchodzono tam rocznicę 6-go sierpnia nie raz, lecz dwa razy do roku. Co pół roku musiała być uroczystość, przy której wymagano ode mnie mowy. Według więc I Brygady mielibyśmy już dwudziestą rocznicę, nie dziesiątą. I nie mogę nie stwierdzić, że ten pierwszo brygadowy zwyczaj ma głębokie podstawy. Sądzę bowiem, że śmiało możnaby było ilość rocznic jeszcze powiększyć, by dojść co najmniej do półwiecza, to znaczy okresu, w którym jedno pokolenie w swojej większości wychodzi za światy, by dać miejsce nowemu pokoleniu i nowemu życiu.

Niewątpliwie, moi panowie, okres czasu, który przeżyliśmy w przeciągu ubiegłych lat dziesięciu, jest tak bogaty w zmiany, że żaden człowiek nie mógł nie ulec równie głębokim przemianom wszystkiego, co jest jego jaźnią. Każdy ma swe codzienne życie inne, niż dziesięć lat temu. I gdy uprzytomnimy sobie, ile jest tych zupełnie innych myśli i zupełnie innych czynności, które wypełniają całe nasze dzisiejsze życie,

to możemy zupełnie spokojnie i śmiało powiedzieć, że mamy teraz do czynienia z całkiem innymi osobami, niż te, które nosiły ongiś to samo imię i to samo nazwisko.

Cała szarzyzna poprzedniego życia codziennego jest dla każdego człowieka inną, niż dziesięć, jedenaście, piętnaście lat temu. O każdej z drobnych spraw, z których składa się przecież życie, inaczej się dziś myśli, inaczej ją załatwia. Znikły dawne kłopoty, związane z najmniejszą choćby podróżą, inaczej się dziś myśli o zajęciu codziennym, inaczej o rozkoszach zabawy. Trwogi zaś i bóle, radości i szały, inny «timbre» [1]) mając, rylcem swoim inaczej kształtują duszę człowieka, czyniąc go niepodobnym do siebie samego z czasów przedwojennych. Fizycznie może jesteśmy ci sami, lecz jako osobniki socjalne, będące w związku stałym i koniecznym z innymi ludźmi, zmieniliśmy się tak dalece, że mowy być nie może o robieniu porównań nas z tymi samymi osobnikami fizycznymi z owych przedkatastrofalnych czasów. I jeśli to mówię, szanowne panie i szanowni panowie, to nie dlatego, żebym każdego zwyczaju I Brygady chciał przed wami bronić lub go uzasadniać, lecz dlatego, by zdobyć prawo spokojnej oceny i spokojnego stosunku do wszystkiego, co się ongiś, temu lat dziesięć fizycznych, a co najmniej z pięćdziesiąt lat moralnych, działo i widziało.

Pokolenie całe minęło i odeszło w zaświaty, mamy życie nowe, mamy życie inne. Więc niech nie brzmi paradoksalnie dla pań i panów, gdy żądam i proszę o spokojną ocenę grzechów i zasług, śmieszności i psot naszych — że tak powiem — ojców i matek, dziadów i babek. Można przecież spokojnie odnieść się do tej epoki, nie szukając koniecznie upiększenia sobą samym głupstw czy niecnot swoich przodków.

Jesteśmy całkiem inni i przykładów po temu nie brak. Ja, np., w Polsce osiwiałem, gdy niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, nie mającej siwego włosa. A gdy sięgnę do przedpotopowego i przedkatastrofalnego zasięgu kulturalnego i wyciągnę stamtąd jakieś znalezisko, np. — mamuta, to nie mogę tego ponurego włosatego monstrum, opędzającego się długim, śmiesznym ogonem od mnóstwa napastujących owadów, porównać z młodym słoniątkiem, igrającym w słońcu swobody Polski, — chociażby ten mamut i to małe słoniątko toż samo nosiły imię. Albo, szanowne panie i szanowni panowie, — inne znalezisko przedpotopowe: poczwarny potworek ichtiozaurowy! Ongiś siedział na podkur-

[1]) brzmienie, ton.

czonym pod siebie, długim jaszczurczym ogonie, z wdzięcznie kangurowato w pałąk wygiętym grzbietem, nastawionymi lisimi uszkami i chytrze biegającymi oczkami. Czy można go poznać i uznać za to samo stworzenie, gdy obecnie jaszczurowatym ogonem, jak sztandarem, w górze wywija, grzbiet po wielkopańsku prostuje, a na ziemię naszą z bezzębnej paszczy krokodylej siarkowodór zieje?

Głębokie te zmiany, któreśmy przeżyli, sięgają tak daleko, że staliśmy się nowymi ludźmi. Wielkość zmian nie odpowiada wcale owemu względnie krótkiemu okresowi czasu, który nas dzieli realnie od życia tych — według mego określenia — ojców czy dziadów naszych. Pochodzi to stąd, że pomiędzy nami a między rokiem 1914 istniała katastrofa, istniał potop z tak szybko postępującymi, nieuchronnymi i koniecznymi przeżyciami, że o powolnej ewolucji mowy być nie mogło. Gdy w procesach geologicznych ślimaczek ze ślimaczkiem gdzieś się zlepiwszy, w wiek potem wytworzą cal jakiegoś lądu, gdy drobna kruszyna piasku gdzieś z jakimś startym do miału kamyczkiem zczepiona, w ciągu lat i wieków wytwarza u ujścia rzek maleńką wysepkę, jest to proces ewolucyjnej pracy przyrody, za której skutkami człowiek nie nadąża całym swoim życiem. Gdy zaś ziemia w jakiejś potwornej konwulsji wnętrze swe otworzy, wchłaniając kilometry kwadratowe ziemi, potem i pracą ludzką zmienionej w ogrody i osiedla; gdy we wstrząśnieniach na powierzchnię mórz wyrzuci nagle wielkie wyspy; gdy zmieni łańcuchy gór, łamiąc i niszcząc jedne, a tworząc nowe, — mamy proces katastrof. Wtedy życie ludzkie na miejscach dotkniętych katastrofą skraca się do jednej chwilki, tak, że wczoraj jest całkiem odmienne od dzisiaj. Dwa te procesy ewolucji i katastrofy nie mogą być ze sobą porównywane. Inaczej rzeźbią one nasz padół płaczu, inaczej każą ludziom czas liczyć.

Mieliśmy w ostatnim dziesięcioleciu katastrofę. Katastrofą tą była wojna europejska. Szła ona na Polskę ówczesną jakimś piorunowym pędem, w jakichś lamparcich podskokach, oszałamiając szybkością swego rozwoju i nieubłaganą koniecznością wszystkich ludzi. Ileż wojen wypowiedziały państwa państwom! Portugalia ogłaszała wojnę Niemcom. Niemcy stawiały ultimatum na prawo i na lewo. Austria zaczynała wojnę z Serbią, Rosja z Austrią i z Niemcami, Francja odrzucała ultimatum, Anglia je stawiała. Deklaracje wojen zajmowały w dziennikach ówczesnych całe szpalty.

Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie

wywoływali. Dobrze teraz od czasu do czasu nagle zadeklamować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914 roku wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkimi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinij ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to na pewno nie byłoby wojny.

Polska więc, stwierdzam to raz jeszcze, wojny nie chciała i wojny nie wywoływała. Więcej nawet! W mnóstwie deklaracyj, składanych z powodu wojny, w całym szeregu mów odpowiedzialnych kierowników państw, w nieskończenie wielkiej ilości artykułów w pismach całego świata, w rozmowach i dyskusjach o tej piorunowo na ludzi następującej katastrofie mowa była o wszystkim. Mówiono więc o nieprzedawnionych prawach do tej czy innej prowincji sąsiada, o odwiecznych a złośliwych wrogach narodu czy państwa, o konieczności posiadania miejsca pod słońcem, o obrazach «prestige'u»[1]), o mordach i zabójstwach bez kary, o gwarancjach pokoju czy bezpieczeństwa. Mowa była o wszystkim, o wszystkich możliwych motywach czy powodach katastrofy, lecz o Polsce, czy jej prawach i interesach, czy miejscu pod słońcem — mowy nie było wcale. Stwierdzić to należy z całą stanowczością, gdyż z tego wynikały wielorakie następstwa. Dopiero znacznie później, gdy wojna już wielkie szczerby w sile wszystkich państw zrobiła, zdarzył się fakt, że Ameryka, przystępując do wojny, zgłosiła deklarację, w której jeden z jej czternastu punktów żądał Polski, jako państwa, mającego mieć dostęp do morza[2]). Na początku jednak katastrofy, w r. 1914, nikt o Polskę wojować nie chciał.

Polska więc wojny nie szukała, wojny nie chciała, wojny nie wywoływała — wojna, przez innych toczona, nie miała żadnych, choćby najmniejszych zadań, tyczących się Polski. Polska miała być jedynie teatrem wojny. Z tego zaś faktu wynikły różne następstwa, do których, między innymi, należy i początek Legionów.

Nim do wyjaśnienia znaczenia teatru wojny przystąpię, zatrzymam się na decyzji i postanowieniach nie Polski, gdyż

---

[1]) Znaczenia, autorytetu, godności.

[2]) Mowa o 13-ym punkcie deklaracji (zwanej: «14 punktów») prezydenta St. Zj. Am. Płn. Woodrowa Wilsona, która zawierała zasadnicze podstawy programu pokojowego w stosunku do Niemiec i przedstawiona była przez Wilsona na Kongresie St. Zj. dn. 8 stycznia 1918 r.

ta jako całość do decyzji powołana nie była, lecz ówczesnych Polaków. Polska w owych czasach, jak to wszystkim wiadomo, rozdarta była przez trzy państwa zaborcze: Rosję, Austrię i Niemcy, które właśnie przystępowały do orężnej rozprawy. Jeżeli weźmiemy ogół Polaków ówczesnych, to pomimo, iż żyli w całkiem odmiennych warunkach, pomimo, że w początkach tej z błyskawiczną szybkością postępującej wojny w żaden żywy sposób zmówić się nie mogli, to jednak decyzja wszystkich Polaków wypadła zdumiewająco jednakowo. Wszędzie zdecydowano poddać się losowi wojny i, oddawszy Bogu — co boskie, — to jest westchnienie, oddać cesarzowi, co cesarskie, — to jest życie i mienie. Nie chcę wcale wchodzić w to, jakimi były motywy, czy myśli, czy uczucia, czy sentymenty w owej chwili. Chcę jedynie stwierdzić fakt niezaprzeczony, że we wszystkich trzech częściach Polski mobilizacja sił państwowych, t. zn. zaborczych, względnie najzupełniej się powiodła. Fakt ten można najrozmaiciej tłumaczyć, najrozmaiciej upiększać lub ganić, z powodu niego cieszyć się czy boleć, — przejść jednak nad nim do porządku dziennego, twierdzić, że Polacy postąpili inaczej — niepodobna. Obojętnym jest również, czy ten lub ów Polak szedł w szeregach obcej armii z trwogą czy namiętnością, z wyrachowania jedynie czy z przekonania, zawsze w każdym z tych indywidualnych Polaków musiała być cząstka decyzji dla postępku tego a nie innego. Mogę więc śmiało twierdzić, że w ogóle Polacy zdecydowali nie opierać się prawom swego państwa zaborczego i służyć podczas wojny pod sztandarami, godłami i znakami obcych, zaborczych armij. Użyczali w ten sposób państwom dla ich politycznych, niezwiązanych z Polską celów tego, czego państwa te wymagały, — żołnierza.

Danina ta stawała się dla Polaków specjalnie ciężką. Obciążało ją dodatkowe brzemię, z powodu którego ludzie szaleli prawie z rozpaczy. Państwa zaborcze miały toczyć wojnę między sobą na polskim teatrze wojny — Polacy musieli być awangardą i toczyć wojnę od pierwszego momentu bratobójczą. Przemawiam w Lublinie, i na niedalekich stąd polach pierwsze krwawe i mordercze boje toczone były przez Polaków z Polakami. Z jednej strony więc — austriackiej — szły ku Lublinowi korpusy I i X, krakowski i przemyski, w których co najmniej 90% stanowili Polacy. Odwrotnie, z rosyjskiej strony, w obronie Lublina i jego okolic stawał XIV korpus rosyjski, z tej właśnie ziemi zmobilizowany. Na północy, ze strony niemieckiej, szedł korpus XVII gdański, zmobilizowany z dzisiejszego Pomorza, a przeznaczony do walki z korpusami ro-

syjskimi, mobilizowanymi w Warszawie, Płocku, Łomży, Grodnie i Wilnie. Ten mus bratobójczej walki następstwem był koniecznym i naturalnym oddania cesarzowi, co cesarskie, i poddania się losowi wojny, nie o Polskę prowadzonej. Podkreśla to silnie fakt, który zaznaczałem wyżej, że Polacy w ogóle nie szukali jakiejkolwiek innej decyzji, jak tej, która im była dana przez państwa zaborcze. I znowu powtórzę, że jest obojętnym dla samego faktu, jakie uczucia szarpały serce tego czy innego Polaka, gdy strzelał do swych zakordonowych braci na rozkaz swego zaborcy. Przecież nie można podejrzewać, by nasi bracia Wielkopolanie, zmobilizowani w V i VI rezerwowym korpusie poznańskim, z dumą i radością wkładali na głowy pikielhauby i, w ciasny mundur pruski odziani, szukać chcieli zwycięstwa nad Francuzami pod Verdun.

Stwierdziwszy ten fakt niezaprzeczalny, przechodzę do wyjaśnienia okoliczności, że Polska stać się musiała teatrem wojny. Każdy teatr wojny w każdym starciu orężnym nieść musi wielkie ofiary, lecz ma także i swoje beneficja. Jest to prawo wojny. Prawo, znane mi doskonale ze studiów nad wojną, znane również z doświadczenia, jakie zebrałem zarówno z wojny europejskiej, jak z naszej — polskiej. Znać trzeba dokładnie teatr wojny, gdyż daje to jedną z poważnych szans zwycięstwa. A usposobienie ludności w stosunku do wojsk, toczących wojnę, niemałe ma znaczenie, stwarza bowiem ułatwienia lub przeszkody dla żołnierzy i ich wodzów.

Polska miała być takim teatrem wojny. Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapałali nagle wielką sympatią do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Niewiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą. Sędziwy monarcha ludów Austrii i Węgier, Franciszek Józef, w tych samych prawie słowach stwierdzał swoją ojcowską miłość dla Polaków, jak surowy monarcha niemiecki Wilhelm II i wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który stanął na czele wojsk białego cara [1]). Odezwami tymi, wyrażającymi uczucia i sympatie dla Polaków, starano się ubrać przykry nieraz przymus posłuszeństwa względem zaborców w jakieś chociażby skrawki piękniejszych i idealniejszych motywów. Poza tymi odezwami zastosowano do Polski zwykły repertuar środków, związanych z teatrem wojny. Więc najprzód terror w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzane, co bez wojny mogłoby żyć nadal spokojnie,

[1]) Por. t. V., s. 266.

uwięziono, by internować gdzieś w głębi państw, toczących wojnę. Wzmocniono, jak zawsze, prawa wojska w stosunku do ludności, zaostrzając kary za wszelkie występki, zakłócające działania wojskowe.

Skierowano też, jak zwykle, na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach, wzniecony terrorem wojny, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka — przekupstwa. Złoto więc płynęło pod różnymi pozorami: czy w postaci wynagrodzenia za straty, dawanego hojniej pokornym, a odmawianego lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydiów pismom, instytucjom i towarzystwom; czy w tej najgorszej i najbrzydszej postaci — kupowania sobie ludzi jako szpiegów i informatorów w najrozmaitszych kwestiach i dla najrozmaitszych celów.

Oto zwykłe ofiary i zwykłe beneficja teatru wojny.

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnymi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legionowym. Człowiek, noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie za pomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony zwykłym środkiem — zamknięciem wraz z przyjaciółmi w jakichś twierdzach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, z góry lekceważąc te poczynania. Zgoda ta była więc jednym ze środków udzielania wpływowym ludziom beneficjów specjalnych, których prawdopodobnie w innej postaci, nie tak krzyczącej, udzielano łaskawie ze strony wszystkich trzech zaborców. A ciekawy historyk pewnie w niedalekiej przyszłości odnajdzie dosyć dokumentów dla potwierdzenia tej prawdy.

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legionowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział w wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy.

Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legioniści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu — tak, jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętnym dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tym sądził wtedy czy sądzi teraz, jakie kto o mnie czy o moich kolegach wydawał wtedy lub wydaje opinie. Jest obojętnym, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim [1]) powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucać będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych — jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legioniści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej, niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfałszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legionów.

Jak już wspomniałem, próbę tę zlekceważono ze wszystkich stron, uważano, że niemożliwa jest do wykonania i że wymaga co najmniej licznych i zasadniczych poprawek. Nawet przez wielu przyjaciół wystąpienia mego i legionistów rzecz uważana była za niepodobną do wiary i zasługiwała na lekkie wzruszanie ramionami. Uważano specjalnie jedną poprawkę za konieczną ze stanowiska, jak sądzono, rozumu, rozsądku i użyczenia powagi przedsięwzięciu. Sądzono, że jest rzeczą nieodzowną oddać całą pracę organizacyjną, mającą przekształcić oddziały strzeleckie w istotne wojsko, oficerom z armii austriackiej, inaczej przedsięwzięcie nie będzie miało autorytetu dla nikogo, nawet, jak mówiono, dla nas samych — legionistów.

Podkreślam więc i powtarzam raz jeszcze — gdy wojna

[1]) Por. t. VI., s. 132.

w 1914 r. wybuchła, Polacy we wszystkich trzech zaborach zdecydowali oddać Bogu — co boskie, cesarzowi — co cesarskie. Ja i legioniści postąpiliśmy inaczej, a bez względu, jak kto wtedy patrzał i jak teraz to widzi, zdecydowaliśmy spróbować, czy nie można dać naszemu narodowi bez państwa przedstawicielstwa wojennego w postaci wodza i żołnierza. Usiłowania te przyjęto albo zupełnie niechętnie, albo z niedowierzaniem, specjalnie jeśli chodzi o próbę zdobycia reprezentacji przez wodza. Chciano wybrać go z pomiędzy oficerów austriackich, chociażby dla dodania powagi i rozumu przedsięwzięciu.

Odrzuciłem od razu wraz z Brygadą, którą dowodziłem, wszelkie próby w kierunku obdarzania nas tą powagą i tym rozsądkiem.

Wobec powszechnego niechętnego i niedowierzającego do nas stosunku zapytać się godzi, czy nam, legionistom, próba ta się udała, czy zdołaliśmy choć w części swe zamiary wykonać i zrealizować. Nie chcę powtarzać myśli, wypowiedzianych w zeszłorocznym moim odczycie, wygłoszonym we Lwowie przy naszym dorocznym święcie. Powiem tylko, że armia austriacka, znając powszechne ku nam niedowierzanie, pośpieszyła od razu wykorzystać szeroką bazę uczuć, istniejącą w Polsce w stosunku do nas, by wszelkimi sposobami nas skrępować, wszelkimi metodami nas pokory uczyć i wszelkimi drogami, negliżując nas, nam władzę narzucać. A jednak już w końcu r. 1914, zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas t. zw. czynu legionowego, zostaliśmy postawieni na równi z normalnymi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym, ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami [1]), nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę ariergardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. Po cóż negować te fakty lub je fałszować, gdy o tym szybkim awansie naszym — na równorzędnych z innymi żołnierzy — świadczy całe mnóstwo dokumentów w postaci raportów, rozkazów i relacyj różnych dywizyj, korpusów i armij.

Niewątpliwie wobec silnego przeciwdziałania zaborców, opierającego się, jak mówiłem, na niechęci lub niedowierzaniu nam naszych własnych rodaków, droga legionistów była trudna i żmudna. Szliśmy, zwolna torując sobie nadzwyczajnymi wysiłkami drogę ku postępowi, pozostawieni najczęściej tylko

[1]) Od 22—26 października 1914 r.

własnym siłom. I jeżeli w sprawie zdobycia reprezentacji przez żołnierza nie mogliśmy osiągnąć dostatecznej liczby, daliśmy w zamian szacunek dla jego tężyzny. O wodza prowadziliśmy walkę zaciętą i często zupełnie beznadziejną. Zmagania te, jak wiadomo, zakończyły się katastrofą dla legionistów i katastrofą dla tego, kogo na wodza ich wysuwano, t. zn. dla mnie. Zostałem aresztowany i wywieziony do twierdzy magdeburskiej, a Legionom złamano skrzydła i możność rozwoju.

Nie mówię tego, szanowne panie i szanowni panowie, w jakimś celu osobistym. Żądając od wszystkich, by umieli spokojnie się odnieść do dziejów naszych fizycznych osób z tej dalekiej moralnie przeszłości, mam ten sam spokój w stosunku do dziejów własnych. Podkreślam tylko z naciskiem, że w walce naszej o niezależnego wodza byli zaborcy właśnie najmniej ustępliwi, że posiadali w tej sprawie najsilniejsze poparcie polskiego społeczeństwa, które nawet wtedy, gdy popierało Legiony, szukało, jak gdyby naumyślnie, najbardziej zależnego, najbardziej związanego człowieka, aby mu oddać dowództwo nad nami. Bezwiednie przypominają mi się czasy już swobodnej Polski, gdy nieraz się zdawać mogło, że Polacy najbardziej cieszyliby się z możności osiągnięcia tego, aby na ich czele, a specjalnie na czele wojska, stał nie Polak, lecz człowiek, zależny od innego narodu lub będący pod rozkazami innego państwa czy armii. Widocznie jest to ściśle związane z charakterem narodowym.

Gdy teraz, po dziesięciu latach fizycznych, a pięćdziesięciu co najmniej latach moralnych, rozważam często próbę, czynioną przez nas w owe czasy, waham się w swojej konkluzji, jako historyk. Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkim tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszystkim dowódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz nie ma wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikła w porównaniu z liczbą Polaków. Próba zaś siły, by zdobyć reprezentację w postaci wodza, zakończona katastrofą w 1917 r., powodzenia nie miała, zostawiając jedynie głęboki ślad ciężkiej walki naszej nie tylko w duszach legionistów, lecz w znacznie szerszych kołach i kręgach naszego narodu.

Usiłowania te wiążą się ściśle z inną, może najbardziej istotną cechą całej pracy legionistów w owych czasach. Mówię tu o próbie naszej podniesienia godności narodowej i honoru polskiego. Nie ma dwóch zdań, że twarde prawo wojny z przymusem stałego ulegania musi dławić i dusić ciężko ludzi

w ogóle, lecz gdy prawo to w obcej jest ręce, poniżenie ludzi staje się najbardziej dotkliwym. Polska, będąca teatrem wojny, odczuła to poniżenie od razu z trzech stron walczących. Bo jakby to sobie chciał kto upiększyć: czy zawiłym rozumowaniem i taką czy inną racją stanu, czy nagłym zamiłowaniem w brataniu Słowian, czy też wdzięcznością dla sędziwego monarchy, Franciszka Józefa, pod którego opieką była Galicja najswobodniejszą częścią Polski — wszystko jedno! — prawa wojny ciążyły nad Polakami dotkliwiej, niż nad innymi, dając w skutkach upokorzenie każdemu prawie Polakowi czy Polce. Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tym zmienianiu bezustannym jednego pana na drugiego. Co chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów. Bezsilność i bezradność ludzka, którą obserwowałem podczas tych kontredansów na ziemiach polskich, była tak krzyczącą, że nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota.

Nie miałem sposobności obserwować bezpośrednio tych zjawisk po stronie wszechsłowiańskiej armii rosyjskiej. Mogłem jedynie chwytać błyski nienawiści ku tej armii na Podhalu, gdzie w bojach pod Limanową tańczyłem również swego maleńkiego kontredansa i widziałem wsie i miasta, oswobodzone od Moskali. Przypominam sobie z wściekłością powtarzane imię jakiegoś wszechsłowiańskiego generała, hrabiego Kellera [1]), który po pijanemu kazał sobie co noc sprowadzać dziewuchy z okolic, zajmowanych przez jego dywizję jazdy. Jeszcze silniejsze i jaskrawsze błyski nienawiści obserwowałem wtedy, gdy Rosjanie przy cofaniu się z Królestwa palili wsie i sioła, pędząc ludność, jak barany, w dalekie i obce kraje. Ciekawym jest, że właśnie od tego czasu zastygł na ustach polskich zaimek «nasz», który do tego czasu stale był używany w Królestwie w stosunku do żołnierza rosyjskiego.

Zjawiska poniżenia godności ludzkiej u Polaków i zatracania się ich w ogromie wojny mogłem z natury rzeczy obserwować bliżej po tej stronie wojny, gdzie walczyły wojska

[1]) Mowa prawdopodobnie o hr. Teodorze Kellerze, gen. ros., który w czasie wojny światowej dowodził 10 dyw. kaw., a następnie III korp. kaw.; w 1918 r. pozostawał przez pewien czas w służbie hetmana Ukrainy Skoropadskiego i miał powierzone d-two obrony Kijowa przeciwko Petlurze.

austriackie i niemieckie. Rzucę przed wami, szanowne panie i szanowni panowie, kilka przykładów.

W czasie, w którym byliśmy przyczepieni do I korpusu austriackiego, składającego się przecież z 90% żołnierzy i 60% oficerów-Polaków, w okresie walk, toczonych w powiatach sandomierskim i opatowskim, otrzymałem razu pewnego od komendy tegoż korpusu rozkaz okólny. Głosił on, jak dla Polaków, cynicznie, że wojna nie toczy się wcale o polskie interesy, że zatem komenda korpusu wymaga, aby w stosunku do ludności zachowywać się jak najsurowiej, jako do ludności wrogiej, i że koniecznym jest utrzymanie autorytetu wojska, chociażby jak najdrastyczniejszymi środkami. Osobiście ten rozkaz odesłałem z oświadczeniem, że słuchać go nie będę. Lecz proszę wyobrazić sobie uczucia oficerów i żołnierzy-Polaków, którzy w Opatowskim mieli się zachowywać w stosunku do swoich rodaków jak najbardziej wrogo i surowo.

Oto obrazek drugi. W czerwcu 1915 r. z tego samego Sandomierskiego zostałem wezwany do Naczelnej Komendy austriackiej. Przejeżdżając w aucie wzdłuż etapów 1-ej armii austriackiej, skonstatowałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austriackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zachowywać się będą odwrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę.

Nie mogę wreszcie nie przytoczyć tu charakterystycznej odpowiedzi, którą otrzymałem raz w sztabie sławnego Hindenburga[1]) w Kielcach, gdym dawał drastyczne przykłady sposobu zachowania się niemieckich żołnierzy i oficerów w stosunku do ludności. Twierdziłem, że możnaby zupełnie śmiało tych szykan nie robić i nie zaczepiać np. rozmyślnie na ulicach kobiet pytaniem, gdzie tu jest dom publiczny, nie palić w piecach meblami i nie rozbijać wszystkich szkieł od lamp przy opuszczaniu wsi lub miasteczka. Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestii rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu, polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: «Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownymi i łagodnymi. Tym niech pan sobie tłumaczy Kalisz[2]), który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali,

[1]) Por. t. VI., s. 66.

[2]) Dn. 7 sierpnia 1914 r. Niemcy zbombardowali Kalisz pod pretekstem, że ludność cywilna wystąpiła przeciwko nim.

był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy».

To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny, gdy z niepokojem w duszy przyglądałem się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, ze swoim pokornym przystosowywaniem się do każdego żądania i każdego wymagania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdym na to patrzał, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezlitosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz innym butem żołnierskim.

Legioniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legioniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności, jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tym mówię! Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legionista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tym, że jest Polakiem i pod polskimi godłami i znakami chce służyć!

Któż z tych, co w końcu września 1914 r. byli ze mną nad Wisłą, pod Nowym Korczynem i Opatowem, nie wspomina tej zabawnej sceny, gdy przybyła z Krakowa kompania uzupełniająca topiła w Wiśle czarno-żółte opaski, w które ją ubrano przy opuszczaniu Krakowa? Wstydem bowiem było u nas nosić jakąkolwiek oznakę, przypominającą mundury Austriaków czy ich kolory. Ileż to walk stoczono z tymi oznakami! Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legioniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo

komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskim, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legioniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć.

Walka ta nie mogła być niewidoczną dla ludzi. Nie mogła również nie dawać pewnej dozy satysfakcji zdeptanemu uczuciu honoru i dumy narodowej. I nieraz, gdy o tym myślę, przychodzę do przekonania, że ta hardość w pracy, noszącej zewnętrzne cechy pracy polskiej, była podstawą tego niezaprzeczonego faktu, że w końcu 1916 r. i do połowy 1917, gdy Legiony stały postojem na ziemi ojczystej, miały niezaprzeczoną szeroką popularność i coś w rodzaju sentymentu dla siebie w obu okupacjach: niemieckiej i austriackiej. Osobiście odczuwałem ten stosunek zupełnie jasno i wyraźnie podczas swego pobytu w Warszawie, zakończonego aresztowaniem i wywiezieniem do Magdeburga.

Uczucia te zjawiały się wszędzie, gdzie tylko legioniści stanęli kwaterą. Szli oni tam tak jaskrawo w poprzek zarządzeniom władz okupacyjnych, tak śmiało i hardo przekraczali rozmyślnie przepisy, ciążące nad całą ludnością, tyle czynili złośliwości, z tak niezrównanym humorem wykpiwali publicznie robotę austriacką i niemiecką, że doprawdy nieraz oczekiwałem, iż nastąpić musi jakieś krwawe starcie, przy którym część ludności wesprze legionistów przeciwko władzom okupacyjnym. Odczuwali te tlejące iskry dokładnie niektórzy z legionistów, gdy w okresie t. zw. kryzysu przysięgowego, w r. 1917, proponowali mi, jak rzecz według nich możliwą, by siłą oprzeć się wszelkim próbom narzucania nam przysięgi. Twierdzili przy tym, że niechybnie będą podtrzymani w tym wypadku przez wszystkich włościan okolicznych.

Szanowne panie i szanowni panowie! Starałem się w przeciągu dzisiejszego swego przemówienia wyświetlić najistotniejsze cechy t. zw. czynu legionowego. Chciałem oswobodzić się od wszystkich domieszek i dodatków, wytworzonych w przeciągu ubiegłych dziesięciu lat zarówno przez tych, którzy niechętnie do nas się odnosili, jak przez tych, którzy ten czyn wyolbrzymiają i przesadzają jego znaczenie.

Być może uraziłem niektórych ze swoich słuchaczy, usu-

wając na bok w tej analizie pierwiastki uczuciowe. Uczyniłem to jednak rozmyślnie, gdyż nie mam zamiaru nigdy twierdzić, że my, legioniści, i ci, którzy nas kochali, mają wyłączne prawo do miłości ziemi ojczystej, lub, jak to się często mówi, do tytułu ofiarności. Polska bowiem i Polacy ponieśli podczas wojny tyle ofiar, składanych nieraz z wielką goryczą w sercu, że wobec ich ogromu drobnostką były nasze ofiary legionowe, opłacane przy tym wielką nagrodą, bo wewnętrzną satysfakcją.

Wywody moje, które panom w tym przemówieniu dałem, są owocem częstych moich rozważań i rozmyślań nad pracą moją i pracą kolegów, podjętą w epoce, gdy Polska dopiero się stawała, gdy się odwracało wielkie koło historii, które ongiś nas w błoto niewoli wgniatało.

Streszczam swe myśli. Polska i olbrzymia większość Polaków wojny nie chciała, wojny nie wywołała i świadomą była tego, że ona nie o Polskę się toczy. Nie mając samodzielnego przygotowania do wypadków wojennych, Polacy uczynili przy wybuchu światowej katástrofy to, co czynili już dobre półwiecze w życiu codziennym — poddali się nakazom zaborców, wzmacniając w ten sposób siły każdego z nich. Niewielka garść ludzi, zwanych legionistami, zdecydowała postąpić inaczej. Chciała dać Polsce podczas wojny reprezentację w postaci polskiego żołnierza i polskich dla niego dowódców. Wskutek naturalnej niechęci i oporu ze strony zaborców, wskutek ogólnego niedowierzania, by zamiar ten mógł być zrealizowany, — próba udała się tylko w części. Stan ten musiał doprowadzić do silnych tarć, przy których my, legioniści, walcząc nieustannie o swoje cele, staliśmy się najjaskrawszym wyrazem obrony honoru i dumy narodowej wobec systematycznego wgniatania nas w błoto przez maszynę wojenną wszystkich trzech zaborców. Dlatego też, pomimo, iż ulegliśmy w walce, mamy za sobą tę wielką satysfakcję, żeśmy pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego i przy powszechnym poniżeniu Polaków mieli spokój co do swego honoru i częste zadośćuczynienie dumy i godności narodowej.

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiadanej, a głęboko dla mnie zabawnej opinii o czynie legionowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznym interpretowaniem słowa «romantyczny». Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszym, najbardziej używanym określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskim. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznym. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata;

okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczoną jego wielkim imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 1863 r., słowo «romantyczny» nabrało jakiegoś dziwacznego charakteru, zaczęło oznaczać po prostu «głupi».

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania na pamięć wierszy «romantycznego» wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa «romantyczny» po prostu jako «głupi», pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak na pamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią na pamięć utwory «romantycznego» Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinii polskiej i używać słowa «romantyczny» jako «głupi». Jest zwyczajem nazywać grzecznie «romantycznym» tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz «romantycznym». «Romantyczny» to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który, siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a np. kosmyk włosów matki!

I takim właśnie romantycznym dzieckiem mieliśmy być my, legioniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegoż chcieli legioniści? Po co wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód, stawianych im w tym nie tylko przez zaborców, lecz i przez «nieromantycznych» Polaków, — błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, którymi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legionów z pracą ich krytyków. Z pracą tych «nieromantycznych»! Chcieli oni, siedząc na ręku matki — państw zaborczych — mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na «romantyczne», a zatem głupie główki legionistów, pomyśleć o własnej «romantyczności» i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć

o swojej nieumiejętności orientacyjnej, która w 1914 r. zmusiła szanownych krytyków do błądzenia pomiędzy trzema sosnami zaborczymi, do czepiania się każdej z nich po kolei i do tracenia często przy tym dużo zdrowia moralnego.

Szanowne panie i szanowni panowie! Kończę, prosząc zawsze o jedno. Spróbujmy spokojnie odnieść się do faktów, które się działy ongiś. Spróbujmy sobie spokojnie powiedzieć: grzechy, zrobione przy wybuchu wojny przez wielu Polaków, głupota, ongiś przez nich wykazana, nie upiększają, być może, historii naszej ojczyzny, — działo się to jednak tak dawno, a my sami przeżyliśmy tyle zmian, że doprawdy nie warto o tych wypadkach tak dużo kłamać. Nie warto na nasze polskie imię narzucać tyle fałszu i tyle bezecnego łgarstwa, aby, jak to mi niegdyś mówił jeden z wielkich ludzi tego świata, Polak i łgarz było zwyczajnym synonimem. Nie warto pracować tak usilnie fałszem, aby słowom i określeniom polskim nie chciano nigdzie dawać wiary. Na nasz czyn legionowy narzucono nie wiadomo dlaczego tyle śmieci, tyle brudu i tyle kłamstwa, tylu ludzi pragnęło być «auch ein wenig» [1]) legionistami, jak gdyby chciano ciągle i dalej stwierdzać, że byłoby najlepiej dla Polski, gdyby w niej nie było ani jednego wyjątku i wszyscy Polacy w chwili, gdy godzina dla nas na dziejowym zegarze biła, poddali się bez zastrzeżeń woli, nakazowi, żądaniom i nawet kaprysom swoich zaborców. Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli — niewoli, upokarzającej Polaków i Polskę?

LIST DO REDAKTORA «POLSKI ZBROJNEJ»

(25 sierpnia 1924)

Na trzecim walnym zjeździe legionistów w Lublinie dnia 10 sierpnia 1924 została uchwalona rezolucja, w której zjazd «domaga się od Prezydenta Rzeczypospolitej, jako najwyższego zwierzchnika wojskowego, i od rządu, w szczególności zaś ministra spraw wojskowych, generała Sikorskiego, podjęcia inicjatywy, która zapewni Józefowi Piłsudskiemu należne stanowisko w państwie».

Odpowiednie depesze zostały uchwalone i wysłane do Prezydenta Rzeczypospolitej Wojciechowskiego, prezesa Rady Ministrów, Władysława Grabskiego, i ministra spraw wojskowych, gen. Sikorskiego.

Odpowiedzią niejako na tę rezolucję była opublikowana w «Polsce Zbrojnej» z 24 sierpnia 1924 i powtórzona w innych pismach następująca enuncjacja:

[1]) Także po trochu.

«Dnia dzisiejszego mieliśmy sposobność zasięgnięcia informacyj w sprawie definitywnej organizacji najwyższych władz wojskowych i złączonego z tem powrotu Pierwszego Marszałka Polski Piłsudskiego do służby czynnej w armii. Według tych informacyj sprawa przedstawia się w sposób następujący:

Bezpośrednio po objęciu szefostwa rządu przez pana prezesa Rady Ministrów, Władysława Grabskiego, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek rządu zaproponował powrót do czynnej służby Marszałkowi Piłsudskiemu, ofiarowując mu stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk łącznie ze stanowiskiem zastępcy przewodniczącego Rady Wojennej, którym w myśl praktykowanych powszechnie zasad jest minister spraw wojskowych.

Po odmowie Marszałka Piłsudskiego na propozycję powyższą, rząd poświęcił swą uwagę niezwykle dla obrony państwa ważnej kwestii organizacji najwyższych władz wojskowych. Po szczegółowym zbadaniu sprawy, poprzedni projekt tej ustawy wycofano z sejmu, przy opracowywaniu zaś nowego usiłowano zrealizować w całej pełni doświadczenia, poczynione w ostatnich wojnach także i przez inne państwa, sprawę zaś obrony Rzeczypospolitej wyłączyć z gry politycznej stronnictw i rozwiązać ją zgodnie z najżywotniejszymi interesami narodu.

Wpływ czynnika stałego na sprawy naszego pogotowia obronnego zapewniono przez stworzenie stanowiska Generalnego Inspektora Wojsk z szeroką kompetencją, której ramy zostały nakreślone jedynie tylko rzeczowymi względami, z tym oczywiście, że rząd nie mógł w projekcie ustawy wychodzić poza obowiązujące normy konstytucyjne.

Przepracowany na Radzie Wojennej nowy projekt ustawy, uchwalony przez rząd i aprobowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, wniesiony został dnia 11 marca 1924 roku do sejmu Rzeczypospolitej.

Sejm za ubiegłej kadencji zajęty był — jak wiemy — całym szeregiem ważnych i bardzo pilnych dla państwa spraw, że wymienimy tylko rozpatrzenie i uchwalenie budżetu państwa, ustawę o pełnomocnictwach rządu, ustawy językowe, ze spraw ogólnych zaś — ustawę o powszechnej służbie wojskowej, o podstawowych obowiązkach i prawach oficerów marynarki wojennej, traktowane i załatwione przez komisję wojskową sejmu i senatu oraz uchwalone przez obie izby ustawodawcze.

Wyrazić należy pełne przekonanie, że na jesiennej kadencji sejm w pierwszym rzędzie rozpatrzy i załatwi projekt ustawy o najwyższych władzach wojskowych.

Za ostatnim pobytem odnośnych ministrów u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w Spale rozpatrywano tę sprawę i postanowiono zwrócić się po zwołaniu sejmu do pana marszałka sejmu z wnioskiem o pilne traktowanie tej sprawy.

Sejm poczyni oczywiście pewne poprawki w projekcie ustawy. Rząd zaś przy ich traktowaniu będzie się jedynie kierował pobudkami, które mu podyktują wzgląd na

dobro armii oraz konieczność zapewnienia sprawności naszego pogotowia obronnego.

Rząd ma równocześnie nadzieję, że spokojne, rzeczowe, objektywne i pozapartyjne traktowanie spraw armii, które miało miejsce w czasie ubiegłej sesji sejmowej, także w tej niezwykle ważnej sprawie dla naszej przyszłości państwowej, odegra decydującą rolę. Wycofanie projektu ustawy z sejmu i załatwienie go przez dekret Prezydenta Rzeczypospolitej uznano po rozpatrzeniu kwestii ostatnio w łonie rządu ze względów prawnych za niemożliwe.

Jak się również z miarodajnego źródła dowiadujemy, minister spraw wojskowych po uchwaleniu ustawy zaproponuje rządowi i Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej na stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk Marszałka Józefa Piłsudskiego».

List niżej przytoczony jest odpowiedzią na tę enuncjację, w którym Piłsudski podaje, jaki był przebieg pertraktacyj w sprawie jego powrotu do wojska i zawiera krytykę projektu ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych.

List podajemy według «Polski Zbrojnej» z dnia 27 sierpnia 1924 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze Pańskiego pisma z dnia 24 sierpnia ukazała się enuncjacja, powtórzona i w innych pismach, a związana w swej treści z moją osobą.

Wobec tego, że enuncjacja ta została wydrukowana bez jakiegokolwiek z mej strony udziału i bez powiadomienia mnie o tym, musiały się zjawić w tym ogłoszeniu niedokładności, niekiedy przykre dla mnie, co mnie zmusza do prośby umieszczenia następującego sprostowania.

Po pierwsze — po swoim wystąpieniu z wojska w połowie zeszłego roku, jedyną propozycją powrotu do służby państwowej w wojsku, którą otrzymałem, była propozycja nie czyja inna, jak generała dywizji Kazimierza Sosnkowskiego [1]) w końcu ubiegłego roku. Zgodnie z moim poglądem postawiłem mu warunki, które poza krótkimi rozmowami z nim samym były przedmiotem rozpraw, toczonych ze mną z kilku członkami gabinetu p. Władysława Grabskiego [2]) w Belwederze. Zaznaczam, że mowy tam nie było ani o generalnym inspektorze armii, ani o jakichkolwiek jego funkcjach. Odpowiedź odmowną na moje warunki ze względów politycznych otrzymałem od p. premiera Władysława Grabskiego przez

[1]) Por. t. VI., s. 147.
[2]) Por. t. VI., s. 145.

p. ministra Miklaszewskiego [1]), który w tym celu przybył do mnie do Sulejówka. Wszystkie więc inne określenia w enuncjacji, związane z wymienioną propozycją, nie są zgodne z prawdą.

Po drugie: czuję się w obowiązku zaznaczyć dla uniknięcia nieporozumień, które mogą być wywołane dalszą treścią enuncjacji, że p. gen. dyw. Sikorski, obecny Minister Spraw Wojskowych, wkrótce po objęciu przez siebie urzędu przysłał do mnie swój projekt organizacji najwyższych władz wojskowych z prośbą o moją ocenę i opinię co do tego projektu. Przesłałem Panu Ministrowi zgodnie z jego prośbą tę ocenę [2]).

Ogólna treść mojej opinii była następująca: Projekt zdaniem moim nie daje się zastosować w naszych warunkach, a samo sformułowanie funkcyj trzech głównych osób — Ministra Spraw Wojskowych, Szefa Sztabu i Generalnego Inspektora jest według mego zrozumienia o tyle niejasnym i nieodpowiadającym wymogom pracy wojskowej, że nic prócz stałych tarć i sporów wyniknąć z tego nie może.

Czy projekt ten i w jakim stopniu został przez kogokolwiek zmieniony i w jakiej formie został do Sejmu wniesiony — nie wiem, gdyż nikt mnie o tym nie powiadamiał, dlatego też powstrzymuję się od wypowiadania jakiegokolwiek o nim sądu. Znając jednak dotychczasowe próby ustalenia organizacji najwyższych władz wojskowych, muszę przypuszczać a priori [3]), że i te ostatnie próby, czynione w dodatku beze mnie, nie odpowiadają moim poglądom, gdy dotąd spotykałem się prawie zawsze ze sprzeciwem w tej właśnie sprawie.

Proszę przyjąć Szanowny Panie zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim pozostaję

J. Piłsudski.

Sulejówek, 25 sierpnia 1924.

PRZEMÓWIENIA UTRWALONE NA PŁYTACH GRAMOFONOWYCH

(5 września 1924 r.)

Na prośbę firmy B. Rudzkiego w Warszawie Piłsudski wygłosił dwa przemówienia w celu utrwalenia ich na płytach gramofonowych.

---

[1]) Bolesław Miklaszewski był Ministrem Oświaty w gabinecie Wł. Grabskiego od 19 grudnia 1923 r. do 11 grudnia 1924 r.

[2]) Por. t. VI., s. 209—211.

[3]) Z góry.

Pierwsze przemówienie mówi o znaczeniu zbiorowej pracy ludzi, drugie zawiera życzenie, by polskie dzieci umiały się śmiać śmiechem odrodzenia Polski.

Zdjęcia dokonano 5 września 1924 r. w mieszkaniu K. Świtalskiego. Po zdjęciach na oryginale woskowym płyty złożył Piłsudski swój podpis. Dosłowny tytuł płyt brzmiał: «Przemówienie Marszałka Józefa Piłsudskiego — na rzecz uniwersytetu imienia Batorego w Wilnie. Zdjęcie specjalne, wykonane dla firmy B. Rudzki w Warszawie».

Teksty przemówień niżej podanych są zgodne z brzmieniem płyt.

I.

Szanowne panie i szanowni panowie! Człowiek jakoby ujarzmia żywioły. Żywioły, nie jego ręką wytworzone na naszym padole płaczu. Żywiołów tych dawniej liczono zaledwie kilka, a liczba ich rośnie prawie z roku na rok. Zaprzęga je człowiek do roboty, jak jakie woły robocze. Woda więc obraca koło, słońce ogrzewa pola i elektryczność pracuje we wszystkich kierunkach. Ogień daje ciepło. Woły robocze czyni z elementów człowiek i dumny jest z tego, że dzieło nie swoje opanował i zmusił do niewolniczej roboty dla swojej jedynie wygody.

Dumny jest z tego, lecz czyż ma dostateczne do tego zasady? Czyż nie spostrzega, że żywioł, będący w codziennej robocie, i klęski zadawać mu może? Rozszalałe powodzie, słońca pożogi, spalające pola, ogień, niszczący miasta i wioski, pioruny, z nieba bijące, zarazki powietrza, trzęsienia ziemi — czyż nie są dostatecznym powodem do większej skromności człowieka w stosunku do żywiołów?

A jednak jest żywioł nie boski, lecz ludzki i może dlatego człowiek tak mało go szanuje. Żywiołem tym jest praca, praca ludzkich mózgów, praca ludzkich serc i praca ludzkich mięśni.

Dzieje ludzkie, w całych tysiącleciach, wszystko to, co nazywamy kulturą, są właściwie przetworem tego ludzkiego żywiołu, człowieczej pracy. A człowiek zamiast być dumnym z opanowania tego, co może opanować, chce być dumnym z opanowania żywiołu nie swego, żywiołu boskiego. Specjalnie człowiek nie chce szanować największej potęgi swego żywiołu: pracy zbiorowej, chociaż ta właśnie największe cuda tworzy. Zdaniem moim, zasadniczym postulatem stosunków jest zawsze umowa i lojalne tej umowy dotrzymanie. Umowa polega na warunkach, które wzajemnie umawiający sobie stawiają. I czy stróż, zamiatający ulicę, czy minister, rządzący krajem,

czy stolarz, obracający heblem, czy profesor, wykładający w wyższej szkole, dla wspólnej pracy z innymi warunki stawia, warunki przyjmuje.

I gdybyż wzajemnie lojalnie je dotrzymywano, jakżeby inaczej życie wyglądało!

Drugim podstawowym postulatem jest szacunek dla instrumentu pracy. Instrument bowiem nie szanowany kaleką, lub efektu nie daje.

Wobec tego, że mam przed sobą instrument pracy, z maszyny i żywego człowieka złożony, chcę go lojalnie szanować.

Warunkiem umownej pracy jest czas, który już mi mówi — dość!...

II.

Stoję przed jakąś dziwaczną trąbą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść gdzieś w świat bez mnie, jego właściciela. Zabawne pomysły mają ludzie! Doprawdy, trudno się nie śmiać z tej dziwnej sytuacji, w której nagle głos pana Piłsudskiego się znajdzie. Wyobrażam sobie tę zabawną chwilę, gdy jakiś ananas korbą nakręci, śrubkę naciśnie — i jakaś trąba zamiast mnie gadać zacznie. Ciekawe! Chciałbym widzieć wtedy zebrane dzieci, do których trąba ludzkim głosem gada. A gdy pomyślę, że wśród tych dzieci nagle znaleźć się mogą moje własne, które na pewno pomyślą, że tatuś z nimi gdzieś za trąbą w chowanego się bawi, pusty śmiech mnie bierze, że ten biedny mój głos, ode mnie oddzielony, przestał nagle być moją własnością, i należy już nie wiem do kogo, nie wiem do czego: do trąby, czy do jakiegoś akcyjnego towarzystwa. Najzabawniejsza jest jednak myśl, że kiedy mnie już nie będzie, głos pana Piłsudskiego sprzedawanym będzie za trzy grosze gdzieś na jarmarkach, prawie na funty, jak pierniki, prawie na łuty, jak jakie cukierki.

Powiadają, że to jest uwiecznienie. Gdy więc moja pusta myśl łączy tę trąbę z wiecznością, chciałbym zastrzec, by głos ten jedną piękną prawdę krzyczał: prawdę o śmiechu.

Żywiołem szczęścia jest śmiech. A im bardziej jest pustym i szczerym, im bardziej nazywamy go dziecinnym, tym więcej jest w nim szczęścia, tym więcej jest w nim nieba na ziemi.

Umiałem, jak dobry żołnierz, śmiać się wesoło, gdy życiu niebezpieczeństwo groziło.

I gdy przed tą maszynką stoję, wciąż mnie jedna myśl prześladuje, bym mógł uwiecznić nie głos, lecz śmiech.

Śmiać się na zamówienie nie umiem, lecz powiem panom jedną uwagę z powodu śmiechu.

Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i jakąś zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc głosem z trąby błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie! A gdy wam teraz do śmiechu już usta się układają, śmiejcie się dowoli, gdy ja z tej trąby was żegnam pustym, dziecinnym, żołnierskim śmiechem i słowem: do widzenia!...

WPŁYW WSCHODU I ZACHODU NA POLSKĘ W EPOCE 1863 R.

(27, 28 i 29 października 1924 r.)

Na zaproszenie grona profesorów uniwersytetu wileńskiego wygłosił Piłsudski w dniach 27, 28 i 29 października 1924 w sali Teatru Wielkiego na Pohulance w Wilnie trzy niżej przytoczone odczyty o «Wpływie Wschodu i Zachodu na Polskę w epoce 1863 r.» W odczycie pierwszym Piłsudski daje wyraz dumie, że rok 1863 stał w najściślejszym związku z ówczesnymi prądami Europy, przeprowadza krytykę źródeł historycznych do powstania styczniowego i kreśląc styl epoki 1863 r. podnosi, że ówcześni nie sądzili o Polsce jako o nawpół martwym organiźmie a żyła ona w ich sercach jako żywe państwo z jej granicami historycznymi.

W odczycie drugim kreśli Piłsudski obrazy: głębokich ówczesnych przemian w Rosji, pomieszania w niej pojęć i współdziałania rosyjskich organizacji rewolucyjnych z powstaniem, co musiało u powstańców zwiększać wiarę w możliwość powodzenia ich ruchu.

W odczycie trzecim mówi Piłsudski o pomocy, jaką powstanie czerpało w prądach wolnościowych Europy zachodniej, a wskazując na siłę spisku w 1863 r. i na to, że powstanie styczniowe przez wytworzenie ścisłego związku między wojskiem a narodem było nowatorem tego prądu, który w świecie dziś zwyciężył — pragnie zmienić stosunek Polaków do powstania styczniowego, które nie na «śmiech i pogardę» a na szacunek zasługuje.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się a) stenogram tych odczytów, b) opracowanie stylistyczne tego stenogramu dokonane przez K. Świtalskiego z licznymi własnoręcznymi poprawkami Piłsudskiego. Tekst ostatni, aprobowany więc przez autora, został przyjęty przez wydawców «Pism — Mów — Rozkazów» jako podstawa. Odczyty niżej przytoczone są przedrukiem z tego wydawnictwa (str. 85—138).

WYKŁAD I

Szanowne panie i szanowni panowie! Chciałbym we wstępie do moich wykładów wyrazić słowa podziękowania i głębokiej wdzięczności dla Senatu Uniwersytetu w Wilnie. Było jednym z marzeń mojego życia, gdy czas na ich snucie miałem,

a więc czy to w więzieniu, czy w wolnych od pracy chwilach, by móc w Polsce mówić publicznie i spokojnie o wypadkach 1863 r. Będąc dzieckiem tej epoki, w której o Polskę walczono, czułem zawsze tę głęboką niesprawiedliwość, jaką pokolenie nasze robiło pracy dziejowej ludzi 1863 r. Zdawało mi się, że wstyd mnie spali, że nie będę mógł przeżyć tej boleści wewnętrznej, jeżeli nie będę mógł kiedykolwiek, gdziekolwiek w Polsce mówić publicznie o 1863 r. Dlatego też dzisiaj, gdy tutaj w Wilnie, gdzie niegdyś karano mnie za używanie polskiego języka [1]), mogę o tej karcie naszej historii opowiadać i realizować w ten sposób moje marzenia, wyrażam serdeczną wdzięczność Senatowi Uniwersytetu za to ułatwienie mi ziszczenia moich marzeń.

Szanowne panie i szanowni panowie! Tytuł moich wykładów jest: «Wpływ Wschodu i Zachodu na Polskę w epoce 1863 r.». Wybrałem ten temat, bo wydawało mi się, że w dziejach 1863 r. ta właśnie strona jest za mało i pod mylnym kątem widziana. Ograniczę się rozważaniem początku powstania. Na szersze traktowanie przedmiotu nie pozwala mi ani czas, którym rozporządzam, ani nawet zakres mych prac, jakie temu okresowi historii poświęciłem w moim życiu.

Jeżeli, moi panowie, mówimy o jakiejś epoce, o pracy ludzi, żyjących w danym czasie, musimy zawsze sądzić o nich nie z punktu widzenia naszych własnych dzisiejszych przeżyć, lecz brać ludzi takich, jakimi oni wtedy byli. Stąd konieczność uwzględniania tła epoki i życia kulturalnego w tym czasie, gdy u nas powstanie wybuchło.

Jesteśmy w stanie znać dziś znacznie dokładniej, niż owi ludzie, którzy powstanie robili, fakty historyczne, które przed nim i po nim nastąpiły, możemy skontrolować pewne wypadki, które dla współczesnych jeszcze zakrytymi były. Epoka 1863 r. była czasem najrozmaitszych zmian w całym prawie świecie. Na Zachodzie wtedy różne rzeczy nowe się rodziły, a stare umierały. Epoka ta była dalszym ciągiem tej dziwnej godziny dziejowej, która w 1848 r. burzą przeszła przez całą Europę, by zatrzymać się u ściany państwa rosyjskiego. Prądy oswobodzicielskie i ruchy wolnościowe przepływały wtedy przez wszystkie kraje Europy, wywołując w nich olbrzymie zmiany historyczne.

Dalszym ciągiem r. 1848 było wytworzenie cesarstwa fran-

[1]) Reminiscencje z czasów szkolnych, gdy Piłsudski uczęszczał do gimnazjum rosyjskiego, które mieściło się w obecnym gmachu Uniwersytetu Stefana Batorego. Por. t. I., str. 47.

cuskiego [1]). Niegdyś wielka rewolucja francuska, zmęczona wewnętrznymi walkami, złożyła jak gdyby na barki jednego człowieka swoje całe dziedzictwo, dając możność Napoleonowi Wielkiemu na ostrzach bagnetów swoich grenadierów przejść przez Europę całą, nieść jej nowe prawa, nowe instytucje, nowe myśli i łamać stare. Teraz również przez taki sam zamach stanu [2]), jakiego 18 brumaire'a [3]) dokonał Napoleon I, dostał człowiek z tej samej dynastii, Napoleon III, takie same dziedzictwo, którego Francja sama, zmęczona wewnętrznymi walkami, wypełnić nie zdołała. Napoleon III miał więc za sobą rewolucję 1848 r. i jej wymagania. Jej hasłem było oswobodzenie i zjednoczenie narodów i powołanie ich do życia samodzielnego.

Niedługo przed powstaniem, w r. 1859, wojska francuskie odniosły zwycięstwo nad wojskiem austriackim, dając życie nowemu państwu, państwu włoskiemu [4]). Zjednoczenie Włoch poprzedziło tuż epokę 1863 r. Te wypadki włoskie, którym towarzyszył zapał ówczesnego światka włoskiego, ówczesnego światka francuskiego, były oświetleniem, że tak powiem, tej epoki i dla Polski. Rok 1848 i jego dziedzictwo w postaci cesarstwa francuskiego miał trzy narody w Europie, które nie były oswobodzone, nie miały pełnego państwowego życia, nie były zjednoczone. Były nimi Włochy, Niemcy i byli nimi Polacy. Świeżo żyjące więc w pamięci wypadki, jak niedawna wojna austriacko-francuska, świetne przejawy działalności i zwycięstwa włoskich patriotów i spiskowców, pod kierownictwem rewolucjonisty Mazziniego [5]) i wielkiego potężnego ich

---

[1]) Drugie cesarstwo francuskie, proklamowane dnia 1 grudnia 1852 roku na podstawie wyników plebiscytu z dnia 20 i 21 listopada — z cesarzem Napoleona III na czele.

[2]) Zamach stanu Napoleona III, dokonany w nocy z 1 na 2 grudnia 1851 roku.

[3]) 18 brumaire'a tzn. 9 listopada 1799 — dzień zamachu stanu (zniesienie Dyrektoriatu i rozpędzenie Rady Pięciuset), dokonanego przez Napoleona po powrocie z Egiptu. Na skutek tego zamachu Napoleon został pierwszym konsulem.

[4]) Zwycięstwo wojsk francuskich nad austriackimi pod Solferino (24 VI 1859 r.) spowodowało pokój w Villafranca i oddanie Francji Lombardii, którą Napoleon III przekazał Sardynii.

[5]) Mazzini Giuseppe (1805—1872), włoski rewolucjonista, bojownik o niepodległość we Włoszech, twórca «Młodych Włoch» (1832 roku) i Związku Trzech Narodów: Polaków, Niemców i Szwajcarów pod nazwą «Młodej Europy»; uczestnik rewolucji w 1848 w Paryżu i we Włoszech; w 1849 roku — członek triumwiratu w Rzymie.

wodza Garibaldiego [1]), dawały Polsce nadzieję i podnietę. Obok, w sąsiednich Niemczech, działy się rzeczy zgodne jeszcze z tradycją 1848 r. Rozpoczynała się więc wojna o zjednoczenie Niemiec, wojna słuszna czy niesłuszna — nie chcę tu wchodzić, faktem jest jednak, że wojska małych państewek niemieckich w połączeniu z Prusami i Austrią rozpoczęły wojnę nie o co innego, jak o przyłączenie kawałka ziemi, którą uważano za niemiecką. Mówię o wojnie duńskiej [2]). Była to epoka, w której 1848 rok ze wszystkimi swoimi hasłami jeszcze silnie działał, a Francja, na ich rzecz rzucająca wówczas całą swą potęgę, dawała nadzieję, że te hasła będą zwycięskimi i w innych ziemiach, nie tylko we Włoszech.

Zaczynała się, co prawda, i inna epoka. Rok 1863 stoi bowiem jak gdyby na rubieży zmian wielkich, potężnych, które my, nasze pokolenie, przeżywało nieraz bardzo boleśnie. Niedalekim był r. 1866, gdy zwycięstwo Prus zmieniło postać Rzeszy Niemieckiej [3]). Niedaleki był rok 1870, kiedy Prusy w połączeniu z resztą Niemiec zwyciężyły Francję [4]). Ci sami ludzie, którzy walczyli w 1863 r. w Polsce, walczyli w siedem lat później jeszcze przeciwko Niemcom we Francji. Następowała epoka, tak nam już znana, epoka rozwoju państwa niemieckiego pod względem techniki i kultury materialnej, państwa, dążącego tymi środkami do przewagi i panowania nad światem. Była to więc wielka epoka, gdy na Zachodzie rodziła się nowa Europa, nam tak dobrze znana, gdy jeszcze nie umarła stara. Zorza wieczorna dla jednych prądów i dla jednych myśli mieszała się z zapowiedzią zorzy porannej nowego świata, a złudzenia świetlne łączyły jedną zorzę z drugą, jako zorzę wschodzącego słońca.

Był, proszę panów, wpływ olbrzymi, wpływ ogromny na Polskę tej epoki, którą przeżywał Zachód. Całe mnóstwo ów-

---

[1]) Garibaldi Giuseppe (1807—1882), wódz i bojownik o niepodległość i zjednoczenie Włoch.

[2]) Wojna duńska — zwycięsko prowadzona przez Austrię i Prusy przeciwko Danii w 1864 roku i zakończona pokojem w Wiedniu, na mocy którego Dania ustąpiła Prusom i Austrii księstwa: Szlezwig, Holsztyn i Lauenburg.

[3]) Mowa o zwycięstwie Prus nad Austrią pod Königsgrätz w dniu 3 lipca 1866 r. zakończonym pokojem w Pradze, w którym Austria zgodziła się na utworzenie związku państw północno-niemieckich i południowo-niemieckich oraz na porozumienie obu tych związków.

[4]) Mowa o wojnie francusko-niemieckiej w 1870 r., zakończonej pokojem frankfurckim (10 V 1871). W pokoju tym Francja utraciła Alzację i Lotaryngię.

czesnych Polaków brało jeszcze udział w walkach włoskich Garibaldiego, brało udział jako czynni tych ruchów działacze. Wystarczy wspomnieć nazwisko Langiewicza [1]), który przeszedł kampanię włoską, jako oficer Garibaldiego. Dużo Polaków brało wówczas udział we wszystkich spiskach, które sięgały aż do dworu w Tuilleries, do dworu Napoleona III. Najbliższy kuzyn Napoleona III [2]), jego brat stryjeczny, brał w nich udział, a Napoleon III, który niegdyś przed swoim zamachem stanu był również członkiem tych sprzysiężeń, bał się jeszcze ich siły.

Nie można lekceważyć tego olbrzymiego wpływu epoki 1848 r., która zatrzymała się w swoich reformatorskich dążeniach na ścianie zachodniej państwa rosyjskiego. Wywierały one bowiem wpływ na całą Europę, wywierały one wpływ na każdy z narodów. Pociągały one lub odpychały, wywołując takie lub inne zjawiska historyczne.

Innym był wpływ Wschodu. Niedawno Mikołaj I przegrał wielki pojedynek z całym światem. W krymskiej kampanii Rosja została rozbita [3]), wojnę przegrała i wielki przedstawiciel Wschodu, a zarazem wielki dla całego świata przedstawiciel legitymizmu, Mikołaj I, umarł [4]), nie mogąc przeżyć wstydu i hańby. W Rosji nastąpiła nowa epoka, epoka wielkich zmian podczas panowania Aleksandra II [5]).

Reformy [6]), które w owych czasach robiono, sięgały głęboko w podstawy państwa rosyjskiego. Reformy te szły jedna za drugą, szły w jakimś piorunującym tempie, w tempie, które

---

[1]) Por. t. III., str. 20.

[2]) Mowa o Napoleonie Hieronimie Bonaparte (1822—1891).

[3]) Por. t. III, str. 55.

[4]) Mikołaj I zmarł nagle 2. III. 1855 r. w czasie klęski armii rosyjskiej pod Sewastopolem.

[5]) Aleksander II był cesarzem rosyjskim od 1855 do 1881 roku. Zakończył wojnę krymską, przeprowadził szereg reform. Podbił ostatecznie Kaukaz oraz kraje: Nadamurski i Nadussuryjski. Prowadził zwycięską wojnę z Turcją (1877—78), która zapewniła Rosji olbrzymie wpływy na Bałkanach.

[6]) Najdonioślejszą reformą było uwłaszczenie włościan, zniesienie poddaństwa i oddanie im na stałe użytkowanie ziemi przy pomocy finansowej państwa (manifest z dnia 2 marca 1861 roku). Z reform administracyjnych najważniejsze są ustawy ziemskie z 13 stycznia 1864, które wprowadziły ziemstwa, to jest obieralny samorząd wiejski, oraz ustawa miejska z 28 czerwca 1870, zapewniająca miastom pewien samorząd. Reforma sądownictwa z 1864 roku oddzieliła władzę sądową od administracyjnej, wprowadziła jawność sądu, niezależność sędziów oraz sądy przysięgłych dla ciężkich przestępstw kryminalnych. W armii zniesiono karę cielesną.

oszałamiało ludzi, które nie pozwalało przyzwyczaić się do jednej chwili, gdy nazajutrz już ta chwila była prześcignięta. Szły reformy sądownictwa, zmieniające je do gruntu, robiące próby prześcignięcia wzorów europejskich, szły reformy administracji, reformy samorządu, reformy we wszystkich kierunkach życia ludzkiego. Wreszcie rzucono najcięższą, największą reformę, zmieniającą w zupełności strukturę życia ówczesnego: uwłaszczenie włościan: zrobiono z włościan ludzi, gdy dotychczas państwo rosyjskie uważało ich za niewolników. Bowiem inaczej, jak niewolnictwem, nazwać nie można było tego, że każdy z uprzywilejowanych, który posiadł «duszę», mógł oddzielić matkę od córki i sprzedać za pieniądze matkę gdzie indziej, a córkę gdzie indziej, i mógł wyrwać syna od rodziny, aby go sprzedać w innej stronie. Uwłaszczenie włościan uwolniło nagle całe mnóstwo ludzi od tego niewolnictwa. Ustrój całego życia rosyjskiego pękał w ogniu tych reform, które szły jedna za drugą w błyskotliwie szybkim tempie. Zdawało się, że Aleksander II wraz ze swoimi współpracownikami chciał się oswobodzić od wrażenia klęski starego świata Mikołaja I, klęski, poniesionej na polach krymskich, i dążył do tego, by jak najszybciej zbliżyć Rosję do Europy. Te prądy liberalne wówczas, jak i długo jeszcze potem, nosiły nazwę ruchu «zapadnikow» [1]). Przyznawano się do tego więc otwarcie, że chciano starą Rosję zmienić na sposób europejski, na sposób zachodni i zbliżyć ją pod względem struktury, pod względem życia codziennego do Zachodu.

Szanowni panowie! Dla przerobienia takich reform w szybkim tempie potrzebni są nowi ludzie, nowi t. zw. «aparatcziki», t. zn. ludzie, zdatni do stworzenia nowego aparatu państwowego, którzyby potrafili to zrobić i przeprowadzić. Musiano się liczyć i z innym zjawiskiem, ze zjawiskiem oporu, który stawiali dawni «aparatcziki». Musiano obawiać się ze strony ludzi dawnych czasów sabotowania nowej pracy państwowej, przeciwdziałania ze strony tych, których w dzisiejszej Rosji nazywa się «sabotażnikami». Gwałtowne wprowadzenie reform musiało w Rosji wywołać okropne tarcia wewnętrzne, gdy życie wielu ludzi wywracało się najzupełniej. Nowa epoka wysunęła jakichś nowych ludzi, których według dawniejszych pojęć trzeba było właściwie do więzienia zamykać. Ludzie ci stawali u władzy, u władzy nad tymi, którzy tak niedawno jeszcze ich zamykali, trzymali w więzieniach, wysyłali na Syberię.

[1]) Zwolenników zbliżenia Rosji do zachodniej Europy.

Ten nagły przewrót, ten nagły skok w przepaść jednych straszył, drugich podniecał. Dlatego też państwo rosyjskie przeżywało w owym czasie epokę ogromnych zmian, głęboko sięgających w ustrój państwa. Życie w nim zbliżyło się pod względem tendencyj ogólnych do tego samego okresu, który charakteryzował się na Zachodzie jako okres oswabadzający, jako okres 1848 r., który posiadał swoje wpływy państwowe we Francji, który miał świeżą pamięć zwycięstwa swojego na polach włoskich pod Solferino [1]) i świeżą budowę nowego państwa na zasadach r. 1848.

Gdy więc mówimy o ówczesnej epoce, w której nasi ojcowie niegdyś krwawe boje zaczęli staczać, musimy pamiętać zawsze o tym głębokim wpływie, jaki ona wywierała i na Polskę. Musimy mieć na uwadze, że ówczesne prądy tak Zachodu, jak i Wschodu, szły w tym samym kierunku, szły w kierunku oswobodzenia, w kierunku budowy państwa narodowego, tak, jak tego chciały ówczesne hasła liberalne.

Szanowne panie i szanowni panowie! Zarysowałem w ogólnych zarysach ówczesną epokę i mam zawsze poczucie dumy, gdy mówię, że r. 1863 stał w najściślejszym związku z ówczesnymi prądami Europy i że w tym samym tempie on pracował, co świat cały. Nie można wyrywać r. 1863 z całej historii świata cywilizowanego, robić go jakimś zaściankiem, przy którym się wkłada żałobne welony i na który patrzy się przez łzawe szkiełka. Rok 1863 był rokiem takiej samej pracy dziejowej, jaka dokonywała się w owej epoce wszędzie: we Francji, w Anglii, we Włoszech, w Niemczech i w Rosji. Wyodrębniać r. 1863 z tego ówczesnego światowego prądu nie powinien żaden historyk, który chce siebie szanować.

Niech mi wolno będzie powiedzieć kilka słów o historii. Historia każda opiera się na źródłach, szuka w nich oświetlenia obiektu swojej pracy. Nie można, ściśle mówiąc, nazwać historykiem człowieka, który swoje własne lub życie swoich współczesnych opisuje. Praca jego może być tylko źródłem dla właściwej historii późniejszej. Dlatego przed każdym historykiem staje jako konieczność wejścia w epokę, zżycie się z ludźmi, którzy ją robili, którzy byli wówczas czynnikiem historycznym. Jest mus zetknąć się z ludźmi, o pracy których się sądzi, z ludźmi, których się opisuje, z ludźmi, których się krytykuje. Historyk musi umieć przez poznanie źródeł stanąć w parze z tymi ludźmi, których nie zna, których nie widzi, których

[1]) Por. str. 52, przyp. 4.

pracy bezpośrednio nie obserwuje. Gdy już wejdzie on w pracę tych ludzi, wtedy wolno mu wybierać tak, jak robili ci, którzy w badanym przez niego czasie żyli całą pełnią życia, wolno mu wybierać, kogo ma potępić, a kogo uznać, bo on razem z nimi przeżył tę część życia, razem z nimi współpracował.

Obszerne dzieje 1863 r. mają tylko kilka dzieł historycznych, jeżeli pominiemy wszystkie wspomnienia i ich zbiory, jako mające charakter źródeł, i pominiemy dzieła tych, którzy sami, jak Koźmian [1]) lub Bolesław Limanowski [2]), byli uczestnikami 1863 r., gdyż oni właściwie nie mogą sobie rościć pretensji do miana historyków.

Przez długi okres czasu trudnym był w ogóle dostęp do źródeł 1863 r., a tym samym niemożliwe było ich zebranie. Skorzystali z tego ci, którzy mieli dostęp do pewnych materiałów, a więc niektórzy historycy rosyjscy, jak: Berg [3]), Pawliszczew [4]) i inni. Z polskich dzieł najbardziej znanymi i rozpowszechnionymi są prace p. Walerego Przyborowskiego [5]), operujące wielką ilością faktów, dat i nazwisk. Do jego dziesięciotomowej historii nie można jednak nie odnosić się z wielką ostrożnością. Ma ona specjalny układ, specjalny swój sposób pisania i specjalną metodę wykorzystywania materiałów. Głównym źródłem, na którym tak p. Przyborowski, jak i wspomniani historycy się opierają, są cztery tomy zeznań, napisane podczas śledztwa przez Oskara Awejde [6]). Należał on zarówno do Centralnego Komitetu Narodowego, przygotowującego powstanie, jak i do Rządu Narodowego. Awejde po aresztowaniu w Wilnie zaczął, mówiąc językiem technicznym, «sypać» i «sypał» bardzo dużo, bo napisał aż cztery tomy. Do Oskara Awejde przyłączył się mniej płodny w celach więziennych pisarz, Karol Majewski [7]), który tak samo był członkiem Rządu Narodowego i Centralnego Komitetu, a który jest autorem dopisków do czterech tomów Oskara Awejde.

---

[1]) Stanisław Koźmian, polityk i publicysta, autor dzieła: «Rok 1863». Warszawa 1903.

[2]) Por. t. III, str. 85. B. Limanowski nie brał udziału w samym powstaniu 1863 r., ponieważ został aresztowany i zesłany do Rosji północnej już w 1861 r.

[3]) Por. t. III, str. 84.

[4]) Por. t. III, str. 84.

[5]) Por. t. III, str. 85.

[6]) Por. t. III, str. 84.

[7]) Majewski Karol (1832—1897), członek Rządu Narodowego, aresztowany w 1864 r. i zesłany do Rosji. Po zeznaniach Awejdy złożył szczegółowe zeznania o swoim udziale w powstaniu.

Moi panowie! P. Walery Przyborowski odnosi się do tych zeznań z zupełnym zaufaniem, uważając, że są one źródłem najszacowniejszym i najbardziej pewnym. Wszyscy inni uczestnicy powstania, którzy pozostawili mnóstwo wspomnień, mnóstwo swoich zapisków, dla niego prawie nie istnieją. Te źródła nie są dla p. Przyborowskiego miarodajne, oprócz pewnych autorów, którzy są dla niego faworytami. Natomiast Oskar Awejde jest to autorytet i powaga. Moi panowie, siedziałem w więzieniach i byłem nieraz «sypany»; składano na mnie takie czy inne zeznania i znam, jaką wartość mają takie zapiski, w ten sposób zrobione.

Jednym z ludzi, najbardziej «zasypanych» zarówno przez p. Oskara Awejde, jak i przez innych, którzy w tym czasie «sypali», był Zygmunt Padlewski [1]), którego można było uważać za naczelnego wodza powstania, gdyż on wydawał instrukcje i rozkazy przed wybuchem 22 stycznia. Padlewski był już wtedy rozstrzelany, gdy go «sypano». Wszyscy go ze spokojem «sypali», przypisując mu mnóstwo rzeczy, których on wcale nie robił, właśnie dlatego, że był on już rozstrzelany, a oszczędzano np. Jarosława Dąbrowskiego [2]), który nie został na śmierć skazany. Jest to względna uczciwość «sypiących», którzy kryją jednych, obciążając innych.

W takich zeznaniach śledczych znaczenie mają stosunki przyjaźni i powinowactwa, one oszczędzają niektórych, pomimo, że są oni bardziej winni od tych, których «sypano» Z historii mojej, jako spiskowca i jako rewolucjonisty, znam całe mnóstwo podobnych wypadków, które mnie samemu wydawały się śmiesznymi, o których mówiono, jako o rzeczach niewiarogodnych. Taką jest jednak psychika «sypiących». Opierać historię na zeznaniach ludzi nieszczęśliwych, którzy nie wytrzymali próby siły charakterów i którzy mnóstwo ludzi posyłali na szubienicę albo do ciężkich robót, na takich podstawach robić historię powstania jest rzeczą dość oryginalną. Trzeba mieć szacunek dla upodlenia, żeby z takich danych czerpać dane dla historii Polski.

Proszę panów! Wezmę przykład, który da wam próbkę stylu historycznego p. Przyborowskiego. Leży przede mną tom pierwszy jego «Dziejów 1863 roku». «Padlewski, jako naczelnik miasta, w głębi duszy pragnący powstania, t r a p i o n y n i e p o k o j e m s e r c a, z r a n i o n e g o n i e p r a w ą i p o z b a w i o n ą n a d z i e i m i ł o ś c i ą, liczący wiele na mnie-

[1]) Por. t. III, str. 88.
[2]) Por. t. III, str. 88.

many spisek oficerów, którzy mu obiecali wydać Modlin, nakazał...» [1]) to i to. Jest to dziwny sposób charakteryzowania człowieka. Niechybnie, proszę panów, miłość prawa czy nieprawa wpływa na człowieka. Ale zapytajcie historyka, dlaczego on w stosunku do strony polskiej, t. zn. do naczelnego wodza polskiego, używa tego motywu, którego nie używa nigdy w stosunku do Rosji? Dlaczego nie mówi on o wpływie historycznym kochanek Trepowa [2]), albo kochanek w. ks. Konstantego? Dlaczego on zniesławia wodza polskiego i mówi o nieprawej jakiejś miłości, jak gdyby to właśnie miało charakteryzować działania Zygmunta Padlewskiego? Ten niesmaczny przysmaczek, który znajdziemy raz po raz w «Dziejach 1863 roku» Przyborowskiego sprawił, że choć praca ta stanowi na razie jedyny zbiór różnych danych, których gdzie indziej się nie znajdzie, — zawsze, gdy brałem tę książkę w ręce, odrzucałem ją z niesmakiem. Robi ona na mnie wrażenie roboty, opłacanej przez rosyjski rząd dlatego, by zohydzić powstanie 1863 r.

W «Historii dwóch lat» tegoż samego autora znalazłem charakterystykę jednego z ludzi, którzy byli w Centralnym Komitecie Narodowym przed wybuchem powstania. Jest to mój znajomy, którego spotykałem na Syberii, z którym byłem w wielkiej przyjaźni — Bronisław Szwarce [3]). Został on ujęty przed samym powstaniem, bo w grudniu 1862 r. [4]). Oto, jak pisze o nim p. Przyborowski: «Szwarce, wychowany we Francji, inżynier z fachu, był przy tym wszystkim głową bardzo słabą, lekkomyślny i mało wyrobiony. W tym mózgu szalonym idee zachodnie, rewolucyjne, nieprawy związek zawarły z ideałami polskimi i mrzonki reform socjalnych z myślą odbudowania Polski; istny groch z kapustą, który czynił ze Szwarcego osobistość bardzo niebezpieczną, bardzo zaślepioną i przez ciasnotę umysłu groźną dla kraju i jego przyszłości. Najrozumniejsze zdania, najoczywistsze dowody nie były go w stanie nigdy przekonać, że źle robi, że ojczyznę na współkę z jej wrogami na krzyżu rozpina, jeżeli w swej głowie zakutej, w swym zacietrzewieniu uznał, że właśnie to, co on wymyślił i postanowił, jest najlepsze i najrozumniejsze» [5]).

Nie chcąc mówić o mojej opinii o Szwarcem, biorę dla porównania sąd o nim innego człowieka, znanego całej Polsce.

---

[1]) «Dzieje 1863 roku», t. I, str. 24.

[2]) Trepow Dymitr, gen. ros. (1855—1906), generał-gubernator Piotrogrodu.

[3]) Por. III, str. 88—89.

[4]) Dnia 22 grudnia 1862 r.

[5]) W. Przyborowski: «Dzieje 1863 roku», t. V, str. 230 i nast.

Jest nim wielki pisarz polski Teodor Tomasz Jeż-Miłkowski [1]), który znał prawie wszystkich członków ówczesnego Centralnego Komitetu Narodowego i który pozostawił w swoich zapiskach najrozmaitsze o nich sądy, sądy niekiedy bardzo krytyczne. Jako artysta, miał to wczucie w ludzkie charaktery, miał tę intuicję, tę umiejętność odróżniania jednego człowieka od drugiego. Oto są jego dane z Szwarcem: «Ufność największą wzbudzał we mnie Szwarce, obraz energii młodej, ciałem i duchem silny, odważny, bystro rzeczy umysłem obejmujący i umiejący w koniecznym kroczeniu ku wytkniętemu celowi ślepe miotanie się odróżnić od ruchu obmyślonego. Losy skrzywdziły nas, wydając go przed samym wybuchem powstania Moskalom w ręce. Przekonany jestem, że jego w tym momencie i w ciągu walki obecność przyczyniłaby się była znacznie do uniknięcia niejednego błędu, niejednego kroku fałszywego» [2]).

Cytuję ten ustęp jedynie dlatego, ażeby wskazać na niebezpieczeństwo korzystania bezkrytycznego z prac p. Walerego Przyborowskiego, będących, jak dotąd, najobszerniejszą próbą historii 1863 r.

Proszę panów! Pierwszym i głównym błędem historyków powstania 1863 r. jest absolutna ich jakaś niechęć do zrozumienia poprzedniego pokolenia, do zrozumienia jego epoki, stylu, że tak powiem, umysłowości, duszy ówczesnego pokolenia polskiego. Widzę wśród panów ludzi mego wieku. Odwołuję się do nich, jak oni styl pokolenia 1863 r. musieli odczuwać jeszcze w swoim dzieciństwie, jeszcze w swojej młodości. Styl ten był tak powszechny, tak silny, że rodzice nasi byli właśnie nim przejęci, byli dziećmi epoki 1863 r. Bez uwzględnienia stylu tej epoki pozostaniemy nadal niesprawiedliwymi w swych sądach o 1863 r.

Dla unaocznienia tego stylu biorę cytaty ze wspomnień Dubieckiego [3]) i Szwarcego. Pan Marian Dubiecki jest człowiekiem jeszcze żyjącym. Pracował on dużo w powstaniu 1863 r. Był człowiekiem o wielkim umiarkowaniu i o niezwykłej, że

[1]) Miłkowski Zygmunt (Teodor Tomasz Jeż), (1824—1915), powieściopisarz, historyk i publicysta. W 1848 roku, brał udział w rewolucji węgierskiej. W 1861 przybył do Warszawy dla porozumienia się z Komitetem Centralnym. Mianowany pułkownikiem, utworzył oddział polski w Turcji. Po powstaniu tułał się po Europie. Był jednym z twórców «Ligi Polskiej».

[2]) Z. Miłkowski: «Komitet Centralny», wspomnienia drukowane w zbiorze pt.: «W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego», Lwów 1903, str. 294.

[3]) Marian Dubiecki (1838—1926), członek Rządu Narodowego, historyk, autor szeregu prac odnoszących się do powstania styczniowego.

tak powiem, łagodności. Dubiecki nie miał może tego temperamentu, nie miał może tej siły czy aktywności ducha, jaką miało wielu powstańców. Największe zasługi położył w okresie t. zw. epoki Traugutta [1]), w której pracował jako jego sekretarz, przekazujący rozkazy Rządu Narodowego do jego rozmaitych wydziałów. Przed powstaniem brał udział w manifestacjach, za co został wysłany do północnych gubernij państwa rosyjskiego.

Biorę fragment z jego opisu wielkiej manifestacji, którą zrobiono na polach w Horodle. W dzisiejszej niepodległej Polsce o Horodle się zapomniało, natomiast w owych czasach pamięć dawnej Polski była daleko silniejszą i akt unii horodelskiej był niezwykle czczony [2]). Urządzono manifestację wbrew zakazom rządu ówczesnego. Na polach horodelskich zebrało się mnóstwo ludzi, którym starano się udowodnić, że ziemie Rzeczypospolitej Polskiej pozostały nadal, jak ongi, złączone. Punktem kulminacyjnym uroczystości było usypanie małego kopca i postawienie na nim krzyża. Dokonano tego w obliczu artylerii i mnóstwa wojska rosyjskiego, ściągniętego dla przeszkodzenia tej manifestacji. Na pamiątkę tego aktu — jednej z wielkich manifestacyj ówczesnego pokolenia — stawiano potem w różnych miastach krzyże, podobne do tego, który był postawiony na polach w Horodle, za co wielu rząd carski aresztował wtedy i więził.

Oto fragment opisu przez Mariana Dubieckiego zjazdu horodelskiego:

«Gdy podczas podniesienia wyniosła postać kapłana Hostię uniosła ku górze i tak ją dłuższą chwilę trzymała — pieśń ust i piersi w przestworzach zamarła; śpiewały jeno wśród ogólnej ciszy — dusze owych tysięcy, a łkały serca.

Po mszy świętej były przemowy... Chwila wielkiej dziejowej przeszłości w początkach XV wieku i chwila ówczesna, na tychże polach Horodła święcona, dostarczały wspaniałych tematów dla mówców. Wrażenie przemówień było wielkie, gdy zaś jeden z mówców wezwał do podpisania manifestu, w którym oświadczono, że protestują przeciw rozdarciu społeczeństwa, rzucono się tłumnie do podpisów.

Miano chwilowe złudzenie, że to, co zdziałały dziesiątki lat i moc niezmierna klęsk, — już nie istnieje. Szły zastępy po kilku lub bodaj samowtór czy samotrzeć do podpisu z różnych województw i ziem.

---

[1]) Por. III, str. 137.

[2]) Unia w Horodle zawarta została dnia 2. X. 1413 r. pomiędzy Polską a Litwą.

— My z Nowogródzkiego, — wołano — z Nowogródzkiego!... — i przeciskały się przez zwartą masę podlasiaków i sandomierzan promienne młodością, w kontusiki przybrane dziarskie postacie sąsiadów kolebki Mickiewicza.

— My ze Żmudzi!... — wołano z innej strony — i sunęli do podpisów Żmudzini.

— A ja spod Gdańska tu jestem!... — w tłumie wołał Tokarski, ziemianin z Pomorza, ówczesny poseł do sejmu pruskiego, i kładł swój podpis.

I tak szli z owej różnobarwnej masy, zalegającej ściernisko pól horodelskich, jednostki i grupy z ziemi dalekich, od dawna rozjednanych, w których już zapomniano, z jakich to części ta prastara ich macierz się składała» [1]).

W opisie tym przebija sentymentalny styl ówczesnego pokolenia, styl, którym my dziś już tak swobodnie władać nie potrafimy. Gdy sobie przypomnę moich rodziców — ojca, matkę — to widzę, że oni i ci ludzie, opisani przez Dubieckiego, to jedno i to samo, to ten sam styl ówczesnej epoki.

Oto drugi obrazek. Marian Dubiecki wyjeżdża ze swoim bratem do Wiatki [2]). Oto scena, którą przeżywało ze wzruszeniem całe mnóstwo zesłańców. Jest zima i p. Mariana Dubieckiego wraz z bratem w kibitce uwożą w dal nieznaną. Dzieje się to w gubernii Mohylowskiej, nazywanej wówczas województwem mścisławskim:

«W tym dniu wieczorem mieliśmy przekroczyć starą polską granicę z r. 1772. Było to w dniu Zaduszek. Wieczorem późnym rzeczywiście dotarliśmy do owej miedzy granicznej, prastarej, w rzeczywistości niczym nieoznaczonej, na mapach niezawsze teraz łatwej do odnalezienia, w pamięci ludzi wszakże żyjącej. Jechaliśmy... pędząc cwałem po równym, murowanym gościńcu. Wreszcie woźnica zwolnił biegu i w otwartym polu nagle konie wstrzymał... i, wskazując krótkim swym biczem na coś szarzejącego wśród śnieżycy, powiedział po białorusku: «To Polski granica». Podnieśliśmy głowy, szeroko rozwarły się oczy, a mocno zakołatały serca... Wpatrzywszy się pilniej w punkt, ku któremu woźnica rękę wyciągał, dostrzegliśmy jakiś słup niezbyt wyniosły, może w części śniegiem zasypany. — «To krzyż, na samej granicy on stoi...» — mówił pocztarz. Wysiedliśmy z bryki pocztowej, aby uchylić

---

[1]) Marian Dubiecki: «Z przeszłości 1861—62», Kijów 1910, str. 36 i in.

[2]) Wiatka, miasto gubernialne północno-wschodniej Rosji europejskiej.

czoła przed ostatnim krzyżem przydrożnym, jaki spotyka wędrowiec, udający się na wschód, aby pożegnać ziemię zroszoną krwią i potem ojców naszych, zoraną pługiem cywilizacji europejskiej. — «A stąd Rosja już się zaczyna?» — pytaliśmy pocztarza. — «Stąd, — rzekł, rzucając ręką przed siebie — stąd już «zabrany kraj» zaczyna się, ale jeszcze nie «Moskwa». — «Jak to «zabrany»? — dopytywałem się. — «Smoleńszczyzna, kraj od Polski kiedyś oderwany — tłumaczył mi zapytany» [1]).

Proszę panów! Jest tu przykład stylu ówczesnego pokolenia, w którego duszy żyje i istnieje państwo polskie z jego dawnymi granicami.

A oto, co pisze Szwarce o sobie:

«Piszący te wspomnienia należał od samego początku do tej garstki, można powiedzieć, ultra-konserwatywnej, dla której wszystko, co się stało od rozbioru, a nawet od Sasów, było nielegalnym, dla której cały obszar Rzeczypospolitej był wyłączną własnością ludów polskich i którzy zaznaczali tę konserwatywność na każdym kroku ubiorem, wieczną protestacją, wiecznym odwoływaniem się do republikańskiej przeszłości. Dla nas nawet Konstytucja 3 Maja, hasło ówczesnych czartoryszczyków, było reakcyjne, bo odstąpiło od konstytucji XVI w. i od zasad Unii Lubelskiej» [2]).

Proszę panów! To także jest styl, styl ówczesnego czasu, i nie sądzę, panowie, że to jest pusty frazes, że to tylko upiększenie słowami tego, czego się nie czuje, tego, czym się już nie żyje. Otwórzcie całe mnóstwo ówczesnych wspomnień ludzkich, a znajdziecie w nich zawsze jedno i to samo: żywą i trwałą prawdę o państwie polskim, które realnie przecież nie istniało, znajdziecie żywą i silną myśl o mechanicznym jedynie złączeniu ziem polskich z innymi państwami. Prawda ta była własnością ówczesnego pokolenia bez względu na to, do jakiej warstwy, do jakiego zaboru ci ludzie należeli, bez względu na to, czy wychowywali się w województwie mścisławskim, czy w województwie krakowskim, czy w zaborze pruskim. W duszach polskich istniała żywa, trwała granica przynależności państwowej ludzi do Polski, choć jej, jako państwa, nie było. To poczucie stanowiło wówczas życie wewnętrzne, siłę, jaźń ludzi bez względu na to, czy byli za powstaniem, czy byli przeciwko niemu. Świadomość ta była podstawą ówczesnych dusz ludz-

---

[1]) Marian Dubiecki: «Z przeszłości 1861—62», str. 85 i in.

[2]) Bronisław Szwarce: «Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862», drukowane w zbiorze pt.: «W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego», str. 442.

kich, której następnemu pokoleniu już zabrakło. Studiując owe czasy i nad nimi się zastanawiając, zawsze wydawało mi się przy porównaniu pokolenia 1863 r. z pokoleniem, w którym ja żyłem i pracowałem, że u moich współczesnych płynie krew, przesiąknięta składnikami krwi zaborców. Dla pokolenia zaś powstania 1863 r. obieg krwi państwowej, bez względu na to, do jakiego państwa Polacy należeli, był tylko mechanicznym obiegiem, przy którym chemiczna wartość krwi obcej, przekraczając granice państwa polskiego, roztwarzała się w krwi polskiej, nie czyniąc w niej żadnych zmian. Późniejsze pokolenie przyjmowało sole z krwi obcej już jako swoje, mieszając krew swoją z krwią obcą.

Ten styl ówczesny, tak mało potem zrozumiały i tak niekiedy dla nas naiwny i śmieszny, był stylem życia wszystkich ludzi owej epoki, był stylem ich myśli, był stylem ich serc i stylem całej ich jaźni. Tak myślał i jakiś szalony powstaniec, i przeciwnik tego ruchu. Dla wszystkich istniało państwo polskie, jako państwo z jego granicami historycznymi, istniało jako żywe i tylko mechanicznie było połączone z innymi państwami. Zdaniem moim, takie samo pojęcie istniało i wśród zaborców.

Kwestia polska istniała w owych czasach dla całego świata, istniała jako rzecz, narzucająca się z konieczności, jako dalszy ciąg zwycięstwa francuskiego nad Austrią i oswobodzenia Włoch, jako dalszy ciąg prądów wolnościowych i jako dalszy ciąg prądów liberalnych, powstających w państwie rosyjskim. Sprawa polska wyglądała w epoce 1863 r. całkiem inaczej, niż dla późniejszego pokolenia. Obcym było w tym czasie sądzenie o Polsce, jako o na wpół żyjącym organizmie.

Historyk owego czasu powinien spróbować wchłonąć w siebie tę atmosferę epoki i wtedy dopiero ma prawo wydawać swe sądy, wtedy spokojnie może się odnieść zarówno do zasług, jak i do niecnot tych przodków, którzy ongiś w innym stylu żyli, myśleli i pracowali.

Moi panowie! Gdy myślę o dotychczasowej historii 1863 r., zawsze mi się wydaje, że stawia ona pod pręgierz jednych po to, żeby mówić o zasługach innych. Nie można mieć pretensji do Zygmunta Padlewskiego za niewiedzenie, że w 7 lat potem inna epoka w Europie nastanie i pod druzgocącym mieczem pruskim nastąpi hegemonia świata, uzbrojonego w żelazne pięście, w wynalazki techniczne, będące monopolem silnych. Sądzić Padlewskiego za to byłoby również śmiesznym i równie niedorzecznym, jak sądzić Wielopolskiego i jego zwolenników za brak przewidzenia, że w r. 1904 i 1905 mała Japonia pobije

wielką Rosję, lub że w 1924 r. jakiś Józef Piłsudski w sali teatru wileńskiego, zaproszony przez uniwersytet polski w Wilnie, mówić będzie o nim, jak i o Zygmuncie Padlewskim. Mówić będzie o jednym i drugim równie swobodnie, jednocząc ich w związek ówczesnego pokolenia, w związek ludzi wierzących że Polska, jako państwo, mające określone granice, jest żywą i nie tylko żywą, ale zdatną do tworzenia rzeczy realnych.

WYKŁAD II

Szanowne panie i szanowni panowie! Starałem się w poprzednim mym wykładzie dać próbę stylu polskiego ówczesnej epoki 1863 r. Wspomniałem również bardzo ogólnie o tym, co się działo wtedy na wschodzie od nas. Dzisiaj chcę poświęcić temu tematowi więcej uwagi. Chcę wskazać, jak silnym i jak głębokim było oddziaływanie prądów, które ogarniały w tym czasie Rosję, na życie nasze ówczesne, jak silnym był ten wpływ i ile rzeczy on historycznie w Polsce przetwarzał. Pragnąłbym, podobnie jak to starałem się zrobić w stosunku do Polski, dać możność odczucia i zrozumienia, chociażby ogólnikowo, czym była ówczesna Rosja.

Zatrzymam się na dziejach jednego z naszych rodaków, którego tutaj, w Wilnie, czcicie — Zygmunta Sierakowskiego [1]). W 1848 r. był on wmieszany w jakieś polityczne spiski czy konspiracyjne gawędy w Petersburgu. Jako student uniwersytetu petersburskiego został Sierakowski za to wysłany, jak wówczas mówiono, «w sołdaty», gdzieś na stepy kirgizkie. Nie przeszedł przez pałki według ówczesnych zwyczajów tylko dlatego, że należał do stanu uprzywilejowanego — był szlachcicem. Miał odsługiwać jako zwykły żołnierz, jako szeregowiec, co uważano wówczas za karę, swoje przewinienia. Było to w 1848 r.

---

[1]) Sierakowski Zygmunt (1827—1863), członek Komitetu Centralnego Rządu Narodowego. Jeden z założycieli «Ziemli i Woli». W roku 1848 skazany «w sołdaty» do batalionów orenburskich. Potem ukończył akademię wojskową w Petersburgu. Posiadał duży wpływ na ówczesnego ministra wojny Milutina, któremu w roku 1862 złożył raport o militarnym znaczeniu całkowitej autonomii Polski i Litwy. Wezwany przez Rząd Narodowy, stanął w roku 1863 na czele powstania na Żmudzi. Dnia 21 kwietnia stoczył zwycięską bitwę z przeważającym nieprzyjacielem pod wsią Ginietyny. W pierwszych dniach maja, ciężko ranny w bitwie pod Birżami, dostał się do niewoli. Na rozkaz Murawjewa 27 czerwca tego roku stracony publicznie w Wilnie.

Dopiero w r. 1854, więc w jakieś sześć lat potem, dzięki usilnym staraniom jego znajomych złagodzono mu nieco los. Został awansowany na podoficera i jako taki miał prawo zamieszkać w stolicy tamecznych krajów — w Orenburgu [1]).

Lecz jakżeż gwałtownie zmienia się życie tego człowieka od chwili upadku Mikołaja I i z przyjściem na tron Aleksandra II! W jakimś dzikim podskoku leci w górę ten człowiek. Awansowany na oficera w 1855 r., w 1857 kończy najwyższy wojskowy zakład naukowy — petersburską akademię wojenną, a w 1859 r. jest już profesorem tej akademii, wykładającym więc i uczącym innych rosyjskich oficerów. Wkrótce potem zostaje nieodłącznym, koniecznym kółkiem machiny państwowej rosyjskiej, jest zaufanym człowiekiem ministra spraw wojskowych, Milutina [2]), jest delegatem państwa rosyjskiego na paru kongresach międzynarodowych. Wywiera wpływ w sferach wojskowych tak olbrzymi, że, jak powiadano wówczas w ministerium spraw wojskowych, nic się nie działo w armii rosyjskiej bez woli lub wpływu Zygmunta Sierakowskiego. Takie metamorfozy w państwie «fachowców», jakim była «par excellence» [3]) Rosja, wydawały się niepodobne do wiary. A jednak kariera Zygmunta Sierakowskiego jest faktem historycznym. Zygmunt Sierakowski nie uważa nawet za potrzebne kryć swoich patriotycznych uczuć, nie ukrywa, jak to czynili później nasi rodacy, że jest Polakiem. Mówi o tym głośno i spokojnie. Zygmunt Sierakowski nie używa swoich wielkich wpływów w stolicy carów, aby kogoś protegować, nie używa swoich wpływów dla zburzenia spisku w Polsce czy wewnątrz Rosji.

Ten obrazek, który wam tu daję, nie świadczy przecie o niczym innym, jak o tym, jak głębokie zmiany wówczas zachodziły w Rosji, jak styl państwa się zmieniał, a życie stawało nieledwie do góry nogami i rzeczy niemożliwe wczoraj stawały się możliwymi dzisiaj, i wczoraj niepodobne było do dzisiaj, a dzisiaj do jutra.

Biorę drugi obrazek. Oto przyjaciel Zygmunta Sierakowskiego, pułkownik sztabu rosyjskiego, Sawicki [4]), który w powstaniu przybrał, podobnie jak to robili nasi legioniści, pseudonim «Struś», opisuje we wspomnieniach swój wyjazd do powstania ze stolicy carów, z Petersburga. Dzieje się to w maju,

---

[1]) Orenburg, gubernialne miasto nad rzeką Uralem.
[2]) Por. str. 65, przyp. 1.
[3]) Wybitnie.
[4]) Sawicki-Stella Jan (Struś), (1831—1911), wybitny uczestnik powstania, autor prac: «Galicja w powstaniu styczniowym» i «Rok 1863».

dnia 26 maja, gdy, jak wiadomo, powstanie wybuchło już 22 stycznia.

W nadnewskiej przystani parostatków «zebrało się grono przyjaciół, odprowadzających mnie do Kronsztadu, gdzie miałem przesiąść się na szwedzki statek i udać do Altony. W s z y s c y w i e d z i e l i d o k ą d i p o c o j a d ę, bo przed nimi nie taiłem zamiaru udania się tam, dokąd obowiązek mnie wzywał. Dymisja ze służby wojskowej i paszport zagraniczny głosiły, że jadę dla poratowania zdrowia do zagranicznych wód mineralnych. O czwartej po południu podniesiono kotwicę i statek ruszył w dół wspaniałej rzeki. W ciągu dwugodzinnego przejazdu muzyka najęta grała i rozmowa toczyła się wesoło, wino ożywiało ją jeszcze» [1]).

Oto próba stylu epoki, panującego w sąsiednim państwie. Pułkownik sztabu generalnego rosyjskiego wyjeżdża po to, żeby się bić z Rosjanami, w chwili, gdy strzały już grzmią na polach Polski. Żegnają go nieledwie, jak attaché polskiego, którego należy szanować i któremu na pożegnanie mówi się: «Szczęść Boże!» Żegnają go prawdopodobnie jego właśni koledzy wojskowi, którzy spokojnie mówią: Jutro, być może, na polu bitwy spotkamy się, lecz dziś jeszcze uściśnijmy dłoń, dziś jeszcze możemy powiedzieć sobie: «Szczęść Boże!»

Czy nie widzicie, panowie, w tych dwóch obrazkach tych głębokich zmian i przeobrażeń, które dokonywały się pod wpływem oswobadzającego, liberalnego kierunku w Rosji? Była to epoka olbrzymiego zachwiania się dawnych podstaw państwa. Na czele tego kierunku liberalnego stał nie kto inny, jak wszechwładny pan Rosji — Aleksander II. Zagorzałym zwolennikiem tego prądu był inny członek rodziny panującej, brat carski, Konstanty, który najsilniej i najdłużej podtrzymywał ten kierunek liberalny w państwie rosyjskim. On to właśnie zostaje wysłany do Warszawy, jako cesarski namiestnik.

Mówiłem już o konieczności w takich czasach radykalnych reform zmieniania «aparatczików», wykonawców woli rządu. Mówiłem o przeszkodach, które stawić mogą «sabotażniki» którzy nie chcą lub nie mogą przeprowadzić w życie rzeczy niemożliwych dla nich do zrozumienia. Ileż przewrotów myślowych wynikło w owych czasach w głębi duszy rosyjskiej, ile powagi rządu na szwank narażono, ilu autorytetami zachwiano, ile niemożliwych do rozstrzygnięcia kwestyj stawiano przed ciemne, ogłupiałe nieraz głowy urzędników i generałów!

[1]) Pamiętnik płk. Strusia, drukowany w «Wydawnictwie materiałów do historii powstania», t. II, str. 3.

Gdy zajmowałem się tą epoką, a studiowałem ją ze źródeł rosyjskich więcej, niż z polskich, porywał mnie śmiech niekiedy i ogarniała mnie niewiara w fakty bezsprzecznie prawdziwe. Historia tego dziwnego czasu sprawia wrażenie jakichś bajek z tysiąca i jednej nocy...

Niech mi będzie wolno z tej historycznej literatury rosyjskiej przytoczyć fakt, który wam, wilnianom, dziwaczność tych czasów rosyjskich jaskrawo wyobrazi. Do Wilna zostaje wysłany Murawiew [1]). Był on znany jako obrzydliwy złodziej i łupieżca, był na czarnych listach wszystkich spisków, był niezdatny do użycia w państwie rosyjskim, należał do ludzi pogardzanych, gdyż był jednym ze zdrajców, którzy za czasów spisku wydali sprzysiężonych w ręce Mikołaja I. Chcąc więc podwyższyć autorytet wysyłanego do Wilna Murawiewa, nakazano, żeby go żegnano na dworcu możliwie najuroczyściej. Lecz generał-gubernator petersburski, kniaź Arkadiusz Suworow, nie tylko sam nie wyszedł żegnać Murawiewa na kolej, lecz zabronił swemu garnizonowi, by jakikolwiek oficer ważył się zjawić na jego pożegnanie.

Ten jeden fakt daje wyobrażenie, w jakiej dziwacznej sytuacji znajdować się musiał wtedy każdy wykonawca woli rządu rosyjskiego, ile konfliktów myśli i serca musiało się wytwarzać przy pracy rządu rosyjskiego, jak osłabionym było państwo rosyjskie w owym czasie, gdy się spotkało z kwestią polską, która, jak mówiłem, żyła nie tylko w sercach i umysłach Polaków, w sile nieznanej późniejszym naszym pokoleniom, lecz żyła również w sercach wielu Rosjan.

W dalekiej Anglii działał wtedy jeden z emigrantów rosyjskich, niezwykle zdolny publicysta i pisarz, Aleksander Herzen [2]), który zaczął wydawać pismo pod tytułem «Kołokoł» (Dzwon). Historia mówi, że jeden z egzemplarzy tego pisma

---

[1]) Por. t. I, str. 205.

[2]) Herzen Aleksander Iwanowicz (1812—1870), jeden z najwybitniejszych rewolucjonistów rosyjskich, organizator rewolucyjnego ruchu wśród młodzieży rosyjskiej. Aresztowany w 1834 roku i zesłany do Permu. W 1847 roku wyjechał za granicę, gdzie spędza resztę życia. W 1857 założył w Londynie głośne czasopismo «Kołokoł» (Dzwon), które miało olbrzymi wpływ na kształtowanie się ówczesnej rosyjskiej opinii publicznej w kierunku reform politycznych i społecznych, domagające się konstytucji, uwłaszczenia włościan. W r. 1861 «Kołokoł» zbliżył się do polskiego obozu narodowo-rewolucyjnego i propagował niepodległość Polski. Po wybuchu powstania zdecydowanie popierał sprawę polską, wskutek tego utracił swą olbrzymią popularność w Rosji.

był bity na specjalnym papierze. Dla kogo? Dla cesarza Aleksandra II.

Oto, co pisze o wpływie tego pisma Włodzimierz Milowicz [1]), uczestniczący w pracach Rządu Narodowego, ziemianin z Wołynia, człowiek o względnie bardzo umiarkowanych przekonaniach, który, kreśląc swe wspomnienia znacznie później, stara się być krytycznym w stosunku do samego siebie i do swoich kolegów:

«Herzen wziął się do wykonania swego projektu (założenia za granicą pisma rosyjskiego) z zapałem i najzupełniejszym oddaniem się, a będąc sam pisarzem znakomitym, postawił rzeczywiście pismo swe w rzędzie najlepszych publikacyj tego rodzaju. Z początku pismo to nie dochodziło prawie do Rosji, bo Herzen był osamotniony i z krajem swym stosunków nie miał, ale po kilku miesiącach istnienia emigracja polska, widząc w nim dobry środek szerzenia agitacji w Rosji, przyszła Herzenowi w pomoc i stosunkami, i drogami, które miała od dawna, zaczęła rozpowszechniać je między Moskalami. «Kołokoł» sprawił nadzwyczajne wrażenie na Moskali, każdy numer jego był przepisywany na tysiące egzemplarzy i czytany z największym zapałem, a ponieważ pismo to zajmowało się głównie krytyką rządów Mikołaja i wykryciem nadużyć, popełnianych przez ludzi, którzy pozostali jeszcze w tych czasach na najwyższych szczeblach hierarchii urzędniczej, a których miejsca chcieli zająć urzędnicy młodsi, pismo Herzena znalazło początkowo nie tylko pewną tolerancję rządu, ale nawet tajemnych protektorów pomiędzy osobami, najbliżej cara stojącymi. Faktem to jest dowiedzionym, że wiele szczegółów, dotyczących nadużyć i kradzieży, popełnianych przez dygnitarzy mikołajewskich, przychodziło do Herzena z rozmaitych ministeriów z Petersburga i od ludzi, u władzy stojących, a cały dwór carski, wszyscy dygnitarze i sam car nawet, czytywali «Kołokoł». Imię Herzena stało się więc głośne i popularne, a pismo, przezeń wydawane, rodzajem wyroczni, w której cała Rosja zaczęła czerpać mądrość polityczną i cnotę» [2]).

Herzen stanął od razu na stanowisku tym, na którym stali Polacy, na stanowisku odrębności państwa polskiego, uznawania granic 1772 r., które, jak mówiłem poprzednio, żyły jeszcze w całej pełni w sercach, mózgach i nerwach polskich.

---

[1]) Włodzimierz Milowicz, komisarz Rządu Narodowego we Lwowie.

[2]) «Z papierów po śp. Włodzimierzu Milowiczu», druk. w «Wydawnictwie materiałów do historii powstania 1863—1864 r.», t. IV, str. 32 i in.

Chciałbym dać przykład, do czego prowadzi, moi panowie, takie rozchwianie myśli państwowej rosyjskiej, o którego skutkach i my, późniejsze pokolenie, możemy mieć także pewne wyobrażenie. Oto leży przede mną pamiętnik Romana Rogińskiego [1]), który w momencie powstania stanął na czele ruchu na Podlasiu i przygotowywał napad na garnizon rosyjski, stojący w Białej. Garnizonem dowodził gen. Mamajew. Ma on pod swoim dowództwem w Białej baterię artylerii, kompanię piechoty i kilka kompanij inwalidów, oprócz tego sotnię kozaków i żandarmów. Wszystkie więc rodzaje broni są tu reprezentowane.

Nie będę wchodził w szczegóły planu akcji Rogińskiego. Nie udało mu się. Nie udało mu się dlatego, że oficerowie rosyjscy, z którymi był w zmowie, w ostatniej chwili przestrzegli Mamajewa. Ten, nie czekając wyznaczonej na wieczór zbiórki powstańców, zamierzających dokonać napadu w nocy, już o godzinie 10 rano zaalarmował cały garnizon.

Na rynku w Białej stanęła w pełni cała siła rosyjska. A na drugim końcu tego samego rynku Rogiński, zaskoczony alarmem, zbiera z trudem swoje siły. Od godziny 10 rano odbywa się ta powolna zbiórka sił polskich, nieledwie o 30—40 kroków od siły rosyjskiej i trwa to, moi państwo, godzinami całymi, a gen. Mamajew nie rusza ani jednym krokiem. Ba, więcej, Rogiński, bojąc się o swoje położenie, nakazuje ekstra-poczcie, żeby leciała czym prędzej ściągać ludzi do niego. Poczta wyjeżdża z tegoż rynku, przelatuje tuż przed frontem armat i wojska rosyjskiego — Mamajew nie rusza ani krokiem.

«Siły nasze były zbyt nierówne — pisze Rogiński — bym się odważył uderzyć na rynek. Czekam więc do dwunastej na posiłki, lecz dwunasta wybiła, a nikt jeszcze nie nadszedł. Widząc, że posiłków jak nie ma, tak nie ma, wysyłam trzy ekstrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku — rzecz charakterystyczna — przepuszczają je, a trąbki pocztylionów donoszą mi, że rozkazy moje pobiegły. Rozkazałem, by oddziały pośpieszały i skierowały się na drogę z Białej do Janowa. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch i zdetonowanie przeciwnika, gdy nas zobaczy, wyciągnąłem linię moich kosynierów, jednego kosyniera postawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: «Prowadź! Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska, za czym się opamiętają, przejdziemy przez

[1]) Por. t. III, str. 113.

miasto w kierunku Janowa, a tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można, wrócimy na powrót do miasta». Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców, wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: «Bez mego rozkazu ani jednego strzału! Bracia! Naprzód! W imię Boże!» Tak wyszliśmy na rynek. Stał tam gen. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą, siłą, z ośmiu armatami, czterystu karabinami i stu lancami. Przechodzimy o 30 kroków z dala przed frontem wojsk rosyjskich — głuche milczenie — słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przechodzimy rynek w ulicę Janowską do skraju miasta» [1]).

Cóż się działo u Mamajewa? Co miała znaczyć ta jego taktyka? Przecież ten obrazek mówi o jakiejś niesłychanej bezczynności, o jakimś dzikim niezdecydowaniu. A objaśnienie jest proste: Mamajew się boi, czy czasem poruszenie jego nie będzie źle zrozumiane przez Konstantego, który siedzi w Warszawie. Drży, czy czasem nie straci łaski swego przełożonego, jeżeli ruszy tych «oberwańców». On się boi, on głowę ma rozchwianą, on nie wie, jak postąpić. Otrzymuje instrukcje takie, jakie mieli, pamiętam, oficerowie etapów, by z moją partią, idącą na Sybir [2]), obchodzić się grzecznie i surowo, i żaden oficer tego nie wiedział, jak wybrnąć z tej grzecznej surowości i surowej grzeczności. Biedny Mamajew! Miał za mało elastyczną głowę, by wyjść z takich łamigłówek i rozwiązać rebusy surowej grzeczności i grzecznej surowości w stosunku do powstania. Oto próbka zamętu pojęć w głowach ludzi rządu rosyjskiego. Zamęt był wywołany szybkimi zmianami, przy których dziś nie było podobne do wczoraj.

Gdy pragnie się poznać styl jakiejkolwiekbądź epoki bez możności, że tak powiem, przebrnięcia jej swym własnym życiem, trzeba umieć przybliżyć sobie życie tamtych czasów do własnych przeżyć.

Moi panowie! Należymy wszyscy do pokolenia, które może najwięcej z pomiędzy pokoleń polskich przeżyło w życiu zmian, pomimo tego, żeśmy się o nie sami zanadto nie starali. Byliśmy świadkami przemian tak wielkich, tak głębokich i tak nagłych, że dosyć jest poruszyć niedawne popioły zapomnienia, by z nich iskry pamięci innego zupełnie życia wydobyć.

Jeden przykład na myśl mi przychodzi, gdy widzę przed

---

[1]) Roman Rogiński: «Kartki z pamiętnika». Biblioteka Warszawska 1907, t. II, str. 427.

[2]) Piłsudski został w roku 1887 skazany na zesłanie do Syberii Wschodniej. (Por. t. I, str. 3).

sobą moją panią siostrę [1]). Przykład z czasów, gdy wczoraj jest niepodobne do dzisiaj, gdy dzisiaj jest niepodobne do jutra. Biorę epokę, gdy również reformacyjna gorączka przebiegała po całej Rosji, epokę wojny japońskiej i rosyjskiej przegranej. Odwiedziłem wtedy siostrę po raz pierwszy po długim niewidzeniu się, spowodowanym obawą, by jej wobec władz rosyjskich nie skompromitować. Już sam fakt, że mogłem ni stąd, ni zowąd zjawić się u siostry po długich latach, już sam ten fakt mówi, że co było wczoraj, jest niepodobne do dzisiaj.

A było to tak powszechnym w owe czasy, że gdy je przypominam, smutno mi się robi zawsze. Wydaje się bowiem nieraz, że wtedy najbardziej jaskrawo, najbardziej jasno wystąpiło na jaw, jak daleko wewnętrznie zostaliśmy «organicznie wcieleni» do obcego nam organizmu. «Wcielano się» wtedy z zapałem od prawa do lewa, od starszych do dzieci. Ba! Zdrajcą kraju i wyzbytym z wszelkiego patriotyzmu czy innych wzniosłych idei można było być ogłoszonym, gdy się naruszało ten zgodny chór chwalców «organicznego wcielenia». Dom mojej siostry był jeszcze szczęśliwym wyjątkiem pod wielu względami z tej powszechnej potulnej zgody z losem i z musem zapału dla «wcielenia się» jak najchętniejszego.

Kiedyś i siostra, i ja straciliśmy nadzieję, że się kiedykolwiek spotkamy. Pierwszy raz wtedy zobaczyłem jej dzieci. Jak rzeczy się zmieniły! Dzieci z zapałem, godnym lepszej sprawy, bawiły się nie w co innego, jak w «zabastowkę» [2]). Z podziwem oglądałem to, pani siostro, widząc, że styl naszych ojców i styl naszych rodziców był nieco przyćmiony. Dzieci, bawiące się w «zabastowkę» przeciwko niewiadomo czemu, przeciwko rodzicom, przeciwko szkołom, przeciwko bo ja wiem czemu, za co by wczoraj rózgami ich sieczono i wyrzucano z gimnazjów, to dowód, jak dziś było całkiem niepodobne do wczoraj.

I jeżeli, panowie, dotkniecie waszej pamięci, znajdziecie również w tych nagłych zmianach, któreśmy przeszli, całe mnóstwo wczoraj, które nie było podobne do dzisiaj, całe mnóstwo dzisiaj, które nie było podobne do jutra. Dosyć wspomnieć epokę wojny i jej kalejdoskopowe zmiany, przez które każdy z nas przechodził, nie mówiąc o wielkiej epoce, którą obecnie przeżywamy, gdy w r. 1918 zgodnie z określeniem galicyjskim «Polska wybuchła» i rzeczy, które były niemożliwymi, stawały się możliwymi.

Niech mi wolno będzie ze wspomnień, tyczących się

[1]) Mowa o siostrze Piłsudskiego, Zofii Kadenacowej.

[2]) Zabastowka — strajk. Mowa o fali strajków, jaka przeszła po wojnie rosyjsko-japońskiej przez Rosję.

1863 r., przytoczyć fakt, dowodzący, jak wówczas szybko następowały zmiany, jak rzeczy, niedawno jeszcze niemożliwe do przypuszczenia, zamieniały się na rzeczywistość, jak wczoraj stawało się niepodobne do dzisiaj.

Za czasów Mikołaja kuratorem okręgu szkolnego w Warszawie był niejaki p. Muchanow [1]), człowiek, który doszedł do olbrzymiego wpływu po śmierci Paskiewicza [2]), gdy namiestnikiem był niedołężny ks. Gorczakow [3]). Muchanow właściwie rządził w Polsce. Był on powszechnie znienawidzonym, drżała przed nim cała administracja warszawska. Na jego skinienie czekały całe tłumy urzędników. Jego rozkazy były wypełniane prędzej, niż rozkazy Gorczakowa, a społeczeństwo polskie żyło w strachu przed tym potworem.

«Dnia 22 marca 1861 — pisze Giller [4]) — otrzymał dymisję Muchanow ze wszystkich swoich urzędów i w tym dniu jeszcze zdał tymczasową władzę nad komisją spraw wewnętrznych i duchownych w ręce Biernackiego, naczelnika wydziału... Jednocześnie z Muchanowem otrzymał dymisję, jako członek senatu, Pawliszczew i Plehwe, naczelnik wydziału oświecenia, główny pomocnik Muchanowa.

Zmiany te były dobrze przyjęte, a szczególnie dymisja Muchanowa, którą Kraszewski [5]) ogłosił publiczności w Resursie, a dzienniki ogłosiły dopiero nazajutrz, chcąc mu bezpieczny odwrót z Warszawy zapewnić; oburzenie było w istocie wielkie i należało się obawiać o jego osobę. Już 22-go zebrały się tłumy przed pałacem Mostowskich z zamiarem zrobienia mu kociej muzyki. Wysłani przez delegację ze straży obywatelskiej, nakłonili piszczących do rozejścia się. W dniu jednak następnym, w którym na godzinę 9 wieczorem zamówiony był osobny pociąg dla Muchanowa, zebrało się przed dworcem kolei żelaznej mnóstwo ludzi ze świstawkami, katarynkami dla przywitania ministra wrzaskiem, piskiem, a pożegnania go pociskami. Próżne było jednak oczekiwanie zwolenników dysharmonii —

[1]) Muchanow Paweł (1798—1871), historyk, zamianowany w roku 1851 kuratorem okręgu warszawskiego.

[2]) Paskiewicz Iwan (1782—1856), rosyjski marszałek polny, naczelny wódz armii rosyjskiej w powstaniu listopadowym. Po zajęciu Warszawy 8. IX. 1831 r. zamianowany został namiestnikiem Królestwa Polskiego.

[3]) Gorczakow Michał (1795—1861), gen. ros., następca Paskiewicza na stanowisku namiestnika Królestwa Polskiego.

[4]) Por. t. VI, str. 160.

[5]) Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887), powieściopisarz, autor wielu powieści historycznych. W okresie przed wybuchem powstania był on redaktorem warszawskich dzienników: «Gazety Codziennej», a później «Gazety Polskiej».

wszechwładny przez wiele lat, trzęsący Polską minister, wymykał się z Warszawy tajemnie, bocznymi drogami, przez nikogo nie odprowadzany, sam jeden w powozie z żoną, młodą Polką, drżącą z obawy o siebie i męża, który marzył dla narodu, z którego pochodziła, o krwawej kąpieli, i wsiadł do pociągu kolei żelaznej dopiero w Pruszkowie. Na każdej jednak stacji, aż do granicy, a nawet za granicą, we Wrocławiu, grano mu kocią muzykę i rzucano w szyby kamieniami i słomą. Tak Polskę opuszczał Muchanow, któremu przed niedawnym czasem nikt oprzeć się nie śmiał, na którego skinienie w milczeniu oczekiwali wielcy dygnitarze» [1]).

Mówiłem o «zabastowkach» w rodzinie mojej pani siostry. Nasuwa mi to miłe wspomnienie, że jednym z pierwszych objawów i przejawów tych zmian, dokonywujących się w życiu państwowym Rosji w 1863 r., był bunt studentów gimnazjum w niedalekich stąd Święcianach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkałem w życiu swoim jednego z wybitnych ludzi rosyjskich, który wywierał bardzo poważny wpływ na przebieg wypadków w Rosji i był w swoim czasie do pewnego stopnia czymś w rodzaju Herzena, — człowiekiem niezwykle utalentowanym, mającym wpływowe znajomości — niejakiego p. Natansona, sprawosławionego Żyda.

Ile razy z obcymi prowadziłem polemikę o sprawie polskiej, ile razy występowałem w obronie takich czy innych poglądów, tyle razy Natanson stawał zawsze po mojej stronie. Szanował kulturę polską, szanował granice dawne polskie i występował zawsze przeciwko szowinistycznym prądom rosyjskim. Gdy go raz spytałem, co go właściwie skłoniło do takich zapatrywań, odpowiedział mi z dumą, że pierwszym jego wystąpieniem życiowym, jako sztubaka pierwszej klasy gimnazjum w Święcianach, był udział w «rewolucji polskiej». Dowiedziałem się od niego, na czym ta rewolucja polegała. Pewnego dnia w Święcianach zginęły wszystkie godła rosyjskie, a w miejsce ich zawisły białe orły. Gimnazjum, ma się rozumieć, zamknięto, a sztubaków ostro ukarano. Ta demonstracja zawieszania godeł polskich w Święcianach, w granicach historycznych Polski, miała styl ówczesnego okresu. Sole polskiej krwi roztwarzały swą tężyzną wtedy jeszcze krew obcą, która do niej wchodziła. Dlatego Natanson, dzięki swym wspomnieniom dzieciństwa, czuł w krwi swojej epokę 1863 r.

W tym dziwnym czasie przed styczniowym powstaniem,

---

[1]) Agaton Giller: «Dzieje delegacji warszawskiej w 1863 r.», druk. w «Materiałach do historii powstania», t. I, str. 239.

gdy wszystko było «zabastowką», gdy niespodziewane upadki i dziwaczne kariery łamały siłę państwa rosyjskiego, rodziły się dla Polski różne możliwości wzmocnienia sił swoich, gdy mechanizm wrogiego państwa stawał się tak słaby. Jedynie na tej podstawie można zrozumieć możność powstania 1863 r., jedynie pod wpływem tych przemian i zmian życia rosyjskiego myśl polska nabierała odwagi. Przejawami wzrostu tej śmiałości były i zamierzenia powstańcze, i próby zdobycia reform. Dopiero gdy Muchanow wyrzucony został kocią muzyką z Polski, dopiero wtedy Wielopolski [1]) pisał swoje propozycje, swoje żądania do rządu, dopiero wtedy ośmielał się on, jak ośmielała się cała Polska. Krew polska nie była wtedy jeszcze chemicznie zmieszana z krwią obcą i jeszcze nie było między nimi organicznego związku, ale mechaniczny wspólny obieg państwowy niósł infekcję, niósł zarazę gorączki, niósł zarazę myśli, dawał Polsce nadzieję, że to, co wczoraj było niemożliwym, to staje się możliwym dzisiaj.

Tylko wtedy, gdy sobie przedstawimy skazanego w «sołdaty» Sierakowskiego, zasiadającego prawie na ministerialnym krześle w Petersburgu, gdy sobie przedstawimy możliwości, które się wszystkim Polakom otwierały w owe czasy, zrozumieć jesteśmy w stanie epokę 1863 r. i pracę dziejową, której podejmowali się wtedy ojcowie nasi.

Powstanie jednak było wojną w ścisłym tego słowa znaczeniu. Strzelano, padały trupy i ranni, odnoszono zwycięstwa, ponoszono klęski. Dlatego też, jak w każdej wojnie, a wojna trwała rok cały, wagę ma to, co wygrywa, i to, co przegrywa: ważnymi są oficerowie i wojsko. Dlatego wielcy ludzie ówcześni, Sierakowski i inni, rozpoczęli na długo przedtem pracę nad spiskami i organizacjami wojskowymi. Organizacje wojskowe były niezwykle rozgałęzione i rozwój ich do wybuchu powstania stawał się coraz szerszy. Organizacja obejmowała oficerów nie tylko polskich, ale i rosyjskich, tak, że trudno niekiedy ustalić, gdzie się kończyła konspiracja polska, a odkąd zaczynała rosyjska.

Zygmunt Sierakowski był jednym z założycieli ówczesnej organizacji «Ziemli i Woli» [2]), był tym, który pchnął, korzystając ze swoich wpływów, jakie miał w Petersburgu, młodzież wojskową na drogę konspiracyjną, na drogę spisku. Po pewnym przeciągu czasu Centralny Komitet Narodowy zawarł umowę z organizacją «Ziemli i Woli». Umowa wymagała od

[1]) Por. t. III, str. 110.
[2]) Por. t. VI, str. 65.

wszystkich oficerów, należących do tej organizacji, przystąpienia do powstania w pierwszej chwili, wymagała posłuszeństwa władzom polskim, nie pozwalała zorganizowanym ani chwili się wahać i odstąpić od obowiązku wspólnej pracy. Łatwo zrozumieć, jak taka możność liczenia na pomoc w szeregach wroga ułatwia wojnę, pozwala obliczać rozumnie szanse, daje podstawę techniczną dla spisku.

Chcę przytoczyć parę ustępów z ówczesnych wspomnień na dowód, jak szeroko rozgałęziona musiała być organizacja wśród rosyjskich wojskowych. Józef Oxiński, pułkownik wojska polskiego, zostaje przed samym wybuchem powstania wyznaczony na Kaliskie. Ma on za zadanie przetransportowywanie broni, idącej przez Prusy, i przygotowanie wybuchu powstania w ziemi kaliskiej.

Oto, co pisze Oxiński:

«Na parę dni przed wyjazdem z Warszawy, to jest około połowy stycznia, będąc u Potjebni, ówczesnego prezesa związku rewolucyjnego moskiewskiego «Russkaja Ziemla i Wola», prosiłem go o wtajemniczenie w organizację tego związku między wojskami, w województwie kaliskim stojącymi, a ponieważ nie mógł mnie w tej chwili objaśnić z powodu, iż tą częścią kraju nie zarządzał, a jego zastępca na tę część kraju chwilowo jest nieobecny w Warszawie, przeto z powodu nagłości mego wyjazdu powiedział mi: «Możesz śmiało rachować na oficerów artylerii — wielu z nich jest w związku, a ci, którzy w nim nie są, są tak przyzwoici i uczciwi ludzie, iż żaden roli policyjnej nie podejmie się» [1]).

Czy panowie sobie przypominają wyjazd p. pułkownika Strusia-Sawickiego z Petersburga, gdy mówią mu Moskale: «Szczęść Boże!» Teraz czytamy o radzie, dawanej oficerowi polskiego powstania, że do każdego oficera artylerii rosyjskiej można zwracać się śmiało i na pomoc jego rachować, bo albo do spisku należy, albo jest przyzwoitym człowiekiem, który nie zdradzi. Wobec tego, że artyleria była rozrzucona po całym kraju, tych «uczciwych i przyzwoitych ludzi» było całe mnóstwo.

Popatrzmy teraz, w jaki dziwaczny sposób Oxiński trafia na nici konspiracji rosyjskiej, sposób, który mnie, starego konspiratora, tylko śmieszyć może. Oxiński przyjeżdża do miasteczka Warty, które wybrał sobie jako główny punkt koncentracyjny na wypadek powstania. Stoi tam między innymi ba-

[1]) Józef Oxiński: «Od 16 do 27 stycznia 1863», druk. w «Czterdziestą rocznicę powstania styczniowego», str. 317.

teria artylerii. Dowiedziawszy się w cukierni o nazwisku i mieszkaniu dowódcy baterii, zwraca się po prostu do niego.

Oto opis ich zaznajomienia się: «Na podstawie udzielonego mi objaśnienia wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerii p. Spławskiego, a oddając służącemu palto — zapytałem, czy kapitan jest w domu i czy sam się znajduje? — na twierdzącą odpowiedź wszedłem do pokoju, gdzie spotkałem się oko w oko z młodym, około 30 lat mającym mężczyzną, o inteligentnym wejrzeniu i układzie wojskowym, pytającego mnie czystą polszczyzną: «Czego pan sobie życzysz?» Zamiast odpowiedzi wręczyłem mu kartkę błękitną, przedstawiającą mnie jako agenta Komitetu Rewolucyjnego «Ziemla i Wola», dodając jednocześnie, iż jeżeli spotkałem uczciwego człowieka, udzieli mi żądanych objaśnień, — jeżeli przeciwnie — może łatwym sposobem uzyskać jedną gwiazdkę więcej. Popatrzył na mnie uważnie i, wyciągając ze skrytki swego pugilaresu kartkę wyglądu błękitnego, wręczył mi ją za całą odpowiedź.

Przekonawszy się, iż spotkałem współtowarzysza w pracy, zwróciliśmy sobie nasze niewinne karty wizytowe, przy uścisku dłoni, a powiedziawszy mu moje legalne nazwisko, usiedliśmy z papierosami w ustach do koleżeńskiej gawędy».

O czymże oni mówili?

Postanowiliśmy — pisze dalej Oxiński — «1) proskrybowanych i zorganizowanych pozostawić w mieście i tajnie przygotować dla nich siekiery i topory; 2) na parę godzin przed wybuchem mają się znajdować pod pozorem odwiedzin u gospodarzy domów, w których kwaterują żołnierze, aby w chwili sygnału roztworzyć drzwi wchodowe do domów i wraz z przybyłymi proskrybowanymi bądź wyciąć, bądź uspokoić znajdujących się na kwaterach żołnierzy; 3) na koszary kozackie i stajnie przeznaczyć 30 ludzi, uzbrojonych w broń palną i siekiery, którzy, obstawiwszy drzwi i okna, nie dopuściliby wyjścia żadnemu kozakowi, zabijając bez litości usiłujących się wydostać; 4) na szopy artyleryjskie przeznaczyć 25 ludzi, uzbrojonych w siekiery i przynajmniej 5 strzelców w dobre dubeltówki, a zgładziwszy w cichy sposób pod osłoną nocy szyldwachów, osadzić drzwi i okna i nie wypuścić nikogo żywego na zewnątrz».

Od tegoż rosyjskiego kapitana otrzymuje Oxiński zapewnienie, że w terminie wybuchu sprosi on do siebie wszystkich oficerów i junkrów na ucztę koleżeńską — «aby tak zebranych wszystkich oficerów komendy w stanie upitym oddać pod rozporządzenie powstańców, sam bowiem, jako kolega z kolegami,

a przede wszystkim jako uczciwy człowiek — wzdrygał się od wszelkiego postępowania». [1]).

Oto jest jeden z najjaskrawiej opisanych wypadków współdziałania powstańców z rosyjskim wojskowym. We wspomnieniach o nocy styczniowej znajdziecie podobne wypadki wszędzie. Znajdziecie więc je u Lewandowskiego [2]), który był naznaczony dowódcą województwa podlaskiego. Znajdziecie te same wiadomości u Rogińskiego, który wspomina, że w spiskowej organizacji w Białej «mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódca baterii Suchodolski i adiutant jego Zalewski — oprócz tego było szesnastu kanonierów Polaków w owej baterii i kilku żołnierzy z piechoty»; owi oficerowie rosyjscy «zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacji, mieli wystraszyć konie wystrzałami, by ich trudno było użyć artylerzystom» [3]).

Podobne wiadomości znajdziemy w wspomnieniach Deskura [4]) którego sprzysiężeni oficerowie rosyjscy przestrzegają przed zamiarem aresztowania go, i t. d. [5]).

Było mnóstwo wypadków zdrad czy przestrachu oficerów rosyjskich w ostatniej chwili, lecz sam fakt rozgałęzienia tajnej organizacji, sam fakt przystąpienia w każdym prawie miejscu oficerów do sprzysiężeń zarówno polskich, jak i rosyjskich, mówi o ogromnym technicznym rezultacie spiskowej pracy polskiej w owej chwili, mówi o tych ogromnych możliwościach, które się mogły nasunąć i narzucić ludziom powstania 1863 r., gdy obliczali swoje szanse powodzenia, gdy robili rachunek swojej pracy i rachunek tego jutra, przed którym stawali.

Proszę panów, przechodzę do rzeczy najgłówniejszych. Wszyscy historycy bez wyjątku wspominają o zasadniczym planie, powziętym na posiedzeniu Centralnego Komitetu Narodowego. Wspomina o nim mimochodem i Walery Przyborowski, unikając prawdopodobnie wstydliwych zakątków historii, nie naszej, ale rosyjskiej. Plan ten był przysłany nie przez kogo innego, jak przez ówczesnego wodza polskiego, Jarosława Dąbrowskiego. Siedział on wtedy, niestety, już w cytadeli i zastę-

---

[1]) J. Oxiński: loc. cit., str. 319.

[2]) Por. t. III, str. 90.

[3]) Roman Rogiński: «Kartki z pamiętnika». Bibl. warsz. 1907, t. II, str. 424 i 426.

[4]) Bronisław Deskur, dowódca oddziału powstańczego, który uderzył na Radzyn.

[5]) Z pamiętników Bronisława Deskura. «Wydawnictwo materiałów do historii powstania», t. II, str. 150.

pował go słabszy pod względem charakteru od niego Zygmunt Padlewski. Z chwilą, gdy zdecydowano, że wybuch nastąpić musi jako odpowiedź na brankę Wielopolskiego, nie liczono na natychmiastowe zwycięstwo i, odkładając silniejsze wystąpienia do wiosny, zaczęto ściągać do Polski transporty broni z za granicy.

Wówczas Jarosław Dąbrowski przysłał natychmiast swój plan działania, według którego napad miał być prowadzony przede wszystkim na fortecę Modlin. Modlin miał obsadę bardzo słabą, składającą się z inwalidów, t. zn. żołnierzy, niezdatnych przeważnie do boju i spełniających tylko wartowniczą i garnizonową służbę. Poza tym Modlin był siedzibą junkierskiej szkoły, której połowa była wciągnięta do spisku. Wreszcie w Modlinie, jak to zwykle w fortecy bywa, leżały zapasy wojskowe na wypadek wojny — przede wszystkim 70.000 karabinów z mnóstwem amunicji. Wiedział o tym Dąbrowski, który był jednym z wyborowych oficerów sztabu rosyjskiego, jednym z ludzi nadzwyczajnie zdolnych i energicznych i stąd wynikł jego plan napadu na Modlin. Wszystkie napady, które robiono w nocy styczniowej, były właściwie akcjami dodatkowymi, były próbą odciągnięcia wojsk rosyjskich od miejsca głównego ataku.

Rząd Narodowy był tak przekonany o możliwości udania się tego planu Dąbrowskiego, że poczynił przygotowania, by część członków rządu mogła wyjechać natychmiast do Płocka, gdzie mieli podpisać już własnym imieniem i nazwiskiem manifesty i deklaracje Rządu Narodowego o wojnie z Rosją. Chciano, jak na jednym z posiedzeń mówiono, mieć rząd jawny i byli gotowi oddać swoje nazwiska do wiadomości społeczeństwa polskiego, a do rozporządzenia wrogowi.

Nie chcę wchodzić w to, dlaczego plan się nie udał, nie chcę rozpatrywać tych rzeczy, gdyż zawsze mam podejrzenie, że gdzieś tam siedział jakiś rosyjski Oskar Awejde i na czas donosił. Dziwiło mnie przy studiach nad tym okresem, jak wiele niektórych usiłowań zostało na czas uprzedzonych. Z Modlina szkoła junkierska została wysłana do Rosji i sprowadzony został nowy garnizon.

Moi panowie! Przytaczałem fakty i urywki wspomnień ludzi 1863 r., abyście odczuli ten styl ówczesnej epoki, styl zarówno polski, jak i rosyjski. Był to czas głębokich zmian i przewrotów umysłowych, czas rozchwiania potęgi Rosji i wzmocnienia siły polskiej przez najrozmaitsze wpływy. Bez uwzględnienia tych objawów cała historia 1863 r. jest niezrozumiałą,

wydaje się śmieszną, jak chce to przedstawić Walery Przyborowski.

Nie chcę zakończyć dzisiejszego wykładu bez przypomnienia jednego epizodu, który odbiega od ówczesnego stylu polskiego i który jakby wskazywał na początek nowej ery i nowego pokolenia, do którego my należymy. Mówię o dziwacznej próbie zrobienia gdzieś, nad Wołgą, korzystnej dla powstania polskiego dywersji. Ówcześni kierownicy losów Polski wierzyli w skuteczność tego przedsięwzięcia i poświęcili na nie dużo sił. W Kazaniu rozstrzelano wtedy między innymi kilku oficerów polskich, rzuconych tam na tę imprezę.

Jaką wagę przykładano do tej akcji nad Wołgą, świadczy fakt, znany mi z opowiadań jednego z tych, którzy kończyli szkołę kadetów w Brześciu. Uczniowie starszych klas mieli wyznaczone przez kierowników tajnych organizacyj wojskowych, gdzie mają się zjawić w momencie wybuchu powstania. Tymczasem rząd rosyjski zamianował nagle, bez egzaminów, uczniów wyższych klas oficerami i wyznaczył im garnizony w głębi Rosji. Powstanie jeszcze nie wybuchało i zaskoczeni tymi zarządzeniami uczniowie wysłali delegatów do Warszawy z zapytaniem, co mają robić. I oto ze strony władz spiskowych dano rozkaz, by do oficjalnych odkomenderowań zastosowali się ci, którzy zostali wyznaczeni do pułków, stojących nad Wołgą. Co więcej, byli ludzie, którzy z Polski wyjechali, by brać udział w tej nadwołżańskiej imprezie, pomiędzy innymi kapitan Mroczek, który miał, według Rogińskiego, już wyznaczone dowództwo na Podlasiu i który przed samym powstaniem jedzie do Kazania, by być tam rozstrzelanym.

Cały ten pomysł robienia dywersji nad Wołgą, który kosztował dużo sił polskich, wynikł z egzageracji zaczynającego się podówczas kierunku, t. zw. «narodniczestwa». Zaczęto wierzyć w jakiś mesjanizm rosyjski, w jakieś wewnętrzne siły ludu czy państwa rosyjskiego, tak, jak niedawno wierzono w słowiańskie moce, w Rosji ukryte.

Zaczyna się, moi panowie, przedsmak tych soli rosyjskich, które do owego czasu w żyłach naszych się nie rozkładały, a które w następnym pokoleniu już zmieniały skład chemiczny naszej własnej krwi.

Rok 1863 więc leży na rubieży naszych dziejów, zmienia styl życia polskiego, daje nowe pokolenie, całkiem inne, niż tamte, nad którym sądy tak łatwo chcą ludzie wydawać.

Nakreśliłem w tym wykładzie wpływ Wschodu, wpływ Rosji, dla zrozumienia ludzi 1863 r. Widzieli oni skazańców, którzy stawali się nieledwie ministrami i widzieli ministrów Mi-

kołaja, jak wygwizdani, ośmieszeni kocią muzyką, wyjeżdżali z Warszawy. Wszystko, co oczy ich widziały, wszystko, co nerwy ich czuły, ulegało przemianom gwałtownym, niespodziewanym i wielkim, przetwarzając z dnia na dzień życie polskie. Rodziło to w nich myśli o możliwości przedsięwzięć najśmielszych, dawało pewność posiadania szans powodzenia, których im późniejsze pokolenie stale chciało odmówić.

WYKŁAD III

Szanowne panie i szanowni panowie! Przy omawianiu oddziaływania Zachodu na epokę 1863 r. nie mogę trzymać się sposobu, którego używałem przy rozpatrywaniu wpływów Wschodu. Wpływy Wschodu skupiały się w pewnych osobach, czynnych w tym okresie lub w pewnych specjalnych działach pracy. Wpływ Zachodu był niezmiernie rozległy, co wynikało ze wspólnego z nim właściwie życia Polski. Stąd mnóstwo pierwiastków, które się na ten wpływ składały.

Przeżyliście, panowie i panie, niedawno swoje zmiany duchowe, jakże często pod wpływem Zachodu. Podlegaliście nieraz w swych sądach i w swych postępkach nawet ploteczkom, idącym z Zachodu. Łatwo możecie sobie więc przedstawić, że Polacy ówcześni mało się różnili od was pod tym względem.

Wpływ Zachodu dałby się wszechstronniej wyjaśnić dopiero wtedy, gdybym przyniósł ogrom ksiąg, zrodzonych na Zachodzie, a oddziałujących wtedy na Polskę, gdybym czytał noty dyplomatyczne, wskazywał tajne wskazówki, dawane stamtąd czy z owąd, gdybym wreszcie zaczął cytować całe mnóstwo ówczesnych plotek i całe mnóstwo drobnych najrozmaitszych egzageracyj, podobnych do tych, które wy z własnego niedawnego doświadczenia, z własnego życia tak dobrze znacie.

Oddziaływania Zachodu szły różnymi drogami. Na wyodrębnienie zasługuje wpływ Francji i Włoch. Wspomniałem już, że cały rozpęd 1848 r., cały rozpęd wolnościowych prądów, uderzających o ścianę państwa rosyjskiego, ześrodkował się w działaniach Napoleona III. Nie rozporządzał on, jak jego przodek, wielką armią, gotową na rzucenie jej w pierwszy lepszy punkt Europy. Naród francuski był zmęczony i rewolucjami, i wojnami, ale za to Napoleon III w całej swojej działalności dyplomatycznej nie był, bez wątpienia, człowiekiem przeciętnym. Dlatego wpływy Francji były i w Polsce olbrzymie. Łączyły się one z tą legendą, która szła stamtąd, legendą

oswabadzania i tworzenia nowych skupień państwowych na podstawie narodowości.

Świeży przykład Włoch, niedawno pod wpływem zwycięstwa pod Solferino oswobodzonych od ucisku austriackiego i zjednoczonych w jedno państwo, był żywym w pamięci ludzi, którzy zaledwie kilka lat przedtem widzieli to ogromne zjawisko życia europejskiego. Wielu dziejopisów tego okresu stwierdza zawsze, że wpływ Francji przedłużał wojnę polsko-rosyjską, ośmielał Polaków, budził nadzieje na danie nowej pomocy z jej strony. Zewnętrznymi przejawami tego francuskiego poparcia były znane noty dyplomatyczne, których nie chcę tutaj omawiać. Ale ileż tajnych, prócz tego, kanalików biegło wtedy z Paryża w kierunku kierowników powstania, ażeby ich do trwania zachęcić. Przesadą jest zapewne mówić, że właściwie cała epoka, poza kilku miesiącami powstania, była dziełem Francji, niechybnie jednak przedłużenie stanu wojny Polski z Rosją było wynikiem wpływu Francji.

Wpływ jej łączył się i jednoczył z legendą zjednoczenia Włoch. Wielu z was musiało mieć sposobność oglądania albumów uczestników powstania styczniowego. Wszędzie napotkać tam można fotografie Włochów, którzy pośpieszyli na pomoc Polsce. Lecz nie na tych objawach współpracy Polski i Włoch chciałbym się zatrzymać. Pokonanie Austrii przez Francuzów i Włochów pod Solferino wywołało w Europie podziw dla wielkich patriotów włoskich. Jeżeli siła woli, siła umysłu i tężyzna sprytu genialnego Mazziniego pozostały ukryte i nie przemawiały wskutek tego do wyobraźni, to wystąpienia zewnętrzne wielkiego wodza Włoch — Garibaldiego, śmiałe rzuty, którymi on Włochy — ojczyznę swoją — przebiegał, stanowiły epokę, epokę myśli całej Europy. Teraz jeszcze, gdy się myśli i mówi o wielkich wodzach, przychodzi nam na pamięć imię Garibaldiego.

Praca jego, jako wielkiego wodza, odznaczała się specjalną cechą — zdobywał on znaczne efekty bardzo małymi siłami. Rozporządzał tysiącami lub zaledwie setkami ludzi, a dokonywał dzieła historycznego wyzwolenia państw i państewek włoskich ich własnymi wysiłkami. Wszyscy znamy jedną z pierwszych pieśni powstania, śpiewaną przez nasze matki: «Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę». Jest to kopia tych «tysiąca walecznych», którzy opuszczali niegdyś Nervi dla zdobycia Sycylii i zdobycia Neapolu, tysiąca walecznych Garibaldiego, którzy szli na zwycięstwa i na wywalczenie sobie zjednoczenia ojczyzny.

Wypadki włoskie, podobnie, jak to, co się działo na

Wschodzie, dawały polskim wodzom śmiałość myśli, śmiałość wystąpień i poczucie szans zwycięstwa. Każdy ze współczesnych widział i pamiętał to zjednoczenie Włoch i zdawał sobie sprawę, jak stosunkowo małymi środkami tak wielki efekt został osiągnięty. Ludzie 1863 r. byli z jednej strony, od Wschodu, świadkami osłabiania Rosji, pękania w niej autorytetów tak niedawnych i tworzenia się wewnątrz aparatu państwowego sprzymierzeńców sprawy polskiej, a z drugiej strony, od Zachodu, szła do nich pewność pomocy francuskiej i działał przykład włoski, fakt historyczny, że istnieją Włochy zjednoczone i że dokonane to zostało względnie łatwo, dzięki zwycięstwom Garibaldiego na polach włoskich.

Podkreślam te dwa czynniki, nie chcąc zapominać, jak na codzienne życie polskie, na codzienne nasze sądy wpływały ówczesne pojęcia ogólno-europejskie.

Rewolucja 1848 r. ze wszystkimi prądami, które wywołały tak głębokie zmiany w Europie, stanęła i zatrzymała się, jak mówiłem, u ścian państwa rosyjskiego. Rosja była uważana za coś barbarzyńskiego, za coś obcego światu cywilizowanemu. Pomimo, iż duch liberalny rosyjski i reformy Aleksandra starały się zjednoczyć Rosję z Zachodem, to jednak pozostało stare przekonanie, wspólne nam i Europie, że świat kultury zachodniej kończy się na wschodnich granicach Polski, że dalej idzie Azja. Ten wpływ, jednoczący Polskę z Zachodem, był nadzwyczajnie wyraźny, nadzwyczajnie jasny. Spostrzegamy go nawet po upadku powstania, gdy i rówieśnicy nasi, i starsze pokolenie chcieli widzieć przyczynę naszej przegranej, a wygranej Rosji — tylko w okrucieństwie Moskali, w okrucieństwie barbarzyństwa moskiewskiego, o którym z ust do ust mówiliśmy wtedy na spółkę z całym światem europejskim.

Wpływy Zachodu na codzienną naszą pracę i codzienne nasze myśli były silniejsze od wpływów Wschodu. Szły one jednak, jak panowie widzicie, w tym samym kierunku: ośmielały nas, dawały nadzieję, oręż myślowy, ba, nawet techniczny.

Mówię o fakcie drogim Polsce, o fakcie, o którym zawsze ze wzruszeniem myślałem, o próbie szukania miejsc dla pracy państwowej, zanim się wolności na swych ziemiach nie wywalczy. Mówię o szkole wojskowej, którą założono we Włoszech.

Rozumiecie państwo, że wtedy, kiedy idzie się na wojnę, i wtedy, kiedy się do wojny przygotowuje, trzeba mieć dla niej wyszkolony materiał ludzki. W społeczeństwie ówczesnym,

nie było tego cywilizmu i wstrętu do broni, jaki późniejsze pokolenia polskie odznaczał. Wtedy jasnym i zrozumiałym było, że trzeba tworzyć szkoły wojskowe; były one w logice zdarzeń. Nie wystarczało szukać oficerów i dowódców w spiskach tajnych, rozwiniętych w wojsku obcym. Chciano wytworzyć swoją własną szkołę, przygotowującą przyszłych dowódców.

Mówię ze specjalnym wzruszeniem o tym ze względu na to, żem sam przed wojną europejską taką szkołę wojskową tworzył i że Cuneo [1]) to właśnie taka szkoła strzelecka. Przeszły przez nią setki ludzi, którzy wszyscy do apelu stanęli, dając wszędzie energię, siłę charakteru i to, co daje wychowanie wojskowe, — ciągłość pracy i tę psychiczną karność wewnętrzną, która nie może nie słuchać rozkazów. Dowodem spełnienia swych obowiązków przez wychowanków szkoły w Cuneo jest choćby to, że straty ich są procentowo nierównie wyższe od ofiar innych uczestników powstania.

Pomoc więc efektywna, pomoc techniczna została, jak widzimy, z Włoch dana. Ciekawym jest fakt historyczny, że ta szkoła w Cuneo przyczyniła się do pewnych zmian politycznych Europy. Została ona bowiem zamknięta przez rząd włoski niedługo przed powstaniem za cenę uznania przez Rosję zjednoczonych Włoch i Cavour [2]) kazał zwinąć tę szkołę wtedy dopiero, kiedy otrzymał od Aleksandra II uznanie oficjalne Włoch zjednoczonych.

Chciałbym wreszcie zwrócić uwagę na jeden objaw wpływu na r. 1863 tradycyj zachodnich, związanych z r. 1848.

Studiując jeszcze przed wojną powstanie styczniowe, zainteresowałem się zagadnieniem dostawy broni do Polski. Transporty broni mogły iść przez Prusy lub przez Austrię, tworzące granicę teatru wojny. Przekonałem się, że łatwość transportu broni na całej granicy galicyjskiej zależała stale i przeważnie od jednej rzeczy — mianowicie, jakie wojska stały na granicy ze strony austriackiej. We wszystkich wspomnieniach, choćby np. tegoż pułkownika Strusia-Sawickiego, znajdziecie fakty wykorzystywania tych odcinków, na których stały węgierskie pułki, gdyż tam żołnierz, podoficer, nie mówiąc już o oficerze węgierskim, otwierał bramę granic w jedną i drugą stronę, pracy polskiej przeszkód nie stawiał, a wprost przeciwnie — ułatwiał ją. Jest to wpływ 1848 r., wpływ walk Węgrów

---

[1]) Por. t. III, str. 91 i 102.

[2]) Cavour Kamil, włoski mąż stanu, od 1852—1861 r. prezes ministrów, twórca zjednoczonych Włoch.

o swobodę swoją i wpływy pomocy polskiej, wtedy im danej. Generałowie z 1830 r., Bem [1]) i Dembiński [2]) byli generałami węgierskimi, pamięć ich działalności musiała być wtedy bardzo silną, skoro jeszcze podczas niedawnej wojny spotkałem Węgrów, którzy stawali na baczność, gdy wspominali imię Bema lub Dembińskiego. Wskazuję na ten fakt, bo on również maluje styl epoki ówczesnej, któryśmy zatarli już w duszach naszych, którego już nie chcemy nieraz rozumieć, a bez uwzględnienia którego sądzić o powstaniu nie wolno.

Szanowni panowie i szanowne panie! Boję się pewnego wpływu moich wykładów. Stylem naszego pokolenia było łatwe oskarżanie rodziców, że zrobili powstanie 1863 r. Nasze pokolenie starannie chowało wstydliwe zakątki zaborców, wystawiając na pośmiewisko i pogardę pracę naszych ojców. I dlatego obawiam się posądzenia, że chcę zwalić winę powstania na Rosję albo na Zachód, że chcę zmniejszać pracę powstania i pracę naszych ojców przez wykazywanie ułatwień, idących dla nich od strony Rosji albo ze strony Zachodu. Tak nie jest, jestem od tego jak najbardziej daleki. Twierdzę jedynie zawsze, że jeżeli mamy szukać winy czy zasług, związanych z 1863 r., to powinniśmy ich szukać nie gdzie indziej, jak u tych, którzy tego powstania byli sprawcami.

Kierunki historyczne, wyrosłe ze stylu naszego pokolenia i jemu wierne, chciały zmusić nas do poglądu, że kilkunastu wartogłowów, kilkunastu wariatów, kilkunastu głuptasów, świadcząc o lekkomyślności polskiej, świadcząc o głupocie polskiej, przeszkodziło polskiej rozwadze, rozumowi i powa-

---

[1]) Bem Józef (1794—1850), generał polski. Kształcił się w korpusie kadetów i szkole artylerii w Warszawie. Odbył kampanię rosyjską w 1812. W 1815 mianowany profesorem w szkole artylerii w Warszawie. Wziął udział w powstaniu 1930 roku, po czym przebywał na emigracji, w Paryżu. Podczas rewolucji marcowej w 1848 roku zorganizował obronę Wiednia przeciwko wojskom rządowym. W 1849 roku powierzył mu Kossuth organizację i główne dowództwo wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie. Po szeregu zwycięskich walk z Rosjanami i Austriakami został przez generała Lüdersa pobity pod Temeszwarem i Hermemstadtem (w lipcu tego roku). Po powtórnej porażce pod Temeszwarem schronił się do Turcji, gdzie zreorganizował armię.

[2]) Dembiński Henryk (1781—1864), generał polski. Po wybuchu listopadowego powstania, w randze podpułkownika brał udział w walkach powstańczych i przez pewien czas był Naczelnym Wodzem. Po upadku Warszawy przebywał we Francji. W 1848 r. był naczelnym wodzem wojsk węgierskich, po czym po pobycie w Turcji osiadł we Francji.

dze obdarzyć Polskę nie wiadomo jakimi dobrami. Przeciwstawiając się temu poglądowi, odpowiadam zawsze jedno: kiepską jest ta powaga, kiepskim jest ten autorytet, kiepskim jest ten rozum, który nie zdołał zrobić tego, czego chciał. Była wojna, wojna rok cały trwająca, wojna, panowie, którą wielka Rosja rok cały prowadzić musiała, aby ją wygrać. Czyż można takie zjawisko przypisać jedynie głupocie i śmieszności polskiej, czyż można być tak naiwnym, żeby przypuszczać, iż cały rok wielkie państwo wysilać się będzie na to, by zdusić kilku smarkaczy, zdusić kilku głuptasów, którzy swymi działaniami starają się przeszkodzić rozumowi stanu. Zawsze twierdziłem, że stronnictwo ruchu, jak wówczas zwano obóz, który powstanie nakazał, zrobiło to, co chciało, a ich przeciwnicy, którzy myśl powstania zwalczali, nie potrafili zrobić tego, czego pragnęli i czego chcieli. Więc rozum, praktyczność środków była po stronie pierwszych, nie po stronie drugich.

Proszę panów! Nieraz starałem się porównywać pracę naszych ojców i matek w r. 1863 z działalnością naszych dziadów i pradziadów w r. 1830. Nie mogłem nigdy zgodzić się z tym widocznym dla mnie nonsensem mówienia o słabości, głupocie, czy lekkomyślności naszych przodków jedynie dlatego, że zostali oni zwyciężeni. Rok 1830 miał więcej szczęścia, niż rok 1863. Rok 1830 i 1863 działały innymi metodami — w jednym działała wojna, w drugim — spisek. Kto o tych różnicach nie myśli, nie może wydać o tych dwóch epokach słusznego sądu. Chcieć sądzić o pracy 1830 r. i r. 1863 bez uchwycenia siły spisku i siły wojny — niepodobna.

Siła spisku, a więc i jego szanse powodzenia, były, moim zdaniem, sto milionów razy większe w 1863 r., niż w 1830. Siła spisku 1830 r. była minimalną. Ilość ludzi, wciągniętych wtedy do sprzysiężenia, i ich jakość stanowiły siłę tak drobną, tak małą i nieznaczną, że dziwić się należy, w jaki sposób spisek ten mógł osiągnąć swoje. Już z samego faktu, że nikt ze spiskowych nie wyszedł na górę, nikt z nich nie został wodzem dalszej akcji, już z tego samego wnosić można, jak nikłymi były siły tego spisku. Na podstawie własnych zeznań belwederczyków i podchorążych stwierdzić się musi, że nie było w nich wiary, by oni sami mogli osiągnąć zamierzone cele. Ścigani przez kawalerię rosyjską, następującą na nich trop w trop, po odparciu ich ataku, idą przez Nowy Świat, stukając beznadziejnie do bram i do okien. Sami oni świadczą, że widząc głuche miasto, zabić się chcieli z rozpaczy. Gdy słabość woli Konstantego wyprowadziła wojska rosyjskie z miasta, przywódcy spi-

sku — Wysocki [1]), Zaliwski [2]) i inni — przestają istnieć, jako kierownicy, szukają u innych ratunku dla wszczętej akcji, innym mają oddać dorobek swego czynu, nie umieją wybrnąć z sytuacji, którą sami stworzyli. Cała starszyzna wypowiedziała się przeciwko nim, wszyscy się od nich chowali, jak od zarazy. Oto jest słabość spisku, słabość tego instrumentu, którym działać chciano.

Jakżeż inną jest siła spisku w 1863 r. Rozkaz, przez jego władze wydany, jest bezapelacyjnie spełniany, tysiące ludzi zbiera się tylko dlatego, że nakazano dzisiaj o godzinie takiej a takiej stanąć pod sztandarem.

Jest inna jeszcze różnica, dzieląca epokę 1830 r. od czasów styczniowego powstania. W obu wypadkach spiski dążyły do wywołania wojny. Narzędziem wojny jest wojsko. W stylu czasów powstania listopadowego leżało to, że wojsko jeszcze nie było ściśle złączone z ludnością, z narodem, było ono uważane za wyodrębniony od społeczeństwa instrument rządu, jemu jedynie podlegający. Dlatego też spiskowcy polscy w 1830 r. czekają odpowiedzi tylko wojska, na nic innego nie rachują, o nic innego nie dbają. Idzie im tylko o wojsko, jako o instrument wojny.

Inaczej ma się rzecz w powstaniu styczniowym. Wspomniałem już, że r. 1863 stoi na rubieży, na rubieży pojęć i wielkich prac dziejowych. Pewne rzeczy się kończyły, a wschodziła nowa zorza, zorza wielkich państw, zakutych w żelazo, wielkich państw, uzbrojonych w najświeższe wynalazki, stosujących środki techniczne, jako swój monopol i jako swoją siłę. Ale zarazem mocarstwa te poczynają szukać wzmocnienia swych sił przez ścisły związek swego aparatu z obywatelami, z poddanymi, chcą powiększyć swą potęgę przez wytworzenie spółki — pracy państwa i społeczeństwa. Epoka ta świeżo przed naszymi oczyma się skończyła. O wynikach ostatnich krwawych zapasów świata rozstrzygnęła ostatecznie nie techniczna praca, prowadzona przez samo wojsko, ale wysiłek duchowy milionów, który pękał lub wytrzymywał. Narody całe szły milionami na to, by państwo popierać, i od siły narodów, od ich

[1]) Por. t. III, str. 167.

[2]) Józef Zaliwski (1797—1855), należał w 1830 r. razem z Wysockim do kierowników sprzysiężenia. W roku 1833 był dowódcą oddziałku partyzanckiego, który wkroczył do Królestwa, z zamiarem wywołania powstania. Zaliwski, aresztowany przez Austriaków, uwięziony został w Kufsteinie, skąd wyszedł w 1848 r. złamany fizycznie i moralnie. Zmarł we Francji.

wytrzymałości, od ich wartości jako człowieka, od ich spółki z państwem, prowadzącym wojnę, zależało zwycięstwo.

Rok 1863 stoi na rubieży. Nie skończyła się epoka 1863 r., a już gdzieś widniały początki nowej epoki, zmieniającej i zadania wojska. Rok 1863 dał ludzi, idących w awangardzie nowych prądów. Polska myśl ówczesna mocowała się z nowymi zagadnieniami. Widziała upadek dotychczasowych form pracy wojskowej, form jedynie technicznych, form, opartych na dwudziestoletniej nieraz służbie wojskowej. Nasza myśl ówczesna szukała dla Polski, dla swego państwa, nowych sił wojny. Za tymi nowymi metodami pracy wojskowej poszła niedługo pod batem konieczności cała Europa, gdy poczęła przerabiać miliony ludzi na żołnierzy.

Spisek 1863 r., przewyższający wielokrotnie swą siłą i potęgą spisek 1830 r., szukał sił szlachetnych, wrzących w narodzie, chciał znaleźć oparcie o wewnętrzną całość moralną, o wytrzymałość całej masy ludzi, będących Polakami.

Przykładem nowych dążeń był Zygmunt Sierakowski. Posiadał w państwie rosyjskim wpływ magiczny właśnie dlatego, że szedł w nowym kierunku stworzenia żołnierza, nie będącego fachowym bydlęciem do zabijania, a obywatela, związanego ze swoim narodem. Jako spiskowiec polski, był promotorem nowych metod, które szły już na całą Europę, licząc, że maszyna rosyjska, dowodzona przez ludzi starej szkoły, wierzących tylko w pałkę i policję, nowych zmian nie wytrzyma i siła jej pęknąć musi.

Proszę państwa! Rok 1863 stał na rubieży. Jeszcze wtedy polskie struny brzmiały jednym brzmieniem ze strunami całego świata. Polska nie była zaściankiem, rzuconym w kąt, szmatą, którą poniewierano, o której starano się zapomnieć. Małość Polski późniejszego pokolenia jakżeż daleko odbiega od wielkości Polski w tamtej epoce!

A jednak «vae victis»! Biada zwyciężonym! Jakżeż różne były koleje losu wielkich ludzi ówczesnych! Gdy we Włoszech nie znajdziecie miasta czy miasteczka, gdzieby nie stały pomniki Garibaldiego, nie było ulicy Mazziniego, to koledzy ich polscy, którzy umieli być autorytetem u Garibaldiego i innych, podlegali losowi zwyciężonych.

«Vae victis»! Lecz kiedy zwycięzca te słowa wymawia i mówi: biada zwyciężonym! — to jest to rzeczą zrozumiałą, lecz kiedy sam zwyciężony potwierdza te słowa, by w śmiech i pogardę obracać wielkość swojej rzeczy, to biada narodowi, który w ten sposób do wielkich rzeczy swoich się ustosunkowuje.

Marzyłem niegdyś, jak to na początku tych moich wykładów wspomniałem, że będę może kiedyś miał możność swobodnie wypowiedzieć ten ból, ten wściekły wstyd, którego zawsze doznawałem, gdym widział stosunek mego pokolenia do wielkiej epoki 1863 r., do wielkiej pracy narodu, który w jednym brzmieniu z całym otaczającym światem szedł na bój, na bój wielki, bój wspaniały.

Naród polski umiał wtedy wydobyć z siebie wielkość, potęgę i moc, by rok cały walczyć z największym państwem świata, by rok cały zmagać się z nim i umieć w przeciągu tego roku ulec, lecz ulec tylko zwyciężonym.

Czyż tylko wstyd jest udziałem zwyciężonych? Czyż my teraz, gdy wolne państwo żyje, gdy tyle naszej własnej słabości poznaliśmy, czyż zawsze we własnych sercach, tak słabych w wielu próbach, mamy jeszcze czcić tych, którzy nie umieli zatrzymać tego nieszczęścia, jakim miało być jakoby powstanie, a nie czcić tych, którzy mieli siłę i odwagę iść tak, jak inni szli i jak my teraz idziemy? Gdy nie będziecie odwoływać się do tego, co jest bezsilnością, gdy nie będziecie rozumować jako tchórze i gdy we własne przeżycia wejrzycie, znajdziecie w sobie szacunek i ufność dla pięknej i wielkiej epoki, epoki Padlewskiego, epoki Sierakowskiego, epoki Szwarcego i epoki wielkiej dziejowej godziny, gdy ojcowie nasi szli ongiś na boje.

PIERWSZE DNI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

(15 i 16 listopada 1924 r.)

W dniach 15 i 16 listopada 1924 r. Piłsudski wygłosił w sali Starego Teatru w Krakowie dwa niżej przytoczone odczyty pt. «Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej».

Po rozpatrzeniu prób tworzenia w pierwszej połowie listopada 1918 r. w najrozmaitszych częściach Polski «półrządów» Piłsudski pragnie ustalić, od kiedy Polska, jako państwo, zaczęła na nowo istnieć. Jako datę ostatecznego sformowania się państwa polskiego przyjmuje Piłsudski dzień 28 listopada 1918. W tym dniu bowiem został wydany dekret zarządzający wybory do sejmu, dekret, który został przez wszystkich obywateli usłuchany.

Drugim tematem poruszonym w odczytach jest analiza «stylu» tych dni, w których Polska na nowo powstawała.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się a) stenogram tych odczytów w jego surowej formie, b) opracowanie stylistyczne tego stenogramu, dokonane przez K. Świtalskiego, które było podstawą dla tekstu ogłoszonego w wydawnictwie «Pism — Mów — Rozkazów». Tekst niżej przytoczony jest przedrukiem z tego wydawnictwa. T. VIII, str. 141—181.

WYKŁAD I

Szanowne panie i szanowni panowie! Gdy rok temu namyślałem się nad odczytami swoimi w Krakowie, próbowałem również ustalić i tytuł tych odczytów. Jako tytuł wybrałem: «Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej».

Tytuł jest dwuznaczny. Słowo: «dzień» ma bowiem dwa znaczenia: jedno — to dzień w pojęciu astronomicznym, to okres czasu 24 godzin, mający swą numerację w miesiącu, a więc to, co się datą nazywa. Drugie znaczenie słowa: «dzień» — jest figuralne. Oznacza wtedy ten wyraz nie ściśle 24 godziny, a okres czasu, który każdy sobie najzupełniej dowolnie wyznacza.

Byłem w walce z sobą, w jakim znaczeniu mam użyć słowa: «dzień» — czy w znaczeniu astronomicznym, czy przenośnym. Wolałem określenie figuralne. Mówiąc więc o pierwszych dniach Rzeczypospolitej, biorę okres czasu między koń-

cem października a końcem listopada, gdyż ścisłe daty z wielką trudnością dają się ustalać.

Ta walka właśnie z samym sobą nad określeniem bardziej ścisłym czasu jest może charakterystyczną rzeczą dla tej epoki. Świadczy to o trudności oznaczenia daty, kiedy Rzeczpospolita Polska, jako ustrój państwowy, mogła o sobie powiedzieć: jestem!

Robiłem najrozmaitsze próby, aby dojść do próby określenia tej daty. Panowie wiecie dobrze, że macie zawsze i wszędzie wielkie trudności z ustaleniem dat czy to uroczystości, czy też takich czy innych przykrości osobistych. Zawsze będziecie wtedy błądzić. To samo dzieje się, gdy idzie o całość Rzeczypospolitej Polskiej. Starałem się ustalić tu datę, próbując swej metody, że tak powiem, historycznej.

Chciałem tą metodą ustalić ściśle datę, związaną z tym faktem, że Rzeczpospolita jest, że to zjawisko historyczne zaczyna istnieć. Próbowałem drogi, być może, błędnej, ale związanej z moim sposobem myślenia. Próbowałem drogą analizy poszczególnych prób rządzenia znaleźć wśród najrozmaitszych dat, jakie mogą istnieć w umyśle lub jakie pozostawiła historia, datę jedną, albo przynajmniej daty częściowe, parcjalne, w stosunku do pracy rządzenia.

Każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli. Data powstania każdego nowego tworu państwowego dałaby się historycznie określić jakimś przejawem życia, np. jakąś uroczystością, podobną do uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach, którego przecież jeszcze nie ma.

Skoro jednak każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli, a ci — obowiązki wobec niego, to istotnym sprawdzianem istnienia jakiegoś ustroju państwowego jest to, że przez pewien okres czasu prawa rządu są historycznie zbadane i posłuszeństwo tych, którzy go na pewnym obszarze, związanym z ustrojem państwa, słuchają i słuchać muszą, jest historycznie sprawdzone.

Wobec tego mam do czynienia z dwiema rzeczami — ze zjawiskiem Rzeczypospolitej Polskiej z jednej strony, a z drugiej z próbami odszukania tej daty, gdy obywatele Rzeczypospolitej Polskiej usłuchali jakiegoś nakazu przez pewien okres czasu.

Fakt, że trudno jest znaleźć jakąś uroczystość wspólną dla wszystkich — wspólną dla wszystkich datę — świadczy o tym, że Rzeczpospolita Polska się stawała, t. zn., że upłynął pewien okres czasu, zanim się stała.

W tym okresie czasu robiono wszędzie najrozmaitsze próby czy półpróby tworzenia półrządów, próby, które dawały te czy inne rezultaty i które w ten sposób popychały do ostatecznego historycznego faktu, że Rzeczpospolita jest.

Przechodzę do analizy tych prób.

Zaczynam od Krakowa, bo jestem jego gościem. Jeżeli, panowie krakowianie, usłyszycie może jakieś gorzkie słowa, to znaczy tylko, że podzielacie los na równi z innymi, którzy podobnych określeń też słuchać mogą. Spokojnie stawiam swoją osobę w rzędzie tych, którzy mogą słuchać gorzkich słów. Dlatego proszę, abyście nie byli rozgoryczeni, bo nie będę mówił w chęci dokuczenia krakowianom, a będę przytaczał historyczne fakty, którym ani ja, ani nikt inny poradzić nie może.

Kraków chce święcić dzień 30 października, przynajmniej próbuje to ustalić. Co oznacza dzień 30 października? Oznacza akt zniesienia sposobem gwałtu tego, co istniało przedtem, t. zn. rządu austriackiego i jego organów. Panowie! Akty gwałtu mogą istnieć, lecz nie oznaczają jeszcze rządzenia. Akt gwałtu, dokonany więc na przedstawicielach rządu austriackiego w Krakowie, t. zn. rządu zaborczego w stosunku do części Polski, nie jest jeszcze równoznaczny z aktem rządzenia. Historycznie rzecz biorąc, ludzie, którzy dokonali tego gwałtu, nie rządzili. Ba, mam dokumenty, które stwierdzają, że rządzić nie chcieli. Instytucją tu działającą była «Komisja Likwidacyjna» [1]). Gdy zaś uprzytomnimy sobie samą nazwę: «Komisja Likwidacyjna», to jest już w tym bardzo ostrożny stosunek do spraw rządzenia, albowiem jest ona «komisją» i w dodatku «likwidacyjną». Wygląda to na to, że «Komisja Likwidacyjna» likwiduje wszystko i likwiduje i siebie.

Nazwa wynikła z tego, że «Komisja Likwidacyjna» rozpoczęła swoje istnienie i swoją pracę na podstawie aktu nie swojego, ale obcego, zaborczego państwa, na podstawie aktu cesarza Karola, który rozwiązał niejako Austrię [2]). Oparta na

---

[1]) Komisja Likwidacyjna powstała w Krakowie 28 października 1918 roku; składała się z 23 posłów polskich do b. austriackiego parlamentu, reprezentujących wszystkie stronnictwa.

[2]) W manifeście z dnia 16 października 1918 roku cesarz Karol zapowiedział przebudowę Austrii na państwo związkowe, «w którym każdy szczep na obszarze osiedlenia tworzy swój własny organizm państwowy». Ustęp tego manifestu, odnoszący się do Polski, brzmiał: «Nie przesądza się przez to bynajmniej zjednoczenia polskich obszarów Austrii z niepodległym państwem polskim».

tym akcie «Komisja Likwidacyjna» zaczęła rządzić tą częścią Polski, która była związana z Krakowem. Dlatego nazwała się w tak dziwaczny sposób «Komisją Likwidacyjną» — likwidująca stan zaboru i nie mająca właściwie charakteru rządzenia.

Dość jest bowiem trudno przypuścić, aby sam fakt rządzenia opierał się na likwidacji. Powtarzam, że to oznacza i likwidację samej siebie, co też historycznie i nastąpiło. Komisja ta jest związana z likwidowaniem Austrii, ma zatem «Komisja Likwidacyjna» z natury rzeczy cechy współrządzenia i pozbawiona jest charakteru tego, co jest zawsze rządem — suwerenności w stosunku do swych działań.

Panowie! Mam przed sobą pewien dokument, który chcę scharakteryzować. Autorami jego, jak wydaje się z treści odezwy, są ludzie, którzy akt 30 października, t. j. rozbrojenie, robili. Podpisana jest ta odezwa przez Polską Organizację Wojskową. Czytamy w niej: «Nocy dzisiejszej dokonaliśmy tego, czego naród pragnął. W miejsce austriackich wojsk i obcej komendy staje garnizon polski, poddany najwyższej władzy w kraju, Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Dziś rano oddajemy owoc naszej pracy do dyspozycji Polskiej Komisji Likwidacyjnej, jej decyzje i jej rozkazy wskażą dalszą drogę postępowania».

Ludzie, którzy dokonali tego aktu rozbrojenia i usunięcia cech zaborczych, mogli działać albo z poruczenia, albo bez poruczenia «Komisji Likwidacyjnej», której się potem poddali. Nie chcę tego badać i nie chcę tego faktu, którego dobrze nie znam, gdyż przy tym nie byłem, analizować. Odezwa świadczyłaby jednak, że «Komisja Likwidacyjna» tego rozbrojenie nie nakazała i publicznie do tego się nie przyznała, że «Komisja Likwidacyjna» — rządząca, czy próbująca rządzić — nie ułatwiła tego aktu.

Przypomina to z naszej przeszłości fakt, gdy Piotr Wysocki z Zaliwskim urządzili noc 29 listopada i nazajutrz szukali — używając słów cytowanej przed chwilą odezwy — «do czyjej dyspozycji» mają «oddać owoc swej pracy», i jak wiemy, oddać tej władzy nie mieli komu.

Dokumenty, które za chwilę przytoczę, świadczą, że ten stan współrządzenia trwał dość długo. Czytamy w «Czasie» z dnia 6 listopada 1918 r. następujący telegram własny z Wiednia:

«Dzienniki tutejsze donoszą, że minister dla Galicji dr Gałecki podał się do dymisji».

W «Czasie» z dnia 8 listopada 1918 r. znajdujemy w zwią-

zku z tą wiadomością inny telegram własny z Wiednia, który mówi: «Ministrowi Gałeckiemu Komisja Likwidacyjna poleciła zastępstwo w Wiedniu. Minister Gałecki z ramienia Komisji Likwidacyjnej objął agendy poszczególnych resortów ministerstwa, o ile one dotyczą Galicji. Wiadomość, podana przez niektóre dzienniki tutejsze, jakoby minister Gałecki podał się do dymisji, jest nieprawdziwa».

Samo określenie, mówiące tu o jakiejś niewyraźnej pracy «Komisji Likwidacyjnej» i byłego ministra dla Galicji przy rządzie austriackim, świadczą o tej połowiczności poglądów, o tej połowiczności decyzji, o tym stanie współrządzenia z innymi.

Najcharakterystyczniejszą pod tym względem dla moich wywodów jest depesza z dnia 9 listopada 1918 r., w tymże «Czasie» pomieszczona. Brzmi ona: «Polnische Nachrichten» upoważnione są ze strony miarodajnej do oświadczenia, że doniesienie, jakoby prezydent ministrów Lammasch [1]) dotąd nie załatwił prośby dra Gałeckiego o dymisję, z tego powodu jest nieprawdziwe, że p. Gałecki prośby takiej w ogóle nie wręczył. Także twierdzenie, że p. Gałecki powołany został przez rząd warszawski do Komisji Likwidacyjnej jest nieprawdziwe. Dr Gałecki zamianowany został przez Polską Komisję Likwidacyjną jej reprezentantem na Wiedeń».

Jak widzicie panowie, znowu mamy akt, który świadczy o jednym i tym samym. «Komisja Likwidacyjna» nie ma pretensji, aby być rządem polskim. «Komisja Likwidacyjna» ma tylko tendencję likwidowania, razem z innymi krajami Austrii. To jest jej cel i zadanie. Pracą jej jest nie rządzenie, a współrządzenie. Suwerenności «Komisja Likwidacyjna» w stosunku do siebie nie ma i nie ma jej w stosunku do kraju.

Mamy tu do czynienia z charakterystycznym dla owego czasu stawaniem się Polską — okolic, że tak powiem, Krakowa, gdyż jest faktem historycznym, że wszelka praca «Komisji Likwidacyjnej», mająca jakiś jednolity charakter, zatrzymała się jednak na granicach niedalekich stosunkowo od Krakowa. «Komisja Likwidacyjna» nie sięgnęła swoją działalnością poza linię, od której na północ zaczynała się część Rzeczypospolitej Polskiej, okupowana wtedy przez Austrię; zatrzymała się na Sanie, nie przekraczając prawem rządzenia tej granicy, ponieważ tam to prawo zostało skontrowane przez innych [2]); nie wspominając już o takich tworach, z którymi i ja miałem po-

[1]) Henryk Lammasch był ostatnim premierem Austrii przed jej rozpadnięciem (od. 25 X. do 1 XI. 1918).

[2]) Mowa o Ukraińcach.

tem swoje kłopoty, jak np. Tarnobrzeg [1]) i okolice, gdzie był rząd księdza Okonia, nie poddający się wcale «Komisji Likwidacyjnej». Zakres jej działania jest więc terytorialnie znacznie ograniczony. Cały ten okres czasu jest próbą rządzenia, jest okresem stawania się Polską — jednej części naszego kraju.

Przechodzę do innego zaboru, do zaboru pruskiego, w którym znajdziecie zupełnie analogiczne zjawiska robienia w owym czasie prób stawania się Polską. Próba rządzenia polskiego w tej dzielnicy znana jest pod nazwą t. zw. «Rady Ludowej» w Poznaniu [2]). Zobaczymy, jak ona się stworzyła.

Pierwsze podobieństwo między zaborem austriackim a pruskim, które rzuca się w oczy, polega na tym, że próby rządzenia polskiego wywołane są przez nie co innego, jak przez akty samych zaborców, zmieniających swe urządzenia państwowe. Po t. zw. rewolucji nastąpił w Niemczech rząd o dzikiej nazwie, nieznanej dotychczas w świecie Zachodu, a importowanej z Rosji: «Soldatenraty» i «Arbeiterraty» [3]), rady robotnicze i żołnierskie. Z nakazu zaborcy zostały utworzone «Soldatenraty» i «Arbeiterraty» wszędzie na całej przestrzeni państwa niemieckiego. W Poznaniu również z nakazu rządu niemieckiego zawiązały się «Soldatenraty» i «Arbeiterraty», jako część prac państwa niemieckiego. Do tego, że tak powiem, przyczepiła się strona polska i ogłosiła, że istnieje Komitet Obywatelski polski, który został utworzony poprzednio, a teraz z mroków tajności wychodzi na jaw.

Mam przed sobą «Kurier Poznański» z dnia 12 listopada 1918 r. Jest to drugi czy trzeci dzień po rewolucji berlińskiej

---

[1]) W powiecie tarnobrzeskim, w Małopolsce zachodniej, na skutek działalności księdza Eugeniusza Okonia i posła Tomasza Dąbala, część ludności nie uznała władz, istniejących w Warszawie, Krakowie i Lwowie i utworzyła tzw. «Republikę Tarnobrzeską». Działalność Okonia i Dąbala rozpoczęła się w listopadzie 1918 roku; rozruchy, wywołane tą działalnością, zostały ostatecznie stłumione w końcu stycznia 1919 r.

[2]) Por. t. V, str. 63.

[3]) Arbeiterraty i Soldatenraty — przedstawicielstwa robotników i żołnierzy, które — podobnie, jak w Rosji — powstały w Niemczech przy końcu wojny i przejęły władzę. 10 listopada powstała w Berlinie Centralna Rada robotników i żołnierzy, proklamowała siebie jako najwyższą władzę polityczną i zażądała natychmiastowego zawarcia pokoju i uspołecznienia narzędzi produkcji. Rada ta zatwierdziła powstałą w tymże dniu Radę sześciu pełnomocników ludowych, jako rząd polityczny (fachowi ministrowie mianowani 14 listopada), który przetrwał aż do chwili utworzenia pierwszego rządu normalnego (13 lutego 1919 roku). Po ukonstytuowaniu się tego rządu i zebraniu się niemieckiego zgromadzenia narodowego (6 lutego 1919) — Rady robotnicze i żołnierskie tracą swój wpływ i znikają latem 1919 roku.

i po powołaniu tego dziwnego rządu «Soldaten-» i «Arbeiterratów».

Czytamy w nim: «Zebranie Komitetu Obywatelskiego odbyło się po południu o godzinie 3, w mieszkaniu dra Głowackiego, dyrektora «Vesty». Zanim się rozpoczęło, wkroczyli na zebranie wysłannicy Rady żołnierzy, oświadczając, że zebranie rozwiązują. Dopiero po wyjaśnieniu, że Komitet Obywatelski nie zamierza bynajmniej przeciwdziałać Radzie żołnierzy, lecz, przeciwnie, zdąża również do podtrzymania ładu i porządku, wysłannicy wojskowi zgodzili się na odbycie zebrania, zaznaczając, że jako delegatów Komitetu Obywatelskiego na zebranie Rady żołnierzy taż Rada zamianowała panów Karola Rzepeckiego, Kazimierza Krajnę, dra Stanisława Krzyżankiewicza i Franciszka Budzyńskiego. Z łona Komitetu oświadczono, że ci czterej panowie są na zebraniu obecni i że do Komitetu należą, że jednak Komitet zastrzega sobie w całej pełni prawo swobodnego wyboru osób, a zarazem, że prosi o przyznanie Komitetowi siedmiu delegatów na pierwsze zebranie, które Rada wyznaczyła na godzinę 7 w gubernatorstwie poznańskim. Delegacja żołnierzy zgodziła się na to, po czym niemieccy delegaci zebranie opuścili, a za wzajemną zgodą pozostali na zebraniu trzej polscy delegaci żołnierzy».

Tak powstaje ta pierwsza próba rządzenia się polskiego. Od razu spotyka ona sprzeciw zaborcy, który narzucił jej swą formę, nieznaną dotychczas w Polsce, mianowicie formę Rady robotniczej i żołnierskiej. Ba, po pewnym czasie pertraktacje doprowadziły do zwycięstwa nazwy «Volksratu» nad nazwą Komitetu Obywatelskiego i nazwa ta znika prędko pod naciskiem zaborcy na korzyść «Polnischer Volksrat in Posen».

Ta «Rada Ludowa» przystępuje do współrządzenia. Pewne akty tego współrządu są dość komiczne. W «Kurierze Poznańskim» z dnia 13 listopada czytamy następujące «oświadczenie»:

«Pogłoska, jakoby legioniści polscy byli w pochodzie na Poznań, zaniepokaja ludność. Rada robotniczo-żołnierska natychmiast utworzyła komisję, która pod przewodnictwem posła dra Seydy i z udziałem innych posłów polskich do parlamentu i sejmu udała się na granicę kraju. Posłowie polscy oświadczyli, że w żadnym wypadku nie dopuszczą do starcia z żołnierzami niemieckimi.

...Rada robotniczo-żołnierska oświadcza, że wykluczone jest zupełnie niebezpieczeństwo dla ludności Poznania [1])...

[1]) Opuszczony tu w cytacie ustęp «oświadczenia» brzmi: «...Podtrzymanie spokoju i porządku jest zagwarantowane. Uchwalono utworzenie straży obywatelskiej, składającej się ze wszystkich kół ludności».

Wzywamy wszystkie klasy społeczeństwa, aby zachowały spokój i porządek».

Więc na skutek nacisku Rady żołnierskiej, «Volksrat» — «Rada Ludowa» w Poznaniu zarządza kroki dla powstrzymania nieprzyjacielskich jakoby kroków jakichś Legionów polskich, mających atakować Radę żołnierską niemiecką w Poznaniu.

Jak widać, te próby rządzenia są zawsze związane nie z czymś innym, jak z istniejącym dotychczas zaborcą, który narzuca formę pracy polskiej, nakazuje kroki nieraz przykre, prąc jakoby do wystąpienia przeciw innym Polakom i nakazując utrzymać ściśle tę granicę, jaka była narzucona przez zaborców. Zaborca jest tu wciąż współrzędnym rządem, zaborca istnieje obok Polaków.

Analizując próbę poznańską, która historycznie trwała względnie długo, musimy powiedzieć, że ona najbardziej i najsilniej podlegała zaborcy. Albowiem «Komisja Likwidacyjna» spokojnie i jasno stwierdziła, że jest tylko instytucją «likwidującą» stosunek zaborcy do Polski. W Poznańskim jest wyraźne współrządzenie, nawet uleganie dalsze zaborcy. Widać to ze wszystkich aktów, o których na chybił trafił mówiłem, dlatego, aby stwierdzić, że wszyscy w Poznańskim pod tym względem nie szli na dalej idące kroki.

Oto mam przed sobą znowu «Kurier Poznański» z 15 listopada, w którym jest odezwa wszystkich posłów Koła Polskiego w sejmie pruskim i Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. Czytamy w niej:

«Patrzymy na niebywały przewrót stosunków politycznych i społecznych w Niemczech. Pod jego wpływem powstają wszędzie Rady żołnierzy i robotników. O ile w naszej dzielnicy zadaniem ich jest utrzymanie ładu, porządku i wyżywienia ludności, wzywamy lud polski, aby w tych granicach wszędzie z Radami żołnierzy i robotników współdziałał, zapewniając sobie przynależny wpływ».

Panowie, którzy są pod tą odezwą podpisani, nie mogą mieć chyba pretensji, żeby być specjalnymi amatorami «Soldaten-» i «Arbeiterratów». A jednak takie wezwanie podpisali.

Taką samą instrukcję znajdujemy w odezwie «Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej», podpisanej przez księdza Adamskiego, Korfantego i Poszwińskiego, gdzie czytamy:

«Rady Ludowe powiatowe, miejskie i gminne ... tam, gdzie istnieją Rady żołnierzy i robotników, postarają się o po-

rozumienie z nimi i o wprowadzenie do nich przedstawicielstwa polskiego» [1]).

Znowu więc mamy fakty współistnienia obu władz, przymusowego współrządzenia i poddawania się władzy zaborców, jako władzy bardziej silnej, bardziej suwerennej.

Przechodzę do zaboru rosyjskiego.

Zabór rosyjski miał w owym czasie tę charakterystyczną cechę w porównaniu z innymi zaborami, że był rozdarty, podzielony według woli okupantów [2]). Jeżeli panowie zechcecie odtworzyć sobie w pamięci te miłe czasy, to przypomnijcie sobie, że, jadąc stąd do Warszawy, w pewnych miejscach na prawo od kolei był zabór austriacki, a na lewo zabór pruski [3]), tak, że na stacje, o ile były na prawo położone od toru kolejowego, trzeba było brać przepustki od władz niemieckich. Ten podział kraju wzdłuż linii kolejowej wzbudzał we mnie śmiech i twierdziłem wówczas, że z równym sensem można by poprowadzić granicę wzdłuż ulicy Marszałkowskiej w Warszawie i wymagać przepustek, pozwalających na przechodzenie z jednej strony ulicy na drugą.

Zaborca, t. zn. wojska niemieckie i wojska austriackie, gdyż okupacja była militarna, pokrajały zabór rosyjski w tym czy innym kierunku na najrozmaitsze części i z tego powodu narzuciły w czasie powstawania Polski inny sposób postępowania w różnych częściach byłego Królestwa. Dlatego znowu daty prób rządzenia w tej czy innej części tego kraju z sobą się nie zgadzają.

Próby w okupacji niemieckiej idą w parze i w pewnej równoległości z próbami w Poznańskim, gdyż zależały one nie od czego innego, jak od takich czy innych aktów, od pracy lub bezpracy zaborczego rządu. Ponieważ zabór austriacki, jak w ogóle cała Austria, usuwał dotychczasowe rządy prędzej, niż zabór niemiecki, więc Lublin, czyli okupacja austriacka, miał możność działania szybszego, w porównaniu z okupacją niemiecką.

Dla charakterystyki stosunków w okupacji niemieckiej wybrałem dokument, związany z moją osobą. Jak wiadomo, w końcu października 1918 r. utworzył się nowy rząd w Warszawie, t. zw. rząd Świeżyńskiego [4]), który mianował mnie mi-

[1]) Cytowane według «Kuriera Poznańskiego» z dnia 16. XI. 1918.

[2]) Por. t. V, str. 136.

[3]) Mowa o odcinku linii kolejowej między Sosnowcem a Częstochową.

[4]) Rząd Józefa Świeżyńskiego był powołany przez Radę Regencyjną dnia 23 października 1918 roku bez zatwierdzenia władz oku-

nistrem ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, gdyż nic o tym nie wiedziałem i dowiedziałem się o tym, siedząc w Magdeburgu, z dziennika «Woche», wręczonego mi pokryjomu przez podoficera, mającego rozkaz mnie pilnować. Przeczytanie tej wiadomości, że już jestem ministrem polskim, wywołało śmiech ogromny zarówno u mnie, jak i u gen. Sosnkowskiego. Nie wiedziałem również o tym, że Świeżyński żądał mego zwolnienia. Na to żądanie kanclerz niemiecki odpowiedział:

«Pan prezes ministrów Świeżyński, Warszawa.

Mam zaszczyt potwierdzić Waszej Ekscelencji odbiór telegramu z dnia 23 października 1918 r., w którym pan donosi mi o objęciu urzędu prezesa ministrów i daje wyraz nadziei, że rząd niemiecki okaże gotowość internowanemu obecnie w Magdeburgu brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu, wobec jego powołania na stanowisko ministra spraw wojskowych, umożliwić powrót do ojczyzny. Niemiecki zarząd okupacyjny zdecydował się w swoim czasie tylko z naglących względów utrzymania porządku i spokoju w kraju na to, aby brygadiera Piłsudskiego, który z początkiem wojny po stronie mocarstw centralnych walczył o uwolnienie swej ojczyzny i jako członek Tymczasowej Rady Stanu brał czynny udział w rozpoczętej przez mocarstwa okupacyjne budowie państwa polskiego, internować w Niemczech. Ekscelencja wyraża przekonanie, że leży to w dobrze uzasadnionym interesie obustronnym państw obu, aby brygadier Piłsudski niezwłocznie powrócił i objął powierzony mu urząd. Zapatrywanie to mógłbym podzielać tylko wtedy, gdyby brygadier Piłsudski porzucił wrogie stanowisko wobec władz okupacyjnych, które doprowadziło do jego usunięcia z Polski, i gdyby z całą szczerością stanął na gruncie przestrzegania obustronnych interesów państwowych. Jest w mocy polskiego rządu przyczynić się do tego przez dostarczenie zarządowi okupacji takich dowodów, któreby mogły usunąć wątpliwości, zachodzące obecnie w kwestii powrotu brygadiera Piłsudskiego, tudzież przez objęcie za dalsze zachowanie się jego takich poręczeń i gwarancyj, których żądać ma prawo rząd niemiecki, dopóki, jako władza okupacyjna, ponosi odpowiedzialność za utrzymanie spokoju i porządku na terenie okupacji.

Kanclerz Rzeszy
Maksymilian, książę Badeński [1]).

---

pacyjnych i dymisjonowany reskryptem Rady z dnia 4 listopada tegoż roku.

[1]) Cytowane według «Kuriera Warszawskiego», z 1 listopada 1918 roku.

Z wielką przyjemnością odczytuję te słowa, od bardzo niedawna mi znane. Nie znając tej depeszy, zawsze myślałem z podziwem, dlaczego tak uporczywie prześladuje mnie oskarżenie o specjalny germanofilizm. Wytłumaczenie tego znajduję.

Natomiast odpowiedź Świeżyńskiego z dnia 2 listopada 1918 r. na tę depeszę jest następująca:

«Na telegram Waszej Wielkoksiążęcej Wysokości z dnia 31 października 1918 r. mam zaszczyt imieniem rządu polskiego oświadczyć, co następuje:

Według naszego rozumienia, powołanie na ministra obrony krajowej brygadiera Piłsudskiego służy za najlepszą gwarancję, że tylko w razie jego uwolnienia możemy wziąć odpowiedzialność za spokój w kraju i poprawne likwidowanie okupacji, niezbędne ze względu na obustronny interes.

Powrót Piłsudskiego jest dla rządu polskiego rękojmią utrzymania spokoju w kraju, wobec czego musimy ponownie kłaść nacisk na niezwłoczne umożliwienie mu przybycia do kraju.

Prezydent ministrów Świeżyński» [1]).

Znowu więc znajdujemy tu określenie «likwidowanie», tak, jak gdyby to słowo szło krok w krok, para w parze z pracą i próbami rządzenia w Polsce.

Wybrałem tylko te dwa dokumenty. Dlaczego? Dlatego, że ze wszystkich prób, czynionych w Polsce — o swojej powiem na końcu — próba rządzenia wbrew okupacji była ze strony rządu Świeżyńskiego najsilniejsza i najbardziej ostra. Jeżeli więc ta próba rządzenia wbrew okupantom, wbrew rządowi zaborczemu, miała taki charakter, że wszystkie słowa i określenia mówiły tylko o tym, że rząd okupacyjny jest silniejszy od rządu Świeżyńskiego, to wtedy nie ma mowy o innych, którzy byli znacznie słabsi w wystąpieniach, niż rząd Świeżyńskiego.

Przechodzę do t. zw. «rządu lubelskiego».

Został on stworzony bardzo późno w porównaniu z innymi próbami rządzenia, albowiem, jeżeli wszystkie próby rządzenia, o których mówiłem, noszą daty ostatnich dni października, to «rząd lubelski» [2]) przekracza październik i wchodzi pod koniec pierwszego dziesiątka dni listopada. Rząd ten miał więc w porównaniu z innymi, bardziej ułatwione zadanie.

---

[1]) Cytowane według «Kuriera Warszawskiego», z 2 listopada 1918 roku.

[2]) Por. t. V, str. 15.

Rząd austriacki, jeżeli jeszcze miał co likwidować wewnątrz Austrii, na terenach państw z niej powstających — to w okupacji swojej w Królestwie nie miał nawet co likwidować, i był stroną słabszą w porównaniu z siłą zaborcy we wszystkich innych częściach Polski. Dlatego też w wystąpieniach «rządu lubelskiego» jest nuta, której gdzie indziej nie ma. Nuta, która mówi o rządzie, a nie o współrządzie i dlatego jest to próba, która poszła najdalej i najsilniej w kierunku stania się rządem polskim. «Rząd lubelski» poszedł nawet tak daleko, że przedstawiał się, jako rząd jedyny, i żądał od wszystkich innych prób rządu, aby mu się poddały [1]). T. zn., zrobił on pierwszą historyczną próbę zrobienia rządu jednolitego na całym obszarze Rzeczypospolitej, próbę, która jednak historycznie nie dała rezultatu.

«Rząd lubelski» powstaje wtedy, gdy proces osłabienia państw zaborczych już poszedł bardzo daleko, z drugiej zaś strony ma samego zaborcę najmniej zorganizowanego. Ma więc ten rząd ułatwienia takie, jakich kto inny nie miał, zarówno dzięki słabości zaborcy, jak i wskutek tego, że jest próbą rządzenia, powstałą względnie późno. Wskutek tego cokolwiek mogłoby się mówić przeciw t. zw. rządowi lubelskiemu, pozostanie prawdą to, że poszedł on w próbie rządzenia najdalej i wygląda on pierwszy na rząd polski.

Konkurentem zarówno dla Niemiec, jak i dla «rządu lubelskiego», była t. zw. «Rada Regencyjna» [2]), która istniała już wcześniej, jako rząd polski «in spe» i kontynuowała w swoich wystąpieniach ówczesnych próby rozciągnięcia tego rządu na razie na zabór rosyjski. Są nawet próby rozszerzenia jego władzy i na zabór austriacki, gdyż jest faktem, że do Krakowa, do «Komisji Likwidacyjnej», zjawił się przedstawiciel

---

[1]) W proklamacji rządu lubelskiego z dnia 7 listopada 1918 były następujące zwroty:

«Rada Regencyjna działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć. W razie, gdyby Rada Regencyjna oraz rząd, przez nią utworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego.

Istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszym natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcyj, w przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed trybunałem ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone».

[2]) Por. t. V, str. 15.

«Rady Regencyjnej» [1]), żądając od Komisji poddania się Radzie. Czytaliśmy w poprzednio przeze mnie cytowanych aktach, że istniały nawet pogłoski, jakoby ówczesny minister dla Galicji Gałecki poddał się ówczesnemu rządowi warszawskiemu, czyli «Radzie Regencyjnej».

Jakiekolwiek byłyby jednak czyjeś sądy o tych dwóch instytucjach, występujących w roli pewnych konkurentów, historycznie pozostanie faktem, że ani «Rada Regencyjna», ani «rząd lubelski» w pierwszych dniach Rzeczypospolitej Polskiej nie utrzymały się przez czas dłuższy.

Na innych obszarach Polski były również wówczas najrozmaitsze próby rządzenia się samodzielnie czy współrządzenia na podstawach polskich, próby jak gdyby przygotowania faktu stawania się Polski. Mówię tu o kresach.

Świeżo bawiąc w Wilnie, mówiłem ze znanym prof. Ruszczycem [2]), który mi opowiadał bardzo ciekawe szczegóły, jak przy wypieraniu zaborców, Niemców, próbowano wszędzie skupić się, aby próbować rządzić. W oszmiańskim powiecie próbowano za pomocą komitetów parafialnych być gotowymi do ujęcia w swoje ręce rządu w imieniu Polski. Takie próby znane mi są z Wilna [3]), Wileńszczyzny, Grodna i Grodzieńszczyzny. Dzięki specjalnym stosunkom rozbijały się te usiłowania na poszczególne części i kawałki — bez możności związania się w jedność.

Przechodzę do próby rządu emigracyjnego. «Komitet Narodowy» [4]) w Paryżu szedł na próbę utworzenia rządu na emigracji, podając się za rząd, bo ja wiem jaki, i próbując rządzić wspólnie ze zwycięzcami Niemiec i Austrii, wspólnie z rządami t. zw. «Ententy». Nawet był uznany przez jej rządy [5]). Nie śmiał on brać na siebie nazwy rządu, tak, jak to zrobił «rząd lubelski». Nazwał się skromnie nie komisją likwidacyjną, bo nie miał w «Entencie» czego likwidować dla Polski, a «Komitetem Narodowym», który był tylko próbą ze strony Polski

---

[1]) Dn. 31 października 1918 mianowała Rada Regencyjna Witolda Czartoryskiego komisarzem dla Galicji.

[2]) Ferdynand Ruszczyc był wybitnym malarzem, profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, profesorem i dziekanem wydziału sztuki na Uniwersytecie Wileńskim.

[3]) Mowa o «Samoobronie Litwy i Białorusi» — por. t. VI, str. 100.

[4]) Por. t. V, str. 45.

[5]) Polski Komitet Narodowy w Paryżu, był uznany oficjalnie przez Francję (20 września 1917 roku), Anglię (15 października 1917 roku), Włochy (30 października 1917) i Stany Zjednoczone (1 grudnia 1917 roku).

kierowania losami Polski wspólnie z innymi. Prawa suwerenności nie brał na siebie, bo zaznaczył zbyt silnie, kto z nim współrządzi, zresztą — jak miał wykonywać prawa suwerenności w stosunku do Polski, z oddalenia, z Paryża? Próba tego rządu o tyle była w tym czasie słaba, że, jak panom wiadomo, przy zawieszeniu broni, które też wypadło na okres listopadowy, nie próbowano nawet, jak przypuszczam, wymagać tego, ażeby Polska została oswobodzona od Niemiec czy Austrii, i odłożono, że tak powiem, żądania Polski na czas lepszy, albowiem w podpisanym ostatecznie 12 listopada zawieszeniu broni z Niemcami ani słowa o Polsce nie ma [1]). Nie ma w nim wymagania od Niemiec, aby w stosunku do Polski jakiekolwiek nakazane pakty wykonały.

Przechodzę wreszcie do prób moich.

Powróciłem z Magdeburga 10 listopada. Próby moje od razu były bardzo nikłe. Byłem przerażony tym, co zastałem, i chciałem — wyznam — najbardziej tchórzliwie uciec z Warszawy. Zastałem tam bowiem to, co w myślach nazwałem oddawna konkubinatem z zaborcą, konkubinatem, w którym zaborca jest zawsze silniejszy od Polski. Dlatego, zastawszy stan chaosu — półrewolucji, pół — nie wiem czego — chciałem nazajutrz wyjechać z Warszawy. Wykazałem więc tę samą niechęć do rządzenia, tę samą niechęć do wyraźnego postawienia sprawy, jaką mieli wszyscy inni, robiący w owym czasie próby rządzenia. Byłem w tym pierwszym okresie prześcignięty przez «rząd lubelski», o którym, gdym przyjechał, nie miałem zielonego pojęcia.

Zastałem w Warszawie ten sam fakt — jak go nazywam — konkubinatu z zaborcą, konkubinatu, z którym mieli do czynienia i nasi rodacy w Wielkopolsce. «Arbeiterrat» nie mógł być tu sformowany, bo nie wystarczyło na to sił, ale za to «Soldatenrat» został tu również stworzony. W nocy tego samego dnia, w którym przyjechałem, zjawili się do mnie przedstawiciele «Soldatenratu» [2]) z prośbą o omówienie sposobu, za pomocą którego można by było zarządzić likwidację okupacji, czyli istnienia zaborcy w Polsce. Pamiętam dobrze ten moment, gdy w chwili kładzenia się spać zjawiło się do mnie sześciu czy siedmiu panów, pierwszy raz widzianych, którzy mi prośbę ułożenia sposobu likwidacji zakomunikowali. Daremnie dowodziłem, że to do mnie nie należy i że nie chcę się do tego mieszać, że to należy do «Rady Regencyjnej» i napróżno

[1]) Por. t. V, str. 51.
[2]) Por. t. V, str. 13.

namawiałem ich, by zwrócili się do kogo chcą, ale nie do mnie. Wtedy ci panowie wyrazili swoje obawy, że jeżeli się zwrócą do jednych, to drudzy za to tylko, że się do tamtych zwrócili, zaczną na nich napadać i zarzynać, gdy zaś zwrócą się do przeciwników «Rady Regencyjnej», to kto wie, czy «Rada Regencyjna» nie zacznie ich napadać i wyrzynać. W położeniu tym, w jakim się znaleźli, muszą mieć gwarancję, że żołnierze, oficerowie, żony oficerskie i t. d. powrócą do kraju. Żądają odpowiedzi, gdyż jutro będą musieli przejść do zabezpieczenia swego życia i swoich podwładnych. Wtedy dopiero się zawahałem i postawiłem warunek, że mogę wziąć na siebie obronę ich życia, ale muszą przyrzec posłuszeństwo. Ewakuacja odbędzie się na mój rozkaz, nie na ich. Cały materiał kolejowy i cała broń pozostanie w Polsce. Tylko w tych warunkach idę na zgodę. Delegaci odwołali się do swoich «Soldatenratów» i przyjęli te warunki.

Pierwsze więc moje próby czynione były znowu w okolicznościach, które słusznie nazwałem konkubinatem, od którego nie można się było uwolnić. Różnica była tylko ta, że w tym konkubinacie ja byłem na górze, a zaborcy na dole.

Nie będę się zatrzymywał nad pracami moimi w tych pierwszych dniach po powrocie do Polski, bo zdążam do ustalenia daty, daty, zdaniem moim, jedynej, którą można wybrać dla powiedzenia, że Polska jest. Bo próby tworzenia rządu, o których będę mówił jutro, to jest co innego, ale dopóki ten rząd polski nie wydał jakiegoś edyktu, usłuchanego historycznie, dopóty Polski, jako państwa, nie było. Dlatego też przy przebieżeniu myślą swojej pracy ówczesnej, zatrzymam się na jednej wyraźnej dacie, którą ze swej strony proponowałbym jako datę prawnie i historycznie sprawdzoną, na dacie, która mówi, że Rzeczpospolita istnieje, bowiem wszystkie zarządzenia, które wtedy zostały uczynione — zostały przez Polskę usłuchane i trwają nawet dotychczas.

Jest to mój dekret, ustalający naczelne władze państwa [1]), i dekret, nakazujący wybory sejmowe [2]). Pochodzą one z końca listopada. Zarządzenie, zawarte w dekrecie, podpisanym przeze

---

[1]) Mowa o dekrecie o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej z dnia 22 listopada 1918 roku, na mocy którego Marszałek Piłsudski objął, jako «Tymczasowy Naczelnik Państwa, najwyższą władzę Republiki Polskiej» aż do czasu zwołania sejmu ustawodawczego.

[2]) Mowa o dekrecie, o wyborach do sejmu ustawodawczego z dnia 28 listopada 1918 roku, zarządzającym wybory na dzień 26 stycznia 1919 roku na podstawie ordynacji wyborczej, ustalonej dekretem z dnia 28 listopada 1918 r.

mnie dnia 22 listopada 1918 r., a kontrasygnowanym odręcznie przez ówczesnego prezydenta ministrów Moraczewskiego, ustaliło fakt istnienia Naczelnika Państwa, fakt istnienia rządu z musem odpowiedzialności czyjejś przed czymś [1]), wreszcie nazwę: Rzeczpospolita Polska. Wszystkie tym dekretem ustanowione instytucje istniały przez dłuższy czas. Istniał Naczelnik Państwa, istniał prezydent ministrów, kontrasygnujący jego zarządzenia [2]), pomimo, że Naczelnik Państwa z tego stanu nie bardzo się cieszył, i t. d.

Drugi fakt, to wydanie dekretu o ordynacji wyborczej i o wyborach do sejmu, dekretu, podpisanego 28 listopada. Istotnie na skutek tego aktu historycznie sejm został na podstawie zarządzonej wówczas ordynacji wybrany, zebrał się [3]) i trwał te nieszczęsne cztery lata mojego naczelnikowania.

Więc okres pomiędzy 22 listopada a 28 listopada 1918 r. jest okresem ostatecznego sformowania się państwa. Jeżeli wezmę datę 28 listopada, jako datę dekretu, zarządzającego wybory do sejmu, dekretu, który w całej swojej rozciągłości został przez obywateli państwa wykonany, to przyjmując ją jako datę powstania państwa polskiego, byłbym w porządku ze swoim określeniem, że wtedy państwo poczyna istnieć, gdy dekrety i ustawy rządu są przez obywateli usłuchane. Wiążę więc swoją propozycję z datą 28 listopada. 28 listopada jest bardzo bliski 29 listopada, tym bardziej, że dekret ten był podpisany w nocy. Łączy się to ściśle z datą 29 listopada, z dniem rocznicy powstania listopadowego. Wtedy ustanawiałem również miejsce rezydencji Naczelnika Państwa. 29 listopada przeniosłem się do Belwederu [4]) i dotychczas ten gmach jest rezydencją państwa.

Znowu więc mamy fakt, który, wtedy ustanowiony, trwał historycznie przez pewien czas dłuższy, tak, jak stworzona wówczas władza centralna, podpisująca dekrety, które historycznie znalazły powszechny posłuch u obywateli.

Panowie, jeżeli przy tej mojej próbie ustalenia daty Rzeczypospolitej Polskiej mówiłem przykro, to — powtarzam — mówiłem o sobie samym również przykro. Chciałem stchórzyć

---

[1]) Art. 2 tego dekretu brzmiał: «Rząd Republiki Polskiej stanowią mianowani przeze mnie i odpowiedzialni przede mną aż do zebrania się Sejmu Prezydent Ministrów i Ministrowie».

[2]) Art. 4 tego dekretu brzmiał: «Akty rządowe kontrasygnuje Prezydent Ministrów».

[3]) Por. t. V, str. 55.

[4]) Piłsudski przeniósł się w tym dniu ze swego mieszkania przy ul. Mokotowskiej 50 do Belwederu.

i chciałem w pierwszym momencie uciekać z Warszawy. Mówię to samo sobie, co innym, więc proszę się nie obrażać.

Przechodzę do drugiej części mego odczytu, która się tyczy stylu epoki owych dni. Jestem zdania, że ten, kto nie chwyta stylu danego okresu, nie jest historykiem, nie ma prawa mówić prawdy o danej epoce. Styl to jest coś, co ściśle określić się nie da; jest to jednak to, co zmusza w pewnym okresie czasu ludzi nawet niechętnych do mówienia zarówno w aktach urzędowych, jak i na ulicach, rzeczy podobnych i robienia mniej więcej jednego i tego samego. Ten, kto nie potrafi wykryć stylu danego okresu, kto nie umie przeżyć wewnątrz siebie życia pewnej epoki, ten nie jest w stanie zrozumieć tego czasu, który chce badać. Daremnie będzie się silił na przedstawienie tych czy innych form organizacji, takich czy innych aktów. W splocie różnych faktów zawsze pozostaje styl, który nie wykryty nie da klucza, że tak powiem, do duszy danego okresu. Dlatego też staram się możliwie wniknąć w pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej i danemu okresowi historycznemu wyszukać styl, zrozumieć ówczesnego człowieka, zrozumieć jego nędzę, biedę, słabość.

Pierwszą rzeczą, która się w tej epoce rzuca od razu w oczy, jest słabość, słabość, wyrażająca się w niemożności powiedzenia tego, czego się chce. Na zegarze dziejowym bije godzina Polski. Wszyscy nie mają sił, aby powiedzieć to, co zegar wydzwania. Wszyscy jak gdyby szukają ucieczki od wypowiedzenia tego, co każdy pragnie, do czego każdy dąży. Uciekają tak, jak ja chciałem uciec z Warszawy, w której zatrzymał mnie nie kto inny, jak «Soldatenrat».

Wszyscy chwytają się półpowiedzeń, półdecyzyj. Rządem jest «Komisja Likwidacyjna», rządem jest «Volksrat» poznański, rządem jest nierządząca «Rada Regencyjna», która rządzenie w nocy komuś innemu oddaje [1]), rządem są efemerydy, które, jak «rząd lubelski», występują i w kilka dni konają. Wszędzie mamy półsłowa, półśrodki, półdecyzje, charakteryzujące ogólną słabość.

Słabość ma zawsze jedną konsekwencję — zamiłowanie do wielkich słów bez treści. Mamy też to wszędzie. Jeżeli się przebiega dokumenty historyczne, czyta ówczesne określenia, znajdziemy wszędzie pompatyczne słowa, którym treść nie odpowiada. Wszędzie, że tak powiem, słowa przekraczają zamiary, gdyż zamiary istotnie są skromne, a wielkie słowa wyrzucane są jak gdyby dla przykrycia skromnych zamiarów, dla

[1]) Por. t. V, str. 14.

ukrycia swej niemożności istotnego wprowadzenia w życie tego, co się mówiło. Jest to charakterystyka zawsze słabości. Silny nigdy tak nie postępuje.

Związana jest z tym jakaś dziwna nerwowość, która jest też wypływem słabości. To, co jest, wie się dziś, a nie wie się, co będzie jutro. Wydaje się, jak gdyby wypadki biegły, nie licząc się najzupełniej z tym, co człowiek mówi i co myśli, przerastając w danej godzinie człowieka, który jest za mały w stosunku do zdarzeń. Stąd ciągłe oczekiwanie, że ktoś coś zrobi.

Jest wreszcie słabość, polegająca na poczuciu zależności od czego, co nie jest Polską, i na braku sił do złamania tego, co nie jest Polską. Nie jest nam przyjemny konkubinat, jednak na ten konkubinat idziemy, godzimy się na współrządzenie z tym, co nas chce załamać. Wszystkie te wybitne cechy słabości są najbardziej charakterystyczne dla stylu owej epoki.

Jest jeszcze jeden rys ówczesnego stylu, niezależny zupełnie od nas samych. Ulegamy temu, co idzie z zewnątrz. Jest charakterystycznym, że w tym czasie wszyscy, którzy byli przeciwnikami pewnych słów, nieraz bardzo surowo je sądząc — sami zaczynają te właśnie słowa wypowiadać. Więc mówią o «szerokich warstwach pracujących», o «konieczności udziału ludu» w tym czy innym, o «konieczności ludowładztwa» — wszyscy przeciwnicy «ludowładztwa» i «warstw pracujących». Dochodzą oni do tego, że, nienawidząc tych określeń, spokojnie podpisują te wszystkie słowa w aktach urzędowych. Powtarzam, trudno podejrzewać wielu ludzi, podpisanych pod aktami «Rady Ludowej» poznańskiej, aby byli zakochani w «Arbeiterratach» i «Soldatenratach», a wypowiadają słowa, związane z «Arbeiterratami» i «Soldatenratami», i kładą pod tym swoje nazwiska i imiona. To samo jest z rządem Świeżyńskiego, którego odezwy do ludności mówią o konieczności wprowadzenia do rządu wielkich idei sfer ludowych [1]) i t. d., i t. d., gdy nikt poprzednio nie podejrzywał ani Świeżyńskiego, ani jego rządu o żywienie takich chęci.

Ten mus ulegania podobnym słowom stanowi styl epoki

[1]) Odezwa rządu Świeżyńskiego zawierała następujące zwroty: «...rząd polski rozumie, że jedynie olbrzymi, zbiorowy wysiłek narodu, a nade wszystko pracującego ludu polskiego, sprosta wielkiemu zadaniu stawiania podwalin pod gmach zjednoczonej, wolnej Polski ludowej», — rozumie również — «...że interesy warstw uprzywilejowanych muszą w tej historycznej godzinie ustąpić dobru Ojczyzny», i że jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki; że «Rząd narodowy, w większości swej z przedstawicieli pracującego ludu złożony, powstać powinien bezzwłocznie».

ówczesnej. Tym stylem szli wówczas specjalnie sąsiedzi nasi z prawa i lewa, z zachodu i wschodu, i Polska ulega pod tym względem temu, co idzie z zewnątrz. Jest to charakterystyczne dla zbiorowych poczynań naszej duszy. Jeżeli wezmę szumnie brzmiące odezwy «rządu lubelskiego», to wątpię, czy rząd ten chciał wszystkie w nich wypowiedziane słowa wprowadzić w życie [1]) — tyle jest tam określeń nie swoich, ale żywcem wziętych z manifestów takich czy innych rządów.

Niedawno, przed przyjazdem do Krakowa, rozmawiałem o pewnych cechach «rządu lubelskiego» z posłem Poniatowskim [2]), który był w nim ministrem rolnictwa. Od niego dowiedziałem się, że pierwszym aktem «rządu lubelskiego» było doprowadzenie nie do czego innego, jak do porozumienia obywateli ziemskich ze strajkującymi parobkami, gdyż rząd ów obawiał się, by wskutek strajku nie powstały trudności aprowizacyjne. Po rozmowie z p. Steckim [3]), jak i z innymi właścicielami ziemskimi, opublikował za pomocą plakatów, bo innego środka zawiadomienia nie miał — zniesienie strajku przeciw tym obywatelom ziemskim, którym groził nie wiem czym w odezwach. Ten system, który zmuszał ludzi do pewnego jak gdyby fałszowania siebie, jest niechybnie stylem epoki.

Cechą dalszą owego okresu pierwszych dni Rzeczypospolitej jest niezwykła rozbieżność wszystkich prób rządzenia. Wygląda to tak, jakby czterdziestu mężów próbowało robić każdy z nich odrębny rząd, a za nic w świecie nie chcą się oni porozumieć między sobą.

Wszędzie próby są odrębne. Wszędzie te próby na coś ciągle jeszcze czekają, żeby się porozumieć i wtedy dopiero próbować stworzenia ogólnego rządu. Wszędzie jest ta dziwna rozbieżność celów tych prób rządzenia i środków, używanych dla tych celów. A więc likwidacja, jak to stawiał sprawę zabór austriacki, który tym samym zacieśniał się tylko do pewnej części Polski, bo likwidacja tyczyła się tylko Austrii. To samo w zaborze pruskim. Ale tym zajmę się szerzej w następnym wykładzie.

---

[1]) Manifest «Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej», ogłoszony w nocy z 7 na 8 listopada 1918 r. w Lublinie, proklamował między innymi upaństwowienie donacyj, majoratów i lasów, oraz zapowiadał wniesienie do sejmu projektów ustaw o wywłaszczeniu wielkiej i średniej własności, o upaństwowieniu kopalń i t. p.

[2]) Juliusz Poniatowski, który brał udział w Legionach i w pracy P. O. W., był ministrem rolnictwa w rządzie lubelskim.

[3]) Jan Stecki, były poseł do pierwszej i drugiej Dumy, minister spraw wewnętrznych za Rady Regencyjnej, przedstawiciel sfer ziemiańskich.

Pozostaje wreszcie jeszcze jeden styl owej epoki, którego nie chcę wywyższać specjalnie, lecz który istnieje historycznie, t. zn. styl żołnierski. Ten styl nie był tylko naszym stylem. Przecież rządy «rad żołnierskich» były wymysłem innych. Styl ten jest związany z epoką wojny, dlatego też styl żołnierski robi swoje, wywiera swój wpływ. I wyznaję panom, że ze wszystkich ówczesnych stylów najbliższy mi był styl żołnierski, gdyż był on najszybszym w postępowaniu, gdyż nie dawał się wyprzedzać wypadkom, gdyż szukał wyrazu siły, gdyż szukał on zawsze zrobienia czegoś tak wyraźnego i jasnego, by nikt już potem nie był w stanie temu zaprzeczyć.

Dlatego też mamy wówczas wszędzie jakby wyodrębnienie się wojska od tego, co nie jest wojskiem. I choć to wojsko było nieraz słabe, czy w owej chwili nikłe, to jednak wszędzie mieliśmy natychmiast do czynienia z szukaniem jakiejś władzy wojskowej, która bierze wszystko w rękę i przez to samo ratuje społeczeństwo od tego chaosu, który idzie na Polskę. Toteż kiedy próbowałem odezwać się do żołnierzy, wszędzie stanęli mi oni z pomocą, bez względu na to, jaki był ten żołnierz.

W Warszawie natychmiast gen. Rozwadowski poddał się pod moje rozkazy, gdy tego od niego zażądałem, pomimo, że był dowódcą odrębnej zupełnie jakiejś części armii [1]). Tak samo wyodrębnił się Rydz-Śmigły z «rządu lubelskiego» [2]) i oświadczył, że słucha mojej komendy. Tak samo tutaj, w Krakowie, Roja również natychmiast poddał się jednej władzy wojskowej.

I to jest, panowie, ten styl żołnierski, który ogromnie ułatwił pracę dziejową w owym czasie, by wyprzedzając innych, stworzył potem mus ulegania tym faktom. Na to bowiem nie ma ratunku, że ten, kto w tyle idzie, musi ulegać temu, co naprzód kroczy.

Panowie, muszę zakończyć ten wykład przykrą dla mnie koniecznością mówienia o sobie.

Czy człowiek ma prawo mówić o sobie?

Jestem postawiony w tym dziwnym położeniu w Polsce, że jeżeli ktoś mówi o sobie — to mówi o mnie rzeczy przykre, lecz jeżeli ja mówię o sobie — to nie jest to w porządku, to ja choruję na egotyzm. Przyzwyczaiłem się oddawna do takiego stawiania sprawy. Twierdzę, że mam pewne prawo mówienia

[1]) Gen. Tadeusz Rozwadowski był wówczas «Szefem Polskiego Sztabu Głównego».

[2]) Tymczasowy Rząd Ludowy swoim aktem z dnia 7 listopada 1918 r. zamianował «Komendantem naczelnym wszystkich wojsk polskich — zastępcę J. Piłsudskiego, płk. Edwarda Rydza-Śmigłego».

o sobie, gdyż każdy historyk, który się zetknie z tą epoką, musi mówić o mnie, musi mówić, czy chce, czy nie chce, o tym obiekcie historycznym, który się nazywa Józef Piłsudski, dlatego, bo byłem skazany na pracę indywidualną. Moja praca indywidualna polegała na tym, że naczelników państwa nie mogło być dwóch w jednym państwie, jak równie dwóch naczelnych wodzów. Mimo wszystkie rozbieżności, jakie wówczas istniały, Polska doszła jednak do tego zrozumienia, że nie potrzebuje sześciu czy dwunastu naczelników państwa i dwudziestu pięciu naczelnych wodzów.

Wobec tego, że byłem na tych stanowiskach jednym, historia musi trzymać się tego faktu, iż przez dłuższy okres czasu był w Polsce człowiek, który się nazywał Józef Piłsudski i który był skazany na indywidualną pracę, czy to jako Naczelnik Państwa, czy jako Naczelny Wódz armii polskiej.

Dlatego muszę mówić o sobie i o swoim stylu personalnym.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy, o niczym nie mając żadnych informacyj, wyjechałem pociągiem specjalnym, złożonym z jednego wagonu i lokomotywy, z Berlina do Warszawy. Miałem jako towarzysza, opiekującego się mną, jakiegoś oficera pruskiego [1]), który, zdaje się, uciekał wtedy od «Soldatenratów», gdyż na każdej stacji wyskakiwał, wypytywał się, czy w tej miejscowości jest już «Soldatenrat», czy «ancien régime» [2]) i z ulgą komunikował nam wiadomości, że tu jeszcze stary porządek panuje.

Oficer ten przez cały czas bał się, by jego misja odstawienia niebezpiecznego towaru do Polski nie została skontrowana przez inną władzę. Odsyłał mnie bowiem z Niemiec «ancien régime» w chwili przymusowego konkubinatu z nową władzą, i oficer bał się, że odstawienia mnie do Polski może dokonać rząd inny. Z Polski żadnego pozwolenia na przyjazd nie było.

Jechałem, nie wiedząc zupełnie, co w Polsce się dzieje, gdyż jedynym informatorem moim, który mi podczas swej u mnie wizyty w hotelu berlińskim parę słów o Polsce powiedział, był hr. Lerchenfeld [3]).

Ja i gen. Sosnkowski skazani byliśmy na zupełną niewiadomość tego, co się w Polsce dzieje. Nie dawano mi w niewoli żadnego pisma, prócz «Magdeburger Zeitung». Dlatego, nie mając zupełnie żadnych danych, nie miałem w pociągu nic innego do roboty, jak myśli i marzenia, wytykające sobie takie

[1]) Mowa tu o rtm. Pawle van Gülpenie.
[2]) Dawny rząd, dawna administracja.
[3]) Por. t. IV, str. 117.

czy inne drogi postępowania, gdy się zjawię w Polsce. I muszę powiedzieć panom o jednym stylowym dla mnie marzeniu, które nie przestało dotychczas być marzeniem. Sądziłem, jadąc radośnie wreszcie do Polski, że w chwili, gdy Polska pospiesznie się buduje, zastanę tam kochanych i niekochanych rodaków, zmieniających pod wpływem tego samego faktu, że Polska powstaje, i swoje dusze i że w ich piersiach znajdę pierwiastek siły, którego dotychczas w Polsce brakowało. Z tym marzeniem i z tą iluzją przyjechałem do Polski.

Panowie widzieli, gdy mówiłem tu o ówczesnej słabości, że zostałem rozczarowany bardzo silnie. Przy pierwszym spotkaniu swym z Polską nie znalazłem tego, czego się spodziewałem.

WYKŁAD II

(16 listopada 1924 r.)

Szanowne panie i panowie! Wczoraj mówiłem o stylu tych dni, w których Polska się stawała. Wskazałem, jako na główną cechę tego stylu — na słabość. Słabość nieodłączna jest od stanu niewoli, od stanu zależności. Dlatego cechę tę można było przewidzieć, oczekiwać jej, gdyż i poprzednie dni dawały zawsze słabość Polakom.

Dziś chcę się zająć inną cechą owej epoki — rozbieżnością usiłowań Polski, cechą, która niekoniecznie wynika tylko ze słabości, która musi mieć więc specjalne swoje przyczyny.

Mówiłem już wczoraj o tej rozbieżności usiłowań, która źródło swe miała w ówczesnej słabości Polski. Wszędzie we wszystkich próbach rządzenia, z wyjątkiem może «rządu lubelskiego», widzieliśmy jak gdyby konieczność tego przeklętego konkubinatu z zaborcą, który jeszcze istniał, z którym Polacy współdziałali czy to z musu, czy to pod wpływem rozwagi i rozumu, czy to dla tych, czy innych racyj.

Ta jak gdyby konieczność kondominium Polaków i zaborców, wynikająca ze słabości polskiej, wytwarza rozbieżności w poszczególnych częściach Polski, gdyż zależni jesteśmy nie od swojej woli, ale od woli zaborców. Stwarza to mus stawiania sobie innych celów w różnych częściach Polski i używania innych środków w każdym z tych, jakby sąsiadujących ze sobą państewek polskich. Rozbieżność, stąd płynąca, wywiera ogromny wpływ na przebieg pierwszych dni Rzeczypospolitej Polskiej.

Niestety, rozproszenie usiłowań polskich szło jeszcze da-

łej. Nawet dla jednakowego celu wytwarzał się jak gdyby mus stosowania zupełnie różnych środków. Gdy nad tym faktem się zastanawiałem i próbowałem go zanalizować, zawsze przychodziłem do wniosku, że najlepszym określeniem, tłumaczącym rozbieżności, tak daleko idące, jest słowo: «ghetto».

Co to jest «ghetto»? «Ghetto» to ugrupowanie ludzkie, które mimo, że musi współżyć w tych czy innych dziedzinach z otoczeniem, wytwarza dla siebie swoje wewnętrzne prawa, swoje ustawy i ustawki, nieznane innym, a które są dla tego ugrupowania ludzkiego silniejsze, niż jakiekolwiek inne zewnętrzne działania.

Każde «ghetto» tworzy określenia, niezrozumiałe dla innych, każde «ghetto» stwarza język, swój żargon, tworzy słowa, które obowiązują «ghetto», a które nieznane są innym ludziom.

Nie wiem, czy gdziekolwiek w naszej historii jest epoka, czy są gdziekolwiek dni, w których walka o słowa była tak silnie rozwinięta, jak w owym czasie, gdy słowa ukochane przez jednych były wstrętne dla drugich, gdy na podstawie słowa bez treści sypano oskarżeniami, gdy słów jednych nie chcieli rozumieć drudzy i gdy te same słowa, które gdzie indziej przez ludzi były używane, jako element zgody, u nas doprowadzały do walki.

Znam te «ghetta» słów, w których niektóre wyrazy i określenia są święte i dotknąć ich nie wolno, «ghetta», w których słowa i określenia łączą ludzi dla celów, mających nieraz z tymi słowami bardzo mały związek. Znam ten żargon niezrozumiały dla innych, a który ułatwia współżycie «ghetta», ułatwia pracę takiej czy innej kliki, takiej czy innej grupy. Gdzie istnieje prawo języka «ghettowego», istnieją zamiłowania do życia «ghetta» i istnieje wspólna niechęć do wszystkiego, co poza «ghettem» się znajduje, co innego używa żargonu i inaczej o słowach myśli.

Należałem zawsze do ludzi, którzy byli przeciwnikami «ghetta», którzy się starali wyjść poza nie. Dlatego w każdym ugrupowaniu ludzkim, w którym kiedykolwiek byłem, byłem uważany za coś w rodzaju heretyka, za człowieka, który z zamiłowaniem walczy przeciw słowom, walczy przeciw świętościom, walczy przeciw słowom, które treści nie mają. We wszystkich ugrupowaniach, do jakich w życiu swoim należałem: czy to było małe stowarzyszenie gimnazjalne, czy większy związek, zmierzający do jakiegoś celu — zawsze byłem taki sam. Był to mój styl personalny, który nieraz dawał mi wielkie plusy, gdyż «ghetta» łatwiej rozumiałem, gdyż łatwiej pustość dźwięków i słów spostrzegałem i łatwiej istotny sens rzeczy

chwytałem, bo mnie nigdy żadne prawo «ghetta» i żadna świętość słów, żadne ukłony w kierunku takiego czy innego pustego dźwięku nie brały.

Jak panowie wiecie, przeszedłem podczas wojny światowej przez silne «ghetto», jakim były Legiony. Znacie barwny styl Legionów, który wytworzył specjalne określenia, zrozumiałe tylko dla tego zrzeszenia. Dla jego języka trzeba by encyklopedię stworzyć, aby zrozumieć znaczenie i siłę jego «ghettowych» określeń. Przyszedłem do Polski ze swojego «ghetta», z tego «ghetta» silnych określeń, nie bojących się niczego, nie dbających o żadne inne «ghetta» i przechodzących z radosnym uśmiechem nad wszystkim w Polsce do porządku dziennego.

Siłę wszelkich «ghett» polskich powiększał element zaskoczenia. Jak widzieliśmy wczoraj, Polska w owym okresie nie tworzy swych losów i dziejów samoistnie. Zapoczątkowanie wszystkich prób samodzielności było często zawisłe jedynie od tego, czy zaborca słabnął, czy padał; próby te były zależne od tych czy innych zmian w Wiedniu czy w Berlinie, od zwycięstw dalekiej «Ententy». Zależeliśmy od działań innych i dlatego wypadki skakały naprzód lamparcim skokiem, wyprzedzając myśli i działania Polaków, stwarzając coraz to nowe sytuacje, coraz to nowe konieczności, do których słaby dopasować się musiał. Ten element zaskoczenia sprawiał zawsze to, że «ghetta» polskie, będące w tyle, stanowiły hamulec, nie pozwalały na ruch, nie pozwalały na przystosowanie się do nowo stworzonych sytuacyj. A wypadki w stosunku do Polski biegły z szybkością elektryczności, a nie powolnym ruchem żółwia. Godziny na zegarze dziejowym spieszyły, biły szybko jedna za drugą, jak gdyby wymagały od Polaków, aby szli w takt bicia zegaru, gdy godzina do godziny stawała się niepodobną.

Może najwięcej zaskoczonym byłem ja sam. Przyszedłem z miejsca, gdzie przez rok cały nie miałem w ręce ani jednego polskiego drukowanego słowa, gdzie przez rok cały nie widziałem ani jednego Polaka, gdzie przez rok cały nie współżyłem w ogóle z Polską. Czułem na sobie ten ciężar izolacji, odcięcia od całego życia, czułem tę nieznajomość ludzi, zmieniających się w tej godzinie dziejowej szybciej, niż poprzednio, czułem jakieś waśnie, o których nic nie wiedziałem, czułem jakieś spory, z którymi nigdy nie miałem do czynienia. Byłem sam, zupełnie samotny.

Przyjechałem, jak mówiłem, z myślą, że odrodzenie Polski odrodzi i dusze, że znajdę innego człowieka, który łatwiej, niż przedtem, do zadań życia dopasowywać się będzie.

Miałem wtedy ciągle do czynienia z próbą wytworzenia jakiegoś centralnego rządu. Wszystkie usiłowania zbliżenia ludzi do siebie, zmuszenia ich do współpracy ze sobą, pękały mi w ręku w jednej chwili, gdym tego zagadnienia dotykał [1]). Nikogo namówić nie mogłem, aby przekroczył przekleństwo «ghetta», przekleństwo języka «ghettowego», aby Polacy zechcieli się zastanowić nad koniecznością współpracy, nad koniecznością umowy i nad koniecznością ugody już nie z zaborcą, lecz z samymi sobą.

Nie mogłem niczego zrobić. Gdym pertraktował z «rządem lubelskim», to ten w całości oświadczył mi natychmiast, że z nikim w całym zaborze rosyjskim pertraktować nie będzie i z nikim do zgody nie pójdzie. Pod wpływem mego nastawania zgodził się wreszcie «rząd lubelski» pójść na próbę pertraktacji z obcym dla tego «ghetta» elementem, ale tylko z takim, który pochodzi z zaboru pruskiego. Zgoda, powiedziałem, i wezwałem panów z zaboru pruskiego, aby zechcieli stanąć do współpracy, do wspólnej roboty.

Panowie! Dwa ciężkie dni spędziłem na katorżnej robocie, aby słuchać «ghettowych» określeń jednej i drugiej strony, które w żaden żywy sposób punktu stycznego nie znachodziły, bo słowa jednych wzbudzały u drugich od razu słowa przeciwne, bo mus sprzeczności wyrastał natychmiast. Dwa długie katorżne dni spędziłem na słuchaniu tych samych argumentów, powtarzanych co godzina, a sprzecznych z sobą. Zdawało mi się, że mam do czynienia z ludźmi, z których każdy mówi innym językiem, chcąc widzieć w słowach to, czego w tych słowach nie było, i robiąc wrażenie ludzi, którzy przyszli jedynie po to, aby w twarz sobie plucć, a nie po to, by sobie podać ręce.

Mówiłem w przeszłym wykładzie o stylu pierwszych dni Rzeczypospolitej, o tym musie i nakazie, który szedł na słabą Polskę z lewa i z prawa, z Zachodu i Wschodu, nakazie, który cisnął i dusił, i zmuszał ludzi do wypowiadania słów innych od tych, którymi chcieliby naprawdę mówić. Był mus bycia radykalnym, mus wypowiadania wspaniałych słów, których nigdy przedtem nie mówiono, słów o «rządach rzesz pracujących», o «ludzie, który musi wziąć władzę w swoje ręce». Ten mus skłaniał, jak mówiłem, panów w Poznańskim do wypowiadania słów, których może nawet nienawidzili, do ulegania

[1]) Jest tu mowa o pertraktacjach, prowadzonych w dniach 11—17 listopada 1918 roku przez Józefa Piłsudskiego z przedstawicielami stronnictw politycznych. Por. t. V, str. 18—19.

presji «Soldatenratu»; ten mus kazał rządowi p. Świeżyńskiego wydawać demagogiczną proklamację [1]).

Mimo dwóch dni katorżnej pracy dla znalezienia możliwości współpracy, nie byłem w stanie «ghetta» przełamać, żargonu usunąć. Żargon i prawa «ghetta» były silniejsze!

Niemożność osiągnięcia porozumienia wydaje się tym dziwaczniejszą, że wszyscy zdają się mówić rzeczy podobne. Dla przykładu biorę «Kuriera Poznańskiego» z dnia 15 listopada 1918 r. Jest w nim umieszczona, cytowana już przeze mnie, odezwa posłów polskich, należących do Koła polskiego w sejmie pruskim i do Koła polskiego w parlamencie niemieckim. Znajdziemy w tej odezwie następujące zwroty:

«Ginie świat stary, rodzi się nowy. Z gliszczów i pożarów powstaje nowy ustrój ludzkości, związek narodów, a filarami jego wolność narodów, swoboda obywatelska i sprawiedliwość społeczna»,

a dalej:

«Doniosłość chwili wymaga skupienia wszystkich sił narodowych i podziału brzemienia odpowiedzialności na koła najszersze. Przyszła Polska ludową będzie i ludem tylko stać może».

Wyrażenia te niedaleko odbiegają od stylu proklamacji «rządu lubelskiego». Dlaczegóż jednak panowie Poznańczycy, gdy w Warszawie się znaleźli, tutaj słów takich uznać nie chcieli? Bo te same słowa inaczej były rozumiane w «ghettowym» języku poznańskim, a inaczej w języku «ghettowym» «rządu lubelskiego», bo «ghetta» te zazdrość i zawiść wzajemna unosiła, bo «ghetta» te nienawiścią na siebie pluły.

Proszę zastanowić się, jak było ciężko przedrzeć się przez te «ghetta», aby coś wspólnego dla wszystkich zrobić, aby zacząć spajać w jeden rym usiłowania, wszczęte po różnych kątach Polski i używające tak rozmaitych i rozbieżnych środków.

Każdego historyka, który ówczesne dokumenty i podpisy, pod nimi położone, odczytywać będzie, zastanowi na pewno i ten jeszcze dziwny fakt, że ci sami ludzie w jednym miejscu zgodnie pracować mogą, a w innym miejscu ci sami ludzie kłócić się muszą.

Proszę wziąć «Komisję Likwidacyjną». Składała się ona ze wszystkich możliwych stronnictw [2]), ze wszystkich możli-

[1]) Por. t. VIII, str. 107.

[2]) Skład partyjny Komisji Likwidacyjnej dn. 28. X. 1918 r. był następujący: 6 ludowców, 4 narod.-demokr., 4 socjalistów, 3 polskich demokr., 2 polskich konserwatystów, 1 ze zjednoczenia narod.., 1 z partii postępowej, 1 z partii robotn.-narod., 1 ze Śląska.

wych «ghett». Wszyscy razem w niej się znaleźli i pomiędzy siebie najrozmaitsze funkcje podzielili. Waśnie i spory mogły sobie gdzieś dalej iść, ale to nie przeszkadzało temu, że można było zasiadać do jednego stołu i przy czarnej kawie i papierosie spokojnie — jak ongiś w Wiedniu — rzeczy roztrząsać.

Ci sami ludzie, gdy nie o konkubinat z zaborcą a o próbę centralnego rządu polskiego chodziło, stawali się wrogami, nie chcącymi pomiędzy sobą rozmawiać. Wyglądało to tak, jakby w Wiedniu czy Berlinie, pod batem zaborcy, zawiści wstrzymywać i godzić się umiano. Umiano w «ghettach» parlamentarnych przy czarnej kawie zasiadać i ręce sobie podawać, by niekiedy szynk czy koncesję z rąk zaborcy wyrywać, a niekiedy wśród obcych taką czy inną pracę dla Polski zrobić. Ale ten mus opanowania siebie niknął natychmiast, gdy Wiedeń i Berlin znikły.

Zjawiał się mus kłótni i sporów nawet nie między stronnictwami, a między «ghettami», przekraczającymi podział na partie. Dlatego te same słowa, które były używane w oficjalnych enuncjacjach posłów polskich do Berlina, stawały się, jak wskazałem, zdrożnymi w Warszawie. Przy tak olbrzymim pomieszaniu w tych pierwszych dniach Rzeczypospolitej «ghett» i żargonów wydawało mi się niekiedy, że, gdy wszystkie «ghetta» jednakowo usiłują i dążą wszelkimi środkami do wiecznego plątania węzłów jednego za drugim na sznurze dziejowym, to nie ma siły, aby te węzły, raz po raz wiązane, można było co chwila rozplątywać i że nie ma innego wyjścia, jak użyć siły Aleksandra Wielkiego, który węzeł gordyjski mieczem przeciął.

W «ghettach» wszelakich, które niewola u nas stworzyła, wytworzyły się odrębne żargony. Ten mus mówienia innym językiem był tak silny w Polsce, jak silną była niewola. A przywiązanie do słów było wtedy ogromne. Słabość siły istotnej nie posiada i dlatego nagość swą ubiera w słowa, słów szuka, aby się upiększyć. Stąd ta psychologiczna niejako konieczność kochania słów, w które stroiła się tęsknota do siły. Dlatego w tym momencie, gdy niewola ustawała, gdy zaczynało się stawanie się Polski, tak wielkie znaczenie i moc miały słowa i określenia, nie mające nieraz z istotą rzeczy nic wspólnego.

Wszędzie wówczas, gdzie polska mowa się rozlegała, tworzyły się lokalne ugrupowania polskie, usiłujące stworzyć siłę własną. Takie usiłowania były zarówno w Polsce centralnej, gdzie zaborców siła osłabła najbardziej, jak i na kresach, gdzie Polacy łączą się dla znalezienia siły zarówno w dzikich warunkach rewolucji rosyjskiej, jak i tam, gdzie istniał nacisk

niezłamanej jeszcze potęgi niemieckiej [1]). Wszystkie te lokalne ugrupowania, trzymające się jednego ogólnego nakazu, by siłę Polski wytworzyć, stwarzają równocześnie coraz to inne lokalne «ghetta». Tworzą się nowe węzły, utrudniające pochód ku jedności, czyniące ten pochód uciążliwym i trudnym.

Głównymi «ghettami» były zabory. W swoich odczytach, wygłoszonych niedawno w Wilnie o 1863 r. [2]), mówiłem, że styl epoki 1863 r. jest całkiem inny, niż styl epoki mojego pokolenia. Wówczas były tylko mechaniczne związania krwi polskiej z zaborcami, chemicznego związku krew polska nie dopuszczała. Przy krążeniu krwi państwowej w olbrzymich organizmach zaborczych mamy wtedy zawsze to zjawisko, że sole obce, idące z zewnątrz, artretyzmów i podagry starczej w naszym organizmie nie wywoływały.

Styl epoki naszej, epoki popowstańczej, był inny. Krew państw zaborczych miała siłę dokonywania w naszej krwi przemian chemicznych, wywołujących w tych czy innych załomach podagrę starczą.

Jakże ten właśnie styl jest widocznym w chwili, gdy w r. 1914 godzina dziejowa początek Polski wydzwaniała! Wszyscy Polacy poszli wtedy na służbę do swoich zaborców. Styl epoki 1863 r. nie pozwoliłby na takie zachowanie się, taki fakt w tamtym pokoleniu byłby niemożliwy.

Po przełomach wojennych, po burzach, pożogach i mordach, po trudach i zmęczeniach, które wojna wywołała, po wysługiwaniu się zaborcom, po daniu im krwi swojej, po przeklętej epoce t. zw. «orientacyj» zjawia się mus, nad którym przejść do porządku dziennego nie było można, mus wytworzenia własnego rządu. Czyż panowie w tych chwilach, gdy Polska się stawała, gdy szły godziny, które Polskę musiały budować, nie znajdziecie przekleństwa epoki niewoli, choć Polska już jest wolna, a jej zaborcy w proch padli? Czyż nie znajdziecie «orientacyj», «ghett», które zaborcom służyły, a teraz zaborcze plwociny w oczy innym Polakom plują, «ghett», rzucających oskarżeniami, «ghett», podstawiających sobie nogi? Sole krwi zaborców tworzą podagrę, sole zaborców, w krwi polskiej będące, zmuszały do plwocin, przekleństwo niewoli wiązało «ghettowe» węzły i wzniecały spory o słowa, które już żadnej treści nie miały.

Bo niech by sobie ktoś był kiedyś moskalofilem, austrofi-

---

[1]) Jest tu mowa o okupacji wojskowej niemieckiej na Kresach; por. t. V, str. 123.

[2]) Por. t. VIII, str. 50—89.

lem, czy germanofilem. Prosty interes wykluczał, by ktokolwiek w Polsce w godzinie jej powstania mógł być germanofilem, austrofilem czy moskalofilem. To było skończone. A przecież tymi oskarżeniami pluły na siebie stronnictwa. Te krzyki i wrzaski niczym innym nie były, jak echami przeszłości, która znikała, a rzeczywistością było to, że — gdy cały świat w pokoju poczynał żyć — na Polskę, zmęczoną wojną, szła nowa pożoga, nowa burza, i że Polska o synów wołać musiała.

Panowie! Gdy epokę tę badam i śladów siebie w tych dniach szukam, doznaję jakiejś niechęci. Byłem zawsze przeciwnikiem wszelkich «ghett», przeciwnikiem przykładania słowom zbyt wielkiej wagi. Byłem człowiekiem, rozkochanym w «réalité des choses» [1]), szukającym rzeczy samej, która słowami nieraz określić się nie daje, a o której zawsze jednak pamiętać trzeba. Byłem człowiekiem, który fizycznie choruje, gdy decyzji powziąć nie może, który spiesznie wszystko na bok odrzuca, by mieć przed sobą najprostsze rozstrzygnięcia: «tak» lub «nie» i który wtedy, gdy «tak» lub «nie» powiedzieć sobie nie może, wybiera trzecie rozstrzygnięcie: «odłożyć».

Człowieka tego los rzucił, aby przeniósł kłótnie, brak decyzji i spory o słowa, w których wartość do tego nie wierzono. Dałem panom wczoraj przykłady tego stylu szumnych słów i robienia tego, co z tymi słowami było sprzeczne. Jak Polska szeroka i długa, wszędzie i ciągle biegła ta sprzeczność słów wielkich z małymi czynami.

Kłócono się o drobiazgi, najczęściej o słowa. «Réalité des choses» zanikła w powodzi sprzeczności słów, w mnóstwie węzłów, zaplątywanych codziennie, co godzina na sznurze dziejowym, węzłów, które prosiły i błagały, by miecza wydobyć i ciąć je jeden po drugim.

Gdy sięgam pamięcią w owe czasy, gdy myślą dzień po dniu i tydzień po tygodniu przebiegam, gdy przypominam sobie ówczesną pracę innych i swoją, to nie szukam goryczy, a prawdy jedynie, która daje historię, tę wielką mistrzynię życia. Prawda cicho jeszcze stąpa przez Polskę, która historii swojej dotychczas nie zna.

A prawda jest tak łatwa: wszyscyśmy grzeszyli, wszyscy byliśmy słabi, wszyscyśmy od musów dziejowych uciekali. Czyż prawda tak trudna jest do powiedzenia? Czyż trzeba przez słowa kłamliwe nowe węzły plątać? Czyż łgać ciągle o Polsce trzeba, gdy się o sobie mówi?

Powtarzam zawsze i błagam: prawdy pod korcem nie

[1]) Por. t. VI, str. 185.

chować, bo ona wyjdzie, skoro jedno kłamstwo drugiemu zaprzeczać musi. Nie wiem, czy dzieci nasze, swoimi oczkami na nas patrząc, nie wyczuwają tej powodzi kłamstwa, w której rodzice żyją, i czy nie trwożą się główki dziecinne, gdy widzą starszych tak zakłamanych.

Mówiłem o stylu dziejowym pierwszych dni Rzeczypospolitej, o słabości polskiej i jej skutkach, o «ghettach», które stworzyło przekleństwo niewoli. Niech mi będzie wolno na zakończenie usprawiedliwić i te objawy:

Nie lubię ckliwych poetów, lecz umieją oni niekiedy dawać cudne określenia. Rosyjski poeta Natson [1]) mówi gdzieś w jednym ze swych małych wierszyków, jak to serce ludzkie jest dziwne, że kajdany kwiatami wiosny ubierać musi.

Z przeżyć moich sięgam do dni największego mojego tryumfu, gdy hejnał zwycięstwa bił mi w piersi, gdy dzień wielki swój święciłem, gdym do Wilna swego, jako zwycięzca, wkraczał [2]), gdym konno po ulicach Wilna jechał, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił i gdy wtedy w takt podków śnił mi się — dźwięk łańcucha. I gdzieś pod powieką u zwycięzcy łza tęsknoty się zbierała za snami pięknymi niewoli, które Mickiewicza nam dały, za cierpieniami i bólami, za zapachem kwiatów, które kajdany ubierają.

Podczas naszej długiej stuletniej przeszłości, gdyśmy wolności nie mieli, wytworzyliśmy, biegnąc tęsknotami z pokolenia na pokolenie, swoje życie niewoli i swoje życie kajdan. Ileż cudów piękna dało to życie, ileż tęsknot, bólów i cierpień, ileż szczytów pozwoliło osiągnąć!

Idą teraz godziny za godzinami, zwycięstwo za nami, przed nami szerokie życie. Burz dla nerwów nie ma, piękno jakby stygnie i człowiek czeka na nowego człowieka, aby piękno odrodzenia gdzieś wyszło, piękno chwil wiosny — wiosny nowego polskiego życia.

Gdy myślę o tym, zbliżając się co krok do grobu, to zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie — że piersi dziecinne i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wyśpiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia, gdy my, niestety, spotkaliśmy Polskę z kwasem śledzinników i burczeniem ludzi o chorych żołądkach.

---

[1]) Natson Siemion Jakowlewicz, poeta liryczny rosyjski z drugiej połowy XIX w.

[2]) Dnia 21 kwietnia 1919 roku.

W KSIĘDZE PAMIĄTKOWEJ SZKOŁY PODCHORĄŻYCH

(21 listopada 1924 r.)

Podane w tekście słowa Piłsudskiego były drukowane na czołowej stronie w jednodniówce pt. «W święto Szkoły Podchorążych 29 XI 1830—29 XI 1924», wydanej nakładem kadry Szkoły Podchorążych piechoty na dzień święta szkolnego i zjazdu kilku dawnych klas szkoły.

Kiedym w r. 1918, dnia 29 listopada, wziął jako mieszkanie Belweder, nakazałem, by Szkoła Podchorążych zaciągnęła tam warty [1]). Mówiono mi, że pewnej nocy ks. Konstanty ukazał się któremuś z podchorążych, że oglądał jakoby warty w otoczeniu Belwederu. Śmiałem się z tego, twierdząc, że zdziwiony chciał zapytać, co zacz są nowi mieszkańcy i wartownicy Belwederu. Co za nowi, nieznani ludzie? Po sześciu latach nieraz pytam siebie znowu, co zacz są nasi podchorążowie, ten nowy gatunek ludzi, którzy wkładają mundur żołnierski, by się stać w naszej armii oficerami? Mamy dwuletnią służbę wojskową, którą wielu uważa za czas stracony, nieznośny dla siebie, czas, który się dłuży, gdy się trzeba zająć rzeczami i pracami niezrozumiałymi. Czy oficer, któremu czas dwuletni jest krótkim zaledwie okresem jego służby, potrafi uczynić, by czas dla innych też się nie dłużył? Czy zdoła uczynić go czasem zyskanym, a pracę piękną i zrozumiałą? Czy zdoła wreszcie sprawić, by stojącym na warcie żołnierzom inne, niż ks. Konstanty, śniły się duchy?

Józef Piłsudski.

Sulejówek, dnia 21 listopada 1924.

---

[1]) Piłsudski przeniósł się z prywatnego mieszkania do Belwederu dnia 29 listopada 1918 roku; w tymże dniu Szkoła Podchorążych zaciągnęła wartę w Belwederze; Szkoła pełniła służbę wartowniczą do 22 grudnia 1918. Ustalił się odtąd zwyczaj, że stale w dniu 29 listopada podchorążowie pełnili w Belwederze wartę honorową.

5-TY PUŁK PIECHOTY LEGIONÓW

(21 listopada 1924 r.)

Niżej przytoczone wspomnienia o dziejach nazwy: «5-ty Pułk Piechoty Legionów» okazały się w jednodniówce, wydanej w Warszawie w 1924 r. pt. «W dziesiątą rocznicę 5 pułku piechoty Legionów 1914—1924».

Ma pułk liczbę pięć! Dlaczego?... pyta zdumiony historyk. Musiał być chyba sformowany, gdy już istniały cztery inne, a jednak nie jest to prawda, historia bowiem jest bardzo zaplątana i niewyraźna. Jeśli weźmiemy początkowe formacje legionowe, znajdziemy, że w r. 1914 w Kielcach zostały sformowane tylko bataliony, które otrzymały numery porządkowe od I do VI. I wtedy żadnych innych formacyj nie było. Bataliony te weszły jednocześnie do formacyj pułkowych, przy czym nie można powiedzieć, by pułk 5-ty choć o jeden włos był młodszym w formacji od 1-go, nie mówiąc już nic o pułkach 2-im, 3-im i specjalnie 4-tym, który został sformowany o rok później. Od 1-go więc nie był młodszy pułk 5-ty, gdy w jednoczesnej formacji pułkowej wziął dla siebie II i IV bataliony, wtedy gdy 1-y pułk piechoty otrzymał I i III. Nazywał się więc przez dłuższy czas w Brygadzie nie inaczej jak pułkiem 2-im strzelców. Numer 5-ty otrzymał znacznie później, gdy się niby ustalała nie nasza, ale austriacka numeracja pułków legionowych.

W polskiej już armii pułk 5-ty znowu miał pecha ze starszeństwem. Był właściwie 1-ym w całej armii polskiej, bo jako pierwszy pułk stanął do boju i ruszył samodzielnie z Przemyśla na zagrożony Lwów i miasto oswobodził całkiem, tak, że już z rąk Polski nie wyszło [1]). Nie istniała wtedy w polu żadna inna formacja pułkowa, musiałby więc znowu pułk 5-ty mieć najwyższe starszeństwo z numerem 1-ym, gdy w legionowych formacjach jest konkurentem 1-go pułku co do starszeństwa. Jakąż więc jest ta miska soczewicy, za którą pułk 5-ty ustępuje wciąż starszeństwa formacji przy numerowaniu w historii wojska polskiego? Gdy myślę o tym, znajduję zawsze jedną i to zaszczytną. Najcięższe boje, najboleśniejsze próby życiowe przeszedł pułk w czasie, gdy nosił dumnie nazwę 5-go pułku legionów. Związało to oficerów tak silną tradycją z tym numerem i liczbą, że nawet będąc 1-ym nie chciał się wyrzec młodszej, lecz tak drogiej cyfry i liczby — 5.

Józef Piłsudski.

Sulejówek, 21/XI. 1924.

---

[1]) Por. t. VI, str. 90.

WYWIAD W SPRAWIE PROJEKTU ORGANIZACJI NACZELNYCH WŁADZ WOJSKOWYCH

(11 grudnia 1924 r.)

Dnia 11 XII 1924 r. o godz. 14,30 odbyła się w Prezydium Rady Ministrów na zaproszenie prezesa Rady Ministrów Władysława Grabskiego konferencja w sprawie organizacji naczelnych władz wojskowych. W konferencji brali udział: Piłsudski, marszałek sejmu Rataj, minister spraw wojsk. Sikorski, minister Thugutt i referent projektu ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych pos. Stefan Dąbrowski.

Na konferencji tej omawiany był projekt ustawy, który po poprawkach przyjętych do niego przez Radę Ministrów w dniu 5 XII 1924 r. (por. aneks, str. XIII—XVII), przybrał inną formę od projektu z dn. 14 III 1924 r. (por. aneks, str. IX—XIII).

Piłsudski tego samego dnia po konferencji udzielił wywiadu «Kurierowi Porannemu», który poddaje krytyce tę nową redakcję projektu.

Tekst wywiadu podajemy według «Kuriera Porannego» z dn. 12 XII 1924 r.

Na zapytanie, czy projekt ustawy umożliwiałby Marszałkowi przyjęcie tego stanowiska, które ma być równoznaczne ze stanowiskiem Naczelnego Wodza na wypadek wojny, Marszałek oświadczył:

— Ustawa o organizacji najwyższych władz obrony państwa wprowadza Generalnego Inspektora wojsk, który jest «przewidziany na Naczelnego Wodza wojska polskiego w czasie wojny». Ponieważ Naczelnego Wodza mianuje Prezydent Rzeczypospolitej dopiero w chwili wybuchu wojny, może nim być i inny generał. W każdym razie Generalny Inspektor jest tym, który przygotowuje pracę Naczelnemu Wodzowi.

Generalny Inspektor, który przygotowuje lub bierze na siebie najtrudniejsze zadanie — dowodzenia w czasie wojny, musi być uważany przez wojsko z natury rzeczy za oficera o najwyższym autorytecie.

Projekt ustawy o organizacji najwyższych władz obrony państwa został tak sformułowany, by utrudnić przyszłemu wodzowi jego odpowiedzialną pracę i by ją oddać w ręce innych.

Ustawa wnosi jakiś fałsz do życia państwa i wojska, gdyż nakazuje, jakoby z obowiązku, żywić niezaufanie do tego, kto ma być w razie wojny Naczelnym Wodzem. Tendencja ta jest widoczną zwłaszcza w sposobie ujęcia w projekcie ustawy stosunku Generalnego Inspektora do szefa Sztabu Generalnego. Oba te czynniki są w jednakowym prawnym położeniu, gdyż obaj konstytucyjnie nie są odpowiedzialni. Szef Sztabu Gene-

ralnego jest w myśl projektu ustawy «przewidziany na szefa Sztabu Naczelnego Wodza w czasie wojny», jest więc jego bezpośrednim pomocnikiem w okresie wojny [1]).

Jest on jednak mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na «wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez ministra spraw wojskowych» [2]) i Generalny Inspektor nie ma żadnego wpływu na wybór swego najbliższego pomocnika na czas prowadzenia wojny. Ten szef Sztabu «podlega bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych, nie podlega więc Generalnemu Inspektorowi», kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazu ministra spraw wojskowych, dyrektywy Generalnego Inspektora i z własnej inicjatywy [3]).

Wiążą więc szefa Sztabu tylko «dyrektywy» Generalnego Inspektora, a pozostawione mu zostaje pole dla jego własnej inicjatywy. Może więc on «na podstawie rozkazu ministra spraw wojskowych» i z własnej inicjatywy rozpoczynać prace i je prowadzić wręcz odmiennie, niż tego chce ten, który jest przewidziany na jego bezpośredniego przełożonego w czasie wojny. Ta nieufność do Generalnego Inspektora, do przyszłego Wodza, idzie tak daleko, że w myśl artykułu 13 wykonywać może «zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną» nie bezpośrednio, ale nawet ten «zwierzchni nadzór» musi wykonywać jedynie przez szefa Sztabu [4]). Chodzi więc o to, by Generalny Inspektor był jak najstaranniej ukrytym przed wojskiem i by broń Boże, nie zetknął się bezpośrednio ze swymi przyszłymi podkomendnymi.

— *Czymże motywowano tak zdumiewające postawienie sprawy?*

— Dla usprawiedliwienia ograniczeń zakresu działania Generalnego Inspektora użyto w projekcie ustawy zupełnie bezwartościowych frazesów. W artykule 13 jest powiedziane, że minister spraw wojskowych zatwierdza plany operacyjne, plany mobilizacji i koncentracji armii, «stosując się w tym względzie do ogólnych zamierzeń rządu, który określa cele wojny». Co znaczy to określenie celów przez rząd w okresie po-

[1]) Art. 16 brzmiał: «Szef Sztabu Generalnego, przewidziany na Szefa Sztabu Naczelnego Wodza w czasie wojny, podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych; kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazu Ministra Spraw Wojskowych, dyrektywy Generalnego Inspektora Wojsk i z własnej inicjatywy.

[2]) Ust. 2 art. 1-go.

[3]) Art. 16.

[4]) Art. 13 między innymi mówi, że «Generalny Inspektor Wojsk... wykonuje za pośrednictwem Szefa Sztabu Generalnego zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną».

kojowym? Celem wojny jest zawsze odniesienie zwycięstwa, inne cele mogą się zjawić podczas wojny, ale nie przed wojną.

Projekt ustawy chce zrobić z przyszłego Naczelnego Wodza błazna, a ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu wstawić w położenie nie do zniesienia pod względem moralnym dla ludzi honoru. Decydować mają w najmniejszych drobiazgach o pracach, przygotowujących wojnę, a ciężar jej prowadzenia i moralną za nią odpowiedzialność spychają na barki kogo innego.

— *Skądże się wziąć mogły tak niesłychane pomysły?*

— Geneza projektu takiego unormowania stosunku do siebie najwyższych władz wojskowych leży, jak mi się zdaje, w tym, że przyzwyczailiśmy się patrzeć na wzory armij monarchicznych, w których każdy panujący niezależnie od swoich zdolności i wykształcenia był Naczelnym Wodzem.

Zrodziło to tendencję obstawiania takiego «Naczelnego Wodza» tak, by nie on, a ktoś inny był tym wodzem de facto. Jest rzeczą niezdrową dla demokracji iść za wzorami monarchicznymi i, jeśli temu przyszłemu wodzowi powierza się obronę demokracji, to trzeba umieć również obdarzyć go i zaufaniem.

— *Co Pan Marszałek sądzi o innych postanowieniach tego projektu?*

— Projekt ustawy jest w ogóle zredagowany tak niezupełnie i niedokładnie, że wymagałby on wydawania później mnóstwa rozkazów uzupełniających, redagowanych pod wpływem subiektywnego ujmowania tych kwestyj przez tych, którzy te rozkazy będą pisali.

Przechodząc do szczegółów, zwracam uwagę na niektóre artykuły projektu ustawy. Artykuł 3 ustala skład Rady Obrony Państwa, do której, jak widać, wchodzą wszyscy prawie ministrowie, prócz ministrów oświaty, sprawiedliwości i pracy. Przyjmując taki skład tego ciała, wydawałoby się rzeczą o wiele rozsądniejszą brać już pełną Radę Ministrów i uzupełnić ją przedstawicielami wojska. Projekt ustawy wymienia jako członków Rady Obrony Państwa ze strony wojska prócz ministra i Generalnego Inspektora jeszcze i szefa Sztabu, podkreślając jeszcze raz w ten sposób, że oba te czynniki są równorzędne. Innych przedstawicieli wojska nie ma [1]). Nie wiadomo np. dlaczego pominięty jest szef Administracji Armii, o którym się

[1]) Ust. 1 art. 3 brzmiał: «W skład Rady Obrony Państwa wchodzą: Prezes Rady Ministrów, jako stały zastępca przewodniczącego; jako członkowie: minister spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych, minister spraw wojskowych, minister skarbu, minister prze-

nagle w artykule 19 mówi, że «zastępuje w zasadzie ministra spraw wojskowych wobec izb ustawodawczych i w rządzie» [1]).

Artykuł 6 wprowadza generała, który kieruje pracami sekretariatu Rady Obrony Państwa. Jest on powoływany i odwoływany przez prezesa Rady Ministrów na wniosek ministra spraw wojskowych [2]). Znowu więc ktoś, kto ma za specjalne zadanie zajmowania się obroną państwa, a który jest najzupełniej bez wpływu Generalnego Inspektora wyznaczany i który ustanowiony jest chyba tylko w tym celu, by odstawić Generalnego Inspektora od zetknięcia się z rządem, by — broń Boże — nie miał na niego wpływu.

W artykule 7 powtórzono dla zwiększenia powagi ministra spraw wojskowych określenia z zakresu jego władzy z artykułu 46 Konstytucji [3]). Opuszczono jednak postanowienie tegoż artykułu, że minister spraw wojskowych jest odpowiedzialny za «akty, związane z dowództwem w czasie wojny», gdyż to zmuszałoby go być istotnym Naczelnym Wodzem.

Artykuł 9, ustanawiający Radę Wojenną, poleca ministrowi spraw wojskowych zasięganie jej zdania we wszystkich «de facto» kwestiach wojskowych [4]). Przy czym Rada ta zbiera się cztery razy do roku [5]). Na ministrze spraw wojskowych nie ciąży natomiast obowiązek zapytania się w ciągu całego roku

---

mysłu i handlu, minister kolei, minister robót publicznych, generalny inspektor wojsk i szef Sztabu Generalnego.

[1]) Por. aneks, str. XVII.

[2]) Ust. 2 art. 6 brzmiał: «Pracami Sekretariatu Rady Obrony Państwa kieruje generał, powoływany i odwoływany przez Prezesa Rady Ministrów na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

[3]) Art. 7 ustawy brzmiał tak: «Minister Spraw Wojskowych jest naczelną władzą we wszelkich sprawach kierownictwa wojskowego oraz dowódcą sił zbrojnych państwa w czasie pokoju». Art. 46 Konstytucji brzmiał następująco: «Naczelnego Wodza sił zbrojnych Państwa na wypadek wojny mianuje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych, który za akty, związane z dowództwem w czasie wojny, jak i za wszelkie sprawy kierownictwa wojskowego — odpowiada przed Sejmem».

[4]) Art. 9 brzmiał: «Rada Wojenna jest organem doradczym Ministra Spraw Wojskowych, który zasięga jej zdania we wszystkich sprawach, dotyczących zasad organizacji, mobilizacji, zaopatrzenia, uzbrojenia i wyszkolenia siły zbrojnej, a także w sprawach dotyczących fortyfikacji i przemysłu wojennego. Poza tym Rada Wojenna rozpatruje plan dyslokacji i koncentracji wojsk oraz opiniuje listę kandydatów na stanowiska wyższych dowódców».

[5]) Ust. 1 art. 11-go brzmiał: «Radę Wojenną zwołuje Minister Spraw Wojskowych z własnej inicjatywy lub na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk — w każdym razie nie mniej niż cztery razy do roku».

ani razu o zdanie w tych sprawach Generalnego Inspektora. Jeszcze raz w ten sposób została zaakcentowana nieufność do przyszłego Naczelnego Wodza.

— *A jak się przedstawia strona redakcyjna projektu z wojskowego punktu widzenia?*

— Są pewne niejasności w terminach, używanych w projekcie ustawy. Tak np. w artykule 9 mowa jest o «planie dyslokacji i koncentracji» [1]). Można mówić o zmianach, ale nie o planie dyslokacji. Chyba więc w planie dyslokacji kryje się niezrozumiała tajemnica, która w połączeniu z planem koncentracji daje powód do nieufności dla Generalnego Inspektora.

Artykuł 13 nakazuje Generalnemu Inspektorowi «ustalać wytyczne dla planów operacyjnych oraz dla planów mobilizacji i koncentracji armii na wypadek wojny» [2]). Są to znowu terminy bardzo niejasne. Na zapytanie moje, co znaczy termin: «plany operacyjne», minister spraw wojskowych na konferencji odpowiedział mi, że rozumie przez to «myśli operacyjne». Ponieważ istotą pracy przygotowawczej są plany koncentracji, a wszystko inne jest już tylko «myślami operacyjnymi», które «ustalić się» nie dają i ponieważ dalej te plany koncentracji przepracowuje szef Sztabu Generalnego, podlegający rozkazom ministra spraw wojskowych, Generalnemu Inspektorowi pozostaje snucie «myśli operacyjnych» i ich «ustalenie» dla samego siebie, podczas gdy istota pracy przygotowawczej oddana zostaje ministrowi spraw wojskowych i szefowi Sztabu, którzy wojny nie prowadzą i od odpowiedzialności za jej los uciekają.

— *Gdzie leży przyczyna takiego projektu ustawy, który równocześnie robi z Generalnego Inspektora manekina, a z ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu Generalnego ludzi, którzy decydują o sprawach, za których prowadzenie jakby wstydzili się wzięcia odpowiedzialności?*

— Być może, że mamy tu do czynienia z wpływem czynnika personalnego, który oddziałał przecież i na redakcję Konstytucji. Wymieniany jestem jako kandydat na stanowisko Generalnego Inspektora. Widocznie brak zaufania do mnie wywołuje chęć obstawienia mnie zawczasu w taki sposób, jaki praktykowany był za czasów monarchistycznych w stosunkach do głupich monarchów, bym nie mógł działać ani na szkodę państwa, ani wojska, ani rządu, czy sejmu. Jeżeli tak jest, to stokroć razy lepiej nie brać mojej kandydatury pod uwagę, wziąć kogo innego na to stanowisko i nie psuć personalnymi

[1]) Por. przyp. 4, str. 125.
[2]) Por. aneks, str. XVI.

względami i ustawy, i życia wojska. Lepiej jest albo takiej ustawy nie uchwalać, albo zdecydować się, by zrobić ministra spraw wojskowych Naczelnym Wodzem w razie wojny. Będzie to przynajmniej logicznym i nie będziemy mieć do czynienia z ubieraniem przyszłego Naczelnego Wodza w szaty błazna, ani ze strojeniem się ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu Generalnego w cudze piórka, czyniąc im wstyd, a wojsko obrażając.

WSTĘP DO TOMU II «WSPOMNIEŃ LEGIONOWYCH»

(17 grudnia 1924 r.)

Z początkiem 1925 r. wyszedł tom II «Wspomnień Legionowych» pod redakcją Stanisława Falkiewicza i Janusza Jędrzejewicza.

Do tego tomu napisał Piłsudski niżej przytoczony wstęp, zawierający zachętę do pisania wspomnień z okresu Legionów, które dałyby przyszłym historykom możność odtworzenia stylu tej epoki.

Tekst, który podajemy, jest przedrukiem z wyżej wspomnianego wydawnictwa.

Pierwszy tom «Wspomnień legionowych», wydany z mojej inicjatywy, wbrew oczekiwaniom wielu nie zalega półek księgarskich, tak, że rozpoczęte wydawnictwo ma swoją podstawę finansową. Daje to pewność, że cele wydawnictwa łatwiej uda się osiągnąć.

Gdym rozpoczął starania o próbę wydania szeregu wspomnień z życia legionowego, szukałem nie tylko rozpowszechnienia niesfałszowanych danych o naszym życiu wśród obecnie żyjącego pokolenia, lecz zarazem chciałem dać przyszłym historykom swoisty materiał «in crudo» [1]). Jako wzór brałem znany zbiór wspomnień powstańców 1863 r., wydany w czterdziestą rocznicę powstania [2]). Studiując w swoim czasie powstaniową dobę, znalazłem w tym prostym, «in crudo» podanym materiale całe mnóstwo wyjaśnień dla męczących mnie

[1]) W stanie surowym.

[2]) Mowa o wydawnictwie zbiorowym pt. «W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego 1863—1903», Lwów 1903, które zawiera 79 wspomnień uczestników powstania, biorących w nim udział w różnym charakterze i na różnych stopniach, od najwyższego kierownictwa do szeregowego. Piłsudski w swoich studiach nad 1863 rokiem korzystał obficie z tego źródła, uważając je za pierwszorzędne.

pytań, a wiele z wątpliwości, które miałem, zostało rozwianych. Bez takich wspomnień bowiem historyk nie ma sprawdzianu, gdy wreszcie dokumentów potrzebnych jest brak lub wzbudzają wątpliwości, czy nie są rozmyślnie sfałszowane. Wreszcie wspomnienia dają to, co nazywam stylem epoki, dają bowiem przeżycia ludzi, których dziełem i pracą było to, co jest obiektem pracy historycznej, dają dobę minioną, przeszłość, która zawsze odmienną jest od teraźniejszości, a cechy jej istotne trudne są często do odcyfrowania, jak hieroglify dawnych zapomnianych ludów i szczepów.

Niechybnie, każdy historyk doby stawania się Polski, każdy historyk pierwszych lat istnienia Polski nowoczesnej będzie zmuszony odbyć studia i nad tym zjawiskiem naszego życia społecznego, które my nazywamy Legionami. Wydaje mi się to musowym z wielu względów. Wymienię jeden, może nawet nie główny istotnie, lecz narzucający się, że tak powiem, zewnętrznie. Jest nim fakt niezaprzeczony, że fakty historyczne, to jest to, co się stało rzeczywiście po r. 1914 — po początku wojny europejskiej — jakgdyby dały rację nie komu innemu, jak nam, którzyśmy od samego początku wzięli najwyższy ton w pożądaniach, pragnieniach i pracach wśród społeczeństwa polskiego. Żądaliśmy bowiem od siebie i od innych nie służby dla tego czy innego zaborcy — a ci historycznie przegrali, — lecz próby samodzielnego życia wojennego Polski, co znowu wbrew oczekiwaniom ogromnej większości Polaków ziściło się historycznie. Byliśmy więc jakby awangardą historyczną, taka zaś awangarda wymaga zawsze od ludzi silniejszych, niż przeciętne, charakterów oraz wielkiej spoistości w pracy. Bujne więc życie legionowe ma swój niezapomniany przez legionistów urok wraz z tą siłą koleżeństwa, co nieraz uraża, już nie wiem dlaczego, innych. Pociągać więc będzie, powtarzam, każdego historyka w przyszłości chęć zbadania tego życia, jako koniecznego elementu pracy historycznej Polaków z doby powstawania i powstania Polski wolnej i niepodległej. A że z legionistami walczono nieraz zacięcie, więc zgodnie z tą walką starano się, niestety, zbyt często sfałszować to życie czy w dokumentach, czy w opowiadaniach i wszelkiej pisaninie dodatkami i przekręceniami, które w błąd mogą wprowadzić nie współczesnych z nami ludzi — bo o to mniejsza, — lecz przyszłych badaczy i historyków. Niech więc koledzy zechcą się przyczynić swymi pracami do wyjaśnienia prawdy historycznej, niesfałszowanej, swymi szczerymi opisami momentów, przeżytych ongiś we wspólnej pracy.

Zwracając się w ten sposób do kolegów legionowych i za-

Ożarów

26 Czerwca 1918

Stanąłem wczoraj w Bidziszach. Ładny dwór, wielkie otoczenie. Dojeżdżałe dwora się z jakimś porucznikiem z Beliznakami, jak wiele z dawna obywatelskich w Sandomierskiem. Ojciec tego dwór jest nam odmienny. Nasze pełnie udzielenie zbawiły dwór od zniszczenia. Dwór stoi nie zgalony dzięki temu na galach Bidziszach stanęli wyższy pułkownik Rojewski, ci się przyczynili poczęcia palenia Polski. Jak - pełni mogą Polski moralne wyczerpujący się widowisko. Potrafi mogę donieść, że niedaleko miasteczko Ożarów jest tak zgalone zupełnie, że ludzie cała jest wygnana gdzieś na wschód i że kościół nie chciał się palić, więc go wreszcie obtoczono zapałą by go zniszczyć. Dzisiaj wczoraj stanęła przed Ożarowem, gdzie się [illegible] na zniszczenie niemieckiej [illegible] rozjemcze.

Dziedzicem w Bidziszach zaciekła życie: obłąb nie wiedział się w oficynie, gdzie [illegible] porozumienie [illegible] z panią i [illegible] całe [illegible] stwierdzi nie słychać na [illegible], można się zapomnieć, można wyjść i się jest gdzieś w sąsiedztwie dbałych o wygody gojenia. Przedmiotem rozmów herbata, jasnej ciasto na bok ręce - wojny pogłoski o [illegible] niemca, nic ani się nie przypomina. W głowie jednak mam zamęt, nie mogę się pogodzić z kościołem, gdy wyrzucie [illegible] w głowę [illegible] - co znaczą wszystkie te pożary, to palenie Polski?

Facsimile artykułu «Ożarów»

Fotografia str. 1-szej

praszając ich do współpracy, nie szukam wcale ani literackich, przerobionych pracą i mozołem utworów, ani wspomnień osobistych dłuższych, gdyż wiem dobrze, że wyjątki tylko z pomiędzy nas zdołają to uczynić. Szukam wspomnień ulotnych, urywków — że tak powiem — życia, które najjaskrawiej w pamięci pozostały, nie będą bowiem zatarte przez przeżycia późniejsze i odtworzą w ten sposób bez fałszu i pretensji ten czy inny moment, silniej przez poszczególnego kolegę przeżyty. Pracę tę literacką doprowadzić do przeciętnej formy zdoła komitet redakcyjny. W ten sposób każdy prawie z legionistów stać się może naszym współpracownikiem.

Wreszcie chciałbym wspomnieć i zaprosić do udziału w naszej pracy i tych, którzy nas otaczali sympatią, którzy nam w pracy legionowej pomagali, nie będąc z nami w szeregach. Dadzą oni bowiem może łatwiej, niż to my zrobić możemy, odtworzenie przeżyć całego ogółu polskiego podczas naszej awangardowej historycznej roboty. Zapraszamy nawet tych, którzy w stosunku do Legionów byli niechętni lub im byli przeciwni, byle ich wspomnienia ze spotkania z nami nosiły charakter szczerości historycznej i nie miały w sobie cech fałszu. Polemiki z kimkolwiek i czymkolwiek unikamy, nie chcemy tylko kłamstwa i odpieramy wszelką próbę przekręcania naszego życia, naszych prac i naszych cech.

Kończę wyrażeniem nadziei, że to moje wstępne słowo nie pozostanie bezskutecznym i znajdzie łaskawe echo u wszystkich kolegów i u tych, co miłują prawdę historyczną.

Sulejówek, 17 grudnia 1924 r.

DEDYKACJA NA EGZEMPLARZU KSIĄŻKI: «ROK 1920» OFIAROWANYM WALEREMU SŁAWKOWI

(24 grudnia 1924 r.)

Dedykację podajemy według tekstu drukowanego w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów», zgodnego z oryginałem na egzemplarzu książki.

Kochany Gustawie!

Jeszcze wczoraj widziałem twe rozdrażnione na mnie oczy [1]) i myślałem, ileż to razy mieliśmy na siebie w życiu rozdrażnione oczy. Jesteśmy jak dwa stare niezmęczalne ko-

[1]) Mowa o rozmowie w mieszkaniu K. Świtalskiego, podczas której najbliżsi ówcześni współpracownicy Piłsudskiego chcieli go odwieść od używania stylu drastycznego.

nie, co chodząc często jakimiś wertepami osobno, spotykają się na prostym gościńcu swego życia raz po raz, by się przywitać wesoło i stanąć razem do ciągnięcia tej samej bryki.

Ciągnęliśmy dawniej razem kałamaszki i bryczułki [1]), ciągnęliśmy i ciężkie ładowne często błotem bryki — znane, stare, niezmęczalne konie!

Śmieszne, co?! Na gwiazdkę, mój drogi, przyjmij wraz z książką przyjaciela przyjaźń i serca całej rodziny.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 24 grudnia 1924 r.

OŻARÓW [2])

(29 grudnia 1924 r.)

Piłsudski napisał do tomu II «Wspomnień Legionowych» niżej przytoczone wspomnienie o skutkach, jakie dało niszczenie ziem b. Kongresówki przez wojska rosyjskie, podczas ich odwrotu w okresie letniej ofensywy państw centralnych 1915 roku.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się rękopis tej pracy.

Tekst podajemy według t. II «Wspomnień Legionowych» str. 40—48.

Stanąłem kwaterą w Bidzinach [3]). Ładny dwór, miłe otoczenie. Właściciele [4]) są w jakimś pokrewieństwie z belinia-kami, jak wiele z domów obywatelskich w Sandomierskim. Oprócz tego dwór jest nam wdzięczny. Nasze patrole ułańskie zbawiły dwór od zniszczenia. Dwór stoi niespalony dzięki krwi ułanów, którzy na polach bidzińskich stoczyli zwycięską potyczkę, spędzając kozaków, przykrywających początek palenia Polski.

Tak — palić mają Polskę Moskale, wycofujący się widocznie ku wschodowi. Patrole moje doniosły, że niedalekie miasteczko Ożarów jest spalone zupełnie, że ludność cała jest wygnana gdzieś na wschód i że kościół nie chciał się palić, więc go trzykrotnie naftą oblewano, by go zniszczyć. Linia na-

[1]) Aluzja do wspólnej pracy Piłsudskiego z Walerym Sławkiem w czasach przed niepodległością Polski.

[2]) Ożarów, miasteczko w powiecie opatowskim, województwa kieleckiego, 23 kilometry na północny-wschód od Opatowa. W czasie ofensywy państw centralnych w roku 1915, I Brygada Legionów, ruszywszy z nad Nidy, po bitwie i dłuższym postoju pod Konarami, doszła w dniu 25 czerwca pod Ożarów.

[3]) Bidziny — wieś i dwór, 6 kilometrów na południe od Ożarowa.

[4]) Bilińscy.

sza stanęła przed Ożarowem, gdzie na ruinach miasteczka stoją forpoczty rosyjskie.

Wieczorem w Bidzinach zacicha życie. Sztab mój mieści się w oficynie, gospodarze dyskretnie pozostawili mnie samego. W parku i sadzie coś cicho szemrze, strzałów nie słychać na froncie, natomiast rozlega się zwykłe wiejskie szczekanie psów. Można się zapomnieć, można myśleć, że się jest gdzieś u sąsiadów, dbałych o wygody gościa. Przede mną stoi mocna herbata, jakieś ciasto na talerzyku — wojny jak gdyby w tej chwili nie ma, nic mi jej nie przypomina. W głowie jednak mam zamęt, nie mogę się pogodzić z kwietyzmem, gdy uparcie świdruje mi głowę pytanie — co znaczą właściwie te pożary, to palenie Polski?

Nie mogę znaleźć zadawalającej odpowiedzi na to pytanie i to mię dręczy i niepokoi. Najbardziej prawdopodobną hipotezą wydaje mi się dotąd, że jest to wysiedziana myśl jakiegoś bardzo głupiego «staeblera» [1]) rosyjskiego czy w Petersburgu, czy w kwaterze w. ks. Mikołaja, sztabowca, któremu w pamięci stały wzory, zaczerpnięte z «otieczestwiennoj wojny» 1812 r. [2]). Wiem przecież, jak ta wojna uważana była za objaw patriotyzmu rosyjskiego i rozumu specjalnie wojskowego. Iluż poetów, nawet wielkich, ją opiewało! Przecież mnie w szkołach uczono lermontowskich wierszy:

Wied' nie darom
Moskwa, spalonnaja pożarom,
Francuzu oddana!... [3])

Gdzieś historia i dokumenty trochę inaczej o tym mówią, twierdząc, że pajacowaty Rostopczyn [4]) uznał pożary w Moskwie jako swój czyn, gdyż była to praca zwyczajnych rozbójników i łupieżców. Lecz legenda zrobiła z tego nie tylko czyn wielkiego patriotyzmu, ale i czyn głębokiego rozmysłu, który jakoby wypędził Napoleona z Moskwy. Koń by się z tej mądrości śmiał!

---

[1]) Staebler — austriackie określenie oficera sztabu generalnego.

[2]) Otieczestwiennaja wojna — wojna ojczysta, nazwa, używana w Rosji w odniesieniu do wojny 1812 roku, kiedy Rosjanie, cofając się w głąb swego kraju, — niszczyli zbiory i palili osiedla dla utrudnienia marszu i wyżywienia armii napoleońskiej. Po wkroczeniu Napoleona do Moskwy i ona również została spalona.

[3]) Przecież nie darmo Moskwa, spalona pożarem, oddana Francuzowi — jest to cytat z bardzo popularnego w Rosji wiersza Michała Lermontowa — Borodino.

[4]) Gen. Fiodor Roztopczyn przygotowywał obronę Moskwy w roku 1812.

Więc teraz jakiś inny pajac sztabowy z wielkiego patriotyzmu polsko-rosyjskiego zaśpiewał:

Wied' nie darom
Polsza, spalonnaja pożarom,
Niemcu oddana!...

i z tą lekkomyślnością głupca zostały wydane rozkazy: palić, wysiedlać, zostawiać tylko pustynię! Brawo! Pustynia! Ładna pustynia! Jak okiem sięgnąć — pola i pola, na których czekające pracy żniwiarza stoją zboża, chylące ku ziemi dojrzewające kłosy. Przyjdzie po nie nie żniwiarz, co je siał, zostawione są one dla nowego pana, z tym, by nie dał już nic a nic pędzonemu gdzieś w świat siewcy. Zabraknie domów do mieszkania? Co za głupstwo dla wojska! Piękne, ciepłe lato jakby zaprasza do biwaku żołnierza. Zabraknie ludności na ziemi? Ale cóż to dla celów wojny Niemcom i Austriakom szkodzi? Niech sobie, może nawet lepiej, mniej kłopotów! I zresztą to spalenie doszczętne udać się technicznie nie może, nawet gdyby zwożono na to pociągami specjalnymi naftę z Kaukazu. Kościół w Ożarowie trzy razy naftą oblewano. Wyobrażam sobie, gdyby tak zaczęto palić Warszawę, Lublin. Przecież to praca, którą wobec operacyj wojennych przerywać trzeba w zależności od nacisku nieprzyjaciela.

W głowie mi się mąci, gdy myślę o tym. Ani rozumnego celu, ani dostatecznych środków do wykonania tego zamiaru nie widzę, tylko jakieś bezecne znęcanie się nad niewolniczą ziemią. Wydaje mi się, że wszyscy zaborcy, którzy na naszej ziemi biją się obecnie, chichotać muszą rozkosznie, gdy Polska się pali. Żadnemu z nich to nie szkodzi.

Czuję jakby policzek na twarzy. Pali mię ta hańbiąca bezsilność nasza. Spędzą chłopków i baby nahajem, puszczą czerwonego koguta [1]) i hulaj dusza bez kontusza — szeroka natura Wschodu! Dwór gdzieniegdzie wykupi się łapówką, tak samo, jak niektóre miasta czy miasteczka. Odpowie ten, kto najgłupszy lub najsłabszy. Nie mogę sobie dać rady, gdy chodzę niespokojnie, ćmiąc papierosa za papierosem. Czy to głupi pomysł nowego bezrozumnego środka wojny, czy po prostu zwykłe bezmyślne moskiewskie barbarzyństwo?

* * *

Noc spędziłem źle, nie daję sobie rady z tym nowym zjawiskiem. Chcę uniknąć rozmów, a wiem, że otoczenie — oficerowie, gospodarze domu, austriackie komendy — będzie py-

[1]) To znaczy: podpalą.

tało o zdanie, będzie żądało rozmowy na temat pożarów, a ja właściwie zdania nie mam. Zdecydowałem się jechać obejrzeć ruiny Ożarowa, leżącego tuż przed naszymi forpocztami. Rozkazy, które otrzymałem, mówią mi, że gdzieś na północy prowadzony będzie przez Austriaków atak; my właściwie zadania nie mamy — prawie dzień spoczynku dla mnie i dla wojska.

Siadam na kasztankę i jadę. Równia sandomierska, przecinana jarami. Gdzieś majaczą słupy telegraficzne przy zupełnie nowej kolei, zbudowanej za drogie pieniądze i licho, a oddanej do użytku wojska akurat na kilka dni przed wycofaniem się ku wschodowi [1]). Także pustynia! Ciepły, upalny dzień, wszędzie dokoła stoi niezżęta pszenica z ciężkimi złotymi kłosami. Drwi ze zniszczenia, uśmiechając się do nowych panów. Mijam jakiś drobny folwark — zdaje mi się, Wyszmontów — który jeszcze nie uległ zniszczeniu. Tu zatrzymuje mnie jakaś komenda — proszą, bym dalej nie jechał konno. Dawna, leniwie pracująca, tchórzliwa dywizja z korpusu Miszczenki gdzieś znikła z przed oczu, przed nami stoją grenadierzy moskiewscy [2]). Ci pracują lepiej — ich patrole i posterunki badają dobrze okolicę; słychać od czasu do czasu karabinowe strzały do nieostrożnych i ciekawych legunów. Nie ma co robić, zsiadam z konia i idę w dal pieszo w kierunku Ożarowa, którego spalone mury widne mi już są od czasu do czasu, gdy wejdę na szczyt jakiegoś sfałdowania terenu. Miedzą wśród zbóż wznoszę się zwolna ku małej placówce, leżącej na skraju pola i ukrytej w zbożu. Schylając się, układam się w zbożu i przygotowuję lornetkę, by obejrzeć Ożarów. Żołnierz — niewysoki chłopak — leży wśród porozrzucanych naboi koło mnie, ściskając w ręku karabin. Szepcze mi:

— Komendancie, tam za tym dużym kominem jest ich dwóch. Tu niedobrze, raz po raz strzelają.

Jakby na potwierdzenie słów, słyszę nad sobą cichy, melancholijny śpiew kuli. Ileż to razy słyszałem ten dziwny dźwięk! Zawsze myślę, że kula śpiewa o śmierci — śmierci człowieka, czy kuli, co legnie gdzieś, zaryta w ziemię. Śpiew łagodny, nie mogę go porównać z gwizdem czy świstem, tak, jak o nim mówią potocznie. Wydaje mi się zawsze, że kula śpiewa. Jest w niej i przy niej jakaś powaga śmierci, która może zmusza ludzi skłaniać przed nią głowę, tak, jak przed pogrzebem.

[1]) Mowa o linii kolejowej Ostrowiec — Tarnobrzeg, zbudowanej przez Rosjan w r. 1915.

[2]) Naprzeciw I Brygady od marca do 24 czerwca 1915 występowała 83 rezerwowa dywizja z XXXI korpusu rosyjskiego generała Miszczenki, po czym na jej miejsce, po wycofaniu całego korpusu, weszła 3-cia dywizja grenadierów z XXV korpusu.

Tak i teraz w zbożu skłoniliśmy głowy, przyciskając je do ziemi. Powoli rozejrzałem się w sytuacji i dostrzegłem nieco w bok ode mnie wysunięte poza pole jakieś spalone domostwo, jakby przysiółek Ożarowa. Spytałem żołnierza, czy tam stoją nasi?

— Tak, Komendancie, tam stoi oficerska placówka.

Zdecydowałem się odejść stąd, gdzie przez zboże trudno obserwować. Zsunąłem się raczej, niż odszedłem, trochę na dół i na przełaj przez zboże, brnąc, jak w gęstej wodzie, w bujnej pszenicy, doszedłem do ruin kilku murowanych domów, o jakie pół kilometra odległych od samego Ożarowa. Usadowiłem się wygodnie i przez lornetkę zacząłem obserwować spalone miasteczko.

Miasteczko miało jeszcze niedawno, jak mi mówiono, kilka tysięcy mieszkańców. Stare miasto, prawie całe murowane, było teraz ruiną. Nie poddało się pożarowi w zupełności, jak widziane nieraz potem słabe drewniane budowy sadyb wiejskich. Przeważnie spaliły się tylko wewnętrzne urządzenia, mury jednak stały wzdłuż ulicy, idącej w głąb gdzieś ode mnie ku jakiemuś rozszerzeniu — prawdopodobnie rynkowi miasteczka. Domy-trupy świeciły na ulicę pustymi oczodołami — oknami bez szyb o zczerniałych od dymu bokach. Gdzieniegdzie części murów spadły na ulicę, tworząc na niej rumowiska i zasłaniając jakieś dziwaczne szczerby i zazębienia, jak w starych zamczyskach.

Z tego oddalenia Ożarów wyglądał piękniej, niż był może za życia. Przypominał jakąś umarłą dawno siedzibę ludzką, którą upiększa nie tylko kapryśna rzeźba czasu, strojąca mur w koronki i nieoczekiwane załomy, lecz i groza oraz powaga śmierci, śmierci nie ludzi, lecz i wiekowych wysiłków, i długiej a wytrwałej pracy. Obserwowałem długo, myśląc wciąż: po co? na co? Nie pod celową pracą wojny, szukającej zwycięstwa potęgą ognia z dział, zginął Ożarów, lecz z jakiejś dzikiej, bezmyślnej zabawy w pustynię. Gdy po kilku dniach maszerowałem spokojnie z wojskiem przez ulicę Ożarowa, którą oglądałem uprzednio przez lornetkę, nie zatrzymała mnie rzekoma pustynia nie na dzień jeden, lecz nawet nie na minutę.

Po co więc i na co?

* * *

E pur si muove! [1]) A jednak jest i daje się spostrzegać wpływ tego barbarzyńskiego aktu palenia Polski dla jakichś

[1]) A jednak porusza się! — powiedzenie Galileusza, który, wezwany przed sąd inkwizycji za napisanie dzieła «Dialogo», opowiadają-

wielkich strategicznych korzyści. Wpływ — ale jaki? — akurat odwrotny chyba, niż tego spodziewali się podpalacze! Czuję to, gdy mówię z ludźmi o tym. Dodam od razu, że gdym wkrótce potem Wisłę przeszedł, by w składzie innej armii iść [1]) na północ przez Lubelszczyznę ku Lublinowi, odczułem to już zupełnie wyraźnie. Zaczyna zanikać ten, tak mi znany, zaimek «nasz».

Z tym «naszym» przeżyłem sam w sobie zabawną, chociaż dużo mnie kosztującą, ewolucję uczuć i myśli. Spotkałem się z tym zaimkiem w ustach włościan wszędzie. W Królestwie mówiono o rosyjskim wojsku, że jest «naszym». Mówiono w ten sposób: «nasz» już poszedł, «nasi» tu wrócą. Ba, nawet wtedy, gdy ostrzegali mnie przed Moskalami, gdy mi opowiadali o nich szczegóły, gdy mówili o nich niechętnie — i wtedy używali przez przyzwyczajenie «nasz», «nasi». Odwrotnie — w Galicji mówiono tak samo o wojsku austriackim. Tam żołnierz austriacki był «nasz», wojsko austriackie było «nasze». Niekiedy dla lepszego wytłumaczenia dodawano w Królestwie: «ten ruski», w Galicji: «cesorski». Byłem na razie w początku wojny wściekły na ten niewolniczy zaimek; wydawał mi się on czymś wstrętnym i oburzającym, jakimś świadectwem spodlenia i znikczemnienia Polski.

Może do czasów ożarowskich jedynym wyjątkiem było Podhale, gdy w długich moich tańcach przed wielką bitwą pod Limanową [2]) przemaszerowałem w okolicach Limanowej i Nowego Sącza [3]) prawie wszystkie wsie i drobne miasteczka tej okolicy. Tam jedynie do chwili spotkania ożarowskich pożarów tym «naszym» byłem ja z moimi kilku batalionami. Dawano mi tak chętną i tak narażającą siebie pomoc, że zawsze z rozrzewnieniem wspominam te ciężkie zimowe dnie, gdy czułem wspólne z otoczeniem życie. Wojska austriackie nazywano «austryjoki» albo «cesorscy», przeciwnicy byli «moskale» i «kozacy», my zaś byliśmy «nasi» i «strzelcy», nawet nie «leguny» — z czego zresztą i ja, i moi żołnierze byliśmy niezmiernie radzi. Pamiętam, jak byłem zdumiony i rozrzewniony, gdy w prostej chacie góralskiej, w biednej okolicy, gaździna za nic przy-

cego się za teorią Kopernika, i zagrożony torturami, wyrzekł się teorii Kopernika o ruchu ziemi. Po rozprawie jednak miał zgnębiony Galileusz oświadczyć: «E pur si muove!»

[1]) Przejście przez Wisłę I Brygady nastąpiło dnia 7 lipca 1915 r. pod Rachowem. I Brygada weszła wtedy w skład X korpusu armii austriackiej.

[2]) Mowa o bitwie pod Limanową dnia 8. XII. 1914 r., w której wojska austriackie pobiły Rosjan.

[3]) W końcu listopada i w grudniu 1914 r.

jąć nie chciała żadnej zapłaty za produkty, które dla siebie i swej adiutantury wziąłem. Co prawda, głównymi przedstawicielami Austrii były wojska węgierskie, z którymi często nikt nawet dogadać się nie mógł, a które nieraz ciężko dawały się we znaki mieszkańcom własnego «Vaterlandu» [1]).

Przyzwyczaiłem się potem do tego zaimka. Z zawiłej psychologii chłopskiej wyłowiłem wreszcie prostą myśl, która polegała na konsekwencji faktu, że parobczaki poszły do jakiegoś wojska, które przez to stało się «naszym».

Jeszcze niedawno słyszałem zabawne określenie i rozumowanie. Gdyśmy w maju wymaszerowali naprzód za cofającymi się Moskalami z nad Nidy, otrzymałem rozkaz, by przygotować się do ataku na nowe pozycje nieprzyjacielskie, wybudowane w okolicach Staszowa [2]). Były rozdane szkice tych pozycyj, zrobione ze zdjęć lotniczych — nowość w ówczesnych czasach — i moja Brygada otrzymała wyraźny odcinek dla przypuszczalnego ataku. Rozkazy co do ataku brzmiały nieco chwiejnie — byliśmy, co prawda, na tym odcinku frontu względnie słabi, a pozycje wydawały się mocno i solidnie zbudowane. Okazało się jednak, że cofający się nieprzyjaciel nie bronił tych pozycyj wcale i wysłani naprzód moi ułani spędzili łatwo słabe ariergardy kozackie, zajmujące okopy za silnymi drucianymi przeszkodami. Gdym oglądał te fortyfikacje spotkałem paru niemłodych włościan, z którymi nawiązałem rozmowę.

— Nie wrócą już «nasi», panie, — kiwając głową, mówił mi sędziwy gospodarz — nie wrócą już!

— Dlaczego? — pytałem, zdumiony tym po raz pierwszy usłyszanym proroctwem.

— Ależ, panie, — machnął mi pogardliwie ręką — tyle pracy, całą zimę kopali, tyle lasu zepsuli, tyle drutu nakręcili i poszli sobie, nie bronili się wcale. Nie wrócą «nasi», nie wrócą...

W tym sądzie nie słyszałem i nie odczułem ani cienia goryczy, ani cienia zawodu.

A teraz słyszę ten sąd inaczej brzmiący. Gdy rozmawiam z ludźmi, zaimek «nasz» niknie najwidoczniej w świecie. Teraz jest to «łajdak» i jest to, jak zwykle «kozak», na którego głowę tradycyjnie w Polsce łatwo się zwala wszystko to, co wstrętne czy barbarzyńskie; jest to wreszcie «zbój», «świnia», czy inne jeszcze jakie wyzwisko. Nikt zrozumieć nie może, dlaczego niedalekie stąd wioski, o dzień marszu na zachód oddalone, nie-

[1]) Ojczyzny.

[2]) Miasto w pow. sandomierskim (woj. kieleckie), nad rzeką Czarną.

tknięte zostały klęską, dlaczego właśnie Ożarów i okolica nawiedzone zostały przez tego «łajdaka».

Zastanawiałem się i ja nad tym początkowo, rozpytując się, czy może ludność swoim zachowaniem dała jaki po temu powód. Odrzuciłem jednak tę hipotezę, gdy wszyscy inteligentniejsi i więcej wiedzący stwierdzili mi, że jest to nowy rozkaz i tyczy się całej Polski, która, jak myślę, ma być tą obszerną Moskwą, co

...nie darom
spalonnaja pożarom
Niemcu oddana...

Więc skutek widoczny jest: jakieś psychiczne przesunięcie się zaimka. Zaczynam się uśmiechać, myśląc o tym. Jeden z panów Polski odchodzi widocznie, wyrzeka się swej zdobyczy i utrzymać jej nie może. Czy to ułatwi, czy utrudni stosunek do nowych panów — Niemców i Austriaków? I czy to ułatwi, czy utrudni nasze życie — legunów I Brygady — tego małego chochlika, «ducha wiecznego rewolucjonisty»? [1]) Tym kończyłem swoje rozmyślania, bo wojna wołała o swoje prawo.

Sulejówek, 29 grudnia 1924.

DEDYKACJA NA EGZEMPLARZU KSIĄŻKI «ROK 1920» OFIAROWANYM ALEKSANDROWI PRYSTOROWI

(6 stycznia 1925 r.)

Dedykację podajemy według tekstu drukowanego w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów», zgodnego z oryginałem na egzemplarzu książki.

Kochany Olku!

Nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby ze mną, Kolego, ofiarowuję Ci tę książkę, pierwszy płód mózgu, pracującego nad prawdą o wojnie i pierwszych dniach Polski. Byłem tam Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. W tych zawiłych, a tak brudnych, tak wściekle brudnych stosunkach wojna na chłodny rozum musiała być przegrana. Mówiłem to sobie tysiące razy, gdym obiektywnie i chłodno szanse swoje i Polski rozważał. Rok kryzysu, 1920 rok, prawie to udowodnił, prawie pokazał, gdzieśmy właściwie stali ze swym rodzimym brudem i brakiem honoru służby, a z nadmiarem hańby służby sobie tylko lub jedynie jakimś brudnym obliczeniom na rzecz mafii tej czy innej, szukającej jakąś bandycką drogą zysku i władzy.

[1]) Słowacki: Do autora «Trzech Psalmów».

W tych warunkach okręt państwa w stanie wojny często podlega katastrofom i bez masztów i żagli jest właściwie rozbitkiem, oddanym prawie na łaskę fal i wiatru. I wtedy wszystko zależy od kapitana-sternika, jego woli, jego nerwów i jego serca. Załoga czy pasażerowie albo są balastem i przeszkodą, albo pomocą. Wśród załogi naszego okrętu byłem tym kapitanem-sternikiem, a w niej miałem zaledwie kilku ludzi, których przy analizie nazywam «équipe de la volonté du chef» [1]) — zaledwie kilku [2])! Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że ani mnie i moich tajemnic nie sprzedadzą dla zysku i władzy, ani przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów, ani wreszcie swoją niedostatecznie udolną pracą nie wywołają z mojej strony nadmiaru pracy i nadmiaru nerwowego wysiłku. Broniłeś mej woli, Kochany Kolego, wszędzie i zawsze, z zupełnym zapomnieniem o sobie, dla dzieła zwycięstwa, stawałeś wszędzie, gdzie Cię posłałem, znosząc wszystkie ciężary moralne, które na Cię spadały, bez skargi i szemrania, tak, jak znosisz, niestety, i teraz często następstwa Twej honorowej służby.

Z wdzięcznym sercem posyłam Ci swoją pracę, prosząc Cię przyjąć jako upominek i chęć serdecznej z Twej strony pamięci o człowieku, który, patrząc na brudy i zdrady polskie, szukał w ręku bata, mogąc go mieć, najczęściej wtedy, gdy brud i zdrada dotykały zbrodniczą ręką nie mnie, lecz Was, tej «équipe de la volonté du chef» podczas burzy i żeglowania bez masztów i żagli po rozszalałym morzu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 6 stycznia 1925 r.

DEDYKACJA NA EGZEMPLARZU KSIĄŻKI «ROK 1920» OFIAROWANYM BOLESŁAWOWI WIENIAWIE-DŁUGOSZOWSKIEMU

(6 stycznia 1925 r.)

Dedykację podajemy według tekstu drukowanego w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów», zgodnego z oryginałem na egzemplarzu książki.

Kochany Wieniawo!

Szaleńcze, co uzdę starasz się nakładać sam sobie, nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby ze mną, Kolego, ofia-

[1]) Zespół wykonujący, realizujący wolę wodza.

[2]) Aleksander Prystor w okresie bitwy warszawskiej był najbliższym towarzyszem Piłsudskiego, pełniąc formalnie funkcje oficera do specjalnych poruczeń.

rowuję Wam tę książkę, pierwszy płód mózgu, pracującego nad prawdą o wojnie i pierwszych dniach Polski. Byłem tam Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. W tych zawiłych, a tak brudnych, tak wściekle brudnych stosunkach wojna na chłodny rozum musiała być przegrana. Mówiłem to sobie tysiąc razy, gdym obiektywnie i chłodno szanse Polski i swoje rozważał. Rok kryzysu, rok 1920, prawie to udowodnił, prawie pokazał, gdzieśmy właściwie stali ze swym rodzimym brudem i brakiem honoru służby, a z nadmiarem hańby służby sobie tylko lub jedynie jakimś brudnym, sprzedajnym często mafiom, szukającym często bandycką drogą zysku i władzy.

W tych warunkach okręt państwa, będącego w stanie wojny, często podlega katastrofom i bez masztów i żagli jest właściwie rozbitkiem, oddanym na łaskę fal i wiatru. I wtedy wszystko zależy od kapitana-sternika, jego woli, jego nerwów i jego serca. Załoga czy pasażerowie albo są wtedy balastem i przeszkodą, albo pomocą. Wśród załogi byłem tym kapitanem-sternikiem, a w niej miałem zaledwie kilku ludzi, których przy analizie nazywam «équipe de la volonte du chef» — zaledwie kilku![1]) Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że oni mnie ani moich tajemnic nie sprzedadzą wolnie czy bezwiednie, ani przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów, ani wreszcie swoją niedostatecznie udolną pracą nie wywołają z mojej strony nadmiaru pracy i nadmiaru nerwowego wysiłku. Broniliście wtedy mej woli, kochany Kolego, wszędzie i zawsze z zupełnym zapomnieniem o sobie dla dzieła zwycięstwa i stawaliście wszędzie, gdzie Was posłałem, znosząc wszystkie ciężary moralne, które na Was spadały, bez skargi i szemrania, tak, jak teraz znosicie, niestety i teraz często, następstwa tej honorowej służby.

Z wdzięcznym sercem posyłam Wam swoją pracę, prosząc Was przyjąć jako upominek i chęć serdecznej z Waszej strony pamięci o człowieku, który, patrząc na brudy i zdrady polskie, szukał w ręku bata, mogąc go mieć, najczęściej wtedy, gdy brud i zdrada dotykały zbrodniczą ręką nie mnie, lecz Was, tej «équipe de la volonté du chef» podczas burzy i żeglowania bez masztów i żagli po rozszalałym morzu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 6 stycznia 1925 r.

---

[1]) W okresie bitwy warszawskiej Wieniawa-Długoszowski był Adjutantem Generalnym Piłsudskiego.

ODCZYTY O DOWODZENIU

(19 i 26 stycznia 1925 r.)

W dniach 19 i 26 stycznia 1925 r. wygłosił Piłsudski w sali Towarzystwa Hygienicznego w Warszawie dwa odczyty o dowodzeniu.

W pierwszym odczycie mówi Piłsudski o trudnościach dowodzenia taktycznego, które musi odbywać się w niebezpieczeństwie, w niepewności i w ciągłych sprzecznościach, mogących być rozstrzygniętymi tylko rozkazem. W drugim odczycie mówi Piłsudski o różnicy między niższym a wyższym dowodzeniem.

Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» zaopatrzyli druk tych odczytów następującymi uwagami:

«Krótkie streszczenia tych wykładów pomieszczone były w «Kurierze Porannym» z 20 i 27 stycznia 1925. W papierach pani Marszałkowej Piłsudskiej znalazły się stenogramy tych wykładów w odpisie maszynowym. Na kilku początkowych stronach stenogramu pierwszego odczytu są poczynione nieliczne poprawki ręką Piłsudskiego, który widocznie zamierzał wydać odczyty te drukiem i w trakcie pracy zamiaru tego zaniechał. W skrypcie drugiego odczytu brak przy końcu jednej lub dwóch stron, których wydawcom nie udało się odnaleźć. To też zakończenie drugiego odczytu musieliśmy podać według streszczenia, drukowanego w «Kurierze Porannym» z 27 stycznia 1925 roku. W stenogramie musiano jednak skreślić, względnie przeredagować, kilka ustępów, niewątpliwie źle lub mętnie przez stenografa zanotowanych».

Tekst niżej podany jest przedrukiem tych odczytów z «Pism — Mów — Rozkazów», t. VIII, str. 215—250.

WYKŁAD I

Stając przed tym audytorium, przypominam sobie dawne ubiegłe lata, gdym niegdyś w miastach Galicji próbował budzić myśl polską, by się zechciała zająć zjawiskami wojny. Wydawało mi się, jako człowiekowi, żyjącemu intelektualnym życiem, że jest niepodobieństwem, aby ludzie nie wiedzieli, jak silnie na ich życie, na ich los, wpływały w przeszłości i miały wpływać w najbliższym czasie zjawiska wojny. Wydawało mi

się po prostu niezrozumiałym, dlaczego ludzie tak obojętnie i tak spokojnie przechodzą nad zjawiskami wojny, które ich depczą, dlaczego nie starają się ich zbadać, dlaczego przechodzą nad swoim własnym losem, nad swoim własnym interesem, gdy nieszczęścia wojny, którego się obawiają, od którego zbawienia proszą w świątyniach Pana, — nie chcą zrozumieć.

Starałem się wtedy — i uważałem to za początek swojej kariery wojskowej — choć najogólniejsze pojęcie dać ludziom o zjawiskach wojny, tak, jak ja je rozumiałem. Cieszę się więc, że teraz mogę po długich latach spróbować niejako kontynuować swoją dawną pracę.

Szanowni państwo! Sam przechodziłem prace wojskowe w specjalny zupełnie sposób. Studia swoje zacząłem nie tak, jak inni; studia swoje prowadziłem bez jakichkolwiek nauczycieli; jestem więc tym, co się nazywa samoukiem. Przedzierałem się przez lasy sprzeczności i trudności, które się na mnie waliły, nie pytając się nikogo, jak sprzeczności te rozwikłać. Ten dziwoląg pracy, że tak powiem, którego dokonałem w tej dziedzinie, jeżeli był obdarzony efektem, śmiało mówię, zawdzięczam tylko wybitnym zdolnościom w tym kierunku. Musiałbym upaść pod tym ciężarem, jaki się na mnie walił, i jeżeli wybitne zdolności, talent, które posiadałem w tej dziedzinie, pozwalały mi wyjść z tej pracy cało, to jednak, jeżeli to mówię teraz, to nie dla pustej chwalby, lecz dlatego, by wam powiedzieć, że samouctwo zostawia swoje głębokie ślady w metodzie i ujęciu pracy, które to ujęcia często do innych przychodzą już przeżute i przygotowane przez nauczycieli. Znajdziecie zapewne i w moich teraźniejszych wywodach te właśnie ślady.

Gdym przystąpił do swoich studiów wojskowych na jaki dziesiątek lat przed wojną, miałem ogólne pojęcie o wojsku, to ogólne pojęcie, jakie spotykamy wszyscy wśród siebie samych. Gdy przychodzicie do wojska, albo do niego wchodzicie, albo też — odwrotnie — nie wchodząc do niego nigdy, o nim myślicie i spytacie siebie znienacka, jaka jest charakterystyczna cecha wojska w porównaniu do niewojska, to znajdziecie zawsze jedno wyraźne określenie: jest nim nieznośne posłuszeństwo względem człowieka, względem tego drugiego, któremu żołnierz jest obowiązany posłuszeństwo.

Prowadzi to od razu do ogólnego pojęcia, które znajduje każdy nawet najmniej myślący: jest to posłuszeństwo względem swego dowódcy. Zdawałoby się więc, że pojęcie dowódcy przenikać musi całość myślenia wojskowego, że to, co jest dowódcą, i to, co jest pracą dowódcy, powinno być przede wszyst-

kim brane w rachubę przy wszystkich pracach wojskowych. Proszę sobie wyobrazić moje olbrzymie zdumienie, gdym przy początku moich studiów został zupełnie oszołomiony, znajdując, że wcale tak nie jest, znajdując, że to, com przypuszczał, to, czegom szukał, — człowieka dowodzącego i człowieka dowodzonego, w całym olbrzymim przerzucanym materiale książkowym, czytając książkę jedną za drugą, nie znalazłem. Zdawało mi się to tak potwornym nonsensem i tak śmiesznie dzikim, że nie chciałem sam sobie wierzyć. Wydawało mi się, że albo ja jestem wariatem, który nie rozumie co czyta, albo — odwrotnie — panowie wojskowi nie umieją powiedzieć tego, co istotnie czują. Spotkałem systematyczne, stałe zawalanie pracy nie czym innym, jak formułami, prawidłami i prawidełkami, za którymi człowieka prawie nie dostrzegałem. Spotkałem całe mnóstwo technicznych najrozmaitszych określeń, ogromnie rozwiniętą terminologię, poza którymi tak samo człowieka nie ma. Wydawało mi się czasami, że panowie wojskowi, pisząc książki, starannie unikają człowieczeństwa w swojej pracy, jak gdyby chcieli powiedzieć, że słuchać należy prawideł, ustaw i ustaweczek, wszelkich technicznych określeń, ale nie człowieka.

Pamiętam swoje olbrzymie zdziwienie, gdym czytając jedną z pierwszych książek wojskowych, które zacząłem studiować, mianowicie — wielkie wydawnictwo najwyższej w owym czasie instytucji wojskowej, wielkiego niemieckiego sztabu generalnego, spotkałem obliczenie wojska, w którym starannie chciano uniknąć człowieka; liczono tam bowiem nie na ludzi, lecz na szable i bagnety, a więc na to, co człowiek nosi, tak, jak gdyby ten człowiek, który tę szablę nosi, tym karabinem błyska, nie istniał wcale, tak, jak gdyby działa nie były przez nikogo obsługiwane. W tym samym dziele czytałem o tym dużo, że wszystkie próby działania właśnie tym pałaszem, właśnie tym bagnetem są zawodne i że dawno minęły czasy, kiedy trzeba było liczyć na szable i bagnety. Pamiętam swoje ogromne zdziwienie i swoją skłonność do przypuszczania, że panowie oficerowie niezbyt umieją swoją myśl wyrazić, gdy zaprzeczając wartości szabli i bagnetów, obliczają siebie na szable i bagnety. Długo, moi panowie, z tą dziwną prawdą rady sobie dać nie mogłem, długo szukałem, co właściwie powoduje tę dziwną niechęć do człowieka, to dziwne poszukiwanie zawsze prawideł, takich czy innych martwych rzeczy, wtedy, gdy się ma do czynienia z ludźmi; skąd to właśnie płynie, jaka jest tego przyczyna głębsza, gdy we wszystkich prawie studiach swoich ten typ pracy spotykałem?

Po dłuższym dopiero czasie mogłem się pogodzić z tą metodą teoretyzowania wojskowych, jedynie po dłuższej walce i przełamaniu siebie zgodziłem się na to, by dalej pracować: tak nonsensowna wydawała mi się ta praca, tak nonsensowny sam sposób myślenia. Wydawało mi się bowiem, że na pierwszym planie musiało być wysunięte nie co innego, jak człowiek, który dowodzi, i człowiek, który jest dowodzonym; tymczasem musiałem brnąć przez całe morze prawideł, najrozmaitszych szczegółów, nim docierałem do człowieka.

Moi panowie, ten stan rzeczy jest wynikiem nie czego innego, jak ogromnej pracy technicznej, którą każdy kształcący się wojskowy przejść musi, ażeby dojść do tego, by być dobrym w swoim fachu. Jeżeli użyć nieodpowiedniej metody, prowadzi to niechybnie do zabicia człowieka. Im bardziej technika wojskowa się rozwija, im bardziej przychodzi skomplikowana praca z instrumentem broni, tym wyższe stawia się oficerowi wymagania. I z pewnym przerażeniem myślę, że gdy zażądamy od oficera, by był elektrotechnikiem, jakim jest najlepszy monter, broń rozumiał tak, jak inżynier, gdy zażądamy od niego, by był nieledwie dobrym szoferem i naprawiaczem automobili, przy tym gdy zażądamy, by jeździł i znał konie, jak w cyrku, robił pałaszem tak, żeby mógł wystąpienia publiczne robić pałaszem, jeżeliby najrozmaitsze gimnastyczne sztuki w dodatku czynił, gdy zawalimy go jeszcze całym mnóstwem ustaw, ustaweczek, słów pisanych i wszelkiego rodzaju nomenklatury, to boję się, że miejsca nie wystarczy na człowieka. Ze studiami swoimi pogodziłem się wtedy dopiero, gdym spostrzegł w dziedzinie praw wojny, że prawa człowieka są dostatecznie zagwarantowane, że wszędzie poza tą masą techniki i pracy istnieje człowiek. Niemożliwym jest przypuszczać, aby było inaczej, gdyż najlepsza maszyna wojenna nie jest nic warta, jeżeli człowiek ją popsuje złą albo niechętną pracą. Żadna praca wojenna nic nie daje, jeżeli człowiek w niej nie bierze udziału, jeżeli człowiek jej nie przeprowadza; zaś wszelkie błędy człowieka odbijają się natychmiast na skutkach jego pracy.

Zbudowawszy ten sylogizm, mógłbym już być spokojnym, gdyby wszystkie studia i obserwacje wojny nie doprowadziły mnie do pewnika, że człowiek w wojnie ma bardzo szerokie granice pracy i działania. Z tą chwilą komunał, że wojsko obowiązuje posłuszeństwo, zyskuje na sile. Wojsko zatem jest kierowane przez ludzi, którzy dowodzą. Cała reszta jest dodatkiem do ludzi i ten dodatek może wywołać te czy inne skutki, jeżeli człowiek tych wszystkich rzeczy umiejętnie czy nieumiejętnie umie użyć.

Proszę panów, ażeby od razu usunąć wszelkie przeszkody, przechodzę również do fałszu ogólnego w słowie, jaki istnieje, kiedy się mówi o dowodzeniu. Przeciętne słowa, których się używa, zdawałyby się świadczyć, że człowiek nie chce dowodzić ludźmi. Mówi się, że oficer dowodzi pułkiem, tamten dowodzi szkołą, inny plutonem, batalionem, armią i t. d. Znowu są to same pojęcie, którymi się w tym wypadku operuje, a w których jest zanik człowieka, — są to pojęcia zbiorowe, pojęcia nieżyjące. I w tym jest fałsz w słowie, który odnajdziemy bardzo łatwo, jeżeli wejdziemy w istotę pracy, jaką człowiek spełnia. Dowódca pułku dowodzi pułkiem, dobrze, — lecz dlaczego on nie dowodzi każdym człowiekiem z osobna, stojącym w szeregach pułku? Dowodzi kilkunastu ludźmi, wszyscy inni są dowodzeni przez kogo innego, przez jego podwładnych. Można, naturalnie, znaleźć słowa usprawiedliwienia, że dowódca może każdego żołnierza wywołać z szeregu, dowodzić nim, lecz przeciętną jego codzienną pracą jest dowodzenie dowódcami niższymi. Ten ogólny fałsz ma raczej symboliczne znaczenie, pojęcie bowiem realne mówi, że dowódca dowodzi dowódcami, że od samego dołu aż do góry idzie łańcuch dowódców, łączących się w pracy dowodzenia nad drugimi.

Z chwilą, gdy przechodzę do wyjaśnień, co to jest dowodzenie, do szukania wyrazu tego dowodzenia, to wszystkie próby moje, które robiłem, doprowadzały mnie zawsze do jednego określenia: że dowodzenie jest to rozkazywanie. Wszelkie próby, które często czynią w tych czy innych podręcznikach, w tych czy w innych określeniach, są skierowane raczej ku temu, aby powiedzieć, jak dowodzić, żeby dojść do dobrego dowodzenia, ale nie mówi się o samej istocie i treści dowodzenia. Można dowodzić źle i dobrze, a jednak dowodzenie istnieje. Znaną jest rzeczą, że nie tylko są dobrzy i źli dowódcy, ale są zupełnie marni dowódcy, którzy jednak są dowódcami. Istotną treścią dowodzenia jest zawsze tylko rozkaz ludzki, dany ludziom, który inni ludzie muszą wypełnić. Praca dowodzenia jest stałym rozkazywaniem ludziom, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Przechodzę do najcięższej pracy dowodzenia w warunkach, dla których wojsko właściwie istnieje, do dowodzenia podczas wojny. Przeżyliśmy tyle wojny, 7 lat długiej pracy wojennej, która na naszych ziemiach się przewalała. Wiemy dobrze, dlaczego to ludzie modlą się po kościołach, szukając zbawienia od głodu, ognia i wojny.

Wojna pociąga za sobą jedno bardzo nieprzyjemne uczucie, to jest mianowicie strach. Strach zaś jest wywołany przez

niebezpieczeństwo. Na wojnie więc dowódca i człowiek działa w niebezpieczeństwie. Jest to określenie starego Clausewitza [1]), który od tego swoje prace o filozofii wojny zaczyna: działanie wojenne jest to działanie w niebezpieczeństwie. Żeby wam to uprzytomnić, tym, którzy niebezpieczeństwa wojennego bezpośrednio nie przeżywali, dałbym przykład chociażby w tej sali. Całkiem inaczej panowie słuchalibyście moich wywodów, gdyby nagle te szyby brzęczeć zaczęły i kule przelatywać przez pokój. Ta praca, czyniona w niebezpieczeństwie, jest rzeczą stałą, codzienną dla dowodzącego. Te same nagłe uczucia. któreby powstały przy przykładzie w tej sali, znajdziecie również w pracy dowódcy i dowodzonego, podczas niebezpieczeństwa. w czasie wojny. To znaczy, z góry sama atmosfera pracy wojennej w niebezpieczeństwie oddziaływa na pracę dowodzenia. Druga rzecz, którą Clausewitz porusza, jest to działanie w niepewności; w niepewności, t. zn. w stanie chwiejności duszy. Jest to z jednej strony wywołane przez niebezpieczeństwo, a z drugiej strony przez specjalną cechę działań wojennych, działań, o których szerzej będę musiał powiedzieć, działań w sprzeczności.

Ja tylko dotknę tej sprawy. Niepewność polega na nieposiadaniu dostatecznych danych o tym, z kim się walczy, a z drugiej strony jest wynikiem nie czego innego, jak tego, że się działa w ustawicznej sprzeczności.

Dla ilustracji tego, co mówię, rzucę przed wami kilka przykładów zmyślonych, niehistorycznych. Dziś mówię o dowodzeniu niższym i trudno z historii dobierać przykładów dla takiego dowodzenia, więc biorę wypadki zmyślone i tym sposobem staram się dojść do nowych praw, związanych z dowodzeniem.

Proszę panów! Każdy z panów wojskowych zna na pewno jedną drogę, którą często przejeżdżam i którą często oglądałem, t. j. drogę do Rembertowa [2]). Przy skręcie z szosy brzeskiej w stronę Rembertowa są zabudowania obok drogi, rozmaicie rozsypane, i wreszcie droga prowadzi do lasu przez Rembertów; przed lasem są pagóreczki, zdatne do ukrycia dosyć wielkiej ilości ludzi.

Dla przykładu, wyświetlającego pracę dowodzącego w niebezpieczeństwie i niepewności, daję przykład: zbliża się wieczór i na tej drodze ukazuje się pluton kawalerii z dowódcą

[1]) Clausewitz Karol, generał i pisarz wojskowy pruski w epoce napoleońskiej, autor sławnego dzieła o sztuce wojennej «Vom Kriege».

[2]) Miejscowość i poligon wojskowy pod Warszawą, na drodze z Warszawy do Sulejówka.

na czele, który ma za zadanie stwierdzić, gdzie się nieprzyjaciel zatrzymał. Przy skręcie otrzymuje strzały, idące od lasu. Oto jest sytuacja, wobec której postawiony jest dowódca niewielkiej ilości wojska, 10—15 ułanów. Pierwsze, co się rzuca w oczy, jest to możliwość z jego strony wszelkich rozstrzygnięć. Jest on zupełnie swobodny w wyborze i od razu musi go dokonać. Pierwsze jest stwierdzenie, że nieprzyjaciel stoi pod lasem i strzela, zatem dalej nie potrzebuje iść — zrobił swoje, zadanie swoje wypełnił. Drugie rozstrzygnięcie jest spróbować stwierdzić, co to jest za nieprzyjaciel, bliżej go zaobserwować. Trzecie rozstrzygnięcie jest, kiedy kule zanadto gwiżdżą, trochę zostać w tyle, znaleźć ukrycie i napisać raport, że się bacznie obserwuje nieprzyjaciela. Ja widzę, że panowie się śmieją, jako doświadczeni kawalerzyści. Mamy więc trzy proste rozstrzygnięcia — jest ich całe mnóstwo. Człowiek dowodzący ma zupełną swobodę wyboru pod tym względem. Może zupełnie spokojnie rozstrzygnąć, zrobić jedno, drugie, albo trzecie.

Panowie, którzy do broni wybranej przeze mnie nie należą, muszą wiedzieć również o wielkim czynniku, który istnieje w kawalerii, tj. o koniach; tu znowu mnóstwo jest rozstrzygnięć, związanych z koniem. Pierwsze: staję, a w pobliżu są murowane domy, za nimi ukryję konie. Inny sądząc, że nieprzyjaciel się cofa, myśli: zaszarżuję go i, nie szczędząc koni i człowieka, puszczę konie naprzód, by czym prędzej dopaść słabo strzelającego nieprzyjaciela. Mamy więc przykład, przy którym człowiek ma do wyboru kilka rozstrzygnięć, a jest ich całe mnóstwo. Ba, jest jedno rozstrzygnięcie, i to jest jedno z najgorszych: nie wiedzieć, jak rozstrzygnąć, i stać pod kulami; to na pewno prowadzi do straty koni i ludzi. Można znaleźć wreszcie rozstrzygnięcie najgorsze: zostawić wszystkich i wskoczyć do tego domu murowanego, który daje osłonę. To jest także rozstrzygnięcie, które się często na wojnie zdarza, ubrane w różne preteksty, chociażby dlatego, żeby napisać raport do dowódcy; do napisania go trzeba mieć przecież spokój. Tak więc w tej sytuacji tak prostej, tak prawie codziennej na wojnie, mamy dowódcę, który staje przed możliwością dania rozstrzygnięć w najrozmaitszych kierunkach i ma swobodny wybór, jak postąpić dalej.

Proszę panów, wezmę drugi przykład z bronią inną, artylerią. Wezmę na tej drodze położenie nazajutrz. Nieprzyjaciel cofa się i tą drogą, która prowadzi do Rembertowa, idzie batalion piechoty, a za nim bateria artylerii. Słychać strzały, i pada rozkaz do komendanta baterii, by wyprowadził armaty, stanął na pozycji i otworzył ogień. Mamy znowu dla komen-

danta całe mnóstwo rozstrzygnięć bardzo podobnych do tych, które miał kawalerzysta. Może się długo namyślać, a wówczas bateria z długim szeregiem wozów stoi na drodze, zawalając drogę innym, pozbawiając batalion piechoty, który poszedł naprzód, tej pomocy, którą mu dać może. Drugie rozstrzygnięcie: natychmiast zorganizować pracę swoją w baterii, wybrać miejsce dla armat, dla obserwacji, zrobić to wszystko możliwie szybko, gdyż widocznie dowódca chce otrzymać pomoc ognia armat. W tym rozstrzygnięciu może on armaty postawić nieco naprzód lub nieco w tyle, i wtedy albo wyzyskuje dalekonośność swojej armaty na cofającego się nieprzyjaciela znacznie dalej, albo, postawiwszy armaty bardziej w tyle, nie będzie mógł wyzyskać jednego albo półtora kilometra dalekonośności swojej armaty.

Gdy już rozkazał, zaczynają się musowe konsekwencje jego rozkazu; gdy rozkaz, wyrażający decyzję dowodzącego, ma już spełnienie swoje przez dowodzonych, którzy także w swoich granicach mają swobodę wyboru swego postępowania, konsekwencje wtedy są już nieuchronne i idą jedna za drugą, a dowodzący musi je brać na siebie.

W przykładzie z wywiadem kawalerii, np. w razie rozkazu ruszenia naprzód, otrzymamy jako konsekwencje duże straty, gdyż nie wiedząc dobrze o tym, jak silny jest przeciwnik, mógł natrafić na silny oddział, który go zniszczy; wówczas braknie go w dalszej walce. W drugim wypadku może napisać raport, niedostatecznie wyjaśniający sytuację, tak, że nazajutrz główne siły wojska wpadną w złą sytuację, dlatego, że kawaleria nie spełniła swego ostatecznego zadania; będziemy mieli ciągłe konsekwencje, które idą jedna za drugą i tak daleko, że niepodobna ich potem odwołać, bowiem one się już stały w chwili, kiedy rozkaz jest dany.

Gdy rozkaz zaczęto wykonywać, można go odwołać i przerwać tylko nowym rozkazem, który jest znowu wyborem między kilku rozstrzygnięciami.

Proszę panów, nigdy nie zapomnę swego wrażenia, gdym przyszedł do przekonania, że człowiek istnieje z właściwością swobodnego wyboru swego postępowania, że pomimo całego ogromu pracy technicznej, jaka jest zużytkowana przez ludzi wojny, istnieje człowiek, swobodny w wyborze swoich decyzyj. Istnieje więc coś w rodzaju wolnej woli, coś w rodzaju zaprzeczenia musowości pracy wojennej, a wyraża się to tak jaskrawo, gdy kto wejdzie głębiej w istotę wojny, że może w żadnej czynności ludzkiej tak jaskrawo istnienie wolnej woli nie występuje, jak na wojnie. Lecz z chwilą, gdy rozkaz jest dany,

idą z żelazną koniecznością najrozmaitsze konsekwencje i konsekwencje te przy każdym wyborze są różne, wywołując to, co mówiłem poprzednio, — wikłanie się w sprzecznościach. Jeżeli ktoś poszedł na prawo, to znaczy poszedł na prawo; jeżeli ktoś stoi na miejscu, to znaczy nie poszedł naprzód. Są to zaprzeczenia przez wydawanie innego rozkazu. Wydawanie innego rozkazu jest zaprzeczeniem wszystkim innym możliwym rozkazom, które można było wydać.

Stąd wynikają bardzo daleko sięgające sprzeczności dla pracy dowodzenia. Gdyby, powiedzmy, ten podporucznik, który dowodził plutonem jazdy na skręcie do Rembertowa, zechciał dłużej pomyśleć, toby te sprzeczności z łatwością wynalazł. Polegałyby one na tym, że jeżeli on idzie naprzód, to może mieć osłabiony pluton, może potracić konie, więc wszelkie pójście naprzód jest związane z osłabieniem siły, którą pluton posiada, i jaką pułk, do którego należy, posiadać winien. Odwrotnie, jeżeli nie pójdzie naprzód, to nie da tego, co mu nakazano, — dowiedzieć się ściśle o nieprzyjacielu. Mamy więc sprzeczność, której rozwikłać żadnym rozumowaniem nie można, bo to, co jest dobre, żeby dowiedzieć się o nieprzyjacielu, jest złe dla strat. Jeżeli weźmiemy, że zdecydował pracować, to przez to konie, instrumenta pracy, będą bardziej zmęczone, mniej zdatne dla pracy jutrzejszej, będą dłużej stać pod siodłem, a koń, jak i jeździec, bardzo źle na tym wychodzą, jeśli są kwaterowane po nocy. Znów staje się w sprzeczności, której inaczej nie można rozstrzygnąć, jak rozkazem i wzięciem na siebie odpowiedzialności za to, co się kazało. Jeśli weźmiemy artylerię, to wyjechanie niedalekie naprzód może rzeczywiście dać znaczną pomoc piechocie, i artyleria nie potrzebuje zmieniać pozycji, a na znacznie dalszą przestrzeń da od razu wojsku jak najdalej idącą ochronę; lecz za to piechota łatwo trafia pod ogień. Znów mamy te sprzeczności; z jednej strony straty ludzi, straty koni, zaprzężonych do armat, a z drugiej — efekt, który można w danej sytuacji wydobyć z narzędzi pracy. Sprzeczność niemożliwa do rozstrzygnięcia, dopóki nie zapadnie decyzja, która te wszystkie sprzeczności usuwa na bok. Usuwa się na bok wszelkie dobre strony na koszt jednej dobrej strony, którą się przy rozstrzygnięciu wybiera.

Ten niechybny system wojenny i działanie w niebezpieczeństwie, działanie w niepewności, działanie w ciągłych sprzecznościach i rozstrzyganie ich jedynie rozkazem jest stałym zjawiskiem i stałą pracą dowodzenia.

Nic dziwnego, proszę państwa, że ludzie bardzo trudno niekiedy wytrzymują dowodzenie. Wszak każdy w innym za-

wodzie wie dobrze, jak trudno jest ciągle wikłać się w sprzecznościach pracy z jednej strony, jak trudno działać i trudno pracować przy ciągłym niebezpieczeństwie. Jest to ten żywioł pracy wojennej i pracy dowodzenia wojskiem, z którym każdy dowodzący ciągle i ustawicznie musi mieć do czynienia.

Z chwilą, gdy dowodzenie jest rozkazywaniem, chcę zanalizować metody rozkazywania. Rozkazy daje się na trzy sposoby: jeden rozkaz jest ustny, drugi pisemny, trzeci rozkaz jest przez człowieka do człowieka, przez posłańca. To są trzy metody, prócz których innych wynaleźć niesposób. Wszystko, co jest telefonowaniem i t. p., sprowadza się do tego samego. Siła rozkazu albo nabiera wartości od takiej czy innej metody rozkazywania, albo ją traci. Każda metoda ma dobre i złe strony.

Pierwsza metoda daje całego człowieka rozkazującego i z tego powodu odsłania całą siłę lub bezsilność człowieka rozkazującego. Najsilniej działa rozkaz, gdy jest dany bezpośrednio, patrząc na człowieka i nie oddając swoich wahań. Wtedy rozkaz nabiera większej siły, a są pewne rzeczy, które, gdy się użyje silniejszego tonu, pozostają silniej w pamięci. I tu zaczyna się niebezpieczeństwo tego rozkazu.

Jeżeli ustny rozkaz ma tę dobrą stronę, że reprezentuje całego człowieka, który rozkaz wydaje, to ma on swoją stronę słabą: wrażenia dalsze zacierają siłę rozkazodawstwa ustnego w porównaniu z pisemnym rozkazem, który można przeczytać choćby sto razy.

Bezpośrednio dany rozkaz ma siłę człowieka, który go daje, a pisany rozkaz siłę człowieka zawsze zaciera. Trudno przecież od ludzi wymagać, aby byli stylowymi w pisaniu rozkazu i umieli w rozkazie styl siły zrobić.

Najsłabszym natomiast jest wydawanie rozkazu ustnie przez pośrednika; metoda ta jest używana często w wyższym dowodzeniu, podobnie, jak i w niższym, a ma ona wszystkie słabe strony dowodzenia bezpośredniego i wszystkie słabe strony pisemnego, nie dając rozkazowi prawie żadnej dobrej strony. Dlatego też rozkaz przez pośrednika powinien być bardzo krótki; nie można za długo pośrednio przez innego człowieka rozkazywać.

Jeżeli zatrzymałem się nad metodą rozkazodawstwa, to tylko dlatego, że od metody bardzo dużo zależy w pracy dowodzenia. Wynika to z tej prostej przyczyny, że decyzja musi być oddana komuś, i metodą oddawania komuś można decyzję zepsuć albo podać w pierwotnej, nieskalanej szacie.

Rozkaz niezrozumiany działa tak, jak gdyby był wydany

inny rozkaz, jak gdyby decyzja była inną, a nie tą, która przy dawaniu rozkazu istniała.

Dlatego też rozkazywanie stanowić musi jedną z poważniejszych rzeczy przy pracy dowodzenia, jedną z rzeczy, nad którą każdy dowódca dobrze pomyśleć powinien, nim wybierze odpowiednią dla siebie metodę rozkazywania. Gdyż, powtarzam, rozkaz niezrozumiany nie jest tym rozkazem, który chciał wydać, jest innym rozkazem ze wszystkimi innymi konsekwencjami, nieraz zupełnie sprzecznymi z tymi, jakie zamierzał osiągnąć rozkazodawca.

Dlatego też rozkaz, praca rozkazodawcza, jako wyraz decyzji ludzkiej, należą do najpoważniejszych rzeczy w wojnie. Proszę panów, nawet sam «timbre» [1]) głosu, jakim każdy rozkaz jest wydawany bezpośrednio, odgrywa nieraz decydującą rolę. Nawet spojrzenie odgrywa rolę tak wielką, iż trudno sobie wyobrazić. Jest sposób zwrócenia się przy bezpośrednim rozkazywaniu, który zostawia tak jak gdyby człowieka rozkazującego w umyśle i duszy tego, kto rozkaz otrzymuje. Nawet matki, gdy rozkazują dzieciom, muszą głos podnieść.

Szanowni państwo, kończę dzisiejszy wykład stwierdzeniem kilku ogólnych praw.

Szukałem zawsze w swoich studiach wojennych człowieka; w pracach nauki wojskowej, w pracach myśli wojskowej, znalazłem go niezwykle przykrytego mnóstwem form i formułek, ustaw i ustaweczek, mnóstwem technicznych określeń, którymi nauka i wykształcenie wojskowe są przepełnione. Jest to wynikiem rozwoju techniki, tak szybko postępującej, że od kształcącego się oficera coraz więcej się wymaga, z coraz mniejszą nadzieją osiągnięcia wymaganych rezultatów, gdyż wymagania są coraz rozmaitsze, coraz bardziej rozbieżne.

Dzięki tej wielkiej pracy techniki, techniki pracy bojowej, którą nazywamy prawidłami, czy jakimiś innymi pojęciami taktyki, te wszystkie prawa i prawidełka zacieśniają widok człowieka.

Tymczasem w pracy człowieka na wojnie elementarnym faktem jest fakt dowodzenia. W dowodzeniu tym faktem jest, że człowiek dowodzi człowiekiem, nigdy zbiorowymi jednostkami. Każdy komendant dywizji ma komendanta pułku i brygady i przez nich dalej dowodzi. Komendant pułku ma komendantów batalionów, komendantów kompanij. Poza tym ma do dowodzenia swego adiutanta, o ile nie jest opanowany przez jego żonę, i ma ordynansa.

---

[1]) Por. t. VIII, str. 28.

To jest dowodzenie komendanta pułku, które idzie od człowieka do człowieka bezpośrednio i to dowodzenie łączy dowódców wszystkich, całego wojska, w jeden łańcuch, tak, że podoficer, dowodzący plutonem, słusznie może wyciągnąć rękę do swojego naczelnego wodza, mówiąc «kolego», bo wszyscy dowodzimy.

Dowodzenie jest rozkazywaniem; rozkaz jest aktem dowodzenia. Przed daniem rozkazu trzeba mieć decyzję, a praca psychiczna, która daje decyzję, jest jednym z najważniejszych procesów, gdyż jest robiona w niebezpieczeństwie, w niepewności, w ciągłym wikłaniu się w sprzecznościach.

Tym się odznacza praca wojenna w dowodzeniu niższym, która wiedzie codzienne swoje życie po pierwsze w sferze niepewności, po drugie w sferze niebezpieczeństwa i po trzecie w stałej sprzeczności.

Proszę państwa, ograniczając się tylko do dwóch wykładów, nie chcę zatrzymywać się na jednym z najważniejszych zagadnień, mianowicie — na analizie procesu, jak się robi decyzja, jak się w człowieku decyzja wytwarza i jak się przelewa na rozkaz. Sam proces wytwarzania się w człowieku decyzji charakteryzuje bardzo często sam rozkaz.

Ponieważ następny wykład chcę poświęcić wyjaśnieniu różnicy pomiędzy wyższym i niższym dowodzeniem, co stwarza całkiem inne i nowe komplikacje dowodzenia, zatrzymuję panów nad tą rzeczą, której powtarzać już nie będę, nad tym, że dowódca dowodzi tylko dowódcami niższymi, że dowodzenie to jest rozkazywanie, i wreszcie nad tym, że rozkazywanie w wojnie ma dodatkowy ciężar, obciążający dowodzenie, to jest działanie i rozkazywanie w niebezpieczeństwie, niepewności i w stałych sprzecznościach.

WYKŁAD II

Zaczynam dzisiejszy mój wykład od powtórzenia pewnych rzeczy, o których mówiłem w przeszłym wykładzie i które mi się nasunęły, gdym jeszcze był więziony w fortecy w Magdeburgu. Ubrałem je wówczas w formę specjalną; przyszło mi na myśl z powodu tak wielkiej ilości czasu, który miałem, zilustrować swoje zasadnicze myśli o dowodzeniu, za pomocą swoich własnych wspomnień, zilustrować dowodzenie

tak, jak ono mi się przedstawiało podczas wykonywania dowodzenia przez siebie samego [1]).

. . . . . .

Streszczam to, com mówił poprzednio. Mus decyzji, obowiązek rozkazywania, w tym się streszcza cała treść istotna dowodzenia wojskowego. Dziś mam się zająć dowodzeniem wyższym. Z chwilą, gdy się mówi o dowodzeniu wyższym i niższym, wchodzi się w określenia, które są bardzo względne, co jest wyższe i co jest niższe. Dowodzenie jest to samo określenie, pozostaje różnica wyższe i niższe. Zastanawiałem się nieraz przy najrozmaitszych swoich myślach, czy to przy pracy, czy organizacji wojskowej, i sam z siebie się śmiałem, że może najlepszą odpowiedzią na to, co jest wyższe, a co niższe dowodzenie, że to jest jednostka, której się daje większe zadanie, a to jest jednostka niższa, której się daje mniejsze zadanie. Właściwie jednak mówimy tautologię, to samo, — jednostka mniejsza, jednostka wyższa, mniejsze zadanie, większe zadanie. Trzeba uchwycić to, co stanowi różnicę najgłębszą, co stanowi treść.

Niewątpliwie, moi panowie, wszystkie określenia, dążące do ścisłości, które jakikolwiek umysł wymyślił, zawsze są nieścisłe i nigdy nie dają zadowolenia krytycznemu umysłowi, który wynajdzie, że to czy inne określenie nie jest ścisłe i proponuje inne. To też, moi panowie, stwierdzam, że wszystkie określenia, z których dużo konsekwencyj się wysnuwa, są bardzo trudne i dlatego tautologiczne określenia uznać należy za najprostsze; lecz trzeba poddać to analizie. Weźmy określenia przedwojenne. Ściśle nie przypominam sobie tych określeń w słowach, jak one były zawarte w tym czy innym regulaminie; określały one jednak treść wyższości jednostki i wyższego dowodzenia w sposób mniej więcej następujący: idzie o to, że jednostka wyższa jest zaopatrzona w broń i we wszelkie inne sposoby zadowolenia potrzeb ludzkich na czas dłuższy, niż to jest z niższą jednostką. Tak więc zaopatrywano dywizje, korpusy tak, by one wszelkie wojenne sytuacje wytrzymać mogły przez tydzień. Miały zatem dostateczną ilość broni wszelkiej, tak, by na broń nieprzyjacielską odpowiednio odpowiedzieć, i miały zaopatrzenie na przeżycie, na możliwość nieposiadania żadnej pomocy przez określoną ilość czasu. Natomiast niższe dowodzenie przeważnie było zaopatrzone na dwa dni. Z chwilą,

[1]) Piłsudski czytał tu ustępy swoich wspomnień pisanych w Magdeburgu. Stenograf tych ustępów nie zanotował, a wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» nie mogli ustalić, które ustępy Piłsudski wtedy przytaczał.

kiedy się mówi dwa dni, to rachuba nie może iść w ten sposób, że są to dwa dni; rachuba musi iść, zmniejszając ten okres czasu. Zaopatrzenie na dwa dni, to znaczy, że w rachubie zaopatrzenia ogólnego trzeba to liczyć jako jeden dzień, nie można bowiem doprowadzić jednostki, przeznaczonej do walki, do tego momentu, kiedy ona nic nie posiada, trzeba to powiększyć zapasami, pracą wyższą, która daje zaopatrzenie, tak, żeby zaopatrzenie stale szło codziennie, możliwie regularnie. W najnowszych czasach zaczęły się wzmagać potrzeby bojowe, ze względu na zaprowadzenie wszelkiego rodzaju nowych wynalazków; wskutek tego ciężar materiału zwiększał się z każdym dniem w sposób potworny, pochłaniając ogromne pociągi np. jedynie z nabojami. Zaczęło się więc coraz bardziej wzmacniać przekonanie, że zaopatrzenie bojowe jest tą główną rzeczą, o którą przy zaopatrywaniu i organizacji jednostki wyższej dbać trzeba. Tak więc wyższa jednostka daje gwarancję czasu większego, niższa — mniejszego. Historycznie podczas wojny rozwinęła się przewaga taktyki bojowej; zdaniem moim, jest to tendencja niezdrowa, dlatego, że bój, jako bój, pomimo, że jest silnym środkiem pracy wojennej, jest zawsze tylko środkiem. Musi czemuś służyć i nie każdy bój, jak historia dowodzi, jest rozsądnym; bój, jako bój, i zaopatrzenie bojowe nie rozstrzyga całości działań wojennych. Działania wojenne i z jednej, i z drugiej strony są prowadzone dla zwycięstwa, celem boju każdego jest szukanie zwycięstwa. Lecz gdy zwycięstwo jest ciasne, gdy zwycięstwo daje przewagę na niewielkiej przestrzeni, to z tego jeszcze nic nie wypływa dla zwycięstwa szerszego.

W przeszłym wykładzie mówiłem o tym patrolu, który szedł od szosy brzeskiej w stronę Rembertowa. Mógł on być prowadzony bardzo dobrze, mógł nawet lokalnie zwyciężyć, mógł nieprzyjaciela odsunąć, mógł teren, zagarnięty przez nieprzyjaciela, zabrać, lecz nic to nie znaczy, jeżeli on swych wiadomości na czas nie dostarczył temu, kto wyżej dowodzi. Może się bawić w patrole każdy, ale patrol jedynie wówczas jest wartościowy, jeżeli wiadomości, które zebrał, dostarczy na czas temu, kto dowodzi wyżej. Ten mały przykład daje wartość boju. Bój jest instrumentem siły, instrumentem mocy, lecz tylko wtedy, gdy jest rozsądny, dany dla szerszego celu.

Wielki wódz świata, Napoleon, mówił, że więcej wojen wygrał nogami żołnierza, niż bojem, pomimo, że był majstrem nadzwyczajnym w prowadzeniu wojny. Można różnymi metodami uzyskać przewagę i zwycięstwo, a bój będzie jedną z wielu. Do dziś istnieją różne określenia taktyki i strategii, czy taktyki niższej i wyższej. Ja za najmiarodajniejszą podstawę różnicy

uważam czas. Czas — wielki pan świata! Gdy starożytni w obrazowym przedstawieniu swego światopoglądu czas przedstawiali, to zawsze opierał się on nogami o kulę ziemską. Kulę ziemską miał pod nogami, tratując ją, tratując ziemię. Czas matematyk, czas wielka potęga niezmienna! W ludzkich obliczeniach czasu zmienić niepodobna. Czas daje wzrost dzieciom, które jeszcze wczoraj mówić nie umiały. Czas — potęga nieprzezwyciężona! Miałem zawsze zamiłowanie do tego, bo myśląc o dowodzeniu, gdy dla dowodzenia czas tak dużo znaczy, w czasie szukać rozwiązania różnic, jakie istnieją dla rodzajów dowodzenia.

Na czym polega różnica w czasie wyższego i niższego dowodzenia? Pozwólcie, panowie, że wejdę w jedną rzecz, którą obserwujemy codziennie, a która wielki wpływ na pracę wojenną wywiera. Mamy codzienną zmianę dnia i nocy; jak sięgnąć pamięcią, zawsze dzień zmieniał się z nocą. A ciemność nocy wpływa olbrzymio na działalność wojenną i dla tego, kto ma w rozporządzeniu taktykę pracy na placu boju, zmiana dnia i nocy jest decydującą. Nie wolno pracować na wojnie w nocy tak, jak w dzień, i odwrotnie.

Czas jest niezmienny dla obu stron. Niegdyś był człowiek, był czarownik, był wódz, który chcąc wyzyskać dzień, modłami go przedłużył, jak to mówi biblia o Jozuem. Jednak już od tego czasu historia ani jednego faktu podobnego nie stwierdza. Dzień niezmiennie idzie za nocą i zmienia podstawy myślenia i dowodzenia taktycznego jako mus, jako konieczność. Zmienia je niezmiennie dzień za dniem, zmuszając do zmiany rozkazów, danych we dnie, na rozkazy nocne. We wszystkim żołnierz zachowywać się musi inaczej w dzień, inaczej w nocy. W dzień bowiem ma do rozporządzenia niezwykle silnie rozwinięty zmysł — oczy, które stają się słabymi, gdy noc zapadnie. Stąd, proszę państwa, jedna z wielkich podstaw do powiedzenia, że taktyka niższa liczy się godzinami, rachunek pracy swojej prowadzi godzinami, i pomimo, że może mieć zadanie, trwające kilka dni, jednak cała praca jest obliczona godzinami i dnia nie przerasta.

Kiedy sięgniemy do wyższego dowodzenia, to dla niego zamierają oczy. Oczy nie odgrywają tej wielkiej roli taktycznej, jaką posiadają w taktyce na placu boju. Dowodzącemu muszą wyrastać oczy duchowe, nie fizyczne. Musi widzieć nie fizycznie, lecz myślą i tymi dopiero środkami ilość czasu rozporządzalnego dla siebie wyolbrzymia. Gdy więc taktyka placu boju, co jest charakterystyką niższego dowodzenia, ma do czynienia z rachunkiem godzinowym i z prawdopodobieństwem, liczonym

jedynie na dnie, to dowodzenie wyższe godziny przeskakuje. Rzadkie są wypadki takie, ażeby rozporządzając tą liczbą ludzi i tą liczbą środków, jakie ma wyższa jednostka, godzina była dla niej rozstrzygająca. Rozstrzygają dni. Im wyższe jest dowodzenie, tym ten czas się przedłuża, tym trudniejszym i zawilszym staje się rachunek. Według mego doświadczenia, jeżeli sięgniemy od wyższego do niższego dowodzenia, które kończy się na pułku — tam liczą godzinami, liczą się ciągle ze zmianą dnia i nocy każdego dnia, operując inaczej w dzień, inaczej w nocy, — miałbym określenie, które wydaje mi się na podstawie doświadczenia dość prawdopodobnym, że dywizje liczyć muszą okresami 3 do 4 dni — myślenie duchowe przepracowywać zawczasu na 3 do 4 dni, armie muszą liczyć tygodniami, naczelne dowodzenie miesiącami. Tak szybko rośnie progresja czasu wraz ze wzrostem rozmiarów dowodzenia. Mówię o tym, że duchowe oczy wyrastać muszą, gdyż fizyczne nie wystarczają. Oto, panowie, gdzie jest ta trudność, związana ze wzrostem czasu.

Wojna polega na tym, że dwie strony walczą z sobą. Jedna i druga szuka zwycięstwa. Jedna i druga mają te same prawie środki, które zwykle z sobą się spotykają. Jedna i druga mają wreszcie wielkiego pana — czas. Czas upływa obojętnie dla jednych i drugich, bez względu na to, czy jest potrzebny komuś wieczór, czy nie, i wszystkie prace jednego i drugiego są sprzeczne.

Jeżeli się ludzie biją, to nie dlatego, by sobie przyjemność zrobić; jeżeli się ludzie biją, to wyrastają guzy. Wszak szuka się przewagi nad tym, z którym się walczy. Jeżeli przyrównać to do gry w karty, to jest ciągłe zadawanie sobie konter, gdy gra przez kogoś jest ogłoszona. Jest to widoczna walka, przy której się szuka słabych sił, słabych stron, słabości nieprzyjaciela, by akurat tam uderzyć. Codziennie odbywa się walka, jeżeli nawet jest cicho na tak zwanym froncie, odbywa się walka myślowa dowódców, którzy wyszukują, badają i szukają, jakby przeciwnikowi to czy inne paskudztwo uczynić.

I, proszę panów, przy niższym dowodzeniu, w tym względnie krótkim przeciągu czasu, te rzeczy są obliczalne łatwo, gdyż są zmysły, które ostrzegają, a działanie brutalne broni daje efekt prawie natychmiastowy, zrozumiały przez straty, przez gęstość ognia, zrozumiały przez wszystkie odgłosy i przez całą muzykę boju, jaką nowoczesna harmonia wojny dać może.

Przy wyższym dowodzeniu jest czas. Przy wyższym dowodzeniu im bardziej czas przedłużamy, tym bardziej dajemy możność splątania wszystkich rachunków przez działanie na

nieprzyjaciela, tym bardziej nieprzyjaciel swoim działaniem przeciwdziała naszym rachubom i zmienić może wszystkie postanowienia i wszystkie decyzje, dane przez wyższego dowódcę. Im dłużej przeciągamy czas wojny, tym więcej jest trudności w myśli i tym trudniejszy, łatwiejszy dla błędu jest rachunek dowodzenia. Dlatego też namiętnie lubiłem przywiązywać przy wszystkich swoich studiach różne swoje myśli nie do czego innego, jak do ilości czasu, czasu, którego przezwyciężyć niepodobna, który jest czymś niezmiennym, czymś nieprzezwyciężonym dla jednej i drugiej strony.

Tak więc, moi panowie, przy tych wszystkich streszczeniach, przy tych wszystkich sposobach analizy, którymi dojść chciałem do myśli, czym się różni dowodzenie niższe od wyższego, zawsze dochodziłem do ostatecznego określenia: jedno ma do czynienia z placem boju, drugie z teatrem wojny. Sposoby i zadania nabierają innego charakteru przy wyższym dowodzeniu w porównaniu z niższym, gdyż dla jednych wygrana i przegrana są na placu boju, a dla innych przegrana i wygrana są na całym teatrze wojny. Wprowadzi to nas od razu do pojęcia strategii, taktyki i t. d. W czasie niższa taktyka, niższe dowodzenie ma do pobudzenia zmysły człowieka, którymi przeważnie pracować musi, gdy wyższe dowodzenie zmysły gubi, zmysłów nie posiada i pracować musi myślą, pracować musi duchowymi zmysłami.

Gdy więc panowie zechcą przypomnieć mój wykład poprzedni, gdzie wspominałem o Clausewitzu, który twierdził, że wojna to jest działanie w elemencie niebezpieczeństwa, w elemencie niepewności, znajdujemy różnicę znowu pod tym względem w tej sprawie następującą: niebezpieczeństwo fizyczne dla dowodzenia wyższego się zmniejsza, lecz za to olbrzymio się powiększa działanie w niepewności. Niepewność wzrasta w tak olbrzymiej progresji, że nie można ich wcale porównać.

Pozwolą państwo na parę przykładów historycznych, które może dadzą pewne wyświetlenia, pewną ilustrację, pewne dotknięcie do tego obiektu, którym tu się zajmujemy.

Jako pierwszy przykład wybrałem działalność 1-ej armii niemieckiej w 1914 r. na polach francuskich. 1-sza armia niemiecka oddaną została pod dowództwo gen. von Klucka. W porównaniu ze wszystkimi innymi armiami niemieckimi miała tę właściwość, że miała iść na skrzydle [1]). Każdy z panów ro-

[1]) 1-sza armia niemiecka została po mobilizacji skoncentrowana na prawym, północnym skrzydle sił niemieckiego frontu zachodniego, w obszarze między Renem a granicą holenderską, na północ od Akwizgranu i Kolonii. Dowództwo armii sprawował generał von Kluck, sze-

zumie, jak trudno jest iść na skrzydle, gdy nie mamy oparcia własnego, gdy mamy albo świeże powietrze, albo nieprzyjaciela, w porównaniu z tym, który idzie «en cadre» [1]) pomiędzy innymi. Dlatego możnaby było przypuszczać, że dano do dowodzenia człowieka najsilniejszego, człowieka, który miał w sobie dość siły, dosyć hartu, by tę sytuację wytrzymać i przezwyciężyć. Do dowodzenia dano mu prawie sześć korpusów, czyli około 300 do 400 tysięcy ludzi, uzbrojonych w to wszystko, coby mogło przetrzymać to wielkie zadanie, które mu powierzono. Gdy przebiegam organizację tej armii, spostrzegam chęć uzbrojenia tej armii w siłę; szukano bowiem najlepszych wojsk dlatego, że najcięższe zadanie spełnić miały; szukano tych, którzy zapytani, czy są Niemcami, odpowiadali — «nein, wir sind Preussen» — my jesteśmy Prusakami. Szedł korpus pomorski, szedł III brandenburski z korpusem rezerwowym, szedł IV magdeburski ze swoim rezerwowym korpusem i dodano jej wszelką pomoc, a nadto dodano jej korpus altoński, IX. Zadanie, które miał do spełnienia, przerastało zwykłą miarę. Miał zabezpieczyć wszystko, stojące na skrzydle, zabezpieczyć prawie wszystkie armie, idące dalej koło niego, a obok tego spadł na niego obowiązek, zasłaniając wszystkich, przebiec największą przestrzeń. Przypuszczam więc, że wierzono święcie, iż generał, na którego to włożono, miał siłę dostateczną. Istotnie, fakty mówią, że gen. von Kluck nie był zwyczajnym człowiekiem. Pomyślmy, że przerzucił on czterysta tysięcy ludzi przez jedno miasto, to bowiem było mu wyznaczone do początku marszu, dalej zaś za miastem zaczynała się 2-go armia; stanął w mieście na czele sam, wyznaczając porządek przemarszu przez ulice — mówię o Akwizgranie [2]), — trzymając silnie żołnierzy, tak, by rachunek ani na jedną chwilę się nie zatrzymał, żeby prędzej przebiec ciasną przestrzeń z tak olbrzymią ilością wojska; że mając tę wielką pracę do przezwyciężenia, od razu wyskoczył naprzód w porównaniu ze swymi kolegami, którzy mniejsze trudności mieli do przełamania; że od razu miał do czynienia ze stutysięczną armią belgijską [3]), którą znegliżował

fem sztabu był generał von Kuhl. Przy ogólnym planie niemieckim, według którego siły Niemiec, przeszedłszy przez Belgię, miały okrążyć siły francuskie od północy, na 1. armię wypadły największe przestrzenie do pokonania.

[1]) W ramach, w związku.

[2]) 1. armia musiała z obszaru koncentracyjnego, dla ominięcia terytorium holenderskiego, przejść w całości przez miasto Akwizgran na granicy Belgii.

[3]) Armia belgijska, odepchnięta przez prące naprzód przez Belgię siły niemieckie, cofnęła się na północ, na Antwerpię, stając w ten sposób

zupełnie, zasłaniając się od niej jakąś słabą siłą, odwracając się od niej tyłem, po to, żeby iść naprzód i tak, jakby ta stutysięczna armia belgijska nie miała żadnej wartości; przechodził nad nią do porządku dziennego, nie tracąc ani jednego dnia marszowej wielkiej racji dla swoich wojsk, tak, jak gdyby tych sto tysięcy ludzi, chcących mu dać kontrę, nie znaczyło dla niego nic; że gdy spotkał armię angielską, rzucił się na nią [1]) w jednej chwili tak, że gdy policzymy przebieg marszu 1-ej armii niemieckiej aż za Paryż, znajdziemy, iż przechodziła ona codziennie dwadzieścia do dwudziestu paru kilometrów, tak, jak gdyby te boje, te krwawe kontry, które mu zadawano, nic nie znaczyły. Wielka potęga, wielka siła tego charakteru, siła wartości wojska, którym dowodził, i dufność, pewność siebie, którą ten człowiek posiadał, mówią mi zawsze, że Niemcy miały w nim jednego z czynnych ludzi, wielkiego wodza, któremu nic strasznym nie było.

Spójrzmy, proszę państwa, na czas, na kwestię czasu, którą miał ten człowiek do rozstrzygnięcia. Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdym tę bitwę ze strony niemieckiej studiował, gdy szef sztabu gen. von Klucka, von Kuhl, opisuje [2]), gdy 3 września wahano się, czy przejść Marnę, czy nie. Przejść Marnę to już mieć Paryż po prawej stronie, tak, jak niegdyś czyste powietrze, tak tu Paryż zostawić po prawej stronie. Gdy nie otrzymał rozkazu od wyższego dowództwa, Kluck zdecydował przejść i oddalono się od Marny o cały długi dzień niemieckiego marszu, przechodząc mimo Paryża. Ciężkim musiało być przejście tego człowieka, gdy 5 września rano otrzymał rozkaz od głównego dowodzenia następującej treści: «1-sza i 2-go armia pozostają przeciw wschodniemu frontowi Paryża, 1-sza armia pomiędzy Oise i Marną, trzymając przejścia przez Marnę, 2-ga — pomiędzy Marną a Sekwaną». Zostawił za sobą

---

za skrzydłem i na tyłach posuwającej się ku południowemu zachodowi 1-szej armii niemieckiej. Dla osłony wystawił generał von Kluck słabe siły, wydzielone z prawoskrzydłowego korpusu, które zresztą wycofał z powrotem do sił frontowych natychmiast po nadejściu oddziałów rezerwowych. Marszu sił głównych nie zatrzymywał, ani nie zwalniał.

[1]) W dalszym marszu na południowy wschód natknęła się 1-sza armia niemiecka na świeżo przybyłe siły angielskie i stoczyła z nimi bitwę na pograniczu Belgii i Francji pod Mons, z wynikiem niepomyślnym dla Anglików. Jednoczesne cofnięcie się sąsiadującej z nimi 5-ej armii francuskiej zdecydowało o dalszym odwrocie aliantów ku południowi.

[2]) Analizę dni 3—5 września oraz cytaty podaje Piłsudski według książki szefa sztabu 1-szej armii niemieckiej w roku 1914, generała H. von Kuhl: «Der Marnefeldzug 1914». Berlin, 1921.

już 3 dni temu Marnę, do której dojść musiał, wczoraj, minął, poszedł sobie naprzód. Proszę sobie wyobrazić to głębokie upokorzenie człowieka, który tyle dokonał, tyle zrobił z siebie i żołnierza, z tak bezgraniczną siłą się uporał, przeleciał przestrzeń, by złamać ostatecznie nieprzyjaciela, gdy mu rozkaz jego przełożonych mówi, — żeś, bracie, za dużo zrobił. Jak von Kuhl, szef jego sztabu, mówi, zastanawiano się nad treścią tego rozkazu, który przyszedł radiotelegraficznie, i nie wierzono swoim oczom. Użyte było słowo «verbleiben» — armia 1-sza pozostaje. «Verbleiben konnten wir nich, wir konnten nur dorthin zurückmarschieren» [1]) — mówi von Kuhl. Nie możemy «pozostać», gdy jesteśmy poza Loarą i poza Marną. Rozkaz ten oznaczał: maszerować w tył, z powrotem. Z powrotem o dwa do trzech dni marszu, który już był zrobiony. Ta ciężka walka, którą stoczył z sobą gen. Kluck, gdy ten rozkaz dziwny otrzymał, nakazujący cofnąć się bez boju przed cofającym się nieprzyjacielem, którego widział ciągle w odwrocie, musiała być jednym z upokorzeń ludzi, nie liczących się z czasem, którzy ten czas prześcignąć chcieli, którzy z czasu, wielkiego pana, sługę zrobić chcieli. Czas się zemścił. Kluck zdecydował jednak jeszcze jeden dzień pozostać, sądząc, że jeden korpus, który pozostawił w tyle, załatwi wszystkie kłopoty w razie niebezpieczeństwa. «Dojdę do Sekwany» — tak zadepeszował do głównego dowództwa. Nazajutrz przymuszony, musiał wracać z powrotem tam, gdzie go wołał ów rozkaz wyższego dowodzenia; zmuszony przez działania nieprzyjaciela. Całą armię musiał zawrócić, by rzucić ją w tył dla osłony całego wojska przed działaniem nieprzyjacielskim. Czas-matematyk szedł dla jednych i dla drugich, czas-matematyk sprzyja sile, sprzyja rozumowi i nie pozwoli siebie przezwyciężać.

Dla porównania daję drugie swoje studium z tego samego wojska. Jest to wielkie zwycięstwo Hindenburga w Prusach Wschodnich. Gdym przerzucał, gdym szukał zgodnie ze swoją metodą, jak się obchodzono z czasem i umiano czy nie umiano obrócić czas, by rydwan zwycięski ciągnął, byłem zdumiony; zdumiony i wprost przerażony. Historia daje fakty niezaprzeczone. Poprzedni dowódca niemiecki [2]) pierwszą bitwę, którą Rosjanie mu wydali, przegrał, i pobity się cofnął, prze-

[1]) Pozostać nie mogliśmy, mogliśmy tylko tam nazad pomaszerować.

[2]) Przeciwko Rosji wystawili Niemcy w Prusach Wschodnich bardzo słabe siły: 9 dywizyj piechoty i 1 dywizję kawalerii, które tworzyły 8-mą armię pod dowództwem generała Prittwitza.

grał tę bitwę przeciw jednej armii, armii gen. Rennenkampfa [1]). Zmieniono dowódcę, przeznaczono do dowodzenia ludzi, których imiona historia wojny ciągle potem powtarza, — Hindenburga i Ludendorffa. Nie zmieniono nic innego, gdyż na razie żadne posiłki nie nadeszły, dopiero się zbierały do odjazdu. Pozostały te same siły, jakie posiadał gen. Prittwitz. Tymczasem szła na niego już druga armia, oprócz tej, która go pobiła poprzednio, szła armia, silniejsza liczebnie od tej, którą miał Rennenkampf — armia Samsonowa [2]). Gdy człowiek już to jedno zestawi, to jedno przed oczy sobie rzuci, dojdzie do wniosku, że działo się coś niesamowitego. Dlaczego Prittwitz przedtem przegrał, a dlaczego Ludendorff rozbił jedną armię za drugą i, pobiwszy tak wściekle Samsonowa, pobił Rennenkampfa, poprzedniego zwycięzcę [3]). Gdzież kryje się zagadka człowieka, gdzież czai się zagadka siły i potęgi ludzi, którzy takie cuda czynić umieli? Gdzież kryje się dusza tych ludzi, którzy tyle zrobić mogą, jakaż to wielka wewnętrzna siła, jakież to wartości heroiczne, które przetworzyć umieją widoczną klęskę w świetne zwycięstwo? Gdy przebiegałem obliczenia swoje, powiedziałem sobie na zwycięstwo nad Samsonowem: ci ludzie mieli tylko dwa dni czasu. Miara niezwyczajna dla większych mas ludzkich. Wydawało mi się, że dając dwa dni czasu, daje się za dużo, gdyż wydawało mi się, że nazajutrz Hindenburg i Ludendorff nie będą mogli zrobić już tego, co zrobili wczorajszego dnia, że jedna doba było to obliczenie, w którym to wielkie zwycięstwo odniesiono. Zdołali więc oni, wyżsi dowódcy, skurczyć w sobie czas, jak gdyby wielka masa ludzi pracowała tak, jak małe bataliony, a pracowała na wielkich przestrzeniach. Dotąd myślę nad tym, że gdy skurczyć to do jednej doby, czy jest to możliwe dla ludzkiej siły, dla siły

[1]) 1-sza armia rosyjska generała Rennenkampfa (armia Niemna) przekroczyła granicę wschodnio-pruską wzdłuż linii kolejowej Kowno—Królewiec, posuwając się na zachód. 8-ma armia niemiecka przeszła do przeciwnatarcia, które nie zatrzymało jednak definitywnie posuwania się sił rosyjskich.

[2]) 2-ga armia rosyjska generała Samsonowa, idąc z Ostrołęki i Łomży, zbliżała się wtedy do granicy południowej Prus Wschodnich.

[3]) Wprowadzając w wykonanie plan niemieckiego szefa sztabu generalnego Moltkego przerzucenia 8-ej armii ofensywnie przeciw 2-ej armii rosyjskiej gen. Samsonowa z osłoną od armii Niemna, Hindenburg z Ludendorffem stoczyli w dniach 23 do 31 sierpnia bitwę pod Tannenbergiem, zakończoną zupełnym zniszczeniem 2-ej armii rosyjskiej; następnie, odwróciwszy 8-mą armię na północ, Hindenburg zwrócił ją całą przeciw armii Rennenkampfa, która już zagrażała bezpośrednio tyłom niemieckim. Rennenkampf nie czekał na natarcie i 31 sierpnia rozpoczął odwrót za jeziora mazurskie.

duszy, która wie i rozumie, że jeżeli dziś nie zrobi do końca, to jutro zginie. Otóż panowie wojskowi to przecież wiedzą, że zawrócić jeden batalion z taborami zajmuje czas, lecz zawrócić trzy lub cztery korpusy w jeden dzień, to jest bardzo trudna rzecz i musi to zabrać znacznie więcej czasu; ta groźba, pod którą Hindenburg i Ludendorff pracowali dla zwycięstwa nad Samsonowem, była tak wściekle krótką, że wydaje się, iż bitwa jest jedynie taktyką, że to skurczenie do ocznych wrażeń nieledwie robi widzenie ducha tak silnym, tak przejrzystym, jak gdyby to byli dowódcy batalionu, idący do boju. Tymczasem oni mieli kilometry i kilometry, gdzie oko ludzkie nie sięga.

Macie panowie dwa historyczne przykłady, dwa przykłady, tak dziwne i tak wiele mówiące o istocie wojny. Wybrałem rozmyślnie silnych ludzi, którym nikt nie odmówi wielkości siły, wielkości woli i potęgi ducha. Mamy jednego i drugiego w wielkim pościgu dla prześcignięcia czasu, dla dania kontry wielkiemu panu świata, czasowi.

Jeden przegrywa, drugi wygrywa; i gdy się zastanawiać, gdy szukać, gdzie jest sprawiedliwość na świecie, która Hindenburga policzy pomiędzy wielkich, a Klucka zaliczy do nieudanych wodzów — to doprawdy trudno dać na to odpowiedź. Ciężary pracy, ciężary siły były jednakowe. Obaj skurczyć chcieli czas, który skurczyć się nie daje. Obaj kurczyli czas do tej nadzwyczajnej miary, by z armii robić bataliony, by dowodzić godzinami, zachowując całą potęgę tygodni, całą potęgę myśli i całą potęgę duszy, zmienionej w wzrok duchowy, który widzi nie widząc, słyszy nie słysząc, dotyka nie dotykając, który w swojej potędze wewnętrznej daje siłę duszy tak wielką, że zmysł realny zamiera. A jednak Hindenburg jest wielki, a Kluck jest mały.

Proszę panów, wracamy do analizy Marny. Przypominacie panowie, w zeszłym wykładzie mówiłem o metodzie dawania rozkazu. Metoda dawania rozkazu bezpośredniego, pośredniego przez kogoś i metoda rozkazu pisemnego. W bitwie nad Marną użyto najnowszego wynalazku, dawano rozkazy, dawano raporty przez radio. Teraz wystarczy drucik, przy którym można słuchać dowódcę, gadającego w oddali, lecz w owym czasie radio w dowodzeniu zawiodło. Zawiodło tak dziwnie, że gdy się dowodzenie nad Marną u Niemców studiuje, to wydaje się wprost niewiarogodnym, by tak wielka i tak potężna armia takie głupstwa czyniła. Raporty i rozkazy szły nieraz po dwadzieścia parę godzin, nim doszły. W tym właśnie wypadku, który rozpatrywałem, wieczorem przy przejściu przez Marnę, Kluck zadepeszował do głównej kwatery

o swojej decyzji. Zadepeszował, dając motywy w krótkich słowach, dlaczego to tak robi, zadepeszował o tym, że rozkaz następny znajdzie go już na południe od Paryża. Gdy otrzymał odpowiedź, jemu się zdawało, odpowiedź, przewracającą do góry nogami wszystko to, co czynił, ze słowem «verbleiben» — pozostać, tak, jak gdyby główna kwatera nie wiedziała nic o tym, że on tę Marnę przekroczył i ma półtora dnia od Marny.

Tu wchodzę, proszę państwa, jak poprzednio przy końcu wykładu, do rozkazodawstwa. Gdy przy niższym dowodzeniu rozkazy mają czas minimalny dla wysłuchania, dla przeczytania karteczki, która jest posłana, to w wyższym dowodzeniu samo rozkazodawstwo czas mierzy. Ten, kto dla rozkazodawstwa czasu nie mierzy, ten zawsze błądzi, kto czasu biegnącego rozkazu nie wymierzy i uważa, że rozkaz dany jest już przez to rozkazem, a raport napisany i odesłany już przez to jest skończony, i na podstawie tego działa, zawsze błądzi. Na tym przykładzie widzimy, że dni mijają, nim rozkaz dojdzie, nim będzie odczytany, dni mijają, nim raport posłany dojdzie i nim do rachunku wciągniętym będzie. I ten, moi panowie, kto miary czasu do rozkazodawstwa nie stosuje, ten w wyższym dowodzeniu nic nie wart, nie zdziała nic, ten długo się musi uczyć myśleć, przemyśleć swój czas, bo rozkazy kontredansa tańczą z raportami, które jeszcze nie doszły.

Gdy więc, panowie, w samym rozkazodawstwie, w samym raportowaniu ten czas jest tak wielki, dam jeszcze drugi błąd, najczęściej istniejący, najczęściej czyniony: polega on na tym, że oblicza się swoje działania bez stałego przeciwdziałania nieprzyjaciela. Wygląda to tak, jak wielki Podbipięta, który tryumf chciał widzieć, gdy trzy głowy Turków tak ustawi. by je mógł mieczem ściąć. Ale nieprzyjaciel, moi panowie, nie jest tym Turkiem, który się dla przeciwnika ustawia, by łatwo główki można było ścinać.

Jest to błąd najczęstszy, jak również i błędy w obliczeniach czasu w rozkazodawstwie.

Na zakończenie Józef Piłsudski stwierdził, iż dowodzenie niższymi jednostkami jest w czasie teraźniejszym, kierowanie zaś jednostkami wyższymi jest to ciągłe stawanie się, bezustanna zmiana. Aby to opanować, trzeba umieć nie bać się myśleć. Najwyższą cnotą wyższego dowódcy jest to, by nie bał się myśleć i przewidywać, by zawsze wmyślał się w siebie, w sytuację nieprzyjaciela, w okoliczności.

To też — *zakończył* — życzę Polsce i jej armii, by w niej było jak najwięcej ludzi, nie bojących się myśleć.

PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU «RODZINY WOJSKOWEJ»

(3 lutego 1925 r.)

Dnia 3 lutego 1925 r. odbyło się w kasynie garnizonowym w Warszawie inauguracyjne zebranie tworzącego się wówczas stowarzyszenia rodzin wojskowych, które przybrało nazwę — «Rodzina Wojskowa». Obrady zagaiła generałowa Konarzewska, poczem Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie o ciężkim obowiązku Naczelnego Wodza, który musi być szafarzem krwi i sprawcą bólu dla rodzin wojskowych.

Przemówienie podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 4 lutego 1925 r.

Szanowne panie!

Spotkał mnie zaszczyt, iż zostałem zaproszony przez komitet, organizujący dzisiejsze zebranie, na to, bym je zagaił.

Szanowne panie! Zostałem zaproszony dlatego, że byłem ongiś Naczelnym Wodzem Polski w czasie wojny, żem był tym, który szafował krwią waszych najbliższych, waszych mężów, tych, których żegnałyście nieraz z trwogą i bojaźnią o ich los. I nieraz, gdy przemyśliwałem o swej i waszej przeszłości, gdy myślałem o tym urzędzie szafarstwa krwi, miałem swoje czarne dni, miałem swoje czarne godziny, które sądzą samego siebie, które szukają gdzieś innego sądu, niż swego własnego. Szafarstwo krwi bowiem nie należy do przyjemnych, przeciwnie — należy do tych czarnych godzin.

Są jednak chwile radości i tryumfu. Lecz gdy myślę, że biuletyny zwycięstwa są czytane przez wiele istot nie z radosnym biciem serca, lecz z sercem, ściśnionym trwogą, sercem, bijącym niepokojem, że w czarnych literkach szukają numerów dywizyj i pułków, tam, gdzie głowa dobra i kochana słyszy świst kul, które nie szukają, lecz znajdują gdzieś swoje ofiary, — gdy w czarnych godzinach przebiegam myślą sumienie, mówiące o szafarstwie krwi, gdy w czarnych godzinach kiedyś przez najwyższy sąd szafarstwo to inaczej i innym rozumem sądzone być może, niż naszym ludzkim, i że są blizny niezagojone, takie, które goi tylko grób, i blizny nigdy niezapomniane, w tych czarnych godzinach nieraz myślę o was, pa-

nie, o kobietach, o tych, które pozostały w domu, o tych, które sztandaru łopoczącego nie słyszały, ale mają tylko trwogę i niepokój i niepewność o innych, o tych, którzy wyszli. Dzięki więc wam za to, panie, żeście mnie zaprosiły, że w godzinach czarnych ulgę mi sprawiacie, że nawiązałem węzły z wami, najcięższymi ofiarami wojny.

Szanowne panie! Rodziny są to gniazda, są to gniazda, gdzie jest ich dwoje, a poza nimi istoty inne, istoty rosnące, o niewinnych główkach i niewinnych oczach, i wiem, jak ciężkie są chwile, gdy to wszystko zostanie zrujnowane. Gołąb gdzieś w bój uleciał, zostaje ta jedna gołąbka, która czuwać musi nad resztą rujnującej się rodziny.

Rodziną zwać chcecie swoje stowarzyszenie. A rodzina wtedy, gdy pioruny w nią biją, najbardziej jest narażona, bo pioruny biją także w was, w was, które związane jesteście węzłami nierozerwalnymi tam z tymi, co na bój się narażają i ciężary bojowe znosić muszą. Rodzina cała wtedy się kruszy i rozpada. Nie ma ich dwojga, została tylko gołębica, trwożliwie nad gniazdem latająca, bo i w gniazdo pioruny biją, w gniazda ludzkie, w rodziny, związane tyluletnią pracą, codzienną myślą o drobiazgach życia — i jest wszystko jedno, czy znicz domowy oświetlał kłótnie małżeńskie, czy też zgodę i śmiech, i radości rodzinne, bo znicz domowy tleć przestaje.

Wiem, że dzieliłem losy z wielu ojcami, którzy widzieli dziecko, nie znające ojca, a które tylko paluszkiem nie żywą istotę ojca wskazuje, ale na fotografię, oznaczając ją słowem «tata». Rodziny wniwecz się obracają, rodziny się rozprzęgają, pozostają w ruinach i szczątkach. I wtedy przypominam sobie moje czarne godziny dowodzenia, godziny, gdym nieraz sobie o paniach myślał, gdym widział niepokój ojców, idących na wojnę, niepokój matek, niepokój mężów, którzy w gwiździe kul słyszeli płacz żony pozostawionej i jęk dzieci.

Kryzys ciężki, który panuje nad bliźnimi podczas wojny, panuje najciężej nad rodzinami wojskowymi, którym znicz domowy gaśnie, rodzina się psuje.

Gdy panie zebrałyście się tutaj, by o rodzinie radzić, by o rodzinie myśleć, by dla rodziny, dotkniętej kryzysem, szukać ratunku, myślę nieraz, że przyszły szafarz krwi polskiej będzie szczęśliwszym, niż ja, gdym nieraz przemóc nie mógł, gdym nieraz złamać nie mógł naszych urządzeń, tak łatwych dla wszelkich zniewag, a tak trudnych dla pracy nad utrzymaniem rodziny. Panie wtedy swym zrzeszeniem, swą pracą dopomogą przyszłemu szafarzowi do zwycięstwa, dopomogą mu nieść jego historyczną ciężką odpowiedzialność.

Szanowne panie! Gdy mówię do was, staram się nawiązać jakiś węzeł pomiędzy mną mówiącym, a pomiędzy wami, węzeł, który mi w czarnych godzinach ulgę sprawia. Niech mi wolno będzie wymienić drugi węzeł, który do tragicznych nie należy. Byłem tym w państwie polskim, który z piórem w ręku, z uśmiechem na ustach podpisał wasze prawa, prawa kobiet, równające je w swoich prawach z mężczyznami. Węzeł więc inny, który wiąże mnie z wami.

Szanowne panie! Mam tylko jedno zadanie, mam mówić nie o waszych obywatelskich zadaniach, nie o tym, co was zająć powinno, mam mówić tylko ogólnie o tym, jak dobrze jest, żeście się zebrały radzić o sobie samych, o swoich własnych rodzinach.

Mówicie o rodzinach. Rodzina psuć się może i w czasie pokoju, nie tylko więc wtedy, gdy kryzys ciężki, spadający na cały kraj, jak pożar, swe panowanie roztoczy. W czasie pokoju życie wojskowych nie jest tak łatwe dla rodziny, nie jest tak proste do zniesienia, nie jest tak proste do przeżycia. I dlatego współpraca pod tym względem kobiet, niosących ulgę swoim mężom, wspierających ich dla przebycia nieraz ciężkich chwil w życiu oficerskim, jest bardzo pożądana. Trzeba pod tym względem dużo męstwa i dużo dobrej woli.

Niech mi wolno będzie na zakończenie prosić o jedno. Ja sam jestem człowiekiem rodziny i wiem, co znaczą prawa mężczyzny i prawa kobiety. Niech prawodawstwo, głoszone przez wielkich prawodawców, tworzy nowe prawa — w Polsce prawa kobiety w rodzinie są znaczne — a oto moja prośba:

Niech panie, które są obdarzone tymi prawami, które wojskowym nie przysługują, zechcą nie znęcać się nad tym nieszczęśliwym oficerem, by wykorzystywać swe prawa.

PRZEDMOWA DO «MOICH PIERWSZYCH BOJÓW»

(7 lutego 1925 r.)

W 1925 r. wyszła książka Piłsudskiego pt. «Moje pierwsze boje. Wspomnienia, spisane w twierdzy magdeburskiej» Warszawa 1925. Instytut Wydawniczy «Biblioteka Polska».

Pracę tę zaopatrzył Piłsudski niżej przytoczoną przedmową, mówiącą o pobudkach, które go skłoniły w więzieniu magdeburskim do napisania «Moich pierwszych bojów». (por. tom IV, str. 248—402).

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się brulion tej przedmowy, pisany ręką Marszałkowej Pił-

sudskiej, z nielicznymi poprawkami własnoręcznymi Piłsudskiego i z poprawkami, dokonanymi przez K. Świtalskiego a zaaprobowanymi przez autora.

Tekst, który podajemy jest przedrukiem z książki: «Moje pierwsze boje».

Latem 1917 r. zostałem aresztowany w Warszawie przez władze okupacyjne niemieckie [1]) i wywieziony w głąb Niemiec. Przez pewien czas przewożono mnie z więzienia do więzienia, nieraz trzymając w najgorszych warunkach, by wreszcie po kilku tygodniach osadzić w twierdzy magdeburskiej [2]), gdzie po roku i kilku miesiącach doczekałem się powstania państwa polskiego. W Magdeburgu, ku wielkiemu memu zdziwieniu, wywyższono mnie nagle do wysokiej rangi generała i trzymano, że tak powiem, z odpowiednim dla takiej szarży szacunkiem. Miejscem mego pobytu była cytadela dawnej, starej fortecy magdeburskiej, a właściwie jeden z jej zakątków — zabudowanie, które, jak się o tym mogłem przekonać z tablic, zawierających przepisy zachowania się w celach, nosiło zabawną nazwę: «Sommeroffiziersarreststube» [3]). Miało to najoczywiściej oznaczać, że w tym zabudowaniu odsiadywali swoją karę aresztu za te czy inne przewinienia oficerowie garnizonu magdeburskiego, lecz zarazem nazwa ta wskazywała, że zabudowanie to nie jest przeznaczone dla takiego użytku w zimie. Przetrzymano mnie tam wprawdzie przez cały czas zimy z 1917 na 1918, lecz nie mam zresztą z tego powodu do Niemców specjalnych pretensyj. Bywało i zimno, lecz nie mogę powiedzieć, aby się nie starano, nieraz i bardzo gorliwie, o usunięcie tych braków. Przypuszczam, że wybrano dla mnie to miejsce dlatego, że w nim najłatwiej można było wykonać surowe nakazy z góry — zupełnego izolowania mnie od całego świata. Mieszkałem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem na pierwszym piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć, a co w mojej sytuacji mogło mnie tylko do śmiechu pobudzać, i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie trzy cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i tro-

---

[1]) Marszałek Piłsudski został zaaresztowany przez Niemców w Warszawie jednocześnie z pułkownikiem Sosnkowskim, w nocy z 21 na 22 lipca 1917.

[2]) Piłsudski został przewieziony do Gdańska, skąd po kilku dniach do Szpandawy (Spandau), gdzie przesiedział około tygodnia. Stąd przewieziono go do Wesel, gdzie był więziony przez przeszło miesiąc, do początku września 1917. Stamtąd odesłano go do Magdeburga.

[3]) Dosłownie: letnia izba aresztu oficerskiego.

chę niewielkich krzewów czy roślin. Za ogródkiem był wielki wał ziemny dawnej fortecy, porosły murawą, wyższy znacznie od domu. Na dole, w parterowych celach, mieszkali podoficerowie, przeznaczeni do pilnowania mnie, i ordynansi, których systematycznie co powien czas mi zmieniano. W ogrodzie stał żołnierz uzbrojony, jako stała warta. Cały ogród był oddzielony od reszty świata, czyli od ogromnego podwórza cytadeli, wysokim szczelnym parkanem, zbitym z desek. Do świata zewnętrznego prowadziła furtka, za którą stał inny posterunek, wydzielony z fortecznego odwachu.

Jakby dla pocieszenia mnie i uhonorowania, powiedziano mi od razu, że w tym właśnie gmachu przeleżał i przesiedział przez dłuższy czas generał belgijski, dowódca twierdzy Liège, ranny przy jej obronie [1]).

Na razie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tym krępować i miałem prawie cały dzień do zmierzchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu. W tych warunkach przesiedziałem rok cały zupełnie samotnie i dopiero w połowie sierpnia 1918 r. przybył, jako towarzysz niedoli więziennej, gen. Sosnkowski, z którym pozostałem aż do zwolnienia mnie w listopadzie 1918 r.

Do życia więziennego, jak mi się zdaje, byłem urodzony. Bardzo łatwo znoszę samotność, nie odczuwając, jak inni, całego jej ciężaru i umiejąc łagodzić pracą myślową najcięższą stronę życia więziennego — tęsknotę. Nie ma bowiem wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie nie ma tylu zakazów, ograniczeń, skazujących człowieka na monotonność długiego szeregu dni, spędzanych zawsze jednakowo, zawsze w tych samych warunkach. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych, jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia. Dla mnie musiało to być tym cięższym, że wyrwany zostałem z życia, tak pełnego zmian i tak bogatego codzień w inne wrażenia. Żyłem życiem wojennym, w którym nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej a koniecznej zmiany zajęcia, do koniecznej a codziennej przemiany samego siebie w coraz to nowy instrument walki, który pracuje coraz to innym wysiłkiem woli, nerwów, umysłu czy serca. Cisza więc więzienna

[1]) Dowódcą twierdzy Liège był belgijski gen. hr. Jerzy Leman, który został wzięty do niewoli w forcie Loncin, wysadzonym w sierpniu 1914 r. w powietrze wskutek wybuchu spowodowanego przez ogień artylerii niemieckiej.

i niezwykła, bo niemiecka, monotonia dni była doskonałym gruntem dla żrącej nieraz tęsknoty do barwnej i pełnej ruchu wstęgi życia wojennego. Zupełna izolacja przy tym nie dozwoliła mi nawet wiedzieć, co się stało lub co się dzieje z kolegami i przyjaciółmi, z którymi się zbratało w ciężkiej i twardej, lecz tak niezwykle uroczej i tak bratersko przeżytej pracy wojennej, odbytej w mojej I Brygadzie legionowej. Nieraz też w długich, samotnych przechadzkach po ogródku wyrastały mi, jak żywe, kwiaty wspomnienia o niedawnych przeżyciach. Cisnęły i łudziły one, jak fantomy oaz na pustyni, gdy podsuwały mi pod oczy miłe twarze przyjaciół, gdym w uszach słyszał nieledwie ich śmiechy obok huku armat i grzechotu karabinów, grających swą muzykę wojenną.

Dla zżarcia trawiącej mnie tęsknoty zmuszałem siebie do analizy swego postępowania, jako dowódcy. Bawiłem się w krytykę czy to siebie, czy to swych podwładnych, by oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne. Długo, długo pracowałem myślą jedynie. Wtedy zacząłem odczuwać, jak nieraz w poprzednich już moich więziennych przeżyciach, że zaczynam żyć jakimś nierealnym życiem, jakąś pracą głowy jedynie, tak, że zamierać zaczyna normalna praca organizmu. Zdecydowałem się zerwać z tym i, zrobiwszy dla próby gimnastykę woli przez zaniechanie na dwa tygodnie palenia, przyszedłem do przekonania, że najprostszym sposobem pozbycia się ciężaru tęsknoty jest próba rzucenia wspomnień na papier. Mieć pióro w ręku i jego mechaniczną pracą związać siebie ściślej z życiem, chociaż tak ubogim we wrażenia, lecz jednakże realnym!

I wtedy przyszły mi na myśl moje niegdyś, z czasów przedwojennych, dziesięcioletnie studia nad zjawiskiem wojny w świecie. Dziesięć lat wżerałem się w istotę pracy dowodzenia, w żywiole — jak mówi Clausewitz [1]) — niebezpieczeństwa, w żywiole niepewności, w żywiole wreszcie — jak ja określam — wiecznych sprzeczności nie do rozwikłania, rozcinanych, jak gordyjski węzeł, mieczem decyzji, mieczem rozkazu. Pamiętam, gdym szedł na wojnę w sierpniu 1914 r., postanowiłem sobie bacznie obserwować zjawiska wojny, bacznie analizować samego siebie, by sobie samemu rozwiązać mnóstwo wątpliwości, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pozostałych w duszy i w głowie z okresu studiów nad książkami. Teraz w Magdeburgu zdecydowałem się spróbować, czy pójdzie mi

[1]) Por. t. VIII, str. 145.

łatwo ziszczenie dawnych marzeń, bym mógł szczerze i spokojnie zilustrować sobą samym prawdę o istocie dowodzenia, prawdę o duszy dowódcy, uginającej się pod ciężarem niebezpieczeństw, niepewności i sprzeczności. Walczy z nimi, bo są one żywiołem wojny, każdy żołnierz. Dowódca niesie prócz tego ciężar odpowiedzialności za swych podwładnych, a na policzku swoim czuć musi piekący wstyd upokorzenia, gdy mu praca dowodzenia się nie uda, a za niepowodzenie krwią płacą inni. «Śmieszne ongiś marzenia — mówiłem sobie — możesz teraz w więzieniu urzeczywistnić, gdy przezwyciężysz lenistwo do pióra».

Taką była geneza leżących przed czytelnikiem wspomnień moich z pracy dowodzenia w r. 1914. Zdecydowałem wtedy od razu, że wybiorę dla opisu trzy najcięższej przeze mnie przeżyte prace w I Brygadzie. Momenty, w których ja, szafujący niezwykle ostrożnie krwią podwładnych, unikający nieraz rozmyślnie pracy dla sławy, by nie płacić za nią za drogo, umiałem czy musiałem zaryzykować całym nieledwie przeze mnie dowodzonym oddziałem, stawiając na kartę i siebie, jako dowódcę. Najcięższe moje prace dowodzenia: Ulina Mała [1]), Marcinkowice [2]) i Kostiuchnówka [3]). Zdołałem skończyć tylko Ulinę Małą i Marcinkowice. Byłem tak zmęczony i przeżyciem, i pracą, w której bezwiednie obok prostego opisu oddawałem tęsknotę do wszystkiego, co jest Polską, — do drogi błotnistej, do wsi zapadłej, do ludzi, krajobrazu i drogich mi kolegów, że zdecydowałem nie próbować na razie najcięższych wspomnień o najcięższej bitwie, o bitwie wśród borów i błot Polesia wołyńskiego. Lecz pióro się rozpędziło. Wspomnienia swawolne pobiegły w inną, milszą nieco stronę, w stronę przeżyć pierwszych prawie wrażeń wojny, pierwszych, jeszcze nieśmiałych wobec siebie samego prób dowodzenia, gdy rozmach szeroki myśli zwalczany był usilnie przez nieśmiałość i niepewność siebie. Tam bitwy niekrwawe z kawalerią rosyjską dawały pierwsze wrażenia muzyki bojowej, pierwsze wrażenia wczucia się w żywy teren obok pierwszych prób śmiałego manewru z grą trzema rodzimymi rzekami: Wisłą, Nidą i Dunajcem. Wobec tego zacząłem opisywać swoje tańce obok tych rzek we wrześniu 1914 r. pod tytułem «Nowy Korczyn—Opatowiec».

Pracę, prawie do końca już doprowadzoną, przerwało

---

[1]) Por. t. IV, str. 249—305.
[2]) Por. t. IV, str. 305—354.
[3]) Por. t. IV, str. 56—67.

przybycie do magdeburskiej twierdzy gen. Sosnkowskiego. Odtąd tęsknota stała się lżejszą, a pióro zostało w kąt rzucone dla nieskończonych rozmów i wiecznych szachów. Ustępy o Nowym Korczynie i Opatowcu nie zostały zakończone.

W ten sposób moje zamiary uprzednie nie urzeczywistniły się. I dlatego musiałem włożyć trochę pracy, aby teraz do druku oddać rzeczy bardziej skończone. Zmiany, które wprowadziłem, są bardzo niewielkie. Konieczność ich wynikała stąd, że musiałem pracować w Magdeburgu w specjalnych warunkach, narzuconych mi przez więzienie. Po pierwsze więc nigdy nie mogłem być pewny, czy wszystko, co spod pióra mego wyjdzie, nie będzie mi w jakiejś chwili odebrane, może na zawsze. Z tego powodu, przyzwyczajony za młodu do przemyślności więźnia, postanowiłem oszukać swych aniołów stróżów. Zapowiedziałem więc, że chcę wnieść skargę zarówno na moje aresztowanie, jak i na trzymanie mnie, wbrew prawu pruskiemu, w zupełnej izolacji. O tych przepisach prawnych dowiedziałem się zupełnie wypadkowo od starego generała niemieckiego, dowódcy w Weslu, gdzie przewieziono mnie ze Spandau pod Berlinem. Oświadczył mi on z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciwko temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzymać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani. Przypomniawszy sobie więc w Magdeburgu oburzenie generała z Wesla, zażądałem dla napisania swojej skargi większej ilości papieru, gdyż, nie znając dobrze niemieckiego języka, zniszczę z pewnością co najmniej kilkanaście konceptów polskich, nim je przystosuję do obcej, nieznanej mi dokładnie mowy. W ten sposób zdobyłem sobie wszystkie przybory do pisania oraz stworzyłem pozór, dlaczego przesiaduję przy stole z piórem w ręku. Cały ten przemyślny wybieg odbił się jednak bardzo wyraźnie na sposobie mego ówczesnego pisania. Nad całą moją pracą literacką w Magdeburgu ciąży, jako mus, oszczędność papieru. Nie tylko wszystkie kartki są zapisane niezwykle drobnym, trudno czytelnym pismem, lecz i sam styl ma na sobie piętno owej oszczędności. Dlatego też przy oddawaniu do druku musiałem wprowadzić drobne zresztą poprawki, obawiając się, że skróty mego myślenia nie będą dostatecznie zrozumiane przez czytelników. Wreszcie musiałem dokończyć opisu przeżyć moich z okresu pierwszych bojów pod Nowym Korczynem i Opatowcem.

Dla uzupełnienia historii rękopisu dodam, że pisałem go

bez żadnej myśli o wydaniu kiedykolwiek. Wydawało mi się bowiem rzeczą nieprawdopodobną, aby uniknął on zwykłego losu wszystkich notatek więźniów, losu, mówiącego, że bardziej należą one do tych, co więźnia więżą, niż do niego samego. Istotnie, przez dłuższy czas nie znajdowały się one w moich rękach i zawdzięczam zwrot rękopisu, jak i wielu rzeczy moich, pozostałych w Magdeburgu, skrupulatności rządu niemieckiego, który zwrócił mi je wtedy, gdy już byłem w Belwederze. Wywieziono bowiem mnie i gen. Sosnkowskiego z Magdeburga w tak nagły i niezwykły sposób, że o zebraniu wszystkich rzeczy mowy nawet nie było.

Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r. [1]) zjawili się dwaj oficerowie niemieccy [2]), ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o szóstej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy pociągiem, odchodzącym do Warszawy. Gdy, zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi, ale jako zwykli śmiertelnicy. Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów, chodzących po ulicach. Nie wiem, cobym był wówczas postanowił, gdyby w tym oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o szóstej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei, zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neseserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zawinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe. Wyznam, że wtedy nie myślałem wcale ani o rękopisie, ani o jakichkolwiek rzeczach, które pozostawiałem w «Sommeroffiziersarreststube».

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilkę w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta.

Rękopis otrzymałem względnie bardzo niedawno do swoich rąk, gdyż przy zwrocie rzeczy magdeburskich został on, widocznie przez omyłkę, odesłany gen. Sosnkowskiemu wraz z jego papierami i rzeczami. I teraz dopiero odnowiłem swoje wspomnienia magdeburskie, przeglądając swoją więzienną próbę zilustrowania samym sobą pracy dowodzenia na wojnie.

Sulejówek, dnia 7 lutego 1925 r.

---

[1]) Dnia 8 listopada 1918 r.

[2]) Płk. Harry hr. Kessler i rtm. Paweł Gülpen.

DEDYKACJA NA EGZEMPLARZU KSIĄŻKI «ROK 1920» OFIAROWANYM TADEUSZOWI PISKOROWI

(9 lutego 1925 r.)

Dedykację podajemy według tekstu drukowanego w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów», zgodnego z oryginałem na egzemplarzu książki.

Kochany Generale!

Pisząc tę książkę, nieraz myślałem o najbliższej pomocy w moim dowodzeniu podczas wojny. Jeżeli teraz jeszcze mogą być spory, mogą być projekty, związane z jakąś upartą myślą możliwego skrępowania Naczelnego Wodza przez jego najbliższych pomocników podczas wojny [1]), to kilka lat temu stanowiły one treść życia Polski i treść życia wojny polsko-rosyjskiej z naszej strony. Praca przeciw Naczelnemu Wodzowi, stałe jego oszukiwanie, by był możliwie bezbronnym wobec swych podwładnych, było prawem życia pomocy w dowodzeniu, w sztabie. Dlatego też w chwilach swojej pracy musiałem być bardziej samotny, niż to bywa przeciętnie z naczelnymi wodzami na wojnie, i nie znam wojny tak oryginalnie obrzydliwej, jak nasza. Tym większą wdzięczność i serdeczną pamięć czuję wobec tych, którzy postępowali w pomocy dowodzenia odwrotnie, którzy zamiast osłabienia dowodzenia naczelnego i pomagania w ten sposób nieprzyjacielowi wzmacniali je bezinteresownie, dając w ten sposób oparcie w chwilach wątpliwości i słabości i odetchnięcie w chwilach kryzysu. Nazywam tych kilku ludzi «équipe de la volonté du chef» [2]). Ekwipaż okrętu na burzliwych falach, gdy tylko wytężona uwaga i siła i pewność ramienia i głowy kapitana ratuje okręt. Byliście, Generale, jednym z tych, którzy mnie wsparli, którzy do tej «équipe» należeli [3]). Przyjmijcie więc tę książkę ode mnie z tą żywą pamięcią o mnie, jaką dla Was zachowuję.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 9 lutego 1925 r.

---

[1]) Aluzje do ówczesnych projektów o organizacji naczelnych władz wojskowych.

[2]) Por. t. VIII, str. 137.

[3]) Tadeusz Piskor w okresie bitwy warszawskiej był szefem Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa; później był Piskor szefem Sztabu Polowego Wodza Naczelnego podczas bitwy nad Niemnem, dowodzonej osobiście przez Piłsudskiego.

O INWALIDACH

(18 kwietnia 1925 r.)

Przytoczony niżej tekst drukowany był na str. 2-ej jednodniówki: «Życie inwalidzkie», wydanej przez Legię Inwalidów Wojsk Polskich. (Warszawa—Poznań 1925 r. str. 20).

Są rany i blizny, są blizny i rany. Są rany i blizny fizyczne, są też i moralne. I nie wiadomo często, która bardziej piecze, która silniej boli, — czy ta, co przez kulę i bagnet zadana, czy ta, co w głąb serca sięga lub mózg wierci i przegryza. Jedno jest wspólne, że w dnie pochmurne, fizyczne czy moralne, rana daje znać o sobie, przypominając i miejsce, i okoliczności zranienia i wołając, jak gdyby na nowo o opatrunek, prosząc, jak gdyby o pieszczoty dotyk. Gdy więc myślę o inwalidach wojny, sądzę zawsze, że szukać muszę koleżeństwa u tych, co rany i blizny moralne, jak oni fizyczne, hardo noszą, by razem dać sobie dotknięcie ręki bliskiej a pieszczotliwej.

J. Piłsudski
były Naczelny Wódz Armii Polskiej.

Sulejówek, 18 kwietnia 1925 r.

PSYCHOLOGIA WIĘŹNIA

(24 maja 1925 r.)

Na zaproszenie Komitetu byłych więźniów politycznych wygłosił Piłsudski dnia 24 maja 1925 r. w Warszawie niżej przytoczony odczyt.

Piłsudski po stwierdzeniu, że kara więzienia polega na ograniczeniu swobody i poddaniu więźnia nieustannej obserwacji, kreśli stany psychiczne, które więzienie wytwarza. Wyrażają się one w chęci oszukania tych, którzy więżą, w szukaniu metod ucieczki i prób stwarzania sobie własnego wewnętrznego życia. Po scharakteryzowaniu różnych więzień rosyjskich i niemieckich Piłsudski stwierdza, że w okresie niewoli więzienie było «częścią kultury polskiej», a teraz nowe pokolenie pójdzie na nowe życie, w którym nie będzie ani «czaru więzienia» ani jego «jadu».

Wykład był stenografowany przez sprawozdawców «Kuriera Porannego» i ukazał się drukiem w czterech numerach tego dziennika z dni 25—28 maja 1925.

Według «Kuriera Porannego» z tych właśnie dni, podajemy tekst odczytu.

Szanowne panie i szanowni panowie!

Zostałem zaproszony przez komitet, mający w opiece byłych więźniów politycznych, do wygłoszenia odczytu na temat psychologii więźnia. Polska jest może jedynym krajem, obecnie istniejącym wśród wielu innych narodów i krajów, gdzie jest możliwym jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy, tak kompromitującej człowieka, jak kryminał. I gdy staję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej, i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jak gdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniem, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą, wchodzącą w myśli ludzkie, tak, jak może gdzie indziej wchodzą inne problemy życia, a nie więzienie.

Literatura jest odbiciem życia, i te czarne literki, rzucane na papier, mają tę własność, że gdy są rzucone ręką talentu, zostają nie tylko świadectwem talentu człowieka, lecz i świadectwem tego, co było w życiu całego miliona ludzi. Jeden z naszych wielkich pisarzy mówił w cudownym wierszu do matki-Polki: «wcześnie okręcaj łańcuchem szyję dziecka, naucz go oddychać parą zgniłą i wilgotną» [1]). Gdzie indziej byłoby to rzeczą niemożliwą; tu mamy zjawisko, że w Polsce prawie przymusowo wdziera się to do uczuć matki, — matki, myślącej o przyszłości swego dziecka, matki, lękającej się w swoim matczynym sercu jakiejś biedy czy jakiegoś nieszczęścia dla ukochanego dziecka. Dziecko rodziło się, jak gdyby predesty-

---

[1]) Niedokładne powtórzenie zwrotów z wiersza «Do Matki Polki» Adama Mickiewicza:

Każże mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumania... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże...
. . . . . .
Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza...

nowane do rozumowania i myślenia o więzieniu. I gdy zaraz po upadku Polski mamy jedno imię, które najmniejsze dziecko powtarza jeszcze obecnie, jako imię, wiążące się z myślą i sercem polskim, imię Tadeusza Kościuszki, — widzimy go, jako jednego z pierwszych prawie, osadzonych w więzieniu zaborców.

Tadeusz Kościuszko, ranny pod Maciejowicami, wywieziony jest nie gdzie indziej, jak do twierdzy Petropawłowskiej [1]) w Petersburgu. A imię tak głośne i rozgłośne, jak imię wielkiego Mickiewicza — jest również u wstępu życia złączone z więzieniem. Nie ma więc żadnej przesady dla tego pokolenia, przed którym przemawiam, gdy mówię o więzieniu, jako o rzeczy zwykłej, tak, jak nie ma przesady, gdy się mówi o bohaterstwie, ofiarności, poświęceniu — gdyż tak szerokim jest to zjawisko, jak daleko sięga wstecz codzienna myśl ludzi przez 150 długich lat. Niech mi wolno będzie z siebie wziąć również ten przykład, który mnie się wydaje także historycznie stwierdzającym wartość więzienia, jako części życia polskiego.

Przybyłem do Polski wprost z więzienia. Magdeburg bowiem był więzieniem i przybyłem po to, ażeby przy pierwszym rozkwicie życia nowej Polski wejść na najwyższy szczebel reprezentowania jej, jako świeżo wypuszczony z więzienia człowiek. To prawda niechybna. Ta prawda prosta powinna być ujęta nie w sposób naciągany takimi czy innymi słowy nadzwyczajnymi, gdyż prostota tej prawdy historycznej, gdy się mówi o Polsce ojców i praojców, jest sama za siebie mówiąca i nie potrzebuje zanadto wielkich frazesów.

Gdy zastanawiałem się nad tym, jak mam traktować przedmiot, który wybrałem sobie, — psychologię więźnia — zatrzymywałem się na najrozmaitszych sposobach. Odrzuciłem je prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego, który dla mnie był najłatwiejszym. Nie mam zdolności do badania czegoś tak zwaną naukową metodą. Jedynym przedmiotem, który badałem metodą naukową, jest praca wojenna. Wszystko inne przebiegałem inną metodą. Naukową metodą badać więzienie i psychologię człowieka, zamkniętego w więzieniu, jest to ująć w ramy statystyki zdrowie zniszczone przez więzienie, statystykę obłąkań, wywołanych przez więzienie, statystykę śmierci przedwczesnej więźniów, skracających sobie życie, statystykę kubicznych metrów powietrza, tej pary zgniłej i wilgotnej, którą oddychać nieraz trzeba. Wszystkie te fakty i fakciki dzielić, mnożyć i odejmować na najrozmaitszy sposób, przerabiać na

[1]) Forteca Petropawłowska w Petersburgu nad rzeką Newą.

sposób znaków algebraicznych i ścisnąć, tak, bym mógł te rzeczy oddać w krótkim odczycie — jest dla mnie absolutnie niemożliwe. Nie potrafiłbym w taki sposób badać swego własnego życia. Dlatego też, po odrzuceniu tego sposobu, zdecydowałem się na sposób najprostszy, choć może najbardziej egoistyczny. Jestem więźniem, który nie przez jedno więzienie przechodził. A wobec tego, że statystykę wspomniałem, to jeżeli wszystkie więzienia i lata więzień policzyć i podzielić przez całą ludność polską, to jednak na jedną moją osobę przypadło by trochę więcej, niż przeciętnie na niejedną głowę, jeżeliby policzyć ilość ludności polskiej. Dlatego, że byłem niezwykłym szczęściarzem w życiu, to i pod tym względem szczęście mi służyło. Albowiem ilość więzień, które przebyłem w życiu, jest już znacznie wyższa, niż ilość więzień, która przypada na każdego przy podziale przez liczbę ludności polskiej. Dlatego też spokojnie i z pewnym prawem i poczuciem moralnym powiedziałem, że gdy będę mówił o psychologii więźnia, to będę mówił więcej o sobie, niż o innych. Albowiem przebyłem przez wielką ilość więzień i niejeden rok straciłem nie na co innego, jak na więzienne życie. A wobec tego, iż podstawa więzienia, baza więzienia materialna, jest jednakowa dla każdego człowieka, nie przypuszczam, bym daleko odbiegł, mówiąc o psychologii tego więźnia, którą sobie przypominam, jako od zasadniczej rzeczy, istniejącej dla każdego więźnia.

Więzienie ma dwie wyraźne cechy zasadnicze, które, gdy się odrzuci wszystkie inne dodatki — streszczają się w sposób nadzwyczaj prosty. Mianowicie, więzienie jest po to, aby było ludziom przykro. Dla przyjemności nikogo do więzienia nie wsadzają. Przykrym jest dlatego przede wszystkim, że jest to ograniczenie swobody materialnej, ograniczenie swobody materialnej do minimum, ograniczenie swobody ruchu do niewielkiej przestrzeni, przeznaczonej jako miejsce zamieszkania w więzieniu, to znaczy miejsce, ograniczone czterema ścianami, szerszymi czy mniejszymi drzwiami, wiecznie zamkniętymi, oknem zakratowanym. Oto jest więzienie.

Jest to po wtóre fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, że więzień każdy jest poddany codziennej, co godzinnej obserwacji. Jego życie, jego postępowanie nie zależy od jego chęci i woli. To jest druga cecha, występująca najzupełniej wyraźnie przy pojęciu więzienia. I to bez względu na to, dlaczego, po co i na co — przepraszam, że mówię po galicyjsku — do tej ubikacji został więzień wsadzony. To już zupełnie obojętne.

To są cechy więzienia, które, gdy odrzucić wszystko inne, pozostają stałe i niezmienne dla każdego więzienia.

Ile razy w więzieniu siedziałem, mając dużo swobodnego czasu na zastanawianie się, starałem się w ten sposób ułatwić sobie życie więzienne: mówiłem sobie, że moje więzienie jest równie dobre, jak i więzienie poza tymi murami, przez które ludzie życiowo przechodzą. Człowiek, który swej pracy biurowej nie lubi, ma nieznośne uczucie, gdy idzie do pracy biurowej, codziennie jednej i tej samej, codziennie idzie po tej samej ulicy, jest skrępowany w wyborze, musi dojść do pewnego miejsca, do którego nie lubi chodzić, usiąść przy tym samym biureczku, wziąć ten sam przeklęty papier do ręki, przepisywać, czy pisać, oglądać te mury, wiecznie te same, chociaż niezakratowane okna, by potem, znudzony i zmęczony życiem, powracać do siebie, do domu, tymi samymi ulicami, bo jeść mu się chce. Gdy sobie tak przesadnie wymalowałem więzienie tego człowieka, — robiłem to umyślnie, ażeby uprzyjemnić swój pobyt, ażeby uświadomić to sobie w przeciwstawieniu do ludzi, którzy mogą chodzić swobodnie po ulicach. To może daje odczuć tę psychologię ogólną człowieka, który wbrew swojej woli, wbrew swojej chęci, wbrew wszystkiemu temu, co jest jego istotą, ma zamkniętą przestrzeń dla swobodnego ruchu, i nie znosi tego dlatego, że jest mu to przykre.

Dla drugiej podstawowej rzeczy dobiorę, jako przykład, niedobrane małżeństwo, gdzie się jest pod okiem, codziennie oglądającym z jakimś podejrzeniem, wtedy, gdy się dobierze para, która parą nie chce być ze sobą. I bez względu na to, mówię jako mężczyzna, czy te oczy są piękne, czy brzydkie, bez względu na to, jakiego są koloru, są to nieznośne oczy, ciążące codziennie na człowieku, od których się oswobodzić nie można, chyba wyraźną ucieczką. Bo do tego ta druga istota ma pełne prawo i spokojnie tego prawa używa i nadużywa. Wobec tego, że mogłoby to wyglądać tak, jakbym powiedział to przeciwko kobiecie, to oświadczam, że i kobieta ma prawo powiedzieć to samo o mężczyźnie w niedobranym małżeństwie. To też od razu cofam swe powiedzenie. Zastanawiałem się bowiem w więzieniu nieraz, jak znacznie ciężej jest kobiecie być w więzieniu, niż mężczyźnie, gdyż ma ona na sobie wiecznie oko jakiegoś brutala mężczyzny, mającego prawo we wszystkich chwilach, w których przeważnie uchodzi przed okiem mężczyzny, być podglądaną bez ceremonii, i odczuwa to tak, jak gdyby nastąpienie brutalnej stopy na samą istotę myśli kobiety. To jest więzienie.

Przechodzę do psychologii walki z tym, co więzienie ciężkiego daje. Nie ma bowiem więźnia, któryby kiedykolwiek został w więzieniu zamknięty, aby nie zaczął z ciężarem więzie-

nia w ten czy inny sposób walczyć, szukać «remedium», lekarstwa na brak swobody materialnej i na tę nieznośną zależność, zależność brutalną, wyrażoną przede wszystkim przez oko, mające prawo co chwila zajrzeć, — walki przeciwko warunkom, w których człowiek nie ma nic rozporządzalnego dla siebie.

Pierwsza walka, którą więzień zawsze odbywa, jest to chęć przynajmniej oszukania tych, którzy go do więzienia wtrącili. Oszukać w przestrzeni, która jest zamknięta. Oszukuje się więc oko wiecznie patrzącego stróża. Szuka się wyjścia, aby choć na chwilę to oszukaństwo udać się mogło. Różni ludzie różnie postępują. Ja należę do istot dość zuchwałych. I dlatego robiłem sobie po ciemku nachuchania na szybie, aby choć przez chwilę stróż nic nie widział. Próbowałem schować się do kąta, aby się spłaszczyć, jak papier, przy ścianie.

Wszyscy — jako pierwszą rzecz — odczuwają, jako nieszczęście, jako przykrość, jako drażnienie, że się jest wiecznie podglądanym. Potem łatwo się o tym zapomina, łatwo się do tego przyzwyczaja i przechodzi do porządku dziennego nad obcym okiem, które widzi doskonale i samo znudzone przygląda się dlatego, że może to zrobić, a szuka rozrywki, jak więzień szuka rozrywki w swoim więzieniu.

Drugą rzeczą, która przychodzi — a nie ma pod tym względem więźnia na świecie, któryby, trochę dłużej w więzieniu siedząc, nie przeszedł przez tę chorobę — to szukanie metod ucieczki z więzienia. Jest to tak psychicznie prawdziwe, że nawet jest jak gdyby prawem, przez które przechodzi więzień wtedy, gdy materialny brak swobody zaczyna mu ciążyć.

Jedni szukają tego za pomocą dowcipnych środków oszukiwania tych, od których więzienie zależy, inni szukają wyjścia za pomocą marzenia o jakichś chytrych, jakichś nadzwyczajnych sposobach przepiłowania krat i t. d. Ale jest to zawsze uporczywie wracająca myśl, która człowieka ściga i z którą się człowiek pieści. Uciec z więzienia! Wyjść z braku ruchu materialnego! Stać się człowiekiem, jak inni! Mieć możność przejścia się po ulicach!

Zaczyna się wtedy dalej walka wewnętrzna o stworzenie sobie czegoś, co jest niezależnym od nikogo, stworzenia za pomocą siebie samego życia w więzieniu. Na tym może polega najcięższa prawda więzienia. Stworzyć życie z czego? Z siebie samego, sobą samym stworzyć życie, w tak niezwykłych postawione warunkach, tworzyć bez nikogo, bez pomocy, szukając w jakiś sposób źródła tego, co ja nazywam «luksusem więzienia». Luksus więzienia polega na tworzeniu wewnętrznie przez siebie samego czegoś, co jest potrzebne dla mnie tylko

i co jest niezależne od tych, którzy człowieka do więzienia wsadzili. Kiedy człowiek szuka materiału do tego, spostrzega, iż jest tak ograniczony w środkach, tak ograniczony w sposobach, że prawie cofa się przed tym zadaniem. Ręce nie mają co robić, narzędzi dla tworzenia czegoś dla siebie nie ma. Materialne rzeczy są tak ograniczone i tak małe, że z trudem myśl pracuje, aby się o coś zaczepić.

Cóż w więzieniu jest? Są ściany, takie czy inne przedmioty, bardzo nieliczne, które się więźniom daje. Czyni się najrozmaitsze próby naśladowania życia, które bije pracą gdzie indziej w szybkim tempie. W więzieniu więc będą muchy i inne stworzonka, które w ten czy w inny sposób w więzieniu się znalazły. I nie jest wcale kłamstwem, że znajdują się ludzie, którzy się zakochiwali nawet w pluskwach, robiąc sobie z nich obiekt swych prac, krystalizując swoją potrzebę niezależności około tak obrzydliwego stworzenia. Cóż mówić o rzeczy, czytanej ongiś przeze mnie, że jeden z więźniów, który długo siedział w więzieniu, wychował sobie pająka, z którym to pająkiem przez dłuższy okres czasu robił «rendez-vous», próbując go sobie przyswoić, chcąc go nawet cyrkowych sztuczek nauczyć. Jest to mus szukania życia poza warunkami więzienia, stworzenia luksusu, któryby dla mnie tylko błyszczał, — mus psychiczny więźnia.

Co do mnie, zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem z duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i myśli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym względem pracowała. Nie przywiązywałem się do żadnej materialnej rzeczy. A jednak, gdy siebie w różnych więzieniach prześledzę, znajdę jedno, co było dla mnie niezwykle przyjemnym. Było mi mianowicie przyjemnym, jeżeli mogłem cokolwiek w celi więziennej przerzucić i poruszyć. Ale w wielu więzieniach nic się poruszyć nie da, bo wszystko jest przytwierdzone i na moc przyśrubowane i nic nie da się poruszyć. Dlatego, między innymi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie [1]), czuję rozrzewniającą przyjemność, wspominając o nim. W innych więzieniach człowiek nie miał nic dla siebie. Tu wszystko to należało do kogoś, kto miał prawo tym poruszać.

Świetny numer 26 cytadeli warszawskiej w X pawilonie, gdy mnie do niego przyprowadzono, wydał mi się pięknym zjawiskiem, tak, jak numer hotelu, bardzo kiepskiego, co prawda, ale hotelu, w którym leży moja waliza, w której mogę prze-

[1]) W roku 1900 po aresztowaniu w Łodzi w lutym tegoż roku.

bierać swe rzeczy, które mogę w ten lub inny kąt postawić lub przerzucać, mogę stół kopnąć nogą i odsunąć, a on się usunie i mnie słucha. Jeżeli w ten sposób przedstawiam życie więzienne, to nie sądzę, by to nie stanowiło przyjemności. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybką i żywą fantazję i umiałem stworzyć sobie życie, życie myśli, życie marzeń, życie rojeń, życie, w którym swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennym życiu, gdzie jest tyle oczu, podglądających człowieka z podejrzeniem. Nie ma żadnej żenady, gdy się zupełnie negliżuje tego pana, patrzącego na mnie. Wtedy tworzyłem wszystko, co mnie się żywnie podobało, bo czasu było dosyć. Jeżeli panowie sądzą, że ja, który miałem pod tym względem swobodną, bujną fantazję, która przed rzadką rzeczą się zatrzymywała, która przebiegała wszystkie myśli, różnię się pod tym względem od innych więźniów, którzy nie mają tej swobodnej myśli, jaką ja posiadałem, — to jest nieprawda, gdyż ile razy rozpytywałem jakiegoś więźnia, zawsze znajdowałem jedno.

Próbował myślą przeżyć to, co było, próbował znaleźć w sobie czy innych wady. Samokrytyka i samoanaliza jest wyostrzona z powodu przeżywania raz jeszcze śladów swej przeszłości. Prowadzi to bardzo często więźnia na bardzo błędne i ciężkie drogi, prowadzi to do znienawidzenia ludzi w ten sposób, w jakiby nigdy ich nie nienawidził, gdyby w więzieniu nie siedział. Gdyż przy tej wyostrzonej krytyce ubiegłych czasów człowiek wyodrębnia pewne rzeczy tak silnie, jakby nigdy nie wyodrębniał ich, gdyby żył razem z nimi. To też ile razy więźniów, wychodzących z więzienia, widziałem, dostrzegałem u nich ten chorobliwy objaw więzienia.

U iluż więźniów widziałem zawsze chęć stworzenia sobie luksusu niezależnie od siebie! Czym się biedny więzień nie zajmuje! Zaczyna studiować języki. Ten, który nigdy w życiu języków nie studiował, zaczyna to robić. Męczy się biedaczysko nad jakimiś dzikimi słowami obcymi, szuka w nich sensu, nie umie wymawiać, nabiera błędów, których się potem nigdy pozbyć nie może, tak, jak ja w języku angielskim, bo ja w więzieniu nauczyłem się angielskiego języka. Nabrałem błędów, których nigdy poprawić nie jestem w stanie, gdyż się przyzwyczaiłem do fałszywej wymowy. Nie będąc zamiłowany do języków na swobodzie, nie odważyłbym się ich uczyć, a jednak popełniłem ten grzech przeciwko sobie, ucząc się języka angielskiego, i męczyłem się nim w więzieniu.

Byłem ongiś namiętnym szachistą, lubiłem szachy szalenie, ale w szachy trzeba grać z kimkolwiek. Próbowałem urzą-

dzić sobie szachownicę maleńką i pamiętam, jak w Petropawłowskiej fortecy [1]), nie mając żadnych instrumentów do tego, urządziłem sobie jednak szachownicę na książce, która w każdej celi tam leżała, to jest na Biblii. Za pomocą zapałek, gdyż zapałki miałem w ręku, bo szczęśliwie pozwolono mi palić, robiłem czarne pólka, szachy lepiłem tak niezgrabnymi rękami, że wstydzę się komukolwiek pokazać moją wieżę i mojego nieszczęsnego laufra. Chowałem to tak sprytnie i umiejętnie przed codzienną rewizją, która się odbywała w celi, by jak najdłużej zachować ten skarb oszukańczy, który zrobiłem w stosunku do bezlitosnych katów. Teraz śmiech mnie wzbiera, gdy przypomnę, jak urządziłem to życie więzienne. Ktoś inny do czego innego ciągnie. I gdy mówię o tej umiejętności tworzenia życia własnego, zawsze wspominam kilku ludzi, których imiona pozostały mi drogie.

Oto dwóch mieszkańców najcięższego więzienia, jakie Rosja kiedy miała, — Szlisselburgu [2]). Oto jeden z rodaków, pochodzący ze Żmudzi, Janowicz [3]), który, siedząc w Szlisselburgu, bronił się psychicznie od zarazy więzienia, które zabija psychologię ludzką. Wytworzył sobie systematy statystyczne, na podstawie wszystkich ubogich źródeł, udowadniające najrozmaiciej jego ukochane pragnienie. Dowodził za pomocą tych skąpych źródeł statystycznych, siedząc w więzieniu szlisselburskim, konieczności niepodległości Polski. Pompował z siebie raczej dane, niż z tych szmatek małych, które mu się udało dostać do czytania. Ileż niezwykle ciężkiej pracy przeszła ta dusza, nim mogła uwierzyć — bo człowiek był inteligentny — że to jest prawdą, co on robi, przy tak ubogim materiale, który on posiada. Zawsze wspominam z pewną przykrością, że człowiek, który tyle czaru umiał wydobyć w więzieniu, wypompował z siebie siły psychiczne do tego stopnia, że gdy go wypuszczono na Syberię, nie wytrzymał życia — skończył samobójstwem. A oto druga postać, która się przesuwa z konieczności na oczy. To jest także mój rodak, wilnianin, Łukasze-

---

[1]) Józef Piłsudski był więziony w fortecy Petropawłowskiej w roku 1887, przed zesłaniem na Syberię.

[2]) Szlisselburg — twierdza rosyjska przy wypływie rzeki Newy z jeziora Ładoga, w 1810 roku zamieniona na więzienie.

[3]) Janowicz Ludwik (1858—1902), urodzony na Żmudzi, działacz socjalistyczny, podczas studiów w Moskwie nawiązał stosunki z rosyjską młodzieżą rewolucyjną; organizował młodzież polską pod sztandarem socjalizmu; w 1884 przybył do Warszawy i wstąpił do «Proletariatu»; skazany na 16 lat katorgi, odbywał ją w Szlisselburgu, potem na osiedleniu w obwodzie jakuckim. Umarł w Jakucku śmiercią samobójczą.

wicz [1]). Pamiętam go wtedy, gdy jako młodzieniec szedł na ogień matury, jako sława gimnazjalna. Poszedł na przyrodę; był prawie skończonym przyrodnikiem, gdy zamknięto go w Szlisselburgu. Cóż on czynił? Bada trawki, rosnące mizernie na podwórzu więzienia, szuka śladów życia tam, w Szlisselburgu, na tej przestrzeni 100 sążni czy 100 metrów kwadratowych. Skończony wielki umysł przyrodniczy, który duszę ratuje w swój sposób. I zawsze, gdy go w Wilnie, w drogim mi uniwersytecie wileńskim, spotykam, widzę, jak ten olbrzym fizyczny z łagodną twarzą, z uśmiechem dzisiaj pracuje.

Jest mus, jest konieczność szukania czegoś przez siebie samego, szukania z okruchów tego, co człowiek wniósł do więzienia, i z tego, co mu do rąk wpada, zlepienia nowego więziennego, duchowego życia. Wszystko się jednak dzieje w czasie. Czas, ten matematyk, czas, który leczy blizny, czas, który nowe rany zadaje, — czas w więzieniu inaczej płynie. Gdy szukałem nieraz w więzieniu określenia, w jaki sposób czas w więzieniu biegnie, to znalazłem określenie, może nonsensowe, że on, stojąc, biegnie szybko. Bo czas właściwie się nie rusza. Czym my, ludzie, czas mierzymy? Tym, że czas ten dzielimy na kawałki, że przeżywamy takie czy inne wrażenie, tym, że jest coś przedtem i potem, mierzymy czas psychicznie. Im więcej mamy wrażeń, tym dzień i godzina jest dłuższa: przynajmniej tak się wydaje. Pomimo, że każda godzina jest jednakowa dla szczęśliwca i nieszczęśliwca, w więzieniu tego nie ma, bo nic się w więzieniu właściwie nie dzieje. Wrażenia więzienne są tak ubogie i nikłe, że dusza się czepia najbardziej nonsensowych rzeczy, aby czas ten na kawałki podzielić. Nie przypuszczam, abym się omylił, gdyż pod tym względem więźniów specjalnie nie badałem, i nie przypuszczam także dlatego, że do jedzenia nie przywiązuję wielkiej wagi. Ale w więzieniu obiad, kolacja, które dzielą czas na kawałki, są niesłychanie ważnym elementem życia, albowiem służą jako podziałka czasu, jako konieczność, do której myśl wraca, jak coś, co jest związane z ustawą życia codziennego. Czas jest podzielony na kilka «repas» [2]). Mimowoli człowiek zaczyna myśleć o tym jedzeniu, — jakim będzie obiad, jaka kolacja? I naj-

[1]) Łukaszewicz Józef (1863—1928), przyrodnik. Studia odbywał na uniwersytecie petersburskim. Za udział w ruchu rewolucyjnym skazany na śmierć, potem ułaskawiony, przebył 18 lat w twierdzy szlisselburskiej; uwolniony w roku 1905, pracował w Komitecie Geologicznym, był profesorem i rektorem Instytutu Geograficznego w Petersburgu, od roku 1920 profesorem geologii fizycznej na uniwersytecie wileńskim.

[2]) posiłek.

bardziej niesmakosz ma na pewno te same myśli, uważając obiad i kolację za niezwykle ważne zdarzenia w jego życiu. Ta ubogość życia codziennego, którą więzień przechodzi, daje mu mus pracy szukania jakiegoś podziału dnia, jakiegoś podziału czasu, a tymczasem dzień za dniem jest podobny tak niesłychanie, że różnić się on tylko może jakimś osobistym wrażeniem, przeżyciem np. tym, że człowiek jednego dnia jest w lepszym, innego dnia jest w gorszym humorze.

Bo w więzieniu nic się właściwie nie dzieje. Wypadkami niesłychanej wagi są dni, gdy drzwi mu się otworzą i pociągną nie na spacer, lecz na badania, gdy przejdzie się przez pewną ilość korytarzy, przestrzeni, lub gdy wsadzą do karetki i przez miasto szybko przewiozą. To są ewenementy niesłychanej wagi! Zdarzył się przypadek w życiu! Dzień do dnia jest tak bliźniaczo do siebie podobny, tak nic się doniosłego nie dzieje, że ten czas wydaje się stojący i godziny płyną niesłychanie wolno. Tak wolno, że godzina jest zupełnie dniem prawie. Przeżyć bowiem godzinę jest trudno. Jakże łatwo bowiem przeżywają się tygodnie, tygodnie stojącego czasu, który się nie rusza!

Ileż to dowcipnych i upokarzających człowieka sposobów i metod używają więźniowie, aby się ze sobą porozumieć! Ile dowcipnych znaczków i znaków wymyślono, aby człowiek człowiekowi na dzień nieraz jedno słowo mógł przekazać, aby człowiek człowiekowi tym czy innym pukaniem odpowiedział. Ulegania temu musowi psychicznemu więźnia wystrzegałem się stale. Ale pamiętam wrażenie, gdy kolega z poza muru zaczął ze złości walić do mnie pięścią, żem go nie słuchał, że mu nie odpowiadałem. Wtedy zacząłem takie czy inne znaki dawać więźniowi — znaki, że go nie rozumiem.

Łukaszewicz badał faunę i florę, ja zawsze badałem w każdym więzieniu największego przedstawiciela fauny — człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie muskułów, każdą zmianę łapałem natychmiast, szukałem człowieka i, zgodnie z moim charakterem, człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa, — szukałem nieprzyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. Ileż rozkosznych minut spędziłem w cytadeli warszawskiej, która jest tak głupio akustycznie urządzona, że więzień słyszy w celi więziennej, co się mówi na korytarzu. Tak, jakby z rozmysłem robione były cele na to, aby badać dozorców, a nie więźniów. Spędzałem godziny, podsłuchując, jak dozorcy z sobą rozmawiają, i badając ich psychikę. Obserwacja ograniczona, lecz tym bardziej zaostrzona. Nie wiem, czy ktokolwiek z więźniów potwierdzi moje

słowa, że najbardziej wydelikacony słuch mają więźniowie, siedzący w więzieniu. Szmer chwytają najdrobniejszy, szukają «części życia», zmieniają się nieledwie w myszki, które są tak czułe na każdy szmer.

Oto jakie są zasadnicze cechy psychiczne więźnia. Więzień jest ograniczonym człowiekiem w poruszaniu się i jest zmuszony poddawać się codziennej obserwacji innych. Z tego powodu w psychice więźnia wytwarza się mus odporu, odporu w stosunku do codziennej obserwacji przez najczęstsze negliżowanie, dla usunięcia z duszy «ciężaru obserwacji» i druga konieczność — wytworzenia dla siebie życia mimo ubóstwa środków, za pomocą których człowiek sobie życie układa.

Nie ma dla więźnia innych ludzi, a są konieczności życiowe. Nie ma instrumentów pracy dostatecznie silnych, ażeby zadowolić choćby najbardziej intelektualne natury. Z tego powodu wytwarza się cały ciężar życia, przy którym czas płynie, dusząc wściekle człowieka i duszę jego zabijając. Wtedy to powstają momenty buntu, nieraz z najbłahszego powodu.

Chcę skończyć pewnym zestawieniem swoich wrażeń, jakie miałem, przebiegając całą ogromną ilość więzień.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji, widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi «chęć poprawienia się więźnia» za pomocą strachu. Na tym rozum kryminalistyczny polega. Poprawić za pomocą zadania postrachu, tak, jak się poprawia niegrzeczne dzieci, zadając im przykrość. Więzienia rosyjskie miały w sobie coś z poczucia prawa w stosunku do więźnia, poczucia prawa, ale prawa dozorcy w stosunku do więźnia. Nie działano tu już czystym gwałtem i przemocą, ale nieledwie naukowym poszukiwaniem boleści i przykrości dla więźnia, konsekwentnym robieniem mu strachu, robieniem go «innym, niż wszyscy».

Polskie więzienia pod zaborem rosyjskim były całkiem inne. W Polsce wyobrazicielem tych więzień jest cytadela, X pawilon. Ci, którzy zamykali do tych więzień, nie dbali o nic. Wyraźnie szedł tu gwałt i przemoc, które nie szukały uprawnienia w jakikolwiek «moralny» sposób. Wszystkich szkodliwych zamykano w więzieniu. To też tak wesołego więzienia, jak X pawilon, na świecie nie widziałem. Wszystko prawie jest dopuszczalne, to, co gdzie indziej jest najsurowiej zakazane. Każde pokolenie w murach rozkopuje tunele, które najspokojniej naprawiają, by następne pokolenie te tunele znów świdrowało. Tak, jak gdyby było to tylko formalnością, że właściwie tuneli robić nie wolno, ale niech ich diabli, niech sobie

robią tunele więzienne! Więzienie, w którym wszystko poruszać można, przerzucać stale z miejsca na miejsce, łóżko przeciągać, — takiego więzienia-hotelu nie widziałem. W tej izolacji, do której człowieka chcą doprowadzić, jest przepych siły brutalnej, idącej na człowieka, jak przemoc zwyczajna, która się niczym nie krępuje. Pamiętam moje olbrzymie zdziwienie, gdy, wyprowadzony na spacer, spostrzegłem namioty żołnierskie, rozbite w ogrodzie. Parę drzewek owocowych, z których ci żołnierze kamieniami zbijają gruszki. Rzecz nie do pomyślenia w żadnym rosyjskim więzieniu, gdzie prawo kroczyło z poczuciem własnej wartości. Podobne rzeczy widziałem w Syberii, gdy już klamka zapadła i gdzie idzie się na karę, gdzie nie ma żadnych badań, gdzie kryminalista jest skończonym kryminalistą.

Bardziej swobodnie, niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych, rosyjskich, być, zdaniem moim, nie mogło. Dlatego bodaj w cytadeli, za czasów przynajmniej mego pokolenia, ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej się czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż to było gdzie indziej.

Jest to rodzaj współpanowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają. Ta specjalna charakterystyka rzucała mi się niesłychanie w oczy. Dlatego też z pewnym niepokojem jechałem jeszcze do jednego kraju, do więzienia, którego nie znałem, to znaczy do Niemiec. Niemców sobie zawsze wyobrażałem tak, jak Polacy sobie wyobrażają: «Tam dopiero jest porządek!» Ale nie ma nic gorszego dla więźnia, jak porządek więzienny, bo on chce zawsze ten porządek naruszyć. Byłem w tym więzieniu nadto w wyjątkowych warunkach. Do mnie nie chciano stosować wszystkich przepisów więziennych. Trzymano mnie, jako «wyjątkową osobę», w twierdzy magdeburskiej, w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygód i wielką swobodę więzienną. Trzymano mnie, jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynansów i t. d. Miałem zatem najswobodniejsze więzienne życie, o jakim można było marzyć. Tak pięknie nie trzymano mnie nigdy w Rosji. Lecz przedtem przewieziono mnie przez cztery więzienia wcale nie generalskie. / Przypatrywałem się więc temu, jak to jest u Niemców. Jest tam brutalne obejście, nakazane, musowe, dlatego, by utrzymać porządek i karność. Lecz poza tym chęci męczenia człowieka, chęci zadawania mu strachu, chęci robienia mu jakichkolwiek specjalnych przykrości nigdy nie spostrzegłem. Trzeba się trzymać przepisów, wywieszonych na ścianie, czego w Rosji nigdzie nie było. Tak, że z chwilą, gdy się przeczytało te przepisy na ścianie — każdy

w Niemczech umie czytać — to się już wiedziało, czego się trzymać. Każdy tam «urzęduje». Urzęduje dozorca, urzęduje i więzień, siedzący w więzieniu. Każdy obowiązany jest spełniać przepisy. Byłem specjalnie zdumiony, gdy siedziałem w Szpandawie pod Berlinem [1]). O więzieniu w Szpandawie wiedziałem, że Mierosławski w 1848 r. tam siedział [2]). Wtedy prawdopodobnie było zupełnie inaczej. Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało po prostu i słychać je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcia, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci zrobienia więźniom jakiejkolwiek przykrości.

Magdeburg był więzieniem specjalnym, w którym więcej szło o izolowanie człowieka dlatego, że jest niebezpieczny, niż o jakiekolwiek inne więzienne warunki. Miałem ordynansa, miałem podoficerów, którzy byli moimi stróżami więziennymi, miałem trzy pokoje, miałem ogród, po którym mogłem chodzić. Tylko wieczorem o godzinie dziesiątej światło musiało być zgaszone, albowiem w całym więzieniu o dziesiątej wieczorem gasi się lampy. Nie było żadnej w tym różnicy dla generała, porucznika, czy żołnierza. Poza takimi drobnymi przepisami jednak było tam życie najswobodniejsze ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek miałem w więzieniu.

Dobiegając do końca, chcę wrócić do początku. Przez dłuższy okres czasu więzienie było częścią kultury polskiej. Smutne wyznanie, a jednak jest w tym jakiś czar i urok! Mickiewicz w jednym z największych swych utworów, w najpoważniejszej tego utworu części, przenosi nas nie gdzie indziej, jak tylko do więzienia, gdzie więzień-poeta, po przeżyciu moralnym więzienia, po przebyciu tej drogi, o której mówiłem, po stworzeniu tam swojego więziennego własnego życia pisze, że odradza się nowy człowiek: «natus est Conradus». Rodzi się nowy człowiek więzienny, człowiek, stworzony przez własną potęgę, przez własną siłę duszy, przemienioną w diament, który rył najtwardsze przedmioty i potem tak cudnie błyskał w mickiewiczowskiej twórczości. Ten diament stworzyła siła wewnętrzna człowieka, który przeszedł przez twardą próbę.

Siła życia więziennego do tworzenia nowego życia niechybnie jest wielka, niechybnie czar taki daje. Nie ma wątpliwości, że przez te 150 lat polska psychika więzienna była czymś,

---

[1]) Por. t. VIII, str. 166.

[2]) Mierosławski był więziony w Moabicie, w północno-zachodniej dzielnicy Berlina.

co dotykało głęboko ludzi w Polsce, i nie było człowieka, któryby, przebiegając życie polskie dawnych czasów, o więzienie się nie otarł, o więzieniu nie mówił, do więzienia się nie zbliżał. Nie ma wybitniejszej czynności podczas 150 lat ubiegłych, 150 długich, długich lat, lat tyle, ile najstarszy człowiek nie jest zdolny pamiętać, przy której więzienie nie byłoby towarzyszem życia Polaka od kolebki aż do grobu.

O więzieniu mówił każdy, jako o żywej cząstce swej duszy... Nieraz zadaję sobie pytanie, czy te więzienne przeżycia Polski z całą ich ofiarnością, bohaterstwem, poświęceniem, z całym czarem męki duszy ludzkiej, w nienaturalnych warunkach skrępowanej, zbitej i zmęczonej, a jednak skorej do buntu, czy czar ten nie jest cechą charakterystyczną naszą i naszego pokolenia. I wtedy, gdy o tym myślę, gdy na dziecinne i młode oczy patrzę, żyjące w innych, szczęśliwszych, niż my, warunkach, zapytuję siebie, czy niedalekim jest ten czas, gdy wiersze, które nam drgnięcia serca sprawiały, będą czytane, będą wypowiadane na lekcjach, jako rzeczy obce, jako rzeczy, nad którymi się przechodzi do porządku dziennego, tak, jak nad cudami greckiej poezji, gdy nam je do głowy wkładano...

I wtedy smutno robi się ludziom, którzy przebiegli życie więzienne z walką i buntem w duszy, tworząc z siebie i ze swych małych i wielkich cierpień pracę kultury polskiej, która mija. Jest nad więzieniem jakoby siła, i czar zapomnienia także. Mijamy w przeszłość, my, więzienni ludzie, my, ludzie z epoki więzień! Narasta młode pokolenie, nowe pokolenie, które obce wkrótce nam będzie, dlatego, że tej czary goryczy i rozkoszy, którejśmy dotykali, ustami swymi już nie dotknie. I zawsze, gdy myśl moja staje przed tym pytaniem — widzę oczka dziecinne, które patrzą ze zdumieniem, że mogły być takie czasy, gdy więzienie, a więc to, co jest upokorzeniem człowieka, to, co go przybija do ziemi — drgnięcia zapału w nas jeszcze budzi, oczy zapala, uśmiechem lica krasi. Zawsze jednak ze spokojem kończę te rozmyślania więziennego człowieka o tych, co idą. Niech zapomną o nas, o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe życie, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi, lecz i jadu nie daje — niech idą swobodnie, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć.

O 6-TYM PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW

(1 czerwca 1925 r.)

Szósty pułk piechoty Legionów wydał w dziesięciolecie swego powstania «Jednodniówkę w dziesiątą rocznicę 6 p. p. Leg. 28 VII 1915—1925» Wilno 1925. Na pierwszym miejscu znajduje się tam niżej przytoczony artykuł, w którym Piłsudski przypomina, że choć 6-ty Pułk Legionów został stworzony przez władze austriackie dla sparaliżowania wpływów I Brygady stanął on we wszystkich późniejszych walkach ideowych w jednym szeregu z I Brygadą.

Tekst podajemy według wspomnianej wyżej jednodniówki.

6-ty pułk jest najmłodszy z formacyj wojskowych z Legionów Polskich [1]). Sformowany został w sposób zupełnie osobliwy. Gdy na początku wojny zorganizowałem w bataliony pierwsze wojenne kadry ze Strzelców i organizacyj wojskowych przedwojennych, przyjąłem jako zasadę, że mamy być słabą czy silną, sympatyczną dla kogoś, czy niechętnie widzianą emanacją sił Polski podczas wojny. Raczej, co z góry przewidywałem, jedną z emanacyj pomiędzy wielu prawdopodobnymi, lecz taką, gdzie charakter wewnętrzny i zewnętrzny nie pozwoli na jakiekolwiek zmieszanie jej z jakimikolwiek emanacjami prac zaborców w stosunku do Polski. Stąd stanowcze unikanie wszystkiego, co różnice pamiędzy nami — Strzelcami — a wojskiem austriackim usuwa, stąd też zupełnie decyzywne usuwanie możności przenikania do naszej formacji oficerów austriackich, chociażby Polaków. Wyznaję, że pod tym względem zawsze wolałem, gdy to ostatnie było znamiennym, — nie Polaków, lecz oficerów obcej narodowości. Mniej wtedy było łamania zasady, by nasze próby utworzenia wojska polskiego były organicznie związane z jakimkolwiek z zaborców.

Naturalnie, stanowisko moje napotkało na silny opór ze strony władz austriackich, które wcisnąć chciały najsłabsze nawet próby, związane z próbą formacyj polskich, w ramy zespolenia ich z taką czy inną polityką austriacką. Wyraziło się to historycznie w rozkazie wewnętrznym, który scharakteryzowałbym określeniem niemieckim — Brygada została

[1]) Szósty pułk został w Legionach utworzony w lecie 1915 r. i dopiero w jesieni tego roku wziął udział w bojach Legionów na Wołyniu. Był to zatem ostatni z pułków, w Legionach sformowanych.

«kaltgestellt» [1]). Ten chłód dał ujście szykanistom wszelkiego rodzaju oraz w stale powtarzanych próbach przeciwstawiania mnie i mojej Brygadzie innych prób, bardziej względem polityki austriackiej ugodowo urobionych. Do takich prób należał i 6-ty pułk Legionów Polskich.

Gdy zwycięstwa, zaczęte pod Gorlicami [2]), stopniowo zaczęły oddawać w ręce Niemiec i Austrii całą Polskę, pospieszono ze strony władz austriackich możliwie szybko oddalić chwilę rozrośnięcia się I Brygady i jej wpływu na formacje wojenne polskie. Wbrew temu faktowi, że właśnie w I Brygadzie ześrodkowani byli najliczniej ludzie o wyższym wykształceniu ogólnym, którzy przeszli już przez największe doświadczenia wojenne, wbrew zatem temu, że oczekiwane z natury rzeczy wyzyskanie tego materiału ludzkiego dla rozszerzenia formacyj legionowych musiało się oprzeć na I Brygadzie, wbrew wreszcie jasnemu i oczywistemu dla wszystkich faktowi, że wpływ mojej osoby, jako dowódcy I Brygady, był stale wzrastającym, tak, iż ochotnicy, którzy się zgłaszali do Legionów, ciągle stawiali warunek, że chcą iść tylko i jedynie do I Brygady, — wbrew temu wszystkiemu władze austriackie zdecydowały stworzyć przeciw I Brygadzie i jej dowódcy dwa nowe pułki — 4-ty i 6-ty. Na 6-ty, jako dowódcę, przeznaczono od razu pułkownika austriackiej służby, Grzesickiego [3]), który głośno i wszędzie mówił, że ma nawet wnętrzności nie jakie inne, jeno czarno-żółte.

Nic dziwnego, że gdy 6-ty pułk przyszedł na pole bojów — na Wołyń — spotkało go to, co było nieuchronnym: podejrzliwość i pewna niechęć ze strony I Brygady, pewne uprzedzenie co do jego wartości bojowej i moralnej. Mówię moralnej, gdyż nieraz szukano wewnątrz pułku ludzi, wysłanych po to, by byli szpiegami w stosunku do kolegów.

Rozumiem, że pisząc to, mogę urazić wielu z miłych i serdecznych przyjaciół z 6-go pułku, wiem i rozumiem, że i wtedy, gdy pułk 6-ty rozpoczął swe życie wojenne, dziesięć lat temu, gorycz nieraz wzbierać musiała wśród najlepszych kolegów z tego pułku. Nie chcę jednak przemilczeć tego faktu, gdy

---

[1]) odnoszono się do nich chłodno.

[2]) Por. t. IV, str. 27.

[3]) Austriacki pułkownik Grzesicki był mianowany dowódcą III Brygady Legionów, w skład której wchodził 6-ty pułk. Przebywał wraz z pułkiem w Piotrkowie do czasu jego sformowania, potem wraz z nim przybył na front, gdzie, w braku 4-go pułku, który wraz z 5-tym walczył pod dowództwem Piłsudskiego miał, przez pewien czas jako brygadier, pod swojemi rozkazami tylko 6-ty pułk piechoty.

dzisiaj historię pułku się wspomina już na szczęście chłodniej, niż w owe czasy. Byłem wtedy jednym z pierwszych, którzy całym swym wpływem i siłą stanęli przeciw słusznej z wielu stron, lecz szkodliwej niechęci moich podwładnych do nowego intruza, przeciwstawionego nie czemu innemu, jak I Brygadzie i jej dowódcy.

Gdy więc teraz te pierwociny 6-go pułku przypominam, gdy słyszę w uszach jeszcze gniewny pomruk i złośliwe żarty moich podwładnych z owych czasów, z przyjemnością zarazem daję wyraz szczerej wdzięczności dla oficerów i żołnierzy kochanego pułku 6-go, którzy moje usiłowania natychmiast całą siłą poparli. W parę miesięcy bowiem potem 6-ty pułk we wszystkich sporach i tarciach legionistów z władzami austriackimi ani razu nie zawiódł, stając zawsze w jednym z I Brygadą szeregu [1]). Z nią razem poszedł na twardy los Beniaminowa i z nią razem, w jedną dywizję legionową złączony w wojsku polskim, dzielił chwałę, dolę i niedolę żołnierza [2]). Niech więc tych słów kilka, z historii pułku wyjęte, nie będą przyjęte przez pułk i starych towarzyszów broni jako złośliwa chęć przypomnienia im przykrego dla nich początku pułku, ale jako dowód, jak biednym i mozolnym był los żołnierza «bez ojczyzny».

Sulejówek, 1 czerwca 1925 roku.

---

[1]) W czasie demonstracyjnego zdjęcia odznak oficerskich w czerwcu 1916 roku 6-ty pułk zastosował się do uchwały Rady Pułkowników bez wahania, za co Komenda Legionów zawiesiła w czynnościach ówczesnego dowódcę pułku, pułkownika Norwid-Neugebauera; we wrześniu tegoż roku, po dymisji Piłsudskiego z Legionów, oficerowie i szeregowi 6-go pułku na równi z I Brygadą wnieśli gremialnie podania o zwolnienie z Legionów; również w okresie odmówienia przysięgi w roku 1917 6-ty pułk piechoty w całości wniósł podania o zwolnienie, w wyniku czego podzielił los swoich kolegów z I Brygady w obozach jeńców w Benjaminowie, Szczypiornie i Łomży, oraz w wojsku austriackiem, gdzie oficerowie zostali zdegradowani na sierżantów.

[2]) W roku 1919, przy formowaniu dywizyj legionowych, została utworzona początkowo 2-ga, potem przemianowana na 1-szą, dywizja z pułków 1-go i 5-go — dawnych I Brygady Legionów — oraz 6-go. W tym składzie 1-sza dywizja stale walczyła w latach 1919—1920.

WYWIAD O NACZELNYCH WŁADZACH WOJSKOWYCH

(16 lipca 1925 r.)

Wywiad niżej przytoczony był ogłoszony w wileńskim «Słowie» z dn. 18 lipca 1925 r., a udzielony został przez Piłsudskiego dnia 16 lipca 1925 r. w Druskienikach.

Piłsudski krytykuje w nim projekt ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, gdyż przyszły Naczelny Wódz nie ma zagwarantowanego i dostatecznego wpływu na wykształcenie wojska i na obsadę stanowisk, a Prezydent Rzeczypospolitej jest odsunięty od możności zapoznania się z przygotowaniami do wojny.

Dnia 27 lipca 1925 r. «Kurier Poranny», który poprzednio podał tylko telegraficzne streszczenie tego wywiadu, ogłosił go w całości z następującą uwagą: «dzisiaj wywiad ten z własnoręcznymi uzupełnieniami Marszałka Piłsudskiego zamieszczamy w całości». Z porównania tekstów wynika, że pierwszy ustęp wywiadu «Słowa» został uzupełniony ostatnim zdaniem (por. przypis 1 na tej samej stronie).

Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 27 lipca 1925 r.

— *Jaki jest pogląd Pana Marszałka na zmiany, które w czasach ostatnich wprowadzono do projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych?*

— Zmian tych szczegółowo nie studiowałem, ale zmiany te nie dotykają zasadniczej wady całego projektu, — wady, moim zdaniem, obrażającej uczucia każdego żołnierza. Jeden z oficerów jest w projekcie tej ustawy «przewidziany na Naczelnego Wodza» i ma ponosić odpowiedzialność za rzeczy i sprawy, którymi nie kieruje. Liczyć więc trzeba na głupca chyba, który nie rozumie tego, co czyni [1]).

Naczelny Wódz jest najwyższym oficerem w armii, do którego też odpowiednio się trzeba stosować. Tymczasem ustawa obecna jest kiepską imitacją wzorów niepolskich z dodatkami, które ją całkowicie zniekształcają.

Daleko prościej byłoby powiedzieć, że kandydata na Naczelnego Wodza — nie ma.

— *Czy możliwym jest stan, przy którym się nie wyznacza z góry kandydata na Naczelnego Wodza?*

— Stan taki jest zły, ale w danym wypadku byłoby to logiczne. Dzisiaj zupełnie nie widzę człowieka, który by chciał objąć stanowisko «przewidzianego Wodza Naczelnego». Tylko

[1]) Zdania tego nie ma w «Słowie».

ograniczony karierowicz może się zgodzić na ponoszenie największej w świecie odpowiedzialności, będąc skrępowanym w swoich działaniach, mając narzuconych sobie pomocników i t. d.

— *Czy Pan Marszałek nie przewiduje zasadniczej zmiany obecnego projektu ustawy?*

— Ja się w przewidywania nie bawię.

— *Czy nie byłby Pan Marszałek łaskaw wyrazić swą opinię o ustawie, na której wzorowano obecny projekt polski?*

— Uważam, że obecna francuska ustawa o naczelnych władzach wojskowych jest dużo lepszą od projektu, który jest teraz rozpatrywany przez komisję wojskową. Jest tam przewidziany «generalissimus» wojsk, ma nim być marszałek Pétain, którego stanowisko jest mocniejsze. Minister wojny jest we Francji osobą polityczną, a sztab generalny dowodzi tam wojskiem w czasie pokoju. Być może, że pod tym względem nasze urządzenia są rozsądniejsze. Ujawniono u nas tendencją do rozdzielania pracy pokojowej a przygotowań do pracy wojennej. Wojna jest przecież wypadkiem, który wywraca wszystko do góry nogami, w wojsku — od razu, w całym państwie — po pewnym czasie. Stąd rozsądniej jest może osobno traktować pracę pokojową, osobno pracę wojenną. Tylko to kierownictwo przygotowania wojny musi mieć decydujący wpływ na wykształcenie wojsk i na obsadzenie stanowisk, aby nie zawieść w chwili wojny, skutkiem nieznajomości swoich podwładnych.

— *O ile ja rozumiem — to projekt obecny dużą część odpowiedzialności przenosi na Radę Obrony Państwa?*

— Przewidziana w projekcie Rada Obrony Państwa jest po prostu Radą Ministrów w innym pokoju. Jest to śmieszne przekręcenie przeze mnie wysuwanej zasady, że Prezydent Rzeczypospolitej musi się zapoznać, musi wżyć się w pracę, za którą będzie odpowiedzialny. Wybuch wojny pociąga zwykle zmiany w gabinecie ministrów, które są nieuniknione. Kto reprezentuje czynnik stałości, na kogo przede wszystkim spada odpowiedzialność? Na dwóch ludzi — Prezydenta i Naczelnego Wodza. Dlatego też chciałem, aby Prezydent Rzeczypospolitej zbliżył się do terenu swej odpowiedzialności. Tymczasem według obecnego projektu w Radzie Obrony Państwa nie uczestniczy Prezydent, którego zastępuje prezes Rady Ministrów.

Pamiętać przecież musimy, że przecież wybuch wojny zmienia wszystko. Jednym z elementów, który działa wtedy zupełnie inaczej, jest czas. Wojna jest wstrząśnieniem życia każdej jednostki.

— *Wypowiada się przekonanie, że oddanie niepodzielnej władzy nad wojskiem w ręce ministra parlamentarnego doprowadzi po prostu do nominacji dowódców dywizyj według klucza partyjnego?*

— Tak daleko w głupstwie chyba nie zajdziemy. Mnie chodzi przede wszystkim o to, że minister spraw wojskowych jest ciągle zmienny, po drugie — że musi ciągle załatwiać mnóstwo spraw, które z wybuchem wojny i wojną nie mają nic wspólnego. Kto chce połączyć odpowiedzialność za rolę Naczelnego Wodza i ministra, musi oprócz talentu wojskowego posiadać mnóstwo innych talentów, do krasomówstwa i... intrygi politycznej włącznie.

— *Przecież w ostatnich czasach nigdzie nie połączono stanowiska ministra i Naczelnego Wodza?*

— Nie, tego kroku nikt nie zrobił.

— *Więc, o ile rozumiem Pana Marszałka, Jego zdaniem — wadą projektu jest nie tylko podrzędna rola Inspektora Generalnego, ale także odsunięcie Prezydenta od zapoznania się z przygotowaniami do wojny?*

— Tak jest, tak jest, obie te rzeczy traktuję równorzędnie. Jestem przeciwnikiem czynienia podczas wojny z Naczelnego Wodza podwładnego gabinetu ministrów. Prowadzi to tylko do tarć. Przecież Naczelny Wódz trzyma w swych rękach najrealniejszy czynnik — t. j. zwycięstwo. Przecież od jednej przegranej bitwy wywracają się gabinety. Pomiędzy gabinetem a Wodzem Naczelnym istnieć powinna współpraca, a nie uzależnienie Wodza od rządu.

— *Panie Marszałku, ciągle powtarzanym argumentem zwolenników projektu jest powoływanie się na wpływ niemieckiej Kwatery Głównej, wywierany na rząd Rzeszy podczas ostatniej wojny?*

— Czegóż to dowodzi? Tego, że faktem historycznym jest, że Hindenburg i Ludendorff byli ludźmi, silniejszymi od Bethmanna Hollwega, tak samo, jak Falkenheim był człowiekiem słabszym, który rządowi uległ [1]). Przy tym samym syste-

[1]) Teobald Bethmann-Hollweg, kanclerz Rzeszy niemieckiej w latach 1909—1917. W pierwszej fazie wojny światowej, po ustąpieniu szefa sztabu generalnego niemieckiego Moltkego wszedł na to stanowisko minister wojny Rzeszy, generał Falkenheim. Ulegał on w sprawach politycznych kanclerzowi Bethmann-Hollwegowi. Kiedy w roku 1916 szefem sztabu generalnego został Hindenburg z Ludendorffem, jako jego zastępcą, objęli oni faktyczną dyktaturę, wywierając decydujący wpływ nie tylko na sprawy wojenne, lecz również i na polityczne Niemiec.

mie w r. 1870 przewagę siły posiadał Bismarck [1]), i Bismarck narzucał swą wolę władzom wojskowym. Chodzi tu po prostu o fakty historyczne, o wartości jednostek ludzkich, a nie o działanie ustawy, rozgraniczającej kompetencje.

W ZŁOTEJ KSIĘDZE DRUSKIENIK

(sierpień 1925 r.)

Podczas swego pobytu w Druskienikach w sierpniu 1925 r. Piłsudski wpisał do złotej księgi tego zdrojowiska niżej przytoczone rozważania o piękności natury nadniemeńskiej.

Tekst podajemy według wydawnictwa: «Kresy Wschodnie», Warszawa, 1 maja 1930 r., str. 2.

Gdy Twórca nad dziełem swym się trudzi, ma musowe chwile zmęczenia i wtedy odpoczynek wyraża się w niespodziance wolnej od więzów pracy myśli, w odetchnieniu głębszym piersi i w uśmiechu radości z rozkoszy swobody i spoczynku.

Kiedy Wielki Stwórca równię nadniemeńską rzeźbił, szedł linią surową i w silniejszym skurczu dłoni kształty ziemi lepił. Bogato sypał na nią żółtawym aż do bezbarwia białości piaskiem, prószac ją obficie mchem, jakby siwym od starości dziejów ziemi i swego istnienia. Jako wierne sługi swych wyroków, rzucił mnóstwo wiecznie zielonych sosen, ciskając je dłonią, w puszczę, na straż zaś puszcz wyrzucił na ich boki najsilniejsze, bujne sosny, co nielękliwe, z burzą i nawałnicą się pasując, w konwulsjach wysiłku mięśnie swe prężą i wykrzywiają, jak zamarli w walce rycerze.

Wyroki Stwórcy skazują ludzi, na tę ziemię rzuconych, na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna, życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemicy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną.

Lecz gdy Stwórca-Rzeźbiarz do Niemna brzegu się zbliżył i, zmęczony surowością pracy, palcom spocząć pozwolił, z rozkoszy wolności i odpoczynku ku ziemi błogi uśmiech spoczywania posłał. Wdzięczna ziemia odkurczyła swą pierś ści-

---

[1]) Bismarck był wówczas kanclerzem Niemiec.

śniętą do prostoty płaszczyzny. Mała Rotniczanka [1]) skoczyła radośnie, spiesząc ku Niemnowi, jakby samą siebie prześcignąć chciała, i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziane a narozcież otwarte wrota wąwozu się wsączyła. Szeroki, rozłożysty i wartki Niemen, głęboko prując pierś matki-ziemi, podobieństwo swawolnych gór czynił: spod ziemi trysły źródła o różnych smakach, a barwna zieleń z niespodziewanymi i strzelistymi, jak gotyki, drzewami zastąpiła mech siwy i szary.

W ten sposób Druskieniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy Ten się uśmiechnął.

Nieraz, gdy myślę o tym, szukam małości myśli ludzkich wobec wielkości myśli Stwórcy. I wydaje mi się, że człowiek sądzi, iż piękna i miła Rotniczanka nie ku Niemnowi spieszy, lecz ku kaskadom kąpielowym, by schudzone w upałach ciało miły chłód wody na się przyjmowało.

W zapomnieniu też myśli człowiek, iż potężny Niemen w skrętach biegnie, by w Druskienikach plażę sformować. A gdy matka-ziemia słonymi łzami swe bóle we wnętrzu omywa, człowiek w rury łzy chwyciwszy, podagrykom i sklerotykom uśmiech na lica chce powracać.

Wielkości, gdzie twoje imię? Małości, gdzie twoje myśli? I śni mi się często w Druskienikach, że bodaj w jednym tylko błogim uśmiechu swobody odpoczynku po pracy, jak w jakiejś wieczności prawdy o miłym śmiechu niespodzianki — spotkać się Wielkość i Małość mogą.

PRZEMÓWIENIE NA CZWARTYM ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W WARSZAWIE

(9 sierpnia 1925 r.)

W dniach 8 i 9 sierpnia 1925 r. odbył się w Warszawie czwarty zjazd Legionistów. Dnia 9 sierpnia 1925 wygłosił Piłsudski w sali Rady Miejskiej niżej przytoczone przemówienie, w którym pod formą bajki o Kopciuszku przypomina pewne momenty z dziejów własnych i z historii Legionistów, a kończy wezwaniem do tworzenia dokumentów historycznych, opartych na prawdzie, którą wielu chce spaczyć.

Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» druk tego przemówienia zaopatrzyli następującym przypisem (t. VIII,

[1]) Prawoboczny dopływ Niemna, wpadający do niego pod Druskienikami.

str. XL.): «Odczyt ten, drukowany w streszczeniach w różnych pismach, ukazał się drukiem w pełnym tekście według stenogramu w broszurze «Argumenty i Kontrargumenty Polemiczne». Warszawa, 1925. Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» otrzymali ponadto pełny stenogram wykładu, poprzednio niepublikowany, od pana Leona Barysza. Tekst stenogramu pana Barysza różni się bardzo nieznacznie od tekstu, publikowanego w roku 1925. Tutaj drukujemy stenogram pana Barysza».

Tekst poniżej podany jest przedrukiem z tomu VIII «Pism — Mów — Rozkazów» str. 313—332. Musimy jednak zaznaczyć, że zarówno stenogram, opublikowany w broszurze «Argumenty i Kontrargumenty polemiczne», jak i obszerniejszy stenogram Barysza nie był przez Piłsudskiego ani przejrzany ani aprobowany, a tekst w wielu ustępach nie odtwarza jasno myśli.

Kochani koledzy i towarzysze broni!

Rok każdy przemawiam na zjeździe legionowym. O czymże przemawiać, jak nie o Legionach, jak nie o naszej przeszłości?! Lecz rok każdy styl zmienić musi. Każdy z nas został wpleciony w jakąś awantur girlandę, w której płynęło nasze życie. Rok do roku nie podobny, ba, miesiąc do miesiąca! Gwałtowne, szybkie nieraz przewroty losu, jak w jakiejś bajce. Styl zmieniony — może również z powodu po prostu mojej personalnej pracy. W tym roku nie chciałem zanadto pracować i dlatego zmuszony jestem przemawiać nieprzygotowany. Dlatego też wybrałem sobie styl, w którym mi łatwo przemawiać — bo styl bajki.

Bajka i prawda, prawda i bajka! Gdzie w bajce szukać prawdy, gdzie prawdę w bajki ubierać? A jednak są bajki o wieczystej prawdzie. Dlaczego? Płyną one gdzieś, kiedyś, przez kogoś osnute, nie mają wyraźnego autora, bajki, skomponowane przez jakąś prawdę życia, bajki, o wieczności prawdy mówiące, gdzieś dawniej, gdzieś za dawnych złotych czy tombakowych czasów, kryjące jakieś czyste bóle z wnętrza serca niezastygłej jeszcze ziemi, z której prawdy wieczyste w bajkach mówione. I każda bajka, która wieki całe przetrwała, tysiące lat opowiadaną była, jest w niej siła, — siła życia, siła prawdy. Są takie bajki, panowie, i gdym się zdecydował, że w stylu bajki mówić o Legionach będę, przerzucałem sobie w myśli mnóstwo znanych mi bajek, mnóstwo słyszanych bajek opowiadanych, które dzieci po tysiąc i tysiąc lat te same bajki mówią i te wiecznie trwałe, wydobyte z jakiejś prastarej krynicy życia, krynicy piękna, krynicy jakiejś publicznej moralności. Gdyż takie bajki, które starsi ciągle dzie-

ciom powtarzają, mają chronić uszy dziecięce, mają skierować i wychowywać pacholęce dziecko ku dobremu.

Są takie bajki, co o prawdzie mówią. Prawda i bajka, bajka i prawda. Jeżeli bajkowym było nasze życie, jeżeli bajkowymi były nasze przeżycia, to bajkę jakąś znaleźć na moje przemówienie musiałem. Są takie bajki, panowie i panie, są takie bajki, koledzy i koleżanki! Znam jedną taką, którą gdy tysiące i tysiące lat dzieciom się opowiada, to z tych łez szklistych i perlistych, co spod powieki dziecka płyną, nie strumienie, lecz potoki, ziemię zalewające, sformowaćby można. I gdyby zebrać całe gorące serca, które wtedy się rozwijają, gorące policzki, wiejące oburzeniem, to nie łuny, pożary, lecz jakiś oddech płonącego słońca ziemię by spalił. Są takie bajki, panowie i panie, w których prawda wieczna żyje, w których łezka dziecka płaczącego o moralności publicznej mówi, są takie bajki, co ogniem oburzenia płoną.

I taką bajkę o nieszczęsnym Kopciuszku wybrałem na odczyt dzisiejszy. Któż tej bajki o Kopciuszku nie zna, któż jej nie słyszał szeptanej na ucho, któż nie pałał gorącym oburzeniem na złą macochę, na złe siostry wyrodne, któż łez nie przelewał nad biedną dziewczyną, cud-dziewczyną w łachmany ubraną, bosonóżką trwożliwą i wierną wiecznie pracy? Lały się łzy rzęsiste dziecinne, które biją strumieniem wszędzie. Biedny Kopciuszek, zła macocha i wyrodne siostry! Któż tej bajki nie zna? Znały ją nasze praprababki, tak samo nasze praprawnuczki pytać będą o nią. Każda matka, dbająca o dobre wychowanie dziecka, wzniecająca moralność publiczną, działa w kierunku pobudzenia do pracy, przyzwyczajenia do litości nad cierpieniem. Któraż z prababek i prawnuczek nie będzie zcałowywać łzy rzęsistej i perlistej swych dzieci, płaczących nad Kopciuszkiem, któraż nie będzie uspakajać pałających główek, nie będzie płaczących policzków ściskać, gdy dziecko jest śmiertelnie obrażone, że zło gdziekolwiek, kiedykolwiek tryumfuje? Są takie bajki, co stoją na straży moralności publicznej. Bajka o Kopciuszku należy do nich.

Gdy dziecina gdziekolwiek się rodzi, złe i dobre wróżki stoją u kolebki. Złe wróżki-czarownice z wężowym sykiem, z złośliwymi oczami, nie widząc i nie znając jeszcze dziecka, brzękiem złota czarują oczka, do złego pchają, wszystkie świecidełka, co mamią, dla pociągnięcia dziecka, u kolebki jego życia pokazują. Lekkie życie obiecują. A gdzieś w kącie, u ściany, wróżka-staruszka zgarbiona, stulona, nieśmiała, z lękiem, z daleka od dziecka, w ręku róże i ciernie ukazuje. Bajka i prawda — róże i ciernie!

Jak bajki od prawdy, tak róży od cierni oddzielić niesposób. «Cendrillony» [1]) ukochane — gdzieście wy się rodzili? Gdzie kolebka waszego życia? Hen, daleko — mury prastarej stolicy Polski, stolicy z chwałą Jagiellonów, stolicy siły Chrobrych, wielkie śmiałe czyny, mury Wawelu. A na Wawelu śpią królowie, a obok kopiec Kościuszki sypią. Kopiec i mury. A z grobu królewskie oczodoły ciemne, a gdzieś nad murami proporce szumią i w krasnych rabatach ci, co walki honor czują, na rumakach spieszą. Szum proporców, szum sztandarów, a gdzieś spod Wawelu królewskie oczy patrzą nie wzrokiem, lecz ciemnymi oczodołami! A koło królewskich grobów w obcy mundur ubrany żołdak wartę trzyma. A kopiec Kościuszki w forty i armaty nie swoje, lecz obce ubrany [2])! Dobra wróżka daje kwiaty i ciernie — bo te są nierozdzielne. Na ciebie wołali z grobów i z Wawelu, a spod kopca szły konie i proporce wielkości, wielkiej sławy i wielkich potężnych walk, walk Batorych, walk hetmanów. Chwila i ruch! A róże wam uwiędną i ciernie zostaną! W zapach róż wielkich, w zapach róż przeszłości nie chciano wierzyć. Róże im uwiędły, a cierni mieć nie chcieli!

I gdzieś to w kolebce się rodził, legunie zatracony? Pod wawelskimi murami mary stanęły, gdyś ty dzieckiem jeszcze był, gdy nad twą kolebką stanęły wróżki. Po cóż boleśnie nóżki do buzi włożyłeś? Nóżki ssać chciałeś. Brudny, nieskrępowany malec, jak gdybyś chciał powiedzieć, że piersi matczynej się wyrzekłeś. a złe wróżki i ludzie, a złe czarownice i gadzinowe syki już na ciebie, zatraceńcze, czekały! «Cendrillonie» zatracony, Kopciuszku ubogi, wyrok sam na siebie pisałeś. Złota brzęku nie chciałeś wcale, a róże ci uwiędły, a ciernie zostały. I biegałeś zuchwałymi krokami pod murami Krakowa — słupy graniczne burzyłeś! «Cendrillonie» kochany! W twoim tornistrze niebogatym cóż miałeś na piersiach za kwiaty? Zuchwalcze nieodrodny, gdy kwiaty uwiędły — to zapach kwiatów dawnej chwały w tornister swój wkładałeś! I po cóż, zatraceńcze, to czyniłeś? Serca złej wróżki nad kolebką twoją stały, serca dobre gdzieś uleciały.

Czy wy pamiętacie tę bajkę? Biedna uboga dziewczyna, o nóżkach bosych a cudna, zmarznięte stopki, pod głową marna poduszyna, na gołych deskach sypiająca, oczki tak ładne, tak cudne, zawalane, zasmolone. Smoluchu kochany,

[1]) Cendrillon — po francusku kopciuszek.

[2]) Na Wawelu były w XIX wieku i pierwszych latach XX wieku koszary austriackie. Kopiec Kościuszki w Krakowie obudowany jest koszarami i murami obronnymi, wzniesionymi przez Austriaków.

pracujący nad jakąś niepotrzebną nikomu robotą, jakieś przetaki i beczki, jakiś groch i kapusta, jakieś dziwolągi domysłów pracy bezlitosnej, pracy nieodrodnej! Zarabiasz, smoluchu, ręce do łokcia, zarabiasz, dziewucho, snu kilka godzin, popychadło to kuchenne, dziewczyno niefachowa[1]), śniąca o zamążpójściu! Któż takiej dziewczynie cokolwiek zaufać może? Niech sukieńczynę nosi brudną, niech na plecach ma łaty, ot to popychadło zwyczajne!

Kwiaty i róże, róże i ciernie! Kwiatów nie dano, bo zwiędły, gruntownie zwiędły te kwiaty. Ciernie zostały, a cierni nikt nie chce! A jednak, utraceńcze, kwiatyś chciał nosić w tornistrze, gdy biegłeś na polskie pola i łany. I kwiaty nie więdnące chciałeś, wieczne!

Gdy bajka musi iść, gdy bajka to prawda, a prawda to bajka, to tam, gdzie Kopciuszek, musi być macocha, a tam, gdzie macocha, muszą być siostry wyrodne. Inaczej bajka nie jest prawdą. Smoluchu przebrzydły, gdy już raz się urodziłeś «Cendrillonem», pracuj na macochę i pracuj na siostry wyrodne. Tobie mąka i przetaki, tobie ciernie, tobie praca. Kwiatów ci się zachciewa! Dziewczyno wyrodna, smoluchu kochany! Nagim ciałem bezwstydnie świecisz, — dobrze, że jesteś tak zasmolony i zabrukany! Ileż łez rzęsistych, perlistych dzieci na świecie całym nad losem Kopciuszka leją. Biedna dziewczyna, szepcą usteczka zbolałe, płaczą oczęta, a łzy strumieniem, jak potok wartki, tak niespokojne i tak silnie moralności publicznej bronią. Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i praca. Dla kogo? Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest macocha, a gdzie macocha tam i siostry wyrodne! Ktoś na Kopciuszku żer mieć musi. I nie tylko wesz żołnierska po barkach ci łaziła, smoluchu wyrodny, na twoim cielsku durnawym nikt przyzwoity żeru nie znajdzie. Śnisz o niefachowym zamążpójściu? A jednak bajka musi iść, a jednak bajka to prawda, a prawda to bajka, a jednak są róże i ciernie i jest brzęk złota! Gdzie jest macocha, tam jest i wyzysk, a gdzie jest siostra wyrodna, tam jest zdrada. Inaczej na świecie nie bywa, kiedy Kopciuszek się rodzi. Po cóż, smoluchu, nóżki do buzi włożyłeś przy urodzeniu i piętki własne cmoktać chciałeś, piersi matczynej się wyrzekłeś? Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest macocha, a gdzie macocha, to i siostry wyrodne. Żeru na smoluchu mało, zamążpójście niefachowe nic warte, ożenek byłby głupi, bo któż, do pioruna jasnego, gdy poduszka do snu skłania, marzy,

[1]) Aluzja do tego, że Legionistów uważano za niefachowców w dziedzinie wojskowej.

że za siódmą górą, za siódmą rzeką oblubieniec w zbroi skrzydlatej gdzieś istnieje i gdzieś przed bojem, gdzieś przed wielkością oblubienicy szuka. Bajka jest bajką, niech straszy moralność publiczną! Macocha żyć musi, a zdradliwa siostrzyca także! Mus bajki musi iść! Niech smoluch pracuje, żer mały dać mu można, kwiaty jakieś z sobą w tornistrze zabrał. Uwiędłe być może, lecz i uwiędłe kwiaty gdzieś przy biedzie, przy braku ogrodów publicznych w domkach publicznych sprzedać można — radziły szpicelki zdradliwe, kurewki małe! Reklamki mało, na tyłach reklamki, reklamki nam trzeba [1])! I w tany, i w tany!

Gdzie byłeś, głupi smoluchu, gdyś się urodził? Po cóż, głuptasie, nóżkę do buzi wkładałeś, po co nędzną poduszkę w snach ukochałeś? Matczynej piersi ci nie trzeba, niech cię macocha wyzyska i zdradzi siostrzyczka rodzona! Szpicelki kochane, kurewki małe! Reklamki na tyłach, — żer mały, lecz pewny!

Jak w bajce, tak w bajce. Bo bajka to prawda, a prawda to bajka!

Rok mija, jak w bajce. I w snach była dziewczyna, ręce do łokci urobione, zasmolone w dymach kuchni wojennej, a kwiatów nie chciała oddać. Czy wy pamiętacie rok 1915? Przez Polskę szły pożoga i dym. W kurzawie dymu i huku armat znikały z powierzchni sioła i miasta. Paliła się Polska, jak stos ofiarny, paliła się Polska, jak szeroka i długa. Czy wy pamiętacie ten rok ułudy, ten rok zmian gwałtownych i szybkich, ten rok, gdy nawałnica wojenna po polach polskich się tocząc, Polskę zjednoczyła? Polska, jak długa i szeroka, jednego miała pana. Polska prawie, jak te, co obecnie granice i gdy kto kiedy wszechsłowiaństwo gdzieś sprzedawał i innych kopciuszków do pracy zmuszał, to żądał zjednoczenia pod jednym batem, by mieć jeden zamiast trzech [2]). Ideały się ziszczają, bat jeden w dłoni i pan jest możny i bogaty. Buty ciężkie i ostrogi, w hełm stalowy łeb silnie zakuty, szedł, jak miecz potężny, na świecie! Pan jeden, bat jeden! Polska w tych samych, co obecnie mamy, granicach! Smoluchu zatracony, czy ty pamiętasz ten rok wielki, gdy jeden pan w Polsce i bat tylko jeden! A Polska taka, jak obecnie mamy granice, i wy

[1]) Aluzja do tego, że krwawe boje legionistów na froncie były wyzyskiwane dla własnej reklamy przez tyłowych oficerów legionowych, szczególnie w Departamencie Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego.

[2]) Aluzja do programu Narodowej-Demokracji zjednoczenia ziem polskich w związku z Rosją.

spod Jastkowa, i wy spod Lublina — czy wy pamiętacie? Grzmią armaty, kiedy człowiek dumny boga w gromach uderzał, — czy pamiętacie pożary i łuny, gdy niknęły sioła, sadyby i dwory! Gdy oddech gorący wojny, zniszczenia, jeden łan zboża zostawił, bo spalić ich niemożliwe, — czy wy pamiętacie krew waszą, którąście dali? Zuchwały zatraceńcze, — rzucałeś się dla obrony wsi, gdzie pożar wybuchł, bo Polska się paliła? Czy wy pamiętacie wasze rany w obronie kościoła, co do Boga w trwodze dzwonił? Czy wy pamiętacie te pola, te łany, czy pamiętacie, «cendrillony» zatracone? Pachła wam wtedy ojczyzna [1])! Gdy słonko błysło, to krasne rabaty, ułany wąsate wjechały do Lublina [2]). Miasto wielkie, miasto duże w trwodze było i pierwsze polskie wojsko ujrzało! Czy wy pamiętacie uściski dziewczątek, czy pamiętacie te kwiaty, po raz pierwszy wam rzucane? Czy wy pamiętacie te uśmiechy, do was koralem ust i ząbków pereł się śmiejące? Słonko gdzieś z góry, wśród pożaru i dymu, wśród huku armat, całuje! Jakiż sen, utraceńcze zatracony, «cendrillonie» kochany, na ubogiej poduszynie śniłeś? Co się w twoim serduszku działo? Zmiany obfite, bogate, a nad Polską jeden pan, jeden bat!

I bajka istotnie, ta z wiecznej krynicy prawdy wysnuta, co moralności publicznej strzeże, ta wieczna bajka o Kopciuszku daje opis biednej dziewczyny. Śniąc, marząc, zaspana, nóżki zziębnięte, cud nóżki mrozem szczypane, w błocie kąpane, podkurczone, drżysz dziewczę jakąś trwogą czy pożądaniem? W gorączce całe liczko płonie, czuprynka na czole rozrzucona drży, cud-dziewica w gorączce czy pożądaniu. Sen to o zamążpójściu, smoluchu kochany, a usta szepcą: królewicz, królewicz! Królewicz na wojnę się wybiera za siódmą górą, za siódmą rzeką. Wróżka dobra już stoi i w ręku pantofelek na nóżkę bosą, złotem szyty, srebrem sypany, na ręku u wróżki-staruszki suknia biała, atłasowa, a na podwórcu rumaki biją, rumaki siwe! Sen czarowny, sen czy mara, duch i wiara! Biedne dziewczynisko chore, słonko z za chmury wyjrzało. W królewicza uwierzyła i kwiaty bierze, i róże, i ciernie! Praca wam stopy krzywiła — dawała już chwałę, krasne rabaty, ułany wąsate, szare piechury, nosy do góry! A prawda bajki się ziści. Bo tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i macocha,

[1]) W okresie bitwy pod Jastkowem i wkroczenia Legionów do Lublina (lipiec 1915) ofensywa państw centralnych postępowała bardzo szybko; Rosjanie odstępowali coraz więcej ziemi polskiej, co wytwarzało w Legionach nastrój radosny i pełen nadziei na pomyślne rozwiązanie sprawy polskiej.

[2]) Por. t. V, str. 135.

a tam, gdzie macocha, i siostry wyrodne. Leją się łezki cudne, perliste i z policzków dziewczęcych bije strumień prawdy wieczystej. Ludzkość tryumfować musi, by łez strumieniem, policzków oburzeniem moralności publicznej pilnować. A więc są kule i referaty. A więc jest i krew, i atrament, są wojaki i kanclerskie głowy! A gdzieś w niebie wagi wielkie stoją i gdzieś na wagach losy Kopciuszka świata się chwieją. Wagi wielkie, wagi boskie! Na jedną wagę idzie pot i krew, idą róże i ciernie, idzie bajka prawdy skrzydlata, a na drugą wagę idą kanclerskie głowy, idą referaty, atrament i smród [1]). Bo gdzie woń róż, to — prawdę mówiąc — jest woń i kloaki, «cendrillonie» zatracony — bajki i prawda, kwiaty i ciernie, burdel i kurwy, szpicle i oberszpicle. Reklama i majtałasy, sukienki w górę, tan się zaczyna! Pan bogaty i możny! Czy marka, czy koronka — wszystko jedno... Bajka musi iść i bajka idzie niedługo. Bajka i prawda, kwiaty i ciernie. Stulona dziewczyna śni na poduszynie, jak w gorączce się miota, jak w bajce, coś szepce, coś mówi. Co mówi, co szepce? Niech sobie śni tak cudnie, a pracować musi, musi na macochę. A wróżki czarowne i siostry wyrodne doglądają cud dziewicę. O pantofelku śni wyrodna dziewczyna, do królewicza wyciąga ręce! A jeden pan, jeden bat! Poduszkę wyciąga, niech łezki moczą gołe deski. A kwiaty oddać nam musi! A z kwiatów powstają korpusy i posiłki, posiłki i korpusy, a sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb! Korpusy i posiłki, posiłki i korpusy — sam pan generał będzie ubierał i płacił sowicie — w maciejówkę łeb! [2]) Korpusy i posiłki, róże i ciernie. A gdzież referaty, gdzież atramenty, gdzie taniec i majteczki?... Gdzież szpicelki kochane, kurwy urodziwe?... A sen się iści. Kolega poseł się śmieje — i ja się śmieję. Pięć razy to powiem, bom to zdecydował — z Legionów wyrzucony, podejrzany osobnik! [3])

[1]) Aluzja do taniego sprzedawania państwom centralnym wartości, zdobytych trudem wojennym i krwią legionistów.

[2]) Jednocześnie ze zwolnieniem z Legionów Piłsudskiego, we wrześniu 1916 r., przemianowali Austriacy Legiony na Polski Korpus Posiłkowy, co było okrzyczane przez Komendę Legionów i Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego za wielkie zwycięstwo; faktycznie zdobycz to była bardzo nieistotna. W rozporządzeniu o utworzeniu Korpusu Posiłkowego było, jako wielkie ustępstwo ze strony Austrii, powiedziane, że przydzieleni tam oficerowie austriaccy będą nosili mundury legionowe. Ówczesny porucznik Wieniawa-Długoszowski ułożył wtedy piosnkę satyryczną, która wnet stała się bardzo popularną. Jedna z jej strofek brzmiała: «sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb».

[3]) Piłsudski zwrócił się tu do posła Jędrzeja Moraczewskiego, który siedział w pierwszym rzędzie audytorium. Moraczewski, oficer

A bajka się iści — a chwała idzie. Wpleciony w awantur girlandę, jak nieszczęsny «cendrillon», co rok — to awantura, co rok — to zmiany. Czy śnisz o królewiczu, «cendrillonku», — śnij lepiej o więzieniu. Los ci cierni nie oszczędzi. Królewicz za murami, za górami, za siódmą rzeką, a w Polsce jeden pan i jeden bat! I bajka się iści, bo bajka to prawda, a prawda to bajka. Psie jadło dziewczynie w więzieniu i słoma zamiast poduszki — a sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb! [1])

Prawda musi iść i moralność publiczna, broniona przez łzy dziatek, tysiąc lat płaczących nad biedną «cendrillonką», żąda cudu. Co u licha — czyż wiecznie zła zwycięstwo będzie? Płoną oczęta oburzeniem, policzki od gorąca, kułaczki się zaciskają u dzieci, krzywdy nie mogą wytrzymać!... Za dużo cierni, mamusiu, ja nie chcę macochy!... Łzy rzęsiste, łzy perliste dzieci, płynące potokiem łez, broniące gorącem swym oddechów moralności publicznej. I cud się iści. Wplecione w awantur girlandę, śmiejcie się, dzieci! Uśmiech tryumfu dla «cedrillonki» — królewicz się zjawia i niefachowego żąda zamążpójścia. Czy głupi i czy czegoś zapomniał, czy upił się może, coś niesamowitego się dzieje! Krzyki i hałasy, wiwaty nieskończone, trzęsie się ziemia, zapada się, pańskie pałace się podnoszą [2]). Wróżki się znajdują — śmiejcie się, dzieci — «cendrillonek» w atłasy ubrany, pantofelek od królewicza otrzymuje, królewicz niefachowego żąda zamążpójścia!

Niesłychane! Niesłychane! Taki głupi — on był pijany! Co się dzieje? Ten królewicz złotolicy — wszystkie dzieci tak się śmieją, klaszczą w rączęta — och, cudowne życie, mój Ty, Boże! Oszaleją! Cóż się dzieje? Sen się dzieje — tryumf cały — «cendrillona» królewicz żąda... A siostrzyce też struchlały i macoszka, w kąty patrzą! O Ty, Boże, o Ty, Boże! Polska cała oszalała, a królewicz jest pijany — niefachowy ślub bierze! Proszę panów! Bajka jest prawdą, prawda jest bajką! Historia taka była, a co się stało — nie odstanie, nie pomoże ani Bóg! Czy był pijany, oszukany — wszystko jedno, fakty są. Bajka jest prawdą i prawda jest bajką! Róże i ciernie, ciernie i róże!

---

legionowy, został zwolniony z Legionów w r. 1916, jako «politycznie podejrzany».

[1]) Aluzja do masowego zamknięcia legionistów w okresie przysięgowym 1917 w obozach jeńców i więzieniach, kiedy jednocześnie lojalni w stosunku do Komendy Legionów robili szybkie kariery.

[2]) Aluzja do ogromnego entuzjazmu, z jakim Piłsudski został w całej Polsce powitany i obdarzony najwyższymi w państwie godnościami w listopadzie 1918.

Macocha i wyrodne siostry — tam, gdzie Kopciuszek! I pamiętacie cudną bajkę, gdy dzieci znajdują się w stanie silnego rozdwojenia duszy? Nie mogą tej rzeczy znosić. Ile razy próbowałem na dzieciach tej bajki, zawsze miałem ten sam efekt. Łzy płyną gorące, złość nie osuszyła jeszcze łezek, kułaczki zaciśnięte!

I uczta się odbywa i głupi «cendrillonek» przebacza siostrom. Niesłychane! Dzieci rady dać sobie nie mogą, publiczna moralność jest obrażona. Tak nie można przecież żyć, takie życie jest obrzydliwe! Po co one zdradzały, niech ona je bije [1]). Wszystkie próby, z dzieckiem zrobione dotąd, takie wyniki dawały. Przecież Polska to jest cel, to jeden pan i jeden bat! Rozum stanu mądrych ludzi. Cud musi iść dalej. Wobec tego, że to mnie osobiście się tyczy, stylem bajkowym nie mogę przemawiać.

Pamiętam, jak w 1918 r. wypuszczony i uwolniony z Magdeburga, pod turkotem pospiesznego pociągu, który wiózł mię z Berlina do Warszawy, kiedy nic o Warszawie nie wiedziałem, bo byłem długo izolowany, lecz wiedziałem, że nastąpiło trzęsienie ziemi, że zapadły się jedne pałace, a nasze, w Polsce, wyskoczyły do góry i ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego [2]). Pamiętam różne swoje zdumienia. Bo przecież w więzieniu, piosnka, z której się śmiałem, to była, że «sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb». Bo przecież w Magdeburgu licznych ogłoszeń i referatów, licznych reklam i reklamek nie dawali mi czytać! Miałem więc zwyczaj dawne czasy rozmyślać, czasy, kiedy «cendrillonce» ku lepszej siostrzyczki wygodzie wyciągano poduszynę ubogą spod głowy, aby ją zastąpić psim jadłem w więzieniu i aby słomą więzienie bogate dla was wszami skażone (a prawda, u Niemców to takiej wszy nie wolno było mieć, «Entlausung» [3]) — zapomniałem), ale ta słoma była dość przechodzowana. I to tylko miałem w oczach. Gdym pod turkotem pospiesznego pociągu, który mię unosił z Berlina do Warszawy, w rozgorączkowanej głowie myślał i plany jakieś snuł, powiedziałem sobie od razu prawdę, której dotrzymałem. Powie-

[1]) Piłsudski, objąwszy władzę w Polsce w listopadzie 1918 r., puścił w niepamięć wszystkie dawniejsze sprawy i dopuścił do pracy wojskowej wszystkich, których dawniej uważał za szkodników w sprawie polskiej.

[2]) «ni z tego, ni z owego będzie Polska na pierwszego», słowa popularnej w Legionach piosnki wyśmiewającej różnych oportunistów, którzy przez cały czas wojny przywozili do Legionów wiadomości, że sprawa polska jest na najlepszej drodze i lada dzień będzie załatwiona.

[3]) Entlausung — odwszenie.

działem sobie: człowieku, żyłeś w kraju i pracowałeś w kraju, spodlałym doszczętu w niewoli, bogatym w tchórzliwy rozum, bogatym w materializm dziejowy, mówiącym o trzech groszach, byłeś w kraju, który nie miał odwagi myśleć i żyć. Na tym tle musowo muszą wyrosnąć objawy takie, jak sprzedajność publiczna, publiczne domki, gdzie można fachowe zamążpójścia uprawiać, jak wszelkie inne zdrożności moralne, jakieś perwersje i związane z tym syfilistyczne kręciołki w głowie. Więc wobec tego powiedziałem sobie: czy chcesz, czy nie chcesz, jesteś głównym «cendrillonem» i bajka dla ciebie pisana! Sen się ziści, musisz ten pantofelek brać na nogi! Polska wielka ni z tego, ni z owego była na pierwszego. Nie wiadomo — co robić? Pan jeden, bat — każdy osobno. Peowiaczki oszalałe, leguny, — mój Boże, coś trzeba zrobić! Od razu sobie powiedziałem — musisz przejść do porządku dziennego nad całym mnóstwem objawów, któreś przedtem obserwował i wstręt do nich czuł. Nie mogłem przejść tak, jak rozum dziecka łatwo nad zdradliwą siostrzycą, nad tymi, co na tyłach reklamę noszą, w maciejówkę łby ubierają. Niech by kwiaty i ciernie prawdę bajki mieli. Po co róże kloaką farbować, można po prostu zarabiać. Po co na naszym ciele żerować ma wesz kudłata? Ale cierni nie chcieli, a pieniążki brali. Jeszcze róże i kwiaty, róże i ciernie błotem smarowali. Nad tym najtrudniej mi było przejść do porządku dziennego. Lecz chciałem wierzyć wtedy, jak w jakiś sen uroczy, że się jednak warunki tak gwałtownie zmieniły, że wraz z odrodzeniem Polski odrodzenie duszy ludzkiej pójdzie i że moralność publiczna przez łezki dzieci, tysiące lat ronione, że moralność publiczna, strzeżona przez tysiące lat gorącymi liczkami milionów i milionów dzieci, te góry piąstek dziecinnych, zaciskających się przez miliony lat u milionów dzieci, jakąś górę strzegącą od upadku moralnego, w odrodzonej Polsce sformują. Lecz gdym nie chciał bata trzymać, a jeden pan i jeden bat — i suwerenów zwołałem [1]), tak się przestraszyłem! Odrodzenia w suwerenach nie znalazłem. Gdy sobie przypomnę owe lata, gdy najważniejszą kwestią, o której przy gromach nowej nawałnicy mówiono: kto rozumny jakiemu zaborcy się sprzedawał, a kto miał nędzny rozum stanu, że się sprzedawał głupio [2]).

---

[1]) Suwerenami nazywano w roku 1919 posłów sejmowych — sejm bowiem został w tak zwanej «Małej Konstytucji» z marca 1919 określony jako «władza suwerenna w Państwie Polskim»..

[2]) Aluzja do stosunków, jakie panowały w pierwszym okresie niezależnej Polski, gdzie wzajemnie wypominano sobie stosunki z zaborcami i frymarczenie sprawą polską.

Kto rozumny się sprzedawał, gdy zapachy dawne, piękne, ładne do mnie doleciały: rodzime szpicelki, rodzime kurewki, kłócące się o to, kto więcej dawał, a kto więcej brał. Gdy sobie przypomnę, że każdy zabór dumny był raczej dziełem zaborców, niż swoją pracą, gdy pluli sobie w gębę dlatego, że ktoś nie wychowany przez «landrata» [1]), co brał w brzuch i w pysk, gdy na tym patriotyzm budowano, powiedziałem sobie: nie mogę! Moralność publiczna domaga się od tego głupiego «cendrillona», ażeby nie dał krzywdzić tych, których w błoto zupełnie wdeptano tylko dlatego, że mniej rozumnie w burdelach służą. Wydawało mi się to tak oburzające i tak nieznośne dla moralności publicznej, żem przeszedł do porządku dziennego i nad szpicelkami rodzimymi, co reklamę na dupie noszą. Postąpiłem nie tak, jak kułaczki zaciśnięte dziecka każą. Nie będę, nie byłem fachowym w zamążpójściu!

Moi panowie! Skończyć chcę bajkę nieco historycznie. Ale prawda i bajka. Po co ciernie, po co róże, królowe kwiatów i zapachów, kult fałszywy? Jeślim dziś wybrał styl bajkowy dla dzieci, to dlatego jedynie, że styl bajki silniej w głowach pozostaje. Mam wyraźny cel. Niech róże i jej zapachy, niech ciernie zostają przynajmniej w historii różami i zapachami! Niech raz fałszerstwu historii tamę położę! Bo historia ma swoją legendę i legenda nieraz wygląda więcej, jak czysta prawda historyczna. Przypominam sobie — w wesołych chwilach przed uwięzieniem i wywiezieniem do Magdeburga, gdym, przeczuwając trudy, szukał rozrywek, stworzyłem jeden aforyzm. Nie rozumiem, dlaczego Kościuszko, co miał nos kulawy, na portretach z rokiem każdym staje się bardziej podobny do Apollina belwederskiego? Fałsz legendy na portretach Kościuszki daje się odczuwać. Ale moralność publiczna przeciwko temu protestować nie zdoła! Bo każdy taki Kopciuszek-Kościuszek gdzieś tam pracował, że mu potem kopiec sypną, że imię jego każda mała dziecina musi znać i szeptać słowa zaczną: to imię, to wielkie wspomnienie. A przecież ten Kościuszko, jak każdy Kopciuszek, miał róże i ciernie, miał zawistne siostry i macochy. Lecz tu fałsz idzie «in plus». Idzie w kierunku upiększania, idzie w kierunku tej sprawiedliwości publicznej. Legenda mówi swoje. Panowie! Gdy jestem przy wesołych chwilach współczesnych, powtórzę jedną anegdotkę, którą w owe czasy powtarzano ciągle. Śmiały się leguny do rozpuku we wszystkich kabaretach legionowych, we wszystkich jaseł-kach, u wszystkich wesołków ta anegdota była na ustach. Usły-

[1]) Landrat — pruski urzędnik administracyjny.

szeli bowiem leguny, że ja w ten sposób o Kościuszce mówiłem, i powiadali tak: «Co to będzie z naszym Komendantem? Że to on, mając wąs sumiasty i brwi krzaczaste, nie każe sobie dobrego portretu zrobić. Co my na portrety patrzymy, to każdy inny. Rysują po prostu Komendanta tak, ażeby potem powiedziano, że takiego Piłsudskiego wcale na świecie nie było! Lecz on taki względny dla panów malarzy! Przecież jemu wielkie niebezpieczeństwo grozi. Jak mu zaczną wąsy skracać, jak mu zaczną brwi obcinać, jak mu zaczną dokumenty fałszywe pisać, jak przeczytają wszystkie departamenty, referaty, to z niego zrobią Sikorskiego».

Komendanta trudno sfałszować, a udać Komendanta absolutnie nie sposób! I wtedy już leguny mię ostrzegały. I wtedy przemądry «cendrillon», co to dużo wie i dużo gada, rozumiał, gdzie się znajduje, i był bardzo ostrożny. I ostrzegał tego Komendanta: «Co ty robisz! Każ się dobrze malować!» Kochani koledzy! Ja teraz ciągle do was krzyczę: Komendanta sfałszować trudno! Pantofelek gdzieś od królewicza ukradł, zafasował, no i cóż z nim zrobisz! Bo co się stało — nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg! Starania, naturalnie, są, ale wam grozi niebezpieczeństwo. I ja nawołuję wciąż was, «cendrillonków», do tego, tak, jak wy mnię: strzeżcie się, bo was sfałszują!

Moi państwo! Opowiem wam niedawno napotkany fakt. Zwraca się do mnie jeden cudzoziemiec, Francuz [1]), i przynosi dość gruby zeszyt, zatytułowany «Historia Legionów», prosząc mię, bym wydał opinię, albowiem jeszcze jakieś portrety nie są poważnym atutem, bo ja żyję. Czytam ten referat, czegoż tam nie ma?! Jezusie! Jezusie! Więc kto organizacje strzeleckie robił? Sikorski! Kto tam wykłady prowadził? Sikorski! Piłsudski tak, jak ta bajka. Piłsudski dopuszczony jest z łaski, ale już ani brwi krzaczastej, ani wąsa sumiastego nie powinien mieć! Z tego też powodu jego I Brygada walczy, że tak powiem, tylko, jako partyzantka, gdyż to była polityczna awantura i musiano nieledwie oddawać to wszystko pod komendę austriackich oficerów! Czytam i sam sobie nie wierzę! Powiadam jemu: «Mój panie, jak może pan tyle kłamstw, tyle bzdur pisać?» On powiada: «Ja dlatego do pana to przyniosłem, aby pan mi opinię dał». Ja powiadam: «Przecież tu od początku do końca wszystko — fałsz!» — «To ja pana poproszę, ja dużo studiować historii Legionów nie mogę, a praca potrzebna jest,

[1]) Mowa tu o majorze francuskim, Karolu Kuntz, z Misji Wojskowej Francuskiej w Polsce, który pisał kilka prac o Polsce, między innymi historię Legionów.

ażeby prawda o Legionach we Francji była rozpowszechniona — więc niech pan inną rzecz napisze». Na to ja powiadam: «To zostaw mi pan ten referat, to ja znajdę autora». — «Nie, panie, ten referat jest opłacony, to ja go muszę odesłać». Proszę, ja mówię otwarcie i szczerze! Gdy tchórzów bez liku, gdy zdrada tak łatwa, gdy pieniądze są tak cenione, to, proszę państwa, fałszu musi być dużo. Muszą być różne rzeczy komuś skradzione i musi być coś gdzieś upiększone. Lecz wszystkiemu jest miara!

Granica fałszu, fabrykowanego w Polsce, jest niesłychana. Byłem w tym kraju Naczelnikiem Państwa. Przewodniczyłem z musu w wielu obradach i każdy protokół z tych posiedzeń bezczelnie fałszowano. Radzę przyszłym historykom nie wierzyć polskim protokółom! Gdym studiował i przygotowywał swoją książkę «Rok 1920», w archiwach Sztabu nie znalazłem całego mnóstwa dokumentów, które były mi potrzebne, natomiast znalazłem fałszywe. Skąd na moją biedną głowę rzucają jakieś urynały, odpowiedzialność, mówiąc, że ja nieledwie zdradę państwa nakazywałem. Przy takim stałym fałszowaniu i reklamiarstwie można fałszować prawdę i ostrzegam was, leguny. Pracujcie nad prawdą historii sami, bo to, co historyk znajdzie, będą referaty, atramenty, no i brudy. Niechybnie, życie nie jest romansem, ale też nie powinno być i kałużą błota, w którym mybyśmy siebie czy też nasze dzieci, jak w lusterku, oglądali. Dlatego was ostrzegam, jak ongiś wyście mnie ostrzegali! I ostrzegam was tak, jak gdyby historia przyszłości, przyszłości być może niedalekiej!

Gdy moje pannice, moje dwie córeczki, Wandzia i Jagusia, do matury staną i egzaminowane będą z historii swego tatusia, to spalą mi dziewczyny przy maturze. Karierę dziewczynom zepsują, patentu za nic w świecie nie dadzą, bo dziewczyny — powiedzą — hodowane były fałszem. Jakżeż, bo przecież pisano — moi państwo — jasno przecież napisano w dokumentach, że tatuś panienek był nicponiem! Dokument drugi głosi, że się wszystkim państwom sprzedawał, natomiast wielkie zwycięstwo i chwałę, róże i ciernie Polski, cierpienia i wiktorie odnosił suwerenny sejm, Sikorski i Szeptycki! Dlatego też ja was ostrzegam, bo jeśli tak przesadne historie o moich dziewczynach opowiadam, to jednak sądzę, że ten pantofelek «cendrillona», który ongiś nosiłem, — do mego zawsze się stosuje: Co się stało, nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg!

Lecz strzeżcie się, leguny, i piszcie swoje dokumenty!

LIST DO REDAKTORA «KURIERA PORANNEGO» Z DNIA 12 SIERPNIA 1925 R.

Gen. Sikorski, ówczesny Minister Spraw Wojskowych, wobec nacisku opinii, domagającej się powrotu Piłsudskiego do wojska, starał się wytwarzać pozory, że znajdował się w kontakcie z Piłsudskim i że uzgadniał z nim projekty ustaw o organizacji naczelnych władz wojskowych.

Stąd potrzeba niżej przytoczonego listu, zaprzeczającego w sposób zdecydowany rozsiewanym przez gen. Sikorskiego wiadomościom.

Na skutek opublikowania tego listu pojawiła się wykrętna enuncjacja z Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych z dnia 17 sierpnia 1925 r. («Kurier Polski» z 18. VIII. 1925 r.). Treścią jej było następujące rozumowanie: Gen. Sikorski znał krytyczne stanowisko Piłsudskiego wobec projektu ustawy, zredagowanego przez gen. Sosnkowskiego. Ponieważ projekt gen. Sikorskiego szedł mniej po linii żądań Piłsudskiego, gen. Sikorski nie chciał oficjalnie zwracać się do Piłsudskiego o opinię o tym projekcie z obawy, że wyrażenie przez Piłsudskiego ostrej krytyki zamknie mu możliwość zaproponowania w imieniu rządu powrotu Piłsudskiego do służby czynnej, «co uważał dla armii za pilne i niezmiernie potrzebne». Gen. Sikorski zapewniał więc z jednej strony, że chce powrotu Piłsudskiego do armii a równocześnie redagował projekty ustaw, o których był z góry przekonany, że uniemożliwią one Piłsudskiemu objęcie stanowiska Generalnego Inspektora.

List podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 15 sierpnia 1925 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Podczas ostatniego zjazdu legionowego niejeden dziesiątek osób zwracał się do mnie z zapytaniem, czy istotnie nie miałem żadnych pertraktacyj z p. Sikorskim, obecnym ministrem spraw wojskowych, w sprawie ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Stwierdzano przy tym, że przecie, jak ze strony p. Sikorskiego im wiadomo, poprawki wniesione do pierwotnego projektu są za moją zgodą i umową ze mną. Spotkałem się już z tym w rozmowach z kilku wyższymi oficerami.

Zawsze byłem zdziwiony tym faktem, gdyż raz po raz w sposób stanowczy ogłaszałem swój pogląd na tę sprawę, wręcz sprzeczny ustawie, omawianej w sejmie. Wyraziłem w odpowiedzi zdumienie, że logika mniej przemawia do interpelantów, niż pospolite kłamstwa, plotki i obmowa. Dodawałem, że widocznie potrzebne są silne bardzo argumenty i okre-

ślenia, aby po przez sieć kłamstwa i reklamy przedrzeć się w Polsce ze słowem spokojnej prawdy i logiki.

Dlatego też dla wyjaśnienia tej sprawy — jak widzę i nie wiem dlaczego, tak żywo obchodzącej wielu czynnych i byłych wojskowych — proszę o umieszczenie jedynej bezpośredniej korespondencji, którą wymieniłem w tej sprawie z p. Sikorskim jeszcze w lutym zeszłego roku. Jest nią list następujący [1]).

Dziwny ten system kłamstwa i niegrzeczności, którego tak często w tym państwie jestem obiektem, wprowadza — wyznaję — mnie nieraz w zakłopotanie, gdyż jest to natrętną muchą z chlewa, ociężale latającą koło głowy. Nie dalej, jak kilka dni temu, z gazet dowiedziałem się, że brać będę udział w manewrach tegorocznych [2]). Ogłoszonym to zostało bez żadnego z mej strony upoważnienia, widocznie dla jakiejś chwilowej dla kogoś korzyści.

Pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć moją rozmowę, którą miałem ongiś podczas mego urzędowania, jako Naczelnik Państwa. Jeden z bardzo eleganckich dyplomatów, reprezentujący jedno z wielkich mocarstw, przy rozmowie o sytuacji politycznej prosił mię, bym nie brał zanadto do serca dosyć obrażającej Polskę mowy publicznej, wypowiedzianej przez premiera rządu, który ów dyplomata reprezentował. Na usprawiedliwienie dodał, że, niestety, w Polsce wobec względnie świeżej i samodzielnie prowadzonej pracy państwowej tyle się rozsiewa fałszywych i nieprawdziwych wieści, tak śmiesznie a ubliżająco przekręca się każde słowo wypowiedziane, tak niezwykle śmiało i dziecinnie rozporządza się w druku bez upoważnienia imionami, nazwiskami i sekretami państwowymi, że uwzględnić trzeba ludzi, którzy, aby być zrozumianymi, dochodzą do najprostszych, nie używanych gdzie indziej form mówienia. Dodał złośliwie, że moja własna osoba w tym państwie jest dowodem prawdy jego słów w stosunku do Polski. Wydaje mi się często, że od niejakiego czasu mógłby ów dyplomata powtórzyć jeszcze raz swoje słowa.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należnego szacunku, z którym pozostaję, oraz słowa wdzięczności za umieszczenie mego listu w szanownym piśmie.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 sierpnia 1925 r.

---

[1]) List ten umieszczony jest w tomie VI, str. 209—211.

[2]) Generał Sikorski urządził w tym czasie manewry na Wołyniu i na Pomorzu, reklamowane w prasie.

DEDYKACJA NA EGZEMPLARZU KSIĄŻKI: «ROK 1920» OFIAROWANYM JULIANOWI STACHIEWICZOWI

(12 sierpnia 1925 r.)

Dedykację podajemy według tekstu drukowanego w t. VIII «Pism — Mów — Rozkazów», zgodnego z oryginałem na egzemplarzu książki.

Kochany Stachie-Wiczu [1]), drogi Generale!

Współpracownikiem mi byłeś i przy ciężkiej pracy wojennej, jak i przy żmudnej pracy zebrania materiałów i wydania «Roku 1920».

Gdy o tym roku wspominam, jak o zwycięstwa dobie, nie mogę zapomnieć ciężaru duszy i pewnego obrzydzenia, jakie mi pozostały w pamięci z powodu braku istotnej uczciwej pomocy, jaka była udziałem moim, ówczesnego Naczelnego Wodza Polski. Wydawało mi się niekiedy, że byłem tak często i tak chętnie zdradzany na prawo i lewo przez plotki, opowiadania, kłamstwa i oszczerstwa, że często nie mogłem nie myśleć, że robiono to rozmyślnie, aby oddać i mnie, i Polskę nieprzyjacielowi dla pokrycia nadużyć, których było bez liku. I wtedy strzec się musiałem tak bardzo, że nerwy nawet tak mocne, jak moje, były zbyt często szarpane i naprężone do najwyższych rozmiarów. Stałeś zawsze, Generale, z kilku innymi na straży nerwów i duszy swego wodza, jak wierny przyjaciel, jak dobry żołnierz i rozumny sztabowiec [2]), jak wierna straż «de la volonté du chef», rozumiejąc, że ta wola jest dobrem i siłą armii i jej zbawieniem w burzy klęsk i porażek. Dzięki Ci za to, Generale. Przyjm więc jako słaby upominek wdzięczności mojej i serdecznej przyjaźni ku Tobie.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 sierpnia 1925 r.

---

[1]) Stachiewicz nosił w «Związku Walki Czynnej» pseudonim «Wicz».

[2]) Stachiewicz od lutego 1919 do lipca 1920 r. pracował jako Szef Sekcji a potem jako Szef Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa. W okresie bitwy warszawskiej był szefem Sztabu Polowego Naczelnego Wodza, dowodzącego osobiście frontem środkowym.

LIST DO REDAKTORA «KURIERA PORANNEGO» Z DNIA 1 WRZEŚNIA 1925 R.

Ówczesny Szef Sztabu Generalnego gen. Stanisław Haller ogłosił dnia 22 sierpnia 1925 r. w prasie następujący komunikat:

«Według sprawozdania w «Kurierze Porannym» z 10 sierpnia roku bieżącego miał Pan Marszałek Piłsudski na zjeździe byłych legionistów dnia 9 bieżącego miesiąca rzekomo oświadczyć, że przy okazji pracy nad książką «Rok 1920» przekonał się, iż archiwum Sztabu Generalnego zawiera odnośnie operacji tego roku dokumenty nieprawdziwe, z czego wysnuły niektóre pisma ostre zarzuty przeciw Sztabowi Generalnemu, insynuując mu świadome fałszowanie, względnie usuwanie aktów operacyjnych.

Jako zwierzchnik, odpowiedzialny za prace Sztabu Generalnego, zastrzegam się przeciw podobnym twierdzeniom, godzącym w honor żołnierski i sumienność naukową tych, którym powierzono stać na straży aktów historycznych.

W czasie opracowywania przez Pana Marszałka Piłsudskiego książki «Rok 1920» szef Biura Historycznego przeprowadzał osobiście poszukiwania w archiwum aktów, w myśl żądań Pana Marszałka, robiąc odpisy i wyciągi. Nie podniesiono wówczas z żadnej strony wątpliwości ani co do wiarogodności, ani co do kompletności pewnych dokumentów.

Zwróciłem się do Pana Marszałka Piłsudskiego z prośbą, by podał do wiadomości Sztabu Generalnego, jakie dokumenty kwestionuje, lub jakich dokumentów brak zauważył.

Z chwilą sprecyzowania zarzutów odpowiednie działy archiwum będą zbadane przez fachową komisję złożoną z historyków wojskowych i zaproszonych cywilnych, a to celem stwierdzenia zarówno autentyczności, jak kompletności materiału źródłowego i usunięcia krzywdzących podejrzeń, ciążących na Sztabie Generalnym».

List niżej przytoczony jest odpowiedzią na powyższą enuncjację, w którym Piłsudski podaje, jakie niedokładności znalazł przy pracy swej nad «Rokiem 1920» w archiwum aktów operacyjnych.

List podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 6 września 1925 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Usłużny P. A. T. niedawno rozesłał do wszystkich pism apel p. Stanisława Hallera, obecnego szefa Sztabu Generalnego w Polsce, apel publiczny, tyczący się wyraźnie mojej, Józefa Piłsudskiego, osoby. Proszę więc Pana Redaktora o umie-

szczenie mojej równie publicznej na oświadczenie Polskiej Agencji Telegraficznej odpowiedzi.

P. Stanisław Haller przysłał do mnie pismo prywatne i rozesłał obwieszczenie publiczne za pomocą Polskiej Agencji Telegraficznej. Te dwa akty różnią się pomiędzy sobą zasadniczo. Gdy pierwsze — prywatne — nie ma żadnej wzmianki, o honorze, w drugim — publicznym — p. Stanisław Haller, mój ongiś szef sztabu, staje w obronie «honoru żołnierskiego» przeciw swemu Naczelnemu Wodzowi. Ta różnica jest charakterystyczna i wydaje mi się dostatecznie oświetloną przeze mnie w poprzednim moim liście, ogłoszonym w Pańskim piśmie, gdy mówię o zwyczajach naszego państwa w stosunku do byłego Naczelnika Państwa i byłego zwycięskiego Naczelnego Wodza naszej armii [1]).

W odczycie moim w sali miejskiej stołecznego miasta Warszawy na zjeździe legionistów wypowiedziałem ostrzeżenie pod adresem przyszłych historyków, by byli ostrożnymi w stosunku do archiwów wojny i do archiwów państwowych z okresów, gdy Naczelnikiem Państwa był Józef Piłsudski, gdyż znajdą w nich dokumenty fałszywe i nie znajdą wielu prawdziwych, które, jak sądzę, znalazły sobie miejsce albo w prywatnych piecach, albo w prywatnych zbiorach dokumentów. Nie cofam żadnego z tych słów, gdyż jestem głęboko o tym przeświadczony. Nie chcąc tu rozwlekać tej sprawy, przytoczę kilka faktów w stosunku do Stanisława Hallera, który broni «honoru żołnierskiego» przeciw swemu Naczelnemu Wodzowi. Nie mogę całej tej niesmacznej napaści postawić inaczej, gdy tyczy się ona nie czego innego, jak archiwum wojny, gdy ja byłem Naczelnym Wodzem, a p. Stanisław Haller moim, — nie jakimś innym — szefem sztabu.

Więc po pierwsze: przy studiach dokumentów dla swojej książki pod tytułem: «Rok 1920» natrafiłem na dokument, podpisany przez p. Stanisława Hallera, który od razu uznałem za fałszywy. Mianowicie — po porażce, poniesionej przez Szeptyckiego nad Autą i Berezyną [2]), powstała kwestia obrony Wilna, co animowało w owe czasy wszystkich. Analizę sytuacji wojennej i błędów Szeptyckiego podałem w swojej książce. Lecz przy studiach dokumentów znalazłem, że ówczesny mój szef sztabu, Stanisław Haller, wysłał rozkaz do Szeptyckiego, w którym, powołując się na rozmowę z Naczelnym Wodzem,

[1]) Mowa o drugim ustępie listu do gen. Sikorskiego, opublikowanego przez Piłsudskiego w «Kurierze Porannym» z dnia 15 sierpnia 1925 r. (por. t. VI, str. 209—211 i t. VIII, str. 210).

[2]) W dniach 4—6 lipca 1920 r.

zatem ze mną, negliżuje obronę Wilna, dając przy tym do poznania, że Wilno może być oddane. Nie wiem, czy ten rozkaz był pisany z datą istotną, czy sfabrykowany był potem dla zwalenia win i błędów Szeptyckiego i Boruszczaka [1]) na mnie, i nie chcę tego badać. W każdym razie dokument ten jest fałszywy historycznie, gdyż rozmowy takiej ze mną szef mego sztabu nie prowadził i żadnego prawa honorowego nie miał powoływać się na mnie w tej sprawie. Dodam, że natomiast nie ma w archiwum depeszy mojej, wysłanej wprost do Boruszczaka, dowodzącego w Wilnie, aby bez względu na stan jego sił bronił murów Wilna. Na depeszę tę powoływałem się na posiedzeniu ówczesnej Rady Obrony Państwa i bardzo ciekaw bym był, jak wygląda protokół posiedzenia tej instytucji.

Po drugie: nie znalazłem, pomimo stałych moich poszukiwań w archiwum wojny depeszy mojej własnej, przesłanej z Siedlec do Warszawy dnia 20 sierpnia. Depesza trzymana była w tonie bardzo ostrym i skierowana była przeciw rozkazowi, wydanemu przez Józefa Hallera, dowódcę t. zw., a nazwanego nie przeze mnie «frontu północnego», który nakazał wbrew rozkazowi memu z 18 sierpnia koncentrację 1-szej armii ku zachodowi, zamiast nakazanego kierunku północnowschodniego. Piszę o tej depeszy na stronicy 193 mojej książki pod tytułem «Rok 1920» [2]). O książce tej wspomina p. Stanisław Haller, ale wątpię, by przedtem, nim dotknął mego honoru żołnierskiego, zajął się wyszukaniem tej właśnie depeszy. Dodam, że depesza ta powinna by się znajdować w archiwum wojny w dwóch egzemplarzach. Jeden z nich przez to, że odbiorcą jej był ówczesny szef mego sztabu Rozwadowski, drugi zaś egzemplarz był oddany przeze mnie lojalnie do archiwum wojny razem z innymi papierami, gdym wyszedł z Belwederu. Wobec tego, że dopomagał mi w pracy nad książką «Rok 1920» obecny gen. Julian Stachiewicz, ten zaś był w owym czasie szefem biura historycznego, przetrząsnął on wszystkie możliwe i dostępne dla niego zbiory dokumentów, lecz ani śladu tej depeszy nie znalazł. Prawdopodobnie więc niewygodna dla kogoś z piszących oficjalną historię wojny depesza Naczelnego Wodza znalazła odpowiednie dla niej miejsce w jakimś prywatnym piecu, lub upiększa prywatny zbiór dokumentów, stwierdzając wartość oficjalnych prawd o archiwum wojny.

---

[1]) Mowa o gen. Aleksandrze Boruszczaku, który w wojsku polskim służył od 1919 r., dowodząc kolejno 16 p. p., III bryg. Litewsko-Biał. i od 26. X. 1919 r. do września 1920 r. — 2 dyw. Lit.-Biał

[2]) Strona podana według 1-szego wydania «Roku 1920». Por. t. VII, str. 137.

Nie będę przedłużał mojej odpowiedzi na oświadczenie o moim honorze żołnierskim usłużnego P. A. T. innymi, równie prawdziwymi faktami o dokumentach historycznych Polski nowoczesnej, jak np. historią depeszy Naczelnego Wodza do gen. Śmigłego, nakazującej mu wycofanie się z Kijowa drogą na Żytomierz, a sfałszowanej w niewiadomy mi sposób tak, że generał wycofał się w nieużytecznym dla wojny kierunku. Zakończę jedynie przypomnieniem p. Stanisławowi Hallerowi znanego przysłowia łacińskiego: «O, si tacuisses philosophus mansisses!» [1])

Wobec wielkich wątpliwości, jakie posiadam co do równej usłużności Polskiej Agencji Telegraficznej w stosunku do mnie w porównaniu z p. Stanisławem Hallerem, spieszę wyrazić wdzięczność Panu Redaktorowi za umieszczenie mego listu.

J. Piłsudski.

Druskieniki, 1 września 1925 r.

PRZEMÓWIENIE NA KOMISJI BADAJĄCEJ STAN AKTÓW OPERACYJNYCH Z 1920 R.

(28 października 1925 r.)

Po liście otwartym Piłsudskiego z dnia 1 września 1925 r. (str. 212—215), zwołał minister spraw wojskowych gen. Sikorski, komisję dla zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku. W skład komisji weszli gen. Leonard Skierski, jako przewodniczący, profesor uniwersytetu we Lwowie Stanisław Zakrzewski, profesor uniwersytetu w Krakowie Władysław Konopczyński, pułkownicy Wacław Tokarz i Bronisław Gembarzewski.

Komisja rozpoczęła swe prace dnia 3 października i zakończyła 6 listopada 1925 roku. Przez ten czas odbyła kilkanaście posiedzeń i zasięgnęła opinii u 28 oficerów. Między innymi odbyła ona konferencję w dniu 18 października z Marszałkiem Piłsudskim. Jeden z członków komisji, profesor Konopczyński, opublikował w rok później w dzienniku krakowskim «Głos Narodu» z 22 października 1926 zakończenie konferencji u Marszałka Piłsudskiego, stwierdzając, że tekst ten powstał z notatek w czasie przemówienia.

Wł. Konopczyński, publikując tę relację zaopatrzył ją wstępem, świadczącym, że ogłoszenie jej było mu potrzebne dla celów politycznych. Z tego względu, jak również ze względu na przynależność Wł. Konopczyńskiego do obozu

---

[1]) «gdybyś milczał, pozostałbyś filozofem».

politycznego, wrogiego Piłsudskiemu, nie można mieć żadnej gwarancji czy przemówienie to zostało wiernie odtworzone. Dlatego wstrzymujemy się od wszelkich przypisów, nie będąc pewnymi czy komentowalibyśmy myśli Piłsudskiego czy ich wypaczenia.

Orzeczenie Komisji, badającej stan aktów operacyjnych, i oświadczenia niektórych jej członków czytelnicy znajdą w aneksach do tego tomu str. XXIX—XXXVII.

«Nie należy mieszać dwóch rzeczy: Naczelnego Wodza z Naczelnym Dowództwem. Każdy Wódz Naczelny ma swój indywidualny system działania. Mój system był dostosowany do potrzeb i stanu Polski. Wojsko nasze szybko formowano wśród wojny — to jego pierwszy minus. Drugi, że generałowie kłócili się ze sobą; nie było zaufania. Trzeci, że się nawzajem nie znano. Czwarty — to nacisk ciągły państw zwycięskich; wszyscy prócz mnie poddawali się temu naciskowi; musiałem ciągle strzec się zdrady. Groziła ona od Sztabu Generalnego, generałów, sejmu, ministerstwa spraw zagranicznych; najlepiej jeszcze współpracował ze mną Sapieha. Wojnę zwycięsko przeprowadziłem wobec Polaków — z takimi Polaciszkami musiałem wciąż walczyć.

Jeszcze jedną przeszkodą było Naczelne Dowództwo. Stworzyłem je sam: wobec panującego w wojsku zepsucia finansowego i kradzieży, wyrzekłem się spraw finansowych, nie mogąc nad nimi czuwać. Naczelne Dowództwo miało prowadzić gospodarkę wojskową. Kontrola się nie udawała, choć wybierałem do niej ludzi cywilnych. Rządowi ufać nie mogłem, bo onby jeszcze gorzej rozkradał. Żadnego zaufania nie miałem do sejmu i rządu. Jeszcze najlojalniej wobec mnie postępował Skulski. Na wojnie ci ludzie nic się nie rozumieli. Znosiłem mnóstwo płatnych ataków od posłów i stronnictw. Jestem przekonany, że to były płatne narzędzia «Ententy» — wszyscy, nie wyłączając marszałka sejmu.

Oparłem się więc na bardzo nielicznych ludziach. Książkę «Rok 1920» posłałem z dedykacją czterem tylko ludziom. Są to: Piskor, Stachiewicz, Wieniawa i Prystor (mój przyjaciel). Całą ofensywę na Ukrainę układałem z pomocą dwóch tylko ludzi — Wieniawy i Stachiewicza; później przyłączył się do nich Stanisław Radziwiłł. Powiedziałem o tej pracy Stanisławowi Hallerowi, gdy już była gotowa, bo też w Sztabie każdy cudzoziemiec mógł czytać, co chciał, i tajemnice dochodziły do Niemców i bolszewików. Żadnego tam nie było sekretu. Francuzi czytali wszystko, a co wiedzieli Francuzi, to mogli wiedzieć i Anglicy, co Anglicy, to Włosi, co ci wszyscy — to

Niemcy, a od Niemców i bolszewicy. Nic dziwnego, że niektóre operacje nie były w Sztabie należycie przygotowane.

Mało było ludzi, przyzwyczajonych do t. zw. buchalterii wojny. Wśród legionistów było takich ledwo kilku. Wyższe wykształcenie do tego mieli tylko oficerowie z armii austriackiej. Oni to utworzyli to, co nazwałem mafią austriacką: komunikowali pewne rzeczy tylko swoim ludziom, nie innym. Na czele stanął Szeptycki; opierał się temu Stanisław Haller, ale potem i on przystąpił.

W Naczelnym Dowództwie działy się olbrzymie nadużycia. Prawdopodobnie i wielu posłów sejmowych maczało w nich ręce: niejedna fortuna poselska wyrosła z nadużyć w gospodarce wojskowej, zwłaszcza brudna była sprawa rozdrapania materiałów zdobycznych, wziętych na Niemcach. Wtedy zmusiłem Paderewskiego, żeby podczas swych częstszych odjazdów powierzał zastępstwo Wojciechowskiemu, ministrowi spraw wewnętrznych, i razem z nim próbowałem walczyć z tym złem. Zacięte były walki z Zarządem Ziem Wschodnich, bo tam chciano, co można, zachować dla miejscowej ludności. Chciano wymusić nagły rozkaz, aby dla wojska kupować wszystko za wszelką cenę. Odmówiłem Stanisławowi Hallerowi podpisu pod takim rozkazem. Wtedy, po zwycięstwie wileńskim 1919 r., powstało Naczelne Dowództwo dla spraw ekonomicznych. Ale w prowadzeniu wojny zupełnie się nie liczyłem ze zdaniem Naczelnego Dowództwa. Zwycięstwa odnosiłem tak, że porzucałem na j... pies inne sprawy, rzucałem się w jedną stronę, obejmowałem dowództwo i zwyciężałem. Zwycięstwa odnoszone były pod moim batem. Pisano w Sztabie Generalnym dużo, ale nic z tego się nie robiło. Rozwadowski pisał ciągle różne projekty — efemerydy. Trzymałem go w 1920 r. na stanowisku szefa Sztabu, bo z austriackich oficerów on jeden nie upadł moralnie».

NIECO O BIURZE HISTORYCZNYM

(3, 5, 12, 14, 21, 22 października i 6 listopada 1925 r.)

Walka polityczna z Piłsudskim znachodziła swój wyraz również w tendencjach umniejszania zasług wojennych Piłsudskiego. Temu celowi służyła metoda przypisywania czynów Naczelnego Wodza komuś innemu lub tendencyjnego wywyższania zasług innych generałów dla umniejszenia roli Piłsudskiego.

Taką tendencję wyczuł Piłsudski również w dwóch artykułach umieszczonych w zeszycie sierpniowym 1925 r. miesięcznika «Bellona», poświęconym piątej rocznicy bitwy warszawskiej: w artykule gen. M. Kukiela: «Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej» i w artykule gen. J. Zająca: «Bitwa 5-tej armii nad Wkrą».

Ostrej krytyce tych artykułów poświęcona jest niżej przytoczona praca Piłsudskiego, ogłoszona w numerach «Kuriera Porannego» z dnia 3, 5, 12, 14, 21, 22 października i 6 listopada 1925 r.

Rozbicie tej pracy na szereg artykułów wynikło tylko z konieczności techniki dziennikarskiej. Niewolnicze trzymanie się chronologii według dat opublikowania poszczególnych części tej pracy rozerwałoby jej ciągłość przez wstawienie następnego utworu Piłsudskiego między przedostatnią a ostatnią część tej pracy. Tekst podajemy według «Kuriera Porannego» z dni wyżej wymienionych.

I

Istnieje taka instytucja, która zowie się Biurem Historycznym Sztabu Generalnego [1]) w Polsce. Mieści się ona na placu Saskim. Nikt albo przynajmniej bardzo niewiele osób wie o istnieniu tej instytucji, nikt albo niewielka tylko grupka ludzi wie, co ona czyni lub co zamierza czynić. Jednym słowem, ciche, skromne, w ukryciu pracujące biuro, najmniej chyba głośne ze wszystkich biur w Polsce. Nie zajmowałbym się i ja tym biurem w obecnej dobie, gdy złoty chwieje się, a ze złotym razem chwieje się i wielu ludzi w Polsce, gdyby to biuro nie zechciało się zajmować mną, t. j. Józefem Piłsudskim. Trochę głośniej o biurze może mówić zaczęto, gdym na zjeździe legionistów w swoim odczycie [2]) postawił tezę, że historycy powinni być ostrożni przy dotykaniu dokumentów historycznych doby obecnej, gdyż te są fałszowane lub niszczone. Słyszałem nawet, że to biuro w jego pracy ma zastąpić z tego powodu nowa instytucją, mianowicie «Komisja Historyczna» [3]), która, choć ma także zajmować się moją, t. j.

[1]) Biuro Historyczne Sztabu Generalnego było w roku 1925 instytucją zależną od Szefa Sztabu Generalnego. Zadaniem jego było gromadzenie i konserwacja aktów operacyjnych oraz opracowanie naukowo-wojskowe historii Polski. Szefem Biura był w omawianym okresie gen. Marian Kukiel.

[2]) Mowa o przemówieniu wygłoszonym na Zjeździe Legionistów w dniu 9 sierpnia 1925 r., por. t. VIII, str. 196—208.

[3]) W tym właśnie czasie zbierała się komisja dla zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku, zwołana przez ministra spraw wojskowych z powodu zarzutów Marszałka Piłsudskiego przeciw Biuru Historycznemu.

Józefa Piłsudskiego osobą, ma przy tym unikać zetknięcia ze mną, a wyjaśnień ma jej udzielać nie kto inny, jak szef owego Biura Historycznego [1]). Dlatego też zdecydowałem i ja zająć się tym Biurem.

Mam przed sobą właśnie pracę historyczną tego Biura. Mianowicie — «Bellona», miesięcznik wojskowy, wydawany przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, wydał, jako tom XIX, zeszyt 2, w sierpniu tego roku tom pod tytułem «Bitwa Warszawska 1920 roku» [2]). Redakcja tego miesięcznika [3]) była tak grzeczna, że wysłała mi ten tom do Druskienik z dodatkiem, drukowanym na książce, głoszącym, że jest to «Egzemplarz Naczelnego Wodza». «Bitwa Warszawska», gdy ją się przejrzy, jest właściwie zbiorem studiów i artykułów bardzo różnej wartości, bez jednolitego opracowania i jednolitego kierunku. Są tam rzeczy dobre, bardzo sumienne, i rzeczy, odwrotnie — złe, nawet bardzo złe. Nie chcę się zatrzymywać nad całością tej pracy, gdyż wygląda tak, że tytuł nie odpowiada treści i że zatem oczekiwać należy, że wydany w sierpniu tom jest chyba początkiem dla dalszej jakiejś, nieznanej jeszcze pracy. Zatrzymać jednak chcę się nad tym, co mnie dotknęło i co, zdaniem moim, w sprzeczności jaskrawej stoi z pojęciem o historii i jej zadaniach.

Każdego ze studiujących historię interesują zawsze źródła, na których oparta jest ta czy inna książka czy studium historyczne. Jest to zrozumiałe: są źródła znane i poglądy historyków na daną kwestię czy okres historyczny już utarte, i wtedy szuka się jedynie, czy i jak daleko odbiega pogląd

---

[1]) Aluzja do tego, że chociaż komisja miała rozpatrywać zarzuty, skierowane przeciw Biuru Historycznemu, wskazówki dla jej prac, referaty, zestawienia materiałów i tym podobne opracowywał szef tegoż biura.

[2]) Był to zeszyt specjalny wydany w piątą rocznicę bitwy warszawskiej, a zawierał następujące artykuły: Gen. bryg. Marian Kukiel: «Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej», mjr Józef Moszczeński «Rosyjski plan bitwy nad Wisłą w 1920 roku», kpt. Adam Borkiewicz: «Koncentracja nad Wisłą», gen. bryg. Józef Zając: «Bitwa 5-ej armii nad Wkrą», mjr Sztabu Generalnego Edward Perkowicz: «Bitwa pod Warszawą w sierpniu 1920 i jej kryzys», oraz ppłk. Sztabu Generalnego Tadeusz Różycki: «Możliwość interwencji konnej armii Budiennego w bitwie warszawskiej». Część autorów (Kukiel, Moszczeński, Borkiewicz, Perkowicz) byli to pracownicy Biura Historycznego, pozostałe prace powstały z materiałów i na podstawie dyrektyw Biura Historycznego. Stąd też, jakkolwiek nie było to nigdzie zaznaczone, zeszyt ten był publikacją Biura Historycznego.

[3]) Redaktorem «Bellony» był w tym czasie płk. dr Wacław Tokarz.

piszącego od utartego, znanego już poglądu. Lecz gdy się spostrzeże, że badacz oparł swój pogląd na nowych, nieznanych dotąd źródłach, interes czytającego zawsze wzrasta, gdyż historia bez źródeł dla niej, sumiennie i krytycznie zbadanych i z innymi źródłami zestawionych, jest po prostu bajką. ba, często próbą pisania historii «ad usum delphini» [1]). Co do mnie, znając zwyczaje historyków, przebiegam zwykle, nim zacznę czytać, notatki u dołu stronic, gdzie piszący notuje źródła, na które się powołuje. Często liczność tych notatek jest tak wielką, że podejrzewałem nieraz piszących, że się chwalą publicznie swoją erudycją i oczytaniem w źródłach: dokumentach, listach czy dziełach innych historyków. Tak bowiem wielkim jest mus historyka, szanującego siebie, by go nie podejrzewano o fantazjowanie lub przypochlebianie faworytom, wybranym przez siebie. Tak też postąpiłem, gdym z ciekawością, ze względu na tytuł, otworzył książkę o «Bitwie Warszawskiej» z nadpisem «Egzemplarz Naczelnego Wodza».

Przeglądałem więc cytaty, zaczynając, naturalnie, od początku. Tom zaczyna swym utworem czy artykułem p. Kukiel, generał brygady i wychowaniec uniwersytetu, wszechnicy Jana Kazimierza [2]). Artykuł ten historyczny ma tytuł «Pierwsza wytyczna operacji warszawskiej». Tytuł trochę dziwaczny i pretensjonalny, przeczący tytułowi książki «Bitwa Warszawska». Niech tam! Przeglądam więc cytaty. Źródła są i nowe, wcale mi nieznane przy dotychczasowych mych pracach nad tym samym przedmiotem. Przypomniało mi to, co prawda, list mój otwarty do szefa Sztabu Generalnego [3]) w Polsce o prywatnych dokumento-zbiorach, zamkniętych dla Naczelnego Wodza, lecz widocznie otwartych dla szefa Biura Historycznego i wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza [4]). Lecz trudno!... Natomiast z pewną autorską dumą znalazłem u dołu drobnym drukiem — do czego spieszę wyznać, nie mam pretensji — i moje nazwisko. Trafiłem do historyków! Wyraźnie stoi napisane: «Rok 1920 — Józef Piłsudski». Przyjemnym mi

[1]) Dosłownie: do użytku następcy tronu francuskiego, tzn. dla przysłużenia się któremuś z dygnitarzy.

[2]) Generał Kukiel ukończył studia historyczne na uniwersytecie lwowskim imienia Jana Kazimierza i tam też otrzymał tytuł doktorski.

[3]) Por. List z powodu komunikatu Szefa Sztabu Generalnego, t. VIII, str. 212—215.

[4]) Aluzja do licznych, w odnośnikach w artykule Kukiela cytowanych, dokumentów generała Rozwadowskiego, szefa Sztabu Generalnego w okresie bitwy warszawskiej, które zostały oddane do Biura Historycznego dopiero w roku 1925. Nie było ich zatem w archiwum w czasie, kiedy Marszałek Piłsudski pisał swój «Rok 1920» (1924).

to było i sądzę, że postąpiłem, jak może najczęściej postępują początkujący pisarze, zacząłem sprawdzać cytaty, chociażby dla przyjemności odczytania raz jeszcze ustępów ze swego dzieła.

Mój Ty, Boże! Zdumiałem! Przejrzałem i porównywałem kilka razy, nie chcąc oczom wierzyć. Cytaty w stosunku do pracy Naczelnego Wodza z jego książki, podpisanej imieniem i nazwiskiem — nie pseudonimem — w «utworze» p. Kukiela, generała brygady i szefa Biura Historycznego w Sztabie Generalnym w Polsce, a zarazem wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza, uczonego w licznych seminariach historycznych i bodaj mającego z tego tytułu prawo do dodania przed swoimi innymi tytułami magicznych specjalnie w wojsku liter «Dr» — nie są wcale historyczne. Cytaty te przynajmniej w «Egzemplarzu Naczelnego Wodza» z książką tego Naczelnego Wodza nic a nic wspólnego nie mają. Nieprawdaż, dziwne odkrycie?! Dziwna historyczność Historycznego Biura i historycznego tegoż biura szefa. A jednak jest to prawda najzupełniej oczywista. Zacznę od najśmieszniejszej, lecz za to najbardziej pieprznej i pikantnej.

Rozdział drugi artykułu wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza ma podtytuł — «Ocena położenia. Decyzja». U dołu zaś wymienione jest pomiędzy innymi źródłami — «Piłsudski l. c., str. 164 i nast.» [1]). Istotnie, gdym otworzył swą książkę «Rok 1920», znalazłem akurat na tej stronie słowa: «Przede wszystkim sprostować chcę dziwaczne twierdzenie p. Tuchaczewskiego, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu całej wojny pobierałem sam, nie zwołując żadnej rady». Poza tym na tej samej stronicy słowo «decyzja» użyte jest trzy razy w najrozmaitszych odmianach i raz jeden użyte jest jako synonim słowo: «rozstrzygnięcie». Z tego punktu widzenia, bardzo zresztą formalnego, cytata wychowanka wszechnicy Jana Kazimierza jest zupełnie słuszna i nic jej zarzucić nie można. Zgodna nawet jest z drugą częścią podtytułu szefa Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce — «Decyzja». Lecz poza tym, jak już napisałem, nie znalazłem ani w treści, ani w szczegółach, z wyjątkiem paru, które dalej wiernie zanotuję, nic wspólnego w artykule p. Kukiela z książką, cytowaną przez niego a napisaną przeze mnie, t. zn. ówczesnego Naczelnego Wodza.

---

[1]) Wszystkie cytaty z dzieła «Rok 1920» podane są według wydania 1-szego. Por. t. VII, str. 109.

Zacytowałem samego siebie, twierdząc wbrew Tuchaczewskiemu, że żadnej narady ani rady nie zwoływałem, na to p. Kukiel stwierdza odwrotnie, że «narady nie były protokółowane», tak nie były protokółowane, że «nie dochowały się też żadne szkice i bruliony z czasów przed 6 sierpnia». Narady więc były i wobec tego, że wychowanek uniwersytetu Jana Kazimierza stale w opisie tych narad miesza Naczelnego Wodza do tych narad, «uzgadniając» go stale nie z kim innym, jak z gen. Rozwadowskim, szefem Sztabu Naczelnego Wodza, wie zatem lepiej, niż ja, co ówczesny Naczelny Wódz czynił i robił. Jest jednak jeden szczegół w tym uzgadnianiu, jasno wypisany na stronicy 126 w tomiku «Bellony». Szczegół ciekawy i całkiem mnie, Naczelnemu Wodzowi, nieznany, znany jednak dobrze widocznie szefowi Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce, który to szczegół pomimo stałego uzgadniania «w decyzji» mnie z moim szefem sztabu świadczy o głębokiej różnicy poglądów. Mianowicie, gdy Naczelny Wódz, co w ogólnych zarysach zgadza się z moją książką «Rok 1920», upierał się przy prowadzeniu kontrataku od południa, szef Sztabu (niech w nawiasach napiszę Generalnego) «powracał raz po razu do myśli dwustronnego oskrzydlenia przeciwnika», «doprowadzając do manewru według wzoru Cannae». Brawo! Uczeń Schlieffena [1])! Strzeżcie się, bolszewicy z Tuchaczewskim! «Hannibal ante portas» [2])! Hannibal i wielki hrabia Schlieffen niemiecki razem wzięci!

Wyznaję otwarcie, że gdym to czytał, uśmiałem się tak szczerze i tak serdecznie, jak dawno się nie śmiałem. Ileż tu bowiem bezwiednego humoru! W zasadzkę wciągnięci bolszewicy, jak wilki, nie, śmieszniej jeszcze — jak kaczki, czy kuropatwy [3]), od Berezyny: sławnej Auty, aż pod Warszawę, aby «doprowadzić do manewru według wzoru Cannae». Drżyjcie! «Hannibal ante portas»! Mam nadzieję jednak, że nawet p. Kukiel, wychowanek historyczny wszechnicy Jana Kazimierza, nie zechce mi zarzucać, że ja, Naczelny Wódz, o tym wiedziałem. Jeśli bowiem «narady nie były protokółowane», jak

[1]) Alfred von Schlieffen, feldmarszałek niemiecki, szef sztabu generalnego w latach 1891—1905, wybitny teoretyk wojskowy, wydał dzieło po tytułem «Cannae», w którym manewr dwustronnego oskrzydlenia, wykonany przez Hannibala przeciw Rzymianom pod Kannami w roku 216 przed Chrystusem, stawiał jako wzór działania operacyjnego.

[2]) Hannibal przed bramami.

[3]) Aluzja do odezwań się gen. Rozwadowskiego, który radził dowódcom frontowym z humorem «wystrzelać bolszewików śrutem jak kaczki».

pisze ten szef Biura Historycznego, i nawet «nie dochowały się też żadne szkice i bruliony z czasów przed 6 sierpnia», to gdy takowe nagle znajdą się w prywatnych dokumento-zbiorach, to może już nie będą historyczne.

II

Pomimo całej śmieszności Hannibalskich czy Schlieffenowskich prac Kukiela czy mego szefa Sztabu (w nawiasie dodam — najgeneralniejszego bo... w Polsce) wychowanek historyczny wszechnicy Jana Kazimierza, cytując książkę swego Naczelnego Wodza i posyłając do niego swój utwór historyczny z nadpisem «Egzemplarz Naczelnego Wodza», każe mu pracować dla wydobycia decyzji przez «ocenę położenia» nie inaczej, tylko tak, jak chce Hannibal czy Schlieffen. Gdy więc «takie w przybliżeniu myśli mogły być rzucone w toku n a r a d na placu Saskim» [1]) (cytuję szefa Biura Historycznego, stronica 128), «w nocy z 5 na 6 sierpnia Wódz Naczelny, pracując nad decyzją, ogarniał myślą sytuację własną i przeciwnika» (l. c. stronica 128). Zaczął więc myśleć Wódz Naczelny. Od czegoż zaczął? A no: «Na południu nieprzyjaciel pobity, ale nie zniszczony, wkrótce wznowić może działania zaczepne w większym stylu. Na północy bitwa trwa, — prowadzona z najwyższą energią i wolą zwycięstwa. Nieprzyjaciel jest tu niewątpliwie w pewnym stopniu związany i pod wrażeniem zaciętości oporu i przeciwnatarć» (l. c. stronica 128). Tak zaczął myśleć Naczelny Wódz u szefa Biura Historycznego w Sztabie Generalnym Polski, tak zaczął myśleć Naczelny Wódz historycznie w historycznym utworze wychowanka historycznego wszechnicy Jana Kazimierza. Więc pytać się godzi, co za skutek z tego założenia, które wprost twierdzi, że na południu jest gorzej, niż na północy? Chyba wprost ten, że trzeba, by północ pomagała południowi, by choć część wojska ze zwycięskiego prawie skrzydła północnego wyciągnąć, by zapobiec grożącym «działaniom zaczepnym nieprzyjaciela w większym stylu». «Większy styl» północy nie grozi, gdyż nieprzyjaciel jest tam nie tylko związany, lecz nawet pod wrażeniem zaciętości oporu i przeciwnatarć. Nadzwyczajne! Potem bowiem ku wielkiemu przerażeniu Naczelny Wódz formalnie i zgodnie z istotną historią — zdecydował wyciągnąć właśnie z południa pomoc dla północy.

---

[1]) Na placu Saskim (dziś Marszałka Piłsudskiego) mieści się gmach Sztabu Generalnego.

Biedny Naczelny Wódz, jakiż on głupi!! Nie słuchał rad Hannibala i Schlieffena, wyrzekł się «manewru według wzoru Cannae». Biedny! nie miał przy sobie gen. brygady Kukiela, szefa obecnego Biura Historycznego i wychowanka wszechnicy od Jana Kazimierza i Marii Kazimiery, popełnił głupstwa bez dwustronnego oskrzydlenia «według wzoru Cannae». Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie północ, gdzie południe — nie wiedział; nie wiedział, gdzie lepiej, gdzie gorzej. Biedny, biedny Naczelny Wódz, który, gdy zaczął myśleć, popełnił od razu głupstwo, gdyż sam wyraźnie pisał w swej książce, cytowanej zresztą przez historyka od historycznych studiów, że południe było silne moralnie, północ znacznie pod tym względem słabsza, że na południu było lepiej, na północy gorzej, że zaczepne działania i to nie w większym, lecz największym stylu groziły właśnie na północy, że z tego powodu znegliżował «style» znacznie mniej groźne na południu. Jednym słowem, Naczelny Wódz zupełnie się skompromitował, gdy tylko zaczął myśleć na stronicy 128 tomu sierpniowego miesięcznika wojskowego «Bellona». Ach, jakiż on kiep, ten Naczelny Wódz w sierpniowym tomie «Bellony»!!

Nie mogłem się wstrzymać od próby utrzymania — zgodnie zresztą z moją często głoszoną zasadą — powagi Naczelnego Wodza. Przeczytałem więc po tej kompromitacji Naczelnego Wodza na początku stronicy 128 historycznego tomu sierpniowego «Bellony» i całą 128. Lecz nie «następne», ale wyraźnie 129 i całą 130. Trochę odetchnąłem. Zaraz bowiem na tejże stronicy 128 coś się zmieniło. Mianowicie — w wierszu 13 od dołu okazuje się, że «własne siły zaangażowane prawie, reszty silnie zużyte bojowo i stopniałe liczebnie»; w 11 wierszu od dołu, na tejże 128 stronicy «lewe skrzydło tej (4-ej) armii nie wytrzymuje». Nie dosyć: w 10 wierszu od dołu, na tejże 128 stronicy, «armia 1-sza rozerwana na dwie części», w 9 wierszu już jedna z tych części jest «stłoczona przez siły przeważające w widły Bugu i Narwi». Ratuje jeszcze trochę sytuację fakt, że w wierszu 7 od dołu «grupa Roji jeszcze stosunkowo wysunięta naprzód», lecz biedna grupa już w 6 wierszu jest «zagrożona odcięciem i osaczeniem». Nic dziwnego, że kalkulacja na samym dole stronicy 128, malującej myślenie o «ocenie sytuacji» u Naczelnego Wodza, «musiała wypaść niekorzystnie dla naszej strony», bo «struna, naprężona do niemożliwości, może pęknąć z godziny na godzinę».

Psiakrew!!! Zepsuło się coś na południu, gdzie nieprzyjaciel — w 16 i 17 wierszu od góry «oceny sytuacji» Naczelnego Wodza na tejże stronicy 128 sierpniowego zeszytu «Bel-

lony», — groził «wznowić zaczepne działania w większym stylu». Zaczął pewnie ten «większy styl» wcale ładnie, gdy na północy — na tejże stronicy szefa Biura Historycznego, jednak w wierszu 18 wychowanka uniwersytetu i wszechnicy Marii Kazimiery i Jana Kazimierza — nieprzyjaciel jest tu niewątpliwie jednak w pewnym tylko stopniu związany, ale jest pod pod wrażeniem zaciętości oporu i, oho! — «przeciwnatarć»*)!!!

Biorę jednak w ręce książkę Naczelnego Wodza, t. j. moją, i rzucam okiem na różne stronice. Ależ na Boga! Toż to na północy biła się «rozerwana na dwie części» 1-sza armia, na północy też była 4-ta armia z grupą poleską i Brześciem, armia, której «lewe skrzydło nie wytrzymuje», na północy też wysunięta grupa Roji, której grozi «odcięcie i osaczenie». Na północy, gdzie «stylu» nieprzyjacielskiego żadnego nie ma, gdzie tylko «jego energia zaczepna nie jest wyczerpana». Na północy wreszcie jest stolica Warszawa, z której pod wrażeniem «większego stylu» działań zaczepnych nieprzyjaciela wyjeżdża delegacja, jadąc do głównej kwatery nieprzyjacielskiej żebrać — jak piszę w swojej książce — o pokój. Nawiasem mówiąc, o tym wszystkim u pana szefa Biura Historycznego Sztabu Generalnego w Polsce nie ma ani słowa, ani mru-mru.

Więc Wódz Naczelny, myślący o decyzji i ocenie sytuacji — na str. 128 u wychowanka uniwersytetu i wszechnicy Marii Kazimiery i Jana Kazimierza, — tańczy chyba historycznego kankana. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie północ, gdzie południe, gdzie «styl» przeciwnatarć i działań zaczepnych, gdzie portas, a gdzie Hannibal, gdzie Cannae, a gdzie hr. Schlieffen — sam już nie wiem. Ależ, panie Kukiel! Maria Kazimiera szlocha, a Jan Kazimierz krzyżem leży w katedrze lwowskiej, błagając o przebaczenie dla swego uniwersytetu «sub auspiciis imperatoris» «mit der» «eximia cum laude» [1]).

*) Przyznaję się tu do fałszywej cytaty z szefa i generała brygady Biura Historycznego. Mianowicie, słowa: «jednak», «ale» i «oho» — (wraz z myślnikami i wykrzyknikami), są mojemi, nie wychowanka od uniwersytetu. Nie mogłem wytrzymać od pikantności i pieprzności «oceny sytuacji Naczelnego Wodza».

[1]) Pod patronatem cesarza z najwyższą chwałą. — Eximia cum laude, formuła używana w dyplomach doktorskich. Doktorat «sub auspiciis imperatoris» otrzymywał w Austrii ten, który wszystkie studia ukończył ze stopniem najwyższym.

III

Dlaczego p. Kukiel cytował mnie «Piłsudski l. c. 164 str. i nast.»? Męczyło mnie to pytanie, gdym odczytywał kilka razy stronicę 128 w sierpniowym tomie «Bellony». Nie mogłem się pogodzić z myślą, żem mógł poplątać na jednej stronicy w swojej książce północ z południem, gdym tyle stronic przed tą 164 stronicą napisał o rozbiciu naszych wojsk właśnie na północy, gdym nawet podziwiał energię, rozwiniętą przez nieprzyjaciela w «działaniu zaczepnym w większym stylu» nie gdzie indziej, jak na północy. Nie mogę nie myśleć, że taki błąd w myśleniu popełniają ludzie tylko pod wpływem afektu, namiętności lub w potrzebie przypodobania się. Siebie o ten afekt oskarżyć nie mogę, chyba p. gen. brygady z Biura Historycznego przy Sztabie Generalnym w Polsce, autora utworu w sierpniowym tomie «Bellony».

Gdym stronicę 128 przebrnął, wziąłem się z pewną niechęcią do stronic 129 i 130. Szukałem siebie. Doznałem doprawdy trwogi i z niepokojem obejrzałem się dookoła. Wydało mi się bowiem, że się rozdwoiłem. Przypomniałem z trwogą siebie samego w owych czasach sierpniowych, gdym samotny chodził po pokoju w Belwederze i męczył się tak swoją bezsilnością, że — jak piszę na stronicy 170 (ta należy do cytowanych jako «nast.») mojej książki — «ten nonsens założenia męczył mnie tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawą mojej rachuby czy mojej decyzji». Męczył zaś mnie tak silnie mus liczenia się z trwogą stolicy, skąd wyjeżdżali posłowie, mający żebrać o pokój, wyjeżdżali zaś do głównej kwatery nieprzyjacielskiej [1]), jak zwykle bywa przy przegranej wojnie. Nonsens zaś polegał na tym, żem z tej trwogi bał się z odcinka pasywnego, przeznaczonego na obronę, wyciągnąć wojsko dla kontrataku i manewru, gdyż sił do tego manewru brakowało. Co prawda, była to próba oskrzydlenia jednostronnego, manewru nie «według wzoru Cannae». Nie byłem Hannibalem!!

Zasadniczego tego motywu trwogi o państwo i jego stolicę nie ma ten rozdwojony mój osobnik, którego poszukiwałem dokoła siebie, gdym odczytywał na stronicach 129 i 130, jak ten inny Naczelny Wódz, co się Historycznemu Biuru tak podoba, myśli o sytuacji. Jest to stanowczo inny człowiek,

---

[1]) Mowa o wyjeździe pokojowej delegacji polskiej do Mińska Litewskiego w okresie zbliżania się wojsk bolszewickich do Warszawy.

bardzo mało mi znany, bardzo dziwnie odnoszący się do obowiązków Naczelnego Wodza, który obok tego był Naczelnikiem Państwa. Jak innym jest ten oddzielny osobnik, można sądzić z drobnego szczegółu. Mianowicie, na str. 130 «Bellony» w wierszu 15 od dołu ten inny osobnik mówi o sobie: «Wódz Naczelny ocenia zrazu to, co może wziąć bez nadmiernego ryzyka z południa, na jedną brygadę piechoty, zapewne myśląc o tej 6-tej dywizji piechoty, której połowa walczy już na północy, oraz garstkę jakąś kawalerii». No, proszę! Nawet ten mądry szczegół jest znany. Dziwnym zbiegiem okoliczności szczegół ten zupełnie niezgodny jest z tym istotnym Naczelnym Wodzem, który był Naczelnikiem Państwa i nazywał się Józefem Piłsudskim. Ten w swojej książce pod tytułem «Rok 1920» na str. 172[1]) (więc należącej do kategorii «nast.»), zaczynając od 3 wiersza z góry, pisze wyraźnie: «Wszystkie więc kombinacje, które w tej właśnie dziedzinie w nocy z 5 na 6 sierpnia robiłem, dawały mi tylko możność wyciągnięcia z południa — jeśli nie chciałem zanadto ryzykować — jakichś dwóch pułków piechoty i może jakiej brygady kawalerii». Gdy zaś chodzi o numery dywizyj, to nie tylko nie myślałem o 6-tej dywizji, lecz myśl swoją zaznaczyłem bardzo wyraźnie na str. 173, zaczynając od wiersza 13 z dołu, słowami: «natomiast nakazałem jako konieczność wyciągnięcie z frontu południowego dwóch dywizyj, 1-ej i 3-ej, dla wzmocnienia kontrataku atakującej grupy». I dla każdego, znającego mój stosunek do poszczególnych części wojska, jasnym jest, że żądałem, abym miał dla kontrataku te jednostki, którym najbardziej ufałem.

Doprawdy, trwoga o to, że jestem rozdwojony, stale wzrastała, gdym czytał 129 i 130 stronice «Bellony» i gdym się zagłębiał w utwór historycznego szefa Historycznego Biura. Zdołałem jednak zaraz ustalić hipotezę, że to nie ja jestem rozdwojony, lecz jest nim sam p. Kukiel. Dlaczegożby nie? Dosyć sobie wyobrazić, że tak jest, że p. Kukiel rozdwoił się i że w pewnych momentach życia jest po prostu p. Kukielem, a w innych nagle wyrasta w swych oczach i staje się Józefem Piłsudskim i Naczelnym Wodzem, a także i Naczelnikiem Państwa, i już sprawa jest wyjaśniona. Musiał się biedak mocno napocić swoją niemądrą głową, by tak zbzikować megalomanicznie.

Jedno mnie męczyło i dręczy nieco dotychczas: po co właściwie p. Kukiel cytuje, mówiąc przy tym wyraźnie, że cytuje Piłsudskiego? Nie pasuje to do postawionej hipotezy. A je-

[1]) Por. t. VII, str. 117.

dnak próbuję i to wyjaśnić. P. Kukiela, gdy jeszcze nie był megalomanem, uczono i to uczono ciągle w seminariach historycznych w uniwersytecie cytować, cytować i cytować; opierać się na źródłach i cytować je w licznych referatach i dyskusjach. Tak usilnie wtłaczana w mózg praca pozostaje potem jako nieodbita konieczność. Jeżeli megalomania i związane z tym rozdwojenie osobistości jest chorobą, to obserwowałem takie np. jej objawy. Jeden badany obiekt tego rodzaju wyobrażał sobie, że był Wszechmocnym, nie przeszkadzało mu to jednak zbierać po kątach okurki od papierosów i zaciągać się dymkiem z ogryzionych kawałków papieru.

Dziwaczna ta zmiana Naczelnego Wodza na Kukiela od Biura Historycznego w najgeneralniejszym Sztabie — bo w Polsce — przypomina mi ostrzeżenie, które dałem legionistom na zjeździe tegorocznym. Mianowicie, twierdziłem wtedy — gdym jeszcze nie wiedział, co wychowanek od uniwersytetu, p. Kukiel, napisał o sierpniowych wypadkach 1920 r. w sierpniowym tomie «Bellony» — twierdziłem więc, że jeżeli legioniści i szanujący prawdę historyczną nie wezmą się do pracy, to wkrótce dowiemy się, że Piłsudski wcale nie istniał, a że wszystko to, co niektórzy przypisują Piłsudskiemu, zrobił Sikorski [1]). Kto wie, żartowali niegdyś legioniści, znajdą się historycy, którzy stwierdzą, że Piłsudski był to pseudonim Sikorskiego. Nie! tak nie jest! na razie zastąpić ma Naczelnego Wodza w komisjach historycznych szef Biura Historycznego, jakiś Kukiel, a w historycznych historycznościach tegoż Biura zamiast Naczelnego Wodza ma myśleć i mówić p. Kukiel, wychowanek od uniwersytetu.

Gdy jednak na chwilę odrzucałem te śmieszne i dziwaczne hipotezy, związane z Naczelnym Wodzem i p. Kukielem, pozostawał smutny i bardzo brzydko świadczący o Polsce fakt, że Naczelny Wódz napisał książkę o swoim dowodzeniu, że szef Biura Historycznego wojska polskiego tę książkę cytował i że cytatę tę w treści najspokojniej sfałszował. Naczelni wodzowie na całym świecie mają to do siebie, że ich szanują. Gdy zaś z imieniem któregoś z tych naczelnych wodzów związane są zwycięstwa — szanują ich w dwójnasób. Kiedy zaś zwycięstwa kończyły się zwycięską wojną, szanują ich w trójnasób. W Polsce jest inaczej. Jakiś Kukiel, wychowanek od uniwersytetu, ma przed sobą książkę, napisaną przez Naczelnego Wodza, — dobrze! Może odnosić się do niej tak czy inaczej. Ba! Może uważać, że myśli Naczelnego Wodza były błę-

[1]) Por. t. VIII, str. 207.

dne, były głupie, nikt mu w tym przeszkodzić nie jest w stanie. Jest to jego prawo niezaprzeczone. Lecz, zrobiwszy cytatę z książki Naczelnego Wodza, treść jej zamilczeć, przerobić ją tak, że wydać się musi temuż Naczelnemu Wodzowi śmieszną i to o tyle śmieszną, że zmuszony jest pisać tak długo o oficjalnym historyku Naczelnego Wodza, można tylko w narodzie i w Biurze Historycznym wojska, nie szanującego ani sztandarów, na których wypisane są hasła «Honor i Ojczyzna» [1]), ani krwi tych, co pod rozkazami tegoż Naczelnego Wodza za ten honor i za tę ojczyznę ją przelali. Niewątpliwie, smutny objaw! Ale wobec licznych smutnych objawów spróbujmy iść dalej w analizie.

IV.

Wszystkie hipotezy o tym, że Kukiel albo dla interesu, albo dla chorobliwego stanu udaje Naczelnego Wodza, wróciły z całą siłą, gdym na str. 131, na samej górze tej stronicy, już w 3 jej wierszu przeczytał: «Z tą gotową decyzją zjawił się rano 6 sierpnia Wódz Naczelny na konferencji w Belwederze, w której wzięli udział szef Sztabu Generalnego i wiceminister». Jak to, zjawił się? I gdzie? W Belwederze? Co się stało? Po co miał się «zjawiać», gdy tam, zdaje się, mieszkał od dawna. W książce mojej na str. 173 [2]) (i ta należy do «nast.») powiedziano: «Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją czy kombinacją...» Rozumiem.

Szef Biura Historycznego w najgeneralniejszym ze sztabów — bo w Polsce — generał brygady i wychowanek uniwersytetu, doktór Kukiel, zjawia się zawsze u szefa Sztabu i u wiceministra. Gdzieżby mu się meldowały te wysokie osobistości! Tego nigdy nie widział. Gdy więc dla interesu albo dla chorobliwego stanu udawać zaczął Naczelnego Wodza na stronicach oficjalnej «Bellony», od razu «zjawił się» na samej górze 131 stronicy na konferencji z szefem Sztabu i wiceministrem z gotowym... papierkiem. Naczelny Wódz był na stronicach «Bellony» i w «utworze» szefa od historycznej historyczności Kukielem. Gdzież się podział Naczelny Wódz we własnej osobie?

---

[1]) Zwrot ten jest aluzją do ówczesnej organizacji w wojsku, noszącej nazwę «Honor i Ojczyzna», na czele której stał gen. Sikorski. Żartobliwie w języku piłsudczyków, organizacja ta była nazywaną «H_2 O.».

[2]) Por. t. VII, str. 118.

Stawiam też dla p. Kukiela hipotezę równie dobrą, jak jego utwór. Naczelny Wódz zmienił się w kaczkę belwederską. Kaczka, jak wiadomo, Hannibalskiego śrutu spod Cannae boi się niezmiernie. Wyfrunęła więc z konferencji belwederskiej i uleciała daleko, daleko. Poniosło ją licho hen! — na błota poleskie, gdzie mężny rycerz pokrywał te błota huraganowym ogniem swoim i nieprzyjacielskim, czyniąc z nich dla nikogo, prócz kaczek, zrywających się w sitowiach, zupełnie nieprzystępną fortecę. Dlatego też zaręczyć mogę, że na zjawiającej się belwederskiej konferencji Naczelny Wódz nie był wcale. Był tam tylko Kukiel, jako Naczelny Wódz, i inne personaże.

Próba prostowania takich historycznych utworów, jak utwór szefa Biura Historycznego, należy do prac najtrudniejszych, jakie sobie wyobrazić można. Nieledwie co słowo, a już na pewno co parę wierszy podkreślać trzeba ołówkiem, jako fałsz wierutny. Oto, na tejże stronicy 131, gdzie p. Kukiel od Biura Historycznego «zjawił się» u szefa Sztabu Generalnego i wiceministra, już w 6 wierszu tenże historyk od historyczności Biura Historycznego pisze: «Szef Sztabu Generalnego referował d w a warianty manewru od południa: z koncentracją 4-tej armii bliżej Warszawy i koncentracją jej za Wieprzem». W mojej książce «Rok 1920» na str. 173 ja, istotny Wódz Naczelny, piszę: «Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze j e d n ą propozycją czy kombinacją».

Mógł pan historyk od wojska polskiego, cytując Naczelnego Wodza i jego książkę, powiedzieć, co chce o myślach, pamięci tegoż Naczelnego Wodza. Mógł na podstawie dokumento-zbiorów historycznej historyczności Biura Historycznego od Sztabu Generalnego w Polsce stwierdzić, że zdanie, opinia, myśl czy pamięć Naczelnego Wodza niezgodna jest z tym, co wie taki Kukiel. Lecz udawać Naczelnego Wodza, fałszywie go cytować, naiwnie a chytrze liczyć na brak sprostowania, bez końca, bezczelnie, z małpim grymasem udawać człowieka, można tylko... w Polsce.

Na chybił trafił wybieram z innych stronic podkreślone przeze mnie piękności historycznego utworu szefa Biura Historycznego. Oto, w 11 wierszu z góry na stronicy 129 znajdują się wiekomądre słowa Kukiela, reprezentujące myśli Naczelnego Wodza: «Same przez się te odwody Wodza Naczelnego nie będą dosyć silne, by wywalczyć zwycięstwo; uczestniczyć w bitwie musi z pełną energią całe wojsko; ale wojsko to jest

bliskie wyczerpania i zużycia». Konia z rzędem temu, kto to głupstwo zrozumie, sto koni z rzędem temu, kto ten nonsens wyczyta w dziele Naczelnego Wodza, cytowanym przez historycznego szefa od historii wojska polskiego.

Oto drugi ustęp, zaopatrzony przeze mnie przy czytaniu dwoma wykrzyknikami. W 20 wierszu od dołu na tejże 129 stronicy mam nową piękność swoich — Naczelnego Wodza — rozmyślań: «Nasuwa się wniosek, że sił, niezbędnych do zwycięstwa, nie uda się zebrać n a d B u g i e m». Gdzie Rzym, gdzie Krym; gdzie Hannibal, gdzie Schlieffen; gdzie Cannae, gdzie portas; gdzie śrut, gdzie huraganowy ogień; gdzie kaczka, gdzie Belweder; gdzie Bug, gdzie Wieprz; gdzie Historyczne Biuro, gdzie uniwersytet Jana Kazimierza — a gdzie Kukiel, udający Naczelnego Wodza, tego już nikt nie zrozumie. Mogę zaręczyć, że w noc z 5 na 6 sierpnia nie mogłem myśleć — bo byłbym osłem — o zbieraniu sił do zwycięstwa nad Bugiem.

Wstyd mój, wyznaję, nie jest mały. Oficjalny historyk wojska, którym dowodziłem, którego sztandary ozdobiłem laurem zwycięstwa, tak dawno nieznanym w historii polskiej, oficjalny, powtarzam, historyk, wyznaczony do tego przez władze wojskowe, niezgrabnie, z fałszywym uśmiechem udaje Naczelnego Wodza w sposób tak bezczelnie głupi, w sposób tak nikczemnie mały! Dzieje się zaś to w kilku latach po zwycięstwach, odniesionych w chwili, gdy młode państwo i jego stolica drżały pod ciosami nieprzyjaciela i gdy wszędzie wymazywano już imię Polski z pomiędzy żyjących państw i narodów. Nie mogę nie powiedzieć, że niemały «geszeft» musi prowadzić p. Kukiela, gdy przedsięwziął swe dzieło.

Nazwałem go poprzednio doktorem «historiae sub auspiciis imperatoris «mit der» maxima cum laude». Nie chcę w ten sposób ubliżać ani starej Austrii, gdzie istniał starodawny zwyczaj na uniwersytetach wyróżniania przez koronę wybitnie odznaczających się wychowanków wszechnic państwa austriackiego, — nie chcę też dotykać naszych wszechnic polskich w tym państwie, mianowicie uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie. Chcę dotknąć specjalnie stosunku tego państwa do Polski. Pamiętam swoje olbrzymie zdziwienie, gdym przejrzał książeczkę historii ojczystej, używaną w szkołach początkowych w Królestwie Galicji i Lodomerii wraz z Księstwem Krakowskim, Zatorskim i Oświęcimskim [1]). Znalazłem ku swemu zbudowaniu bardzo mało o historii dawnej Polski, bardzo dużo o historii dynastii habsburskiej i wreszcie wcale niemało

[1]) Oficjalny tytuł b. zaboru austríackiego.

o dobrodziejstwach dla Polski i łaskach wielkich, na nią spływających z dobrych i serdecznych rządów imperatorów. Wydawało się, czytając, że wielkość i szczęście Polski zaczyna się od rozbioru. Ogromnie się obawiam, że pisał podręcznik ten historyk, również doktór, wychowanek któregoś z wymienionych uniwersytetów, historyk, zdumiewająco podobny do doktora Kukiela. Tak, ten Kukiel ładnie cytuje!! Zobaczmyż jeszcze jedną cytatę!

V.

Nim przystąpię do omówienia jeszcze jednej cytaty z książki Józefa Piłsudskiego, Naczelnego Wodza armii polskiej w r. 1920, cytaty, zrobionej w oficjalnym utworze szefa Historycznego Biura tejże armii polskiej, zrobię próbę analizy cytaty innej, gdzie wspomniane jest imię jednego z moich przyjaciół. Jest nim francuski generał, ówczesny szef misji wojskowej w Warszawie, gen. Henrys [1]). Cytata ta uczyniona jest na stronicy 115 oficjalnego miesięcznika «Bellony» przez tegoż Kukiela. W notatce u dołu tej stronicy Kukiel pisze dosłownie: «1) O konferencji tej 27 lipca mówi obszernie pismo gen. Henrysa do wiceministra i do szefa Sztabu Generalnego 3 sierpnia 1920 r. 1753/E. M.». Zaznaczam od razu, że na tej konferencji 27 lipca nie byłem wcale i nigdy o tak ważnym zdarzeniu nie wiedziałem. Lecz co najciekawsze, przy studiach dokumentów przed napisaniem książki mojej pod tytułem «Rok 1920», dokumentu, cytowanego przez Kukiela, w ręku nie miałem i na oczy nigdy nie widziałem. Wobec tego zaś, co mówiłem na odczycie moim w sali miejskiej stołecznego miasta Warszawy, ostrzegając historyków, by się nie opierali na dokumentach historycznych ząbkującej państwowości polskiej, gdyż dokumenty są często kradzione albo fałszowane, boję się, że ucierpieć na tej patriotycznej pracy mogę nie tylko ja osobiście, ale i każdy z moich przyjaciół.

Gen. Henrys zacytowany jest przez doktora Kukiela w ten sam sposób, jak był cytowany i Naczelny Wódz generała brygady doktora Kukiela. To znaczy: bez przytoczenia ani jednego słowa z cytowanego źródła, lecz po prostu cytowany wsadzony jest, jak Piłat w Credo, w dopiski u dołu stronicy dla wykazania, zdaniem moim, erudycji historycznej doktora Kukiela i domieszania powagi i autorytetu czyjegoś do niesmacznego plagiatu. Doktór, wychowanek uniwersytetu i historyk

[1]) Zob. t. V, str. 80.

historyczności Biura Historycznego, niestety, armii polskiej, twierdzi, że przyjaciel mój, gen. Henrys, «zapisał ów plan operacyjny na podstawie zakomunikowanych mu na konferencji 27 lipca przez szefa Sztabu Generalnego, gen. Rozwadowskiego, powziętych już decyzyj». (Str. 115 «Bellony», wiersze 4, 5, 6 i 7 od góry tej znakomitej stronicy). Na czymże owa decyzja polegała?

Biorę moją książkę do ręki i szukam odpowiedniego miejsca. Doktór «maxima cum laude» nie cytuje mnie w tym miejscu, natomiast wplątuje mnie mimochodem do tej głupiej historii na poprzedniej stronicy (114, wiersz 12 od dołu), gdzie «Wódz Naczelny oczekuje wyniku tej operacji do końca lipca». Prawdą jest, że to oczekiwanie Wodza Naczelnego tyczy się czego innego, ów zaś «plan operacyjny», omawiany na «konferencji 27 lipca», jest całkiem czym innym, lecz w takich wypadkach styl doktora «sub summis auspiciis» staje się tak zaplątanym i tak oryginalnym, że Wódz Naczelny wraz z gen. Henrysem idą pod rękę z Kukielem od Biura Historycznego, gen. Rozwadowskim, ba, płk. Piskorem, gen. Romerem i t. d., i t. d. Żwawym krokiem kroczy gęsie pióro doktora «cum laude» po mapach, papierach, cytatach, nazwiskach i wszelkich innych potrzebnych dla celów rzeczach. Wie, że wyprostowanie plagiatu i fałszu wymaga znajomości sprawy nieprzeciętnej i pracy prostowania każdego nieledwie słowa, każdego frazesu, każdego przecinka. Może liczyć, że w komisjach historycznych, «ad hoc» już obecnie zwoływanych, referować będzie równie żwawo myśli Naczelnego Wodza, każdego z generałów, pułkowników, ba, poruczników! Referować będzie «ad maiorem gloriam» tych, którzy do historycznej historyczności armii polskiej go postawili.

Już wspomniałem, że na str. 114 i na str. 115 idzie o dwa plany operacyjne, tak całkiem rozbieżne, że mieszać je razem może tylko plagiat, albo... taki pan, co wojska i operacyj wojskowych nie rozumie wcale. Streszczam pierwszy plan według mojej książki, gdyż doktór, szef Biura Historycznego armii polskiej, pisząc historię tego planu, chociaż ma moją książkę pod nosem, nie chce być tak ścisłym, jak jest ścisłym dla drugiego planu wraz z konferencją 27 lipca z przyjacielem moim, generałem francuskiej służby Henrysem. Na str. 155 [1]) mojej książki w 15 wierszu od dołu streszczam ten plan mój w sposób następujący: «Kołem rozpędowym wojny na południu była jazda Budiennego i nie sądziłem, by mi było trudno, po usu-

[1]) Por. t. VII, str. 101—102.

nięciu lub przynajmniej znacznym unieszkodliwieniu tej jazdy, wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzie pomiędzy Kowlem i Brześciem i wraz z grupą poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym». Zwracam uwagę na znaczenie dla tego planu dwóch wymienionych miejscowości, dwóch węzłów kolejowych, będących w owe czasy jeszcze w naszym posiadaniu i połączonych pomiędzy sobą doskonałą szosą. To też na następnych stronicach (156 i 157) [1]), w moim rozumowaniu, z powodu oddania Brześcia, Kowel wspomniany jest aż trzy razy. Oto najważniejsza z tego rozumowania cytata na str. 157 [2]) (dodam w nawiasie, że doktór «sub auspiciis» Kukiel cytuje potem — naturalnie fałszywie — stronice 156 i 157). «Było to dla mnie ważne, (czy Sikorski długo utrzyma Brześć), gdyż rozmyślnie zostawiłem na Stochodzie część 3-ej armii dla osłony od wschodu całego rejonu Kowla, gdzie w tym czasie zamierzałem koncentrować siły do kontrataku, gdy uda mi się skończyć z Budiennym». Takim więc jest plan pierwszy, związany o tyle ściśle ze mną, a nie z żadną konferencją, że wyjechałem osobiście do Chełma, aby być bliżej miejsca operacji, po której dużo sobie obiecywałem.

Oto zaś jest «ów plan operacyjny», gdzie doktór «maxima cum laude» Kukiel zczepia mego przyjaciela, gen. Henrysa, wraz z konferencją 27 lipca i decyzjami, które znalazły swój wyraz w rozkazie operacyjnym Naczelnego Dowództwa (tego «genus neutrum» [3]), wykastrowanego z indywidualności i odpowiedzialności dowodzenia). Oto jest ten plan nieledwie Hannibalski, czy Schlieffenowski, czy nawet niebotycznie prześcigający obu w swojej potędze. «Manewr odwrotowy będzie wyzyskany do odtworzenia odwodów frontu, skupionych w dwie masy (lubię to słowo!! — przypisek mój, Józefa Piłsudskiego): jedną w Brześciu (9-ta i 14-ta dywizje), drugą w Ostrowiu (11-ta dywizja i 7-ma brygada rezerwowa»).

To jedno! Niechby sobie kto i fantazjował! Lecz co najważniejsza: «Po zwycięstwie na południu 2-ga armia i znaczna część jazdy przejdą w okolice Siedlec, jako masa manewrowa Wodza Naczelnego». Jest to wyraźnie napisane u doktora Kukiela w końcu samym 114 i na początku 115 znakomitych stron «Bellony». Kowel więc, jako punkt wyjściowy do kontrataku ku północy, jest już opuszczony, pozostają Siedlce, będące na tyłach grup, walczących w owe dni na Bugu. Cudowna zmiana!!

[1]) Por. t. VII, str. 102—104.
[2]) Por. t. VII, str. 102—104.
[3]) Rodzaj nijaki.

Gdyby ktokolwiek policzył marsze, które nieszczęsna armia spod Beresteczka i Brodów musiałaby przemaszerować, by dojść do Siedlec, oddalonych od Kowla o 100 z górą kilometrów; gdyby ktokolwiek zechciał zrozumieć, że wszelki kontratak wtedy byłby połączony z dwukrotnym przekraczaniem Bugu — raz, by osiągnąć Siedlce, drugi, by atakować spod Brześcia, — ten mógłby w przybliżeniu ocenić genialność wysokich kombinacyj, przekraczających natchnienie zwycięzcy spod Cannae, wielkiego Hannibala, i rozum nauczyciela armii niemieckiej, hr. Schlieffena, marzącego o Cannae na największą skalę. Po co jednak mieszać do tego gen. Henrysa, który «nalegał na jak najrychlejsze zakończenie operacyj przeciw Budiennemu», czym jako ten generał zakończył «konferencję z 27 lipca».

Gdy te czasy przypominam, pamiętam, że była mowa o stworzeniu rezerw, zebranych koło Siedlec i, o ile sobie przypominam, że dla tego celu wyciągniętą została zmaltretowana silnie podczas odwrotu hr. Szeptyckiego 2-ga dywizja legionowa. Natomiast uważałbym siebie po prostu za śmiesznego, gdybym choć przez chwilę myślał o zakończeniu zwycięstwa nad Budiennym takim haniebnym odwrotem aż pod Siedlce. Zwycięstwo upoważnia do znacznie śmielszych kroków i te właśnie zamierzałem, licząc (powtarzam raz jeszcze), że Brześć utrzymanym będzie tak, abym mógł najkrótszą drogą — naturalnie, nie via Siedlce — przez Kowel nadążyć pod Brześć. Tak, jak jasno zaznaczałem we wszystkich wypadkach w swojej książce, liczyłem na to, że znajdę zebrane siły (prawie 3 dywizje) grupy poleskiej, które dotąd w bojach zaangażowane nie były poważnie i cofały się jedynie dlatego, ponieważ cofały się wszystkie wojska. Grupa poleska bowiem nie miała nigdy przeciwko sobie żadnego poważnego nieprzyjaciela.

Lecz doktór Kukiel od «maximae laudes» cytuje moją książkę tylko dlatego, by przyplątać mnie do swoich pomysłów lub hannibalskich, codziennie zmieniających się planów operacyjnych. Generał brygady od historii ma widocznie inny interes, niż uczciwie stanąć do oczu swemu Naczelnemu W... dzowi, gdy chce go krytykować, co, powtarzam raz jeszcze, zawsze jest w historii dozwolone. Wobec tego pięknego historycznego wychowania historycznego szefa Historycznego Biura ogromnie obawiam się, że gen. Henrys, mój przyjaciel, dzieli u p. Kukiela mój los. Cytowany jest, bo p. Kukielowi dla «maximae laudes» jest to wygodne. Cytuje go bowiem, lecz ani jednego słowa z treści, choćby przez grzeczność, nie przytacza.

VI.

Przechodzę teraz do zanalizowania drugiej cytaty z mojej książki. Chciałem ją sprawdzić tym bardziej ochoczo, że tliła jednak we mnie jeszcze nadzieja, iż tym razem ten generał brygady, chociaż od bardzo złej historii, zechce być grzeczniejszym w stosunku do Naczelnego Wodza armii polskiej, Wodza, który nie tylko bitwy, lecz i całą bardzo trudną wojnę potrafił zakończyć zwycięstwem. Idzie tu o stronice w «Bellonie» 120, 121 i 122.

Od razu zawód ciężki mnie spotkał, gdy przeczytałem cytatę. Oto dosłownie ta cytata. Na dole p. Kukiel ze mną polemizuje otwarcie. Musi mieć widocznie nadzwyczaj wielkie po temu powody, czyli po prostu wygody. «Rozmowa juzowa Rozwadowski—Kutrzeba 2 sierpnia, godzina 21. Por. u Piłsudskiego l. c. str. 156—7 [1]), gdzie daty niedokładnie zapamiętane; wiadomość o upadku Brześcia miano w Chełmie dopiero 1-go koło północy i nie zwlekano doby z decyzją». Poważne muszą być motywy, gdy p. Kukiel w tym wypadku zmienia metodę. Zamiast cytować Naczelnego Wodza tylko u dołu w drobnym druku, zastępując go Kukielem, gdzie druk jest wielki, jak on sam, — widzieliśmy to przy poprzedniej cytacie — teraz, cytując same stronice (156 i 157 mojej książki), od razu, tymże drobnym drukiem, rzuca mię do polemiki z Rozwadowskim i Kutrzebą i to 2 sierpnia, natomiast ubliża mojej pamięci dla powiedzenia, że «nie zwlekano doby z decyzją». Wobec tego, że nie ma w treści, to znaczy w tym, co Kukiel pisze wielkim, jak on sam, drukiem, ani słowa o tym polemicznym zwrocie i nic, ale zupełnie nic o treści 156 i 157 stronic z mojej książki, wobec tego, że w wielkim druku Kukiel zadawała się znowu tylko swoim, wielkiego Kukiela, rozumowaniem, muszę i ja dla celów sobie postawionych pisać prawie wyłącznie o tej oryginalnej cytacie z włączoną do niej polemiką ze mną — Naczelnym Wodzem tegoż generała brygady od fałszywych cytat i fałszowania historii.

Spróbuję przy tym wykryć to, o co właściwie temuż doktorowi Kukielowi idzie, gdy tak zabawnie ze mną, Naczelnym Wodzem, polemizuje.

Gdy w swojej książce szukałem odpowiedniego miejsca, gdzie są użyte słowa, z którymi w przypisku p. Kukiel polemizuje, znalazłem je od razu na stronicy 157, w wierszu 16 z dołu, gdzie piszę: «Po upadku tej niby fortecy (mowa o Brze-

[1]) Por. t. VII, str. 103—104.

ściu) dobę całą przetrzymałem, nie zmieniając rozkazów, pomimo, iż dowódca 3-ej armii, gen. Zieliński, znajdował się w Kowlu, miejscu mojej koncentracji, z otwartą zupełnie flanką u północy». Czytelnik niechybnie przypomni, jak za pomocą cudownej metamorfozy z przeciągnięciem na pomoc gen. Henrysa, mego przyjaciela, plan mój, związany z Kowlem, zmienił się na hannibalskie Siedlce. Jest to zupełnie ściśle związane z polemiką ze mną o «dobę czekania».

Pojmuję, że sprawa cała wydać się musi bardzo zawikłana. Zawikłana nawet dla ludzi, obeznanych z wojną i jej pracami; cóż dopiero mówić o ludziach, który z alfabetem tej pracy nie zetknęli się i powoli tylko sylabizują, często nie rozumiejąc roboty wyższego na wojnie dowodzenia. Dla tych maluczkich przeznaczona jest praca Kukiela. Spotkałem przecież względnie niedawno jednego z moich przyjaciół, oficera rezerwy, który po pobieżnym zresztą przeczytaniu utworu Kukiela uznał, że Kukiel jest jednak trochę «adoratorem Komendanta». Dla tych to maluczkich ten historyk historyczności Biura Historycznego armii polskiej, przez Józefa Piłsudskiego prowadzonej tak niedawno do zwycięstwa — dla nich to żwawo maszerując gęsim piórem po mapach i planach Hannibalów od Cannae i Siedlec, czyni grymasy historyczne dla zaplątania całej sprawy roku 1920. I nie warto być może tracić słów tyle dla tego pamfletu, gdyby po pierwsze p. Kukiel nie reprezentował armii polskiej i myśli Naczelnego Wodza nawet w «ad hoc» zwoływanych komisjach historycznych i gdyby nie zajmowała mnie myśl — po co właściwie ta praca jest czyniona, gdzie są jej cele i zamiary i kto płaci koszta tego zgrabnego po mapach i planach spaceru tej Kukielinki.

Żwawym, tanecznym krokiem stanęła Kukielinka z gęsim piórkiem do swych «pas» [1]). Więc «pas à la» Hannibal! Czy śrut na kaczki, czy huraganowy ogień na te same kaczki z Polesia, to jedno. Brawo, brawo, Kukielinka! Pod paszką teczka i z daleka jaśnieją napisy «Honor i Ojczyzna», gdzieś nieco z tyłu w kolorach narodowych wstęgi z nadpisem «Historyczna historyczność Biura Historycznego Armii Polskiej». Brawo, brawo, Kukielinka!!

Jak widzieliśmy, wszystko, co historycznym, wielkim drukiem garmontowym [2]) jest w «Bellonie», należy do Kukielinki i teczki Naczelnego Dowództwa, istoty płci nijakiej, wykastrowanej jednak niezupełnie od hannibalskich skłonności.

---

[1]) Krok taneczny.

[2]) Specjalny rodzaj czcionek drukarskich.

Naczelny Wódz ze swymi myślami, do których się przyznał głośno w swej książce, wygnany jest do drobnego druku cytatowego. Nic z niego w garmoncie i powiewnych podskokach Kukielinki nie ma. Ależ doskonale! Od razu zgłaszam, że absolutnie nie mam żadnej pretensji i do tańców z trzymaniem w ramionach Kukielinki nie mam żadnej chęci. Powtarzam, Hannibalem nie jestem i dlatego w swej książce wbrew świetnemu poprzednikowi Kukielinki, ukrywającemu się pod pseudonimem, autorowi świetnego dzieła «Kampania 1920 w świetle («excuses du peu») [1]) prawdy» [2]) nie wspomniałem o wszystkich hannibalskich efemerydach, rodzących się i ginących w godzinie jednej, jak ćmy, lecące na światło. Więc do tanecznych zawodów nie staję i zadowolony jestem ze swego losu, losu, aby być cytowanym drobnym drukiem u dołu stronic, bez efektu w garmoncie i w wielkim druku, metody, szefa Historycznego Biura dotąd zanalizowanej, metody historycznie niezwykle podejrzanej, metody, z powodu której już pytałem — «cui bono» to się czyni, «ad cuius maiorem gloriam» [3]) tańczy zalotnie Kukielinka?

Starałem się potem wykazać, że przy drugiej cytacie z mojej książki metoda szefa Historycznego Biura armii polskiej nieco zmienia się na gorsze czy na lepsze, doprawdy nie wiem, — staje się jednak nieco inną. Staje się bardziej celową i bardziej jasną. Zalotnie tańcząca dla czyjejś większej sławy Kukielinka w jakiejś bardzo zawiłej i zawikłanej figurze tanecznej — gdzieś woła Piskora z Kutrzebą, coś mruga do Rozwadowskiego i juzowych rozmów [4]), gdziesi nawet boczny ukłon składa Naczelnemu Wodzowi, wreszcie w upojeniu tańca chwyta jakiś kończyk munduru czy spodni mego przyjaciela francuskiego, gen. Henrysa, a ucieszona tym, niezmiernie zalotnie przykryła w grubym wielkim druku Kowel, by z naiwną minką po konferencji 27 lipca (na której ja nie byłem) spod cudów spódniczki wydobyć — hannibalskie Siedlce.

Stwierdzam więc, że w całej mojej książce ani o konfe-

[1]) Wybaczcie nieco.

[2]) Mowa tu o anonimowej broszurze «Kampania roku 1920 w świetle prawdy», Lwów, 1921. Pilsudski napisał o tej broszurze ustęp bardzo zjadliwy w «Roku 1920». Por. tom VII, str. 111.

[3]) Dla czyjej większej sławy.

[4]) Aluzja do częstych w przypisach powoływań się na publikacje generała Piskora oraz rozmowy «hughesowe» Piskora (w czasie bitwy warszawskiej szefa Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa), pułkownika Kutrzeby (szefa sztabu frontu południowo-wschodniego), gen. Rozwadowskiego i t. d.

rencji 27 lipca mowy nie ma, nie ma też ani chwili zastanawiania się nad Siedlcami, za to jest zastanawianie się nad Kowlem. Ten dziwny pociąg, taka ciągotka rozmownej baleriny historycznej do fałszowania wszędzie Naczelnego Wodza, gdzie go tylko zacytuje, dało jej też możność reprezentowania myśli, zasad i czynności tegoż Naczelnego Wodza nie tylko w Historycznym Biurze armii polskiej, lecz i w historycznej komisji. Brawo! Bohaterzy od jednostronnych protokółów i honoru i historii ojczyzny! Brawo i sama spódniczkowa Kukielinko!! Lecz jeszcze raz — po co to wszystko się czyni, «cui prodest»[1]) ta taneczna historyczna robota, dla kogo te teczki z nadpisem «Honor i Ojczyzna»? Ciekawe zagadnienie.

VII.

Przed omówieniem sprawy odtańczonego (mówiąc stylem wojskowym) Kowla, który w książce mojej zajmuje parę stronic druku, cytowanego właśnie przez historycznego szefa Historycznego Biura, przed próbą analizy motywów kuglarstwa nóg i rąk Kukieliny przy wydobywaniu spod spódniczek «hannibalskich Siedlec» — przedtem, dla wyjaśnienia i dla próby znalezienia pobocznych dowodów, przejrzałem oczywiście cały «Egzemplarz Naczelnego Wodza», przysłany mi do Druskienik w postaci sierpniowego tomu «Bellony». Jak już nadmieniłem na początku, są tam prace niezłe i studia dobre, lecz są i bardzo złe. Do złych i złośliwie ułożonych należy taniec Kukielinki na stronicach «Bellony». Jest nim artykuł wstępny. Do bardzo złych, lecz nadzwyczajnie śmiesznych zarazem, należy inny artykuł w stylu Kukiela, artykuł, który nazwałbym «Operetką w czterech odsłonach nad Wkrą» [2]). Istne arcydzieło! Znajdujemy i w tej operetkowej pracy podobną tendencję, co w balecie Kukielinki.

Gdy czytałem ten utwór, pomimo śmiechu, odczuwałem głęboką przykrość, że biedne wojsko, które tyle pracy włożyło w obronę stolicy w roku 1920, które nad tą Wkrą tak krwawo i męczeńsko się napracowało, doczekało się takiej reklamiarskiej historii swej pracy. Reklamę doprowadzono bowiem aż do komizmu przez przesadę.

Mamy więc w pierwszej odsłonie cudowny taniec rzek.

---

[1]) Komu się przydaje.

[2]) Mowa tu o artykule gen. Józefa Zająca «Bitwa 5-ej armii nad Wkrą».

Jak autor mówi, armia Sikorskiego otrzymała «skromne» zadanie. Lecz rzeki okazały się «nieskromnymi», równie «nieskromnymi», jak taniec huraganowego ognia na błotach poleskich [1]). Mianowicie Orzyc [2]) w dziarskich hołubcach sunął ku wdzięcznie mizdrzącej się Wkrze. Dyryguje z dala Kukielinka, żonglując z Sikorskim teczkami o napisie, z dala świecącym: «Honor i Ojczyzna». W Modlinie zbierają się stare heroje departamentowo-legionowe [3]), a Hannibale na tych zjazdach modlińskich sławę Cann obiecują. «Dalej, drogie rzeczki, śmiało idźcie w «nieskromne» tańce, a my zaśpiewamy: «Patrz, Kościuszko, na nas z nieba». Stare, piękne legionowe dzieje przypominają się herojom w Modlinie. I na rozkaz herojów skoczyły namiętne rzeki poprzez góry, poprzez lasy, by się złączyć w uścisku i utonąć w sobie. Bo idzie o rzecz niemałą: na rozkaz herojów od Orzyca aż po Wkrę ma być zwycięstwo odniesione nad 15-tą, 3-cią i 4-tą armiami nieprzyjaciela. Legną w prochu nieprzyjaciele, w prysiudach idące w niewiadomym kierunku, legną wszystkie armie i dywizje — bo tak chcą heroje, co dawne dzieje wspominają, «nieskromne» uniesienia poprzeć zawsze gotowi. A wszystko się dzieje ku większej sławie «najnieskromniejszego» bohatera z Departamentu Wojskowego z murów Piotrkowa — Sikorskiego.

Tańczcie, rzeki polskie, jak ongiś w Departamencie Wojskowym tańczono, tańczcie namiętnie — Kukielinka dyryguje! Sikorski z Departamentu musi pobić wszystkie armie pomiędzy Orzycem a Wkrą. Nie może ujść herojowi nie tylko armia, lecz dywizja, nie tylko dywizja, lecz pułk — to jest cel utworu pod tytułem: «Bitwa 5-ej armii nad Wkrą».

Gdy się ten utwór przegląda, nawet bez dokładnej znajomości historii sierpniowych bojów nad Wisłą 1920 r., niepodobna powstrzymać się od śmiechu. Tak operetkowo i groteskowo ta rzecz jest napisana. Wyznać muszę, że przez chwilę myślałem, iż to ktoś chciał wydrwić Sikorskiego i jego ra-

---

[1]) Aluzja do meldunków sytuacyjnych generała Sikorskiego w czasie jego dowodzenia grupą poleską, które w przesadny sposób przedstawiały trudności taktyczne tej grupy.

[2]) Orzyc — rzeka, wpadająca do Narwi od północy powyżej Pułtuska. Wkra — dopływ północny Narwi koło Modlina. Według pierwotnego planu miały siły północnego skrzydła zatrzymać nieprzyjaciela na Orzycu, faktycznie odwrót poszedł aż do Wkry i z tej rzeki dopiero rozpoczęto przeciwnatarcie.

[3]) Aluzja do odprawy, która odbyła się w Modlinie, w sztabie 5-ej armii generała Sikorskiego, a na którą zjechali: generał Józef Haller, dowódca frontu północnego, jego szef sztabu, pułkownik Zagórski i generał Rozwadowski.

porty, pisane z tych bojów. Tyle w tym nonsensów i tyle bezwiednego komizmu. Zaczyna się to od nagłego zamiaru, by wtedy, gdy wszyscy się cofają, pójść ze skromnymi siłami z Modlina aż za Orzyc pod Ostrołękę. Cóż to szkodzi herojowi ze szkoły Departamentu Wojskowego N. K. N.? Gdy zaś siły ma zwiększone i gdy, zdawałoby się, heroiczny zamiar bardziej jest możliwy, zaczyna kontentować się Wkrą, która płynie tuż pod Modlinem. Heroje wtedy, zebrane w Modlinie, decydują, że mają rozbić 15-tą armię sowiecką. Lecz na ich nieszczęście idzie na Modlin nie 15-ta, ale 3-cia armia. W meldunkach jednak, zgodnie z decyzją herojów, bita jest ciągle 15-ta, która właściwie sama bije słabe oddziały awangardy armii Sikorskiego, gdyż cała reszta tej armii jest zaangażowana przeciwko 3-ej armii nieprzyjaciela, atakującego uporczywie Modlin. Kończy się owa śmieszna plątanina słów i krzyków o zwycięstwach odebraniem Nasielska od 3-ej armii sowieckiej i to z wielkim trudem. «W dniu 16 sierpnia główne siły 15-ej armii i część 3-ej armii nieprzyjacielskiej zostały pobite i odrzucone w kierunku północno-wschodnim».

Jeżeli zatrzymuję tak długo czytelnika nad tym operetkowym artykułem, to dlatego, iż przyczynił się on znakomicie — przynajmniej dla mnie — do wyjaśnienia pytania, po co właściwie w Biurze Historycznym armii polskiej historia uprawiana jest w tak swoisty, kukielinowski sposób. Przyczynia się to do wytłumaczenia, dla kogo właściwie tańczy tak zalotnie Kukielinka, gdy fałszywie cytuje Naczelnego Wodza tejże armii polskiej, której Biurem Historycznym rządzi generał brygady Kukiel. Wspomniałem przy tym o herojach legionowych, co w Modlinie swoje zjazdy nad Wkrą czynili. Wspomnienia legionowe należą do tych, dla których zawsze mam pewną słabość serdeczną.

Przeproszę więc z góry każdego z czytających, że nieco nad tymi wspomnieniami o herojach się zatrzymam. Są one zresztą ściśle związane z generałem brygady Kukielem, autorem utworu w «Bellonie». Nieraz bowiem już w przeszłości legionowej, tak mało, niestety, znanej w Polsce, łączą się wszystkie imiona herojów legionowych, co się nad Wkrą zebrali w r. 1920, z historykiem armii polskiej.

Heroje legionowe z nad Wkry, Józef Haller, Zagórski i Sikorski, mieli w Legionach zupełnie specjalną, powiedziałbym specyficzną sławę. Pobudzała ona do wybuchów śmiechu bodaj wszystkich legionistów i cytowana była z niesmakiem w sztabach austriackich i niemieckich. Niekiedy wydawało mi się, że jest to specjalna intryga austriacko-niemiecka, gdy tych,

co nazywali «das sind die echten Legionäre» (są prawdziwymi legionistami), wykpiwali otwarcie za ich istotnie humbugowy i groteskowy od chwalb styl raportów i opowiadań o bohaterskich czynach swoich. Gdy była mowa o patrolu, wychodzącym na przedpole zasiek drucianych, — trąbiono w huczne trąby o zwycięstwie legionowego żołnierza; gdy przyprowadzono jednego nieszczęśliwego jeńca — grała już cała orkiestra symfoniczne utwory herojów. Kiedy zaś dokuczyli już wszystkim tą nieznośną brzęczącą nutą, wymyślali straty, poniesione w bojach, dla udowodnienia tej chwalby. Znana jest w Legionach anegdota, jak z t. zw. c. i k. Komendy Legionów telefonowano o konieczności wysłania patrolu do jakiegoś źródełka przed drutami, gdyż sytuacja wydawała się taką, iż «garantirować można straty przy Quelli» [1]).

Są dokuczliwe muchy, podobno lubujące się w gnoju — które męczą ludzi hucznym, a jakby zupełnie pozbawionym sensu lotem. Jakby nerwy, podrażnione pustotą wartości muszego żywota, wyładowywały się w bezmyślnym ciągłym przelatywaniu z miejsca na miejsce jedynie dla zrobienia przykrości huczliwym nonsensem. «Die echten Legionäre», jak tych herojów legionowych z drwiącym uśmiechem nazywali Niemcy, byli takimi muchami, jak mnie się zdawało, nasłanymi na nas, legionistów, dla upokorzenia Legionów i dla usprawiedliwienia różnych względem nich sekatur i prześladowań. «Die echten Legionäre!!!» Raritas «und Spezialitäten!!!» [2]) Ale za drwiny, no i za przyjemniejsze rekompensaty mieli protekcje i to protekcje niemałe. Wobec tego, że nawet buty zdejmowali zwycięsko, więc nawet pucybuty zwycięzcy otrzymywali gwiazdki i szlify, także dlatego, by być «auch echte Legionäre».

Lecz gdy Józef Haller i Zagórski zajmowali się zwycięstwami bliżej frontu, do tyłów dla zwycięstw wydelegowany był Sikorski — szef Departamentu i to Wojskowego. Ten szalał referatami. Referatami zasypywał wszystko: i biura szpiegowskie niemieckie i austriackie, i wszystkich możliwych i niemożliwych polityków austriackich, no i wszystkie posterunki «agitacyjne», rozsiane po ogłupiałej od wojny Polsce. Referaty te byłyby ciekawą podstawą dla badań jakiejś komisji historycznej, która może, mając «dokument», przez jakiekolwiek «biurko» przedstawiony, uwierzyłaby w dziwnie zabawne pod

[1]) Wyrażenie to było użyte przez jednego z oficerów austriackich z Komendy Legionów w 1915 r., wypowiedziane w żargonie niemiecko-polskim — wykpiwane było, jako jaskrawy objaw tej metody rozmyślnego szukania strat, by nimi udowodnić swoje bohaterstwo.

[2]) Rzadkość i specjały.

względem historycznym rzeczy. Dowiedziałaby się bowiem ta komisja, że w Piotrkowie przebywał w owe legionowe czasy jeden mąż, zwany szefem Departamentu Wojskowego N. K. N., pułkownik Sikorski, który pomimo swej skromnej funkcji miał olbrzymie znaczenie światowe. Od niego bowiem zależało, komu będzie oddana korona polska. Czy królem polskim będzie sam cesarz austriacki Karol, czy jego kuzyn, arcyksiążę Karol Stefan [1]), czy do Warszawy zjedzie który z książąt saskich, czy wreszcie stanie kandydat wirtemberski, bawarski, ba — sam cesarz niemiecki, Wilhelm, lub który z jego synów. Wszystko to zależało albo bezpośrednio od płk. Sikorskiego, szefa Departamentu w dodatku Wojskowego N. K. N., albo od tego, by adresat, dla którego przeznaczone były te referaty, w czymkolwiek pomógł temu wybitnemu mężowi stanu, ubranemu nieskromnie w skromny mundur pułkownika Legionów. W czymkolwiek, no — chociażby w powtórzeniu szeptanej na ucho przy wręczaniu referatu, ubliżającej komukolwiek, zwykle fałszywej, czy brudnej plotki.

Nadto, według tych historycznych referatów, zależało nie od kogo innego, jak od tegoż Sikorskiego, czy wojsko polskie będzie w ogóle istniało, czy też trzeba się rozstać z tym marzeniem, gdyż I Brygada Józefa Piłsudskiego tak zbrodniczo i niepatriotycznie się zachowuje. Od Sikorskiego też zależało w myśl tych referatów, czy ilość polskości (np. trochę mniej czy więcej języka polskiego) będzie w owym wojsku dopuszczona, przy czym zawsze doradzano w referatach umiarkowanie w dobijaniu się praw dla tego języka, gdyż zagrożona będzie możliwość, by Polak (czytaj Sikorski) był młodszym referentem w dziale personalnym w biurze ministerium honwedów polskich.

Pytanie więc, które stawiam, polega na zagadnieniu: czy można napisać historię owych czasów legionowych na podstawie referatów Sikorskiego, szefa Departamentu Wojskowego N. K. N.? Przypuszczam, że można byłoby znaleźć historyka — naturalnie, nie bezinteresownego — który, opierając się na tych «dokumentach historycznych», mógłby udowodnić, że w r. 1916, 1917 i 1918 w Piotrkowie był zapoznany w owe czasy mąż stanu — Sikorski — przed którym od czasu do czasu drżał Paryż, Londyn, Moskwa, Petersburg, ba — nawet Portugalia! Mniej więcej postępuje w ten sposób i p. Kukiel, gdy spokoj-

[1]) Arcyksiążę habsburski Karol Stefan z Żywca wymieniany był przez pewien czas, w okresie wojny, przez politycznych plotkarzy, jako domniemany kandydat na tron polski.

nie opiera wszystkie swe wywody na «juzowanych» rozmowach gen. Rozwadowskiego o koncentracji w Siedlcach. Opuszcza przy tym p. Kukiel zupełnie w swych rozważaniach cytowaną zresztą moją książkę «Rok 1920», w której ani słowa o koncentracji w Siedlcach nie ma, są natomiast aż dwie stronice o Kowlu, o którym znowu p. Kukiel ani słowa nie mówi.

Na koniec dykteryjka o rozmowach «juzowych». Kiedyś w wagonie słyszałem zabawną rozmowę dwóch kobiet. Jedna z nich boleśnie skarżyła się, że została haniebnie przez jakiegoś mężczyznę oszukana. Mianowicie, po wielu scenach i naleganiach otrzymała od owego mężczyzny depeszę — naiwnie dodała: napisaną drukowanymi literami — obiecującą przywiezienie dla niej nowego kostiumu i jedwabnych pończoszek. Uwierzyła w obietnicę święcie, gdy drukowane juzowe litery wysylabizowała, ale, niestety... pończoszki na jej nóżkę nie wskoczyły mimo juzowej depeszy. Pan Kukiel sylabizował juzowe drukowane litery tak długo, aż zdołał uwierzyć i w Cannae, i w Siedlce, podczas gdy w istocie ani Cann, ani koncentracji w Siedlcach nigdy nie było. Były tylko liczne juzowane rozmowy gen. Rozwadowskiego o tych pończoszkach strategicznych. Doprawdy, szkoda przy oszczędnościowej polityce pieniędzy na taką historię, szkoda też i wojska, mającego historyka, wierzącego lub udającego, że wierzy, w juzowane pończoszki, chociażby jedwabne.

PRZEDMOWA DO JEDNODNIÓWKI «PRZEŁOM»

(22 października 1925 r.)

W listopadzie 1925 roku wyszła nakładem Polskiej Organizacji Wolności publikacja pod tytułem «Przełom. Jednodniówka poświęcona wypadkom 7—11 listopada 1918 roku». Na treść tej jednodniówki złożyło się kilka wspomnień wybitniejszych działaczy w dobie przewrotu 1918 roku.

Piłsudski napisał do tego wydawnictwa niżej przytoczoną przedmowę o chlubnej przeszłości P. O. W., która potrafiła w okresie walk o niepodległość wytworzyć w sobie olbrzymią siłę moralną.

Ludzie bez «wczoraj», ludzie bez «dzisiaj» i ludzie bez «jutra» — tak możnaby podzielić gatunek ludzi na świecie. I nieraz, gdy myślę o rozpowszechnionej obecnie tak szeroko

mistycznej teorii o reinkarnacji, sądzę, że człowiek istotnie rodzić się często na tym padole płaczu musi, by się stać pełnym człowiekiem. Człowiek bowiem w całym tego słowa znaczeniu kochać musi, nie wstydząc się swego «wczoraj», by żyć, pracując w dniu dzisiejszym, by się jego znowu nie wstydzić jutro. Gdy w ten sposób myślę o dzisiejszej dobie polskiej, zawsze ze smutkiem konstatuję, że reinkarnacja musi być bardzo a bardzo stosowana do Polaków, gdyż poważna część tego narodu jest ludźmi bez «wczoraj». Wygląda mi często, że to bez «wczoraj» tyczy się u Polaków nie tylko historycznego «wczoraj», mierzonego dłuższymi okresami, lecz nawet najliteralniejszego «wczoraj», odmierzonego najwyżej tygodniem. A miesiącem mierzyć ludzi wydaje mi się niemożliwym, gdy miesiąc jest już tak ciężkim okresem, że efemeryda duszy polskiego przeciętnego człowieka staje się tak, jak ta «kobieta święta», co «nic nie pamięta». Nie pamięta i basta! Biedna Polska, nowoczesny Polak reinkarnować się będzie!

Boję się też trwożliwie, myśląc, że P. O. W. pozbawiona będzie reinkarnacji za brak pamięci o swym «wczoraj». Nie chce się bowiem jego wstydzić. Nie chce i basta! Cieszę się z tego bardzo, lecz powtarzam — boję się, że przyczynić się to może do znacznego osłabienia Polski, gdy na nią spadnie deszcz reinkarnacyjny nowoczesnych bez «wczoraj» Polaków, a zabraknie reinkarnacji Polaków z «wczoraj». Zdaje się jednak, że Bóg Polskę kocha i jest sprawiedliwy. Bo znowu cała Polska stara się, by P. O. W. i jej ludzie byli ludźmi bez jutra [1]). Mają «wczoraj», wcale ładne i tego nie wstydzą się wcale, mają «dzisiaj», tak, jak wszyscy, lecz o «jutro» dbać nie powinni. Przynajmniej o «jutro» fizyczne, P. O. W. bowiem protekcji nie posiada w nowoczesnej Polsce. Czy z tym Polsce do twarzy, to co innego, w każdym jednak razie błyska mi wobec tego nadzieja, że przy deszczu reinkarnacyjnych ludzi bez «wczoraj», nie zabraknie i deszczu ludzi bez «jutra», przynajmniej bez protekcyjnego fizycznie «jutra».

Co do mnie osobiście, cenię najwyżej w tym «wczoraj» P. O. W. wytworzenie w sobie olbrzymiej siły moralnej w dobie, gdy zorza poranna naszego istnienia państwowego zaledwie się na niebie paliła, walcząc bezsilnie z mrokiem nocy.

Założyłem P. O. W., wysyłając ś. p. Żulińskiego [2]) w początku wojny 1914 r. do Warszawy dla zorganizowania tam odpowiednika tego, co w historii legionowej było ruchem I Bry-

[1]) Aluzja do szykanowania wówczas ludzi z obozu Piłsudskiego.
[2]) Por. t. IV, str. 46.

gady. Rozszerzyłem ją i z nowymi instrukcjami zostawiłem w 1915 r., gdym w sierpniu był w Warszawie osobiście i zatrzymał rekrutację do Legionów [1]). Organizacja ta była przedmiotem targów i przetargów, prowadzonych ze mną w wyższych sztabach austriackich i niemieckich w 1916 i 1917 latach. Dyskutowano o niej często w Radzie Stanu, utworzonej po manifeście listopadowym obu cesarzy, austriackiego i niemieckiego, gdy jeden z zaborców został, nie naszymi zresztą rękami, usunięty zupełnie z ziemi polskiej [2]) i gdy przy przewadze wzrastającej niemieckiej na ziemiach polskich, coraz jaśniej było dla wszystkich, że Polska ma ziszczonym, powtarzany tak często przez Polaków, ideał, streszczający się w słowach: «jeden pan, jeden bat!» Wreszcie, gdy przy uwięzieniu moim [3]) i wielu kolegów legionowych znikły właściwie Legiony z powierzchni ziemi polskiej, P. O. W. zastąpiła w zupełności Legiony, stając się ośrodkiem wszystkiego, co pokory w stosunku do «jednego pana i jednego bata» uznawać nie chciało.

We wszystkich tych pracach organizacja P. O. W. opierała się jedynie na swoich własnych polskich siłach, szukając oparcia jedynie w rozwoju stałym wewnętrznej siły moralnej, siły duszy, niekiedy tak pięknej i prężnej, że przypominać może największe wysiłki narodu, gdy walczył o swój byt niezależny. Niechybnie, po zorzy porannej nastąpił dzień ze wschodzącym słońcem, który, jak zwykle, zaćmił wysiłek świetlny P. O. W. swą potęgą i dla tego P. O. W. brakuje, w porównaniu z poezją i czarem odpowiednich wysiłków naszego narodu w przeszłości, tego uroku, do któregośmy się przyzwyczaili w ciągu setki lat niewoli. Nie potrafię jednak nie powiedzieć, że P. O. W., gdy ją porównuję z ruchami w przeszłości naszej, ma za to inny urok — urok siły, mającej prawo do zwycięstwa, którego brakuje pracom narodowym w przeszłości. Pozostaje mi więc zakończyć serdecznym życzeniem, byście nigdy nie wstydzili się przeszłości i w odróżnieniu od wielu... bardzo wielu Polaków kochali swoje piękne «wczoraj».

Sulejówek, 22 października 1925 r.

---

[1]) Por. t. VI, str. 203.
[2]) Mowa o Rosji.
[3]) Por. t. IV, str. 209.

DEKLARACJA ZŁOŻONA PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ STANISŁAWOWI WOJCIECHOWSKIEMU

(13 listopada 1925 r.)

Dnia 13 listopada 1925 r. podał się rząd Władysława Grabskiego do dymisji głównie z powodu trudności finansowych i gospodarczych. Dnia 14 listopada 1925 r. o godz. 14-tej zjawił się Piłsudski w Belwederze siedzibie ówczesnej Prezydenta Wojciechowskiego i złożył mu na piśmie niżej przytoczoną deklarację, ostrzegającą przed pominięciem interesów moralnych armii polskiej w rozważaniach przy rozwiązywaniu ówczesnego kryzysu.

Tekst deklaracji podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 15 listopada 1925 r.

Uważam za swój obowiązek ostrzec Pana Prezydenta przed pominięciem interesów moralnych armii polskiej w rozważaniach przy rozwiązywaniu obecnego kryzysu. Czyniono to już dwukrotnie [1]) i ze smutkiem stwierdzić muszę, że rezultaty tego pominięcia doprowadzają do coraz silniejszego rozdrażnienia w wojsku. Niepodobna bowiem żądać, aby w państwie naszym wojsko służyło partiom politycznym i ich prywatnym do państwa interesom. Niepodobna także sądzić, iżby wojsko, przeznaczone, by być walczącą reprezentacją narodu w razie konieczności obrony zbrojnej granic państwa, mogło być posłusznym i utrzymanym w honorze służby, gdy ma pracować jako obiekt przetargów pomiędzy poszczególnymi ambicjonizującymi generałami czy posłami. Sztandary nasze, okryte chwałą zwycięstw, mogą schylać czoło jedynie przed reprezentantem państwa i przed tymi, co wojskiem dowodzą.

Rozumiem, że żołnierze nie są wyborcami, o których dba poseł. Rozumiem, że mając nieraz krytyczne w stosunku do metody poszczególnych rządów poglądy, milczeć jednak muszą, gdy obok koszar i pola ćwiczeń szumnie i hałaśliwie odbywają się sądy i samosądy polityczne. Rozumiem mus rozkazu, panującego w wojsku, lecz nie rozumiem braku szacunku dla tych, co służąc w pokorze dla państwa całego, nie widzą, by ta honorowa służba była brana w rachubę przy wyznaczaniu reprezentantów ich służby wobec sejmu.

Ostrzegam więc raz jeszcze Pana Prezydenta, nie mie-

---

[1]) Piłsudski miał na myśli nominację gen. Szeptyckiego (w. d. 13. VI. 1923) a potem nominację (w. d. 19. XII. 1923) gen. Sikorskiego na Ministrów Spraw Wojskowych.

szając się zresztą do kłopotów Pana obecnych. Wziąłem jednak na siebie ten obowiązek, jako poprzednik Pana w naczelnej reprezentacji Polski i jako ten, co armię formował, i nią w najcięższych próbach na wojnie dowodził, wreszcie jako ten, co w wojsku najwyższą ma rangę.

Józef Piłsudski.

Sulejówek, 13 listopada 1925 r.

PRZEMÓWIENIE DO OFICERÓW, SKŁADAJĄCYCH PIŁSUDSKIEMU HOŁD W SIÓDMĄ ROCZNICĘ JEGO POWROTU Z MAGDEBURGA

(15 listopada 1925 r.)

Oficerowie garnizonu warszawskiego, chcąc złożyć hołd Piłsudskiemu w siódmą rocznicę jego powrotu z Magdeburga, udali się w dniu 15 listopada 1925 masowo do Sulejówka. W demonstracji tej wzięło udział kilku generałów oraz około tysiąca oficerów.

W imieniu zebranych przemówił do Marszałka gen. Dreszer w następujące słowa:

«Panie Marszałku, w rocznicę zaślubin Twych z państwem siedem lat temu, przybywamy do Pana Marszałka, by wspomnieć czasy, gdyś wrócił z więzienia niemieckiego i znalazł Polskę, zdawało się, niezdolną do nowego życia. Stargane w niewoli nerwy, złamane nieraz w zwątpieniach serca i mózgi — dawały podkład dla namiętności, walk, swarów i gry małych ambicyj. W kilka dni po Twoim powrocie, zwiastującym odrodzenie, wziąłeś śmiało najwyższą, chociaż niepisaną władzę dyktatorską w swoje ręce.

Dałeś nam potem chwałę, tak dawno w Polsce nieznaną, okrywając nasze sztandary laurem wielkich zwycięstw.

Gdy dzisiaj zwracamy się do Ciebie, mamy także bóle i trwogi, do domu wraz z nędzą zaglądające. Chcemy, byś wierzył, że gorące chęci nasze, byś nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny, osieracając nie tylko nas, wiernych Twoich żołnierzy, lecz i Polskę, nie są tylko zwykłymi uroczystościowymi komplementami, lecz że niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable».

W odpowiedzi Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie o zawiedzionej jego nadziei, że z odrodzeniem bytu państwowego przyjdzie i odrodzenie duszy Polaka; o skutkach nadużycia swobody w Polsce i o tym, «iż bezsilność państwu daje ten, co karzącą dłoń sprawiedliwości zatrzymuje».

Demonstracja oficerów w Sulejówku, mowa gen. Dreszera i odpowiedź Piłsudskiego zrobiły wówczas wielkie wrażenie, jako objaw zaostrzającej się sytuacji politycznej. Przemówienie podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 16 listopada 1925.

Kochani koledzy! Gdy przyszliście do mnie wspomnieć razem ze mną dzień — jak poetycznie wyraziciel waszych uczuć to nazwał — «zaślubin moich z państwem polskim», nie mogę nie być wzruszonym, a względem was wszystkich — niezmiernie wdzięcznym. Miłe, drogie nam wszystkim czasy, miłe, lecz połączone z wielkim ciężarem duszy.

Gdym, wracając z więzienia niemieckiego w pospiesznym pociągu z Berlina do Warszawy, w takt turkotu wagonu powtarzał sobie: «Do Polski! Do Polski!» — wiem, że również prawie wszyscy tu zebrani mieliście i przeżyliście taką chwilę, gdy marzyliście i śniliście, jak ja, że jedziecie do raju. Było to świadectwem jednego zjawiska, zjawiska, o którym przemyśliwałem pamiętnej mi zawsze nocy w wagonie.

Tyleśmy wszyscy przeboleli i tak przemęczyli swe dusze, zgniecione cieniem mrocznej bezsilności w dobie po ostatnim powstaniu narodu, że gdy chwila odrodzenia przyszła — a przyszła jednak nagle i niespodziewanie — zdawało mi się, że na straży tego odrodzenia stoją wielkie dusze z epoki dawnej mocy Rzeczypospolitej i z mniej dawnych porywów do odrodzenia, które umiały ślady naszego bytowania w świecie ongiś znaczyć nie tylko dziełem miecza, lecz i wielką kulturą, szanowaną ongiś na świecie całym.

Zdawało mi się także, że gdy idzie odrodzenie bytu państwowego, o którym zaledwie zdołaliśmy marzyć w ciszy, — musi z tym formalnym odrodzeniem iść odrodzenie duszy Polaka, duszy, odrodzonej dla dania siły i mocy przy konieczności przetrwania i przewalczenia początków naszego życia.

Chciałem więc wierzyć mocy własnej naszej polskiej duszy, chciałem ufać, że zdołam zapomnieć o zawodach przeszłości i skrzepić siebie samego, widząc, jak słońce stapia lody duszy — zdawałoby się — już niezdatnej do życia i że dusza polska rozbłyśnie dawnym pięknem. Lecz i pan, generale, w swym przemówieniu dotknął prawdy, że tak wy, jak i ja, w raju odrodzenia spotkałem nowe zawody, gdym, jak pan mówi, — został «niepisanym dyktatorem Polski». Było to jakby odpowiedzią na podszepty zwątpień, które dusiłem w sobie, gdy przemyśliwałem swą rolę i życie, jadąc z Magdeburga do Polski.

Rozum bowiem i rozwaga nakazywały mi myśleć nie

tylko sentymentalnie, a mówiły mi, że życie tak łatwym nie jest, jak myśl ludzka i jak bicie gorączkowe serca. I nie wiem, czy wy, gdyście swe wierne głowy żołnierza przy błysku wiernych szabel nieśli pod kosę śmierci, dając świadectwo odrodzonej duszy polskiej, — myśleliście wtedy razem ze mną. Musiałem bowiem, jak każdy naczelny wódz, rachować i kalkulować nie tylko szable i bagnety, nie tylko wierne wasze ręce i głowy, lecz i siłę tych, co w rękach szabel nie mieli i żyli nie waszymi w polu głowami i pracowali nie waszymi, zbrojnymi w stal, rękami. I nie wiem, czyście kiedy dłużej — zajęci swą pracą — rachowali i kalkulowali siły i moc całego państwa.

Pozostałem wierny swej sentymentalnej ufności w moc odrodzenia duszy polskiej przez czas cały, gdy musiałem się trzymać jednej i tej samej linii wytycznej, jako reprezentant całego państwa, który reprezentować musi nie tylko piękno, lecz i brudy, nie tylko siłę, lecz i tchórzliwą bezsilność, nie tylko cnotę, lecz i zbrodnię. I wy — wierne druhy miecza w walce — nie myśleliście wtedy, że swoboda bezsilnego i zdziczałego często w niewoli narodu daje jako skutek — nadużycie tej swobody nie tylko w tym, co jest uniesieniem i przesadą uczuć wyższych, lecz i przesadą i nadmiarem tego, co jest grzechem przeciw odrodzeniu i pospolitym, a poziomym przestępstwem.

I gdy nieraz w bólach zawodu i mękach upokorzenia sentymentalnie miecz sprawiedliwości na haku zawieszałem, chcąc, by siła moralna cnoty i kultury duszy bez gwałtu leczyła rany niewoli, byłem wciąż wierny błyskowi odrodzenia, co mi duszę w pierwszych dniach Polski rozświecił. I teraz, gdy razem z wami obchodzę siódmą rocznicę zaślubin naszych z szablą już polską, z wami, coście umieli w przeżyciach bojów być wiernymi tym błyskom — nieraz w zwątpieniach, już tyczących się historii — sądzę, iż bezsilność państwu daje ten, co karzącą dłoń sprawiedliwości zatrzymuje, a uczciwą i honorową pracę dla państwa przez to co najmniej osłabia, jeśli nie demoralizuje. Pozwólcie panowie, że zakończę tym razem słowami jednego z was, którego tu widzę: «honor — to bóg wojska; nie masz go — kruszeje potęga wojska» [1]).

Starałem się w obecnym kryzysie, przez jaki przechodzi

[1]) Słowa te są wzięte z «Oświadczenia» gen. Leonarda Skierskiego. «Oświadczenie» to zostało ogłoszone dn. 5 listopada 1925 r. w związku z zakończeniem prac Komisji historycznej, powołanej przez ministra spr. wojsk. w celu zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 r. Gen. Skierski był przewodniczącym tej komisji. Por. aneks, str. XXXV.

państwo, stanąć w inny może sposób w obronie tej zasady przed Prezydentem Rzeczypospolitej, dając wyraz konieczności ochrony honoru naszych dziejów, honoru naszej sławy i honoru naszej pracy. Dziękując panom za pamięć o mnie, proszę zawsze o współpracę pomiędzy sobą dla takiej ochrony w drogiej nam wszystkim służbie dla ojczyzny.

LIST DO REDAKTORA «KURIERA PORANNEGO» Z DNIA 12 STYCZNIA 1926 R.

Po przyjęciu dymisji gabinetu Wł. Grabskiego i po kilkudniowych żmudnych pertraktacjach klubów sejmowych został mianowany dnia 20 listopada 1925 rząd Aleksandra Skrzyńskiego. Podstawą tego rządu była koalicja następujących stronnictw: Narodowa Demokracja, która obsadziła dwie teki: Skarbu i Oświaty; «Piast», który otrzymał tekę Rolnictwa i Przemysłu; P. P. S., której reprezentanci otrzymali Ministerstwo Robót Publicznych i Ministerstwo Opieki Społecznej; Chrześcijańska Demokracja obsadziła tekę Min. Sprawiedliwości, a Nar. Partia Robotnicza tekę Min. Kolei. Min. Spraw Wewnętrznych zatrzymał Wł. Raczkiewicz, nie będący członkiem parlamentu, a Ministrem Spraw Wojskowych został mianowany naprzód gen. Majewski, a potem dnia 27. XI. 1925 gen. Żeligowski.

W składzie tego rządu wpływy czynników politycznych wrogich Piłsudskiemu były dość silne, i dlatego sprawa powrotu Piłsudskiego do armii nie posuwała się naprzód.

Dnia 7 stycznia 1926 r. Minister Robót Publicznych Moraczewski na posiedzeniu Rady Ministrów wystosował zapytanie, czy rząd nie uznaje konieczności rychłego powrotu Piłsudskiego do czynnej pracy państwowej. Rada Ministrów przekazała tę sprawę swemu «Komitetowi Politycznemu».

Dnia 12 stycznia ukazał się w prasie następujący półurzędowy komunikat: «Wczoraj, dnia 11 bieżącego miesiąca odbyło się posiedzenie Komitetu Politycznego Rady Ministrów. Obok innych spraw bieżących, omówiono również zgłoszone na ostatnim posiedzeniu Rady Ministrów przez pana ministra Moraczewskiego zapytanie do pana prezesa Rady Ministrów w sprawie ewentualnego powrotu do służby czynnej Marszałka Piłsudskiego. Komitet postanowił, aby pan prezes Rady Ministrów zwrócił się do pana marszałka sejmu z prośbą o przyśpieszenie prac sejmu nad projektem ustawy o naczelnych władzach wojskowych».

W odpowiedzi na ten komunikat napisał Piłsudski niżej przytoczony list, w którym jeszcze raz zaznacza swoje negatywne stanowisko w stosunku do projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych, a tym samym stwierdza,

że uchwalenie takiej ustawy nie da mu możliwości powrotu do wojska.

Tekst listu podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 13 stycznia 1926 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W piśmie Pańskim, jak prawdopodobnie i w innych dziennikach, został umieszczony komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej o tym, jak «obok innych spraw bieżących» komitet polityczny «postanowił, aby pan prezes Rady Ministrów zwrócił się do pana marszałka sejmu z prośbą o przyśpieszenie prac sejmu nad projektem ustawy o naczelnych władzach wojskowych». Wedle tego komunikatu decyzja taka jest w związku z zapytaniem jednego z panów ministrów, zgłoszonym do pana prezesa Rady Ministrów w sprawie «ewentualnego powrotu do służby czynnej Marszałka Piłsudskiego».

Wobec powyższych urzędowych enuncjacyj śpieszę z publicznym wyjaśnieniem, gdyż jestem już z mnóstwa stron zasypywany pytaniami o mój «zmieniony stosunek» do sprawy ustawy o naczelnych władzach wojskowych. Specjalnie przykrymi są mi zapytania wielu moich kolegów z wojska, z którymi spędziłem tyle czasu ongiś we wspólnej służbie na wojnie. Wielu wydać się bowiem może, że traktowano ze mną osobiście przedtem, nim na k o m i t e c i e p o l i t y c z n y m — podkreślam umyślnie ten termin — radzono nad powrotem moim do służby czynnej na podstawie zgody mojej na ustawę o najwyższych władzach wojskowych.

Nie mogę więc nie zaznaczyć, że powyżej wspomniany komunikat nic wspólnego ze mną nie ma i że nie zmieniłem w niczym swego zdania co do ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Uważam tę ustawę dziś, jak i dawniej, za niecną robotę, szkodliwą nie dla wojska jedynie, ale i dla państwa, — w stosunku zaś do mnie osobiście za wyraźny sposób powiedzenia, że Marszałek Piłsudski nie wejdzie do wojska nigdy, nawet przy najwyższym zagrożeniu istnienia samego państwa. Wynika to jasno ze wszystkich moich wypowiedzeń publicznych i oficjalnych, zarówno w stosunku do ustawy o naczelnych władzach wojskowych, jak i do jej autora, p. Sikorskiego.

Nadto nie mogę nie wyrazić swego zdziwienia, że pan prezes Rady Ministrów pomimo moich ostrzeżeń, aż nadto wyraźnych, wypowiedzianych przy początku ubiegłego kryzysu, i ostrzeżeń, wyrażonych w obecności pana prezesa Rady Ministrów przy składaniu Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej

mego drugiego oświadczenia [1]), oddał bez porozumienia się ze mną, na co najoczywiściej miał dosyć czasu, moją osobę na to, co nazwałem przy nim «handlem politycznym Marszałkiem Józefem Piłsudskim»! Jest to jeszcze jeden objaw zwyczajów i obyczajów politycznych w Polsce, co do których mogę powiedzieć tylko to, że gdy się kto skarży na złą Konstytucję u nas, to śmiało dodawać może, że jeszcze złą Konstytucję wytrzymać można, ale złych i znacznie gorszych, niż zła Konstytucja, obyczajów i zwyczajów politycznych zaiste wytrzymać niepodobna.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należnego szacunku i wdzięczności za umieszczenie mego do Pana listu.

J. Piłsudski.

Sulejówek, 12 stycznia 1926 r.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 14 STYCZNIA 1926 R.

W «Kurierze Porannym» z dnia 14 stycznia 1926 r. został umieszczony poniżej przytoczony wywiad pt. «Rozmowa z Marszałkiem Piłsudskim o organizacji władz wojskowych i stosunku rządu do Marszałka». Piłsudski wyraża tu opinię, że skoro rząd Skrzyńskiego chce przyspieszyć uchwalenie ustawy o naczelnych władzach wojskowych, ustawy tak ostro zwalczanej przez Piłsudskiego, to najwidoczniej nie chce jego powrotu do wojska. Uważając, że projekt ustawy pragnie narzucić na nowo instytucję Naczelnego Dowództwa, Piłsudski daje historię powstania tej instytucji i krytykę jej działalności podczas wojny.

Piłsudski uważa, że stosunek Szefa Sztabu do Generalnego Inspektora został w projekcie ustawy fałszywie postawiony. Wreszcie Piłsudski podaje do wiadomości, jakich udzielił rad Prezydentowi w sprawie obsadzenia teki Ministerstwa Spraw Wojskowych.

— Ponieważ rząd w komunikacie oficjalnym [2]) dał do zrozumienia, że ewentualny powrót Pana Marszałka do czynnej służby w wojsku nastąpi po wejściu w życie znanej ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, czy nie zechciałby Pan Marszałek wypowiedzieć swego zdania w tej sprawie?

---

[1]) Drugie oświadczenie, złożone Prezydentowi Rzeczypospolitej: por. t. VIII, str. 258.

[2]) Por. t. VIII, str. 251.

— Próbowałem już dziesiątki razy od chwili wniesienia tej ustawy do sejmu przez rząd p. Władysława Grabskiego [1]) sprecyzować swój bardzo ujemny stosunek do jej treści. Ustawa ta, zdaniem moim, zupełnie rozmyślnie stawia generała, przewidzianego na wypadek konfliktu zbrojnego na Naczelnego Wodza, w możliwie niejasny stosunek do wojska i w możliwie fałszywą sytuację względem wszystkich instytucyj wojskowych i państwowych. Widziałem w tym wyraźną, niedwuznaczną chęć ubliżenia najcięższej pracy, jaka na oficera spaść może, gdy bierze na siebie naczelne dowodzenie podczas ciężkiej próby, jaka spada na państwo podczas wojny. Dodam zaś panu, że nie mogę nie uważać również samego przebiegu wnoszenia tej ustawy za wyraźną chęć ubliżenia także mnie osobiście. Byłem bowiem proszony przez p. Sikorskiego o danie swojej oceny projektu ustawy. Dałem opinię bardzo ostrą, wskazując na główne jej braki [2]). Odpowiedzią było zredagowanie jeszcze gorszej ustawy. Gdy zaś p. Władysław Grabski, pod naciskiem opinii, prosił mnie raz jeszcze o wyrażenie swego zdania, uczyniłem to w ubliżający dla p. Sikorskiego sposób, powtarzając treść poprzednio danej opinii [3]). Znalazłem potem wniesioną do sejmu ustawę bez żadnej zmiany, mimo, że p. Władysław Grabski nie wypowiedział w czasie konferencji ani jednego słowa.

Następnie zaś, zgodnie zresztą z bardzo niskim stanem przyzwoitości u p. Sikorskiego, rozpowszechniano ze strony ówczesnego rządu stale szeroko idące pogłoski, że ustawa robiona jest specjalnie dlatego, aby zapewnić mi wejście w stan czynny armii polskiej. Uważam więc teraz, jak i dawniej, że pan prezes ministrów Skrzyński, który w przeszłym ministerium zasiadał [4]), musiał wiedzieć dobrze o celu i podstawach tej ustawy. Z chwilą więc, gdy zdecydował pośpieszyć jak najgwałtowniej z urgowaniem w sejmie ustawy, która szczęśliwie po dymisji pp. Władysława Grabskiego i Sikorskiego zaczęła drzemać na wieki, ma ten sam cel, co i p. Sikorski, — wyraźnego pozbawienia Polski mojej służby, nawet w razie konfliktu zbrojnego, gdyby ten na nieszczęście naszego państwa przyszedł!

---

[1]) Drugi gabinet Władysława Grabskiego trwał od 19. XII. 1923 do 14. XI. 1925. Projekt został wniesiony do Sejmu dnia 14. III. 1924 r.

[2]) Por. t. VI, str. 209—211.

[3]) Konferencja, o której mowa w t. VIII, str. 122.

[4]) Aleksander Skrzyński był: min. spr. zagr. w gab. Wł. Grabskiego od 27. VII. 1924 do 14. XI. 1925, premierem i min. spr. zagr. od 20. XI. 1925 do 5. V. 1926.

— *Czy słuszną jest opinia, że jeśli chodzi o stronę merytoryczną sprawy, toczona jest z Panem Marszałkiem walka o instytucję Naczelnego Dowództwa?*

— Proszę pana, uważam całą ustawę za chęć narzucenia po raz drugi instytucji Naczelnego Dowództwa. Z prawdziwą przyjemnością słyszę to pytanie, gdyż nieraz ze śmiechem przypominam sobie, kto jest właściwym twórcą tak zabawnej i nonsensownej instytucji. Zdziwi się pan, gdy powiem, że twórcą jestem ja sam. Instytucja nonsensowną jest dlatego, że już sama nazwa przeczy istocie dowodzenia wojskiem, gdy jest ona «genus neutrum» — rodzaju nijakiego, gdy dowodzi wojskiem, prowadzi wojnę tylko Naczelny Wódz. Jestem niesłychanie dumny, że ta śmieszna nazwa tak niesłychanie podobała się moim rodakom, że do niej tak tęsknią, chociaż jestem smutny, że nonsens, do którego zostałem zmuszony, należy do tak trwałych nabytków kultury umysłowej i politycznej Polaków. Wolałbym, żeby było inaczej.

Powiedziałem panu, że byłem w przymusowej sytuacji tworzenia Naczelnego Dowództwa. Byłem bowiem w ubiegłej wojnie postawiony w położenie już rzadkie w obecnej dobie historycznej. Byłem Naczelnym Wodzem i jednocześnie Naczelnikiem Państwa. Zaś Naczelnik Państwa, jak wszyscy przedstawiciele państw obecnie, jest nieodpowiedzialny pod względem sądowym i finansowym. Długo walcząc z sobą w początkach wojny i wiedząc, że każda wojna wymaga wiele pieniędzy oraz że w każdej wojnie dzieje się, niestety, wiele nadużyć o charakterze pieniężnym, wahałem się, czy mam siebie pozbawić, jako Naczelnego Wodza, wielkiej siły pieniądza, czy też odwrotnie — przejść do porządku nad poczuciem odpowiedzialności pieniężnej przy finansowaniu wojny. Po długim i męczącym rozstrzyganiu różnych wątpliwości zdecydowałem, że w nowobudującej się Polsce muszę ochronić najwyższego przedstawiciela państwa od wszelkich podejrzeń, że dotyka pieniędzy, co do których z góry byłem przeświadczony, iż nieraz użyte będą z aż nadto widocznym ocieraniem się o kryminał. Dlatego też wyrzekłem się siły pieniądza i oddałem całą gospodarczą stronę wojny swemu szefowi Sztabu. Dlatego zaś, aby zachować dla pieniądza siłę zcentralizowanego rozkazodawstwa, umyśliłem nazwę Naczelnego Dowództwa dla tej strony wojny, chcąc w ten sposób jasno wskazać, że siły rozkazodawstwa wojennego w ścisłym tego słowa znaczeniu to dowództwo nie posiada. Nie przypuszczałem bowiem na chwilę, że mogą się znaleźć ludzie — co, niestety, okazało się niesłuszne — którzy zechcą widzieć w «genus neutrum»,

w rodzaju nijakim, pozbawionym oznak płci męskiej, ideał narodowy pracy dowodzenia na wojnie.

— *Czy uwagi powyższe odnoszą się do tak zwanego Sztabu Generalnego?*

— Naturalnie, że nie. Sztab jest konieczną pomocą dowodzenia dla każdego dowódcy, tak, że nawet drobna jednostka wojskowa, jaką jest kompania, ma swój mały sztab, który staje do rozporządzenia dowódcy kompanii i jest pod jego bezpośrednim dowództwem; idąc w górę, przy każdym dowódcy musi być sztab z określonymi funkcjami dla poszczególnego oficera, będącego w sztabie. Byłoby więc dziwnym i zupełnie niezrozumiałym, gdyby najwyższe dowodzenie miało być pozbawione tego pomocniczego organu. Dlatego też Naczelny Wódz musi posiadać swój własny sztab, najlepiej dobrany przez siebie samego, który mu pomaga w niezwykle skomplikowanej jego pracy. Porównuję nieraz ten mus do konieczności posiadania przez każdego dowódcę pewnego rodzaju buchalterii, gdzie zestawiane są w osobnych rachunkach wszystkie elementy wojny. Bez takich stałych zestawień, bez ciągłego wglądania czy w całość rachunku, czy w poszczególne konta, niepodobna dobrze i rozumnie dowodzić. Z chwilą zaś, gdy pan dodaje do sztabu przymiotnik «generalny», wywołuje mi pan w pamięci dwie wielkie postacie wojen ubiegłych: wielkiego Napoleona i znacznie mniejszego od niego Moltkego [1]). Po francusku sztab nazywa się «Etat Major» i każdy z dowódców napoleońskich z natury rzeczy posiadał swój sztab. Napoleon zaś sam posiadał przy sobie, jako najwyższy dowódca, «Etat Major Général» — czyli tytuł wyższy wiązał się z naczelnym wodzem. Była to konstrukcja, stworzona wyraźnie dla wojny i związana ściśle ze stanem wojennym. Inaczej rzecz się miała z Moltkem. Moltke był szefem sztabu generalnego, stałej instytucji państwowej, pracującej dla monarchy, który niekoniecznie i niezawsze mógł być równy w dziedzinie talentów wojskowych tak potężnemu władcy, jakim był Napoleon. Sztab generalny w teraźniejszym tego słowa znaczeniu był więc zabezpieczeniem kraju i państwa od nieudolności lub nieumiejętności naczelnego wodza, którym musiał być dziedziczny monarcha i który przecież mógł być nawet trochę podobny do idioty lub zajmować się — powiedzmy — sztuką, nauką lub

[1]) Feldmarszałek pruski Hellmuth Moltke, w latach 1858—1888 szef sztabu generalnego pruskiego, faktyczny jego twórca w nowoczesnym znaczeniu. Opracował plany i był faktycznym wodzem w kampaniach 1866 przeciw Austrii i 1870 przeciw Francji.

flirtem. Po zwycięstwach Prus i Niemiec, które były w wielkim stopniu zasługą Moltkego, system niemieckiego sztabu generalnego był naśladowany, mniej lub więcej nieudolnie, we wszystkich państwach. My, w Polsce, znamy najgorszą w Europie kopię tego systemu, mianowicie — austriacką, i według niej, niestety, kształtujemy sądy swoje i opinie o tym organie pracy wojskowej.

— *A w jaki sposób kwestię tę rozwiązuje projektowana obecnie ustawa?*

— W ustawie z wielkiej tęsknoty do «genus neutrum», mającym dowodzić, i z tęsknoty do nonsensu Naczelnego Dowództwa zaniechano cokolwiek ściślej mówić o funkcjach szefa Sztabu Generalnego, aby mu tym większą zostawić swobodę w określeniu swej władzy przez niego samego. Natomiast, jakby dla naigrawania się z oficera, który ma wziąć odpowiedzialność i za tegoż szefa Sztabu Generalnego, postanowiono, że szef Sztabu ma poza nim wszelką moc inicjatywy, że szefowi Sztabu, a nie Generalnemu Inspektorowi podlega bezpośrednio cały aparat pracy i że szef Sztabu wyznaczony jest z góry, jakby dlatego, aby Naczelnego Wodza stale zdradzał, i że takiego szefa Sztabu z musu będzie musiał przyjąć Naczelny Wódz i na wypadek wojny. Dlatego zawsze twierdziłem w swoich poprzednich wywiadach, że Polska przy takiej ustawie winna szukać na Naczelnego Wodza tylko idioty albo osła.

— *W liście, ogłoszonym w «Kurierze Porannym», Pan Marszałek wspomina o swoim drugim oświadczeniu, złożonym w okresie przesilenia Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej w obecności p. Aleksandra Skrzyńskiego, jako prezesa rządu. Ponieważ treść tego oświadczenia nie była publikowana i przeto nie jest znana opinii, czy nie zechciałby Pan Marszałek udzielić w tej sprawie informacyj?*

— Przy pierwszym pobycie moim u Pana Prezydenta [1]), Pan Prezydent zechciał zapytać mnie o moją radę co do osoby ministra spraw wojskowych, gdy tak wyraźnie przestrzegałem go przed powrotem stosunków, które w wojsku zapanowały przy pp. Szeptyckim i Sikorskim. Odpowiedziałem wtedy, że nie jestem w stanie tego uczynić, dopóki Pan Prezydent nie powierzy komuś misji tworzenia gabinetu.

Dlatego, chociaż nie chcę wchodzić w istotne motywy Pana Prezydenta i prezesa ministrów, gdyż o nich nie wiem, —

[1]) W dniu 13 listopada 1925 r. por. t. VIII, str. 247.

zostałem wezwany do Belwederu [1]) po sformowaniu gabinetu bez wyznaczenia ministra spraw wojskowych [2]).

Jestem dotąd wdzięczny Panu Prezydentowi, że w ten grzeczny i lojalny sposób do mnie się odniósł. Złożyłem wtedy inne oświadczenie, którego nie ogłosiłem jedynie na prośbę Pana Prezydenta. Zastrzegłem sobie jednak prawo ogłoszenia tej enuncjacji, nie chcąc jej publikować w czasie pobytu p. Skrzyńskiego w Londynie [3]). Nie chcę i teraz wchodzić w szczegóły tego oświadczenia, powiem tylko, że radziłem wybrać ministra z pomiędzy oficerów, którzy w przeciągu wojny zdobyli sobie szacunek, nie schodząc z pola walki ani chwili, i którzy nie prowadzili żadnych intryg politycznych. Następnie ostrzegałem przed prolongowaniem złych tradycyj austriackiego sztabu generalnego w armii. Więcej w tej chwili nie chciałbym powiedzieć.

— *Czy p. Aleksander Skrzyński porozumiał się z Panem Marszałkiem w sprawie dysponowania Jego osobą?*

— Stawia mnie pan tym pytaniem w wielki kłopot, gdyż przez słowo «porozumiewać się» rozumie się zawsze dwie porozumiewające się strony, a ja doprawdy nie wiem, — przy obyczajach i zwyczajach politycznych, panujących w Polsce, które charakteryzowałem jako gorsze od najgorszych konstytucyj, — kto jak rozumie to słowo w stosunku do mnie. Zwyczajem i obyczajem stała się bowiem następująca metoda jakoby porozumiewania się ze mną. Wybiera się sobie kogokolwiek, najliteralniej kogokolwiek z moich znajomych, chociażby był on nawet moim nieprzyjacielem, pyta się go, co Piłsudski o takiej czy innej sprawie myśli, i potem nie tylko mówi się, lecz nawet publikuje, że Naczelnik Państwa, że Naczelny Wódz, że Józef Piłsudski w danej kwestii ma takie zdanie, — i w ten sposób porozumienie jest najzupełniej zakończone. Przy przeszłym rządzie pp. Władysława Grabskiego i Sikorskiego panowało rozwielmożnienie tego właśnie sposobu porozumiewania się ze mną, jak za najlepszych czasów tak zwanego suwerennego sejmu. Za owych czasów bowiem nie wsty-

[1]) Dnia 21 listopada 1925 r.

[2]) W gabinecie Skrzyńskiego przez 6 dni nie było obsadzone stanowisko min. spr. wojsk. i w tym czasie t. j. od dn. 20. XI. 1925 do dn. 27. XI. 1925 kierownikiem Min. Spr. Wojsk. był gen. S. Majewski. Dn. 27/XI 1925 ministrem spraw wojskowych został mianowany gen. Lucjan Żeligowski.

[3]) Dnia 27 listopada 1925 r. premier Skrzyński wyjechał do Londynu, gdzie dn. 1 grudnia 1925 odbyło się podpisanie traktatów locarneńskich (w dn. 16/X 25); powrót Skrzyńskiego do Warszawy nastąpił dn. 5. XII. 1925 r.

dzono się nawet za pomocą posłów zwyczajnych i nadzwyczajnych za granicą zdanie i opinie Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa fałszować i to wtedy, gdy Polska wojnę prowadziła. Nazywałem to zawsze «handlem i handelkiem imieniem Józefa Piłsudskiego».

Nie wiem, jak p. Aleksander Skrzyński wyobraża sobie porozumiewanie się. W każdym razie stwierdzam, że w ostatnich czasach ani razu go osobiście nie widziałem, oprócz jedynego wypadku w Belwederze po sformowaniu jego gabinetu, i zatem — według mego rozumienia rzeczy — nie porozumiewałem się z nim ani jednego razu.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 20 STYCZNIA 1926 R.

W «Kurierze Porannym» z dnia 20 stycznia 1926 r. został ogłoszony niżej przytoczony wywiad pt. «Naczelny Wódz a organizacja władz wojskowych. (Rozmowa z Pierwszym Marszałkiem Polski)».

W wywiadzie tym Piłsudski podaje motywy swej decyzji o niemożności swego powrotu do wojska w razie zorganizowania władz naczelnych wojskowych według projektowanej ustawy. Polska jest narażona na wojnę zaczepną, zamierzona zaś organizacja władz wojskowych uniemożliwi szybkie działanie w pierwszych dniach wojny, niezbędne przy defensywie. Na ducha i treść ustawy miały wpływ elementy moralnie niezdrowe, i Piłsudski nie chce być sługą ustawy z takiej atmosfery wyrosłej. W końcu Piłsudski wyraża niewiarę, by ewentualne zmiany tej ustawy sejmowej w komisji wojskowej mogły uczynić ją dobrą.

— Oświadczenie, zawarte w poprzednim wywiadzie, że Pan Marszałek nie wejdzie do wojska nawet w chwili największego niebezpieczeństwa, jeżeli ma się to stać na podstawie dyskutowanego w komisji wojskowej sejmu projektu ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, wywołało głębokie zaniepokojenie w wojsku i społeczeństwie. Czy Pan Marszałek nie zechciałby wobec tego wyjaśnić motywów tej decyzji?

— Opieram się w swojej decyzji na kilku zupełnie jasnych i sprecyzowanych motywach. Po pierwsze — Polska z natury rzeczy nie będzie prowadzić wojny zaczepnej. Wojna więc możliwa jest tylko wtedy, gdy będziemy wojennie zaczepieni. Wówczas w pierwszym krótszym czy dłuższym okresie

wojny nieprzyjaciel ma tę przewagę, którą zawsze ma ofensywa nad defensywą, to znaczy — on dysponuje lepszym przygotowaniem i rozkładem sił, do którego my musielibyśmy się przystosować. Naturalnie, pan rozumie, iż nieprzyjaciel nie wybiera sposobu ugrupowania sił, wygodnego dla nas. Przy olbrzymiej zaś rozciągłości naszych granic niepodobna ściśle przewidzieć, w jaki właściwie sposób otwartą mogłaby być kampania przez takiego lub innego nieprzyjaciela. Dlatego też w takim momencie ze strony naszej wymaganą jest od Naczelnego Wodza niezwykła sprężystość i szybkość decyzji, naturalnie — decyzji, zrobionej samodzielnie, oraz odpowiednie przygotowanie przynajmniej wyższych dowódców do różnych ewentualności. Wszystkiemu temu najgruntowniej zaprzeczają prawa i prawidełka obecnego projektu ustawy, w którym rozmyślnie — co podkreślam bardzo stanowczo — wbrew mojej opinii pozostawiono jakieś głupstwa o zatwierdzaniu obowiązkowego planu koncentracyjnego [1]). Jest to takim dla mnie, jako dla Naczelnego Wodza, nonsensem i takim ciężkim dla funkcji Naczelnego Wodza ubliżeniem, że wstydziłbym się ciągle przed sobą, gdybym taki nonsens miał na swoim sumieniu. Dodam, że mógłbym się wówczas nagle spotkać z tym, że jakiś plan koncentracji, wynikający z własnej inicjatywy szefa Sztabu Generalnego, byłby podpisany i mnie dany do wykonania. Trzeba pamiętać, że minister spraw wojskowych nie bierze nigdy odpowiedzialności personalnej za wykonanie czegokolwiek podczas starcia zbrojnego, wmieszany bowiem do intryg politycznych lub sam będąc roznamiętnionym politykiem — łatwo pada. Proponowany więc przez ustawę system, tak jaskrawo pomijający zmiany prac państwa w razie wypadku starcia zbrojnego, jest zupełnie niemożliwy dla mnie do przyjęcia. Powtarzam raz jeszcze, że widzę w tym projekcie ustawy zawsze i ciągle chęć odebrania Naczelnemu Wodzowi siły dowodzenia na rzecz jakiegoś Naczelnego Dowództwa i dania wszystkim możliwości szkodzenia Naczelnemu Wodzowi bez niesienia za niego realnej odpowiedzialności za prowadzenie wojny.

Drugi mój motyw jest to smutne doświadczenie, które wyniosłem, jako Naczelny Wódz, w czasie wojny. Nie da się nigdy zaprzeczyć, że główną podstawą powodzenia na wojnie jest moralna strona stosunku do wojny narodu, maszyny państwowej oraz żołnierzy. Największy geniusz wojenny nie po-

[1]) Mowa o ustępie II art. 9, który brzmiał: «Poza tym Rada Wojenna rozpatruje plan dyslokacji i koncentracji wojsk». Por. aneksy, str. XV.

trafi przełamać, że się tak wyrażę, «moral insanity» [1]), gdy ta jest silną w danym konglomeracie ludzkim, który czy nieopatrznie poszedł na wojnę, czy też był do niej zmuszony. Otóż pod tym względem doświadczenie moje z ubiegłej wojny dało mi jeden pewnik, który już podkreśliłem w swojej książce «Rok 1920». Mogę sobie bowiem przypisywać zasługę zwycięstwa, lecz jasno sobie zdaję sprawę, że opierałem się w dowodzeniu i zwycięstwach na jednej tylko części narodu, która walczyła zawzięcie i wykazała ogromną ofiarność na rzecz obrony samoistności polskiej, robionej własnymi polskimi rękami. Odwrotnie zaś, nie mogę nigdy zapomnieć rozwydrzenia innej części, dość, niestety, licznej, która nie wahała się nigdy prowadzić w wojsku na froncie agitacji o charakterze destrukcyjnym w stosunku do dyscypliny wojskowej, skierowując przede wszystkim wszystkie swe niecne ataki przeciwko mnie, jako Naczelnemu Wodzowi.

Stwierdzam też wyraźnie, iż wpływ tej «moral insanity» na ducha i treść omawianej ustawy jest aż nadto widoczny. I rozumie pan, iż nie chcę być sługą takiej ustawy, która wyraźnie zmierza do powtórzenia, już na podstawie prawa, tego samego gorszącego widowiska.

Wreszcie dodam trzeci motyw, który bardzo silnie wewnętrznie odczuwam. Jest to wyraźna i silna niechęć moja do przeżywania tych wewnętrznych buntów, przez które przechodzę nie tylko ja, lecz i wszyscy ci, specjalnie w wojsku, którzy uczciwie i wiernie, nie myśląc o własnym interesie i własnej kieszeni, służyli ojczyźnie, nie po to przecie, ażeby w stosunku do nich państwo zatraciło wszelką miarę przyzwoitości, systematycznie i stale. Wewnętrzny bunt, nad którym już nie chcę zupełnie panować, istniał w czasie całej ubiegłej wojny i kosztował mnie tyle, że napełnił mnie wstrętem do znoszenia jakiegokolwiek ubliżania. Nie ukrywam też tego nigdy przed moimi kolegami wojskowymi. I gdy, jak widzę, różni panowie chcą się opierać nie na poczuciu tych, którzy w ubiegłej wojnie dawali swe życie i krew, lecz na poczuciu tych, którzy od tego obowiązku uciekali lub robili przy wojnie geszefty, — to nie mam najmniejszej chęci łączyć z tym mego nazwiska, jak to wyraźnie już oświadczyłem pp. Władysławowi Grabskiemu i Sikorskiemu w związku z tą ustawą. Uważałbym to za potwierdzenie, że z wojskiem, idącym na wojnę, można postępować niżej znanej mi w historii przeciętnej przyzwoitości. Na takiego Naczelnego Wodza nie jestem urodzony i jeszcze raz

[1]) Zgnilizna moralna.

powtarzam — niech Polska szuka sobie na ten posterunek idioty, osła lub szui.

— *Czy wobec odejścia od władzy osób, które wniosły tę ustawę, nie uważa Pan Marszałek, że zaszły nowe fakty, które mogłyby zapowiadać zmianę atmosfery pracy wojskowej?*

— Proszę pana, nie mogę nie stwierdzić faktów zanadto wyraźnych, wskazujących, że ta tak zwana przez pana atmosfera stęchła i duszna niełatwo się oczyszcza. Nie będę długo mówił. Przedstawię tylko jeden fakt, który mnie najwięcej uraził. Jest to sprawa gen. Dreszera. Jak pan wie, w rocznicę powstania Polski zeszła się u mnie w Sulejówku dość duża ilość oficerów, by mi wyrazić swoje serdeczne uczucia, w dniu, w którym w r. 1918 państwo i wojsko stanęło pod moją władzą, przy zupełnym prawie chaosie, w jakim zastałem Polskę, wróciwszy z Magdeburga. Bardzo być może, że jakaś komisja historyczna, «ad hoc» zwołana [1]), wykreśli te pamiętne dni z historii i stwierdzi za pomocą sfałszowanych dokumentów, że Polska została zbudowana w r. 1914 przez trzy Koła Polskie trzech zaborczych Reichstagów i Dum [2]). Bardzo być może, że stanie się to nawet prawdą oficjalną rządu. Lecz dotąd nią nie jest i specjalnie być nią nie może dla oficerów, którzy pod moim dowództwem odnosili tak świetne zwycięstwa. Na zebraniu tym w imieniu kolegów przemawiał gen. Dreszer [3]). Wówczas p. Sikorski, upadający już minister spraw wojskowych, za uczczenie Józefa Piłsudskiego karnie przenosi gen. Dreszera z Warszawy do Poznania, dodając, iż dyscyplina wojskowa polega na tym, że oficer musi być karany, gdy w organach prasy, płatnych zresztą przez tegoż Sikorskiego lub kogo innego, sprawa jest uważana za polityczną [4]). Gdy zaś na szczęście dla wojska i dla Polski Sikorski odszedł, atmosfera — jak pan mówi — wytworzona przez rząd poprzedni, nie została oczyszczona. Mimo bowiem, iż fakt

---

[1]) Aluzja do komisji historycznej, zwołanej przez generała Sikorskiego dla zbadania zarzutów Marszałka Piłsudskiego w sprawie Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Por. t. VIII, str. 215.

[2]) Reichstag — parlament niemiecki, Duma — parlament rosyjski.

[3]) Por. t. VIII, str. 248.

[4]) Gen. Sikorski po złożeniu hołdu Piłsudskiemu przez oficerów w dniu 15 listopada 1925 r. w Sulejówku wydał następujący komunikat: «W związku z uczestnictwem niektórych z oficerów w manifestacjach o charakterze politycznym lub interpretowanych przez prasę jako politycznych, Minister Spraw Wojskowych wydał surowy zakaz brania udziału w tych manifestacjach z tym, że niestosujący się do tego rozkazu muszą być przez swoich przełożonych pociągnięci do odpowiedzialności według obowiązujących regulaminów i kodeksu karnego».

tej szykany w stosunku do gen. Dreszera wywołał silne wzburzenie w wojsku i choć, o czym wiem zupełnie dokładnie, gen. Żeligowski cofnął to wstrętne zarządzenie, wyciągnięto cały arsenał prawniczych wywodów, tym razem z rozkazu p. Stanisława Hallera, także wówczas ustępującego szefa Sztabu Generalnego. Gdy zaś powiem panu, na czym główny prawniczy wywód polegał, który przeciągnął tak długo sprawę dochodzenia przeciwko generałowi, szanującemu swego Naczelnego Wodza, to pan tak łatwo nie zada pytania o oczyszczeniu atmosfery. Wywód bowiem prawniczy, jako podstawa dochodzeń, polegał na następującym: generał Dreszer przez swoje przemówienie nie zrobił nic, coby mogło podpadać pod jakiekolwiek określenie występku. Lecz «mógł wzbudzić wątpliwość», czy czasami nie mógł być podejrzany o brak całkowitej gotowości podlegania swemu bezpośredniemu dowódcy, co dodam — w tym wypadku — oznacza gen. Konarzewskiego [1]), dowódcę I Okręgu Korpusu, który był razem z tymże gen. Dreszerem u mnie w Sulejówku. I na podstawie tak dziwacznego pojęcia o prawie miano szykanować gen. Dreszera, znanego nie tylko u nas, ale i na całym świecie, gdzie się tylko zajmują pracą jazdy, jako jeden z najwybitniejszych kawalerzystów. Chciano szykanować generała, będącego chlubą naszej armii, dlatego, że w imieniu całego grona oficerów złożył hołd byłemu Naczelnikowi Państwa i byłemu Naczelnemu Wodzowi, który sztandary wojsk polskich otoczył laurem zwycięstwa, tak dawno nieznanego Polakom. Ten jeden fakt wystarczy na dowód, że atmosfera nie została oczyszczona. Świadczy on bardziej o sile «moral insanity». A faktów, proszę pana, podobnych, świadczących o niezwykle niskim poziomie przyzwoitości publicznej, mógłbym naliczyć tysiące i to nie tylko w wojsku. Radziłbym panu stanowczo, tak, jak i wielu Polakom, nie być tak naiwnym w przypuszczeniach i dobrze przypomnieć sobie szczegóły z historii naszej od r. 1918 aż po dzień dzisiejszy.

— *Jeszcze jedno pytanie, Panie Marszałku. W różnych sferach politycznych, mniej lub bardziej oficjalnych, mówi się, że przez wprowadzenie pewnych zmian do obecnej ustawy mogłyby zostać stworzone warunki powrotu Pana Marszałka do wojska. Propagowana jest nawet teza, że jest to najlepszy sposób wejścia Pana Marszałka do pracy wojskowej. Jaka jest opinia Pana Marszałka o takim postawieniu sprawy?*

---

[1]) Gen. Daniel Konarzewski objął w sierpniu 1923 r. dowództwo O. K. I w Warszawie, które sprawował do 14. XII. 1925 r.

— Wątpię, aby ten środek w czymkolwiek pomógł. Chyba odwleka pan rozstrzygnięcie sprawy, związanej ze mną, nie na miesiące, a na lata. Natomiast stwierdzam jedno, że ustawa ta po przejściu przez dwa czytania [1]), przez poprawki, dodawania i ujmowania: słów, pojęć i paragrafów — nie została zasadniczo zmieniona. Natomiast zwiększono śmieszność i dziwaczność jej formy, a zarazem tak zatracono poczucie logiki w jej treści, że stanowi to najbardziej charakterystyczną cechę tego projektu ustawy w obecnej jego fazie. Wątpić muszę, czy z tej poczwarki może się rozwinąć jakikolwiek motyl.

STOSUNEK WZAJEMNY WOJSKA I SPOŁECZEŃSTWA W 1863 ROKU

(24 stycznia 1926 r.)

Na zaproszenie Koła Oficerów Sztabu Generalnego wygłosił Piłsudski dnia 24 stycznia 1926 r. w wielkiej sali Szkoły Podchorążych w Warszawie niżej przytoczony odczyt.

Piłsudski daje w nim rzut historyczny na stosunek społeczeństwa polskiego do wojska na przestrzeni całych dziejów Polski, stwierdzając, że w 1863 r. praca społeczeństwa dla wojska była najbardziej ofiarna.

Stenogram tego odczytu został wydrukowany w tygodniku «Głos Prawdy» z 30 stycznia 1926 r. Tekst, który podajemy, jest przedrukiem z tego wydawnictwa.

Moi panowie! Mam razem z wami uczcić rocznicę naszego ostatniego powstania 1863 r. Mam jednak przed sobą inne audytorium, niż zwykle miewałem w tych dniach styczniowych, mam bowiem przed sobą oficerów, stanowiących wojsko, a zatem ludzi, którzy muszą na działania wojenne zapatrywać się inaczej, niż ludzie, nie noszący munduru. Dlatego też, przemawiając dziś, nie będę odwoływał się ani do waszego sentymentu, ani do waszych uczuć, ani do waszych afektów, ani do wzruszenia. Chcę przemawiać do rozumu i rozwagi.

Epoka 1863 r. jest epoką wojenną, sama zaś praca historii w sprawie wojny 1863 r. jest tak zaniedbana i tak mało

---

[1]) I czytanie w sejmowej komisji wojskowej rozpoczęło się dnia 17 grudnia 1924 r. i trwało do dnia 19 lutego 1925 r. w ciągu 9 posiedzeń; II czytanie nastąpiło dnia 27 lutego 1925 r.

posiada źródeł, że praca nad dziejami samej wojny należy bodaj do najtrudniejszych, jakie spotkałem w swym życiu, studiując mnóstwo wojen, przeprowadzonych przez różne państwa i narody.

Dziś, mając do rozporządzenia tak niewielką ilość czasu, nie mogę powtarzać swoich na ten temat wykładów z przed 11 czy 12 laty [1]). Nie mogę zastanawiać się ani nad określeniem tej wojny, ani jej charakterem, ani imionami poszczególnych wodzów, którzy bili się dobrze lub źle. Nie mogę przedstawiać ówczesnej taktyki ani mówić o uzbrojeniu ówczesnym, bo to zajęłoby mnóstwo czasu. Dlatego zdecydowałem wybrać specjalny temat z dziejów 1863 r., żeby mu poświęcić rozważne i spokojne zastanowienie się nad niedawną względnie epoką, której jesteśmy dziećmi. Będę mówił o temacie, który musi poruszać wszystkich wojskowych, gdyż jest obecnie najbardziej palącym: o stosunku wojska do otoczenia i otoczenia do wojska.

Problemat ten jest wieczny, albowiem wiecznymi, jak dotąd, są wojny. Problemat ten nowocześnie przełamał się w pewien sposób w pewną konieczność, albowiem wojsko obecnie na całym świecie wyznaje zasadę, że wojna inaczej nie może być prowadzona pomyślnie, jak jeno wtedy, gdy się wojsko zlewa w swoich wysiłkach z wysiłkami całego narodu, całego państwa, będącego w stanie wojny. Dlatego też głowę każdego wojskowego, choć trochę myślącego o sobie, musi zajmować problem stosunku do siebie, stosunku do wojska nie kogo innego, jak właśnie narodu i państwa, które musi dać siły wojenne. Śmiem twierdzić na podstawie badań historycznych, że nie ma ważniejszej epoki, nie ma większego pod tym względem zwycięstwa ducha wojny, jak r. 1863.

Polska, której dzieje pod tym kątem widzenia starałem się nieraz przebiegać, nie daje ani razu, nie wyłączając naszej epoki, tak szczęśliwego i tak daleko idącego rozwiązania tej pracy, jak to było w r. 1863.

Moi panowie, będę o tym problemacie mówił porównawczo, śledząc i badając, przebiegając szybko najrozmaitsze epoki, przez które Polska przeszła, i porównywując je z epoką, wybraną dla dzisiejszego odczytu.

Jeżeli weźmiemy najdalsze istnienie historyczne Polski, to znajdziemy wojsko budowane tak, jak ówczesny świat na

---

[1]) Piłsudski mówi tu o swoich wykładach, wygłoszonych w roku 1912, wydanych pod tytułem: «Zarys historii militarnej powstania styczniowego». Por. t. III, str. 82—141.

ogół je budował. Jest to wojsko królewskie, wojsko książęce, wojsko, które czerpało swoje siły, biorąc prawie gwałtem ludzi do wojska albo na usługi wojska, nie pytając ich — chcą czy nie chcą, robiąc to siłą i tworząc w ten sposób siłę zbrojną, złożoną prawie wyłącznie z drużyn królewskich czy książęcych. W ten sposób wojsko było właściwie własnością króla, tak, jak i cały kraj. System ten, ściśle monarchistyczny, oparty na dziedziczności monarchii, stosowała Polska na równi z wszystkimi innymi narodami przez długie wieki.

I chcę zwrócić od razu na jedną rzecz uwagę, ażeby scharakteryzować stosunek, że tak powiem, Polski do wojska. Jeżeli weźmiemy w historii przydomki i tytuły królów, którzy byli zarazem zawsze naczelnymi wodzami, to znajdziemy jedną zabawną rzecz, nad którą jeszcze w dzieciństwie się zastanawiałem, mianowicie, że Polska przydomkiem «wielkiego» ochrzciła tylko jednego króla. Królem tym był Kazimierz Wielki, który skończył dynastię Piastową. Był to król znany z absolutnie niewojennego charakteru panowania, król znany z tego, że Polskę jakoby wziął po ojcu Łokietku «drewnianą», a zostawił «murowaną. Jedyny więc przydomek «wielkości» zastosowany został do króla i do wodza, który wodzem nie był. Jeżeli zaś weźmiemy królów z tej samej dynastii, którzy byli moimi w dzieciństwie faworytami, to znajdziemy tam przydomki, znamionujące jak gdyby ścisłe koleżeństwo wojskowe. Znajdziemy tedy Bolesławów, jako tych, którzy najwięcej się bili: więc Chrobrego i Śmiałego.

* *
*

Potem idzie dynastia obca, z obcych stron przybyła, dynastia Jagiellonów, która dała Polsce największą potęgę wewnętrzną i największe wpływy poza Polską. Bywały przecież okresy, gdy dynastia Jagiellonów panowała na Węgrzech i w Czechach, i ta wspólnota dynastyczna wzmacniała siłę centrum dynastii, jaką było państwo polsko-litewskie.

W tym czasie zmieniło się już dużo, albowiem na całym świecie dojrzewała jedna z największych epok, znanych w dziejach Europy, — epoka odrodzenia, która niosła nowe prądy, budząc i tworząc siłę państwa. Epoka odrodzenia przyszła do Polski właśnie przy końcu dynastii Jagiellonów i miała swój wielki rozkwit, albowiem to wszystko, co cechowało epokę odrodzenia, działo się w Polsce prawie w jednakowym tempie z całym Bożym światem.

Moi panowie, są rzadkie książki, wydane jedynie w Polsce, białe kruki, poszukiwane przez wszystkich, jako świadec-

twa wielkiej kultury polskiej i wielkiej sławy epoki odrodzenia nie gdzie indziej, jak w Polsce. Lecz zarazem dokonano wtedy jeszcze jednej pracy, która — powiedziałbym — jest specjalnością polską, a której inaczej ochrzcić nie zdołam, jak próbą utworzenia demokracji, próbą utworzenia współrządów z królem absolutnym, próbą pracy szerszej, niż jednoosobowa. Daje to możność łatwiejszego, niż gdziekolwiek, widzenia i spostrzegania tego, co stanowi temat mego odczytu: stosunku Polski do wojska, stosunku Polaków do wojska. Jedynym krajem, który miał pod tym względem jakieś drobne podobieństwa do Polski, była Anglia, gdzie wprowadzono i parlament, i współrządy panujących dla lepszego zaspokojenia potrzeb, lepszego urządzenia życia ludzkiego. Tak, że bodaj i pod tym względem Polska szła, że tak powiem, na czele postępu, którego ślady nie dają się spostrzec w reszcie Europy.

Już w tych czasach stosunek do wojska staje się iście polski.

Dynastia Jagiellonów ze swoim wielkim autorytetem, który wraz z posuwaniem się ku Wschodowi coraz bardziej się zwiększał, mogła i zdołała narzucić ideę zaspokojenia potrzeb państwowych własną wolą i własnymi siłami. Własnymi siłami, gdyż król i dynastia była bogata, trzymała w ręku swoim mnóstwo ziemi, dającej dochody, i mnóstwo rzeczy, które można było sprzedać lub zastawić, jak to nieraz robiono dla prowadzenia wojny. I wojsko samo było trzymane w większej karności i w większym porządku, niż to nastąpiło potem. Wraz z wymarciem dynastii Jagiellonów przechodzimy do systemu państwowego, podobnego bardzo do dzisiejszego. Albowiem król elekt, wybierany każdorazowo, nie był niczym innym, jak wybierany dziś prezydent.

To, że był dożywotnim, nie stanowi wielkiej różnicy. Śmieszną rzeczą, która ciągle się powtarzała, było, że z królem zawierano «pacta conventa», umowę, kontrakt i ważną rzeczą jest, że najczęściej w «pacta conventa» znajdujemy klauzule, które każą królowi płacić za wojsko, które każą przychodzić do Polski z pewnym wianem pieniężnym, ażeby oswobodzić się od opłat na wojsko.

Gdy zaś dodamy, że królów wybierano z zewnątrz, że wielka ich ilość przychodziła do nas z za granicy, że nie byli Polakami, lecz ludźmi, związanymi także z różnymi innymi dynastiami i ich sprawami rodzinnymi, to widzimy i rozumiemy, że Polska w stosunku do wojska zachowywała się w ten sposób, jak gdyby wojskiem handel prowadziła i sprzedawała wojsko na rzecz interesów innych narodów. Mamy np. dziwa-

czną wojnę o prawa dziedziczne Wazów, przychodzących ze Szwecji, którzy chcieli wywalczyć polskimi siłami nie co innego, jak tron szwedzki. Była to epoka, w której wojny toczono bardzo łatwo, tak, że bodaj nie było miesiąca w roku, żeby gdzieś nie wojowano, żeby gdzieś wielkiej pracy dziejowej krwią ludzką nie znaczono.

W czasie tych wojen nie tylko wszędzie dokoła tworzono wojsko, ale podnoszono jego wartość czy to pod względem technicznym, czy organizacyjnym, czy umiejętności bitewnej.

W Polsce tymczasem wojsko właściwie nikogo nie obchodziło, poza wojskowymi. Polska zajmowała się czym innym, wojskiem nie interesowano się specjalnie, a głównie nie było chętnych do płacenia podatków na wojsko. Typ życia był tak odmienny od otoczenia, tak inny od wszystkiego tego, co naokoło się działo, że wydaje się on być cechą charakteru Polaków. Wszelkie próby historyków przekonania, że Polak a rycerz jest to jedno i to samo, wydają mi się absolutnie niemożliwymi do udowodnienia, gdy się bierze realnie historię. Naród rycerski dbać musi o przejawy tego rycerstwa w sposób rycerzom należny, albowiem według określenia jednego z moich współrodaków spod Lidy: «nawet papieskie wojska i te jeść muszą, choć prawie są aniołami» [1]). To proste ujęcie prawdy o wojsku nie przychodziło do głowy naszym współrodakom w owych czasach. Wojsko nie było «papieskie» i jeść nie potrzebowało. Żołdu nie płacono. Wojsko musiało żyć nie wiadomo jak. I tu brak tej jedynej podstawy stałego życia wojska.

Gdy myślę o tej epoce, w której Polska wyraźnie skłaniała się ku upadkowi, gdy ginęła, codziennie obniżając swoją powagę na świecie i codziennie niszcząc siebie samą, — znajduję zawsze jedno i to samo zjawisko: naokoło wojsko wyrastało, naokoło państwa budowały wojsko, jako siłę zbrojną, naokoło praca szła silnie i pewnie, podczas gdy w Polsce siła państwa, reprezentowana przez wojsko, stale upadała. Jeżeli przebiegniemy w owych czasach pracę ówczesnego sejmu i ówczesnych królów, między którymi niejedni byli wielkimi żołnierzami, jak Stefan Batory, jak Władysław IV, jak wreszcie wielki zwycięzca spod Wiednia i Chocimia — Jan Sobieski, jeden z największych wodzów naszych, to znajdziemy zawsze jeden i ten sam przejaw życia, stale powtarzany w owym

[1]) Jest to cytat z wyrażenia jednego z wójtów na zebraniu odbytym przez gen. Żeligowskiego z przedstawicielami ludności miejscowej; wójt ten sentencją tą usprawiedliwiał wojsko polskie, że w sprawach aprowizacyjnych musi zwracać się o pomoc do ludności nieraz w dość ostrej formie.

okresie, jak gdyby Polska wyraźnie mówiła: my wojska nie chcemy, — jest to jakiś ciężki wóz, który najlepiej jeśli sam sobie jakoś będzie dawał radę.

* * *

W epoce tej jednak wojny były rok rocznie i żołnierze ciągle musieli iść na boje. Gdy się przejrzy, chociażby pokrótce, wypadki wojenne, w których brała udział Polska, znajdziemy jeszcze jedną bardzo charakterystyczną ich cechę. Była to jakby loteria, zależna prawie wyłącznie od wodza-hetmana. Z chwilą, gdy hetmania stała się dożywotnią godnością, którą można było kupić lub uzyskać dzięki protekcjom, starano się zapobiec złym skutkom tej metody przez nowych regimentarzy, różne urzędy, związane z wojskiem, rozdawane znów na zasadzie protekcji. Urzędy te często były w rękach zupełnie przypadkowych, niezwiązanych z wojskiem, i kiedy weźmiemy cały szereg naszych hetmanów w ubiegłych czasach, musimy dojść do wniosku, że naród jak gdyby powierzał swe losy protekcji boskiej, żywiąc nadzieję, że może Pan Bóg się zlituje i tchnie w hetmana talent i ducha rycerskiego. Nie można zaprzeczyć, że niekiedy Pan Bóg nas bardzo protegował, gdyż dawał takich wodzów, jak Chodkiewicz, jak Żółkiewski, jak Czarniecki, że wymienię tylko największych. Nie zmienia to przecież w niczym faktu, że w pracy wojennej zależeliśmy po prostu od szczęścia czy nieszczęść.

Gdy jednak przejdziemy prawie do ostatnich chwil życia Rzeczypospolitej, znajdziemy rzeczy jeszcze gorsze; znajdziemy, wobec słabości własnych sił, poszukiwania protekcji na zewnątrz. Prawie wszyscy dygnitarze byli płatni przez obcych, brali pensje nadzwyczajne od obcych potencyj. Szukano protektorów utytułowanych: wielką protektorką Polski była Katarzyna II, wielkim «przyjacielem» Polski był również Fryderyk Wielki w sąsiednich Prusach i wreszcie trzecią protektorką Polski była Maria Teresa. Przy takich protekcjach, sądzę, nawet wysoka protekcja boska pomóc by nam nie zdołała; żaden bowiem geniusz i żadna siła ludzka nie potrafiła nigdy iść przeciw tak wielkiej protekcji, jak brzęcząca moneta. I wtedy jednym z na pierwszym miejscu stawianych warunków było nie co innego, jak rozbrojenie Polski, zmniejszenie jej siły wojskowej, albowiem ten lub inny protektor-sąsiad miał przecież więcej wojska, niż Polska. Z chwilą zaś, gdy się ma protektora, po co wydawać pieniądze na wojsko, — wystarczy ta wielka protekcja.

Jeśli więc przebiegniemy cały okres historii, gdy Polska mogła przejawiać swój rozum stanu, zawsze znajdziemy jedno i to samo: z chwilą, gdy znikła siła jednowładców-królów dziedzicznych, którzy mieli dostateczny autorytet i dostateczne siły, ażeby przeprowadzić, wbrew narodowi, prace, związane z wojskiem, gdy rządy przeszły do samego narodu, do demokracji szlacheckiej, która była bodaj bardziej rozwinięta, niż demokracja obecna, to natychmiast interes wojska był, że tak powiem, postponowany i usuwany na dalszy plan w porównaniu do innych potrzeb, niechybnie istniejących w państwie. I wtedy górę brało nie co innego, jak to, co nazywano gospodarką kraju i pracą organiczną. Wiciny, płynące do Gdańska ze smaczną okowitą i bogatym ziarnem, za które ściągano również z Gdańska bogate likwory i jedwabie dla białogłów, znaczyły więcej dla ówczesnego państwa, niż twarda, żelazna praca, związana z wojskiem, z siłą zewnętrzną i pracą wewnętrzną nad duszą ludzką, która musi znowu stać się twardą i hardą w służbie wojskowej. Ten system, przez który Polska przez długie wieki przechodziła, doprowadził do charakterystycznego, a tak rzadkiego dla tego czasu upadku duszy polskiej do tego stopnia, że brano spokojnie pieniądze za zdradę Polski, że za granicą szukano protekcji.

W końcu istnienia wolnej Polski zaczyna się epoka odrodzenia, przynosząca ze sobą troskę o wojsko. Znamy te prace z czasu ostatniego panowania Stanisława Augusta. Znamy je prawie wszystkie, przynajmniej bardzo wiele, gdzie szukano odrodzenia i dla wojska. I znowu gdy je dzisiaj przeglądamy i głębiej nad nimi zastanawiamy, przychodzi na myśl, że ta reforma, znacznie wcześniej zrozumiana i przeprowadzona, dałaby może Polsce zbawienie, tak, jak nie mogła go dać wtedy, gdy całe otoczenie prześcignęło nas o stokilkadziesiąt lat w pracy nad siłą państwa, nie zapominając równocześnie o pracy gospodarczej, wykonywanej znacznie lepiej, niż to robili Polacy.

Jeżeli przejdziemy do epoki, z której pochodzimy, to jest do epoki Polski zależnej, Polski podległej, która nie miała własnego państwowego istnienia, — znajdziemy od razu bardzo wielką naprawę. Znajdziemy od razu pracę wytężoną, stałą, silną i idącą z pokolenia na pokolenie. Zaczęto wówczas naprawdę kochać czerwono-biały sztandar, zaczęto kochać i lubić wszystko to, co jest żołnierzem. Zaczęła się epoka idealizowania stanu żołnierskiego. Była to jak gdyby spóźniona naprawa, spóźnione szukanie siły dla odbudowania tego, co zo-

stało zgubione. Stosunek w Polsce podległej, w Polsce nieistniejącej do stanu wojskowego, do wojska i do służby żołnierskiej, zaczyna być takim, jakim on był powszechnie wszędzie od bardzo już dawnego czasu.

Rok 1863! W całej tej epoce, proszę panów, stoi na nowej rubieży historycznej nie tylko nasza Polska, ale i cały świat. Albowiem rok 1863 poprzedza zaledwie o kilka lat wielkie zmiany, które czekały Europę, mianowicie — wielkie zwycięstwo Prus prawie nad całym ówczesnym światem. Zaczęła się epoka, z której już my literalnie pochodzimy — epoka wielkich państw, budowanych na podstawie wielkiej techniki, wielkich wynalazków, które charakteryzują koniec wieku XIX i początek XX, wielkiej pracy w budownictwie państwowym, jaką każdy z nas już dobrze pamięta.

Więc rok 1863 stoi na rubieży. Rok 1863 ma za sobą wielkie walki, toczone o swobodę i wolność narodów, o swobody i wolność obywatelską, jakie charakteryzują rok 1848, który burzą przeszedł przez świat cały, który szukał haseł oswobodzenia każdego podległego narodu, który w programie świata stawiał oswobodzenie Polski, oswobodzenie i zjednoczenie Włoch. Rok 1863 stoi na przełomie, gdy jedno umiera, a drugie już się rodzi i gdy również stosunek do wojska wszędzie zaczyna radykalnie się zmieniać. Siły bowiem państw polegały nie tylko już na wojsku samym, ale na chęci samego narodu, obywateli danego państwa, być żołnierzami. Następuje pewna pogoń za liczbą, za wystawieniem możliwie wielkiej ilości żołnierza na wypadek wojny. Następuje chwytanie w szeregi rycerstwa i żołnierstwa coraz więcej ludzi, następuje musowa służba wojskowa ludności, prawo o konieczności szanowania żołnierza, obowiązek traktowania, jak obywatela, żołnierza w wojsku i przymus służby w wojsku. Z tej epoki wywodzi się stosunek wzajemny żołnierza i społeczeństwa, jaki widzieliśmy w wojnie 1914—1918 r.

Powtarzam, rok 1863 stoi na rubieży. I od razu zaznaczam, że jednym z ludzi, którzy pchali w kierunku całkowicie nowoczesnym nie tylko Polskę, ale i zaborcze państwo rosyjskie, był Polak, był jeden z wodzów powstania 1863 r., a mianowicie — Sierakowski [1]). Nazywano go w owe czasy w Petersburgu pomocnikiem ministra Milutina [2]), albowiem

---

[1]) Por. t. VIII, str. 65.

[2]) Dymitr Milutin hr. feldmarszałek, pisarz i reformator wojska rosyjskiego. Był w r. 1860 zastępcą ministra wojny a 1861 ministrem wojny.

pod jego kierownictwem i pod jego zarządem tworzyły się nowe prawa, związane ze służbą żołnierską w państwie rosyjskim.

Sierakowski jest autorem prawa dla szeregowych, Sierakowski jest autorem prawa, zabraniającego bić szeregowego, a w owych czasach uczono żołnierzy tylko pałką. Sierakowski był promotorem wszystkich prac ministerstwa spraw wojskowych, idących w kierunku nowoczesnym, i nieraz, gdym studiował rok 1863, zastanawiałem się sam nad tym, po co on właściwie starał się tak ulepszyć wojsko rosyjskie, ażeby potem bić się w powstaniu? Jaki cel mógł mieć ten człowiek, tak postępując? Nieraz zastanawiałem się, szukając wytłumaczenia dla tego człowieka, który tak tragicznie zginął, gdy chciał wzmocnić swego przeciwnika, z którym potem walczył. Dopiero w różnych pamiętnikach odnalazłem myśl przewodnią tego wielkiego żołnierza. Wierzył on, że Polska przez tę reformę myślową i duchową, przez tę reformę duszy ludzkiej łatwo przejdzie, zaś Rosja jej łatwo nie przeniesie, że ta reforma zatrzyma się w swoim zewnętrznym odzwierciadleniu na buntach żołnierskich przeciw władzy, przeciw swoim przełożonym, którzy nie zechcą wyrzec się prawa pałki w stosunku do szeregowych. Śpieszył więc, aby możliwie szybko dać tę reformę całej Rosji, żeby wzmocnić siły polskie przeciw siłom rosyjskim, starając się swoim talentem, swoją pracą i swoimi wielkimi wpływami pośpiesznie je przeprowadzić, gdyż przypuszczał, że wywoła ona wielki rozdźwięk w wojsku rosyjskim i że dzięki temu Polacy zdążą wyzyskać to osłabienie wojskowe organizacji rosyjskiej. Była to jego zasadnicza myśl. Zwracam więc na to uwagę, że jeden z wodzów powstania, Sierakowski, liczył i rachował na rozbudzenie pod tym względem w Polsce przekonania o konieczności pracy wojskowej.

Mamy więc w r. 1863 jednego z wielkich ludzi, który w całej pracy dla wojska był jednym z wielkich jej menerów, znanym nie tylko u nas, ale w całym świecie. Mamy zarazem próbę, która zdecydowała o dacie r. 1863, czy nowa praca i organizacja wojska z jej duchem, z jej istotną myślą, wytrzyma próbę w porównaniu z przeciwnikiem, któremu wojnę wydano. Widzimy więc, że i tu, w r. 1863, myśl ta, bodaj najdalej wysunięta w porównaniu z wszelkimi innymi epokami, stawia nas, Polaków, w rzędzie prawie przodowniczym w całym cywilizowanym świecie. Idziemy jeszcze zupełnie noga w nogę z całym światem, dając przy tym ludzi, którzy ten świat w swoich myślach i w swoich koncepcjach wyprzedzali.

Nie będę się zastanawiał nad przebiegiem samego powstania, nie będę próbował analizować szans lub takich czy innych błędów.

* * *

Chcę jednak zatrzymać się nad tym, co 1863 rok dał w tym problemacie, którego rozwiązania szukam przez bieg historii Polski. Dawał tak wielką pracę społeczeństwu na rzecz wojska, że przy próbie podziału na okresy samej historii powstania 1863 r. pod względem wojennym ochrzciłem jeden okres nazwą, że właściwie wojowało cywilne społeczeństwo o utrzymanie wojska, a nie wojsko o utrzymanie swego rządu. Potężna pod tym względem praca, do której należał i stary, i młody, i kobieta, i dziecko, była tak piękna i wielka, że potęga militarna państwa rosyjskiego z całą pracą swego aparatu rządowego nie mogła zniszczyć opieki nad wojskiem, którą dawali tak zwani cywile. Wojsko bowiem, od pierwszego uderzenia rozbite przez wroga, musiało mieć czas dla ponownego zorganizowania się i musiało mieć czas dla zrobienia z siebie odpowiedniej siły. I wtedy całe osłonięcie wojska w tym okresie leżało nie na kim innym, tylko na narodzie, nieubranym w mundury. Siła i potęga owego okresu leżała nie w karabinach i nie w lufach strzelb, które noszono w lasach i bagnach, lecz w cywilnym społeczeństwie, które, nie bacząc na ofiary, wojska broniło, które wojska podejść nie dawało. Jeden z najpiękniejszych okresów, gdzie żołnierz mógł się czuć w ojczyźnie, gdzie ojczyzna żołnierza pieściła i kochała i gdzie ofiary, na które naród się narażał, dla żołnierza były wyższe, niż żołnierz z siebie dawać potrafił.

To też myślę o epoce 1863 r. jako o najwyższym wykwicie siły wewnętrznej, którą Polska wydobyć z siebie umiała, gdy dobrowolnie, bez przymusu płacono olbrzymie podatki, odmawiając ich rządowi panującemu, gdy był posłuch dla pieczątki rządowej i szacunek i miłość dla żołnierzy, — stanowiącym jeden z najpiękniejszych liści laurowego wieńca sławy narodu.

Gdy staram się porównać ten epizod naszej historii z przykładami całego świata, znalazłem tylko jeden: walkę Ameryki o niepodległość przeciw Anglii [1]).

Podnoszę ten fakt, jako niezaprzeczalny i pocieszający, jako fakt, stwierdzający, że Polska zdolna jest do najwyż-

[1]) Mowa tu o powstaniu i wojnie z Anglią trzynastu kolonij angielskich w Ameryce Północnej pod wodzą Washingtona w latach 1775—1777.

szego wysiłku, albowiem działo się to w Polsce, w tym samym kraju, gdzie działy się te wszelkie bezeceństwa, które w czasie długich lat doprowadziły nie do czego innego, jak do najstraszliwszego upadku i znikczemnienia wewnętrznego.

Myśląc o tych czasach, ze zdziwieniem zawsze pytam, dlaczego rok 1863, gdy naród potrafił wznieść się do takiej wyżyny duchowej, dlaczego klęska, którą wszyscy wszędzie ponosić mogą i ponoszą w każdej wojnie, dlaczego ta klęska inną naukę dała Polsce, niż gdzie indziej, gdzie klęski również ponoszono? Przecież w bardzo niedługim czasie po klęsce Polski w r. 1863 i 1864 Francuzi ponieśli także wielką klęskę, a jakżę inną z niej wyciągnęli naukę, zbierając siły do odwetu. Tak było we Francji. W Polsce rok 1863 stoi na rubieży upadku wszystkiego tego, co jest wojskiem. Nie tylko wszyscy uciekali od wojska, nie tylko służba wojskowa należała do usuwanych z myśli polskiej, ale musem rozwagi, musem umiejętności myślenia była pogarda dla stanu żołnierskiego polskiego, staranne usuwanie myśli o żołnierstwie polskim, było staranne wychowanie młodzieży i siebie we wstręcie i pogardzie dla służby i stanu żołnierskiego polskiego. Zwracam panom na to uwagę, że ten silny przełom po klęsce 1863 r. bez względu na to, jakbyśmy go tłumaczyli, idący z roku na rok, z godziny na godzinę, — żłobił myśl polską, żłobił serca polskie, żłobił dusze polskie. Dlatego, gdy mówię wam o wybranym przeze mnie temacie, ostrzegam, jak siebie ciągle ostrzegałem, że Polska na zdrowe drogi wejść nie będzie w stanie, nim pokolenie niewoli po 1863 r. nie wymrze. Zbyt głęboko sięgnęła trucizna w duszę polską, ażeby można było przypuszczać, że po tak świetnej epoce, jaką przeżyła Polska w 1863 r. w dziejach tego problematu, — w stosunku tego, co jest cywilnym, do tego, co jest wojskiem, — ażeby odrodzić się w jednej chwili z tego mogła.

Zastanawiałem się nad tym problematem od dawien dawna i dlatego w czasie naszej wojny przyglądałem się bacznie, czy nie ma pod tym względem śladu, czy nie ma pod tym względem prób odrodzenia w tym pokoleniu, do którego sam należałem. Liczyłem i rachowałem, przyglądałem się w różnych miejscach i w różnych warstwach, przyglądałem się w każdej prawie chwili swego naczelnego dowodzenia wojskiem i swojej względem świata reprezentacji Polski. Uważałem to za jeden z największych problematów, z którym do Polski przychodziłem, i śmiało rzec mogę, że moje słowa, które wypisałem w książce swojej o roku 1920, że za Polskę w 1918 i 1920 bił się tylko ten, kto chciał, i ten, kto był głupi, — są

szczerą prawdą [1]). Ucieczka od pracy w wojsku była prawie powszechna. Wszystkie moje próby obliczania, które czyniłem w pracy wojennej, zawsze doprowadzały mnie do jednego wyniku: bije się tylko ósma albo dziewiąta część wojska, reszta nie bije się wcale. Wszystkie obliczenia, na których kiedykolwiek Naczelny Wódz opierał się, — mówię o sobie w przeszłości — wszystkie te cyfry i daty były błędne, wszystko zawodziło. Jednym z moich twierdzeń przy studiach wojny jest: moralność na wojnie mierzy się moralnością tyłów. Tymczasem u nas tyły niesłychanie przerastały front, dezorganizując go i demoralizując.

Moi panowie, wojsko jest stworzone dla wojny. Myśl, że wojsko utrzymuje się nie dlatego, żeby uczyło się wojny, ale aby tak było dla jakiejś parady lub z obawy przed katastrofą, — jest nonsensem. U nas ludzie tej prawdy śmiałej i twardej boją się. Wojsko musi być utrzymywane tylko wtedy, gdy jest obawa wojny. Po co wydawać na nie tyle pieniędzy; po co tylu ludzi pozbawiać praw swobodnego obywatela; po co to wszystko czynić, jeżeli się nie ma obawy o swoje istnienie? Wojsko jest stworzone dla wojny i każdy z was uczyć się musi nie czego innego, jak prowadzenia wojny. Na tym polega nasza praca, do tego was się przyzwyczaja, do tego was się wciąga. W wojnie nowoczesnej wracamy nieledwie do prawdy pospolitego ruszenia, do prawdy plemion dzikich, które, wykopawszy siekierę i włócznię ze ścieżki pokoju, szły powszechnym tłumem na wojnę. Wtedy stosunek tego, co was otacza, do wojska jest rzeczą tak ważną i wielką dla powodzenia, dla zdobycia szacunku nieprzyjaciela, że pierwszy krok wojenny nie od czego innego zależy, jak od moralności społeczeństwa w stosunku do żołnierzy. Trzeba więc w duszy narodu szukać ideałów, które wyznawali nasi ojcowie w 1863 r.

Proszę panów, dobiegam do końca i chciałbym na ostatek powiedzieć o jednej prawdzie, która mnie samemu ciężko niegdyś przyszła, która jednak jest niezbita. Prawda ta mówi: jeżeli porównamy wszystkie fachy i wszystkie zajęcia, które ludzie wykonywują, jeżeli porównamy wszystkie prawdy o pewnej wartości człowieka w wykonywaniu jego pracy, to jest jedna prawda, która żołnierza najwyżej stawia, jest jeden fakt niezaprzeczony, który się rzuca w oczy, a który tak trudno się przyjmuje, — że żołnierz jest tą istotą, która musi żyć i umierać nie dla siebie, a dla innych. Jest coś, co jest związane ze stanem żołnierza, i czy ten żołnierz gdzieś siekierą czy dzidą

[1]) Por. t. VII, str. 19.

wywijał, szukając czaszki przeciwnika i narażając swoją, czy ten żołnierz czy rycerz w szranki wyjeżdżał i bił się z przypiętą na piersi kokardą damy swego serca, czy też musiał patrzeć, stojąc w szeregu, gdy kule korytarze w ciałach ludzkich przebijały, czy też w okopach gdzieś umierał, — to zawsze jest jedna prawda, że żołnierz cierpi i umiera nigdy dla siebie. Więc umiera on dla czegoś, umiera dla kogoś i żyć musi inaczej, niż inni, i czynić to musi także dla kogoś, także dla czegoś. Nie jest to w niczym współmierna praca i współmierne życie z innymi współobywatelami. Żołnierz walczy i żyje dla wszystkich, podczas gdy wszyscy inni walczą o swoje jedynie interesy. Jest coś, co duszę żołnierską, gdy jest prawdziwa, podnosi, coś, co go czyni piękniejszym wewnętrznie od innych, co łączy wszystkich żołnierzy w jedno — to jest symbol i emblemat narodowy. Kto z naszych współobywateli dla symbolu i emblematu umierać zechce?

A tym symbolem, tym emblematem nie są nasze własne żołnierskie osobiste sprawy, bo żołnierz jest znowu obojętny, czy nad głową dowódców powiewa buńczuk z włosia końskiego, czy kolory i tarcze herbowe królów, czy też ma trupem paść, broniąc biało-czerwonych sztandarów narodowych. Jest coś wyższego, niż wszystkie ludzkie rachunki, jest coś, co jest wyższe nad poziom powszedni. Moi panowie, gdy żołnierz straci szacunek zarówno dla tych emblematów, jak i tego, co wyższe, co go wyżej stawia od innych, gdy piękności wewnętrznej nie ma — boję się o naród taki, gdy próba wojenna wypadnie.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 10 LUTEGO 1926 R.

(9 luty 1926 r.)

Obawa przed trudnościami, które mogą wywołać czynniki wrogie Piłsudskiemu, sprawiała, że czynniki wówczas decydujące zajęły w sprawie jego powrotu do wojska stanowisko niezdecydowane i wahające się. Wskutek tego sprawa ta nie ruszała z miejsca.

Dnia 6 lutego 1926 wystosował Piłsudski list do Prezydenta Wojciechowskiego. W liście tym Piłsudski oświadcza, że skoro Prezydent chce dalej aktywować sprawę szkodliwego projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych, to nie może on liczyć na jakikolwiek jego udział w pracy wojskowej.

Dnia 8 lutego 1926 r. odbyła się w Belwederze na ten temat rozmowa między Piłsudskim a Prezydentem Wojciechowskim.

Dnia 9 lutego 1926 r. Piłsudski udzielił «Kurierowi Porannemu» niżej przytoczonego wywiadu, który został ogłoszony w tym piśmie z dnia 10 lutego 1926 r.

W wywiadzie tym Piłsudski podaje do wiadomości, że zerwał swoje rozmowy z rządem, skoro nie zgodzono się na jego warunek wycofania przez rząd projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych.

Tekst podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 10 lutego 1926 r.

— *Prasa codzienna przyniosła wiadomość, że toczą się z Panem Marszałkiem pertraktacje o wejście do czynnej pracy w wojsku. Czy Pan Marszałek nie zechciałby udzielić informacyj w tej sprawie?*

— Proszę pana — nie mogę twierdzić, aby pertraktacje z panem prezesem gabinetu były w jakikolwiek sposób toczone. Wobec tego wolę to nazwać rozmowami, które raczej, mówiąc językiem dyplomatycznym, były długotrwałym i męczącym dla mnie «pourparler» [1]), które wreszcie absolutnie zerwałem wczoraj.

— *Czy można prosić Pana Marszałka o oświetlenie motywów tej decyzji?*

— Motyw zawsze jest jeden i ten sam. Jasno zawsze wypowiadałem się, że ustawa o najwyższych władzach wojskowych, wniesiona do sejmu przez poprzedni rząd, jest szkodliwa dla państwa, szkodliwa dla wojska, a jednocześnie ma charakter umyślnego ubliżenia mnie, Józefowi Piłsudskiemu. Dlatego też przy wszystkich «pourparler», jako pierwszy warunek jakichkolwiek poważniejszych rozmów, stawiałem wycofanie tej ustawy z sejmu, do czego, jak wiadomo, jest zawsze upoważniony rząd i prezes ministrów. Z chwilą zaś, gdy się dowiedziałem o próbie aktywowania tej ustawy z takimi czy innymi odmianami, czy nowymi dodatkami, zdecydowałem jasno i wyraźnie nie znosić nadal ubliżającej w stosunku do mnie, a sądzę i wojska, gdy handlowania między stronnictwami i partiami oraz prezesem Rady Ministrów. Zwrócę panu uwagę, że do takich metod w stosunku do mnie jestem przyzwyczajony w tym państwie i doskonale cele i zamiary tej gry rozumiem. Gra taka jest prowadzona tak dawno, jak państwo polskie istnieje, i wynika ona stąd, że jestem człowiekiem, zmuszającym swoją pracą do szacunku dla siebie, niezależnie od stosunku do mnie, wypływającego z jakichkolwiekbądź innych względów. Byłem

[1]) Rozmowach.

Naczelnikiem Państwa i zdołałem w r. 1918 zapewnić spokój i wyrastanie państwa mimo powszechnego zatracenia się w powodzi zjawisk, wobec których zdziczałe w tchórzostwie i upokorzeniu niewoli społeczeństwo wyglądało tak, jak gdyby drżało przed samym istnieniem Polski, jako niepodległego państwa. Zdołałem otoczyć sztandary nasze tak wielkimi zwycięstwami, jakich nawet pradziadowie nie znali, i dokonałem tego wówczas, gdy to samo tchórzostwo czyniło orła białego żółtym ze strachu. Dosyć przypomnieć Spaa [1]), któremu zaprzeczyłem zwycięstwami, i niecną jazdę do głównej kwatery nieprzyjaciela podczas zagrożenia stolicy [2]). Wreszcie, wbrew zwyczajom polskim, potrafiłem, odchodząc — z powodów politycznych — od pracy państwowej, nie żądać nic od ubogiego państwa, a zapewnić sobie i swojej rodzinie życie własną pracą [3]). Rozumiem dobrze, że nad takim człowiekiem nie łatwo jest przejść do porządku, dopóki jeszcze oddycha i żyje. Lecz nigdy nie rozumiałem i nie rozumiem braku odwagi cywilnej u ludzi, którzy gotowi są zawsze zapewniać, że o powrocie moim do pracy państwowej tylko marzą, robiąc przy tym, jak małe pieski, wszystkie możliwe małe, drobne, nikczemne obrazy w rodzaju komisji historycznej z fałszywymi dokumentami, w rodzaju prób dyskutowania stale o mnie beze mnie, jakoby dla dogodzenia i satysfakcjonowania mnie. System ten, tak stały w naszym państwie, który, sądziłem, będzie po upadku poprzedniego gabinetu zaniechany, został z lubością przyzwyczajeń wznowiony w całej rozciągłości, z całą nienależną takiej procedurze powagą, i to w kwestii obrony państwa w razie konfliktu zbrojnego, gdzie wszyscy najspokojniej twierdzą ciągle, że jedynym człowiekiem, który w tym wypadku wziąć

[1]) Konferencja w Spaa aliantów z Niemcami w sprawie rozbrojenia i reparacyj odbyła się w dniach 5—16 lipca 1920 r. Na konferencji tej Polska przyjęła warunki, na jakich Koalicja godziła się pośredniczyć w sprawie zawarcia pokoju między Rosją sowiecką a Polską i ewentualnie udzielić pomocy Polsce. Główny warunek brzmiał, że Polska wycofa swe wojska na tak zwaną linię Curzona, tzn. linię uchwaloną przez Radę Najwyższą Koalicyjną w dniu 8 grudnia 1919 r. Linia ta pokrywała się z granicami dawnego Królestwa Polskiego, bez Suwalszczyzny, z dodaniem obwodu białostockiego, a więc pozostawiała Wilno Litwinom; we wschodniej Galicji wojska miały być zatrzymane na linii, osiągniętej w dniu rozejmu; ponadto musiała delegacja polska zgodzić się na przyjęcie przez Polskę decyzji Rady Najwyższej w sprawie granic litewskich, przyszłości Galicji wschodniej, sprawy cieszyńskiej i przyszłego traktatu gdańsko-polskiego.

[2]) Por. t. VIII, str. 226.

[3]) Marszałek Piłsudski po wycofaniu się z życia publicznego w roku 1923 utrzymywał dom z pracy pisarskiej, a całą pensję oddawał na cele publiczne.

musi na swoje barki całą odpowiedzialność, ma być nie kto inny, jak zwycięzca we wszystkich bitwach, które prowadził osobiście, Józef Piłsudski. Nie mogę przemilczeć, że uważam ten intrygancki system za ubliżający pracy, którą wykonałem dla państwa.

Gdy zaś pomyślę, że ten system, związany z ustawą, jest nie czym innym, jak aktywizowaniem wszelkiego rodzaju «Naczelnych Dowództw», jako prawa dla Polski, i gdy z własnego doświadczenia wiem, jak to instytucje «Naczelnych Dowództw» ułatwiały swoją pracą nie komu innemu, jak nieprzyjacielowi, uzyskanie przewag nad nami, — nie mogę nie być oburzonym na ludzi, którzy nigdy w skórze żołnierza nie byli, gdyż przeważnie od służby w wojsku uciekli, a później wyciągnęli ręce po beneficja, związane — dla mnie zupełnie wyraźnie — z ustawą o najwyższych władzach wojskowych.

— *A czy Pan Marszałek omawiał tę kwestię z ministrem, gen. Żeligowskim?* [1])

— Pan gen. Żeligowski stale rozmawiał ze mną i twierdził, że za główne zadanie poczytuje sobie wprowadzenie mnie do czynnej służby w armii. To też był dzisiaj u mnie i oświadczył, że czyni ostatnią próbę spowodowania cofnięcia tej ustawy z sejmu. Poszedł, o ile mi się zdaje, z gotową dymisją w kieszeni. Nie mogę więc nic, jak dotąd, zarzucić gen. Żeligowskiemu, który, zdaje się, przy tej szarpaninie stracił nawet na zdrowiu.

— *Czy dymisja ministra Moraczewskiego pozostaje w jakimś związku z tą sprawą?* [2])

— Pan Moraczewski stawiał jako jeden z postulatów przy wstępowaniu do gabinetu — jak mi to sam oświadczył — powrót mój do wojska, nie chcąc być ministrem, jeśli sprawa ta nie jest stanowczo zdecydowana. Prosiłem go wówczas, a było to przed samym sformowaniem gabinetu, by zechciał nie wiązać swojej osoby z tą sprawą. Uczyniłem zaś tak dlatego, że ceniąc wysoce tyloletniego mego przyjaciela i jego zawsze uczciwą i rozumną dla państwa pracę, nie chciałem mieć na swoim sumieniu zwiększenia jego kłopotów nie tylko w rządzie, ale i we własnym klubie. Pan Moraczewski na razie się zgodził, lecz wiem, że będąc również drażliwym na wady na-

[1]) Gen. Lucjan Żeligowski był ministrem spraw wojskowych w gabinecie Skrzyńskiego od dn. 27. XI. 1925 r. do dn. 5. V. 1926 r.

[2]) Jędrzej Moraczewski, który był od dn. 20. XI. 1925 r. ministrem robót publicznych z ramienia klubu parlamentarnego Polskiej Partii Socjalistycznej w gabinecie Skrzyńskiego, wniósł prośbę o dymisję w dniu 7 lutego 1926 r., motywowaną złym stanem zdrowia.

szych urządzeń politycznych, stawiał wniosek w rządzie o rozpoczęcie pertraktacyj ze mną. Zaplątał się prawie natychmiast w sieciach metod, tak mi dobrze znanych, a które opisywałem wyżej. Lecz wyjście p. Moraczewskiego z gabinetu — zgodnie z jego wyjaśnieniami — nie jest wcale ze mną związane. Chyba ten splot intryg i różnych machinacyj przyczynił się do wewnętrznego stanu niezadowolenia, o co już nie chciałem pytać przyjaciela.

— *Czy Pan Marszałek ma jakieś przypuszczenia co do konsekwencyj wczorajszego — jak Pan to określił — zerwania pertraktacyj?*

— Droga, o ile mnie się zdaje, jest otwarta dla nowej ery Sikorskiego, gdyż mocno wątpię, żeby przy takim moim postawieniu sprawy łatwo było znaleźć wyższego oficera, któryby się podjął po próbie gen. Żeligowskiego powtarzać jego doświadczenia.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 12 LUTEGO 1926 R.

(11 luty 1926 r.)

Dnia 10 lutego 1926 r. odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym rozpatrywana była sprawa ustawy o naczelnych władzach wojskowych.

Minister spraw wojskowych, generał Żeligowski, postawił wniosek o wycofanie z sejmu znajdującej się w sejmowej komisji wojskowej ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych. Rozwinęła się dyskusja, której wynikiem była następująca konkluzja premiera Skrzyńskiego: Ponieważ niektórzy z ministrów nie znają istoty sprawy, przeto winni się z nią zapoznać. Zdecydowano wobec tego, iż tekst ustawy w brzmieniu obecnym (po przeredagowaniu w dwóch czytaniach w komisji) zaprezentowany zostanie w odbitkach ministrom. Ministrowie, należący do koalicji stronnictw popierających rząd Skrzyńskiego, wniosek generała Żeligowskiego zreferują swym klubom tak, że przedmiot będzie już mógł być omawiany d. 17. II. 1926 r. na Radzie Ministrów.

Gen. Żeligowski zakomunikował na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 10 lutego 1926 r. premierowi Skrzyńskiemu, że poda się do dymisji, o ile ustawa o organizacji naczelnych władz wojskowych nie będzie wycofana z sejmu.

Następnego dnia udzielił Piłsudski «Kurierowi Porannemu» niżej przytoczonego wywiadu, w którym wykazuje nieszczerą taktykę rządu Skrzyńskiego w sprawie ustawy o naczelnych władzach wojskowych i podaje do wiadomości, że w drugim swym oświadczeniu, złożonym Prezydentowi Wojciechowskiemu (por. t. VIII, str. 258), ostrzegał go przed

chęcią pomijania przez stronnictwa interesów moralnych wojska i przed obsadzaniem stanowiska Szefa Sztabu oficerem obciążonym złymi tradycjami byłego austriackiego sztabu generalnego.

Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 12 lutego 1926 r.

— *Wczorajsze posiedzenie Rady Ministrów wzbudziło rozmowy na temat, czy Pan Marszałek nie nabrał większej ufności, niż przy ostatnim wywiadzie?*

— Ależ, panie! System, o którym w poprzednim wywiadzie mówiłem, święci swój najwyższy tryumf w tym posiedzeniu, gdyż nie kryje się nawet wcale — może dlatego, że już nie potrafi — za żadne zasłony przyzwoitości. Czyż nie jest to zabawnym, gdy dla jednego z obecnych ministrów, który zasiadał również i w poprzednim gabinecie[1]), powodem, dla którego dowodził dokładnie i szeroko potrzeby zaniechania natychmiastowego wycofania znanej ustawy p. Sikorskiego, jest to, że nie można tego uczynić bez dokładnego namysłu i bez wejścia «in meritum»[2]) sprawy na specjalnym posiedzeniu Rady Ministrów. Stąd, widzi pan, wynika, że takiemu panu, który z wojskiem, naturalnie, nigdy nie miał do czynienia, nie wystarcza zdanie człowieka, który ze świeżo sformowanym wojskiem odnosił zwycięstwo za zwycięstwem. Prawdopodobnie ten pan, należąc do pewnego stronnictwa, ma patent na fachowca specjalnie wojskowego. Lecz podziwu godną jest odwaga śmieszności, że roztrząsając tę samą sprawę w poprzednim i upadłym ministerium przed wniesieniem ustawy Sikorskiego do sejmu i będąc, naturalnie, obecnym i czynnym przy roztrząsaniu tejże ustawy w sejmie w ciągu roku, nie ma teraz dosyć tej «pięknotki-ustawy», a chce się nią nasycić i nalubować raz jeszcze, dyskutując ją «in meritum» w rządzie. Widocznie są argumenty, które silnie łączą obu fachowców wojskowych, p. Sikorskiego i danego ministra.

Byłoby więc dziwnym, gdybym mógł — jak pan mówi — mieć jakąkolwiek ufność, że interesy wojska, oprócz zmniejszenia budżetu i podrzucania biednemu gen. Żeligowskiemu coraz to nowych deficytów z okresu rządów wojskiem jego poprzednika, znajdą zrozumienie w tym rządzie. Przypuszczam nawet, że zamówioną będzie jeszcze jedna komisja historyczna z nowymi czy dawnymi historykami, z udziałem może innych,

[1]) Mowa o min. oświaty Stanisławie Grabskim, który piastował tę samą tekę również w gabinecie Władysława Grabskiego po ustąpieniu Miklaszewskiego.

[2]) Do sedna.

lecz dobrze znanych generałów, autorów cennych pism historycznych, dla dowiedzenia, że żadne zwycięstwa nie były moimi, lecz wszystkich «Naczelnych Dowództw», natomiast moimi były wszystkie deficyty, powstałe ze wszystkich nadużyć, które czyniono podczas wojny i podczas pokoju.

— *Już kilkakrotnie pozwoliłem sobie niepokoić Pana Marszałka pytaniem w sprawie oficjalnych Jego wypowiedzeń się w sprawach wojskowych. Czy mógłby Pan Marszałek obecnie, choć w pewnej mierze, zadowolić ciekawość publiczną, gdyż wiele osób przypuszcza, że jednak pertraktacje z nim miały miejsce, a nawet rozpowszechniane jest mniemanie, że obecnie w wojsku dzieje się wszystko według zamierzeń Pana Marszałka?*

— Znana lojalność moja nakazywała mi powstrzymywać się od wyjawienia niektórych moich jasno sformułowanych i zupełnie oficjalnych oświadczeń. Tak więc zaniechałem opublikowania mego drugiego oświadczenia, złożonego Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej [1]) po sformowaniu gabinetu p. Aleksandra Skrzyńskiego, bez obsady teki ministra spraw wojskowych. Nie zrobiłem tego, ponieważ p. Aleksander Skrzyński wyjeżdżał w tym czasie za granicę, jako minister spraw zagranicznych, reprezentując w ten sposób Polskę. A chociaż nie należę do czcicieli jego polityki zagranicznej, nie umiem trzymać się zwyczajów tego kraju, nakazujących niektórym nawet stronnictwom kompromitować przedstawicieli swej ojczyzny, którzy ją reprezentują na zewnątrz. Przypomnę z własnego doświadczenia moje wizyty, jako Naczelnika Państwa, w Paryżu i Sinaja [2]), i przypomnę upadek ministra spraw zagranicznych Sapiehy, gdy reprezentował Polskę na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w Brukseli [3]). Nie chciałem więc i w tym wypadku utrudniać sytuacji p. Aleksandrowi Skrzyńskiemu. Nie chcę zaś teraz, gdy tego zaniechałem poprzednio, roztrząsać tego oświadczenia w całości. Nie mogę jednak nie powtórzyć paru zawartych w nim spraw. Jedna z nich — zdaniem moim — jest dokładnie ilustrowana i obecnym problematem, nad którym tak uporczywie chce sobie suszyć głowę rząd dzisiejszy. Mówiąc o sposobie pertraktacyj, które odbywały się w sejmie przed sformowaniem koalicyjnego rządu,

---

[1]) Por. t. VIII, str. 258.

[2]) Mowa tu o podróżach Naczelnika Państwa do Paryża w 1921 r. i do Sinaja, letniej siedziby króla rumuńskiego, w 1922 r., por. t. V, str. 184—192 i 279—281.

[3]) Komisja spraw zagranicznych uchwaliła wtedy ministrowi spraw zagranicznych votum nieufności dnia 12 maja 1921 r.

pisałem między innymi w swoim oświadczeniu: «Wyrażam przy tym swoją wielką obawę, że zgodnie z moim ostrzeżeniem, stronnictwa więcej znacznie dbały o swoje prywatne do państwa interesy, niż o interesy moralne wojska — boję się zaś, że w tych materialnych czasach — i o najzwyczajniejsze elementarne potrzeby żołnierza polskiego». Proponując kandydatów na posterunek ministra spraw wojskowych Panu Prezydentowi, ostrzegłem go również przed pielęgnowaniem tradycji austriackiej w naszym Sztabie i to w następujących słowach: «Radziłbym dla uzdrowienia stosunków pominąć przy wyborze szefa Sztabu jakiegokolwiek oficera z dawnej austriackiej służby sztabu generalnego, a to dlatego, że wydaje mi się, iż czas już zerwać z tradycjami w naszym Sztabie najgorszej tradycji austriackiego sztabu generalnego. Oficerowie tego typu tak łatwo, niestety, wpadają w papierowy system biurowych swarów i uzgodnień bez końca, że narażają każdą rozpoczętą pracę na nieuniknione zatrzymanie, wprowadzając brak poczucia odpowiedzialności. Wreszcie mają taką skłonność do sekatur i szykan wszelkiego rodzaju i do tolerowania wszelkich nadużyć lub ukrywania ich dla zużytkowania w celu wymuszania, że przypominają najgorsze czasy panowania «K. Stelle» [1]) i personalnych oddziałów w sztabach austriackich». Nie chcę i tym razem, jak i w samym oświadczeniu, pominąć zastrzeżenia, które brzmiało: «Nie mogę nie zauważyć przy tym, że nie chcę nie pamiętać serdecznie o tych miłych kolegach z austriackiej służby, którzy w pracy tych kardynalnych wad nie posiadali». Jeżeli więc pan z dymisji gen. Stanisława Hallera [2]), czy z niewprowadzenia na nowe rządy wojskiem autora ustawy o najwyższych władzach wojskowych wnosićby chciał, że wszystko — jak pan mówi — w wojsku dzieje się według mojej chęci lub rady, to pan się myli. Wszak razem jesteśmy świadkami zjawiska, które scharakteryzowałem w poprzednim wywiadzie, gdy w jego zakończeniu powiedziałem, że praca obecna rządu jest wyrównywaniem drogi do powrotu dwu generałów, którzy najbardziej zaszkodzili wojsku i przed którymi ostrzegałem Pana Prezydenta, p. Szeptyckiego i p. Sikorskiego.

— *A więc, Panie Marszałku, bez zmiany?*

— Bez zmiany.

---

[1]) Kundschafter Stelle — ekspozytury oddziału wywiadowczego austriackiego sztabu generalnego.

[2]) Dymisja gen. St. Hallera ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego nastąpiła dn. 15 grudnia 1925 r.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 17 LUTEGO 1926 R.

W «Kurierze Porannym» z dnia 17 lutego 1926 r. został umieszczony niżej przytoczony wywiad. Piłsudski podnosi w nim konieczność uniezależnienia wojska od politycznych czynników, które na równi z olbrzymią częścią społeczeństwa grzeszą nieznajomością spraw wojskowych a pragną rozstrzygać o nich pod kątem coraz to inaczej kształtujących się sojuszów politycznych.

Tekst podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 17 lutego 1926 r.

— *Ponieważ wywiady, udzielone nam uprzejmie przez Pana Marszałka, wywołały na łamach prasy dość obfitą dyskusję na temat wojska i jego roli w państwie, czy Pan Marszałek nie zgodziłby się dać swoje miarodajne oświetlenie tego zagadnienia?*

— Proszę pana — niedawno miałem wśród oficerów odczyt w tej sprawie [1]). Nieraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że ta prosta skądinąd kwestia w Polsce została tak śmiesznie skomplikowana i tak po cudacku wykrzywiona, iż wydaje się być najlepszym świadectwem tego, czego dowodziłem w swoim odczycie w sali Szkoły Podchorążych. Dowodziłem bowiem tam historycznie, że Polska tradycji wojskowej nie posiada wcale, gdyż sięgaćby musiała aż do epoki Piastów i Jagiellonów, do czasów więc dość zamierzchłych, by do tej tradycji się dokopać. We wszystkich bowiem późniejszych epokach Polacy starannie raczej z instytucją wojska walczyli i od niej się odsuwali, niż się nią na serio zajmowali. Specjalnie zaś w tym pokoleniu, w którym żyjemy, istnieje wyraźna niechęć do ujmowania sprawy wojska, jako jednej z konieczności życiowych każdego państwa, przynajmniej dotąd, — będącą skutkiem wyraźnego znikczemnienia umysłu polskiego po klęsce 1863 r. Wojsko — proszę pana — istnieje wszędzie, gdzie tylko istnieją państwa zorganizowane. Słusznie czy niesłusznie tak jest, — nie ulega to żadnej wątpliwości i żadna komisja historyczna, chociażby «ad hoc» zwołana, nie potrafi temu zaprzeczyć. Istnieje więc i u nas i mimo wyraźnej niechęci po temu, może nie tyle obywateli, ile ich przedstawicieli w sejmie i rządzie, pochłania nawet sporą ilość funduszów publicz-

[1]) Mowa tu o odczycie, wygłoszonym 24 stycznia 1926 r., pod tytułem «Stosunek wzajemny wojska i społeczeństwa w 1863 roku» (por. t. VIII, str. 264—276).

nych z naszego budżetu. Lecz za to sama treść wojska i związane z tą treścią interesy życia, nawet codziennego, są najzupełniej dalekie od wszystkiego tego, czym się codziennie zajmują panowie z sejmu i panowie z rządu. I nie dziwota! Na 600, powiedzmy, głów, mających myśleć centralnie o państwie, znajdziemy nie więcej, niż 20, należących do ludzi, którzy w wojsku, chociażby w szarży najniższej, służyli, i którzy z tej służby wynieśli wrażenia i wspomnienia, na czym właściwie ta służba polega. I ci tylko mogliby odpowiadać na pytanie, gdzie właściwie człowiekowi, zapiętemu w mundur, jest ciężko, jak właściwie myśleć może taki obywatel, ćwiczący w koszarach czy w polu; jak np. i od czego zależy kariera służbowa podoficera czy oficera; nawet czego właściwie uczą żołnierza na ćwiczeniach i co z tego pozostaje czy w głowie, czy w przyzwyczajeniach człowieka, który służbę wojskową przeszedł. Jeżeli np. każdy z tych 600 panów razem — powiedzmy — z panem i ze mną, po 8 latach ćwiczeń w szkołach średnich spokojnie i ze śmiechem mówi, że nie potrafiłby teraz «à livre ouvert» [1]) przetłumaczyć Herodota, Homera, czy Liwiusza, to żaden z tych panów nie ma tych podstaw do sądzenia, co po kilku zaledwie miesiącach służby wojskowej zostaje w głowach ze skomplikowanej do nadzwyczajności obecnej musztry bojowej, powiedzmy, kompanii piechoty. A jednak o tym w podskokach, wesoło po rządach i sejmach się krzyczy.

Wojsko w Polsce, jak i wszędzie, jest zupełnie specjalną funkcją państwową, odrębną w zasadzie od innych. Ba! rozmyślnie wyłączoną jest ta funkcja z reszty społeczeństwa przez zakaz wpływu nawet głosem, oddanym przy wyborach, na życie polityczne. Dlatego zapytać się godzi, czemu to życie wojskowe, tak rozmyślnie wyłączone z życia politycznego, ma jednak zależeć co dnia tak bardzo od kaprysów tego życia politycznego? Tym jest konieczniejsze to pytanie, gdy z góry rzec można, że to życie polityczne czy w sejmie, czy w rządzie żadnego zainteresowania w stosunku do tego życia w wojsku wcale nie ma i mieć nie chce, a racjonalnego sądu wyrazić nie może, choćby chciało. Istnieje w tym wszystkim sprzeczność, która — niech mi pan wierzy — głęboko i nadzwyczajnie upokarza każdego z myślących żołnierzy, którzy nie tak łatwo chcą zostać «à la merci» [2]) zmiennych fluktów i humorów panów posłów i senatorów. Specjalnie, gdy widzę, jak w tych zmiennych hu-

[1]) od razu.
[2]) na łasce.

morach wybitną rolę ma grać najbardziej poziomych interesów czy to wybrańców, czy wyborców.

— *Z tego, co Pan Marszałek powiedział, zdaje się wynikać, że nasz parlament i rządy nie doceniają zasadniczej sprzeczności między życiem wojska i społeczeństwa. Czy dobrze zrozumiałem myśl Pana Marszałka?*

— Ale owszem. Chcę jeszcze bardziej tę sprzeczność uwydatnić, gdy powiem, że wojsko na całym bożym świecie, a więc i u nas, jest ciągle uczone tylko jednej rzeczy, mianowicie — jak bić się najlepiej na wojnie i jak nauczyć się zwyciężać nieprzyjaciela w zbrojnym starciu, wtedy, gdy życie wszystkich innych obywateli niewojskowych biegnie torem ściśle pokojowym, nie szukając ani w myślach, ani w zamiarach tego, co jest wojną. Więc z chwilą, gdy tak jest, a to sobie spokojnie w oczy powiedzieć zawsze należy, nie wolno ani przenosić swojej niechęci do prowadzenia wojny na wojsko, które, pomimo pokojowości życia, pełni swą służbę na wypadek wojny, — ani też ze zmienności pokojowych prac politycznych wnosić o konieczności podporządkowania tej zmienności i funkcji wojska w państwie, gdy, powtarzam, jest ona tak rozmyślnie wyodrębniona od życia politycznego, pędzonego w pokoju.

— *Przechodząc — jeśli wolno — od teorii do praktyki, czy dwuletnie perypetie projektów ustaw o organizacji naczelnych władz wojskowych nie są, zdaniem Pana Marszałka, ilustracją przeoczenia tego właśnie problemu u naszych parlamentarzystów?*

— Ustawy, o których pan mówi i o których mówiliśmy już nieraz, mają dwie, że tak powiem, strony, z których je zawsze ujmuję. Jedna z nich — to chęć uwiecznienia złych doświadczeń raczej wojny ubiegłej, niż pokoju, uwiecznienia kiepskich tradycyj «Naczelnych Dowództw» i sposobu finansowania wojny. O tym mówiłem już z panem nieraz. Lecz niechybnie, gdy się pomyśli o metodzie, z jaką ustawa ta była traktowana, i gdy się przypomni jej całe liche i marne życie w komisji wojskowej sejmu, z dodatkami, poprawkami i istotnymi motywami oraz środkami, za pomocą których te poprawki, dodatki i zmiany przeprowadzano, — to jest ona istotnie największą, choć najlichszą, ilustracją tego, co poprzednio mówiłem. Święciły przy tej ustawie tryumf wszystkie macherstwa i pokątne doradztwa wszystkich konwentyklów i tajnych układów w sejmie, niekiedy nawet nie stronnictw, ale poszczególnych posłów, w związku z ich wygodami najzupełniej prywat-

nymi, tak, że wydawaćby się mogło, iż prywatna wygoda dalekiej, może bardzo dalekiej kuzynki jakiegoś posła jest rzucona na szalę jedną obok takiej czy innej dostawy wojskowej, gdy na drugiej szali waży się krew ludzka, czyli żołnierska, metody przygotowania wojska do możliwych konfliktów zbrojnych, no i wszystkie sprawy, związane z życiem codziennym wojska, zarówno podczas pokoju, jak i wojny.

— *Czyżby to było możliwe, Panie Marszałku?*

— Niech pan nie będzie zanadto naiwny i niech pan więcej czasu poświęci piciu czarnej kawy lub czegoś mocniejszego, o ile stać pana na to, w bufecie sejmowym, gdyż dam panu zaraz jedną z najwspanialszych ilustracyj, z której obecnie przy swojej rekonwalescencji, leżąc w samotności na kanapie [1]), nieraz pękałem ze śmiechu. Myślałem mianowicie o różnych perypetiach sojuszów i koalicyj, przez które przebiegł nasz sejm i nasi politycy w tak niedawnych jeszcze czasach. Niech pan sobie przypomni np. nagły i niespodziewany sojusz dwóch panów, p. Stanisława Grabskiego z p. Stanisławem Thuguttem [2]), przeciwko któremu zażartą prowadził walkę p. Norbert Barlicki. Niech pan teraz kota odwróci ogonem i zrobi nowy sojusz, p. Stanisława Grabskiego z p. Norbertem Barlickim z wykluczeniem p. Stanisława Thugutta [3]). I niech pan pomyśli tylko, czy może wpływać na karierę i służbę oficera i podoficera to, że przy czarnej kawie w bufecie sejmowym zgodnie czy niezgodnie rozmawiają ze sobą p. Norbert Barlicki z p. Stanisławem Grabskim. Niech się ci panowie całują w ten czy w inny sposób po buziach, niech w ten czy w inny sposób czynią do siebie grymasy, niech sobie wygrażają pięściami lub te czy inne obiecują beneficja, lecz na miły Bóg, cóż to ma lub może mieć z urządzeniem woj-

---

[1]) W połowie lutego 1926 r. Piłsudski spędził kilka dni w łóżku z powodu przeziębienia.

[2]) Mowa prawdopodobnie o fakcie, że w okresie rządu Wł. Grabskiego St. Grabski i St. Thugutt opracowali uchwalone przez Sejm w lipcu 1924 r. ustawy językowe, które miały unormować stosunki narodowościowe w Małopolsce Wschodniej. Przez pewien czas w rządzie Wł. Grabskiego zasiadali i St. Grabski jako Minister Oświaty i Thugutt jako wicepremier. Gabinet ten zwalczany był przez P. P. S., do której należał Barlicki.

[3]) W rządzie Aleksandra Skrzyńskiego zasiadali i St. Grabski jako Min. Oświaty i N. Barlicki, mianowany dnia 13. II. 1926 r. ministrem Robót Publicznych. W skład koalicji stronnictw, na której opierał się gabinet Skrzyńskiego nie wchodziła partia «Wyzwolenie», do której należał Thugutt.

ska, z jego codzienną pracą, z kwalifikacją zdatności tego czy innego oficera do dowodzenia pułkiem, czy tego lub innego generała do dowodzenia dywizją? Są to rzeczy w żadnym wypadku niewspółmierne i gdy np. jutro p. Stanisław Thugutt z p. Norbertem Barlickim siądą do stołu bez p. Stanisława Grabskiego, to znowu z tego nie można wyciągać wniosku o nowych poprawkach do ustaw o naczelnych władzach wojskowych, ani też o zmianie nauczania i ćwiczenia żołnierzy w koszarach czy w polu. Są to rzeczy całkiem dla treści życia wojskowego obojętne i żadnego między sobą logicznego związku nie mające. A jednak ustawy o naczelnych władzach wojskowych były prowadzone nie inną metodą, jak dogadzaniem głupstwom, gadanym o wojsku i jego pracy i jego dowódcach przy tym czy innym stoliku z czarną kawą lub innymi napojami w bufecie sejmowym. A przeciągając dalej ten obrazek, możnaby było powiedzieć, że nawet los jakiegokolwiek paragrafu mógłby zależeć od mniejszego lub większego zadowolenia mniej lub więcej dalekiej kuzynki mniej lub więcej wybitnego męża stanu.

— *Wobec tego, że kwestia wycofania tej ustawy jest aktualna, czy Pan Marszałek nie zmienił swej wypowiedzianej w poprzednim wywiadzie prognozy?*

— Kochany panie, — pyta mnie pan za każdym razem o to samo. Już z samego faktu zwlekania z tą prostą koniecznością to o jeden, to o dwa, to o cztery, to o pięć dni winienby pan wnosić o słuszności mojej prognozy, jasnej i niedwuznacznej. Brzmi ona zawsze jednakowo, a mianowicie: dla prolongowania zwyczajów i obyczajów, nabytych w dwóch sejmach, które to zwyczaje i obyczaje są tysiąc razy gorsze, niż krytykowana szeroko zła nasza Konstytucja, — koalicyjny rząd dla wywyższenia «prestige'u» [1]) tych właśnie zwyczajów i obyczajów wyrównuje drogę nie dla kogo innego, jak dla tych, co w stosunku do wojska «magna pars fuerunt» [2]) związania go nawet nie ze złą Konstytucją, lecz z tysiąc razy gorszymi zwyczajami i obyczajami dwóch sejmów, to znaczy dla generałów Sikorskiego i Szeptyckiego.

---

[1]) znaczenia.
[2]) którzy brali w tym wielki udział.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 19 LUTEGO 1926 R.

Sprawa powrotu Piłsudskiego do życia państwowego została związana z kwestią ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, w której zagadnienie roli generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w przyszłej wojnie, było najważniejsze. Aktualność wówczas tych zagadnień mogła rodzić pomawianie Polskę o militaryzm.

Stąd potrzeba enuncjacji ze strony Piłsudskiego, że Polska, nie mając żadnego interesu w dążeniu do wojny, musi jednak w celach obronnych mieć wojsko dobrze zorganizowane.

To stanowi treść niżej przytoczonego wywiadu, który podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 19 lutego 1926 r.

— *W rozmowach, pozostających w związku z obecnym stosunkiem rządu i sejmu do spraw wojskowych, Marszałek Piłsudski mówił, co następuje, o swoim rzekomym «militaryzmie, za jaki prasa rządowa uważa troskliwą uwagę, jaką Marszałek Polski poświęca wojsku:*

— Wspomnienia, które mam z czasów wojny, należą do najmilszych, jakie posiadam, gdy mogłem osiągnąć tak wielki sukces dziejowy, jaki osiągnąłem. Wiem również, że nieraz w czasie ubiegłej wojny, gdym wydobywał na polach bitew ze świeżym i całkiem niedoskonałym narzędziem wojny — naszą armią, niespodziewane a bardzo efektowne zwycięstwa, chciano mnie porównywać, a raczej przypominano sobie równie efektowne zwycięstwa Napoleona. Przenoszono wtedy łatwo i na mnie, nie mogę powiedzieć, że grzechy, lecz może nieszczęsne musy Napoleona, który nieraz ze smutkiem wyznawał, że wojną żyć musi. To też jednym z ulubionych i nadzwyczaj szeroko rozpowszechnionych argumentów przeciwko mojej pracy państwowej jest zarzucanie mi, jako zwycięzcy, tych wojennych skłonności. Na treść istotną tego zarzutu odpowiem krótko.

Każda wojna musi mieć postawiony jakiś cel. Inaczej nie warto jej prowadzić. Osobiście dla Polski nie widzę żadnego wyraźnego celu prowadzenia wojny, gdyż Polska nie umie sobie dać rady nawet z tymi granicami, jakie posiada. Ryzyko zaś prowadzenia wojny z tak słabymi wewnętrznymi siłami narodu, jakie są w Polsce, jest zbyt wielkim, abym zechciał nawet myśleć o narażaniu sławy mojej buławy z własnej chęci czy też myśli. Sądzę zaś w ogóle, że Polska, należąc po ubiegłej wojnie do kompleksu europejskiego, nie jest w stanie, bez wymarcia po prostu całej generacji, zdobywać

się na jakieś wojenne zakłócanie pokoju i dlatego, jak i inne państwa w Europie, jest pacyfistycznie usposobiona i bać się powinna wojny o tyle, o ile ją ktoś wojennie zaczepi. Jeżeli zaś udam się do swoich osobistych wspomnień z czasów wojny, to poza serdecznymi wspomnieniami o sobie i ludziach, którzy wydobyli z siebie najwyższe wysiłki, do jakich ludzie są zdolni, dla odniesienia zwycięstwa, — mam również tak obrzydliwe wspomnienia o bezsilności, tchórzostwie i po prostu ogromnej ilości zdrad w moim narodzie, — które to nikczemności stanowiły tło mojego codziennego życia w czasie wojny, — że te wspomnienia nie zachęcają wcale do prób powtarzania eksperymentów wojennych. Mam bowiem we wspomnieniach tyle gorzkich chwil, które przeżyłem, będąc upokarzanym, jako reprezentant swego narodu, nie dla czego innego, jak dla jakiejś namiętności do pokory i sprzedajności, tak szeroko wśród Polaków rozpowszechnionej. I wolę zawsze myśleć, by próby wojenne ominęły resztkę mego życia, a jeżeliby spaść miały na Polskę, wolałbym, by oglądały je raczej moje dzieci, niż ja sam. Powtarzam więc — nie widzę żadnego celu dla Polski, która sobie z wewnętrznym życiem tak słabo daje radę, prowadzenia jakiejś wojny.

Lecz w tej sprawie istnieją i inne kwestie, nad którymi z nieszczęsnego swego musu nieraz głęboko się zastanawiałem. Dziwnym zbiegiem okoliczności, pomimo najoczywistszego nonsensu, Polska jest stale oskarżana w innych państwach o jakieś chęci i zamiary wojenne. Ba! Nawet w różnych projektach rozbrojeniowych Polska jest stawiana na pierwszy plan, chociaż jest najbardziej licho uzbrojona i najświeższą, a zatem i najsłabszą ma organizację wojska. Nie chcę wchodzić w motywy i powody takiego właśnie stawiania sprawy w świecie międzynarodowym. Chcę tylko powiedzieć, że jest w tym wyraźna i niedwuznaczna chęć posiadania w środku Europy państwa, którego kosztem można byłoby załatwiać wszystkie porachunki europejskie. Podziwu godne jest stałe zjawisko, że te projekty międzynarodowe znajdują tak chętne ucho, no i języki, nie gdzie indziej, jak w Polsce. Któż nie spostrzegł, że ile razy chciano w tej czy w innej materii na bożym świecie zrobić krzywdę Polsce, natychmiast zaczynano oskarżać ją o militaryzm, o wojenne zamiary, co było podtrzymywane z jakąś zegarkową dokładnością przez wielką ilość naszych polityków i naszej prasy.

Stosunek do mnie pod tym względem, jako do zwycięzcy w wojnie i zatem będącego elementem siły naszego państwa,

stanowił w tych wypadkach jeden z charakterystycznych dodatków do tej gry, prowadzonej — jak twierdzę — w ścisłym kontakcie pomiędzy zainteresowanymi w utrzymaniu Polski w słabości i w bezbronności i pewnymi Polakami. Przyglądając się temu przez cały czas powojenny, nazywałem to zawsze terminem: «handel międzynarodowy Józefem Piłsudskim». Wyglądało to zawsze mniej więcej tak: gdy wysuwała się jakaś kwestia, w której międzynarodowo chciano kosztem Polski kogokolwiek zadowolić, zaczynano skarżyć się na Polskę, że będąc militarnie usposobiona, naruszać może pokój powszechny. Uosobieniem zaś tej jakoby istniejącej tendencji miał być zwycięzca w wielu bitwach i w wojnie — Józef Piłsudski. I wtedy wśród wielu chętnych do sławy wybitnych mężów stanu, polityków i dziennikarzy naszych dawano oferty ukrócenia tego nieokiełznanego militaryzmu, tej chętki do bitki przez wykazywanie szczerej wspólnoty w tej pracy z tą czy inną inicjatywą, idącą z zewnątrz. Mogę pana zapewnić, że niejedna drobna sławka polska w takiej czy innej stolicy świata wyrastała w ten właśnie sposób; no i prawdopodobnie niejedna uciułana została przy tej pracy fortunka. Specjalnie zabawnym mi się wydawało, gdym przez pewien czas śledził zestawienia chronologiczne i pod względem treści prasowych ataków na mnie w Moskwie, Warszawie i Berlinie. Mogę pana zapewnić, że dojść można do bardzo ciekawych wniosków, specjalnie, gdy dodać do tego i Pragę. Chciałbym bardzo wierzyć, że może już na szczęście są to «tempi passati» [1]), lecz wobec tego, że jesteśmy w epoce Locarna [2]) i rozbrojenia, nie mogę nie poddać się wrażeniu, że wkrótce oskarżony będę o szkodzenie międzynarodowym stosunkom Polski. Jestem prawie przekonany, że za kilka dni będzie pan świadkiem znanych mi z przeszłości zjawisk. Z jednej strony okaże się bowiem, że przeszkadzam nawet rozwojowi ruchu budowlanego i po-

[1]) Czasy minione.

[2]) Locarno, miasto szwajcarskie nad Lago Maggiore, gdzie w październiku 1925 r. odbyła się słynna konferencja przedstawicieli najważniejszych państw europejskich, na której zostały zawarte w dniu 16 października umowy pokojowe i arbitrażowe pomiędzy Niemcami, Francją, Anglią, Belgią, Włochami, Polską i Czechosłowacją. Istota tych umów polega na uznaniu przez Niemców ich obecnej granicy zachodniej i na przyjęciu procedury arbitrażowej w wypadkach sporów. Konferencja w Locarno była uważana wówczas przez pewne czynniki za ważny krok w kierunku zagwarantowania pokoju powszechnego, to też modnym się stało mówić o epoce Locarna, duchu Locarna, jako symbolu ogólnej zgody i pokoju.

głębiam w ten sposób nędzę bezrobotnych, z drugiej zaś strony zmniejszam powagę i znaczenie Polski w świecie międzynarodowym o tyle, że stałe miejsce Polski w Radzie Ligi Narodów [1]) jest z mojego powodu zagrożone lub przegrane...

Militaryzm jest pojęciem historycznym i związanym z tą epoką, którą wszyscy doskonale pamiętamy i którą przeżyliśmy przed r. 1914, przed wojną. Rozumiem dobrze — po tak wielkim wysiłku, jakiego ludzkość dokonała w przeciągu kilku lat wojny, — obawę przed powtórzeniem się podobnego wstrząśnienia. Nie mogę jednak nie powiedzieć, iż każdy myślący nieco szerzej człowiek musi dostrzec, że historia powtarzać się nie może i że nie trzeba ulegać obawom tak łatwo, jak to w wystraszonej obecnej generacji daje się zauważyć. Jedną z głównych przyczyn minionej wojny, chociaż może nie wyłączną, było istnienie trzech wielkich mocarstw w Europie, zaborczych w stosunku do Polski, które swą wewnętrzną strukturą przypominały najbardziej w całym świecie czasy nieledwie feodalne i średniowieczne i stanowiły w ten sposób wielką, w porównaniu z innymi państwami, anomalię. Jeżeli więc jako skutek tej wojny mamy bardzo znaczne osłabienie tej anomalii w świecie, to trudno mówić o możliwości, by te same pojęcia z przed 1914 r. mogły być żywymi i realnymi w obecnej epoce. Przy głęboko pokojowym nastroju, jaki już wskutek zmęczenia wojną istnieje u olbrzymiej większości ludzi w teraźniejszym czasie, — o militaryzmie, w znaczeniu ubiegłej epoki, absolutnie mowy być nie może. Dlatego też wyznam, że gdy słyszę kogokolwiek nierozumiejącego tej prawdy, uważam go za głupiego, niezdolnego zdać sobie sprawy z wielkich zmian, jakie świat cały dzięki wstrząśnieniom wojennym przeżył. No, a jeżeli dodać do tego zwyczajne fizyczne i moralne tchórzostwo, to będzie pan miał konterfekt całego mnóstwa swoich rodaków.

Inną rzeczą jest wojsko, jako stała instytucja państwowa. Faktem jest, że wojsko wszędzie jeszcze istnieje i nie Polska jedna je posiada. Jest to wynikiem nie czego innego, jak

[1]) W roku 1923 Polska zgłosiła swoją kandydaturę na stałe miejsce w Radzie Ligi Narodów, miejsca tego jednak nie uzyskała. W marcu 1926 r., gdy przyrzeczono Niemcom stałe miejsce w Lidze, Polska zgłosiła żądanie, by ze względu na równowagę i jej również miejsce przyznano. Niemcy zwalczały żądanie Polski i sprawa rozstrzygnęła się dopiero 8 września 1926 r. przyznaniem Polsce miejsca niestałego t. j. na 3 lata z prawem reelekcji na następny okres trzechletni.

Pewne czynniki polityczne w Polsce chciały wówczas uczynić z kwestii walki o miejsce w Radzie Ligi sprawę, wobec której wszystkie inne zagadnienia miały być uważane za drugorzędne.

prostej obawy, że po przekreśleniu mapy całej Europy, tak, że nie jest ona podobna do tej, którą my, jako sztubacy, ongiś musieliśmy znać na pamięć, — naruszono głęboko trwałość życia, do której pokolenia były ongiś przyzwyczajone. Specjalnie zwrócę panu uwagę na Polskę, która cała, jak istnieje, na mapach, których nas uczono, nie była rysowana. Naruszyła więc może najbardziej, już swym istnieniem, tę trwałość, o której mówiłem poprzednio. A jeżeli pan zechce zwrócić uwagę na głębokie tendencje pokojowe, jakie wszędzie istnieją, daje to niechybnie przewagę temu, kto pomimo tej pokojowości zdobędzie się na siłę agresji, gdyż wbrew wszelkim obietnicom wątpić należy, by ktokolwiek napadniętemu pośpieszył z pomocą. Jeżeli więc wszyscy wojsko stałe utrzymują, jest to wynikiem obawy o siebie. Nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie Polska, ta nowomalowana istota państwowa w środku Europy, ciągle drżąca o swoje istnienie, gdyż to jest stałym zjawiskiem naszego życia, ma być najbardziej uprzedzająco grzeczna w pracach nad ustaleniem gwarancyj życia pokojowego, gdy pod względem wyzbycia się siły zbrojnej nikt nam tego przykładu nie daje. Przecież jeszcze tak niedawno głośny był fakt brutalnego po prostu usunięcia Polski od jakichkolwiek prób uzyskania gwarancyj jej granic przez kogokolwiek bądź w świecie [1]). Widocznym więc jest, iż nie my sami uważać możemy, że jeszcze byt i istnienie Polski, takiej, jaką posiadamy, nie są zupełnie pewne. I dziwiłbym się doprawdy, gdyby ktokolwiek — spokojnie rozważający pracę państwową — mógł takie obawy łączyć z pojęciem militaryzmu.

Nie chcę wchodzić w ten problemat o zakresie międzynarodowym głębiej; lecz powtórzę panu anegdotę, którą niedawno słyszałem od jednego z moich znajomych, który powrócił z tak zwanej zagranicy. Opowiadał mi on, że w jednym z pism humorystycznych znalazł następujące rozumowanie: Polska zagwarantować musi całą swoją siłą całość imperium brytyjskiego, wszystkich kolonij francuskich, włoskich, no i zresztą całość i nienaruszalność wszystkich państw i państewek, istniejących na świecie. Natomiast nikt nie potrzebuje myśleć o całości i nienaruszalności Polski, — nawet wtedy, gdy — jak to ma miejsce z Litwą — Polska ma ogłoszoną w stosunku do siebie wojnę i gdy dwaj inni jej sąsiedzi nie zechcieli także podpisać zobowiązania poszanowania jej granic. Dzieje się to jakoby — jak twierdzi owo humorystyczne

[1]) Mowa o pertraktacjach lokarneńskich, w których ujawniona została niechęć państw zachodnich gwarantowania granic Polski.

pismo — dzięki niezwykłej potędze Polski i olbrzymiej sławie znanej «Polnische Wirtschaft».

Jeszcze raz więc pana pytam, cóż za związek może być między militaryzmem o charakterze pruskim a wojskiem polskim? Chyba ktoś chce je karać za to, że wbrew «Polnische Wirtschaft» potrafiło niegdyś, pod moim dowództwem, utrwalić byt Polski w obecnych granicach.'

Marszałek poruszył także krytycznie sprawę inicjatywy posła Diamanda, by w tej właśnie chwili dopiero kosztem wojska ożywiać przemysł budowlany [1]*), gdy nie umiano czy nie chciano dawać sobie z tym rady w czasach obfitości kredytowych. W końcu rozmowy na zapytanie, czy Pan Marszałek ma jakie wiadomości w sprawie wyznaczonej na dzień dzisiejszy decyzji rządu w sprawie wycofania z sejmu ustawy o władzach wojskowych, Pan Marszałek oświadczył:*

— Wiadomości nie szukam i ich nie mam. Sądzę zaś, że są trzy rozstrzygnięcia i na jednym z nich musi się sprawa zatrzymać. Jedno rozumne i pozytywne — wycofać ustawę, przeciwko której ciągle przemawiam. Drugie — bezrozumne i negatywne — zostawić tę ustawę dla świadectwa, iż rząd jest przeciwko moim żądaniom. Trzecie nareszcie — nie rozstrzygnąć nic i całą sprawę, po kilkakrotnym jej odkładaniu, odłożyć raz jeszcze. Skłonny jestem przypuszczać, że przy konstrukcji rządu na sposób koalicyjny z zależnościami od klubów i personalnych wpływów z zewnątrz wystąpi raz jeszcze z pełną jaskrawością brak decyzji i chęć naśladowania kobiet, które gdy mówią tak, to mówią i nie, a gdy, broń Boże, mówią nie, to mówią także i tak, — i... najlepiej odłożyć.

WYWIAD W «EXPRESSIE PORANNYM» Z DNIA 23 LUTEGO 1926 R.

Dnia 19 lutego 1926 r. odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, o przebiegu którego wydano następujący komunikat.

«Przed przystąpieniem do dyskusji nad wnioskiem p. ministra spr. wojsk., gen. Żeligowskiego w sprawie wycofania z Sejmu projektu ustawy o organizacji naczelnych władz wojsk. p. prezes Rady ministrów odczytał pismo p. Prezydenta Rzeczypospolitej, w którem p. Prezydent żąda udzielenia odpowiedzi co do jego uprawnień, wynikających

[1]) Artykuł posła Diamanda w tej sprawie drukowany był w «Robotniku» z dn. 17. II. 1926 r.

z Konstytucji, jako zwierzchnika sił zbrojnych Państwa, oraz co do jego stanowiska w sprawie obrony Państwa i stosunku jego do rządu, a w szczególności do ministra spraw wojskowych.

Wobec tego Rada ministrów poleciła premierowi Skrzyńskiemu, ministrowi spr. wojsk. gen. Żeligowskiemu i ministrowi sprawiedliwości p. Piechockiemu przygotowanie odpowiedzi na pytania, postawione przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej i przedłożenie ich Radzie ministrów do aprobaty.

W związku z tym Rada ministrów uchwaliła poczynić kroki celem odroczenia obrad sejmowej komisji wojskowej nad projektem ustawy o organizacji naczelnych władz wojsk. a decyzję co do wniosku gen. Żeligowskiego o wycofanie tego projektu z Sejmu powziąć dopiero po przyjęciu odpowiedzi na pismo Prezydenta Rzeczypospolitej».

W prasie pojawiły się wówczas wiadomości, że na tym posiedzeniu Rady Ministrów gen. Żeligowski domagał się wycofania projektu ustawy bez względu na pismo p. Prezydenta Rzeczypospolitej, z którego nie wynikało — zdaniem gen. Żeligowskiego — aby załatwienie wniosku miało być znowu odroczone i że stanowisku gen. Żeligowskiego sprzeciwiali się ministrowie: St. Grabski, Zdziechowski, Osiecki i Kiernik.

W związku z tymi wiadomościami pozostaje niżej przytoczony wywiad, w którym Piłsudski atakuje rząd Skrzyńskiego za jego odraczanie sprawy wycofania projektu ustawy o naczelnych władzach wojskowych.

Wywiad podajemy według «Expressu Porannego» z dnia 2 lutego 1926 r.

— *Czy można prosić Pana Marszałka o podzielenie się z opinią publiczną wrażeniami z piątkowej uchwały Rady Ministrów w sprawie ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych?*

— Czy pan kiedy słyszał jedno nadzwyczajne słowo lwowskie, trudne do wymówienia, lecz za to zupełnie odpowiadające na postawione pytanie, a mianowicie słowo «zakałapućkać» [1]). Zawsze je z trudem wymawiałem, albowiem mam organiczny wstręt do czynności, którą ono określa.

Zdaniem moim więc sprawa została należycie «zakałapućkana» i cel, który miał rząd, został w ten sposób osiągnięty. Zgodnie z przepowiednią, którą dałem [2]), zostało powiedziane i «tak», które oznacza «nie» i «nie», które oznacza «tak». Byłem zresztą na to zupełnie przygotowany.

— *Więc Pan Marszałek sądzi, że celem rządu było niedopuszczenie go do wojska?*

[1]) pomieszać, zabałamucić.
[2]) Por. t. VIII, str. 294.

— Ależ, panie. Każdy wywiad z panem kończyłem określeniem istotnego celu tego rządu w sprawie wojska. Torowane są drogi nie dla kogo innego, jak dla tych generałów, którzy byli bardzo wygodni dla innych, nie związanych z wojskiem celów, dla gen. Szeptyckiego i Sikorskiego.

Weźmy tylko chociażby fakty z najświeższej doby. Gdzieś we Lwowie jakieś pieski dziennikarskie [1]) wydają durne pisemko, którego fachem było ubliżanie Józefowi Piłsudskiemu. Kilku legionistów, obrażonych w ten sposób w swoich uczuciach, zamanifestowało tę obrazę na policzkach tych jegomościów. Mogliby, naturalnie, odpowiadać, jak to zawsze bywa, z wolnej stopy. Lecz gęba takich panów jest zbyt droga dla rządu i legioniści, jako wydziedziczeni z beneficjów Polski, zostali — jak słyszę — zaaresztowani. Jednocześnie zaś prowadzi się namiętną obronę, urzędowymi zupełnie krokami, beneficjowych typów generalskich.

Oczekuję też, jako oznaki powrotu do tej cudownej — widocznie rządowi bardzo miłej — ery, otoczenia Marszałka Polski szpiegami i agentami politycznymi, jednym słowem powrotu systemu pp. Szeptyckiego i Sikorskiego, — wygodnych niezmiernie dla tych rządów, z którymi ja osobiście nie pracowałem. A wiadomo przecież zupełnie wyraźnie — z czego się bardzo cieszę — kto w tym «zakałapućkaniu» występował przeciw moim żądaniom.

— *Pan Marszałek ma na myśli przebieg piątkowego posiedzenia Rady Ministrów?*

— Tak jest. Przecież ogłoszono, że przeciw moim żądaniom występowali pp. Stanisław Grabski, Zdziechowski oraz Kiernik i Osiecki, — przedstawiciele klubów, które ongiś charakteryzowały rząd [2]), przy którym, gdy tylko został sformułowany, odszedłem od wszelkiej pracy państwowej i wytłumaczyłem swoje ustąpienie w przemówieniu publicznym w sali Malinowej [3]).

Rząd ten z tak wielkim hukiem i hałasem formowany, w kilka miesięcy zakończył swój marny żywot [4]), pozostawiwszy po sobie trudne już do «zakałapućkania» dziedzictwo. Wi-

---

[1]) Mowa o lwowskiej «Gazecie Codziennej», wydawanej przez ojca i syna Thumenów i o incydencie, który miał miejsce dnia 24 stycznia 1926 r.

[2]) St. Grabski i Zdziechowski należeli do Narod. Demokr., Kiernik i Osiecki do stronnictwa ludowego «Piast». Oba te stronnictwa tworzyły trzon gabinetu Witosa z drugiej połowy 1923 r.

[3]) Por. t. VI, str. 24—35.

[4]) Por. t. VI, str. 145.

docznym jest zatem dla mnie, że ta wielka sprzeczność, nawet nie poglądów i przekonań, lecz sposobów postępowania w stosunku do państwa nie została po upływie dwóch i pół lat usunięta przez tych panów i widocznie istnieje w nich dostatecznie wyraźny powód do obaw przed moim powrotem do życia państwowego.

— *Rozumiem, że niezmiennym warunkiem tego powrotu jest wycofanie znanej ustawy z Sejmu.*

— Naturalnie. Skoncentrowałem umyślnie swoje warunki dla pertraktacyj jedynie na ustawie Sikorskiego, jako na nadzwyczajnie cennej perełce całego uprzedniego systemu, wiedząc z góry, że na tym przełamać się musi system patrzenia na moją pracę w państwie i na służbę w wojsku.

Postawiłem to tak wyraźnie, że w liście do Pana Prezydenta, który mnie o to pytał, nazwałem tę ustawę «śmierdzącym łóżeczkiem», które chciano posłać dla mnie, gdy wiedziano, że «vox populi», bez względu na wszystko, wołać będzie o mnie w chwilach niebezpieczeństwa.

Dodałem przy tym, że w takie «śmierdzące łóżeczko» nigdy się nie położę [1]). Rząd więc może pozostać z tym meblem, nie licząc absolutnie na mnie.

LIST DO GEN. ŻELIGOWSKIEGO

(21 marca 1926 r.)

W wywiadzie ogłoszonym w «Kurierze Porannym» z dnia 12 lutego 1926 r. Piłsudski przytoczył swoją ujemną ocenę metod, uprawianych przez oficerów z b. austriackiego sztabu.

Na to zareagował ówczesny dowódca okręgu korpusu w Krakowie, gen. Mieczysław Kuliński pochodzący z austriackiego sztabu generalnego, a za nim kilkunastu wyższych oficerów tegoż pochodzenia, pismem do ministra

[1]) W liście do Prezydenta Wojciechowskiego z dnia 6 lutego 1926 r. (por. t. VIII, str. 276) był następujący ustęp: «Natomiast próbę usłania brudnego i śmierdzącego łóżeczka dla oficera, który ma wziąć na siebie najcięższy obowiązek odpowiedzialności za niedomogi i wyzyskiwanie państwa dla partyjnych korzyści w godzinach najtrudniejszych dla państwa do przeżycia — mianowicie podczas wybuchu wojny, próbę obrazy zasady pracy Naczelnego Wodza uważałem i uważam nie tylko za obrazę rozmyślną w stosunku do niego lecz i w stosunku do wojska.

Stwierdzam więc raz jeszcze, że w to brudne łóżeczko nigdy nie położę się osobiście i będę odradzał każdemu oficerowi, by w ten sposób czynił».

spraw wojskowych, żądającym wzięcia przez niego w obronę obrażonych oficerów austriackiego sztabu generalnego, grożąc, że w przeciwnym razie pociągnie Piłsudskiego do sądu za «notoryczne oszczerstwo».

Minister, gen. Żeligowski, przesłał te listy Piłsudskiemu z prośbą o wypowiedzenie się w tej sprawie.

List Piłsudskiego jest odpowiedzią na tę prośbę. Podajemy go według «Kuriera Porannego» z dnia 21 marca 1926.

Szanowny Panie Generale i Ministrze!

W liście swym z dnia 1 marca 1926 r. zwraca się Pan do mnie z prośbą o wypowiedzenie się w sprawie treści dwunastu listów wyższych oficerów, skierowanych do Pana, a tyczących się wywiadu ze mną, pomieszczonego w wielu pismach.

Zaczynam więc od listu gen. Kulińskiego, który jest inicjatorem całej pracy listowej owych oficerów, skoro oświadcza, że rozsyła w wojsku swój list jako komunikat, i gdy niektórzy z autorów tych listów nie na co innego, jak na list p. Kulińskiego się powołują. Treścią tego listu, rozsyłanego na prawo i lewo, a więc traktowanego publicznie, jest żądanie od Pana, jako ministra spraw wojskowych, obrony jego przede mną, połączone z groźbą pociągnięcia mnie — Józefa Piłsudskiego — do sądu za «oszczerstwo», nawet «notoryczne». Wobec tak oryginalnie postawionego Panu żądania i tak bezczelnego w stosunku do mnie postępowania, nie sądzę, Panie Generale, aby Pan mógł przeszkadzać p. Kulińskiemu w jego zamiarze skierowania swojej sprawy do sądu państwowego, gdyż do tego, jak każdy obywatel państwa, ma prawo, ja zaś mam obowiązek stawienia się tam również, zgodnie z obowiązkami obywatela. Mogę zaś Pana, Panie Ministrze, zapewnić, że nie omieszkam nigdy uczynić zadość tym żądaniom p. Kulińskiego.

Pominę nadzwyczaj zabawny ustęp listu gen. Kulińskiego, który miesza i łączy z sobą w dziwaczny sposób naukę i dyplomy z wyższej szkoły ze służbą w Sztabie Generalnym, czy to polskim, czy austro-węgierskim, gdyż niebardzo rozumiem, co ja osobiście mam wspólnego zarówno z dyplomami «naukowymi», jak i służbą w sztabie austro-węgierskim p. Kulińskiego.

Przejdę zaś od razu do treści.

Gen. Kuliński czuje się obrażonym częścią ogłoszonego w kilku pismach wywiadu ze mną. Idzie mu o wyjątek z oświadczenia mego, skierowanego do Pana Prezydenta, gdzie go ostrzegałem przed mianowaniem szefa Sztabu Generalnego, któryby dalej uprawiał «najgorsze tradycje sztabu generalnego austriackiego». Nie będę zatrzymywał się na całej treści

ogłoszonych przeze mnie wyjątków, ani na tym, o ile ktokolwiek z oficerów polskich byłej armii austriackiej może się czuć przez to obrażonym. Przypomnę tylko Panu, że oświadczenie moje przeczytałem Panu Prezydentowi w obecności teraźniejszego premiera, p. Aleksandra Skrzyńskiego, gdyż uważałem to za swój obowiązek. Jeżeli więc ktokolwiek może mieć pretensję do mnie za ogłoszenie części mego oświadczenia, to Pan Prezydent, który mnie prosił, bym tego oświadczenia nie ogłaszał, na co mu odpowiedziałem, że nie mogę tego obiecać. Nie sądzę zaś, by Pan, Panie Generale, mógł mieć jakiekolwiek prawo, już nie mówię jakiś obowiązek wtrącania się do tej sprawy, którą tak usilnie p. Kuliński z kolegami Panu narzuca. Dziwiłbym się bowiem niezmiernie, gdyby minister spraw wojskowych Polski stanął w ogóle w obronie tak straconej zresztą sprawy, jak tradycja austriackiego sztabu generalnego, która wszędzie, jak świat szeroki i długi, uważana jest za złą i szkodliwą dla każdego wojska, gdy często klęski austriackie przypisuje się nie czemu innemu, jak złej i wadliwej służbie austro-węgierskiego sztabu generalnego.

Co się tyczy listów innych wyższych oficerów w liczbie 11 (jedenastu), są one różnolite. Jedni z nich zupełnie zgadzają się z gen. Kulińskim i mogą, zdaniem moim, przyłączyć się do procesu o oszczerstwo w jakimbądź sądzie. Wykluczam zaś jakąkolwiek możność dla mnie stanięcia w jakimkolwiek sądzie honorowym za moją kwalifikację służby moich podwładnych, którymi byli wszyscy autorowie listów, gdyż moje oświadczenie Panu Prezydentowi uważać muszę nie za co innego, jak kwalifikację, do której mam i miałem prawo, gdy podczas kryzysu zwracałem uwagę Panu Prezydentowi na niedomogi naszej armii, którą tworzyłem i dowodziłem zwycięsko podczas wojny.

Pozostawiając im więc wszelką swobodę w pisaniu jednostronnych protokółów, nie dotykających mnie honorowo ani odrobinę, nie sądzę, by Pan, Panie Ministrze, miał prawo kwalifikacje, dane przeze mnie, sądzić, — może Pan tylko dać swoją kwalifikację inną, niż moja.

Inni wyżsi oficerowie zastanawiają się więcej nad tym, czy słowa moje, związane z opinią o sztabie austriackim i «K. Stellach» [1]), tyczą się ich osobiście, czy też kogo innego. Co do tych żądań, powiedzieć Panu mogę jedynie to, że jestem absolutnym przeciwnikiem kwalifikacyj publicznych, które, zdaniem moim, są niedopuszczalne w wojsku. Dodam,

[1]) Por. t. VIII, str. 283.

że z natury rzeczy, która jasno wynika z samej treści oświadczenia, ostrzegałem Pana Prezydenta przed p. gen. Szeptyckim i p. gen. Stanisławem Hallerem [1]).

Wreszcie wobec tego, że p. Kuliński rozesłał swą elukubrację na prawo i na lewo, to znaczy postąpił publicznie, oskarżając mnie zarazem o «oszczerstwo» i to «notoryczne», nie uważam dla siebie za możliwe pozostawić swego listu do Pana w tajemnicy i ogłaszam go również publicznie.

Proszę przyjąć, Panie Generale, zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim pozostaję.

Józef Piłsudski.

NACZELNY WÓDZ W TEORII I PRAKTYCE

(21 marca 1926 r.)

Dnia 21 marca 1926 r. wygłosił Piłsudski w sali «Colosseum» w Warszawie niżej przytoczony odczyt. W atmosferze walki przeciw ówczesnemu systemowi rządów w Polsce odczyt ten zamienił się na manifestację na cześć Piłsudskiego.

W odczycie tym Piłsudski kreśli: jakie zadania ciężkie spadają na Naczelnego Wodza; jakie cechy psychiczne muszą go znamionować; i jakie mogą być formy stosunku Naczelnego Wodza do rządu, wypowiadając się za koniecznością ścisłej współpracy Naczelnego Wodza i rządu.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się stenogram tego odczytu z nielicznymi poprawkami zrobionymi przez K. Świtalskiego. Stenogram zawiera kilka zwrotów opuszczonych w tekście wydrukowanym przez «Kurier Poranny». Ponieważ opuszczenia te nie rozrywają wątku myśli, podajemy tekst według «Kuriera Porannego» z dnia 22, 23 i 24 marca 1926 r.

Tematem, który wybrałem na ten odczyt, jest «Naczelny wódz w teorii i praktyce». W pierwszych słowach chcę odrzucić nie co innego, jak rzecz, któraby stała mi na przeszkodzie, to jest samego siebie. Gdy będę mówił o naczelnym wodzu — nie będę mówił o sobie, albowiem jestem tylko jednym z bardzo wielu naczelnych wodzów, którzy istnieli na świecie. Teorii o naczelnym wodzu wygłaszać na podstawie

[1]) Na podstawie tego minister gen. Żeligowski wydał dnia 20 marca 1926 r. rozkaz, w którym stwierdził, że «wypowiedziana krytyka nie dotyczy ogółu oficerów, pochodzących z byłego austriackiego sztabu generalnego». Na skutek tego rozkazu 11 oficerów wycofało swoje skargi.

swojej jedynie praktyki i swojego jedynie działania nie uważam za możliwe. Więc wtedy, gdy będę mówił o sobie, będę jasno to podkreślał.

Mówię o naczelnych wodzach w ogóle i o ich praktyce. Drugie, co chcę uczynić ze względu na przyjęte obyczaje i zwyczaje w Polsce, to, że z chwilą, gdy mówić będę o naczelnym wodzu, nie oznacza to wcale, abym pragnął wojny i abym was do wojny zachęcał.

Zjawisko, znane pod nazwą naczelnego wodza, jest zawsze ściśle związane z innym zjawiskiem, zjawiskiem wojny. Bez wojny naczelny wódz nie istnieje, a wojna bez naczelnego wodza się nie obchodzi. Są to zjawiska historyczne, sprawdzone zarówno u najdzikszych plemion, jak również w Polsce. Nie wolno odłączać wojny od naczelnego wodza i naczelnego wodza od wojny. Są to rzeczy tak nierozerwalne, że — powtarzam — nie ma historii wojny bez naczelnego wodza i nie ma historii naczelnego wodza — bez wojny.

Zgodnie z samym pojęciem o naczelnym wodzu, wódz jest związany z wodzeniem — z dowodzeniem. Mus naczelnego wodza jest dowodzić, a dowodzić to znaczy rozkazywać. Naczelny wódz bez dowodzenia i rozkazywania nie jest naczelnym wodzem. Słowo zaś «naczelny» mówi tylko o szerokości dowodzenia, mówi, że indywidualnie dowodzi wszystkim, co jest wojskiem, wszystkim, co z bronią w ręku walczy na polach bitw.

I gdy spostrzegamy gdziekolwiek rozumowanie, polegające na tym, że tylko małą jednostką dowodzi się indywidualnie, a im wyżej sięga dowodzenie, tym mniej staje się ono indywidualne, to jest to błąd, niestety, często w Polsce spotykany.

Dowodzenie na wojnie jest czymś innym, niż jakiekolwiek dowodzenie, wymagające posłuchu. Istnieje bowiem jeszcze jedno zjawisko — zjawisko, nieodłączne od wojny i nieodłączne od rozkazodawstwa na wojnie. Jest nim rozkaz, noszący w sobie zarodek śmierci. Gdy ktokolwiek chce sentymentalnie usunąć od rozkazodawstwa wojskowego zjawisko śmierci, popełnia grzech, grzech przeciw grozie wojny i grzech przeciw naczelnemu wodzowi, który śmiało i odważnie winien brać na siebie rozkazodawstwo, związane ze śmiercią.

Zjawisko śmierci jest powszechne dla ludzi, gdyż ludzie są śmiertelni, lecz żaden rozkaz nie sięga tak głęboko w istotę duszy ludzkiej, jak rozkaz, związany z wojną, gdyż żąda on śmierci. Dlatego też porównywać jakiegokolwiek posłuchu czy posłuszeństwa z posłuchem, wymaganym od żołnierza, — nie-

podobna. Zjawisko śmierci unosi się nad postacią żołnierza, jako stały jego towarzysz. Żołnierz na sztandar przysięga, żyć i umierać musi, jak prawy żołnierz, umierać na rozkaz dowódcy. Dlatego jeszcze raz powtarzam, rozkazodawstwo wojenne, związane z naczelnym wodzem, nie ma sobie równego w żadnym innym rozkazodawstwie. Zgodnie z moim określeniem, które dałem ongiś na jednym z odczytów w Wilnie [1]), stwierdzam, że ten tylko dobrym jest wodzem, który, po życie ludzkie sięgając, sięga do głębi duszy i żądając, by żołnierz dał duszę, sam żołnierzowi daje duszę.

Porównywując różnego rodzaju śmierci, które istnieją na świecie, stwierdzić należy, że śmierć żołnierska jest inna. Gdy jakiś bankier traci majątek i, bankrutując, po rewolwer sięga i przykłada go do skroni, gdy jakaś nieszczęsna dziewczyna z miłości rzuci się z mostu do Wisły lub po truciznę sięga — ulega własnej woli, ucieka od życia i od jego ciężaru.

Żołnierz umiera dla innych, nigdy dla siebie, zdrowe ciało rzuca molochowi wojny pod stopy. Tysiące śmierci, które w ten sposób jedna za drugą idą, śmierci na polu bitwy, śmierci w szpitalach z powodu ran i chorób, to związane są one nie z czym innym, jak z rozkazodawstwem naczelnego wodza. Dlatego też jeszcze raz powtarzam, że posłuch, który naczelny wódz wymusza, inny ma charakter, niż charakter posłuchu w jakiejkolwiekbądź innej dziedzinie życia.

Przechodzę do innej charakterystyki naczelnego wodza. Naczelny wódz musi do rachunków swoich wciągać siłę całego państwa, które reprezentuje na polach bitwy, musi siłę i jego słabość obliczać.

Najcięższym rachunkiem wodzów to mierzenie stanu moralnego całego kraju. Ilu nieszczęsnych wodzów przegrało wojnę, gdy wbrew swemu sumieniu i zimnym rachubom musieli starać się o osiągnięcie zwycięstwa, by wydobyć efekty i nimi umysły i serca zaspokoić. Lecz naczelny wódz musi wciągać ustawicznie w swój rachunek i inne państwo — to, z którym wojuje. Musi wyszukiwać dla odniesienia zwycięstwa słabości innych państw, by w ich słabe miejsca uderzyć. Musi wynajdywać odpowiednie momenty, gdy państwo, z którym wojnę prowadzi, słabnie, by w ten sposób wymuszać zwycięstwo.

Moi panowie, na to zjawisko dowodzenia za pomocą rozkazów, aż do śmierci, aż po duszę i życie sięgających, które musi obliczać siły państwa całego i państwa przeciwnego,

[1]) Por. «Dowodzenie podczas wojny». Wykład czwarty. T. VI, str. 101—103.

które wojuje, nikt nic poradzić nie jest w stanie. Prawo bowiem wojny jest wyjątkowe i wyjątkowych wymaga wysiłków. Wysiłków i mocy trwania, wymaga również wyjątkowych praw i pełnomocnictw.

W Polsce, która wojnę tak dokładnie znać musi, gdyż dłużej od innych państw na terenie swym własnym ją widziała i to tak niedawno, — powinno, zdawałoby się, istnieć zrozumienie, jak wyjątkowych wysiłków ona wymaga i jak wyjątkowymi prawami Polską wtedy rządzono.

Zastanowić się teraz muszę i nad psychiką, związaną z naczelnym wodzem. Wszyscy, którzy o tym próbują myśleć, podnoszą konieczność istnienia u niego poczucia odpowiedzialności, tej męki, którą człowiek jeden znosić musi, gdy ma na swoich barkach pracę wojenną, pracę wymuszania na nieprzyjacielu zwycięstwa. Albowiem wojna jest zjawiskiem, przy którym, w ostatecznym rachunku, nie gdzié indziej ważą się losy narodu i państwa, jak tam, gdzie naczelny wódz działa. Gdy w historii będziemy liczyli państwa, które upadły, państwa, które zniknęły, to znajdziemy zawsze, jako ostateczny powód ich upadku, przegrane wojny. Gdy będziemy obserwowali większe przewroty, których państwa zaznały, znajdziemy zawsze, jako przyczynę ich, — zjawiska wojny. Od przegranej lub wygranej wreszcie na polach bitwy zależą nie tylko tak wielkie rzeczy, jak państwo, lecz gabinety, ministrowie i rządy.

Więc pierwszym zjawiskiem, z którym liczą się ludzie przy ocenie prac naczelnego wodza, jest to ponoszenie przez niego wzmożonej odpowiedzialności. Z tego punktu widzenia rozpatrując tę kwestię, jeden z wielkich filozofów wojny, von Goltz [1]), stwierdza, że — zdaniem jego — najcięższą pracą duszy, najcięższym obowiązkiem, jaki na człowieka spaść może, jest naczelne dowodzenie.

Wszelkie jego prace są związane z wyjątkowym stanem podczas wojny, dotykającym wszystkich absolutnie, czy chcą, czy nie chcą, i na których spadają wszystkie wyjątkowe prawa, rządzące wówczas ludźmi. Zgodnie z tym, każdy naczelny wódz podczas wojny staje się jak gdyby ogniskiem wszystkich oczu, wszystkich ciekawości, bez względu na to, czy wrogów, czy przyjaciół. Jest on stale przedmiotem rozmów i przedmiotem powszechnego zainteresowania. Każdy jak gdyby czuje, że od niego najbardziej zależy zwycięstwo, od niego zależy przebieg wyjątkowych praw. Naczelny wódz jest człowiekiem,

[1]) Por. t. VI, str. 191.

który nerwy swoje na zewnątrz otwarte nosić musi, i każde oko, każda ciekawość, każde pytanie i każde zjawisko wojny o jego nerwy zaczepia i na tych nerwach czy wróg, czy przyjaciel, każdą nutę wygrywa, jak na swojej własnej lutni. Jest on wtedy publiczną własnością. Dlatego też nie ma człowieka bardziej narażonego na zepsucie nerwów, niż naczelny wódz. Jeżeli ludziom ciężko zdobywać się na decyzję i na postanowienia, związane nawet z ich prywatnym losem, to jakąż dopiero męką są decyzje o losie tysięcy ludzi, decyzje, które podejmować musi naczelny wódz w każdej chwili. Dlatego też ten sam von der Goltz, zastanawiając się nad kwestią, jakim musi być naczelny wódz, w sposób dosyć oryginalny stwierdza na podstawie porównania szeregu większych wodzów, że istnieje jedna tylko cecha, która robi dobrego naczelnego wodza.

Ileż różnych zupełnie typów znajdziemy w galerii wodzów świata — byli blondyni i bruneci, byli ludzie słusznego wzrostu i niskiego, byli mizerni i otyłej tuszy, byli tacy, co śmiech łatwo na ustach mieli, i tacy, którzy byli ponurzy, byli tacy, co chętnie się zapominali przy kielichu, i tacy, co alkoholu do ust nie brali, byli tacy, co mieli szczęście do kobiet, i tacy, którzy tego szczęścia nie mieli, byli tacy, co w karty lubili grać i nawet oszukiwać, byli tacy, co kart do rąk nie brali. Nie ma granic rozmaitości charakterów i rozmaitości uczuć ludzkich, gdy się przebiega postacie większych wodzów, którzy w historii są jako tacy znani. Jest, powiada von der Goltz, jedyna prawda, która wszystkie postacie wojny łączy i cechuje: dobry wódz musi umieć imponować ludziom, musi ludzi porywać; gdy tego nie umie — nie potrafi być dobrym wodzem. Bez tej wewnętrznej cechy, która daje moc rozkazodawstwa, nie sięgnie on nigdy tak daleko do wnętrza duszy ludzkiej, by żądać śmiało posłuszeństwa aż do śmierci.

Przebiegłem główne cechy dowodzenia, to znaczy mus stałego rozkazodawstwa i konieczność ustawicznego rachowania sił swego państwa i sił państwa, z którym się walczy. Gdy dodamy olbrzymi ciężar odpowiedzialności, który zjada naczelnego wodza, żyjącego w krótkim spięciu, gdy dodamy to, że nie tylko musi on umieć wzniecać pożary, lecz sam w pożarach być, jak salamandra, — to przebiegniemy główne rysy najsmutniejszej prawdy, związanej z naczelnym dowodzeniem. Teoria wojny zawsze tak tę prawdę wyświetla, tę prawdę podaje.

Dotknę teraz odwrotnej strony teorii. Teoria każda ma swe egzageracje, ma swoje przesady, przesady w jedną czy

drugą stronę «in plus» albo «in minus». Ażeby panom uprzystępnić, jak te przesady się formują i jak one oddziaływują, przytoczę przykłady egzageracji teorii z innej dziedziny.

Niedawno rozmawiałem z jednym osobnikiem, który teoretyzował o cnocie prawdomówności. Gdy mu zarzucałem, że teoria bezwzględnej prawdy nie da się utrzymać, spotkałem się z żywą opozycją. Twierdziłem, że będąc w zasadzie prawdomównym, nie mogę nie wiedzieć, że — mówiąc wielkimi słowami Goethego: «die Theorie ist immer grau» — teoria jest zawsze szara i że życie kłamstwa wymaga. Wszak naszym nieszczęsnym dzieciakom kłamiemy ustawicznie z obawy, że wielkiego ciężaru prawdy życia słabe ich główki i słabe ich ciała by nie zniosły. Przecież lekarze, chcąc ratować chorego i podtrzymać jego siłę moralną, kłamią mu systematycznie o stanie jego zdrowia. Już nie mówię o dyplomatach, którzy dla reprezentacji państwa, jak mówi przysłowie: mają język po to, żeby łgać; już nie mówię o mężach stanu, którzy od zgromadzenia do zgromadzenia zmieniają swe zdanie i kłamią sami sobie ustawicznie.

Egzageracja o prawdzie przypomina mi inną egzageracyę cnoty, z którą zetknąłem się kiedyś w Anglii w grupie tołstojowców rosyjskich. Teoretyzowali oni o niemożliwości sprzeciwienia się złu. Nigdy nie zapomnę gremialnego śmiechu, gdy przy mnie jeden z ich nieprzyjaciół zapytał otwarcie panią, egzagerującą tę cnotę, czy ona i przy powszechnie znanej pracy łapania na sobie czarnych stworzonek w cudowne paluszki pozostaje wierną swej zasadzie niesprzeciwiania się złu.

Byłem obecny na dwóch bardzo długich posiedzeniach, gdy owi przedstawiciele teorii niesprzeciwiania się złu roztrząsali bardzo poważnie wypadek, przez siebie wymyślony.

Oto na okręcie jakiś wariat ma piekielną maszynę, którą ma zamiar zatopić statek na pełnym morzu. Na statku znajdują się same kobiety i dzieci, co komplikuje jeszcze bardziej wypadek. Przez dwa wieczory roztrząsano, czy można w tym wypadku sprzeciwić się złu, zebrać pasażerów, żeby tę piekielną maszynę ze statku usunięto, choćby kosztem, naturalnie, owego wariata. Przy mnie ta kwestia nie została jeszcze rozstrzygniętą i prezes tych egzagerantów przeniósł dalszą dyskusję na trzecie posiedzenie. Teoria jest szara, lecz w egzageracji teorii mamy odblask życia.

Niech mi wolno będzie wreszcie przypomnieć jeszcze jedną egzageracyę, związaną ze zjawiskami wojennymi, która wytłumaczy, jak łatwo ludzie do przesady dochodzą i jak wtedy trudno myślą. Gdy wybuchła wojna w 1904 r. pomiędzy

Rosją i Japonią, pracowałem w owe czasy wśród fachowych egzagerantów teorii, wśród socjalistów. Pierwsza odezwa [1]), która się ukazała o tej wojnie, brzmiała — biją się dwie burżuazje, co nas, proletariat, to obchodzi? Gdy wskazywałem, że właśnie polski proletariat musi umierać na polu bitwy, gdyż będzie niechybnie zmobilizowany, to jednak egzageranci teorii od swego zdania nie odstępowali. Pamiętam, że rozwścieczony odpowiadałem moim egzagerantom teorii inną egzageracją, związaną z towarzyszem Katajamą [2]), który był znany wówczas na świecie, jako reprezentant socjalizmu japońskiego. Ów towarzysz, prawdopodobnie rozwścieczony tym, że na jego ojczyznę napadają, stwierdzał wszędzie głośno na zebraniach publicznych, że Japonii wojnę należy wybaczyć. Prowadzi ona wojnę tak tanio, że nikt z kapitalistów dużo na tym nie zarobi. Lubiłem tego towarzysza Katajamę, gdyż istotnie każdy socjalista może być dumny, gdyby podczas wojny pilnował, żeby wojna, która jest tak droga, tak kosztowna, nie szła na korzyść kapitalistów i żeby z krwi ludzkiej wydobywane złoto nie napychało ich kieszeni.

Byłbym dumny z socjalistów polskich, gdyby w razie nieszczęścia wojny na naszej ziemi mogli tak spokojnie i otwarcie, jak Katajama, chwalić się swoim narodem.

Gdy w każdej teorii są nieodłączne egzageracje prawdy, to i w teorii naczelnego wodza są egzageracje, niestety, bardzo częste.

Zacznę, naturalnie, od egzageracji polskiej. Jedną z najczęściej powtarzanych jest tu rozważanie zadań dwóch istot, które podczas wojny mogą ze sobą się pokłócić. Tymi dwoma osobami jest prezes ministrów i naczelny wódz. Egzageracja mężów stanu Polski idzie systematycznie i stale ku daniu prezesowi ministrów, premierowi, prawa dowodzenia na wojnie i to do tak śmiesznego stopnia, iż wydać się może, że najlepiej byłoby, gdyby naczelnego wodza nie było, a premier za niego wojnę prowadził. Ze słusznych praw i słusznej teorii, że naczelny wódz stale pracować musi z rządem swego państwa, wywodzi się przesadę, że premier, który zresztą najczęściej na wojnie się nie zna i dowodzić niekiedy sam sobą nie potrafi, ma prawo kierowania naczelnym wodzem podczas wojny, kierowania jego pracą wojenną. Jeżeli dalej tak te zwyczaje Polski pójdą i ta egzageracja mężów stanu stanie się

[1]) Autorem odezwy był Feliks Perl, ówczesny redaktor nielegalnego «Robotnika». Odbito ją w Rydze, w drukarni «Robotnika» w marcu 1904 r.

[2]) Katajama — delegat japońskiej partii socjalistycznej na europejskie kongresy socjalistyczne.

faktem, to wobec nieznajomości prezesa gabinetu spraw wojskowych może zrodzić się konieczność przystawienia mu fachowego doradcy czy to w postaci dalekiego kuzynka podporucznika, czy w postaci wyranżerowanego generała, by w ten sposób mógł premier podołać nałożonemu na niego zadaniu.

Wtedy, zgodnie z praktyką polską, kwalifikacje naczelnego wodza w stosunku do jego podwładnych będzie sądzona honorowym sądem przez prezesa gabinetu.

Z rozumnej konieczności współpracy rządu i naczelnego wodza, od którego nieraz ten gabinet zależy i ten premier zależy, bo dość przegrać bitwę, a oburzenie zmiecie i naczelnego wodza, ale i rząd, — wyciągnięto takie przesadne wnioski, że prezes gabinetu jest stałym doradcą we wszystkich pracach naczelnego wodza. Powiem z praktyki, że gdybym musiał razem z kimś myśleć wtedy, gdy dowodzę, to wolałbym nie dowodzić, niż takie głupstwo czynić.

Jest druga egzageracja. Znaną jest teoria, zupełnie słuszna, że w pracach wojennych wojsko nie jest wszystkim, że wojsko czerpie swe siły z całego państwa.

Wiadomo, że wojsko zależy od wielu prac czysto gospodarczych, które naród stale prowadzić musi. Ciężary, które się na niego nakłada podczas wojny, są o wiele większe, a stąd boleśniejsze są i jego cierpienia. Gdybyśmy na jednej szali kładli cierpienia naczelnego wodza, a na drugiej ból matek, które utraciły swych synów, wyjdzie sąd, że cierpienie naczelnego wodza jest mniejsze. Lecz gdy w ten sposób chcą ludzie powiedzieć, że reprezentantem tego cierpienia i reprezentantem tych ciężarów, spadających na społeczeństwo, naczelny wódz nigdy nie jest, lecz komisja sejmowa, przeciwstawiająca się naczelnemu wodzowi, to wtedy taki pogląd jest czystą egzageracją.

Egzageracja «in plus» teorii o naczelnym wodzu jest związana z dość popularną u nas ideą, ideą dyktatora. Powiada ona, że jeżeli praca jest tak wyjątkowa, jak praca wojenna, musi być i wyjątkowe prawo, nadane człowiekowi, który tę wojnę na swoje bierze barki. Nie chcę przeczyć, że historia daje przykłady zastosowania w życiu tej teorii. Lubię pod tym względem powoływać się na przykład najsilniejszej demokracji, jaka na świecie istnieje, na przykład Rzymu, który miał w chwilach ciężkich wojen wybierać na czas określony dyktatorów, dając im prawa nadzwyczajne, prawa tak wielkie, jakich może świat potem nikomu dać nie potrafił. Dyktatura ograniczona była trwaniem półrocznym, a jako oznakę potęgi władzy, jako oznakę prawa karania gardłem, nie sześciu a dwunastu likto-

rów niosło pęki rózeg z toporem pośrodku, mówiąc o tym, że wyjątkowe prawa bez kary nie istnieją. Gdy stwierdzam ten fakt, który jest tak niezawodnie piękny, że w chwili niebezpieczeństwa szuka się człowieka i jego wyjątkową obdarza się władzą, to stwierdzić muszę, że poza przykładem rzymskim trudno się powoływać na inne przykłady. Byli wprawdzie wielcy monarchowie absolutni, ale ci równą władzę posiadali tak na wojnie, jak i podczas pokoju, gdyż indywidualizowali w sobie całe państwo. Stwierdzić również trzeba, że posłuch i posłuszeństwo uległy z biegiem czasu ogromnej ewolucji i możność wydobywania posłuszeństwa nie jest dziś tak wielka, jak była ongi.

Z drugiej strony stwierdzić trzeba, że rosnące z dniem każdym komplikowanie się życia, ilość rozstrzygnięć, które dawać trzeba we wszystkich dziedzinach życia, przerasta znacznie siłę jednego człowieka.

Wobec tych zjawisk nie byłbym w stanie wypowiedzieć się za tą egzageracją teorii o naczelnym wodzu, wojna bowiem wymaga puszczenia dziś w ruch maszyny o tak rozmaitych prawach działania, że zaspokojenie jej potrzeb nie jest wcale tak proste, jak to było za czasów Rzymu. Ilość praw, dotyczących miliona ludzi, które trzeba ciągle regulować, pociąga za sobą tyle drobnych zabiegów, że w sumie są one za liczne i za różnorodne, ażeby szybko obejmować je mogła jedna głowa.

Dlatego też zawsze w mojej teorii starałem się iść w kierunku, żądającym współpracy stałej i systematycznej naczelnego wodza z rządem, który prowadzi razem z naczelnym wodzem wojnę.

Jest przy tym absolutnym niepodobieństwem na spółkę z kimś o wojnie, prowadzonej przez naczelnego wodza, myśleć, razem dawać rozkazy, razem może, jakby chcieli stylişci, styl naczelnego wodza poprawiać. Niepodobnym jest dzielić władzę na placu boju, na którym inne prawa rządzą, zatrzymujące nieraz zupełnie życie. Lecz również niepodobnym jest nie podzielić pracy, ułatwiającej normalne prowadzenie wojny, pomiędzy możliwie małą ilością ludzi. Gdyż im bardziej praca jest indywidualna, tym jest silniejsza w swoich przejawach, im bardziej ludzie indywidualnie silni podadzą sobie ręce dla wspólnej pracy, tym jest bezpieczniejszy naród, który wojnę prowadzić musi, i tym jest lepiej dla pracy zwycięskiej.

Przechodząc do naczelnego wodza w praktyce, wybieram jedną z najcięższych praktyk, które znam w historii, to jest

praktykę polskiego naczelnego wodza, którym ja byłem. Wybieram ją rozmyślnie, dlatego, żeby Polskę ostrzec, żeby jej powiedzieć, że z naczelnym wodzem Polska ma się inaczej obchodzić, niż to dotąd było jej zwyczajem.

Wojna, którą prowadziłem w Polsce od 1918 r. do końca 1920 r., należała do wojen wyjątkowych, gdyż była prowadzona bez jakiegokolwiek przygotowania, bez jakiejkolwiek myśli przygotowawczej, bez jakiejkolwiek pracy przed wojną z czyjejkolwiek strony, nie wyłączając mnie, gdyż równocześnie z powstaniem państwa wybuchła i wojna.

Taka wojna wymagała ustawicznie improwizacji ze zmieniającą się stale wraz ze wzrostem sił organizacją, ze wzrostem stałym, prawie codziennym środków do walki, gdyż rozpoczęła się wojna prawie z zerem. Podobne wojny są według teorii wojnami z góry skazanymi na przegraną. Wojnę prowadziłem, nie mając żadnych praw do powiedzenia, że znam moich podwładnych. Z rozbitych bowiem państw zaborczych zbiegali się wojskowi, których nigdy w życiu nie widziałem i z których musiałem także stale improwizować sobie pomoc.

Jak mówiłem panom, każdy naczelny wódz nerwy swoje otwarte nosić musi, musi pozwolić bębnić na nich każdemu głupiemu, czy rozumnemu, gdyż jest ogniskiem pracy wojennej. Musiałem i ja znosić ten los w tak ciężkich i w tak nikczemnych warunkach, jakich historia wojen nie zna. Nie mówię o nikczemności zdrad najwyraźniejszych w świecie, gdy za pieniądze obce ze mną walczono. Nie mówię o steku oszczerstw, publicznie rzucanych, sięgających mojej rodziny, moich najbardziej osobistych spraw. Nie mówię o łajdactwach w prasie, gdy przeciw moim przyjaciołom walczono tak zajadle, jak gdyby byli wrogami państwa. Nie mówię o setkach nikczemnych pisemek, rzucanych śmiało do wojska na froncie.

Nie mówię o pomocy, jaką mi nieżyczliwi, a w największym ciele reprezentacyjnym, w sejmie ustawodawczym, znajdujący poparcie, użyczali. Powiem o trudach pracy w dowodzeniu, gdy miałem w sztabach pełno obcych i oglądających wszystkie papiery. Z powodu braków i nieprzygotowania Polski do wojny byłem zmuszony ustawicznie i ciągle pracować w sposób zupełnie nienaturalny. Musiałem przebiegać od najdrobniejszych rzeczy, którymi nie ma obowiązku naczelny wódz się zajmować, do najcięższych i najważniejszych decyzyj, od których drżało państwo. Musiałem w większości wypadków bronić swojej głowy, jako tajemnicy, jedynie nie wydawanej na zewnątrz. Gdy sobie te czasy przypominam, zawsze mówię, że raz po raz dusza moja musiała rozpryskiwać

się na drobne kawałki i potem dla najcięższych decyzyj w jedno się zbierać dla odniesienia zwycięstwa.

Praktyka polska jest jedną z praktyk najnikczemniejszych, jakie znam, w stosunku do naczelnego wodza. Dlatego też, moi panowie, gdy gen. Żeligowski, obecny minister spraw wojskowych, zwrócił się do mnie z propozycją, żebym zajął w wojsku stanowisko, któreby przypominało pracę naczelnego wodza podczas wojny, powiedziałem mu, że nie chcę drugi raz powtarzać doświadczeń, które miałem w latach 1918 do 1920. Postawiłem jeden warunek, dyktowany racją stanu państwa polskiego, — usunięcie praw i ustaw, ubliżających pojęciu naczelnego wodza. Ustawy tej już nikt nie broni, została wniesiona dwa lata temu, pada przez samą głupotę i nikczemność. Lecz dla zaznaczenia, że praca ubliżania naczelnemu wodzowi trwa dalej, ten warunek, który postawiłem, został niedotrzymany i ustawa nie została wycofana. Dlatego też po smutnym doświadczeniu, jakie mam za sobą, jako Naczelny Wódz Polski, który wytrwał przy zwycięskim sztandarze i który sobie powiedział, że przez upokorzenie nie przejdzie i że drugi raz takiej pracy wojennej dusza znieśćby nie zdołała, usunąłem swoją osobę.

Mam prawo tym spokojniej ostrzegać Polskę, że żartować z kotwicą bezpieczeństwa, którą naczelny wódz podczas wojny reprezentuje, jest niebezpiecznym igraniem z ogniem. Polska może niezawsze talentami rozporządzać będzie. Na stanowiskach naczelnych wodzów niech więc Polska ustali swoje ustawy nie dla talentów, lecz miarkując je do sił przeciętnych, które mniej znosić ciężar dowodzenia są zdolne.

Jeżeli wziąłem praktykę Polski w stosunku do Naczelnego Wodza, to nie dlatego, bym chciał zmusić was do zapomnienia o prostych prawdach dowodzenia i prostych prawdach o naczelnym wodzu, który na barkach swoich nosi, gdy wojna wybuchnie, losy swego państwa, lecz jedynie dlatego, że egzageracje teoretyczne Polski w stosunku do wojny są dla mnie podziwu godne.

Siedem lat długich wojna po ziemiach naszych się przewalała, siedem lat długich znosiła Polska wojnę, dłużej, niż inne narody i państwa. Siedem lat długich Polki i Polacy namyśleć się mogli nad zjawiskami wojny, zjawiskiem nieodłącznym od naczelnych wodzów, zjawiskiem nieodłącznym od ich pracy. Siedem lat długich wojna, o której przy suplikacjach głośno wołają: «Od ognia, głodu i wojny racz nas zbawić, Panie», siedem lat długich wojna Polskę i Polaków uczyła.

Gdy myślę o dziejach tak oryginalnych naszego państwa,

naszego narodu, gdy myślą się przenoszę do dawnych czasów, gdy Polska z map świata, jako państwo polityczne, wymazana była, widzę historię, wielką mistrzynię życia, jak cicho stąpa, zbiera swoje prawdy, zbiera wszystkie grozy świata, wszystkie jego radości. Myślę, że gdy przechodzi ona tak, jak ongi, przed upadkiem Rzeczypospolitej, tak i teraz, i po naszej ziemi, po naszych osadach, tak samo cicho, patrząc na ludzi, zbierając wszystkie mądrości i wszystką głupotę, to sądzę, że nieraz wiele musi prawd przepuszczać, i tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej litości boskiej, ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka.

Tak dużo wojny widzieć i tak mało o niej rozumieć! Lecz widać niezbadana jest litość Boża i dlatego nieraz w pięknych oczach historii błyskają, być może, mylne, ale dla mnie radosne światła.

Pozwólcie mi, panie i panowie, do stałych przestróg, jakie Polska otrzymuje, jakie Polska ma przy przemyślaniach nad życiem codziennym, dodać i przestrogę moją, by pracy wojennej, pracy naczelnych wodzów, nie lekceważyć i nie tak okrutnie losem Rzeczypospolitej się bawić.

O WODZU NACZELNYM I PAŃSTWIE

(15 kwietnia 1926 r.)

Dnia 15 kwietnia 1926 r. wygłosił Piłsudski w klubie Polityczno-Społecznym w Warszawie niżej przytoczony odczyt. Po rozważaniach, jakie ciężkie zadania spadają na Naczelnego Wodza, Piłsudski przestrzega, że nie można liczyć na znalezienie na to stanowisko zawsze człowieka o wyjątkowych talentach i dlatego ustawy, normujące pracę Naczelnego Wodza, powinne być dostosowane do ludzi o przeciętnych zdolnościach.

Tekst odczytu był podany w prasie ówczesnej w streszczeniach niebardzo udolnych.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» jest stenogram tego przemówienia. Podajemy tekst według tego właśnie stenogramu po stylistycznym jego opracowaniu.

Proszę panów, studia nad zagadnieniem «Naczelny Wódz a Państwo» rozpoczynałem w życiu moim po kilkadziesiąt razy. Byłem zawsze pociągnięty od dzieciństwa rzeczami związanymi z pracą duszy ludzkiej w trudnych warunkach. Cią-

gnęły mnie zawsze te imiona, które zostają jako ślady życia tych ludzi w historii tak głęboko, że w pierwszym lepszym podręczniku historii, w każdym małym chociażby podręczniczku historii, pisanym dla dzieci gęsto rozsypane są imiona wielkich wodzów. Wydawało mi się zawsze, że fakt ten coś znaczy, że gdy teraz mówimy o dawnej, starej Macedonii, to przeciętnie nic w głowie nie zostaje oprócz jednego wielkiego imienia Aleksandra Macedońskiego, wielkiego wojownika i wielkiego wodza. Nas przecież, jako małe dzieci, uczono o koniu Aleksandra Macedońskiego, uczono wymawiać dzikie imię Bucefał, uważając posiadanie tych wiadomości za konieczność.

Zagadnienie związane z pracą ludzi, na których największe ciężary spadają, studiowałem w najrozmaitszy sposób. Czy to ucząc się historii ogólnej, czy czytając monografie, czy zajmując się od dwudziestu lat zjawiskiem wojny — zjawiskiem będącym dotychczas koniecznością dla ludzkości — zawsze pociągała mnie indywidualność pracy człowieka, który jest jeden, który zmuszony przeto jest zostawać, że tak powiem, na łasce i niełasce wszystkich innych, będąc w pracy sam z sobą, będąc w pracy indywidualnej.

Pierwszą rzeczą, którą powiedzieć trzeba — a od tego zacząłem swój wykład czy odczyt w większej znacznie sali niż ta [1]) — jest nieodłączność dla naczelnego wodza drugiego zjawiska, zjawiska wojny. Bez naczelnego wodza nie ma wojny i bez wojny nie ma dotąd naczelnego wodza. Jeżeli mówimy o zjawisku wojny, to trzeba je przeciwstawić innemu zjawisku: zjawisku życia ludzi podczas pokoju. Wtedy dopiero stają się zrozumiałe te tak częste myśli ludzkie, które w czasie pokoju sądzą o pracy wojny opacznie, a w czasie wojny, tęskniąc do pokoju, nie zastanawiają się nad wojną. Inaczej bowiem trudno mi wytłumaczyć zjawisko, które jest tak częste w procesach myślowych moich rodaków, że zjawisko wojny jest dla nich tak niezrozumiałe.

Wojną znaczy historia swój pochód tak często i tak gęsto, tak wydaje się ona zjawiskiem nieuniknionym, tak koniecznym. Tyle zmian wskutek niej zaszło w życiu ludzkości i tyle pracy człowiek poświęcał w swoim pochodzie do dni dzisiejszych nie czemu innemu, jak wojowaniu. Dlatego wydaje mi się wprost dziwnym, iż ludzie nie chcą poświęcać swej myśli przestudiowaniu wojny, gdy tak często tej wojnie podlegają.

Znam — tak jak i państwo znają — te dążenia, które chcą słusznie czy niesłusznie — jest mi to obojętne w tym wy-

[1]) Mowa o odczycie w dniu 21 marca 1926 r. w sali «Colosseum».

padku — ażeby wojna nie istniała w ogóle, znamy wysiłki, chcące ją z życia ludzkości usunąć. Lecz wtedy, panowie, oczekiwaćby należało, że gdy kto z wojną chce walczyć, to ją musi tym bardziej rozumieć. Niestety, zbyt często spotykamy ludzi, walczących z wojną, jako ze zjawiskiem, którzy mi przypominają kogutów zapianych, zamykających na wszystko oczy i nie widzących i nie chcących zrozumieć zjawiska wojny. Dlatego też najczęściej tak łatwo podlegają temu zjawisku, gdyż go nie chcą znać.

Wojna nie jest pokojem i stan pokojowy zmienia się z szybkością nadzwyczajną z chwilą, gdy wojna wybucha. Sięga ta zmiana zawsze tak daleko, że przewraca pokojowe życie. Jeżeli wezmę jako przykład najbardziej to unaoczniający wojny dzikich plemion, to zobaczymy, że gdy tylko siekiera wojny jest wykopana ze ścieżki pokoju i pomiędzy wodzami przestają krążyć fajki pokoju, to życie tego plemienia natychmiast się zmienia i przewraca do góry nogami. Mężczyźni idą na wojnę, natomiast kobiety, starcy, dzieci porzucają swoje domy, chowają się w jakichś puszczach i nieprzebytych bagnach, ażeby uniknąć skutków wojny. To jest najbardziej prymitywny przykład.

Można mówić naturalnie, że teraz tak nie bywa. Nie, panowie! Życie musi i teraz natychmiast zmienić się nieledwie w każdym domu, nieledwie w każdej pracy, z chwilą, gdy groza wojny staje przed oczyma i gdy wojna jest ogłoszoną. Nieraz dziwię się Polakom, którzy widzieli wszyscy naocznie, każdy z was w tej sali, jak wybuchła wojna w 1914 roku, iż tak spokojnie sobie przypuszczają, że wojna to dalszy ciąg pokoju i że podczas wojny ktoś wojuje, ale inni nie. Te absurdalne myśli, które każą przypuszczać, że można przedłużać życie pokojowe podczas istnienia wojny, takie rozumowania nawet wielkich polskich mężów stanu mogą być — co z żalem wyznaję — wynikiem nie czego innego, jak moich starań. Albowiem jako jeden z celów wojny, którą prowadziłem, postawiłem sobie od razu to, by świeże, ledwo oddychające niemowlę — Państwo Polskie — oswobodzić od grozy wojny i oddech wojny odsunąć jak najdalej od niego. I z chwilą, gdy to mi się udało, przekonałem się od razu, że ludzie o wojnie nie chcieli myśleć dlatego, że w imieniu Państwa prowadziłem tę wojnę bardzo daleko od Warszawy. Stąd obraza, gdy wojna dotyczyła się do stolicy i po bulwarach stolicy spokojnie jeździły tabory.

Nie można nie stwierdzić, że pod względem pracy wojny, nie znamy, wybaczcie panowie, głupszego narodu, jak nasz.

Jest tak piekielnie głupi i tak w głupocie nieustępliwy i tak nikczemny pod względem myśli o pracy wojny, że przypisać to tylko mogę nie czemu innemu, jak tylko długiemu wychowaniu niewolniczego społeczeństwa, które w niewoli zrodzone, w kolebce zakute, nie umiało się zastanawiać nad dziejami siły, którą inne państwa w stosunku do niego wykazywały.

Nieodłącznym zjawiskiem, proszę panów, związanym z wojną, jest wyjątkowy wysiłek, który musi być zrobiony dla pracy zwycięskiej. Wyjątkowa sytucja wymusza wyjątkowe wysiłki ludzkie i wyjątkowe prawa i ustawodawstwa. Czy to będzie u jakichś dzikusów, którzy wtedy przypisują sobie dla wyjątkowej pracy wyjątkowe swoje obyczaje, nabyte doświadczeniem, czy będą to wyjątkowe prawa w bardziej skomplikowanych społeczeństwach, wymuszające od ludzi te wysiłki, których zwykłe prawa od nich nie żądają, prawa, które są jak gdyby batem, pobudzającym ludzi do wyjątkowych wysiłków — zawsze jest pewnikiem, że wojna wymaga wyjątkowych wysiłków ludzkich, związanych z wyjątkowymi ustawami i prawami.

Do tych praw wyjątkowych należy i zjawisko Naczelnego Wodza. Nie będę panów zatrzymywał nad wszystkimi kwestiami, związanymi z pracą Naczelnego Wodza, nie będę zatrzymywał nad kwestiami technicznymi wojska z całą ich zawiłością, będę się starał przedstawić związek pracy Naczelnego Wodza z państwem, z pracą państwa, które bierze udział w wojnie. Starałem się w niedawnym odczycie [1]) dać przykłady, jak każdy Naczelny Wódz pracujący w wojnie dla zwycięstwa — gdyż na wojnie o nic innego nie chodzi, jak o zwycięstwo nad nieprzyjacielem — musi w swych rachunkach, robionych stale i systematycznie, wkluczać rzeczy związane nie z czym innym, jak z pracą tego kraju wojującego, z jego codziennym życiem i z jego codziennymi potrzebami.

Wybrałem wówczas rozmyślnie jeden z przykładów, który może trącić może nieco zbytnim materializowaniem — wybrałem konia. Konie są nieodłączne od pracy całego kraju wojującego, bo w najrozmaitszej postaci biorą udział w codziennej pracy tysięcy i tysięcy, milionów i milionów mieszkańców każdego kraju. Konie zarazem są potrzebne do wojny, dla pracy wojny w tysiącach i tysiącach. Jak panowie wiecie, koń, stworzenie niemoralne, potrzebuje jeść i potrzebuje pewnego specjalnego zachowania się w stosunku do niego, ażeby nie

[1]) Por. t. VIII, str. 300—311.

przestał służyć. I dlatego w czasie pokoju koni w wojsku w ogóle mamy mało, bo to drogo kosztuje, w czasie zaś wojny wymagamy ich tysiące i tysiące dlatego, ażeby pracowały razem z człowiekiem nie gdzie indziej, jak dla pracy najzupełniej nieprodukcyjnej, nie wkładającej nikomu ani grosza do kieszeni, dla pracy wojennej, gdzie ich tysiące ginie z przemęczenia, okaleczeń i ran. Konie te skądś muszą być brane, więc biorą je po prostu z tego samego kraju, który tak samo jak wojsko potrzebuje tych koni. I w każdym rachunku Naczelnego Wodza może być jakaś wada w podziale koni pomiędzy kraj i wojsko. I gdybyśmy nie wiem co uczynili, żeby mu to działanie odebrać i dać je jakiejś osobnej, a nad nim stojącej dykasterii, to to nic nie pomoże. Naczelny wódz ma z jednej strony żądania wojska, a z drugiej strony ma krzyk z kraju, że wszędzie tam brak koni. I tylko on musi trzymać wagę w ręku i tylko on jeden może rozdzielić te konie według tych dwóch zapotrzebowań.

Wziąłem tylko jeden z przykładów, ale tych przykładów mamy tysiące, dlatego że obok koni są wozy, obok wozów jest uprząż i całe mnóstwo tych rzeczy, które ciągle i stale trzeba dzielić pomiędzy wojsko wojujące i pomiędzy kraj, który także tych rzeczy wymaga i potrzebuje. Ta waga, którą mierzyć to trzeba, jest to stały rachunek państwowej miary, który musi być stale i codziennie niekiedy rozstrzygany w ten czy inny sposób, głupi czy rozumny.

Wezmę drugi przykład, który wówczas rzuciłem — jest to kolej. O kolejach powiedzieć mogę jedno przemyślenie, które jest prawdopodobnie dość rzadkim w Polsce. Kolej ongiś była czymś luksusowym, czymś, co nie było powszechnym, codziennym chlebem człowieka. Do pracy wojennej po raz pierwszy została znakomicie zastosowana kolej podczas wojen w 1866 [1]) i 1870 roku [2]) przez Moltkego [3]), który zyskał w ten sposób niezwykłą sławę. Wydawało się to wtedy ludziom jak gdyby czarownym odkryciem, czarowną tajemnicą, wysmażoną w głowie nadzwyczaj mądrych ludzi.

Lecz od tego czasu minęło dobre pół wieku. Kolej stała się codziennym chlebem każdego człowieka i trudno sobie wyobrazić życie bez kolei. Trudno sobie wyobrazić nawet życie prywatnego człowieka bez kolei, bez posyłania listów i towarów kolejami, bez wymiany wszystkich ludzkich potrzeb

---

[1]) Por. t. VIII, str. 53.
[2]) Por. t. VIII, str. 53.
[3]) Por. t. VIII, str. 256.

za pośrednictwem nie czego innego, jak kolei. Kolej jest codziennym instrumentem pracy ludzkiej, takim, jakim w 1866 r. czy 1870 r. jeszcze nie była.

Dziś przestało to być jakąś dziką tajemnicą, wysmażoną w osobnym pokoiku przez jednego człowieka, że kolej podczas wojny jest jej instrumentem. Obliczanie, co dać może jej praca, jest codziennym chlebem wszystkich obrachunków i rachunków, i metody obliczeń są powszechnie znane, tak że nieledwie każdy oficerek, pracujący w wyższym dowództwie, ciągle musi mieć ten rachunek na uwadze.

I znowu to samo tu znajdziemy, co w stosunku do koni. Praca wojenna zabiera instrument kolei na rzecz wojny, a każdy zrozumieć może, jak silnie zatrzymuje życie kraju brak wagonów, brak lokomotyw, wreszcie całkowite lub częściowe zawieszenie ruchu w tej czy innej okolicy. Każdy z Naczelnych Wodzów to życie, że tak powiem, ludzkie musi ważyć na szalach, musi obrachowywać możliwie ściśle pracę życia ludzkiego poza frontem z potrzebami frontu. Musi zrobić on ten rachunek dla swego państwa wraz z możliwie ścisłym rachunkiem państwa przeciwnego, z którym się wojuje.

Nie wiem, jak było tutaj w dniach sierpniowych 1914 r. Widziałem, co dał wtedy brak kolei w pewnej części byłego Królestwa. Natychmiast po ogłoszeniu wojny byłem w części tego kraju, najbardziej potrzebującej kolei, a mianowicie w Zagłębiu dąbrowiecko-częstochowskim. Tam nie było ani jednego wagonu. Zabrakło tego życiodajnego elementu i wszystko od razu stanęło. Widziałem to samo w b. zaborze austriackim, albowiem tam byłem przy mobilizacji i przyglądałem się temu zawieszeniu po prostu ruchu i zabraniu wszystkich wagonów i wszystkich lokomotyw dla potrzeb koncentracji wojsk i materiału wojennego.

Życie się nie zmieni i ten konieczny rachunek będzie musiał być robiony stale. Zawsze będą musiały być te wagi, którymi się mierzy potrzeby swojego kraju, dlatego, że to jest baza, która się może wyczerpać i potrzeby frontu, które decydują w ostatnim rachunku o zwycięstwie lub przegranej. Robienie tego rachunku jest musem dla człowieka, który naczelnie dowodzi.

Podobnie będziecie mieli panowie zawsze w rachunku to, co jest drutem, to, co łączy ludzi, co jest telefonem i telegrafem. Nigdy nie zapomnę, proszę panów, swego zabawnego wrażenia, kiedy na początku wojny rozmawiałem z pewnym mężem stanu w Galicji na trzy czy cztery dni przed zamknięciem telefonów w Krakowie dla rozmów prywatnych. Mając już

jako tako umówione sprawy ze sztabowymi oficerami austriackimi, wiedziałem o tym wcześniej. Wobec tego, że nie miałem prawa o tym mówić, starałem się tych panów, którzy wielkie i wybitne stanowiska zajmowali w świecie austriackim, przekonać, że panowie musicie porozumieć się teraz jak najszybciej, póki jest czas. Zasłużyłem sobie wtedy na pogardliwe miano wariata, który nie wie, co czyni. Przecież Koło Polskie umie przewracać ministrów. W bardzo krótkim potem czasie prezes Koła Polskiego [1]) — widziałem to — umizgać się musiał pokornie do kapitana austriackiego, zginając przed nim kolana, że aż wstyd mi było za niego.

Wezmę, proszę panów, jeszcze jedną rzecz: pieniądze. ten «nervus rerum» [2]), muszą być dane w ręce Naczelnego Wodza dla prowadzenia wojny. Znane jest powiedzenie wielkiego wodza Napoleona, że dla prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Ten «nervus rerum» musi być także stale i systematycznie dzielony pomiędzy codzienne życie, życie wszystkich obywateli państwa i pomiędzy potrzeby wojny. Musi on być tak samo mierzony i ważony w rachunkach wszystkich, a specjalnie naczelnego wodza.

Gdy chodzi o pensje, gdy chodzi o ten pieniądz i o to, komu dać trochę tych pieniędzy, a komu nie, to są to rzeczy nieprzyjemne. Ale w czasach wojny nie o pensje chodzi, bo temu, kto ma coś w ręku, może wystarczyć mniej i jakoś przeżyje — lecz o wydatki wojenne, które rosną, i to rosną z zawrotną szybkością. To trzeba rachować i ten rachunek ma ten sam charakter, jaki mają wtedy wszystkie inne codzienne prace w umyśle każdego Naczelnego Wodza.

Jeżeli panowie myślą, że jakakolwiek praca pokojowa nie jest dosięgnięta przez żądło wojny, przez żądło wymagań wojny, to się grubo mylicie. Jeżeli wezmę stan posiadania budynków, gmachów i wszystkiego, co jest związane z życiem ludzkim, a które od nas wymaga dachu nad głową, to jest tutaj ta sama rzecz. Nie ma co do tego dwóch zdań. Niech panowie sobie pomyślą jedną rzecz: oto jest mobilizacja. Wojsko w czasie pokoju mieści się ze wszystkimi utensyliami i instrumentami wojennymi, tak czy inaczej, wygodnie czy niewygodnie, w pewnej ilości obiektów wojskowych. Jeżeli teraz panowie sobie pomyślą, że wojsko z 200.000 w kilka dni mobilizacji urasta do miliona i coś ludzi, to panowie nie będziecie sądzili,

[1]) Prezesem Koła Polskiego był wtedy dr Leo.
[2]) Nerw życia, główna sprężyna czynności ludzkich.

że wszyscy inni ludzie nie będą zmuszeni do pewnego ścieśnienia się w swoich mieszkaniach. Przecież panowie nie będziecie sądzili, że można wytrzymać nacisk pod tym względem ludzi, których się powołuje pod broń, że można ich postawić w błocie i na wodzie i nie zabrać najrozmaitszych odpowiednich budynków.

Więc znowu, pomijając samą mobilizację, na skutek której ludzie odchodzą do szeregu i muszą się pożegnać z miłą rodziną i miłym zajęciem, — co jest zmianą bardzo wielką dla dla każdej rodziny i każdej jednostki, — będziemy mieli stale i systematycznie wtrącanie się wojny wszędzie do życia. A podział tego wszystkiego, co potrzebne jest dla wojennego życia, a co dla życia codziennego, musi być w stałym i codziennym rachunku u każdego Naczelnego Wodza.

Moi panowie, jeżeli zatrzymałem was tak długo nad pojęciami tak pierwotnymi i tak elementarnymi, tak, zdawałoby się, nieuniknionymi i tak śmiesznie prawdziwymi, to jedynie dlatego, że — jak powiadam — w Polsce zjawisko wojny i zjawisko tego, co stan wojny wywołuje, pomimo to, że wojna przejechała się po karkach i ciałach polskich w tak bajeczny sposób przez 7 lat, jest zjawiskiem najmniej zrozumiałym i trzeba choć w najbardziej brutalny sposób powiedzieć, że jeżeli chce się zrozumieć wojnę, to trzeba choć myśleć o tym.

Poprzednie wszystkie przykłady mówią o jednym, że w materialnych rzeczach, materialnych obiektach, w materialnym świecie życia codziennego zmienia się dużo i że wszędzie i zawsze musimy myśleć o rachunku, który stanowi o podziale wszystkich tych materialnych obiektów i materialnych rzeczy pomiędzy żołnierzy, którzy biją się na froncie, a pomiędzy tę całą bazę — jak wojsko językiem technicznym mówi — pomiędzy tę podstawę, jaką jest cały kraj ze swoimi siłami i ze swoimi codziennymi pracami. Ten podział stały i codzienny musi być robiony przez kogoś, a musi go prowadzić Naczelny Wódz. I Naczelny Wódz będzie zmuszony do jego prowadzenia, czy chce czy nie chce, i wszystkie te rzeczy będą musowo wchodziły do jego pracy i wtedy trudno myśleć o tym, ażeby jego osobiste pod tym względem zdanie lub jego osobiste przekonanie o takich rachunkach nie miało znaczenia dla kogo innego.

Proszę panów, przechodzę do rzeczy innej, przejdę do tych zadań wyższych, o których tak łatwo się rozprawia, a tak trudno je czynić. Jedną z wielkich prac każdego narodu i każdego państwa, będącego w wojnie, jest stan moralny, stan stosunku ludzi do zjawiska wojny. Powtórzę znane jedno zdanie

Napoleona, które wydaje się niekiedy ludziom paradoksalne, a jednak takie jest prawdziwe i tak często uwidacznia się w dziejach każdej wojny. Napoleon mówi, że trzy ćwierci powodzenia na wojnie i w każdej bitwie jest stan moralny ludzi, a ćwierć zaledwie jest stan wszystkich innych czynników. Tak wysoko stawiał jeden z geniuszów wojny stan moralny czyli stosunek do pracy wojny.

To też, proszę panów, jeżeli się przejrzy pracę wojny tak niedawno ubiegłej, to zawsze i wszędzie dojrzymy, że jednym z rachunków, który stale musiał być prowadzony, był rachunek stanu moralnego zarówno swego kraju, jak i wojska. Praca Niemiec zawaliła się z powodu stanu niemoralnego w stosunku do wojny, jaki Niemcy miały. Przegrana Rosji była wywołana tym samym. Tak, że w ostatecznym rachunku mamy zawsze jako podstawę dobrobytu — że tak powiem — wojny w znaczeniu zwycięstwa: stan moralny kraju. Dlatego też, proszę państwa, próby poprawienia stanu moralnego u siebie lub próby psucia stanu moralnego u przeciwnika są stale przedsiębrane, stale robione, albowiem zwycięstwo samo nie jest czym innym, jak złamaniem woli przeciwnej, osłabieniem tej woli, co jest przygotowaniem do ostatecznego fizycznego zwycięstwa.

Proszę panów, gdy się zna historię wojny, śmiało stwierdzić można, że często gęsto naczelnego wodza pędzono gwałtem i próbowano odnieść zwycięstwo dlatego, by swój stan moralny naprawić. Otóż jeżeli państwo choć na jedną chwilę zechcą serio odnieść się do tematu wojny i przypomną sobie wojnę, którąście albo obserwowali, albo przejść ją byli musieli, to wiecie dobrze, jak silnie działają wszystkie tak zwane nowiny i nowinki, idące z tych stron, gdzie kule strzelają. Nie ma bardziej interesującego tematu podczas wojny, jak wiadomości co się dzieje na froncie. Poprawianie moralnego stanu u wojska przez zwycięstwo, wbrew rozumowi, bardzo często było zadaniem nieszczęśliwych wodzów, którzy wojnę przegrywali. Było to jak gdyby ich deską ratunku, którą musieli sobie robić, żeby poprawić nie co innego, jak stan moralny.

Z tej masy przykładów, które mi się w tej chwili nasuwają, wybiorę kilka, o których panowie może choć coś niecoś czytali lub coś sobie przypominają. Jedną z nieszczęśliwych postaci Naczelnych Wodzów jest Kuropatkin [1]). Jak ten nieszczęśliwy człowiek był pędzony do odniesienia możliwie szybkiego zwycięstwa, jak ten nieszczęśliwy człowiek był zmuszany

[1]) Por. t. III, str. 57.

do tego, żeby na gwałt zwycięstwami poprawiać niepopularność wojny w owe czasy w Rosji. Jak często wyrzekał się rozumu. Nie chciał ruszyć się z miejsca dopóty, dopóki nie będzie miał dostatecznej siły. A wymuszano na nim głupoty wojenne, jaką było choćby to wyrzucenie się naprzód dla oswobodzenia portu Artura z niedostatecznymi siłami, z niedostatecznym przygotowaniem, jedynie dlatego, żeby na gwałt, żeby — że tak powiem — sensacją zwycięstwa okupić niepopularność wojny.

Weźmy drugą wojnę dla przykładu, wojnę 1870 roku u Francuzów, gdzie padająca już dynastia Napoleonidów szukała także poprawy swojej sytuacji za pomocą szybkiego jakiegoś zwycięstwa, za pomocą zrobienia siebie bardziej popularną przez chwałę zwycięstwa.

Z przykładów najmniej dawnych wezmę rok 1917, gdy po wygraniu rewolucji nad carem, przedsięwzięto wbrew rozumowi atak z prawie zbuntowanym wojskiem [1]) po to, żeby natychmiast go przerwać również dla przekonania siebie i innych, że się jest jeszcze w stanie wojnę prowadzić.

Rachunek moralny, ten rachunek moralności swego państwa w stosunku do wojska jest musem wszystkich Naczelnych Wodzów, gdy swoje rachunki czynią i prowadzą. Jest również musem w stosunku do państwa innego, do państwa, z którym się walczy.

Przejdę teraz do dziedziny tak zwanej polityki zagranicznej. Dotąd nigdy nikomu nie udało się usunąć w tej dziedzinie wpływu Naczelnego Wodza już chociażby dlatego, że są zawsze środki mniej lub więcej dowcipne, za pomocą których inni starają się dojść do Naczelnego Wodza, ażeby i jego zdania w najrozmaitszych kwestiach, związanych z życiem wojny, zasięgnąć, ażeby od niego przynajmniej czegokolwiek się dowiedzieć, i ażeby na niego w jakikolwiek sposób wpłynąć. Wszelkie mury i przegrody, które ktokolwiek tu chciałby wynaleźć, pękną szybko, gdyż interes wszystkich w stosunku do zjawiska wojny jest za silny. Proszę panów, my sami, Polacy, byliśmy obiektem podczas ubiegłej wojny tak wielkiego i przemożnego wpływu naczelnych wodzów Rosji, Austrii czy Niemiec na nasz los i sami robiliśmy tyle zabiegów u wszystkich naczelnych wodzów tych państw, gdzie potrafiliśmy wszędzie dotrzeć, by odpowiednio dla nich, a nieodpowiednio dla siebie się zachować, żeśmy własnym swym postępowaniem udo-

[1]) Mowa o akcji Aleksandra Kiereńskiego.

wodnili, jaką jest siła Naczelnego Wodza w stosunku do zadań międzynarodowych.

Lecz wybiorę rozmyślnie państwo o charakterze republikańskim, mianowicie Francję. Podczas ubiegłej wojny Francja w bardzo prędkim czasie posiadać musiała kilka frontów, nie tylko swój front rodzinny, przeciwko Niemcom. Wobec rozszerzenia się wojny powstawały inne fronty, jak np. front bałkański. Wtedy bardzo wiele rzeczy rozstrzygało się nawet poza plecami rządu nie gdzie indziej, jak w głównej kwaterze obecnego marszałka Joffre'a, gdyż danie i wzmocnienie takiego lub innego frontu za pomocą takich czy innych wojsk lub niewzmocnienie go w ostatecznej decyzji zależało od Naczelnego Wodza.

Zwrócę uwagę tym, którzy nie znają techniki pracy pod tym względem, na zjawisko tak znane, a tak w umysłach mało przemyślane, jakim jest «attaché militaire». Taki pan wojskowy z innego państwa jest delegowany do armii walczącej, aby być przy tej armii jako świadek, jako podglądacz, jako człowiek, który musi coś swemu państwu donieść o stanie wojny. Nieraz najtęższe głowy idą na takiego «attaché militaire», ażeby załatwiał interesy z Naczelnym Wodzem, nie z rządem. Naczelny Wódz bowiem, jak powiedziałem, jest jednym z czynników tak poważnych dla wojującego państwa, że nie ma możności zapobiec temu, ażeby on nie wpływał na życie całego państwa.

Dałem panom przykłady, że w rachunku naczelnego wodza musi być stale uwzględniany czynnik państwa i że zjawisko mieszania się naczelnego wodza do życia państwa jest zjawiskiem codziennym, i że to mieszanie się sięga nawet do spraw najtajniejszych, mianowicie do polityki zagranicznej, do stosunków międzynarodowych, które, zdawałoby się, mogą być oddzielone od życia Naczelnego Wodza, a pomimo to nigdy i nigdzie oddzielone nie były.

Moi panowie! Wysiłki i stany wyjątkowe związane z wojną, zmiany życia codziennego, związane z wojną, zmuszają do tego, aby prawa, ażeby obyczaje życia państwowego były inne i by wtedy, gdy wojna dominuje nad życiem narodu i państwa, z musu i z konieczności dominował jako najwpływowszy czynnik nad tym życiem nie kto inny, jak Naczelny Wódz. Wojna jest niczym innym, jak bojem, jak spotkaniem ludzi uzbrojonych, t. zn. żołnierzy, ze sobą. Boje te rozstrzygają w ostatecznym rachunku o losach wojny, a wojna rozstrzyga często o bycie państwa. Stąd wynika rozumowanie, że niezależnie od chęci ludzkich jest zawsze ten mus, że praca wojny,

rozstrzygająca o losie państwa, jest zdana na łaskę i niełaskę Naczelnego Wodza.

Wpływ pracy Naczelnego Wodza na państwo wojujące jest tak niezmiernie silny i tak niezmiernie waży o losach państwa, że bezwiednie nasuwa się jako najlepsze rozstrzygnięcie teoretyczne, by w najcięższej sytuacji nie po co innego naród sięgał, jak po jednego człowieka. Wtedy w jednej głowie tylko, to jest w tej najciaśniejszej przestrzeni ludzkiej myśli, ważyć się będą te wielkie kwestie, związane z pracami frontu i z pracami bazy, która bezpośrednio nie wojuje. Przy ważeniu tym kładzie się na jedną szalę bezpośrednie potrzeby wojny, potrzeby frontu, a na drugiej szali potrzeby tego życia, na którym jednak wojna się opiera. W czasie wojny centralną figurą uwagi ludzkiej staje się nie kto inny, jak Naczelny Wódz i bez względu na to, czy go lubią czy nie, bez względu na to, czy jest talent, czy brak talentu, ściąga on na siebie przemożną uwagę. Konieczność ważenia wysiłków na dwie strony, ten mus wpływania na państwo do najtajniejszych jego tajników, bezwiednie nasuwa chęć ścieśnienia tej przestrzeni, gdzie te tarcia się odbywają.

Nasuwa się wtedy zawsze bezwiednie myśl o rozstrzygnięciu Rzymian, by wybrać i postawić jednego tylko człowieka, tak, by te wszystkie wahania i tarcia, chociażby najboleśniejsze mogły odbywać się i opierać na szybkości i sprawności pracy jednego człowieka. Stąd myśli o cezaryzmie, o przymusowej, że tak powiem, przewadze jednego człowieka nad innymi. Wtedy mus i nakaz rośnie nadzwyczaj szybko, gdy swobody pod oddechem wojny topnieją. Gdy mówi się o tych nadzwyczajnych wysiłkach, których wojna wymaga, i o konieczności użycia bata, aby do wojny pędzić, to bezwiednie zawsze się nasuwa jako rozstrzygnięcie, czy dyktator — to było zawsze rozstrzygnięcie polskie, które nie zawsze się Polakom podobało — czy też inny sposób dania komuś przemożnego wpływu na pracę wojny.

Ile razy nad tymi rzeczami się zastanawiałem, przychodziłem zawsze do tego wyniku: Historia świadczy, że o ile narody, będące w stanie wojny, posiadały szczęśliwie takiego człowieka, który odpowiadał tym olbrzymim zadaniom, to zawsze jako skutek były wielkie zwycięstwa i wielka siła państwa. Państwa i narody żyły tak długo pod władzą królewską, pod władzą absolutyzmu króli i cesarzy. Znajdziemy w podręcznikach historii tych wielkich ludzi, tych wielkich monarchów, którzy umieli być wielkimi i na wojnie i w czasie pokoju, których wielki Bóg obdarzył wielkimi talentami i wielką możno-

ścią pracy, wielką siłą wewnętrzną i wielkim żarem. Oni rozstrzygali pytania i zagadnienia jak dyktatorzy, których Rzymianie darzyli wszechpotęgą władzy i cywilnej i wojskowej, skupiając ją w jednym ręku. I wtedy, moi panowie, nasuwa się jedno pytanie: czy życie można mierzyć pracą, choćby nawet w tak wyjątkowym wypadku jak wojna, pracą talentu i pracą ludzi znacznych, obdarzonych wielkimi talentami?

Gdy się w księgi otwarte historii wczytać, to są zawsze jakieś nadzwyczajne rzeczy, które nie od nas zależą. Obdarzenie narodów czy państw podczas niebezpieczeństw i podczas kryzysów talentami nie w naszej jest mocy. I niepodobna zatem myśleć, że praca czy to prawna czy ustawowa może być obliczona na talenty, ponieważ nie w naszej jest mocy posiadanie ich. Dlatego też, moi panowie, zastanawiając się nad tą kwestią bardzo często jeszcze przed wojną, przychodziłem zawsze do przekonania, że przy obecnych skomplikowanych pracach w czasach wojny, nie wolno liczyć i rachować na wielkość swoich wodzów, że trzeba się rachować zawsze z pracą przeciętnego człowieka, a nie nadzwyczajnego, choćby dlatego, żeby nie błądzić. Wszelkie próby wyszukiwania ludzi o nadzwyczajnych talentach, o nadzwyczajnych umiejętnościach mogą tak często zawodzić, że trudno na pracy talentu opierać jakiekolwiek obliczenia.

Dlatego też trzeba się zawsze i w tym wypadku rachować nie z czym innym, jak z przeciętną pracą obywateli miernych, pracą nie nadzwyczajnych ludzi, którzy mogą stanąć na czele wojny w postaci Naczelnego Wodza. W ostatniej długiej wojnie, którą świat przeżył, błysnęło zaledwie parę wielkich talentów. Trzeba było obchodzić się bez wielkich talentów i musiało się do tego braku wielkich talentów przystosować. Dlatego też, moi panowie, kiedy się myśli o wojnie nie należy egzagerować teorii o zbytniej władzy danej w ręce jednego człowieka.

Trzeba raczej spokojnie stwierdzić fakt o przemożnym wpływie Naczelnego Wodza podczas wojny, gdyż tego się nie uniknie. Trzeba liczyć to jako fakt nieunikniony, jako fakt konieczny i trzeba naczelnego wodza postawić w sytuacji takiej, aby on mógł wspólnie z innymi ludźmi pracować.

Dlatego gdy kończę swoją pogadankę, śmiem stwierdzić, że wszystko, co dzieje się w Polsce w tej sprawie, jest rzeczą sprzeczną z każdym zdrowym rozumem. Mówię o próbie rozwiązania tej kwestii obecnymi projektami ustaw, o próbie tak nieudolnej, a tak niestety uparcie źle rozstrzyganej przez sejm i rząd. Gdy przejrzymy tę ustawę, a przejrzałem ją z dziesięć

razy, wydaje mi się, że jest ona napisana rozmyślnie na to, aby w wypadku wojny dziełu zwycięstwa przeszkodzić, aby zrobić możliwie najbardziej silne, możliwie najbardziej jaskrawe przeszkody dla tego głuptasa, który w tych warunkach naczelne dowodzenie wojny obejmie. Jest to jak gdyby umyślne staranie o upokorzenie nie kogo innego, jak naczelnego wodza, o zrobienie go możliwie niezdatnym do szacunku i do pracy większej, zrobienie go czymś w rodzaju wypędka z państwa. Cała ustawa bowiem nacechowana jest jakąś wewnętrzną nikczemnością, która chce stwierdzić, że wszyscy muszą stać nad Naczelnym Wodzem, za niego najrozmaitsze rzeczy mają robić ku szkodzie jego.

Byłem zawsze zdziwiony tym sposobem myślenia, który tak opacznie, tak sprzecznie z rozsądkiem i rozumem kieruje myśl o pracy wojny dla Polski. Ile razy zastanawiałem się nad tym, tyle razy przychodziłem do następującego wniosku: Były Naczelny Wódz czyli Józef Piłsudski, musiał tak dobrze zalać tym panom sadła za skórę, że wobec tego sądzą, iż jest to jedyny sposób, ażeby od Naczelnego Wodza jak najbardziej się obronić.

Ile razy zastanawiałem się nad motywami, które ludźmi mogą w tym wypadku kierować, tyle razy musiałem sobie postawić kilka hipotez. Jedną z nich jest zupełnie nieuzasadniona zazdrość dla władzy, która niechybnie u każdego Naczelnego Wodza zbiera się w jego ręku. Jest to chęć jak gdyby zaprzeczenia prawdzie, która w chwilach wojny jest musową, że w ręku Naczelnego Wodza ta wielka władza zebrać się musi. Dlatego przewidując z góry, że i w Państwie Polskim to nieszczęście się zdarzy, z góry z zazdrości o tę władzę, czynią w ustawie najrozmaitsze paskudztwa temu Naczelnemu Wodzowi. Drugim motywem, niestety, jak przypuszczam, jest geszeft, zwyczajny pospolity geszeft, albowiem gdzie więcej geszeftów się robi, jak nie podczas wojny. Trzecim wreszcie motywem — i pozwólcie, że na tym zakończę — jest przekonanie ludzi o sobie, że są tak niezdatni do pracy podczas wojny, że zawczasu czynią ustawę taką, ażeby ona jedna im udział w wojnie zabezpieczała.

OŚWIADCZENIE O PRZEBIEGU KONFERENCJI W BELWEDERZE W DNIU 21 KWIETNIA 1926 R.

(21 kwietnia 1926 r.)

Dnia 19 lutego 1925 r. odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym miał być załatwiony definitywnie wniosek ministra spraw wojskowych, dotyczący wycofania z sejmu projektu ustawy o najwyższych władzach wojskowych. Komunikat z tego posiedzenia ogłasza, że przed przystąpieniem do dyskusji nad tym wnioskiem «pan prezes Rady Ministrów odczytał pismo Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, w którym Pan Prezydent żąda udzielenia odpowiedzi co do jego uprawnień, wynikających z Konstytucji, jako zwierzchnika sił zbrojnych państwa, oraz co do jego stanowiska w sprawie obrony państwa i stosunku jego do rządu, a w szczególności do ministra spraw wojskowych. Wobec tego Rada Ministrów poleciła premierowi Skrzyńskiemu, ministrowi spraw wojskowych, gen. Żeligowskiemu, i ministrowi sprawiedliwości, panu Piechockiemu, przygotowanie odpowiedzi na pytania, postawione przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, i przedłożenia Radzie Ministrów do aprobaty».

Dnia 18 kwietnia Prezydent Rzeczypospolitej zaprosił Piłsudskiego na dzień 21 kwietnia do Belwederu dla wysłuchania jego opinii w sprawie interpretacji Konstytucji przez rząd. W posiedzeniu tem wziął udział premier Skrzyński i gen. Żeligowski.

W czasie jednak między dniem wysłania zaproszeń na tę konferencję a dniem jego odbycia zaszły następujące fakty.

Dnia 18 kwietnia 1926 r. na konferencji przedstawicieli klubów, tworzących koalicję rządową, Daszyński zapowiedział wystąpienie z niej P. P. S. Dnia 20 kwietnia 1926 r. C. K. W. i Klub poselski P. P. S. uchwaliły odrzucenie programu Ministra Skarbu Zdziechowskiego i poleciły swoim ministrom podać się do dymisji. Przesilenie gabinetowe zostało otwarte.

Po konferencji w Belwederze Piłsudski podyktował i polecił podać do prasy niżej przytoczone oświadczenie, które podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 22 kwietnia 1926 r.

Dla uniknięcia fałszywych plotek i przypuszczeń z powodu pobytu Pana Marszałka Piłsudskiego w Belwederze, oświadcza on, że rozmowy, które miały miejsce, nie dotyczyły w żadnym stopniu kryzysu gabinetowego.

Toczyły się one, zgodnie z zaproszeniem Pana Marszałka jeszcze w niedzielę, dokoła próby wypracowania nowej ustawy o najwyższych władzach wojskowych oraz interpretacji Konstytucji w związku z uprawnieniami Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska i obrony państwa.

Rozmowy były prowadzone w tej materii z Panem Prezydentem, z p. Aleksandrem Skrzyńskim oraz z gen. Żeligowskim.

Pan Aleksander Skrzyński przed końcem rozmowy odszedł.

Pan Marszałek, odkładając wyjaśnienie swego stanowiska, które zajął w tej sprawie, podał jedynie do wiadomości, że na zakończenie rozmów wyraził swoją zupełną nieufność w możliwość szybkiego załatwienia w sejmie nowej ustawy; dalej — zaznaczył, że nie będzie w stanie prowadzić żadnej poważnej rozmowy o swojej pracy w wojsku bez cofnięcia z sejmu leżącej tam dotąd ustawy p. Sikorskiego o najwyższych władzach wojskowych, wreszcie dodał, że ostrzega Pana Prezydenta przed użyciem gen. Sikorskiego w pracy czy to w centralnych instytucjach wojskowych, czy to, jak już słyszał, na stanowisku ministra spraw wewnętrznych.

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 24 KWIETNIA 1926 R.

Dnia 24 kwietnia 1926 został ogłoszony w «Kurierze Porannym» niżej przytoczony wywiad, w którym Piłsudski podaje do wiadomości jakie zajął stanowisko na konferencji w Belwederze odbytej w dniu 21 kwietnia (por. t. VIII, str. 314) w kwestii uprawnień Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska.

— *W oświadczeniu, udzielonym prasie po środowej konferencji z Panem Prezydentem, Pan Marszałek obiecał dać informacje o kwestiach, które były przedmiotem dyskusji. Czy byłoby to możliwym obecnie?*

— Proszę pana, nie mogę i nie chcę powtarzać całości dyskusji, gdyż nie zamierzam brać na siebie obowiązków protokólanta i powtarzać opinii innych panów, biorących udział w dyskusji. Ograniczę się tylko do streszczenia wyrażonego przeze mnie poglądu na sprawę, poruszoną w rozmowie.

Dnia 18 kwietnia zostałem zaproszony w imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przez prezesa Rady Ministrów do Belwederu dla wypowiedzenia mego zdania w sprawie interpretacji przez rząd ówczesny kilku paragrafów Konstytucji [1]),

[1]) Mowa o ustawie konstytucyjnej z dnia 17 marca 1921 r.

związanych z upełnomocnieniami Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska.

Na konferencji wystąpiłem przede wszystkim przeciw próbie ograniczenia praw Prezydenta do wojska na rzecz Rady Ministrów i jej prezesa. Odparłem próby powoływania się w tej sprawie na artykuł 56 Konstytucji, który brzmi: «Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za ogólny kierunek działalności rządu». Stwierdziłem bowiem, że paragraf ten mówi jedynie o budowie gabinetu w uzależnieniu od jego odpowiedzialności solidarnej przed sejmem i oznacza jedynie, że premier gabinetu jest szczególnie odpowiedzialny za jego kierunek, tak dalece, że gdy z jakiegokolwiek bądź względu podaje się do dymisji, to musowo podaje w ten sposób do dymisji wszystkich swych kolegów z gabinetu. Atoli artykuł ten nie może być interpretowany jako specjalny przywilej gabinetu w sprawach wojska. Natomiast zwróciłem uwagę, iż Konstytucja nasza w sprawach, dotyczących wojska i jego funkcyj w państwie, jest jedyną w swoim rodzaju pomiędzy konstytucjami całego świata. Nie chce bowiem ani jednym słowem dotykać urządzeń wojska w czasie pokoju, zajmuje się natomiast tylko urządzeniem wojska podczas wojny. Historycznie daje się to wytłumaczyć tym, że gdy układano Konstytucję, Polska nie miała ani przez jedną chwilę wojska w czasie pokojowym. Odwrotnie — od samego początku swego istnienia przechodziła stan wojny ze wszystkimi jego ciężarami i prawami wyjątkowymi. Stąd zapewne Konstytucja nie mówi o stanie normalnym wojska w państwie, to znaczy o jego urządzeniu pokojowym, oprócz ogólnego określenia, że właśnie Prezydent Rzeczypospolitej jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych państwa.

Wobec tego moja interpretacja Konstytucji w stosunku do wojska była następująca:

1) Konstytucja słusznie wyodrębnia funkcje wojska z innych funkcyj państwowych, dając w stosunku do wojska Prezydentowi Rzeczypospolitej większe prawa i uprzywilejowania, niż w stosunku do wszelkich innych dziedzin pracy państwowej. Prezydent Rzeczypospolitej bowiem nie jest w myśl przepisów Konstytucji najwyższym zwierzchnikiem kolei, oświaty, lub jakiejkolwiek innej pracy państwa, lecz wyraźnie jest wymieniony, obok innych jego przywilejów, jako najwyższy zwierzchnik siły zbrojnej [1]). W każdej więc ustawie, doty-

[1]) Art. 46. Konstytucji marcowej ust. I brzmiał: «Prezydent Rzeczypospolitej jest zarazem najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych

czącej organizacji władz wojska, o ile nie ma ona być sprzeczną z Konstytucją, musi się znaleźć specjalne zabezpieczenie praw Prezydenta w stosunku do wojska. Wydaje mi się również, że jest to powtórzone w Konstytucji po raz drugi w artykule 54, zawierającym tekst przysięgi Prezydenta Rzeczypospolitej, która go zobowiązuje «wszelkie zło i niebezpieczeństwo od państwa odwracać i godności państwa strzec niezachwianie». Takiej przysięgi nie składa żaden minister, ani też poseł czy senator. Słowa zaś tej przysięgi stoją w bezpośrednim związku z pracą nad obroną państwa, związaną z siłą zbrojną, reprezentowaną przez wojsko.

2) Rozmyślne przemilczenie w Konstytucji zagadnienia urządzenia wojska w czasie pokoju interpretować — zdaniem moim — należy w ten sposób, iż Konstytucja pozostawia to urządzenie wszelkim próbom załatwienia go wszystkimi istniejącymi w państwie drogami, a więc drogą ustaw, dekretów czy rozporządzeń. Interpretując to przepomnienie w pochlebny sposób, należałoby przyjąć, iż autorowie Konstytucji, nie posiadając pod tym względem żadnego doświadczenia, pozostawili przyszłości dokonanie prób tego urządzenia, z tym, by kiedyś, po nabyciu doświadczenia, ważna ta sprawa została załatwiona konstytucyjnie. Nie mogę nie stwierdzić również, że motywem, może historycznym, była niechęć lub bojaźń prawodawców wtrącania się do szczegółów urządzeń wojskowych wobec własnej niemocy myślowej w tych sprawach i wobec faktu, że na czele państwa stał zwycięski wódz w świeżo przebytej wojnie.

Próby przeciwstawienia się temu rozumowaniu, stojącemu na gruncie specjalnych przywilejów Prezydenta Rzeczypospolitej w stosunku do wojska i jego zadań, polegają zwykle na stwierdzeniu, że każdorazowy rząd jest jedynym czynnikiem odpowiedzialnym, odpowiadając za wszystko, co się dzieje w państwie nie tylko podczas jego urzędowania, lecz i za skutki jego czynności i potem. Ten dziwny sposób myślenia spotkał odpór z mojej strony, gdy wskazałem, że rządy nasze nie odpowiadają nawet za kasy publiczne. Gdy zaś składają się z posłów i senatorów, to prawna ich z Konstytucji nieodpowiedzialność najmniej nadaje się do stwierdzenia, że rząd taki za cokolwiek bądź odpowiada. Dodałem, że jeżeli być wiernym duchowi Konstytucji, to minister spraw wojskowych, jako dowódca (nie zwierzchnik) sił zbrojnych państwa, od-

---

Państwa, nie może jednak sprawować naczelnego dowództwa w czasie wojny».

powiadać musi w trzech kierunkach: a) przed Prezydentem Rzeczypospolitej, gdyż Konstytucja czyni ministra podwładnym zwierzchnictwu Prezydenta; b) przed gabinetem, którego jest członkiem i c) przed sejmem, przed którym ponosi solidarną odpowiedzialność wraz z całym gabinetem. Zwróciłem przy tym uwagę, iż wszelkie próby zrobienia ministra spraw wojskowych odpowiedzialnym przed senatem są najzupełniej sprzeczne z Konstytucją, która obok różnych artykułów, wyraźnie wskazujących jedynie sejm, jako instytucję, przed którą odpowiedzialni są wszyscy ministrowie, w cytowanym już artykule 46 raz jeszcze potwierdza odpowiedzialność ministra spraw wojskowych wyłącznie przed sejmem [1]).

Od dalszej rozmowy, związanej z pracą nad nową ustawą, regulującą życie wojska, usuwałem się starannie, radząc jedynie, by w próbie takiej ustawy nie starano się pomieszczać wszystkich detali, gdyż nie da się to zrobić już chociażby z tej przyczyny, że w sprawach wojska i jego pracy musimy się liczyć z niesłychanie niedostatecznym pojmowaniem przez Polaków służby wojska.

— *Czy na konferencji nie były poruszane kwestie ogólnopolityczne, związane z kryzysem gabinetowym?*

— Przepraszam, ale wolę na razie trzymać się tych granic, które sobie zakreśliłem w publicznym wyjaśnieniu mojej wizyty, danym niezwłocznie po wyjściu z Belwederu [2]).

WYWIAD W «NOWYM KURIERZE POLSKIM» Z DNIA 29 KWIETNIA 1926 R.

Prezes Rady Ministrów Skrzyński po złożeniu tek przez ministrów należących do P. P. S. wniósł dnia 21 kwietnia 1926 r. podanie o dymisję, która nie została przez Prezydenta Wojciechowskiego przyjętą. Skrzyński, mając gabinet zdekompletowany, rozpoczął w owych dniach drogą pertraktacyj z klubami poszukiwać dla siebie nowej większości sejmowej.

W tym czasie ogłosił Piłsudski w «Nowym Kurierze

---

[1]) Ust. II art. 46 Konstytucji brzmiał: Naczelnego Wodza sił zbrojnych Państwa na wypadek wojny mianuje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych, który za akty, związane z dowództwem w czasie wojny, jak i za wszelkie sprawy kierownictwa wojskowego — odpowiada przed Sejmem.

[2]) Por. t. VIII, str. 325.

Polskim» z dnia 29 kwietnia 1926 r. niżej przytoczony wywiad. Piłsudski widzi przyczynę kryzysu parlamentaryzmu w złamaniu zasady, że «rząd rządzi, a sejm sądzi», a odrzucając koncepcję dyktatury, uważa, że można w ramach konstytucyjnych stworzyć silny rząd.

— *Czy przeżywamy kryzys parlamentaryzmu?*

— Przeżywamy na pewno, i przeżywamy go w ostrzejszej formie, niż cała Europa. Ja osobiście przy narodzinach nowego, obecnego, sejmu przepowiadałem to w wybranym gronie osób. Pomiędzy obecnymi byli p. marszałek Rataj i dzisiejszy premier Skrzyński [1]). Wyraźnie mówiłem, że to przyjdzie, że przyjdzie kryzys parlamentaryzmu.

— *W czym widzi Pan Marszałek źródła tego kryzysu?*

— Jest jedna sprzeczność zanadto silna, aby nie przejawiała się ona stale i ciągle. Według zasady ustroju parlamentarnego — rząd rządzi, sejm sądzi. Gdy zaś zastępuje ją praktyka, że sędzia jest oskarżony, a oskarżony także sędzią, to wówczas musi nastąpić zanik wszelkiego poczucia odpowiedzialności. Zasada bowiem parlamentów, kiedy dawały one zdrowie ludzkości, polegała na tym, że istniała władza wykonawcza, która była sądzona przez wybrane ciała, zwane parlamentem, czy sejmem. Wtedy zaś, kiedy zaczęła się choroba, to jest zanik podziału między tym, co jest władzą wykonawczą, a władzą, sądzącą tę władzę, musiało zaniknąć poczucie sprawiedliwości, gdyż nie ma jej tam, gdzie nikt za złe czynności nie odpowiada. To jest charakterystyczna cecha kryzysu parlamentaryzmu wszędzie. Powstaje wówczas jak gdyby zabawa w próby rządów całkiem nieodpowiedzialnych i z konieczności formują się wtedy tylko mafie i konwentykle, ze stałymi z ich strony próbami siadania do rządu, tylko cokolwiek inaczej, niż poprzednio. Jest to stan, który demoralizuje to, co jest rządem, i to, co jest sądem. Musi powstać w takim wypadku coś w rodzaju nierządu, którym jakoby Polska zawsze stała.

— *Dlaczego zdaniem Pana Marszałka kryzys parlamentaryzmu w Polsce zaznacza się silniej, niż gdzie indziej?*

— U nas kryzys parlamentaryzmu zaznacza się bardziej, niż w innych krajach, dlatego, że naród cały — powracając do niepodległości — związał za dużo nadziei z tym, co my nazywamy sejmami, i dlatego z większą goryczą, niż gdzie indziej, odczuwamy doznany zawód.

---

[1]) Mowa o zebraniu, które odbyło się w mieszkaniu posła Miedzińskiego (Natolińska 4) w roku 1924.

— *Czy Pan Marszałek nie widzi dróg wyjścia z kryzysu?*

— Z tego, co powiedziałem, wynika jasno, że trzeba oddzielić ściślej rząd, który musi być odpowiedzialny, od prób nieodpowiedzialnego rządzenia. To zdaniem moim na długo wystarczyć może.

— *Więc ścisłe rozgraniczenie kompetencyj?*

— Tak jest! Rządy muszą być sprawowane indywidualnie i dobierane pod kątem indywidualności ich wykonawców. Natomiast próby rządzenia za pomocą jakichś grup ludzkich, za pomocą dajmy na to 444 posłów i 111 senatorów, prowadzą do niepożądanych celów.

Zawsze twierdziłem, że wszelkie próby ze strony rządów zdobycia sobie siły przez wysiłki zadowolenia wszystkich nigdy się nie udadzą. Siła bowiem zawsze chce być odpowiedzialna za siebie. Siła nie może liczyć się z tym, co się komu podoba, a co nie podoba. Gdy frymarczy, gdy zaczyna się wahać, gdy się załamuje, przestaje być siłą.

— *Czy Pan Marszałek nie sądzi, że dyktatura jest wyłącznie kwestią człowieka?*

— Ja tego nie chcę rozstrzygać!

— *Czy jednak Pan Marszałek nie podziela opinii, że silny człowiek, któryby ujął władzę, łatwiej potrafiłby uporać się z trudnościami?*

— Z sejmem, czy bez sejmu?

— *Toby już było jego sprawą.*

— Wpędza mnie Pan w pułapkę... *(replikuje Pan Marszałek, żartobliwie grożąc palcem).*

Zaczynamy dalsze pytanie: — Dyktatura...

— Dyktatura? — *przerywa Pan Marszałek.* — No i cóż, ubierze pan w nią złodziei?

— *Czy dyktatura nie jest wyłącznie kwestią człowieka? Wziąłby ją Pan Marszałek w swe ręce?*

— Stawia pan niekonstytucyjne pytania *(— groźnie i żartobliwie zarazem woła Pan Marszałek).* Powinien Pan za to w kozie siedzieć.

— *Jeśli Pan Marszałek każe! — przed tym jednak pragnę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie.*

— Ale ja nie odpowiem, bo nie chcę siedzieć w kozie *(— śmiejąc się odpowiada Marszałek).* Cóż — zagadnienie dyktatury stawało przede mną tyle razy... Ja jednak twierdzę, że w ramach konstytucyjnych praca silnego rządu da się uskutecznić, tylko trzeba uczynić wszystko, by skończyć ze złymi zwyczajami sejmowymi. Albowiem złe zwyczaje sejmowe są gorsze od złej konstytucji.

OŚWIADCZENIE O KONFERENCJI W BELWEDERZE ODBYTEJ W DNIU 9 MAJA 1926 R.

Dnia 5 maja 1926 r. Skrzyński po bezskutecznym poszukiwaniu dla siebie trwalszej większości w Sejmie podał się do dymisji. Dymisja została przyjęta i rozpoczęły się konferencje Prezydenta Wojciechowskiego z przedstawicielami obozów politycznych. Misję tworzenia gabinetu otrzymał naprzód Witos, potem Chaciński, potem jeszcze raz Witos. Gdy ich próby stworzenia rządu nie dały rezultatu misję tworzenia gabinetu otrzymał dnia 8 maja 1926 r. Wł. Grabski.

Wł. Grabski wiedział, że obsadzić tekę Ministerstwa Spraw Wojskowych może tylko w porozumieniu z Piłsudskim. Dlatego Prezydent Wojciechowski zaprosił Piłsudskiego i Wł. Grabskiego na konferencję, która się odbyła w Belwederze dnia 9 maja 1926 r. w godzinach popołudniowych.

Po tej konferencji Piłsudski napisał niżej przytoczone oświadczenie o przebiegu konferencji, w której odmówił Wł. Grabskiemu poparcia.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się rękopis tego oświadczenia.

Tekst oświadczenia podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 10 maja 1926 r.

W rozmowie z Panem Prezydentem i p. Władysławem Grabskim zostałem zapytany o sprawy wojskowe w związku z możliwością sformowania gabinetu przez p. Władysława Grabskiego. Stwierdziłem, że sytuacja każdego ministra spraw wojskowych jest bardzo trudna właśnie ze względu na to, że obejmować musi następstwa gospodarki wojskowej po gabinecie p. Władysława Grabskiego. Sądzę więc, że każdy z ministrów tego resortu szukać musi w trudnościach swych jakichkolwiek gwarancyj ze strony premiera, aby zabezpieczyć interesy moralne i materialne wojska.

Co się tyczy nowych prac o najwyższych władzach wojskowych [1]), stwierdziłem, że nie miałem do nich wglądu i zatem nic pozytywnego o nich powiedzieć nie jestem w stanie.

---

[1]) Dnia 4 maja 1926 r. Minister Spraw Wojskowych wycofał z Sejmu projekt ustawy o naczelnych władzach wojskowych gen. Sikorskiego i złożył nowy projekt ustawy uchwalony przez Radę Ministrów w dniu 4. V. 1926 r. (P. Aneksy str. XXV—XXIX).

WYWIAD W «KURIERZE PORANNYM» Z DNIA 11 MAJA 1926 R.

(10 maja 1926 r.)

Wł. Grabski w nocy z 9 na 10 maja 1926 r. zrzekł się misji tworzenia gabinetu. Dnia 10 maja został mianowany rząd Witosa, oparty na porozumieniu następujących stronnictw: Narodowa Demokracja, Piast, Chrześcijańska Demokracja i Nar. Partia Robotnicza.

Tego dnia Piłsudski udzielił «Kurierowi Porannemu» niżej przytoczonego wywiadu, w którym stwierdził, że za rządów drugiego gabinetu Witosa system demoralizacji wojska święcił swoje triumfy; wyraża wątpliwość, czy wojsko mogłoby stanąć w obronie nowo sformowanego rządu; i zapowiada swą walkę z panowaniem rozwydrzonych partyj.

Za wydrukowanie tego wywiadu numer «Kuriera Porannego» z dnia 11 maja został przez Komisariat Rządu na m. st. Warszawę skonfiskowany pismem Nr. Bp. 11160, podpisanym przez Komisarza Rządu Tłuchowskiego.

— *Ponieważ dzisiaj właśnie zakończony został niezmiernie dziwny w swym przebiegu kryzys gabinetowy, w czasie którego Pan Prezydent odwoływał się do opinii Pana Marszałka*[1]*), czy można prosić Go o wyrażenie poglądu na przeżyte świeżo wypadki ostatnich dni?*

— Nie uważam tego procesu za zakończony, gdyż kilkakrotne próby p. Witosa nie udawały się jedynie z przyczyny nieumiejętności albo niechęci tego pana uwzględniania interesów moralnych państwa. Państwo bowiem ma dwie funkcje wyraźnie państwowe i wyraźnie z jego bytem związane: wojsko i politykę zagraniczną, to znaczy stosunki z innymi państwami. Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktuacji gry zawistnych partyj, gdyż system taki prowadzi nieuchronnie państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje. Takie było moje zdanie, gdy jako Naczelnik Państwa z trwogą patrzyłem w przyszłość, widząc rozigranie namiętności partyjnych w stosunku do tych właśnie dwóch państwowych «par excellence»[2]) funkcyj. Jak w poprzednim kryzysie, gdy padał p. Władysław Grabski, tak i w tym, gdy upadł p. Aleksander Skrzyński, stanąłem w obronie funkcji wojska i dlatego wyłącznie o tym będę mówił.

Pan Wincenty Witos znany jest w historii naszego państwa głównie z bezceremonialnego stosunku do wszystkich

[1]) Por. t. VIII, str. 258.
[2]) Wybitnie.

funkcyj państwowych. Dobór jego kolegów w obecnym gabinecie przypomina mi rząd, utworzony ongiś z wielkim hukiem i hałasem, a co do którego zdecydowałem, iż nie mogę w żaden sposób łączyć mego nazwiska z takim właśnie rządem [1]). Wiedziałem bowiem z góry, że wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonii we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści. Na ministrów wojska od tego czasu zaczęto dobierać generałów, którzyby mieli sumienia giętkie, zdolne do uprawiania — jak ja nazywam — handlu posadami i rangami, dla wygody takiego czy innego stronnictwa, takiego czy innego potrzebnego posła, takiego czy innego wygodnego kupca — jednym słowem, takiego czy innego człowieczka. System demoralizacji wojska, które, nie mając praw wyborczych, ma jedynego przedstawiciela swych interesów i potrzeb w osobie ministra przy odpowiednim doborze tego ministra, zaczął święcić swoje tryumfy nie przy kim innym, jak przy p. Wincentym Witosie.

Przypominam też z owych czasów, że wobec mego przeciwstawienia się temu systemowi w stosunku do wojska, zastosowano względem mnie osobiście środki bardzo niedowcipne, ale za to bardzo hańbiące. Otaczano mnie płatnymi szpiegami, przekupywano pieniędzmi i awansami każdego, kto mnie — byłego Naczelnego Wodza — zdradzał, szukano, jak to śmiem twierdzić, mojej śmierci.

— *Pan Marszałek ma na myśli rząd Witosa?*

— Tak. Trwało to przez cały czas rządu p. Witosa i jego szlachetnych kolegów i dowodzenia wojskiem p. generała Szeptyckiego. System ten w inny sposób, bardziej — że tak powiem — rozlewny, był stosowany i przy następnym ministerium p. Władysława Grabskiego wraz z Władysławem Sikorskim.

Gdy więc na szczęście dla Polski padły oba ministeria, ministeria rozwydrzenia partyj, dzielących Polskę na szmatki na rzecz każdej partii i każdego stronnictwa, zostały po nich duże deficyty państwowe i ogólne, daleko idące zubożenie. Odbiło się to dotkliwie i na wojsku. Budżet wojskowy został w jednej chwili zmniejszony do połowy [2]). Minister spraw woj-

[1]) Mowa o drugim rządzie Witosa por. t. VI, str. 19.

[2]) Na rok 1925 według preliminarza rządowego preliminowano na wojsko 640 i 1/2 miliona złotych, na rok 1926 — preliminowano 689 milionów złotych, ale ta suma, wobec gwałtownego ówczesnego spadku siły nabywczej złotego, była blisko o połowę mniejsza od sumy preliminowanej na rok poprzedni.

skowych mieć obecnie musi do czynienia z dziesiątkami kryminalnych spraw o nadużycia pieniężne, popełniane przez protegowanych obu kiepskiej pamięci rządów: p. Wincentego Witosa i p. Władysława Grabskiego. Obciążać zaś te kryminały i nadużycia mają nie winnych, lecz zubożały nagle o połowę budżet wojska. To też przestrzegałem Pana Prezydenta i przy pierwszym, i w obecnych kryzysach przed pomijaniem moralnych interesów wojska.

— *Jak należy rozumieć ten moralny interes wojska?*

— Moralne interesy wojska polegają nie na czym innym, jak na pogodzeniu faktu, że wojsko nie jest wyborcą, a więc nie ma pełnych praw obywatelskich, z innym faktem — musem służby w stanie wojskowym, z poczuciem gotowości poniesienia śmierci nie dla siebie, a dla państwa. Moralność zaś publiczna wyklucza z góry niebezpieczeństwo poniesienia śmierci dla poszczególnego stronnictwa lub poszczególnych posłów, gdy tacy panowie, jak p. Wincenty Witos i jego koledzy, negliżując honor służby i korzystając z faktu, iż wojsko nie jest ich wyborcą, brudną nieraz ręką często mącili sumienie wojska. Ale niech ci panowie nie sądzą, że to, co się działo w stosunku do kas państwowych, — używanie pieniędzy skarbowych na przekupstwa, szpiegowanie takich czy innych nieprzyjaciół partyjnych czy osobistych — jest nikomu nieznane. Jest to przecież tajemnicą poliszynela. Wątpię więc, aby gdziekolwiek w wojsku chciano połączyć zjawisko swojej śmierci z takim stosunkiem do rządu podobnego gatunku.

W ogóle negliżowanie funkcyj państwowych, brak szacunku dla służby państwu — jest charakterystyczną cechą rozumowań panów posłów i senatorów. Wyobrażają sobie oni bowiem, iż każdy człowiek, pozostający w służbie państwa, zmieniać się musi w zależności jedynie od tego, jak, powiedzmy, wspólnie przy bufecie sejmowym pili wódkę czy kawę, p. Wincenty Witos z p. Markiem czy p. Chądzyńskim, jaki: kwaśny, czy wesoły uśmiech miał p. Stanisław Grabski w rozmowie z p. Feliksem Perlem (niedawno były to bardzo miłe uśmiechy), czy z p. Chacińskim [1]). Wyobrażać sobie, że ludzie nieznikczemniali mogą do tych wielkich zdarzeń przywiązywać wagę, może tylko p. Wincenty Witos.

— *Przy przeszłym kryzysie Pan Marszałek wymieniał kandydatów na ministrów spraw wojskowych. Obecnie również p. Witos rozgłaszał, iż teka wojska będzie obsadzona w po-*

[1]) Pos. Marek należał do P. P. S., Chądzyński do Nar. Par. Rob., Chaciński do Chrz. Dem.

rozumieniu z Panem Marszałkiem. Czy coś podobnego miało miejsce?

— Ależ nigdy! Przede wszystkim nigdybym nie wybrał wymienionego już w pismach kandydata [1]). W ogóle byłoby wielką naiwnością wierzyć w podobne nonsensy, że p. Witos, który dba więcej o wybory, niż o cokolwiek innego, mógł wyrzec się swojej — o ile wiem — zasadniczej myśli używania wpływów wojskowych nie dla czego innego, jak dla swoich partyjnych interesów. Było to jego zasadniczą myślą, którą mi nieraz wyrażał, jako Naczelnikowi Państwa, w okresie zbliżających się wyborów. Wtedy szermował szeroko, wbrew memu pozwoleniu, moim nazwiskiem, nie przez kogo innego, jak przeze mnie, szukając pomocy wpływów wojskowych dla swojej partii.

— *Znaczy więc, że przy obecnym kryzysie został zatracony interes państwa, ocalony w zeszłym kryzysie przez wyeliminowanie teki wojska z rozgrywki stronnictw sejmowych i pozostawienie jej do dyspozycji Pana Prezydenta?*

— Ja tego stwierdzić nie mogę, gdyż nie jestem poinformowany o stanowisku Pana Prezydenta w tej sprawie. Być może, że domysł pana jest słuszny, gdyż to bardzo patrzy zarówno na p. Wincentego Witosa, jak i na jego kolegów.

— *O ile rozumiem sens wytworzonej sytuacji, powrót Pana Marszałka do wojska ulegnie zwłoce?*

— Naturalnie. Pan widzi, iż ze swej strony nie robię ani kroku dla podtrzymania tak jaskrawego przekroczenia moralnych interesów państwa i moralnych interesów wojska. I staję do walki, tak, jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści.

---

[1]) Ministrem Spraw Wojskowych w gabinecie Witosa został mianowany gen. Malczewski.

ANEKSY

I

DEKRET WODZA NACZELNEGO O ORGANIZACJI NACZELNYCH WŁADZ WOJSKOWYCH Z DN. 7 STYCZNIA 1921 R.

RADA WOJENNA

A. Pełna Rada Wojenna

1. Rada Wojenna ustanowiona jest przy Prezydencie Rzeczypospolitej. Jako całość jest ona organem doradczym w walnych sprawach wojskowych, — jak zasadnicze ustawy, ważne zmiany w uzbrojeniu i zaopatrzeniu armii, system jej organizacji, — wyrażającym we wszystkich tych sprawach swą opinię.

2. Rada Wojenna nadaje ogólny kierunek odnośnie zasadniczych zagadnień, wchodzących w zakres jej kompetencji ad punkt 1. Jej uchwały stanowią ogólną wytyczną działalność Ministerstwa Spraw Wojskowych.

3. Prezydent Rzeczypospolitej jest przewodniczącym Rady Wojennej.

4. Członkami Rady Wojennej są:

a) Minister spraw wojskowych — jako 1-szy wice-przewodniczący,

b) generał, przewidziany na Naczelnego Wodza w czasie wojny, jako 2-gi wice-przewodniczący,

c) Szef Sztabu Generalnego,

d) Wice-minister,

e) obydwaj zastępcy szefa Sztabu Generalnego,

f) generałowie, przewidziani na dowódców armii w czasie wojny i fungujący w czasie pokoju, jako inspektorzy armij,

g) generałowie — w liczbie nie przekraczającej 3, wyznaczani specjalnie co roku przez ministra spraw wojskowych.

5. Rada Wojenna ma być obowiązkowo informowaną o wszystkich kwestiach, wpływających lub mogących wpływać na siłę zbrojną i na organizacyjne przygotowania do wojny, przede wszystkim zaś w przedmiotach, dotyczących:

a) ogólnej organizacji armii, systemów wyszkolenia i przygotowania wojsk oraz służb do wojny,

b) zarządzeń zasadniczych o mobilizacji,

c) sieci komunikacyjnych, względnie ich planów budowy,

d) udoskonaleń wojskowo-technicznych,

e) tworzenia, względnie zniesienia fortyfikacyj wszelkiego rodzaju.

Ponadto Rada wojenna jest informowaną o wszystkich sprawach, które Prezydent Rzeczypospolitej, względnie minister spraw wojskowych uzna za pożyteczne poddać jej rozważaniu.

6) We wszystkich kwestiach, rozważanych przez Radę Wojenną, może ona, dla dokładnego zorientowania się w danej sprawie, powoływać do referatu oficerów, względnie inne osoby według swego uznania.

Z posiedzeń Rady Wojennej prowadzony jest protokół.

B. Ścisła Rada Wojenna

1. Ścisła Rada Wojenna pracuje pod przewodnictwem generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny.

Ścisła Rada Wojenna jest organem kierującym w zakresie przygotowań wojennych, planów operacyjnych i obrony kraju. W tych sprawach decyzje Ścisłej Rady Wojennej obowiązują Ministerstwo Spraw Wojskowych.

2. Członkami Ścisłej Rady Wojennej są członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4 litery b), c) i f) — 2-gi zastępca szefa Sztabu Generalnego, jako szef Biura Ścisłej Rady Wojennej, bez prawa głosu decydującego. Minister spraw wojskowych bierze udział w posiedzeniach Ścisłej Rady Wojennej według potrzeby i swojego uznania.

3. Członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4, litera f), pozostają pod rozkazami generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny, i opracowują pod bezpośrednim jego kierownictwem w myśl punktu 1 wszystkie sprawy, które z punktu widzenia sprawowania dowództwa w polu mają lub mogą mieć związek z wyznaczonymi im z góry zadaniami wojennymi.

Poza tym w związku z powyższymi zadaniami opracowują oni plany operacyjne w zakresie prac Sztabu Generalnego.

4. Do kompetencji Ścisłej Rady Wojennej należy również kwalifikacja dowódców od dowódcy pułku włącznie w górę, przy czym powzięte przez nią w tym zakresie opinie są decydującymi.

5. Członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4, litera f), posiadają jako swój bezpośredni organ pracy: po kilku oficerów Sztabu Generalnego, z niezbędnym personelem pomocniczym. Oficerowie ci stanowią kadry przyszłych dowództw armij.

Sztab Generalny, Sekretariat Generalny, wice-minister, jako też wszelkie podwładne ministrowi spraw wojskowych organy obowiązane są dostarczyć członkom Ścisłej Rady Wojennej potrzebnych materiałów i informacyj na bezpośrednie ich żądanie.

6. 2-gi wice-przewodniczący Rady Wojennej ma poruczoną z ramienia ministra stałą inspekcję wszystkich dowództw, oddziałów i in-

stytucyj wojskowych, oraz w szczególności inspekcję Szkoły Sztabu Generalnego.

Generałowie, przewidziani na dowódców armij, wykonują podczas pokoju — z urzędu — inspekcjonowanie wojsk i służb tych jednostek terytorialnych, które na wypadek mobilizacji wystawić mają odnośną armię polową. Czynności ich w tym zakresie obejmują również inspekcję szkół oficerskich.

7. Członkom Rady Wojennej, wskazanym w punkcie 4, litera f., wykonującym już z urzędu inspekcjonowanie armij, może minister spraw wojskowych powierzać również pewne szczególne zlecenia do wykonania w drodze służbowej przez 2-go wice-przewodniczącego Rady Wojennej.

8. Zakres władzy, przysługujący osobom ad punkt 6 i 7 w wykonywaniu inspekcji wobec poszczególnych dowództw, oddziałów, zakładów i instytucyj wojskowych określi osobny dekret.

9. Ścisła Rada Wojenna posiada dla prowadzenia należących do niej spraw Biuro Rady Wojennej, zorganizowane w trzy oddziały. Na czele Biura Rady Wojennej stoi 2-gi zastępca szefa Sztabu Generalnego, jako szef Biura Ścisłej Rady Wojennej».

Punkt 10 omawia szczegółowo organizację Biura.

Odnośnie Ministerstwa Spraw Wojskowych dekret przewidywał:

«1. Na czele Ministerstwa Spraw Wojskowych stoi minister spraw wojskowych.

2. Ministerstwo Spraw Wojskowych składa się z następujących części:

a) Sztabu Generalnego,
b) Szefostwa Administracyjnego,
c) Departamentów (względnie samodzielnych oddziałów),
d) Sekretariatu Generalnego,
e) Gabinetu Ministra».

Odnośnie Sztabu Generalnego dekret przewidywał:

«1. Pracą Sztabu Generalnego kieruje bezpośrednio generał, noszący tytuł szefa Sztabu Generalnego i pozostający pod rozkazami ministra spraw wojskowych.

2. Szef Sztabu Generalnego ma dwóch zastępców, którzy noszą tytuły «I i II zastępca szefa Sztabu Generalnego».

I zastępca szefa Sztabu Generalnego pozostaje i pracuje w Sztabie Generalnym, II zastępca jest szefem Biura Ścisłej Rady Wojennej.

3. W czasie wojny obejmuje szef Sztabu Generalnego stanowisko szefa Sztabu Generalnego wszystkich walczących sił zbrojnych, zaś I zastępca szefa Sztabu Generalnego pozostaje przy ministrze, obejmując wraz z tytułem szefa Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych kierownictwo pracy Sztabu Generalnego w kraju».

Następują punkty dotyczące szczegółowej organizacji Sztabu Generalnego i poszczególnych części Ministerstwa Spraw Wojskowych.

PROJEKT USTAWY O ORGANIZACJI NACZELNYCH WŁADZ WOJSKOWYCH Z DN. 27. VI. 1923 R.

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Druk N-r 649.

OKRES I.

MINISTER
SPRAW WOJSKOWYCH
Licz. 15512/23 G. M. II.

Warszawa, dnia 27 czerwca 1923 r.

Na podstawie uchwały Rady Ministrów z dn. 18 czerwca br. mam zaszczyt przesłać, zgodnie z art. 13 Regulaminu Obrad Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, **projekt ustawy o organizacji Najwyższych Władz Wojskowych,** z prośbą o przedłożenie projektu Sejmowi,

Minister Spraw Wojskowych
Szeptycki
Generał Broni.

Do
Pana Marszałka Sejmu
Rzeczypospolitej Polskiej

USTAWA
o organizacji Najwyższych Władz Wojskowych.

Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 1.

Najwyższym zwierzchnikiem siły zbrojnej Rzeczypospolitej jest Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 2.

Prezydent Rzeczypospolitej:

na wniosek Rady Ministrów mianuje na stanowiska: Szefa Sztabu Generalnego siły zbrojnej Państwa, Szefa Administracji, Szefa Wojskowej Kontroli Generalnej, ich zastępców, Generalnego Inspektora Wojsk, Inspektorów Armii, Generalnych Inspektorów Broni;

na wniosek Ministra Spraw Wojskowych za kontrasygnatą Prezesa Rady Ministrów:

a) nadaje pierwszy stopień oficerski oraz przy awansach stopnie do generała brygady wzwyż;

b) mianuje na stanowiska od dowódców brygady wzwyż oraz równorzędnych;

c) przenosi do rezerwy oficerów zawodowych;

d) wykonywa prawa darowania i złagodzenia kary oraz darowania skutków zasądzenia karno-sądowego w poszczególnych wypadkach w trybie, przepisanym ustawą procedury karnej wojskowej.

Minister Spraw Wojskowych.

Art. 3.

Minister Spraw Wojskowych jest Dowódcą siły zbrojnej Państwa w czasie pokoju.

Do zakresu działania Ministra Spraw Wojskowych należy ogólne kierownictwo spraw, dotyczących siły zbrojnej Państwa.

Minister Spraw Wojskowych nadaje stopnie oficerskie przy awansach, nie zastrzeżone Prezydentowi Rzeczypospolitej (art. 2 punkt a).

Art. 4.

Minister Spraw Wojskowych poza ogólną odpowiedzialnością konstytucyjną i parlamentarną ponosi w szczególności odpowiedzialność przed Sejmem za akty kierownictwa wojskowego, jako też za akty związane z dowództwem w czasie wojny.

Art. 5.

Organem, przy którego pomocy Minister Spraw Wojskowych wykonywa swoje kompetencje, jest Ministerstwo Spraw Wojskowych.

W skład Ministerstwa Spraw Wojskowych wchodzą:

1) Sztab Generalny,
2) Szefostwo Administracji,
3) Wojskowa Kontrola Generalna.

Inne jednostki składowe oraz szczegółową organizację Ministerstwa Spraw Wojskowych określi rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, wydane na wniosek Rady Ministrów.

Art. 6.

Ministra Spraw Wojskowych w razie potrzeby zastępuje Szef Administracji, za którego działalność i jako zastępcy ponosi odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną Minister Spraw Wojskowych.

Art. 7.

Na czele Sztabu Generalnego stoi generał z tytułem Szefa Sztabu Generalnego siły zbrojnej Państwa. Szef Sztabu Generalnego kieruje pracami Sztabu Generalnego, do którego kompetencji należą sprawy, związane z gotowością bojową siły zbrojnej Państwa.

Szef Sztabu Generalnego siły zbrojnej Państwa podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i jest wyłącznie przed nim odpowiedzialny.

Rada Wojenna i Generalny Inspektor Wojsk.

Art. 8.

Jako organ doradczy Ministra Spraw Wojskowych ustanawia się Radę Wojenną, w której skład wchodzą: Szef Sztabu Generalnego, Szef

Administracji, Generalny Inspektor Wojsk, Generalni Inspektorowie Broni i Inspektorowie Armii.

Przewodniczy Radzie Wojennej Minister Spraw Wojskowych.

Prezes Rady Ministrów może być każdorazowo obecny na Radzie Wojennej.

Art. 9.

Minister Spraw Wojskowych zasięga opinii Rady Wojennej we wszystkich sprawach wojskowych, które uzna za potrzebne poddać jej rozważaniu.

Art. 10.

Ustanawia się w Ministerstwie Spraw Wojskowych stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk.

Generalny Inspektor Wojsk jest stałym zastępcą Ministra Spraw Wojskowych w Radzie Wojennej.

Art. 11.

Generalny Inspektor Wojsk podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych.

Do kompetencji Generalnego Inspektora Wojsk należy ustalenie w porozumieniu z Szefem Sztabu Generalnego zasadniczych wytycznych ogólnego planu operacyjnego, które podlegają zatwierdzeniu Ministra Spraw Wojskowych.

Generalny Inspektor Wojsk ma do swojej dyspozycji adiutanturę osobistą, której skład ustali rozporządzenie o organizacji Ministerstwa Spraw Wojskowych (art. 5 ustęp ostatni).

Inspektorowie Armii pod przewodnictwem Generalnego Inspektora Wojsk opracowują wyznaczone im przez niego zadania.

Art. 12.

Generalny Inspektor:

1) dokonywa inspekcji lądowej i powietrznej siły zbrojnej Państwa osobiście, lub przez Inspektorów Armii, z własnej inicjatywy, względnie na polecenie Ministra Spraw Wojskowych;

2) przedkłada w porozumieniu z szefem Sztabu Generalnego siły zbrojnej Państwa Ministrowi Spraw Wojskowych wnioski odnośnie rozdziału inspekcji, kierownictwa manewrów (ćwiczenia, gry wojenne) i wyszkolenia wyższych dowódców.

Art. 13.

Wykonanie niniejszej ustawy powierza się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrowi Spraw Wojskowych.

Art. 14.

Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy tracą moc obowiązującą ustawy i przepisy wydane w przedmiotach unormowanych niniejszą ustawą.

PROJEKT USTAWY O ORGANIZACJI NACZELNYCH WŁADZ WOJSKOWYCH Z DN. 14. III. 1924 R.

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Druk N-r 1080.

OKRES I.

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH.

L. 1416/G. M. II. tj.

Warszawa, dnia 14 marca 1924 r.

Na podstawie uchwały Rady Ministrów z dn. 10 marca br. mam zaszczyt przesłać P. Marszałkowi **projekt ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych,** z uprzejmą prośbą o przedłożenie go Sejmowi Rzeczypospolitej.

Minister Spraw Wojskowych
Sikorski
Generał Dywizji.

Do
Pana Marszałka Sejmu
Rzeczypospolitej Polskiej
w Warszawie.

USTAWA

o organizacji najwyższych władz wojskowych w czasie pokoju.

TYTUŁ I.
Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 1.

Prezydent Rzeczypospolitej jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa, czuwa nad przygotowaniem obrony Państwa i zapewnieniem zdatności bojowej armii, a w szczególności:

1) zwołuje z własnej inicjatywy lub na wniosek Prezesa Rady Ministrów, Ministra Spraw Wojskowych, względnie Generalnego Inspektora Wojsk, Radę Obrony Państwa i kieruje jej obradami;

2) mianuje Generalnego Inspektora Wojsk, Szefa Sztabu Generalnego, Szefa Administracji Armii, Szefa Korpusu Kontrolerów i Naczelnego Prokuratora Wojskowego na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych;

3) na bezpośredni wniosek Ministra Spraw Wojskowych:

a) nadaje pierwszy stopień oficerski oraz dalszy przy awansach;

b) przenosi oficerów do rezerwy i w stan spoczynku i odwrotnie;

c) mianuje na stanowiska dowódców pułków i równorzędnych i wyższe;

4) wykonywa prawo darowania i złagodzenia kary, oraz darowania skutków zasądzenia karno-sądowego w poszczególnych wypadkach, w stosunku do osób, podlegających sądownictwu wojskowemu.

TYTUŁ II.
Rada Obrony Państwa.

Art. 2

Dla rozpatrywania zagadnień zasadniczych, dotyczących obrony Państwa, przygotowania mobilizacji całego Narodu na wypadek wojny, skoordynowania w tym kierunku działalności właściwych ministrów i uzgodnienia dobrowolnej akcji społeczeństwa z akcją Rządu, ustanawia się Radę Obrony Państwa, obradującą pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej.

Art. 3.

W skład Rady Obrony Państwa wchodzą jako członkowie: Prezes Rady Ministrów, Minister Spraw Wewnętrznych, Minister Spraw Zagranicznych, Minister Spraw Wojskowych, Minister Skarbu, Minister Przemysłu i Handlu, Minister Kolei, Generalny Inspektor Wojsk i Szef Sztabu Generalnego.

O ile Prezydent Rzeczypospolitej uzna, że przedmiot obrad dotyczy zakresu działania innych Ministrów, biorą oni także udział w Radzie Obrony Państwa — jako członkowie. Na posiedzenia Rady Obrony Państwa za zgodą Prezydenta Rzeczypospolitej mogą być powoływani rzeczoznawcy wojskowi i cywilni.

Art. 4.

Radę Obrony Państwa zwołuje Prezydent Rzeczypospolitej w miarę potrzeby, nie mniej wszakże niż dwa razy w roku.

Art. 5.

Uchwały Rady Obrony Państwa, które Prezydent Rzeczypospolitej przekazuje do wykonania Prezesowi Rady Ministrów, stanowią ogólne dyrektywy dla Rządu i obowiązują Ministrów biorących udział w ich stanowieniu. Protokóły posiedzeń Rady Obrony Państwa prowadzi Szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej, podpisuje Prezes Rady Ministrów.

TYTUŁ III.
Minister Spraw Wojskowych

Art. 6.

Minister Spraw Wojskowych jest w czasie pokoju i wojny naczelną władzą we wszelkich sprawach kierownictwa wojskowego, oraz dowódcą sił zbrojnych państwa w czasie pokoju.

Art. 7.

Minister Spraw Wojskowych urzeczywistnia swe zadania przez Generalnego Inspektora Wojsk, Inspektorów Armii, Inspektorów Broni, Inspektora Szkół, Radę Wojenną i Ministerstwo Spraw Wojskowych.

W skład Ministerstwa Spraw Wojskowych wchodzą: Sztab Generalny, Szefostwo Administracji, Korpus Kontrolerów, Departamenty oraz Kierownictwo Marynarki Wojennej. Inne składowe części Ministerstwa Spraw Wojskowych, oraz jego szczegółową organizację określi rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, wydane na wniosek Rady Ministrów. Poza tym normy, regulujące szczegółowo zakres czynności wyższych organów wojskowych na podstawie niniejszej ustawy ustala Prezydent Rzeczypospolitej rozkazami, wydawanymi na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

TYTUŁ IV.
Rada Wojenna.

Art. 8.

Rada Wojenna jest organem doradczym Ministra Spraw Wojskowych, który zasięga jej zdania we wszystkich sprawach, dotyczących zasad organizacji, mobilizacji, zaopatrzenia, uzbrojenia i wyszkolenia armii, a także w sprawach dotyczących fortyfikacji i przemysłu wojennego. Poza tym Rada Wojenna wydaje opinię o dyslokacji i planie koncentracji wojsk, oraz opiniuje listę kandydatów dla obsadzenia wyższych stanowisk na podstawie list kwalifikacyjnych, które rozpatruje od pułkownika wzwyż.

Art. 9.

Przewodniczącym Rady Wojennej jest Minister Spraw Wojskowych, a w skład jej wchodzą: Generalny Inspektor Wojsk, jako stały zastępca przewodniczącego, Szef Sztabu Generalnego, Inspektorowie Armii, Inspektorowie Broni, Inspektor Szkół, Szef Administracji Armii, oraz dwaj generałowie powołani przez Ministra Spraw Wojskowych na przeciąg jednego roku jako członkowie.

W posiedzeniach Rady Wojennej mogą brać udział rzeczoznawcy techniczni, powoływani każdorazowo przez Ministra Spraw Wojskowych.

Sekretariat Rady Wojennej prowadzi jeden z zastępców Szefa Sztabu Generalnego.

Art. 10.

Radę Wojenną zwołuje Minister Spraw Wojskowych z własnej inicjatywy, lub na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk, o ile zachodzi tego potrzeba, w każdym razie nie mniej niż 4 razy do roku.

Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej jest obecny na posiedzeniu Rady Wojennej, bierze w niej również udział Prezes Rady Ministrów.

TYTUŁ V.
Generalny Inspektor Wojsk.

Art. 11.

Dla zabezpieczenia ciągłości prac nad przygotowaniem obrony Państwa i utrzymaniem zdatności bojowej armii, ustanawia się Generalnego Inspektora Wojsk, którym jest generał mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony

przez Ministra Spraw Wojskowych, jako bezpośredniego jego przełożonego.

Art. 12.

Generalny Inspektor Wojsk daje Szefowi Sztabu Generalnego ogólne dyrektywy odnośnie planów operacyjnych.

Stawia wnioski na obsadę wyższych dowództw przewidzianych na wypadek mobilizacji, kwalifikuje generałów, opiniuje obsadę pokojową stanowisk od dowódców pułku włącznie wzwyż, kieruje wyszkoleniem wyższych dowództw oraz wykonywa za pośrednictwem Szefa Sztabu Generalnego zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną.

We wszystkich sprawach zasadniczych, dotyczących przygotowania obrony Państwa, wizuje projekty zarządzeń Szefa Sztabu Generalnego przed przedłożeniem ich Ministrowi Spraw Wojskowych, oraz przedkłada sprawozdania Radzie Obrony Państwa.

Art. 13.

Generalny Inspektor Wojsk wykonywa bezpośrednio lub pośrednio przez Inspektorów Armii inspekcję całej armii, przepracowuje z nimi zadania, czekające ich z chwilą wybuchu wojny, organizuje i kieruje grami wojennymi i manewrami armii.

TYTUŁ VI.
Inspektorowie Broni, Inspektor Szkół, Inspektorowie Armji.

Art. 14.

Inspektorowie Broni i Inspektor Szkół podlegają bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych, a Inspektorowie Armii pośrednio przez Generalnego Inspektora Wojsk, któremu podlegają w jego zakresie działania.

TYTUŁ VII.
Szef Sztabu Generalnego.

Art. 15.

Szef Sztabu Generalnego podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych. Kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazów Ministra Spraw Wojskowych, dyrektyw Generalnego Inspektora Wojsk i z własnej inicjatywy.

Art. 16.

Szef Sztabu Generalnego jest stałym zastępcą Ministra Spraw Wojskowych w sprawach związanych z dowodzeniem armii w czasie pokoju w ramach ustalonych przez Ministra Spraw Wojskowych.

TYTUŁ VIII.
Szef Administracji Armji.

Art. 17.

Szef Administracji Armii podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i kieruje z ramienia Ministra administracją armii.

Art. 18.

Szef Administracji Armii zastępuje w zasadzie Ministra Spraw Wojskowych wobec Sejmu i w Rządzie, za wszystkie jednak z tym zastępstwem związane jego czynności jest odpowiedzialny Minister Spraw Wojskowych.

TYTUŁ IX.
Szef Korpusu Kontrolerów.

Art. 19.

Szef Korpusu Kontrolerów podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych. Kieruje on pracami Korpusu Kontrolerów, który wykonywa z ramienia Ministra Spraw Wojskowych kontrolę całokształtu Administracji Armii.

TYTUŁ X.
Postanowienia końcowe.

Art 20.

Wykonanie powyższej ustawy porucza się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrowi Spraw Wojskowych.

Z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy tracą moc obowiązującą ustawy i przepisy sprzeczne z niniejszą ustawą oraz dotychczasowe postanowienia w przedmiotach unormowanych niniejszą ustawą.

Art. 21.

Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia.

PROJEKT USTAWY O ORGANIZACJI NACZ. WŁ. WOJSK. UWZGLĘDNIAJĄCY POPRAWKI PRZYJĘTE PRZEZ RADĘ MINISTRÓW W DN. 5. XII. 1924 R.

Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 1.

Prezydent Rzeczypospolitej jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa. Czuwa on nad przygotowaniem obrony Państwa i zapewnieniem zdatności bojowej armii, a w szczególności:

1) Zwołuje z własnej inicjatywy lub na wniosek Prezesa Rady Ministrów względnie Ministra Spraw Wojskowych Radę Obrony Państwa i kieruje jej obradami.

2) Mianuje Generalnego Inspektora Wojsk, Szefa Sztabu Generalnego, Szefa Administracji Armii, Szefa Korpusu Kontrolerów i Naczelnego Prokuratora Wojskowego na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych.

3) Na bezpośredni wniosek Ministra Spraw Wojskowych:

a) nadaje pierwszy stopień oficerski oraz dalsze przy awansach;
b) przenosi oficerów do rezerwy i odwrotnie;
c) mianuje w czasie pokoju na stanowiska dowódców pułków (równorzędnych) i wyższe.

4) Wykonywa prawo łaski w myśl art. 47 Konstytucji w stosunku do osób podlegających sądownictwu wojskowemu.

Specjalne pełnomocnictwa Prezydenta Rzeczypospolitej na czas wojny określi osobna ustawa.

Rada Obrony Państwa.

Art. 2.

Dla rozpatrywania zagadnień zasadniczych, dotyczących obrony Państwa, przygotowania mobilizacji całego narodu na wypadek wojny, skoordynowania w tym kierunku działalności Rządu i uzgodnienia akcji społeczeństwa z akcją Rządu, ustanawia się Radę Obrony Państwa, obradującą pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej.

Art. 3.

W skład Rady Obrony Państwa wchodzą: Prezes Rady Ministrów, jako stały zastępca przewodniczącego; jako członkowie: minister spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych, minister spraw wojskowych, minister skarbu, minister przemysłu i handlu, minister kolei, minister robót publicznych, generalny inspektor wojsk i szef Sztabu Generalnego.

Jeśli przedmiot obrad Rady Obrony Państwa dotyczy zakresu działania innych ministrów, biorą oni także udział w posiedzeniach Rady Obrony Państwa na wezwanie jej Przewodniczącego, jako członkowie.

Na posiedzeniach Rady Obrony Państwa mogą być powołani rzeczoznawcy wojskowi i cywilni.

Art. 4.

Radę Obrony Państwa zwołuje Prezydent Rzeczypospolitej nie mniej, niż dwa razy w roku.

Art. 5.

Uchwały Rady Obrony Państwa stanowią ogólne dyrektywy dla Rządu.

Art. 6.

Jako stały organ pracy Rady Obrony Państwa ustanawia się przy Prezesie Rady Ministrów Sekretariat Rady Obrony Państwa, zadaniem którego jest studiowanie zagadnień, mających wejść pod obrady, formułowanie zarządzeń i przykazywanie decyzyj, wynikających z uchwał Rady Obrony Państwa zainteresowanym ministrom.

Pracami Sekretariatu Rady Obrony Państwa kieruje generał, powoływany i odwoływany przez Prezesa Rady Ministrów na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

Organizację, skład i zakres działania Sekretariatu Rady Obrony Państwa określi rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej na pod-

stawie uchwały Rady Ministrów, powziętej na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

Minister Spraw Wojskowych.

Art. 7.

Minister Spraw Wojskowych jest naczelną władzą we wszelkich sprawach kierownictwa wojskowego oraz dowódcą sił zbrojnych Państwa w czasie pokoju.

Art. 8.

Minister Spraw Wojskowych urzeczywistnia swe żądania przez Generalnego Inspektora Wojsk, Inspektorów Armii, Inspektorów Broni, Inspektorów Szkół, Radę Wojenną i Ministerstwo Spraw Wojskowych.

W skład Ministerstwa Spraw Wojskowych wchodzą: Sztab Generalny, Szefostwo Administracji, Korpus Kontrolerów, Departamenty oraz Kierownictwo Marynarki Wojennej.

Inne składowe części Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz jego szczegółową organizację wraz z zakresem działania określi rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej na podstawie uchwały Rady Ministrów, powziętej na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

Rada Wojenna.

Art. 9.

Rada Wojenna jest organem doradczym Ministra Spraw Wojskowych, który zasięga jej zdania we wszystkich sprawach, dotyczących zasad organizacji, mobilizacji, zaopatrzenia, uzbrojenia i wyszkolenia siły zbrojnej, a także w sprawach dotyczących fortyfikacji i przemysłu wojennego.

Poza tym Rada Wojenna rozpatruje plan dyslokacji i koncentracji wojsk oraz opiniuje listę kandydatów na stanowiska wyższych dowódców.

Art. 10.

Przewodniczącym Rady Wojennej jest Minister Spraw Wojskowych, a w skład jej wchodzą: Generalny Inspektor Wojsk, jako stały zastępca Przewodniczącego, Szef Sztabu Generalnego, Inspektorowie Armii, Inspektorowie Broni, Inspektor Szkół, Szef Administracji Armii, oraz dwaj generałowie, powoływani i odwoływani przez Ministra Spraw Wojskowych, jako członkowie.

W posiedzeniach Rady Wojennej mogą brać udział rzeczoznawcy techniczni, powoływani każdorazowo przez Ministra Spraw Wojskowych.

Sekretariat Rady Wojennej prowadzi jeden z zastępców Szefa Sztabu Generalnego, przewidziany na Szefa Sztabu Ministra Spraw Wojskowych na wypadek wojny.

Art. 11.

Radę Wojenną zwołuje Minister Spraw Wojskowych z własnej inicjatywy lub na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk — w każdym razie nie mniej, niż cztery razy do roku.

Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej jest obecny na posiedzeniu Rady Wojennej, bierze w niej udział również Prezes Rady Ministrów.

Generalny Inspektor Wojsk.

Art. 12.

Dla zabezpieczenia ciągłości pracy nad przygotowaniem obrony Państwa, utrzymaniem zdatności bojowej siły zbrojnej ustanawia się Generalnego Inspektora Wojsk, podległego bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych. Generalny Inspektor Wojsk jest przewidziany na Naczelnego Wodza Wojska Polskiego w czasie wojny.

Art. 13.

Generalny Inspektor Wojsk ustala wytyczne dla planów operacyjnych oraz dla planów mobilizacji i koncentracji armii na wypadek wojny.

Plany te, opracowywane w szczegółach przez Szefa Sztabu Generalnego pod kierownictwem Generalnego Inspektora Wojsk zatwierdza ostatecznie na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk Minister Spraw Wojskowych, stosując się w tym względzie do ogólnych zamierzeń Rządu, który określa cele wojny i zabezpiecza środki, przy pomocy których mogą być one zrealizowane.

Generalny Inspektor Wojsk stawia wnioski na obsadę wyższych dowództw, przewidzianych na wypadek mobilizacji, kwalifikuje generałów, opiniuje obsadę pokojową stanowisk wyższych dowódców, kieruje wyszkoleniem wyższych dowództw, oraz wykonywuje za pośrednictwem Szefa Sztabu Generalnego zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną.

We wszystkich ponadto sprawach zasadniczych, dotyczących przygotowania obrony Państwa, opiniuje i wizuje projekty zarządzeń Szefa Sztabu Generalnego przed przedłożeniem ich do decyzji Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 14.

Generalny Inspektor Wojsk wykonywuje bezpośrednio lub pośrednio przez Inspektorów Armii inspekcję wszystkich rodzajów broni, służb i dowództw. Generalny Inspektor Wojsk może otrzymać od Ministra Spraw Wojskowych zlecenie specjalne w stosunku do organów wprost podległych Ministrowi Spraw Wojskowych.

Generalny Inspektor Wojsk kieruje pracami Inspektorów Armii w odniesieniu do zadań oczekujących ich na wypadek wojny oraz kieruje grami wojennymi i manewrami.

Inspektorowie Broni, Inspektor Szkół i Inspektorowie Armii.

Art. 15.

Inspektorowie Broni i Inspektor Szkół podlegają bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych. Inspektorowie Armii przewidziani na dowódców armii w czasie wojny podlegają bezpośrednio Generalnemu Inspektorowi Wojsk.

Szef Sztabu Generalnego.

Art. 16.

Szef Sztabu Generalnego, przewidziany na Szefa Sztabu Naczelnego Wodza w czasie wojny, podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw

Wojskowych; kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazu Ministra Spraw Wojskowych, dyrektywy Generalnego Inspektora Wojsk i z własnej inicjatywy.

Art. 17.

Szef Sztabu Generalnego jest stałym zastępcą Ministra Spraw Wojskowych w sprawach związanych z dowodzeniem siłą zbrojną Państwa w czasie pokoju w granicach ustalonych przez Ministra Spraw Wojskowych.

Szef Administracji Armii.

Art. 18.

Szef Administracji Armii podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i kieruje w imieniu Ministra administracją siły zbrojnej Państwa.

Art. 19.

Szef Administracji Armii zastępuje w zasadzie Ministra Spraw Wojskowych wobec izb ustawodawczych i w Rządzie; za wszystkie jednak z tym zastępstwem związane jego czynności jest odpowiedzialny Minister Spraw Wojskowych.

Szef Korpusu Kontrolerów.

Art. 20.

Szef Korpusu Kontrolerów podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych; kieruje on pracami Korpusu Kontrolerów, który wykonywuje w imieniu Ministra Spraw Wojskowych kontrolę całokształtu administracji siły zbrojnej Państwa.

Postanowienia końcowe.

Art. 21.

Wykonanie powyższej ustawy porucza się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrowi Spraw Wojskowych.

Z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy tracą moc obowiązującą ustawy i przepisy oraz dotychczasowe postanowienia w przedmiotach unormowanych niniejszą ustawą.

Art. 22.

Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia.

PROJEKT USTAWY O ORGANIZACJI NACZ. WŁ. WOJSK. W FORMIE UCHWALONEJ W 2-GIM CZYTANIU SEJMOWEJ KOMISJI WOJSKOWEJ

Rozdział I.

Postanowienia ogólne.

RZĄD

Art. 1.

Rząd (Art. 2 ustawy konstytucyjnej z dnia 17 marca 1921 r.) przygotowuje w czasie pokoju obronę Państwa i kieruje nią w czasie wojny.

Przygotowanie to i kierownictwo obejmuje przede wszystkim:

1) określenie politycznych celów wojny;

2) ustalenie i wykonanie ogólnego planu wojny, w zakresie środków wojskowych, gospodarczych, finansowych, intelektualnych, moralnych oraz przez sojusze, układy międzynarodowe;

3) podział zadań w powyższym zakresie pomiędzy poszczególne władze państwowe, instytucje samorządowe, instytucje i osoby prywatne, oraz kontrola przygotowań i wykonania tych zadań.

Rozdział II.

Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 2.

Najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa jest Prezydent Rzeczypospolitej.

Art. 3.

Prezydent Rzeczypospolitej mianuje i zwalnia na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych:

Generalnego Inspektora wojska, Szefa Sztabu Generalnego, Szefa Administracji, Szefa Marynarki, Inspektorów Armii, Inspektorów Broni, Inspektora Szkół, Szefa Korpusu Kontrolerów, Naczelnego Prokuratora Wojskowego oraz Sekretarza Generalnego Rady Obrony Państwa, a na czas wojny Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych Państwa.

Na bezpośredni wniosek Ministra Spraw Wojskowych:

a) nadaje pierwszy stopień oficerski oraz dalsze przy awansach,

b) przenosi oficerów do rezerwy i powołuje z rezerwy na zawodowych,

c) mianuje w czasie pokoju na stanowiska dowódców dywizji, równorzędne oraz wyższe,

d) mianuje na wniosek Naczelnego Wodza, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych, dowódców frontów i armii.

Art. 4.

Prezydent Rzeczypospolitej nadaje wszystkie odznaczenia wojskowe, a w czasie wojny ma prawo przekazać nadawanie orderów w swoim imieniu dowódcom.

Art. 5.

Prezydentowi Rzeczypospolitej przysługuje prawo darowania i złagodzenia kary oraz darowania skutków zasądzenia karno-sądowego w poszczególnych wypadkach w stosunku do osób, podlegających sądownictwu wojskowemu.

Art. 6.

Prezydent Rzeczypospolitej zarządza mobilizację na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 7.

Prezydent Rzeczypospolitej wypowiada wojnę i zawiera pokój za uprzednią zgodą Sejmu.

Art. 8.

Prezydent Rzeczypospolitej zwołuje Radę Obrony Państwa w miarę potrzeby, niezależnie od postanowienia art. 14 niniejszej ustawy.

Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej jest obecny na posiedzeniu Rady Obrony Państwa, wówczas przewodniczy obradom.

Art. 9.

Prezydent Rzeczypospolitej na podstawie uchwały Rady Ministrów, powziętej na wniosek Ministra Spraw Wojskowych, oznacza obszary i miejscowości, mające szczególną wagę dla obrony Państwa (obozy warowne i t. p.) z tym, że ogłoszenie takie powoduje dla ludności ograniczenia, przewidziane w obowiązujących ustawach.

Art. 10.

Celem zabezpieczenia interesów Państwa od chwili ogłoszenia mobilizacji przez cały czas trwania wojny Prezydent Rzeczypospolitej, zgodnie z art. 3. ustęp 5 lub z art. 44. ustawy konstytucyjnej z dnia 17 marca 1921 r., ma prawo uzupełnienia w razie potrzeby obowiązujących przepisów prawnych w drodze rozporządzeń, wydanych na wniosek Rady Ministrów i kontrasygnowanych przez Prezesa Rady Ministrów oraz właściwych Ministrów w zakresie spraw, związanych z prowadzeniem wojny. Rozporządzenia takie będą przedłożone ciałom ustawodawczym do ustawowego załatwienia na jednym z najbliższych posiedzeń po ich ogłoszeniu i zachowują moc obowiązującą, o ile nie zostaną zmienione lub uchylone.

Rozdział III.

Rada Ministrów.

Art. 11.

Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za przygotowanie i kierownictwo obrony Państwa, po-

noszą ją również i ministrowie, oddzielnie każdy w swoim zakresie działania (Art. 56 ustawy konstytucyjnej z dnia 17 marca 1921 r.).

Rozdział IV.

Rada Obrony Państwa.

Art. 12.

Organem Rządu dla rozpatrywania podstawowych zagadnień obrony Państwa i przygotowania sposobów ich załatwienia jest Rada Obrony Państwa.

Art. 13.

W skład Rady Obrony Państwa wchodzą: Prezes Rady Ministrów — Przewodniczący, Minister Spraw Wojskowych — stały zastępca Przewodniczącego, jako członkowie: Minister Spraw Zagranicznych, Minister Spraw Wewnętrznych, Minister Skarbu, Minister Przemysłu i Handlu, Minister Rolnictwa, Minister Kolei.

Jako członkowie z głosem doradczym: Generalny Inspektor Wojsk i Szef Sztabu Generalnego.

Jeżeli przedmiot obrad Rady Obrony Państwa dotyczy zakresu działania innych Ministrów, biorą oni także udział w posiedzeniach Rady Obrony Państwa na wezwanie jej przewodniczącego w charakterze jej członków.

Na posiedzeniu Rady Obrony Państwa mogą być powoływani rzeczoznawcy wojskowi i cywilni.

Art. 14.

Radę Obrony Państwa zwołuje Prezes Rady Ministrów z własnej inicjatywy lub też na wniosek Ministra Spraw Wojskowych, albo Generalnego Inspektora Wojsk, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych.

Sekretariat Generalny.

Art. 15.

Przy Prezesie Rady Ministrów ustanawia się Sekretariat Generalny Rady Obrony Państwa, którego zadaniem jest:

1) badanie zagadnień i przygotowanie materiałów do obrad Rady Ministrów, względnie Rady Obrony Państwa,

2) przygotowanie zarządzeń w wyniku uchwał Rady Obrony Państwa i przekazywanie ich ministrom,

3) czuwanie nad sposobem wykonania powziętych postanowień.

Pracami Sekretariatu Generalnego Rady Obrony Państwa kieruje sekretarz generalny, powoływany i odwoływany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Prezesa Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych. Organizację i zakres działania Sekretariatu Generalnego Rady Obrony Państwa określi rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Rozdział drugi.

Ministerstwo Spraw Wojskowych.

TYTUŁ I.

Minister Spraw Wojskowych.

Art. 16.

Minister Spraw Wojskowych jest w czasie pokoju naczelną władzą kierowniczą we wszelkich sprawach wojskowych oraz dowódcą sił zbrojnych Państwa.

W czasie wojny zachowuje dowództwo nad tymi siłami zbrojnymi oraz władzę w tym zakresie działania, które nie zostały przekazane Naczelnemu Wodzowi.

Art. 17.

Wszystkie nominacje na stanowiska oraz zwolnienia ze stanowisk wojskowych, niezastrzeżone Prezydentowi Rzeczypospolitej, należą do Ministra Spraw Wojskowych, względnie do upoważnionych przez niego przełożonych.

Art. 18.

Minister Spraw Wojskowych wykonywa swe zadania, wynikające z poprzednich artykułów, przez Ministerstwo Spraw Wojskowych i podległe mu organa.

TYTUŁ II.

Naczelny Wódz.

Art. 19.

Naczelny Wódz w czasie wojny kieruje operacjami wojennymi i sprawuje dowództwo nad siłami zbrojnymi Państwa, oddanymi pod jego rozkazy, ponadto otrzymuje ten zakres władzy, który ustalają rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, wydawane na podstawie uchwały Rady Ministrów.

TYTUŁ III.

Rada Wojenna.

Art. 20.

Rada Wojenna jest organem doradczym Ministra Spraw Wojskowych, który zasięga jej zdania w sprawach, dotyczących zasad organizacji, mobilizacji, dyslokacji, zaopatrzenia, uzbrojenia i wyszkolenia siły zbrojnej, a także w sprawach, dotyczących fortyfikacji i przemysłu wojennego. Poza tym Rada Wojenna wydaje opinie o kandydatach na stanowiska wyższych dowódców, począwszy od dowódców dywizji.

Art. 21.

Przewodniczącym Rady Wojennej Jest Minister Spraw Wojskowych, a w skład jej wchodzą: Generalny Inspektor Wojsk, jako stały zastępca przewodniczącego, Marszałkowie Polski, Szef Sztabu Generalnego, Szef Administracji Armii, Szef Marynarki Wojennej, Inspektorowie Armii, Inspektorowie Broni, Inspektor Szkół oraz trzej generałowie, mianowani i odwoływani przez Ministra Spraw Wojskowych jako

członkowie. W posiedzeniach Rady Wojennej mogą brać udział rzeczoznawcy techniczni, powoływani każdorazowo przez Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 22.

Radę Wojenną zwołuje Minister Spraw Wojskowych z własnej inicjatywy lub na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk, w każdym razie nie mniej jak cztery razy do roku. Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej jest obecny na posiedzeniu Rady Wojennej, wówczas przewodniczy obradom. W wypadku obecności Prezydenta Rzeczypospolitej bierze w posiedzeniu Rady Wojennej udział Prezes Rady Ministrów.

TYTUŁ IV.
Generalny Inspektor Wojsk.

Art. 23.

Dla zabezpieczenia ciągłości pracy nad przygotowaniem obrony Państwa i utrzymaniem zdatności bojowej siły zbrojnej ustanawia się Generalnego Inspektora Wojsk, podległego bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych.

Generalny Inspektor Wojsk jest przewidywany na Naczelnego Wodza Wojska Polskiego w czasie wojny.

Art. 24.

Generalny Inspektor Wojsk w imieniu Ministra ustala wytyczne w dziedzinie przygotowań do wojny w zakresie planów operacyjnych oraz planów mobilizacji i koncentracji. W sprawach powyższych wydaje Szefowi Sztabu Generalnego wskazówki i rozkazy. Plany operacyjne, mobilizacji i koncentracji opracowuje pod przewodnictwem Szefa Sztabu Generalnego Sztab Generalny, jako organ pracy Generalnego Inspektora Wojsk w tym zakresie a zatwierdza Minister Spraw Wojskowych na wniosek Generalnego Inspektora Wojsk.

We wszystkich sprawach zasadniczych, dotyczących przygotowań obrony Państwa, opiniuje i podpisuje projekty zarządzeń Szefa Sztabu Generalnego przed przedłożeniem ich do decyzji Ministra.

Art. 25.

Generalny Inspektor Wojsk kieruje pracami Inspektorów Armii i Inspektorów Broni w odniesieniu do zadań, oczekujących ich na wypadek wojny, oraz kieruje grami wojennymi i manewrami.

Generalny Inspektor Wojsk wykonywa bezpośrednio lub pośrednio przez inspektorów armii, inspektorów broni, inspektora szkół, inspekcję dowództw, oraz wszystkich formacji broni i służb.

Art. 26.

Generalny Inspektor Wojsk:

1) stawia wnioski na obsadę wyższych dowództw, przewidzianych na wypadek mobilizacji,

2) opiniuje obsadę pokojową wyższych dowództw,

3) wydaje opinię o wyższych dowódcach,

4) stawia Ministrowi Spraw Wojskowych wnioski na obsadę stanowisk Szefa Sztabu Generalnego, inspektorów armii, inspektorów broni, inspektora szkół.

TYTUŁ V.

Inspektorowie.

Art. 27.

Inspektorowie Armii, inspektorowie broni i inspektor szkół podlegają bezpośrednio Generalnemu Inspektorowi Wojsk.

TYTUŁ VI.

Szef Sztabu Generalnego.

Art. 28.

Szef Sztabu Generalnego podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i kieruje pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazów Ministra Spraw Wojskowych, wytycznych i rozkazów Generalnego Inspektora Wojsk, wydawanych w imieniu Ministra (w zakresie oznaczonym art. 22) oraz z własnej inicjatywy.

Art. 29.

Szefowi Sztabu Generalnego przysługuje prawo wydawania rozkazów sile zbrojnej Państwa w imieniu Ministra Spraw Wojskowych w sprawach, wchodzących w zakres kompetencji Sztabu Generalnego i w granicach ustalonych przez Ministra Spraw Wojskowych.

TYTUŁ VII.

Szef Marynarki Wojennej.

Art. 30.

Szef Marynarki Wojennej podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i kieruje sprawami Marynarki Wojennej na podstawie rozkazów Ministra Spraw Wojskowych. Stosunek Szefa Marynarki Wojennej do Szefa Sztabu Generalnego i Szefa Administracji ustala Minister Spraw Wojskowych.

Art. 31.

Szefowi Marynarki Wojennej przysługuje prawo wydawania rozkazów w imieniu Ministra Spraw Wojskowych w sprawach, dotyczących Marynarki Wojennej oraz w granicach, ustalonych przez Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 32.

Dowództwo sił zbrojnych morskich w czasie wojny sprawuje admirał, mianowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez Ministra Spraw Wojskowych. Admirał ten podlega Naczelnemu Wodzowi.

TYTUŁ VIII.
Szef Administracji Armii.

Art. 33.

Szef Administracji Armii podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych i kieruje administracją siły zbrojnej Państwa w jego imieniu oraz w zakresie poruczonym mu przez Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 34.

Szefowi Administracji Armii przysługuje prawo wydawania rozkazów sile zbrojnej Państwa w imieniu Ministra Spraw Wojskowych w sprawach, dotyczących administracji armii, w granicach, ustalonych przez Ministra Spraw Wojskowych.

TYTUŁ IX.
Korpus Kontrolerów Armii.

Art. 35.

Korpus Kontrolerów wykonywa w imieniu Ministra Spraw Wojskowych kontrolę administracji armii i pozostaje pod kierownictwem Szefa Korpusu Kontrolerów, który podlega bezpośrednio Ministrowi.

Art. 36.

Szczegółowy zakres działania Korpusu Kontrolerów w wojsku określi rozporządzenie Ministra Spraw Wojskowych.

Rozdział trzeci.
Poszczególne Ministerstwa.

Art. 37.

Zakres działania poszczególnych ministrów w sprawach, dotyczących obrony Państwa, oraz organizację w podległych im urzędach odpowiednich czynników ustali uchwała Rady Ministrów.

Rozdział czwarty.
Postanowienia końcowe.

Art. 38.

Wykonanie powyższej ustawy powierza się Prezesowi Rady Ministrów, Ministrowi Spraw Wojskowych i zainteresowanym ministrom we właściwym zakresie ich działania.

Art. 39.

Z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy, tracą moc obowiązującą ustawy i przepisy, sprzeczne z nią, oraz dotychczasowe postanowienia w przedmiotach, unormowanych niniejszą ustawą.

Art. 40.

Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia.

PROJEKT USTAWY O NACZ. WŁADZACH OBRONY PAŃSTWA Z DN. 4 MAJA 1926 R.

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Druk Nr 2442.

OKRES I.

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH
L. 9793 G. M. II

Warszawa, dnia 4 maja 1926 r.

Na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 4 maja 1926 r. mam zaszczyt przesłać **projekt ustawy o Naczelnych Władzach Obrony Państwa** wraz z uzasadnieniem, z prośbą o wniesienie go na porządek obrad Sejmu.

Zarazem mam zaszczyt zawiadomić, że Rada Ministrów w tymże dniu postanowiła wycofać projekt ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych w czasie pokoju, wniesiony przy piśmie z dnia 14 marca 1924 r. L. 1416 G. M. II. tj. (Druk Nr 1080), wraz z późniejszymi uzupełnieniami.

Minister Spraw Wojskowych
Żeligowski
Generał broni.

Do Pana Marszałka
Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej
w Warszawie.

USTAWA

o Naczelnych Władzach Obrony Państwa.

Art. 1.

Prezydent Rzeczypospolitej, jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych Państwa, sprawuje nad nimi dowództwo przez Ministra Spraw Wojskowych.

W razie wojny Prezydent Rzeczypospolitej mianuje i zwalnia Naczelnego Wodza sił zbrojnych Państwa na podstawie powziętej na wniosek Ministra Spraw Wojskowych uchwały Rady Ministrów, zachowując dowództwo nad tymi siłami zbrojnymi, które nie zostały przekazane pod bezpośrednie dowództwo Naczelnego Wodza.

Art. 2.

Prezydent Rzeczypospolitej mianuje i zwalnia na podstawie powziętej na wniosek Ministra Spraw Wojskowych uchwały Rady Ministrów Generalnego Inspektora Wojska, Szefa Sztabu Generalnego, Szefa Administracji Armii, Naczelnego Prokuratora Wojskowego, Szefa Korpusu Kontrolerów oraz dowódców okręgu korpusu.

Na wniosek Ministra Spraw Wojskowych, a za kontrasygnatą Prezesa Rady Ministrów i Ministra Spraw Wojskowych Prezydent Rzeczypospolitej:

a) nadaje pierwszy stopień oficerski oraz dalsze przy awansach;

b) przenosi oficerów do rezerwy oraz powołuje z rezerwy na zawodowych;

c) mianuje w czasie pokoju na stanowiska dowódców dywizji, równorzędnych i wyższych.

Art. 3.

Prezydent Rzeczypospolitej oznacza w drodze rozporządzeń, wydanych na podstawie uchwał Rady Ministrów, obszary i miejscowości, mające szczególną wagę dla obrony Państwa (obozy warowne itp.) z tym, że ogłoszenie takie powoduje dla ludności ograniczenia przewidziane w obowiązujących ustawach.

Art. 4.

Celem zabezpieczenia interesów Państwa, od chwili ogłoszenia mobilizacji przez cały czas trwania wojny, Prezydent Rzeczypospolitej ma prawo uzupełniania w razie potrzeby obowiązujących przepisów prawnych w drodze rozporządzeń, wydanych na wniosek Rady Ministrów w zakresie spraw, związanych bezpośrednio z prowadzeniem wojny. Rozporządzenia takie będą przedłożone ciałom ustawodawczym do ustawowego załatwienia na jednym z najbliższych posiedzeń po ich ogłoszeniu i zachowają moc obowiązującą, o ile nie zostaną zmienione lub uchylone.

Art. 5.

Dla rozpatrywania zagadnień, dotyczących obrony Państwa, ustanawia się, jako organ inicjatywy i opiniodawczy dla Rządu, Radę Obrony Państwa, obradującą pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej, który zastępczo przewodnictwo poruczyć może Prezesowi Rady Ministrów.

W skład Rady Obrony Państwa, jako jej członkowie, wchodzą Prezes Rady Ministrów, wszyscy ministrowie oraz Generalny Inspektor Wojska w czasie pokoju, a Naczelny Wódz w czasie wojny.

Radę Obrony Państwa zwołuje Prezydent Rzeczypospolitej, w miarę potrzeby z własnej inicjatywy, na wniosek Ministra Spraw Wojskowych, lub na wniosek Generalnego Inspektora Wojska, przedłożony mu przez Ministra Spraw Wojskowych, najmniej jednak dwa razy do roku.

O wykonaniu uchwał Rady Obrony Państwa zdaje sprawę na następnym posiedzeniu Rady Obrony Państwa Minister Spraw Wojskowych.

Art. 6.

Minister Spraw Wojskowych kieruje wszystkimi sprawami wojska oraz pod zwierzchnią władzą Prezydenta Rzeczypospolitej wydaje rozkazy wszystkim siłom zbrojnym Państwa w czasie pokoju, a w czasie wojny tym siłom zbrojnym, które nie zostały przekazane Naczelnemu Wodzowi (art. 1).

Wszystkie nominacje na stanowiska, oraz zwolnienia ze stanowisk wojskowych, nie zastrzeżone Prezydentowi Reczypospolitej, należą do Ministra Spraw Wojskowych, względnie do upoważnionych przez niego przełożonych.

Art. 7.

Generalny Inspektor Wojska jest przewidywany na Naczelnego Wodza w czasie wojny. Podlega on Ministrowi Spraw Wojskowych i jako jego zastępca w tym zakresie kieruje opracowaniem spraw obrony Państwa przy pomocy podległego mu Sztabu Generalnego.

Generalny Inspektor Wojska opiniuje sprawy obsady dowództw pułków, równorzędnych i wyższych, oraz sprawy, które określi bliżej rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, przewidziane w art. 8.

Funkcje Generalnego Inspektora Wojska ustają z chwilą mianowania Naczelnego Wodza.

Art. 8.

Do czasu ustawowego uregulowania, organizacja sił zbrojnych określona będzie drogą rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej na podstawie uchwały Rady Ministrów na wniosek Ministra Spraw Wojskowych.

Art. 9.

Wykonanie niniejszej ustawy poleca się Prezesowi Rady Ministrów, Ministrowi Spraw Wojskowych i zainteresowanym ministrom we właściwym im zakresie działania.

Art. 10.

Z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy tracą moc obowiązującą wszelkie sprzeczne z nią przepisy prawne, a w szczególności ustawa z dnia 11 lipca 1920 roku o utworzeniu Rady Obrony Państwa (Dz. U. R. P. Nr 53 poz. 327).

Z chwilą wejścia w życie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, wydanego na mocy art. 8 niniejszej ustawy, utracą moc obowiązującą wszelkie przepisy dotyczące spraw nim unormowanych.

Art. 11.

Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

UZASADNIENIE

Wniesiony przez Rząd poprzedni projekt ustawy o naczelnych władzach obrony Państwa (druk Nr 1080) w brzmieniu nadanym mu przez sejmową komisję wojskową nie odpowiada poglądom obecnego Rządu na sposób, w jaki zagadnienie organizacji władz obrony Państwa, a w szczególności naczelnych władz wojskowych winno być rozwiązane. Z tego względu Rząd projekt ten wycofuje i równocześnie przedkłada nowy.

Nowy projekt przez wysnucie jasnych konsekwencyj z Konstytucji określa wyraźnie kompetencje naczelnych władz wojskowych i zabezpiecza decyzję Rządu w sprawach przygotowania obrony Państwa, odpowiednie wszechstronne przygotowanie i rzeczowe ugruntowanie przez ustanowienie Rady Obrony Państwa.

W zakresie kierowniczych władz wojskowych projekt ustala kompetencje Prezydenta Rzeczypospolitej, Ministra Spraw Wojskowych i Generalnego Inspektora Wojska.

Prezydent Rzeczypospolitej.

Punktem wyjścia do należytego rozwiązania zagadnienia organizacji władz obrony Państwa powinien być art. 46 Konstytucji, wedle którego «Prezydent Rzeczypospolitej jest zarazem najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych Państwa, nie może jednak sprawować naczelnego dowództwa w czasie wojny», z zasady tej wynika, że może i powinien być naczelnym dowódcą tych sił zbrojnych w czasie pokoju. Wyraźne stwierdzenie tego w ustawie ma przede wszystkim to znaczenie moralne dla wojska, że zapewnia mu ono dowódcę, otoczonego najwyższym autorytetem państwowym przez cały czas urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej niezmiennego i będącego przedstawicielem całego państwa. Znajduje się ono także w harmonii z treścią przysięgi, składanej przez żołnierzy. W przysiędze tej (art. 7 ustawy z 18 lipca 1924 r. o podstawowych obowiązkach i prawach szeregowych wojska polskiego D. U. R. P. Nr 72 poz. 698) ślubuje każdy żołnierz między innymi «Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym». Z uwagi jednak na art. 2 i 43 Konstytucji Prezydent Rzeczypospolitej może sprawować dowództwo tylko przez Ministra Spraw Wojskowych i pod jego odpowiedzialnością.

Minister Spraw Wojskowych.

Kompetencje Ministra wynikają ściśle z odnośnych postanowień Konstytucji.

Pod zwierzchnią władzą Prezydenta kieruje on całokształtem spraw wojska, będąc za nie odpowiedzialny przed Sejmem. Do zakresu jego osobistych zainteresowań będą z natury rzeczy należeć przede wszystkim sprawy budżetowe, poborowe, ustawodawstwa, administracyjne, personalne, asystencji, sanitarne i t. p. Będąc pochłoniętym tym olbrzymim zakresem pracy, związanym z jego rolą jako członka Rządu i reprezentanta interesów wojska wobec ciał ustawodawczych, biorącego udział w życiu politycznym Państwa, musi mieć czynnik dla bezpośredniego zajmowania się sprawami przygotowań do obrony państwa, wymagającymi jak najdalej idącej stałości w pracy. Do tych spraw musi mieć stałego zastępcę, który podlegając mu, miałby obowiązek dokonywania ich jako odpowiedni kandydat na Naczelnego Wodza. Tym zastępcą Ministra ma być

Generalny Inspektor Wojska.

Będąc przewidywanym na wypadek wojny na Naczelnego Wodza musi on mieć w czasie pokoju zagwarantowany wpływ na przygotowa-

nie do wojny. Wpływ taki będzie posiadał o tyle, o ile sprawami przygotowania obrony Państwa będzie osobiście kierował i o ile będzie posiadał odpowiedni organ pracy, przeznaczony wyłącznie dla opracowywania tych zagadnień. Tym organem będzie podporządkowany mu Sztab Generalny.

Rada Obrony Państwa.

Projektowany skład i kompetencja Rady Obrony Państwa ma czynić zadość następującym potrzebom: 1) potrzebie kontaktu Prezydenta Rzeczypospolitej z Rządem i Generalnym Inspektorem Wojska w sprawach wojskowych, 2) potrzebie zainteresowania całego Rządu sprawami obrony Państwa i wreszcie 3) potrzebie zapewnienia tej instytucji pierwiastka fachowo-wojskowego przez wprowadzenie do niej Generalnego Inspektora Wojska.

Regulując te najbardziej zasadnicze zagadnienia z zakresu organizacji Naczelnych Władz Obrony Państwa, pozostawia projekt uregulowania wszelkich innych zagadnień z tego zakresu narazie rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej w tym przeświadczeniu, że ustalenie już dziś w drodze ustawodawczej w szczegółach organizacji sił zbrojnych, a w szczególności organizacji naczelnych władz wojskowych byłoby przedwczesne, i że będzie ono mogło nastąpić dopiero po wypróbowaniu w praktyce odpowiednich zasad.

II

ORZECZENIE KOMISJI DLA ZBADANIA STANU AKTÓW OPERACYJNYCH Z 1920 R.

«Komisja, powołana przez ministra spraw wojskowych do zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 roku w związku z zarzutami, wysuniętymi przez Pana Marszałka Piłsudskiego, po odbyciu kilkunastu posiedzeń, gruntownym zbadaniu aktów i zasięgnięciu informacyj u 28 oficerów, zakończyła swe prace, przedstawiając panu ministrowi następujące orzeczenie:

«Polemika publicystyczna, a następnie wojskowo-pamiętnikarska, rozpoczęta po odniesieniu zwycięstwa, jakiego Polska nie zaznała od czasów Jana III, doprowadziła do głębokiego rozgoryczenia umysłów oraz odebrania wojsku i jego Wodzowi radości z dokonanych czynów. Nie zabrakło prób udowodnienia, że zwycięstwo było jedynie wynikiem wskazań doradców obcych, choć doradcy ci z całą szczerością żołnierską zaprzeczali temu, że uwieńczyło ono nasze chorągwie dzięki przypadkowi, dzięki niższości przeciwnika, choć straty jego i nasze protestowały swą krwawą wymową przeciwko podobnym wywodom, że odnieśliśmy je wbrew wszelkim regułom strategii i taktyki, przez Wodza

i dowódców niefachowych. Mówiono o zwycięskim Wodzu kampanii 1920 roku, że miał być rzekomo marionetką w ręku swych doradców; usiłowano całość zasługi przenieść na jednych, całość winy na drugich.

Z tej atmosfery niechęci, z tej polemiki, nad którą głęboko ubolewać należy, wyrosły później zarzuty Marszałka Piłsudskiego.

Komisja, badająca te zarzuty, musiała na wstępie stwierdzić tę tak smutną ich genezę, a później nieścisłość lub bezpodstawność przeważnej ich części. Jeżeli istniały u nas obawy stronniczej publicystyki i pamiętnikarstwa wojny roku 1920, to nie myślano nigdy o fałszowaniu dokumentów tej wojny lub celowym usuwaniu z archiwów znajdujących się już w nich aktów.

Miały natomiast miejsce zjawiska innego rodzaju, które uszczupliły stan materiału źródłowego już w czasie wojny, gdy znajdował się jeszcze w ręku sztabów, kierujących nią. W czasie, gdy przy niezwykłym napięciu woli i nerwów prowadziło się działania bardzo odpowiedzialne i równocześnie tworzyło wojsko, trudno było wymagać od ludzi, pochłoniętych tymi czynnościami, należytej pieczy nad biurową i archiwalną stroną ich pracy. Nie wszystkie rozkazy przechowały się w swych pierwopisach koszulkowych, stanowiących tak cenny materiał dla historyka; niejednokrotnie los ten spotkał nawet najważniejsze rozkazy operacyjne; nie mogło być mowy o naklejaniu wszystkich rozmów «hughesowych». Niejednokrotnie bardzo ważne rozkazy operacyjne załatwiano drogą rozmowy ustnej lub telefonicznej. Ten stan rzeczy uległ dalszej niekorzystnej zmianie w czasie przekazywania aktów operacyjnych do archiwum sekcji historycznej, zarodka późniejszego Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Akta Naczelnego Dowództwa, frontów, armij, dywizyj, oddziałów, napływały w stanie bardzo rozmaitym, często nieuporządkowane i uszczuplone. Niektóre grupy aktów pozostały dotąd w ręku oddziałów Sztabu Generalnego, departamentów ministerium spraw wojskowych oraz sądów wojskowych. Inne, niejednokrotnie bardzo ważne, znalazły się w ręku dowódców i dopiero stanowczy rozkaz pana ministra umożliwił częściowe ich zdobycie; niektóre z nich wpłynęły do archiwum Biura Historycznego dopiero w maju roku bieżącego; inne znajdują się po dziś dzień w rękach prywatnych. Później, gdy większość aktów znalazła się już w archiwum Biura Historycznego, szereg przyczyn wpłynął na to, że ich inwentaryzacja i uporządkowanie musiały postępować niezwykle wolno. Sześciokrotne przenoszenie Biura Historycznego z lokalu do lokalu, szczupłość przyznawanego każdorazowo pomieszczenia, skromna ilość etatów archiwalnych (dwóch oficerów, podczas gdy w Rumunii, np. 20 oficerów nie ukończyło uporządkowania aktów z czasów wojny światowej), brak pracowników, przygotowanych fachowo do roboty archiwalnej i pozostających w niej dłużej — robiły tutaj swoje. Następnie część aktów z archiwum sekcji historycznej wypożyczała Najwyższa Komisja Opiniująca do spraw przeciwko poszczególnym uczestnikom wojny, nie przestrzegając przy tym kardynalnych zasad porządku archiwalnego. Akta te zrazu nie wróciły do archiwum Biura Historycznego, ale znalazły się w oddziale V Sztabu Generalnego, skąd odebrano je dopiero w roku 1924. Niektó-

rzy dowódcy oraz autorowie prac historyczno-wojskowych wypożyczali z archiwum całe kompleksy aktów, co również sprzeciwia się zasadom praktyki archiwalnej. Ten stan rzeczy ulegał z każdym dniem zmianie na lepsze, dzięki energii Biura Historycznego Sztabu Generalnego, zbierającego skrzętnie akta operacyjne i podporządkowującego je coraz dokładniej. Na tle jednak stanu rzeczy w latach 1923/24, gdy pewna część dokumentów znajdowała się jeszcze w oddziale V Sztabu Generalnego w rękach osób poszczególnych, gdy stan uporządkowania archiwum nie pozwalał jeszcze stwierdzić, czy dany dokument, nieodnaleziony w tekach Naczelnego Dowództwa, nie znajdzie się w tekach frontów, powstawały podejrzenia, które ostatnio znalazły wyraz publiczny w liście otwartym do «Kuriera Porannego». W sprawie tych oskarżeń komisja, zbadawszy wszystkie dostępne akta oraz przesłuchawszy cały szereg oficerów z Marszałkiem Piłsudskim na czele, stwierdza, że: 1) nie może być mowy o sfałszowaniu rozkazu Wodza Naczelnego do gen. Rydza-Śmigłego, nakazującego mu odwrót z Kijowa na Żytomierz. Autentyczny — jak to stwierdził w komisji Pan Marszałek — rozkaz Wodza Naczelnego z dnia 10 czerwca 1920 roku został przesłany natychmiast przez Naczelne Dowództwo do dowództwa frontu ukraińskiego, w celu przekazania go 3-ej armii, zaś ówczesny szef Sztabu Generalnego, gen. Stanisław Haller, nie tylko wydał wszelkie potrzebne zarządzenia dalszego przekazania tego rozkazu, lecz w rozmowie «hughesowej» z gen. Listowskim z dnia 10 czerwca zapytywał wyraźnie: «Czy depeszą radio do gen. Śmigłego była podana zasadnicza treść rozkazu Naczelnego Wodza?» i otrzymał na to odpowiedź «tak». Winę formalną niezrozumienia i niedokładnego przekazania rozkazu z dnia 10 czerwca 1920 roku ponosi więc dowództwo frontu ukraińskiego.

2) Komisja, mimo starannych poszukiwań i wysłuchania wyjaśnień Marszałka Piłsudskiego, nie odnalazła żadnego pisma gen. Stanisława Hallera do gen. Szeptyckiego, w którym by gen. Stanisław Haller, powołując się na wolę Wodza Naczelnego, lekceważył doniosłość obrony Wilna. Wszystkie istniejące z tych czasów rozkazy stwierdzają przeciwnie, że zarówno Wódz Naczelny, jak i szef Sztabu Generalnego przywiązywali do obrony Wilna bardzo duże znaczenie.

O ile chodzi o depesze Wodza Naczelnego do gen. Boruszczaka, to Pan Marszałek zgodził się w komisji na to, że za depeszę tę uznać można jego depeszę do dowództwa frontu północnego z dnia 12 lipca 1920 roku, nakazującą bezwzględną ochronę Wilna przeciwko bolszewikom i Litwinom. Depeszy tej nie było w archiwum Biura Historycznego Sztabu Generalnego w roku 1923, to jest w czasie zbierania materiałów do książki Pana Marszałka, gdyż znajdowała się w aktach sprawy gen. Boruszczaka, przekazanych przez Najwyższą Komisję Opiniującą Oddziałowi V Sztabu Generalnego.

3) Komisja stwierdziła, że w nocy z 20 na 21 sierpnia 1920 roku miała istotnie miejsce ostra rozmowa telefoniczno-«hughesowa» pomiędzy Panem Marszałkiem i gen. Rozwadowskim, spowodowana zmianą przez Naczelne Dowództwo kierunku pościgowego 1-ej armii z północno-wschodniego na północno-zachodni.

W końcu komisja podnosi z uznaniem sumienną działalność obydwu szefów Biura Historycznego w latach 1923—1925, w szczególności stwierdza, że obecny szef Biura, gen. Kukiel, położył istotne zasługi w kompletowaniu i porządkowaniu archiwum.

Oświadczenie niniejsze obejmuje tylko te punkty, na które zgodzili się wszyscy członkowie komisji.

Gen. Skierski i prof. Zakrzewski, podpisując oświadczenie powyższe, zastrzegli równocześnie, że złożą oświadczenie uzupełniające.

Warszawa, dnia 5 listopada 1925 roku.

Podpisali: Przewodniczący Komisji gen. dyw. Leonard Skierski. Członkowie: Bronisław Gembarzewski, Wacław Tokarz, Stanisław Zakrzewski, Władysław Konopczyński».

Oświadczenie gen. Skierskiego.

«Ponieważ orzeczenie komisji dla zbadania stanu aktów operacyjnych z roku 1920 nie wyczerpuje całości i dotyka więcej kwestyj formalnych, niż zasadniczych — uważam za swój obowiązek moralny, jako obywatela Rzeczypospolitej i żołnierza, który całe życie pragnął z honorem nosić mundur żołnierski, — wyrażenie zdania właśnie w tych sprawach najistotniejszych, zasadniczych, nieobjętych orzeczeniem komisji, gdyż zdaje mi się, że tylko odpowiedź na nie może w należytym stopniu oświetlić sprawę zarzutów Marszałka Piłsudskiego.

Odnośnie do pytań, danych komisji przez pana ministra spraw wojskowych, muszę jeszcze krótko powrócić do pytania drugiego, «czy istnieje podstawa do przypuszczenia, że poza przedstawionymi dokumentami istnieją dla tejże sprawy inne, sprzeczne z przedstawionymi, a celowo usunięte».

Komisja stwierdziła między innymi, że istotnie brakuje bardzo ważnej rozmowy «hughesowej» Pana Marszałka z gen. Rozwadowskim w nocy z 20 na 21 sierpnia 1920 roku, — rozmowy, dotyczącej zmiany przez Naczelne Dowództwo kierunku pościgowego 1-szej armii z północno-wschodniego na północno-zachodni.

Od siebie, jako jedyny w komisji oficer liniowy, dodaję, że taka zmiana bez rozkazu Naczelnego Wodza była faktycznie pokrzyżowaniem jego strategicznych planów i dlatego brak istniejących kiedyś egzemplarzy usprawiedliwia zarzut Pana Marszałka.

W sprawie opuszczenia Kijowa i kierunku odwrotu 3-ciej armii stwierdzam, jako jedyny w komisji oficer liniowy, że w operacji tej nad całym położeniem, które się wówczas wytworzyło, nad rozważaniami i możliwościami, górowała świetna twórcza myśl Naczelnego Wodza, i że gdyby była wcielona w życie, istotnie mogłaby zaważyć decydująco na losach całej kampanii.

W sprawie ocalenia Wilna w lipcu 1920 roku zarzuty Pana Marszałka mogłyby znaleźć właściwe światło w badaniu bardzo skrupulatnym i długim aktów Najwyższej Komisji Opiniującej, co przekraczało możliwości komisji.

Korzystając z objętego «Wskazówkami dla prac Komisji» prawa, stawiam dodatkowe pytanie, które dla mnie, jako żołnierza, jest najważniejsze.

«Czy zawarte w piśmie pana ministra cztery pytania ujmują istotę sprawy, będącej przedmiotem rozpatrywania przez komisję i co właściwie spowodowało Pierwszego Marszałka Polski do Jego wystąpienia?»

Na samym wstępie twierdzę, że owe 4 pytania dotykają sprawy z bardzo wąskiego punktu widzenia, i odpowiadając tylko na te punkty, nie spełniłbym swego zadania, zmierzającego do wyświetlenia istoty sprawy.

Otóż jako żołnierz, mający nieograniczone zaufanie do Wodza Naczelnego, widzę w wystąpieniach Marszałka Piłsudskiego protest, nie tylko tyczący się oświetlenia tego lub owego zdarzenia wojennego, ile raczej protest przeciw systematycznemu w ciągu lat całych naruszaniu autorytetu Naczelnego Wodza.

Jeżeli mam wypowiedzieć się, jako rzecznik nie tylko własnego sumienia, ale przede wszystkim sumienia żołnierskiego, to ono nakazuje mi zameldować, że prace w komisji utwierdziły we mnie i wzmocniły dawno już ugruntowane przeświadczenie żołnierskie, że:

1) Najwyższy dorobek armii, jako całości, a mianowicie wiara żołnierska w Naczelnego Wodza, była w czasie wojny systematycznie podkopywana przez istoty małe, nie pojmujące jego znaczenia lub nie chcące go pojąć. Przebieg naszych zmagań na froncie ujawniał już wówczas częste załamanie dusz żołnierskich, zatruwanych jadem wsączanych w nie wątpliwości w stosunku do Naczelnego Wodza. Już wówczas wiele organów prasowych różnych kierunków szerzyło destrukcyjną robotę, która zmniejszała odporność żołnierzy wobec nadchodzących wielkich zdarzeń.

Mimo to jednak, gdy było bardzo źle, granitową ostoję stanowiła wiara w tegoż Naczelnego Wodza, a gderanie «fachowego» mentorstwa milkło tam, gdzie zjawiał się Naczelny Wódz. W chwili najcięższej, gdy wróg stał pod murami stolicy, osobiste zjawienie się Naczelnego Wodza zelektryzowało żołnierzy; wszyscy oni, a przede wszystkim ci, którzy stali przy samym warsztacie pracy bojowej i skromnym swym wysiłkiem kładli fundamenty chwały całego narodu, nie tylko wierzyli w zwycięstwo, ale byli go pewni.

Oto jest najgłębsza prawda historyczna, której nie może i nie powinno przesłonić jednostronne studium «dokumentów» w ścisłym słowa znaczeniu (rozkazów, depesz, rozmów telefonicznych i hughesowych i t. p.).

2) Historycy oficjalni i nieoficjalni, fachowi i niefachowi, tacy, co wąchali proch bitewny polski, i tacy, co go nie wąchali (a tych było najwięcej), uzbrojeni w wiedzę lub w nią nieuzbrojeni — zabrali się do roboty, zebrali masę materiału rozmaitej wartości, często wątpliwej, i zaczęli pisać historię. W większości tych «dzieł», które mają potomności zostawić kronikę sławy narodu polskiego, a której to kronice przybyło pierwsze od czasu bitwy pod Wiedniem walne zwycięstwo

z r. 1920 — nie ma bardzo często, aż nadto często, należnego Naczelnemu Wodzowi miejsca.

Jako członek komisji, składającej się przeważnie z historyków, która to komisja ma za zadanie szukanie prawdy, nie mogę zapoznać tej prawdy wyższego rzędu, że historia była i jest fałszowana w sensie powyżej wyłożonym. Zaciera się w świadomości narodu i zmaleć zupełnie może w potomności ta prawda, że wojnę polsko-bolszewicką wygrał na tyłach naród polski, wzmacniany moralną powagą swego Naczelnika Państwa — na polu zaś bitewnym wygrał wojnę Wódz Naczelny, ten, który od bardzo już wielu lat, gdy większość jeszcze spała, a w najlepszym razie tylko marzyła o niepodległości, w pierwszych szeregach walczył o nią i ją uważał za najświętszy cel swego życia ofiarnego. Wszyscy inni pretendenci do stopnia «zbawców ojczyzny» niech zajmą właściwe miejsce i niech nie przesłaniają czołowej postaci byłego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

Przesłanianie postaci Naczelnego Wodza jest fałszem wyższego rzędu, który u jednych prostych, jak ja, żołnierzy wywołuje wielki smutek i przygnębienie, a u drugich natur, pełnych woli i czynu, żywiołowy odruch prawdy, niepokojący swym niesamowitym wyrazem. To też w łonie komisji musiało zjawić się przeświadczenie, że wystąpienie Marszałka Piłsudskiego było tym żywiołowym odruchem w poszukiwaniu prawdy wyższego rzędu w naszym życiu publicznym.

Jako Naczelny Wódz, spełniał swe zadanie, milcząc i wybaczając swym przeciwnikom i opornym — teraz zaś mówi soczyście, po żołniersku (oczywiście — nie po salonowemu), co myśli o smutnych praktykach naszego życia publicznego.

Odezwał się człowiek niezwykłej miary i kryształowej czystości, najstarszy żołnierz niepodległej Polski i zwycięski Wódz.

3) W toku prac komisji nasunęła się też wątpliwość, czy prawda historyczna może być odnaleziona w aktach i koszulkach, częstokroć niekompletnych i nie odtwarzających zupełnie prawdy żywej, — czy uda się ją odnaleźć w krótkim stosunkowo czasie, kiedy przy tym tak rozpowszechnione namiętności i ambicje przeszkadzają bezstronnemu wnikaniu w rzeczy. Nie można bowiem sugestionować się wyłącznie zestawieniem dokumentów i badaniem świadków tego, co się działo w sztabach rozmaitych szczebli, zapoznając najważniejszy moment ustalania historycznej prawdy — wniknięcia w duszę najgłówniejszego czynnika i narzędzia walki — żołnierza żywego.

Otóż stwierdzić należy, że jeszcze w czasie wojny, kiedy w sztabach wrzała na froncie i na tyłach całą pełnią robota, już wtedy bakcyl niepokoju, wszczepiony metodami wyżej wskazanymi, wykoślawiał duszę żołnierską. Nie były nasze sztaby gorsze od innych, jednakowoż pamiętać należy, że częstokroć składały się z oficerów dawnych armij zaborczych, którzy niezawsze potrafili się wżyć w psychikę młodej podówczas armii polskiej. W sztabach tych siedzieli często ludzie z bagażem moralnym, zapożyczonym od obcych. Stare nawyknienia nie mogły od razu za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknąć, a wśród nich często głośne myśli o samym sobie stały na pierwszym miejscu.

Stanowisko Naczelnego Wodza było wobec tego niesłychanie trudne. Wiedzą też żołnierze, jak wielką była wyrozumiałość Naczelnego Wodza, co jaskrawo rzuca się w oczy przy wertowaniu aktów Najwyższej Komisji Opiniującej, jak pobłażliwym był i przebaczającym i wielkodusznym nadmiar.

Zdawałoby się, że powinien był zyskać serce, a będąc władcą dusz prostych żołnierzy, powinien był otrzymać uznanie i współpracę od wyższych warstw stokroć spotęgowane. Tym czasem, nawet podczas najgorętszych wydarzeń na froncie, niezawsze było bez zarzutu pod tym względem i niektórzy strategicy dyplomowani nie umieli zdobyć się na lojalność bezwzględną.

Przy wertowaniu aktów, dokumentów i wydań rozmaitych nie mogło się nie nasunąć komisji pytanie:

Czy nie należą do kategorii fałszów historycznych niektóre opinie Najwyższej Komisji Opiniującej oraz broszura bezimienna «Rok 1920 w świetle prawdy». Artykuł zaś «Pierwsze wytyczne operacyj warszawskich», napisany, — sądzę — w dobrej wierze, czy nie jest przykładem właśnie niedojrzenia historycznej prawdy wyższego rzędu? A wszak te rzeczy tworzą, niestety, u nas historię, czego najlepszym dowodem, że broszura bezimiennego autora cytuje się w owym artykule.

Samolubstwo i ambicje niewłaściwe stworzyły atmosferę, w której praca armii w szukaniu własnej doktryny i to przede wszystkim moralnej — rwała się i rwie nieustannie.

Oto są przyczyny ciężko postawionych przez Pana Marszałka zarzutów.

4) Wreszcie z całokształtu moich rozważań podczas prac komisji i wgłębiania się w otaczającą rzeczywistość wysuwa się następująca konkluzja:

Ponad dokumenty, które przecież niezawsze dokładnie — zwłaszcza co do ducha — odtwarzają myśli, które często są nawzajem sprzeczne, ponad różne dochodzenia i przesłuchania świadków, przedziera się głębokie przeświadczenie i głos sumienia:

Autorytetowi byłego Naczelnego Wodza wypowiedziano od początku jego działalności wojnę — nasamprzód wojna ta wypowiedziana została przez jednostki i całe grupy polityczne, a potem i przez niektórych żołnierzy, a to pismami, publikacjami i niepowściągliwością języka, a wreszcie — i to jest najboleśniejszym dla żołnierzy — dążeniem do zdarcia z byłego Naczelnego Wodza nienaruszalnego w imię moralności ogólnej, a żołnierskiej w szczególności — nimbu jego zasług i sławy.

Dzieje się przez to armii krzywda moralna, którą trzeba naprawić co najrychlej, gdyż trucizna wsiąka coraz mocniej w moralny organizm wojska.

Honor to bóg wojska. Nie masz go — kruszeje potęga wojska. Ten honor wojska stworzył z powrotem i reprezentował zwycięski Naczelny Wódz — ten honor winien być nienaruszalny.

Generał dywizji *Leonard Skierski*».

Oświadczenie profesora Zakrzewskiego.

«Mam zaszczyt zwrócić uwagę pana ministra, że byłoby o wiele lepiej, gdyby samo archiwum aktów operacyjnych nie było związane organizacyjnie z Biurem Historycznym, a było zarządzane samodzielnie, tak, jak Biblioteka Wojskowa lub Archiwum Centralne. Zadaniem bowiem Biura Historycznego nie jest konserwacja aktów z punktu widzenia ściśle archiwalnego. Biuro pracuje nad dziejami wojny w ścisłym związku z zadaniami Oddziału Operacyjnego, pracuje ono nad utworzeniem polskiej doktryny wojennej zobrazowaniem niedawnych doświadczeń, a pośrednio — nad szkoleniem wyższych oficerów. Jednym słowem, pracuje Biuro na terenie historii stosowanej, przy czym akt jest przedmiotem użytku naukowego, często z nieczności subiektywnego. Historycy wojen i nie wojen, prowadzący czasem między sobą prawdziwe bella atramentowe, nie powinni równocześnie ponosić odpowiedzialności za konserwację opracowywanych przez nich archiwaliów. Cóż dopiero, gdy w danym archiwum pracuje ciągle kilku referentów-autorów, którzy przy najlepszej woli aktów nie konserwują, lecz je zużytkowują.

Dyrektor i personel archiwalny nie powinien więc podlegać szefowi i redaktorowi prac historyczno-operacyjnych. Niezależność organizacyjna i personalna archiwum od Biura Historycznego wytworzy atmosferę zaufania do archiwum wszystkich czynników, interesujących się wojną, i sprawi, że nawet luki w nagromadzonym materiale, o ile wpłynie on ze wszystkich oddziałów zarówno Sztabu, jak Ministerium, czego koniecznie domagać się należy, wówczas żadne luki dokumentu nie będą w stanie zasłonić na dłuższą metę prawdy historycznej. Np. rozkaz, zagubiony w Naczelnym Dowództwie, znajdzie się w aktach frontu, zaginiona rozmowa hughesowa lub nawet telefoniczna odbije się w ten czy inny sposób, zostawiając ślad bądź w dokumentach niższych jednostek, bądź w rozmaitych księgach kontroli kancelaryjnej, dotąd nie zgromadzonych w archiwum i nie badanych.

Niezależność archiwum od Biura i lepsza dotacja archiwum sprawi, że ulegnie poprawie konserwacja aktów i ich ewidencja. Samo archiwum nie powinno się mieścić w pokoju przechodnim, lepszy powinien być stan półek i szaf, do samych aktów w archiwum powinien mieć dostęp jedynie personel archiwalny. Akta powinny być jak najszybciej ponumerowane, a każda teczka posiadać własny spis treści; odnosi się to przede wszystkim do aktów Naczelnego Dowództwa.

Należałoby również zastanowić się nad tym, by komitet redakcyjny Biura Historycznego nie był tworzony wyłącznie na podstawie formalno-biurokratycznej. Wszystkie najważniejsze czynniki, pracujące w swym czasie nad wojną polską z Marszałkiem Piłsudskim na czele, winny mieć możność opiniowania prac operacyjno-historycznych, przeznaczonych do druku.

Jestem daleki od gloryfikacji przesadzonej i osobistej chociażby najwybitniejszych ludzi. Nie może jednak ulegać wątpliwości, że praca

historyczna nad wydarzeniami lat ostatnich musi być wolna od tendencyj politycznych i tendencyj tego lub innego prądu czy kierunku pracy wojskowej, inaczej nie będzie historyczną.

Z tego względu postać Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa musi odbijać się w literaturze, wydawanej na koszt państwa, w sposób, odpowiadający rzeczywistości lat 1918—1922, a także w formie, odpowiadającej kształceniu obywatela w ogóle i w szczególności armii. Literatura państwowa musi być wolną od tendencyjności.

Jest zupełnie zrozumiałym, że Naczelnik Państwa z lat 1918—1922, wysoce osamotniony już wówczas, tym silniej odczuwa wszystko, co dotyczy jego wysiłków z lat 1918—1922, i to tym bardziej, o ile dana praca nie jest oparta na zużytkowaniu dostatecznym jego własnych świadectw. Wychowanie narodu i wojska wymaga kategorycznie, by w literaturze i szkole postać zwycięskiego Wodza i jego współpracowników znalazła wyraz, należny zasłudze, stanowiącej wynik zbiorowego wysiłku narodu».

SKOROWIDZ NAZWISK [1])

Adamski 97
Aleksander II 54, 55, 66, 67, 69, 83, 84
Aleksander Wielki 116, 312
d'Altishofen Hans **13**
Awejde Oskar 57, 58, 79

Barlicki Norbert 287, 288
Barysz Leon **196**
Batory Stefan **47,** 51, 268
Bem Józef 85
Berbecki Leon 22
Berg 57
Bethman Hollweg **193**
Bilińscy **130**
Bismarck 194
Bolesław Chrobry 266
Bolesław Śmiały 266
Bonaparte Napoleon Hieronim **54**
Borkiewicz Adam **219**
Boruszczak Aleks. 214
Budienny **219,** 233, 234
Budzyński Franciszek 96

Carnot Lazare Nicolas 11
Cavour Camillo 84
Chaciński **332,** 335
Chądzyński 335
Chodkiewicz Jan 269
Clausewitz 156, 168
Curzon **278**
Czarniecki Stefan 269
Czartoryski Witold **102**

Danton 11
Daszyński Ignacy **325**
Dąbal Tomasz **95**
Dąbrowski Jarosław 58, 78, 79
Dąbrowski Stefan **122**
Dembiński Henryk 85
Deskur Bronisław 78
Diamand Herman 294
Dreszer Gustaw **248, 249,** 262, 263
Dubiecki Marian 60—63

Falkenheim 193
Falkiewicz Stanisław **127**
Franciszek Józef I 32, 34, 37
Fryderyk Wielki 269

Galileusz **134**
Gałecki 93, 94, 102
Garibaldi Giuseppe 53, 54, 82, 83, 88
Gembarzewski Bronisław **215**
Giełgud **85**
Giller Agaton 73, **74**
Goltz 303, 304
Gorczakow Michał 73
Grabski Stanisław 281, 287, 288, **295,** 296
Grabski Władysław **1, 2, 43—46, 122, 247, 251,** 254, 258, 261, **281,** 332—335
Grzesicki Wiktor 189
Gülpen Paweł **110**

Haller Józef 214, **240**—242
Haller Stanisław 212, 213, 215—217, 283, 300
Hannibal 222, 223, 225, 226, 230, 235—238

[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

Hauer 21
Henrys 232—234, 237, 238
Herodot 285
Herzen Aleksander 68, 69, 74
Hindenburg 38, 159—161, 193
Homer 285

Jagiellonowie 266, 267
Jan Kazimierz 220, 221, 223—225
Janowicz Ludwik 181
Jędrzejewicz Janusz 16, **127**
Jozue 154
Józef Ferdynand arc. **26**

Kadenacowa Zofia **72**
Karol I 243
Katajama 306
Katarzyna II 269
Kazimierz Wielki 266
Keller Teodor 37
Kiereński Aleksander **320**
Kiernik **295**, 296
Kluck von 156—159, 161
Konarzewska **163**
Konarzewski Daniel 263
Konopczyński Władysław **215**
Konstanty w. ks. 59, 67, 70, 120
Kopernik **135**
Korfanty Wojciech 97
Kossuth **85**
Kościuszko Tadeusz 20, 175, 198, 206, 240
Koźmian Stanisław 57
Krajna Kazimierz 96
Kraszewski Józef Ignacy 73
Krzyżankiewicz Stanisław 96
Kuhl von 157—159
Kukiel Marian 214—244
Kuliński Mieczysław 297—300
Kuntz Karol **207**
Kuropatkin 319
Kutrzeba Tadeusz 236, 238

Lammasch Henryk 94
Langiewicz Marian 54
Leman Jerzy **167**
Leo Juliusz **317**
Lerchenfeld 110
Lermontow Michał **131**
Lewandowski Walenty 78
Limanowski Bolesław 57
Litwinowicz Aleksander 25
Liwiusz 285
Ludendorff 160, 161, 193
Lüders **85**

Łukasiewicz Juliusz **7**
Łukaszewicz Józef 181—183

Majewski Karol 57
Majewski S. **251**, **258**
Maksymilian ks. Badeński 99
Malczewski **336**
Mamajew 70, 71
Marek Zygmunt 335
Maria Kazimiera 224, 225, 231
Maria Teresa 269
Mazzini 52, 82, 88
Mickiewicz Adam 30, 42, 62, 119, **174**, 175
Miedziński Bogusław **330**
Mierosławski Ludwik 186
Miklaszewski Bolesław 46, 281
Mikołaj I 54, 55, 66, 68, 69, 73
Mikołaj Mikołajewicz 32, 131
Milowicz Włodzimierz 69
Milutin Dymitr **65**, 66, 271
Miłkowski Zygmunt 60
Miszczenko 133
Moltke Helmuth **160**, **193**, 256, 257, 315
Moraczewski Jędrzej 105, **202**, **251**, 279, 280
Moszczeński Józef **219**
Mroczek 80
Muchanow Paweł 73, 75
Murawjew **65**, 68

Napoleon I **10**, 11, 14, 52, **131**, 153, 256, 289, 317, 319
Napoleon III 52, 54, 81
Natanson 74
Natson Siemion 119
Norwid-Neugebauer Mieczysław **190**

Okoń Eugeniusz 95
Osiecki **295**, 296
Oxiński Józef 76—78

Paderewski Ignacy 217
Padlewski Zygmunt 58, 59, 64, 65, 79, 89
Paskiewicz Iwan 73
Pawliszczew 57, 73
Perkowicz Edward **219**
Perl Feliks **306,** 335
Petain 192
Petlura Szymon **37**
Piechocki **325**
Piłat 232
Piłsudska Aleksandra **27, 140, 165**
Piłsudska Jadwiga 208
Piłsudska Wanda 208
Piskor Tadeusz 172, 216, 238
Plehwe 73
Poniatowski Juliusz 108
Poszwiński 97
Potjebnia 76
Prittwitz **159,** 160
Protasewicz-Suszkowski **19**
Prystor Aleksander 137, **138,** 216
Przyborowski Walery 57—60, 78

Raczkiewicz Wł. **251**
Radziwiłł Stanisław 216
Rajchman Henryk **7**
Rataj Maciej **122,** 330
Rennenkampf 160
Robespierre 11
Rogiński Roman 70, **71,** 78, 80
Roja Bolesław 109, 225
Romer Jan 233
Rostopczyn Fiodor 131
Rouppert Stanisław **24**
Rozwadowski Tadeusz 109, 214, 217, 220, 222, 229, 230, 233, 236, 238, 244
Różycki Tadeusz **219**
Rudzki B. **46, 47**
Ruszczyc Ferdynand 102
Rydz-Śmigły Edward 18, 26, 109, 215
Rzepecki Karol 96

Samsonow 160
Sapieha 216
Sawicki-Stella Jan 66, 67, 76, 84
Schlieffen 222, 223, 225, 230, 235
Seyda 96
Sierakowski Zygmunt 65, 66, 75, 88, 89, 271, 272
Sikorski Władysław 43, 46, **122,** 207—210, **213,** 228, 229, 234, 240—243, **247,** 254, 257, 261, 262, 280, 283, 288, 296, 297, 326, **332,** 334
Skierski Leonard **215,** 250
Skoropadski 37
Skrzyński Aleksander **1, 2, 251,** 253, 254, 258, 259, **279,** 280, 282, **295,** 299, **325,** 326, **329,** 330, **332,** 333
Skulski Leopold 216
Skwarczyński Adam **7**
Sławek Walery 129, **130**
Słowacki Juliusz **137**
Sobieski Jan 268
Sosnkowski Kazimierz **17,** 20, 45, 99, 110, **166,** 167, 170, 171, **209**
Spławski 77
Stachiewicz Julian 211, 214, 216
Stanisław August 270
Stecki Jan 108
Suworow Arkadiusz 68
Szeptycki Stanisław 208, 213, 214, 217, 235, **247,** 257, 283, 288, **296**
Szwarce Bronisław 59, 60, 63, 89

Świeżyński 98—100, 107, 115
Świtalski Kazimierz **6, 47, 50, 90, 129, 166, 300**

Thugutt Stanisław **122,** 287, 288
Thumenowie **296**
Tłuchowski **333**
Tokarski 62
Tokarz Wacław **215, 219**
Trepow Dymitr 59
Tuchaczewski M. 221, 222

Washington Jerzy **273**
Wende E. **27**
Wielopolski Aleksander 64, 75
Wieniawa-Długoszowski Bolesław 138, **139,** 202, 216

Wilhelm II 32, 34, 243
Wilson Woodrow **30**
Witos Wincenty **1, 296, 332**—336
Władysław Łokietek 266
Władysław IV 268
Wojsznar-Opieliński **17**
Wojciechowski Stanisław **43—45,** 217, 247, 252, 253, 257, **276, 277,** 282, 283, **295, 297, 325,** 326, 329, 332
Wysocki Piotr 87, 93
Zagórski Włodzimierz **240**—242
Zając Józef **219, 239**
Zakrzewski Stanisław **215**
Zaliwski Józef 87, 93
Zamorski Jan 34
Zdziechowski **295,** 296, **325**
Zieliński Tadeusz 237
Żeligowski Lucjan **251, 258,** 263, **268,** 279, 280, **294, 295, 298, 325,** 326
Żółkiewski Stanisław 269
Żuliński Tadeusz 245

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Akwizgran **156, 157**
Altona 67
Antwerpia **157**

Beniaminów 190
Beresteczko 235
Berlin **95,** 110, 113, 116, 170, 171, 186, 204, 249, 291
Biała 70, 78
Bidziny 130, 131
Birże **65**
Brody 235
Bruksela 282
Brześć n. Bugiem 225, 234—237

Canny 222, 224, 230, 235, 237, 240, 243
Chełm 234, 236
Chocim 268
Cuneo 84
Czeremoszno 16, 18, 22, 23, 26
Czetwiertnia 21
Częstochowa 97

Druskieniki **191, 194,** 195, 215, 219, 239

Frankfurt 53

Gdańsk 62, **166,** 270
Genewa 13
Ginietyny **65**
Gorlice 189
Grodno 32, 102

Hermanstadt **85**
Horodło 61
Hulewicze 26

Jakuck **181**
Janów 70
Jastków 201

Kalisz 38
Kaszówka **16**
Kazań 80
Kielce 38, 121
Kijów 21, 37, 62, 215
Kolonia **156**
Kołki **21**
Konary **130**
Kostiuchniówka 169
Kowel **16**—22, 24, 26, 234, 238, 244
Kowno **160**
Königsgrätz **53**
Kraków 39, **57,** 90, 92, 95, 101, 102, 108, 198, 231, 316
Kronsztad 67
Królewiec **160**
Kufstein **87**

Laski 35
Lida 268
Liège 167
Limanowa 37, 135
Locarno 291
Londyn 68, 243, 258
Lublin **17, 27,** 31, **43,** 98, 108, 132, 135, 200
Lwów **5,** 7, 35, **60,** 69, 95, 121, 231, **238,** 296

Łomża 32, **160, 190**
Łódź **179**
Łuck 26

Maciejowice 175
Magdeburg 39, 40, 103, 151, **152,** 166—168, 170, 171, 175, 204, **248,** 262
Marcinkowice 169
Mińsk Litewski **226**
Modlin 79, 240, 241
Mons **158**
Moskwa 63, 131, 137, 243, 291

Nasielsk 241
Neapol 82
Nowy Korczyn 39, 169, 170
Nowy Sącz 135

Ołyka **17, 20**
Opatowiec 169, 170
Opatów 39 **130**
Orenburg 66
Ostrołęka **160,** 241
Ostrowiec 133
Ostrów 234
Ożarów 130—137

Paryż **53, 85,** 102, 158, 162, 243, 282
Perm **68**
Petersburg **59,** 65, 66, 69, 75, 76, 131, 175, 182, 243, 271
Piotrków **189,** 240, 243
Płock 32, 79
Powursk **16**
Poznań 57, 95—97
Praga **53,** 291
Pruszków 74
Przemyśl 121
Pułtusk **240**

Rachów **135**
Radzyń **78**
Rembertów 145, 146, 148, 153
Ryga **306**
Rzym **53,** 225, 307, 308

Sewastopol **54**
Siedlce 214, 234, 235, 237—239, 244
Sinaja 282
Smolary 26
Solferino **52,** 56, 82
Sosnowiec 98
Spaa 278
Spała **44**
Staszów 136
Sulejówek 7, 46, 120, 121, 129, 130, 137—139, **145,** 171, 172, 183, 190, 210, 211, 248, 263
Szczypiorno **190**
Szlisselburg 181, 182
Szpandawa **166,** 170, 186

Święciany 74

Tarnobrzeg 95, 133
Temeszwar **85**
Trojanówka 21
Tuilleries 54

Ulina Mała 169

Warszawa **7, 13, 16, 17,** 20, 21, **27,** 32, 40, **46, 47, 57, 60,** 67, 70, 73, 74, 76, 80—82,**85, 95,** 98, 103, 106, 109, 110, 115, 116, **121,** 132, **140, 145, 163, 165,** 171, 173, 179, 181, 195, **196**
Wesel **166,** 170
Wiatka 62
Wiedeń **85,** 93, 94, 113, 116, 268
Wilno 32, **47,** 50, 51, 65, 68, 102, 117, 119, 182, 213, 214, **278,** 302
Wrocław 74
Wyszmontów 133
Wyżwa **16**

Verdun 32
Villafranca 52

Zaprudie **16**

Żytomierz 215

SPIS RZECZY TOMU VIII

	Str.
Wstęp	1
Aforyzm w jednodniówce: «Lwów Legionom»	7
Demokracja a wojsko	7
Czeremoszno	16
W dziesiątą rocznicę powstania Legionów	27
List do redaktora «Polski Zbrojnej»	43
Przemówienia utrwalone na płytach gramofonowych	46
Wpływ Wschodu i Zachodu na Polskę w epoce 1863 r.	50
Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej	90
W księdze pamiątkowej Szkoły Podchorążych	120
5-ty Pułk Piechoty Legionów	121
Wywiad w sprawie projektu organizacji naczelnych władz wojsk.	122
Wstęp do tomu II «Wspomnień legionowych»	127
Dedykacja na egzemplarzu książki: «Rok 1920» ofiarowanym Waleremu Sławkowi	129
Ożarów	130
Dedykacja na egzemplarzu książki «Rok 1920» ofiarowanym Aleksandrowi Prystorowi	137
Dedykacja na egzemplarzu książki «Rok 1920» ofiarowanym Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu	138
Odczyty o dowodzeniu	140
Przemówienie na zebraniu «Rodziny Wojskowej»	163
Przedmowa do «Moich pierwszych bojów»	165
Dedykacja na egzemplarzu książki «Rok 1920» ofiarowanym Tadeuszowi Piskorowi	172
O inwalidach	173
Psychologia więźnia	173
O 6-tym Pułku Piechoty Legionów	188
Wywiad o naczelnych władzach wojskowych	191
W złotej księdze Druskienik	194
Przemówienie na czwartym Zjeździe Legionistów w Warszawie	195
List do redaktora «Kuriera Porannego» z dnia 12 sierpnia 1925 r.	209
Dedykacja na egzemplarzu książki: «Rok 1920» ofiarowanym Julianowi Stachiewiczowi	211
List do redaktora «Kuriera Porannego» z dnia 1 września 1925 r.	212
Przemówienie na komisji badającej stan aktów operacyjn. z 1920 r.	215
Nieco o Biurze Historycznym	217
Przedmowa do jednodniówki «Przełom»	244
Deklaracja złożona Prezydentowi Rzeczypospolitej Stanisławowi Wojciechowskiemu	247
Przemówienie do oficerów, składających Piłsudskiemu hołd w siódmą rocznicę jego powrotu z Magdeburga	248

Str.
List do redaktora «Kuriera Porannego» z dnia 12 stycznia 1926 r. 251
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 14 stycznia 1926 r. . . . 253
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 20 stycznia 1926 r. . . . 259
Stosunek wzajemny wojska i społeczeństwa w 1863 r. 264
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 10 lutego 1926 r. . . . 276
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 12 lutego 1926 r. . . . 280
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 17 lutego 1926 r. . . . 284
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 19 lutego 1926 r. . . . 289
Wywiad w «Expressie Porannym» z dnia 23 lutego 1926 r. . . . 294
List do gen. Żeligowskiego 297
Naczelny Wódz w teorii i praktyce 300
O Wodzu Naczelnym i Państwie 311
Oświadczenie o przebiegu konferencji w Belwederze w dniu 21 kwietnia 1926 r. 325
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 24 kwietnia 1926 r. . . . 326
Wywiad w «Nowym Kurierze Polskim» z dnia 29 kwietnia 1926 r. 329
Oświadczenie o konferencji w Belwederze odbytej w dniu 9 maja 1926 r. 332
Wywiad w «Kurierze Porannym» z dnia 11 maja 1926 r. . . . 333
ANEKSY
Dekret Naczelnego Wodza o organizacji władz wojskowych z dnia 7 stycznia 1921 r. III
Projekt ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych z dnia 27. VI. 1923 r. VI
Projekt ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych z dnia 14. III. 1924 r. IX
Projekt ustawy o organizacji nacz. wł. wojsk. uwzględniający poprawki przyjęte przez Radę Ministrów w dn. 5. XII. 1924 r. XIII
Projekt ustawy o organizacji nacz. wł. wojsk. w formie uchwalonej w 2-gim czytaniu sejmowej komisji wojskowej . . XVIII
Projekt ustawy o nacz. władzach obrony Państwa z dnia 4 maja 1926 r. XXV
Orzeczenie komisji dla zbadania stanu aktów operacyjnych z 1920 r. XXIX
Skorowidz nazwisk XXXIX
Skorowidz miejscowości XLIII

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Wojsk. Akad. Poli
im. F. Belzy

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
35219/2 t.8
12-035219-008-0